

R

Robert Silverberg

Lord

Prestimion

Lord Prestimion

Przełożyli

Agnieszka Modzelewska

Krzysztof Sokołowski

SOLARIS

Stawiguda 2010



Dla Jima Burnsa, który pokazał mi, jak wygląda prawdziwy Majipoor.

Najdrobniejszy postępek władcy, choćby tylko kaszlnął, wywołuje skutek gdzieś w świecie, zaś poważne jego dzieła wypełniają kosmos echem. Na zawsze.

Aithin Furvain *Księga zmian*

Cześć Pierwsza
Księga Powstania

Koronacyjna ceremonia, prastary rytuał, śpiewy i uroczyste przejęcie władzy, i grzmiący dźwięk trąb, i formalny strój, i korona na głowie... to wszystko skończyło się przed pięćdziesięciu minutami, a koronacyjna uczta miała się zacząć za kilka godzin. Przygotowania, krzątanie, szum i hałas, dzieło tysięcy zaproszonych na wieczorne przyjęcie gości i tysięcy służby, zawładnęły ogromnym gmachem, który od dziś i na długo miał przyjąć imię Zamku Lorda Prestimiona. Tylko nowy Koronał pozostał na uboczu, samotny, otoczony sferą krzyczącej ciszy.

Po walkach i nieszczęściach wojny domowej, po uzurpacji tronu, po bitwach, klęskach, po dniach zawodu i rozpacz, nadeszła chwila zwycięstwa. Prestimion namaszczony został na Koronała Majipooru. Był gotów podjąć obowiązki. Z radością.

Lecz ku jego wielkiemu zdumieniu o tej wspaniałej godzinie w jego duszy zakiełkował i rozkwitł wielki niepokój. Poczucie ulgi i, tak, triumfu, na myśl o tym, że wreszcie rozpoczyna rządy, stłumił niezwykle niepokój. Skąd się wziął? Co go niepokoiło? Dlaczego? Doczekał przecież chwili triumfu, powinien się radować. A jednak...

W gorączce tego wspaniałego dnia, pod koniec uroczystości Prestimion zamarzył o jednej wolnej chwili, a kiedy ceremonia wreszcie się zakończyła odszedł i skrył się w ogromnej Wielkiej Sali Lorda Hendighaila, gdzie wreszcie mógł być sam. Tu, w długich,

wysokich, mieniących się jak tęcza rzędach składano koronacyjne dary, tu przybywały one od miesiąca; prawdziwa rzeka cudowności niezmordowanie wpływająca na Zamek, niosąca bogactwa wszystkich prowincji Majipooru.

Prestimion wiedział tylko, kiedy mniej więcej Lord Hendighail żył - siedemset, osiemset, a może dziewięćset lat temu. O jego czynach nie wiedział nic, ale należało wnioskować, że jeśli już coś robił, to na naprawdę wielką skalę. Sala nazwana jego imieniem należała do największych w ogromnym Zamku, ogromna komnata dziesięciokrotnie dłuższa niż szersza, wysoka odpowiednio do wymiarów, przykryta stropem z bali czerwonego drewna ghakka, wspartym na jęczących pod jego ciężarem kolumnach z czarnego kamienia, pokrytych skomplikowanym maswerkiem o wzorze ginącym w mroku wysoko, nad głową.

Lecz Zamek był przecież miastem samym w sobie: zatłoczone centrum i stare, zapomniane przedmieścia, a Lord Hendighail wybudował hol nazwany jego imieniem po północnej stronie Góry Zamkowej, a była to ta zła strona, nieodwiedzana i zapomniana. Prestimion, który niemal całe życie przeżył na Zamku, nie pamiętał sali Hendighaila, być może jego noga wcześniej w niej nie postąpiła, dopiero dziś. W czasach bardziej współczesnych służyła za magazyn na towary, dla których nie znaleziono jeszcze właściwego miejsca. I taką też rolę pełniła dziś. Magazynu na dowody hołdu, składane wstępującemu na tron Koronalowi.

Wypełniały ją rzeczy wręcz zdumiewające, fantastyczne w

kształcie i barwie cuda Majipooru. Zwyczaj nakazywał niezliczonej liczbie miast, miasteczek i osad konkurować między sobą na wspaniałość daru, złożonego rozpoczynającemu rządy Koronalowi. Jednak zdaniem starszych ludzi, pamiętających ostatnią koronację, tę sprzed czterdziestu lat, takiej manifestacji hojności jeszcze nie widziano. Na miejsce dotarło już pięć, dziesięć, piętnaście razy więcej dóbr, niż można się było spodziewać. Oszalały Prestimiona swą wspaniałością, ogłuszały i oślepiały. Miał nadzieję, że widok tego bogactwa, pochodzącego z najdalszych krańców planety, podniesie go na duchu i pocieszy w tej nieoczekiwanej ponurej chwili. Koronacyjne dary miały być przecież dowodem na to, że świat z radością wita go u progu rządów.

A jednak, ku niemal bolesnemu rozczarowaniu stwierdził, że działają na niego wręcz odwrotnie. W tym nadmiarze bogactwa było coś niepokojącego. Niezdrowego. Prestimion pragnął, by świat powiedział mu, że z radością wita młodego, energicznego Koronala, zajmującego na Zamkowej Górze miejsce przynależne do tej pory staremu, zmęczonemu Lordowi Confalume, ale ta fala kosztownych darów była doprawdy przesadnym dowodem wdzięczności. Przekraczała akceptowalne granice, zakłócała proporcje, zdawała się wskazywać, że świat opanowała gorączka dzikiej radości z jego wyniesienia, gorączki nieproporcjonalnej do wagi wydarzenia.

Zdumiewała taka skala. Przecież z całą pewnością nikt aż tak nie pragnął odejścia Lorda Confalume'a. Confalume był w swoim czasie wielkim Koronalem, choć oczywiście wszyscy wiedzieli, że jego czas

się skończył i przyszła pora na kogoś nowego, dynamiczniejszego, że tron należy się komuś takiemu jak on. Mimo wszystko taka liczba darów wydawała się świadczyć, że zmianę władcy przyjęto z ulgą równą radości.

Skąd ta ulga? - dziwił się Prestimion. Jaki jest powód takiego nadmiaru radości, graniczącego z ogólnoswiatową histerią?

Tak niedawno skończyła się gwałtowna wojna domowa. Czy to dlatego?

Nie. Obywatele Majipooru nie mieli prawa wiedzieć niczego o ciągu przedziwnych zdarzeń: konspiracji, uzurpacji i strasznej wojnie, będącej ich konsekwencją, o nader okrzężnej drodze, która zaprowadziła na tron, Prestimiona. Osobiście wydał rozkaz, wymazujący je z pamięci świata. Miliardy mieszkańców Majipooru nic nie wiedziały o wojnie. Krótkie, bezprawne rządy samozwańczego Koronala Lorda Korsibara nigdy się nie zdarzyły. Tak jak widział to świat, po śmierci Pontifexa Prankipina jego tytuł przejął Lord Confalume, zaś do tytułu, który przez tak wiele lata należał do Confalume'a, wyniesiono jego, Prestimiona, spokojnie i bez żadnych nadzwyczajnych wydarzeń.

Więc skąd to szaleństwo? Skąd?

Przy wszystkich ścianach rozległej sali piętrzyły się wysokie stosy darów, większość nadal w pudłach; ich oszałamiające ogromem góry sięgały niemal sufitu. Salę po sali niemal nieużywanego północnego skrzydła Zamku wypełniały skrzynie, przybyłe tu z najdalszych krańców planety, krain i okręgów, których nazwy niewiele

Prestimionowi mówiły. Niektóre znał jako kropki na mapie, innych w ogóle nie znał. A nowe przybywały przez cały czas, nawet teraz, w tej chwili. Próby opanowania tego potopu przyprawiały ochmistrzów Zamku o utratę zmysłów.

A przecież to, co widział, stanowiło zaledwie drobną część tego, co otrzymał. Bo były i żywe dary. Prowincje wysłały mu także zwierzęta, takie mnóstwo przeróżnych, najdziwniejszych, najbardziej niesamowitych zwierząt, że wystarczyłoby ich na wielki ogród zoologiczny. Dzięki niech będą Bogini za to, że trzymano je gdzieś daleko stąd. Roślin też przyszło mnóstwo, do ogrodów Koronała. Niektóre z nich Prestimion oglądał wczoraj: potężne drzewa o liściach jak lśniące srebrem miecze, groteskowe gruboszowate z liśćmi niczym skręcone igły, kilka drapieżnych paszczowatych z Zimroelu, trzaskających centralnymi szczękami, w ten straszny sposób demonstrujących wszem i wobec jakie są głodne. W pojemniku z ciemnego porfiru dotarły na Zamek przezroczyste gambeliawy z północnego wybrzeża Stoienzaru, wyglądające tak, jakby je zrobiono z dmuchanego szkła, dźwięczące cicho i smutnie, gdy przesuwano się nad nimi dłonie. Było tych cudów więcej, o wiele więcej, ale i je przechowywano gdzie indziej.

Oszalała sama obfitość darów, ich fizyczny rozmiar. Umysł nie był w stanie jej ogarnąć. Prestimion miał nieodparte wrażenie, że ta potężna, spiętrzona masa jest Majipoorem, że sam Majipoor w całej swej wielkości i różnorodności, największa planeta galaktyki, wtoczył się do tej sali. Pośrodku górskiego pasma jego darów czuł się

pomniejszony ich ekstrawagancką wręcz wspaniałością, obfitością, różnorodnością. Wiedział, że powinien się nimi radować, ale wśród wszystkich tych dowodów własnej wielkości doświadczał wyłącznie czegoś, co można określić jako tępy strach. Nieoczekiwana, zaskakująca pustka zakiełkowała w jego duszy podczas długiej, formalnej, zrytualizowanej uroczystości czyniącej z niego Koronała, pana Majipooru, przyniosła smutek i powagę w godzinie, mającej być godziną triumfu, a teraz gotowa była ją ogarnąć i zatopić.

*

Niczym we śnie Prestimion przemierzał ogromną salę, zaglądając do skrzyń, które służba zdążyła już otworzyć.

Widział zatopiony w bryle skrzącego się kryształu wspaniale szczegółowy wiejski pejzaż: zielony dywan mchu, drzewa o jaskrawożółtych liściach, fioletowe dachy ślicznego, nieznanego mu miasteczka, a wszystko tak prawdziwe, tak żywe, jakby rzeczywiście istniejące miejsce jakimś cudem zaklęto w kamień. Dołączony do tego daru zwój informował, że jest to dar obywateli Glau, miasteczka w prowincji Thelk Samminon, będącej częścią zachodniego Zimroelu. Towarzyszyła mu szkarłatna kapa starannie utkana wypukłym wzorem z, głosił zwój, najcenniejszej wełny wodnych robaków.

Widział kosz najrzadszych wielobarwnych gemm, pulsujących złotem, brązem, purpurą i szkarłatem niczym miniatura zachodu słońca tak wspaniałego, że trudno go sobie wyobrazić. Widział lśniący płaszcz kobaltowobłękitnej barwy z piór, według dołączonej noty, słynnych ognistych żuków z Gamarkaim, olbrzymich owadów

przypominających ptaki, odpornych na dotyk płomienia, którą to odpornością miał się odznaczać także sam dar. Widział pięćdziesiąt lasek cennego czerwonego węgla z Hyannng; jego dym miał ponoć moc uleczenia każdej cielesnej dolegliwości władcy.

Widział wykwintny zestaw figurynek, kunsztownie wyrzeźbionych z jakiegoś lśniącego, zielonego przezroczystego kamienia. Według opisu przedstawiać miały stworzenia typowe dla okręgu Karpash; tuzin nieznanymi a niezwykłymi stworów przedstawionych w najdrobniejszych szczegółach futer, kłów i szponów. Ogrzane oddechem Prestimiona zaczęły prychać, poruszać się, gonić jedna drugą w więzieniu skrzyni.

Widział...

Zgrzytnęły otwierające się drzwi sali, wpuszczając do środka... kogo? Nawet tu nie zazna samotności!

Prestimion usłyszał dyskretne kasznięcie i lekkie kroki. Wyteżył wzrok, starając się przebić nim mrok, w którym pogrążona była przeciwległa ściana.

Zbliżał się do niego człowiek szczupły, wręcz kruchy.

- Ach, więc tu jesteś, Prestimionie. Akbalik powiedział mi, gdzie cię szukać. Uciekłeś od tego całego zamieszania?

Septach Melayn, kuzyn w drugiej linii diuka Tidias, był mężczyzną długonogim, eleganckim, niezwyciężonym szermierzem i wzorem dandysa, a także starym, wypróbowanym przyjacielem Prestimiona. Nadal miał na sobie bogaty strój, który przywdział na ceremonię koronacyjną: szafirową tunikę wyszywaną złotym naprzemiennym

wzorem kwiatów i liści oraz sznurowane złote koturny. Złote włosy, opadające na ramiona w starannie kształtowanych lokach, ujmowały trzy spinki zdobne szmaragdami. Krótka, spiczasta, rudoblond bródka wyglądała na przystrzyżoną przed zaledwie kilku minutami.

Melayn zatrzymał się o dobre dziewięć stóp od przyjaciela. Podparty pod boki, rozglądał się wokół, nie kryjąc zdumienia.

- No, no - powiedział, odzyskawszy głos. - No i jesteś w końcu Koronalem, mój Prestimionie. Koniec z całym tym wściekłym szaleństwem. Jeśli potrzebne ci na to dowody, masz ich wokół siebie aż za wiele.

- Owszem, jestem Koronalem - przyznał Prestimion głosem iście grobowym.

Przyjaciel spojrzał na niego spod ściągniętych brwi, wyraźnie zdziwiony.

- Strasznie jesteś ponury - zauważył. - Zostałeś królem, władcą świata... czy cię to nie cieszy, panie? Po tym, przez co przeszliśmy, żebyś mógł nim zostać?

- Cieszy? - Prestimion wydobył z siebie coś, co miało udawać chichot. - A cóż to za powód do radości, Septachu Melaynie? Byłbyś łaskaw mi objaśnić? - Poczul nagły ból głowy między oczami. Coś się w nim rodziło, czuł to, coś mrocznego, coś gwałtownego, wściekłego, wrogiego, coś, czego istnienia nie czuł nigdy wcześniej. W jednej chwili pękła tama i nic nie powstrzymywało już zaskakująco wielkiej fali zaskakującej, przejmującej goryczy. - Mówisz „władca świata”? Można wiedzieć, co to właściwie znaczy? Jeśli nie wiesz, to ci

powiem, przyjacielu: czekają mnie teraz długie lata ciężkiej pracy, od której wyschnę jak stary sztywny rzemień, a potem, kiedy stary Confalume w końcu umrze, przeniosę się do ciemnego, posępnego Labiryntu, by już nigdy nie zobaczyć światła dnia. Więc pytam: gdzie tu widzisz radość? W czym?

Melayn gapił się na niego, zdumiony. Zabrakło mu słów. Jeszcze nigdy nie widział takim przyjaciela.

- Ach - powiedział po chwili. - Ach, w jaki nastrój wpadłeś w dzień koronacji.

Samego Prestimiona też zdumiał ten wybuch gniewu i goryczy. Przecież to nie tak - pomyślał, nagle zawstydzony. Przemawia przeze mnie szaleństwo. Muszę coś zrobić, nadać lżejszy ton tej rozmowie. Udało mu się, choć z trudem, oddalić od siebie smutne myśli. Znow był sobą; zupełnie innym tonem, swobodnym choć ciągle nieco sztucznym powiedział:

- Nie mów do mnie „panie”, Septachu Melaynie, przynajmniej kiedy jesteśmy sami. Brzmi to strasznie sztywno i formalnie. I służalczo.

- Przecież jesteś moim panem, panie. Walczyłem o to dzielnie, czego mogę dowieść bliznami.

- Nie przestałem przez to być Prestimionem.

- Nie przestałeś, Prestimionie. Doskonale. Jesteś więc Prestimionem. Jak sobie życzysz, panie.

- Na litość Bogini, Septachu Melaynie...! - Prestimion musiał się uśmiechnąć, choć kwaśno, bo to z niego przecież zakpiono. Ale czego

mógł się spodziewać po tym człowieku, jeśli nie frywolnych żartów i kpin?

Przyjaciół odpowiedział mu uśmiechem. Obaj robili, co mogli, by jak najbardziej przekonywująco udawać, że Koronal nie stracił panowania nad sobą, nie wybuchł i w ogóle nic się nie stało.

- Co takiego ściskasz właśnie w dłoni, Prestimionie?

- O to pytasz? No właśnie... cóż to takiego... - Rzut oka na kawałek złotobrazowej skóry wyjaśnił wszystko. - Różdżka z rogu gampeliparna, wyobraź sobie. Zmieni kolor ze złotawego na fioletowo-czarny, kiedy Koronal przesunie nic nad półmiskiem z zatrutym jedzeniem.

- Wierzysz w to, prawda?

- W każdym razie mieszkańcy Bailemoony wierzą. A tu... popatrz, Septachu, mamy opończe z futra z brzucha lodowego kuprei, żyjącego powyżej granicy wiecznego śniegu na szczytach gór Ginghar. Podobno.

- Zdaje mi się, że lodowy kuprei to gatunek wymarły, panie.

- Wielka szkoda, jeśli dobrze ci się zdaje. - Prestimion pogładził aksamitne, grube futro. - Jakie miękkie. A tu... - poklepał belę, bardzo ozdobnie opieczętowaną - ...tu mamy coś pochodzącego z bardzo dalekiego południa. Pasy niezwykle aromatycznej kory bardzo rzadkiego drzewa quinocha. Ten oto piękny kubek wyrzeźbiono z jadeitu z Vyoringmong, tak twardego, że pół życia zmarnujesz próbując wypolerować kawałek wielkości pięści. Zaś to... - Prestimion rozpoczął beznadziejną walkę z uchylonym wiekiem skrzyni, z której

wystawał jakiś cud lśniący srebrem i krwawnikiem. Walkę tak gorączkową, jakby każda kolejna niezwykłość miała pomóc mu pokonać jakoś pomieszane z przygnębieniem zdenerwowanie, które było przecież winne jego obecności w sali. Nie udało mu się jednak oszukać Septacha Melayna. Poza tym Melayn nie miał zamiaru udawać, że zapomniał już o niedawnej manifestacji prawdziwego cierpienia przyjaciela.

- Prestimionie...

- Tak?

Podszedł do Koronala. Górował nad nim, bo jego władca był mężczyzną niezbyt wysokim. Bary miał wprawdzie szerokie, ale nogi krótkie, niezwykły szermierz był zaś długonogi i długoręki w stopniu, przez który wydawał się kruchy, choć to akurat wrażenie było dalekie od prawdy.

- Nie musisz pokazywać mi wszystkiego, przyjacielu - powiedział cicho.

- Sądziłem, że cię to zainteresuje.

- I zainteresowało... do pewnego stopnia. Ale tylko do pewnego stopnia. - Melayn jeszcze bardziej ściszył głos. - Prestimionie, powiedz mi proszę, dlaczego uciekłeś, dlaczego szukasz samotności właśnie teraz i właśnie w tej wielkiej sali? Z pewnością nie przyszedłeś rozkoszować się bogactwem swych nowych skarbów. Nie leży w twojej naturze rozkoszowanie się zwykłymi przedmiotami.

- To bardzo piękne i bardzo dziwne przedmioty - zaprotestował Prestimion.

- Ależ bez wątpienia, bez wątpienia. Ale w tej chwili powinieneś raczej stroić się na ucztę, a nie czaić się nie wiadomo na co w tym magazynie kuriozów. No i te dziwne słowa, wypowiedziane przed kilkoma zaledwie minutami, ten krzyk bólu, gorzki płacz. Próbowałem zignorować je, uznać za jakieś chwilowe dziwactwo, ale ciągle słyszę ich echo. Co to wszystko znaczy? Czyżbyś szczerze buntował się przeciw ciężarowi korony? Nie tego się po tobie spodziewałem. Jesteś Koronalem, Prestimionie. Osiągnąłeś wszystko, o czym może zamarzyć mężczyzna. Będiesz rządzić naszym światem w chwale. Przecież to najwspanialszy dzień w twym życiu.

- Powinien być najwspanialszym, owszem.

- A jednak uciekasz do tej przygnębiającej sali, pogrążasz się w samotnych medytacjach, w chwili spełnienia najwyższych ambicji próbujesz rozerwać się tymi wszystkimi błyskotkami, krzykiem protestujesz przeciw własnemu panowaniu, jakby był to ciężar, który ktoś zrzucił ci na barki...

- Przelotna chwila gorszego humoru.

- ...więc nie zatrzymuj jej, niech przeleci. Dość tego! Dziś świętujemy! Zaledwie dwie godziny temu, niespełna dwie godziny, stałeś przed tronem Confalume'a, na głowie miałeś koronę rozbłysku gwiazd, a teraz... teraz... szkoda, że nie możesz zobaczyć swej twarzy, panie... jest taka smutna, taka ponura... i to tragiczne spojrzenie...

Na użytek przyjaciela Prestimion zaprezentował karykaturę wesołego uśmiechu: wyszczerzone zęby, wybałuszone oczy.

- I co? Teraz lepiej?

- Nie. Mnie tak łatwo nie oszukasz, przyjacielu. Cóż mogło aż tak cię przygnębić i to akurat w ten wspaniały dzień? - A kiedy przyjaciel nie odpowiedział, dodał: - A jeśli wiem?

- Jak mógłbyś nie wiedzieć? - Prestimion przerwał, ale była to przerwa tak krótka, że Melayn nie miał szansy nic powiedzieć. - Myślałem o wojnie, Septachu. O wojnie.

Mistrz szermierki wydawał się zaskoczony, ale w mgnieniu oka odzyskał panowanie nad sobą.

- Ach! Wojna! No tak, oczywiście. Naznaczyła nas wszystkich, ale przecież już się skończyła. I została nawet zapomniana. Nie wie o niej nikt oprócz ciebie, Gialaurysa i mnie. Goście, wszyscy goście, zgromadzeni na Zamku z okazji uroczystości twej koronacji, nie mają pojęcia o tym, że tak niedawno odbyła się ta druga, zapomniana.

- Ale my pamiętamy. My trzej. Wojna zostanie w nas na zawsze. I spowodowane nią straty. I jej żaloszny bezsens. Zniszczenie. Śmierć. Tylu zginęło: Svor, Kanteverel, mój brat Taradath, książę Kamba z Mazadone; to on uczył mnie strzelania z łuku. Iram. Mandrykarn. Sibellor. I setki innych. Nawet tysiące. - Prestimion przymknął na chwilę oczy, odwrócił głowę. - Żałuję... żałuję ich wszystkich. Nawet Korsibara, biednego, oszukanego durnia.

- Nie wymieniłeś jednego imienia, a jest ono ważne. - I Septach Melayn wypowiedział to imię delikatnie, jakby nacinał jątrzącą się ranę. - Imienia jego siostry. Lady Thismet.

- Tak, oczywiście. Thismet.

Nie można było o niej nie wspominać, choćby nie wiem jak chciało

się o niej zapomnieć. Prestimion nie potrafił mówić o dziewczynie, ale nie znikła ona z jego myśli.

- Wiem, jak bardzo cię to boli - powiedział cicho Septach Melayn.

- Rozumiem. Czas cię uleczy, Prestimionie.

- Uleczy? A czy potrafi?

Umilkli obaj. Prestimion samym spojrzeniem dał do zrozumienia, że nie życzy sobie rozmawiać na ten temat, więc przez długą chwilę milczeli.

- Przecież wiesz jak bardzo się cieszę, że zostałem Koronalem. - Prestimion przerwał ciszę, gdy stała się tak ciężka, że aż nie do zniesienia. - Oczywiście, że tak. Moim przeznaczeniem było zasiąść na tronie. Do tego ukształtowała mnie Bogini. Tylko... czy to naprawdę musiało kosztować tyle krwi? Musiało być właśnie tak? Tyle krwi plami tron, na który wstępuję.

- Kto wie, co musi być i jak? Stało się to, co się stało, nic więcej. Bogini zdecydowała o biegu zdarzeń, a my stawiliśmy mu czoło: ty i ja, i Gialaurys, i Svor. Świat znów jest całością. Wojna minęła, nikt jej nie pamięta i to jest nasze dzieło. Oprócz nas nikt żyjący nie wie, że w ogóle była. Dlaczego mamy grzebać w tym, co nie istnieje i to właśnie dziś? Właśnie dziś?

- Może to kwestia poczucia winy? Może należy czuć się winnym wstąpienia na tron po trupach tak wielu wspaniałych ludzi?

- Winy? O jakiej winie mówisz? Winę za wojnę ponosi ten dureń Korsibar! Zbuntował się przeciw prawu, przeciw obyczajowi! Zawłaszczył władzę i tron! Jak możesz mówić o winie, skoro on i

tylko on...

- Nie. Nie wiem jak to możliwe, ale wszyscy musimy być winni przekleństwu, które spadło na świat...

Zdumienie znów rozszerzyło bladoniebieskie oczy Septacha Melayna.

- Co to za jakieś mistyczne nonsensy? Tak poważnie mówisz o przekleństwach, przyjmujesz na siebie winę za wojnę... choćby odrobinę winy! A przecież zaledwie wczoraj Prestimion, którego znam, był racjonalnym człowiekiem! Nie mówiłby takich bredni, nawet gdyby uważał je za żart. Nie powstałyby mu w głowie! Posłuchaj mnie bardzo uważnie. To Korsibar wywołał wojnę, rozumiesz? Korsibar, Korsibar, Korsibar! Wina leży po jego stronie. Jego i nikogo innego. A co się stało, to się nie odstanie, zostałeś nowym królem Majipooru, na świecie wreszcie wszystko jest w porządku.

- Rzeczywiście. Wreszcie wszystko jest w porządku. - Prestimion uśmiechnął się. - Wybacz mi ten nagły atak niewytłumaczalnej melancholii, stary przyjacielu. Na ucztę zobaczysz mnie znacznie szczęśliwszym, mogę ci to obiecać. - Przespacerował się po sali, poklepując zamknięte jeszcze skrzynie. - Ale w tej chwili, Septachu... te mnóstwo darów, ten magazyn wszystkiego... nie masz pojęcia, jak mnie to przygniata. Dary, Septachu, przygniatają mnie niczym ciężar całego świata. - Skrzywił się przeraźliwie. - Powinienem kazać wynieść je stąd wszystkie i spalić.

- Prestimionie... - Melayn nie dokończył, ale w jego głosie brzmiał wyraźny ton ostrzeżenia.

- No właśnie. Jeszcze raz przepraszam. Jakoś za łatwo popadam dziś w płaczliwy ton.

- Trudno się z tobą nie zgodzić, panie.

- Chyba powinienem być wdzięczny za prezenty, bo co to za powód do niepokoju? Dobrze, sprawdźmy teraz, czy są w stanie mnie rozerwać. Bo w tej chwili najbardziej brakuje mi odrobiny rozrywki.

Z tymi słowy Prestimion odwrócił się i odszedł. Znów wędrował korytarzami wśród pudeł, skrzyń i pakunków, zaglądając do tych, które zdążono otworzyć. Piękna kula. Wielobarwna szarfa o bezustannie zmieniających się odcieniach. Kwiat z cennego brązu; spomiędzy jego płatków dobywała się cicha, przepiękna muzyka. Ptak wyrzeźbiony w cynobrowym kamieniu, obracający główkę, przyglądający mu się z oburzeniem. Kocioł kształtu muszli z czerwonego jadeitu, gładki jak aksamit, ciepły w dotknięciu.

- Popatrz - powiedział, odkrywając berło z kości smoka morskiego, zdobione nieprawdopodobnie precyzyjnym filigranem - dar z Piliplok. Widzisz, jak sprytnie otoczyli wzór linią...

- Powinniśmy już iść - przerwał mu bezceremonialnie Septach Melayn. - Te wszystkie cuda mogą czekać, Prestimionie. Musisz przebrać się na ucztę.

Rzeczywiście. Co racja, to racja. Izolowanie się, zniknięcie, samotność, to nie był najlepszy pomysł. Prestimion doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że powinien otrząsnąć się z jakże nietypowego dla siebie ataku smutku i poczucia samotności, rządzącego nim przez kilka ostatnich godzin. Pozbyć się ich, tak jak zsuwa się z ramion

płaszcz. Musi przecież pokazać dziś ucztującym twarz rozpromienioną satysfakcją, twarz człowieka spełnionego, jak przystoi nowemu Koronalowi.

Tak. Musi to zrobić i zrobi.

Prestimion i Septach Melayn razem wyszli z Sali Hendighaila. Dwaj wielcy, sękaci Skandarowie, stojący przed nią na warcie, pozdrowili Koronała powtarzanym entuzjastycznie znakiem gwiazd. Na ich salut Prestimion odpowiedział skinieniem głowy i uniesieniem ręki, Septachowi zaś polecił obdarzyć każdego srebrną monetą. Lecz podczas wędrówki krętymi korytarzami północnego skrzydła, po których hulały przeciągi, znów ogarnęło go przygnębienie. Odzyskanie pewności siebie i swobody zachowania okazało się zadaniem trudniejszym, niż przypuszczał. Nie potrafił zrzucić okrywającego go ciemnego całunu.

Powinien zasiąść na tronie Koronała bez żadnych problemów. Nikt nie miał wątpliwości, że jest wybrańcem poprzednika, Lorda Confalume'a. Wydawało się, że wszyscy akceptują prosty fakt: to on założy koronę natychmiast po śmierci starego Pontifexa Prankipina, gdy Confalume przeniesie się do Labiryntu, zajmując pozycję starszego władcy Majipooru. Ale kiedy Prankipin wreszcie umarł, władzę przejął Korsibar, równie przystojny co głupi syn Confalume'a, którego do tego czynu namówiła banda zepsutych, groźnych przyjaciół i równie jak oni groźny mag. Dziedziczenie tronu przez syna po ojcu uważane było za bezprawne, na Majipoorze wybuchła więc wojna domowa. Zakończyła się ona powrotem władzy w ręce legalnego następcy.

Tylko te bezsensowne zniszczenia... ofiary... straszna rana na długiej, pokojowej historii Majipooru...

Prestimion zaleczył tę ranę, a przynajmniej taką miał nadzieję. Na jego rozkaz zespół magów dokonał radykalnego aktu wymazania wojny z pamięci mieszkańców Majipooru. Wszystkich, z drobnym wyjątkiem własnej osoby oraz dwóch oddanych przyjaciół, towarzyszy broni: Gialaurysa i Septacha Melayna.

Pozostała jednak rana, która nie miała się i nie mogła się zaleczyć. Prestimion odniósł ją w decydującym momencie ostatniej, decydującej bitwy, ranę wprost w serce: zamordowanie bliźniaczej siostry Korsibara, lady Thismet, jego wielkiej, jedynej miłości. Thismet zginęła z ręki czarodzieja Sanibaka-Thastimoona, magia nie była w stanie przywrócić jej do życia, inna kobieta nie była w stanie jej zastąpić i tam, gdzie była miłość, pozostała pustka. Czym będzie dla ciebie tron, jeśli po drodze do tronu stracisz kogoś, na kim zależy ci najbardziej?

Przyjaciele wyszli na dziedziniec przed Wieżą Lorda Thrayma, w której większość współczesnych Koronałów miała swe prywatne apartamenty. Septach Melayn przystanął.

- Czy mogę cię tu zostawić, Prestimionie? - spytał. - Czy może wolisz, żebym pozostał przy tobie, gdy będziesz się przygotowywał do uczty?

- Ty też musisz się przebrać, Septachu. Idź. Nic mi nie będzie.

- Czy na pewno, panie?

- Na pewno. Daję ci na to moje słowo.

*

Prestimion wszedł do wieży. Reprezentacyjne apartamenty, będące jego oficjalną rezydencją, nie zostały jeszcze urządzone. Lord Confalume, obecnie już Pontifex Confalume, kazał przewieźć swą niezwyklej kolekcję kuriozów i cudów świata do swego nowego mieszkania w trzewiach Labiryntu. Podczas krótkiego panowania samozwańczy Koronał Korsibar urządził ją wedle swego gustu, mnóstwem najzwyklejszych, ordynarnych przedmiotów, wulgarnych i nachalnie bogatych, absolutnie nieinteresujących, lecz ten sam akt magii, który wyparł okres jego rządów z pamięci świata doprowadził do zniknięcia wszystkiego, co było z nim związane. Korsibar przestał istnieć. Wymazano go wstecznie z grona żyjących kiedykolwiek. Prestimion zamierzał we właściwym czasie nakazać przetransportowanie do Zamku rzeczy osobistych z rodzinnej rezydencji w Muldemar, ale na razie nie miał wolnej chwili, by o tym pomyśleć, więc poprzestał na tych kilku meblach, które dało się przenieść z jego znacznie skromniejszego mieszkania we wschodnim skrzydle Zamku, gdzie zwykli byli zatrzymywać się arystokraci i książęta królestwa.

Nilgir Sumanand, siwobrody człowiek, który od wielu lat pełnił rolę sekretarza Prestimiona, czekał na niego nie kryjąc zniecierpliwienia.

- Panie, ucza koronacyjna...

- Tak, oczywiście. Wykąpię się szybko, a jeśli chodzi o strój, to zapewne już go przygotowałeś, czyż nie? Zielony aksamitny

biesiadny, złota pelerynka spięta broszą, tą samą co dziś po południu, lżejsza korona zamiast ciężkiej, formalnej.

- Wszystko już przygotowane, panie.

Aż do sali bankietowej Prestimionowi towarzyszyła ceremonialna gwardia, prowadzona przez dwóch najdostojniejszych i najwyższych rangą dworzan: diuka Oljebbina ze Stoienzar i odchodzącego Najwyższego Doradcę i niezmiernie bogatego księcia Serithorna z Samivole. O krok za nimi szedł pompatyczny książę Ginivaul z Bombifale, Wielki Admirał Majipooru. Ci trzej swymi niemałymi przecież wpływami wsparli Korsibara, uczestniczyli w wojnie po jego stronie, ale nie byli już tego świadomi, a wstępujący na tron Koronal uznał, że będzie dla niego lepiej, jeśli zapomni o nielojalności, o której przecież nie sposób już było mówić i potraktuje ich z szacunkiem, na jaki zasługiwali z racji zajmowanej pozycji i wpływów, którymi ciągle dysponowali.

Miejsca po prawej i lewej ręce Prestimiona zajmowali Septach Melayn oraz potężnie zbudowany, wielki jak góra wojownik Gialaurys. Pochód zamykali jego dwaj młodsi bracia: młody, porywczy Teotas i wysoki, gwałtowny Abrigant. Równie mądry co sprytny trzeci z braci, Taradath, zginął podczas wojny, w bitwie w Dolinie Iyann, będącej najdotkliwszą porażką Prestimiona. Korsibar nakazał wówczas przerwanie tamy Mavestoi, topiąc tysiące żołnierzy przeciwnika.

Uczta koronacyjna miała odbyć się w Wielkiej Sali Świątecznej w skrzydle Tharamonda, większej nawet od Sali Hendighaila i znacznie

lepiej ulokowanej. Jednak nawet tak ogromne pomieszczenie nie było w stanie pomieścić wszystkich zaproszonych gości, wszystkich książąt, diuków i hrabiów, burmistrzów setek miast oraz różnorodnej arystokracji samego Zamku, spadkobierców dziesiątków Koronali i Pontifexów z dawnych czasów. Ale Lord Tharamond, jeden z najsprytniejszych spośród wielu władców - budowniczych, którzy odcisnęli swój ślad na architekturze Zamku, opracował projekt w ten sposób, że sala jego imienia łączyła się z szeregiem innych, pięciu, ośmiu, może nawet dziesięciu. Po otwarciu masywnych drzwi otrzymywało się jedną wieloczęlonową komnatę o rozmiarze odpowiadającym wielkości Majipooru. Tam też usadzono zaproszonych zgodnie z dokładnie opracowanymi kryteriami, uwzględniającymi rangę i wymagania protokołu.

Prestimion nie przepadał za wydarzeniami tej skali. Wolał prostotę, był człowiekiem bezpretensjonalnym, praktycznym i skutecznym w działaniu. Niemniej uznawał konieczność stosowania się do obowiązujących zasad. Świat oczekiwał po nim wspaniałych uroczystości koronacyjnych, miał więc je otrzymać: formalną ceremonię przejęcia władzy po południu, a wieczorem ucztę, zaś jutro mowę do zgromadzonych na Zamku przywódców prowincji, pojutrze igrzyska: turniej, zapasy, zawody łucznicze i co tam jeszcze. Na tym, na szczęście, skończy się zabawa, zaś zacznie męczący proces rządzenia światem nie mającym sobie równego pod względem wielkości.

Uczta wydawała się trwać dziesięć tysięcy lat.

Prestimion przede wszystkim przywitał starego Confalume'a, objął go, zaprowadził na specjalne, honorowe miejsce na podwyższeniu. Confalume nadal był mężczyzną twardym i silnym, mimo iż wkroczył w ósmy dziesiątek lat, ale już nie tak żywotnym i energicznym jak bohaterski Confalume z dawnych czasów. W wojnie domowej stracił syna i córkę. Nie wiedział o tym, oczywiście, nie wiedział nawet, że miał dzieci, ale spojrzenie jego tak często ostatnio zaćmionych oczu bardzo wyraźnie mówiło, że w jego duszy powstała próżnia.

Czy podejrzewa prawdę? - zastanawiał się Prestimion. Czy ktokolwiek podejrzewa, jak było naprawdę? Czy żyje na świecie ktoś, obojętne kto, wielki pan lub skromny farmer, kto kiedyś, przypadkiem, trafił na twarde grunto ukrytej przed nim rzeczywistości i przystanął, marszcząc brwi ze zdumienia? Nawet jeśli tak, jego wiedza pozostała ukryta. Nie ujrzała światła dziennego. Zapewne nigdy go nie ujrzy. Bo nawet jeśli magia, która odmieniła historię Majipooru, zawiodła w jakichś nielicznych, indywidualnych przypadkach, prawda była czymś, czego - podejrzewał Prestimion - nikt nie ujawniłby chętnie, by nie zostać uznanym za szaleńca.

W każdym razie taką miał nadzieję.

Kolejne honorowe miejsce za długim, wyniesionym stołem zajmowała matka Prestimiona, pełna życia i radości lady Therissa. Jej syn został Koronalem, ona sama miała więc wkrótce objąć przynależny jej tytuł Pani Wyspy Snu, wraz z kontrolą nad maszynami ofiarującymi śpiącym obywatelom Majipooru przewodnictwo i ukojenie. Obok niej zasiadała budząca instynktowny

szacunek, wspaniała lady Kunikarda, siostra Confalume'a, do tej chwili pełniąca urząd Pani, a teraz odchodząca z funkcji. Kolejne miejsca zajęli wielcy panowie, członkowie Rady, wśród nich Septach Melayn i Gialaurys. Ostatnie należały do wielkiego maga Gominika Halvora z Triggoin i jego syna, także czarodzieja, Heszmona Gorse, uśmiechającego się teraz do obejmującego urząd Koronala wszystkowiedzącym uśmiechem. Prestimion znał ten uśmiech, wiedział co on oznacza: ci dwaj mieli na niego wielki wpływ, bo chociaż lekcewał czaroksięstwo i różne ezoteryczne fenomeny, nie mógł zaprzeczyć, że zdolności ojca i syna odegrały niemałą rolę w umożliwieniu mu przejęcia władzy.

Podchodził do każdego z nich po kolei, witając wybitnych gości na uczcie na swą cześć. Po czym zajął należne sobie miejsce. Wówczas, nim podano do stołów, pomniejsi panowie złożyli mu pokłon. Składali władcy gratulacje, zapewniając, że oto rozpoczyna się nowa wspaniała era...

Nareszcie rozpoczęła się właściwa ceremonia. Dźwięki dzwonów. Modły i zaklęcia. Niekończące się toasty. Prestimion zaledwie maczał usta w kielichu uważając, by nikomu nie uchybić, a jednak świadom, że w tak męczącym dniu łatwo jest wypić za wiele.

W końcu na stołach pojawiły się dania, procesja smakołyków z każdego, nawet najdalszego zakątka świata, przygotowanych pod nadzorem naj słynniejszego kucharza. Prestimion próbował po odrobinie wszystkiego. Potem przyszedł czas na recytacje poezji: dźwięcznych wersów wielkiego poematu epickiego Furvaina, „Księgi

zmian", opowieści o niemal już mitycznej historii podbicia tubylców, Zmiennokształtnych, przez Lorda Stiamota, „Księgi mocy” i „Szczytów Zamkowej Góry”, i innych historycznych sag o Pontifexach i Koronalach sprzed stuleci. A także na śpiewy. Tysiące głosów wzniosło się w chórach starożytnych hymnów. Prestimion zachichotał słysząc wśród nich szorstki, ochrypły bas Gialaurysa.

Działo się więcej, o wiele więcej: stare rytuały, opisane w butwiejących księgach. Ceremonialne wystawienie tarczy Koronala ze znakiem gwiazd w postaci lśniącego srebrem punktu z rozchodzącymi się od niego promieniami ze złota, na której Prestimion równie ceremonialnie złożył dłonie. Confalume wstający i obdarzający następcę nużąco długim, nieskładnym błogosławieństwem, a następnie przytulający go do piersi. To samo w wykonaniu lady Kunigardy. Księżniczka Therissa przyjmująca od niej obręcz Pani Wyspy. I tak dalej, i tak dalej, pozornie bez końca. Prestimion znosił to cierpliwie, choć nie czuł się bynajmniej swobodnie.

Ku swemu wielkiemu zdziwieniu odkrył jednak, że w ciągu tego długiego, męczącego wieczora w którymś momencie spadł mu z serca ołowiany ciężar, że znikło gdzieś ponure przygnębienie, które zawładnęło nim wcześniej. Choć w tej chwili, gdy uczta dobiegała końca, był bardzo zmęczony, znów potrafił się cieszyć. A nawet więcej niż cieszyć: ku swemu zaskoczeniu poczuł się wreszcie prawdziwym królem. Nie znał tego uczucia.

Dziś zdarzyło się coś wielkiego, najważniejszego: jego imię znalazło się jako ostatnie w długim spisie Koronarów Majipooru, choć

doszedł do tronu trudną drogą.

Korona Majipooru! Władca najcudowniejszej planety w całym wszechświecie!

Prestimion wiedział, że będzie dobrym Koronalem, oświeconym Koronalem, Koronalem, którego ludzie będą chwalić, którego będą kochać. Dokona wielkich dzieł, pozostawi Majipoor lepszym miejscem. Urodził się, by tego właśnie dokonać.

Tak. Właśnie tak. A więc wszystko jest jak być powinno w tym wspaniałym dniu, mimo ponurego nastroju, który opanował go i rządził nim zaledwie kilka godzin temu.

Septach Melayn zauważył zmianę, jaka się w nim dokonała. Podczas chwili przerwy, gdy akurat nic się nie działo, pojawił się przy boku przyjaciela.

- Rozpacz, o której wspominałeś jakiś czas temu, w Sali Hendighaila, opuściła cię, prawda, Prestimionie?

- Nie rozmawialiśmy dziś w Sali Hendighaila, Septachu Melaynie - odparł Prestimion bez wahania.

Było w jego głosie coś, czego wcześniej w nim brakowało: siła i surowość; on sam zdziwił się, gdy usłyszał ich brzmienie, bo nie tego się spodziewał. Melayn także, oczy rozszerzyły mu się momentalnie, usta zacisnęły z zaskoczenia. Odetchnął głęboko, a potem skłonił głowę w formalnym geście poddania i powiedział:

- Oczywiście, panie. Nie rozmawialiśmy dziś w Sali Hendighaila.

Zasalutował gestem gwiazd. Wrócił na miejsce.

Prestimion gestem polecił napełnić stojący przed nim kielich.

Czy bycie królem oznacza właśnie to? - spytał sam siebie. Oznacza manifestowanie chłodu wobec najdroższych przyjaciół, gdy wymaga tego sytuacja? Czy władca może pozwolić sobie na to, by w ogóle mieć przyjaciół? Cóż, dowie się tego w ciągu najbliższych kilku tygodni.

Radość uczujących sięgnęła szczytu. Goście stali z rękami wzniesionymi w geście gwiazd.

- Prestimion! Lord Prestimion! - krzyczeli. - Niech będzie pozdrowiony Lord Prestimion. Niech żyje!

Na tym skończyła się formalna część uczy. Przyszła pora formowania się mniejszych, nieformalnych grup, związanych rangą, wzajemnymi upodobaniami, przyjaźnią. A potem, długo potem, niemal o świcie, nowo namaszczony Koronał Majipooru mógł udać się na spoczynek, mógł nie gwałcąc ogłosić koniec zabawy i odejść do swych apartamentów, do sypialni.

Pustych apartamentów. Pustej sypialni.

Thismet - pomyślał śmiertelnie zmordowany, bezwładnie padając na łóżko. Mimo wielkiej i uzasadnionej radości z osiągnięcia najwyższego celu nie przestał odczuwać bólu tej straty. Ja jestem królem świata, a ty gdzie jesteś? Gdzie jesteś?

W wielkim mieście Stee, leżącym na zboczu Góry, lecz daleko od jej szczytu, w domu niezmiernie bogatego kupca i bankiera, Simbilona Khayfa, pojawiły się kłopoty. Pokojówka piątego piętra jego domu dostała nagłego ataku szaleństwa i rzuciła się z okna strychu przebogatego bankierskiego domu, zabijając nie tylko siebie, lecz także dwoje ludzi, przechodzących przypadkiem ulicą. Simbilona Khayfa nie było akurat w domu, przebywał na Zamku, uczestnicząc w uroczystościach koronacyjnych Lorda Prestimiona jako gość hrabiego Fisiolo ze Stee. Z okropną tragedią i jej konsekwencjami musiała poradzić sobie jego jedyna córka, imieniem Varaile.

Varaile, dziewczyna wysoka, szczupła, o ciemnych oczach i czarnych jak noc włosach, opadających kaskadą na plecy, miała zaledwie dziewiętnaście lat. Wcześniej straciła matkę, stała się więc panią domu będąc jeszcze dziewczynką, a że nie była to sprawa błaha, dojrzała wcześniej niż jej rówieśniczki. Gdy do jej uszu dotarły dziwne, dobiegające z ulicy dźwięki: groźny trzask i łomot, w chwilę później drugi, cichszy, a potem krzyk i przenikliwe wrzaski, szybko podeszła do okna swego gabinetu na czwartym piętrze. Jednym rzutem oka ogarnęła przygnębiającą scenę, ciała i krew, gromadzący się, podniecony tłum. Wyszła na schody. Służący podbiegli do niej chlapiąc, gestykulując, gadając jeden przez drugiego:

- Pani... pani... to Klaristen! Skoczyła przez okno, pani! Skoczyła z

samej góry!

Varaile chłodno skinęła głową. Przeżyła wstrząs, była przerażona, czuła mdłości, ale nie ośmieliła się niczego po sobie pokazać. Zwróciła się do Vorthida, pełniącego funkcję ochmistrza.

- Wezwijcie straż imperialną - powiedziała spokojnie. - Bez zwłoki.

Piwnicznemu, Kresshinowi, nakazała pobiec po doktora Tharka i zwróciła się do bardzo silnego, potężnie zbudowanego masztalerza, Bettarila.

- Muszę wyjść z domu, zająć się rannymi - wyjaśniła. - Znajdź jakąś pałkę i chodź ze mną. Zapewnisz mi bezpieczeństwo na wypadek, gdyby tłum zaczął się burzyć. A najprawdopodobniej zacznie.

*

Ze wszystkich Pięćdziesięciu Miast Zamkowej Góry Stee było niewątpliwie najświetniejsze i najlepiej prosperujące, a Simbilon Khayf był jednym z najświetniejszych i najlepiej prosperujących jego obywateli. Tym dziwniejsze wydawało się, że nieszczęście uderzyło właśnie w niego. Bardzo wielu zazdrosnych obywateli miasta żywiących urazę do Simbilona Khayfa za to, że zaczynając w najciemniejszych zaułkach miasta w tak niezwykły sposób doszedł do bogactwa i wpływów, cieszyło się z kłopotów, w jakie wpadł na skutek szaleńczego postępuku pokojówki z piątego piętra. Bowiem Stee, choć niewątpliwie stare, traktowane było przez sąsiadów z Góry jako miasto parweniuszowskie i nowobogackie, a jego najbogatszy

obywatel był bez żadnych, najmniejszych wątpliwości, nowobogackim parweniuszem.

Pięćdziesiąt wspaniałych miast, wybudowanych na skalistych zboczach nieprawdopodobnej Góry, wznoszącej się na oszałamiającą wysokość niemal osiemdziesięciu kilometrów ponad nizinę Alhanroelu, tworzyło pięć wyraźnie od siebie oddzielonych obręczy, obejmujących ją na różnych wysokościach. Najniżej położone były Miasta Zbocza, powyżej nich znajdowały się Wolne Miasta i dalej, licząc od dołu do góry stały Miasta Strażnicze, Miasta Wewnętrzne i wreszcie, tuż pod szczytem, dziewięć Miast Wysokich. Spośród wszystkich pięćdziesięciu najlepszą opinię o sobie mieli obywatele tych ostatnich, mieszkający niemal u progu samego Zamku.

To te, najbliższe i bogate, najchętniej odwiedzała wspaniała arystokracja Zamku, panie i panowie wywodzący swe rodziny od Koronałów i Pontifexów z przeszłości, mogący mieć nadzieję, że kiedyś sami sięgną po najwyższe z tytułów. Ale ruch odbywał się nie tylko w dół, z Zamku do najbliższych miast takich jak Morpin Wysokie, Sipermit czy Frangior, oferujących wyrafinowane przyjemności bogatym, lecz także w górę, z miast do Zamku. Septach Melayn pochodził z Tidias, Prestimion z Muldemar. Z tego powodu obywatele Miast Wysokich zwykli byli zadzierać nosa, uważać się za nieprzeciętnych, wyjątkowych, bowiem nie tylko zdarzyło się im mieszkać niemal w niebie, wysoko ponad resztą Majipooru, lecz także ocierać się na co dzień o wielkich i wspaniałych, arystokratycznych mieszkańców Zamku.

Stee leżało jednak o poziom niżej, należało do miast zwanych Wolnymi. Było ich dziewięć, rzeczywiście starych, liczących sobie co najmniej siedem tysięcy lat, pochodzących z czasów, gdy planetą rządził Lord Stiamot, a najprawdopodobniej były jeszcze starsze. Nikt nie wiedział, od czego miały być wolne; najprawdopodobniejsze wydawało się preferowane przez uczonych tłumaczenie, że Lord Stiamot, w zamian za wyświadczone usługi, zwolnił je z części płaconych w jego czasach podatków. On sam pochodził właśnie ze Stee i to Stee było stolicą Majipooru do czasu, gdy zdecydował się wybudować zamek na samym szczycie i tam przenieść administracyjne centrum planety.

W odróżnieniu od większości z Pięćdziesięciu Miast, lokowanych w różnych zagłębieniach i niszach zboczy kolosalnej Góry, Stee ufundowano na łagodnie wznoszącym się, rozległym płaskowyżu jej północnej części, dając mu w ten sposób szansę urbanistycznej ekspansji. Wykorzystała ją, z oryginalnej lokalizacji na obu brzegach rzeki, od której wzięło nazwę, rozrosło się niepowstrzymanie we wszystkich kierunkach, osiągając w czasach Prestimiona liczbę dwudziestu pięciu milionów mieszkańców. Pod tym względem wyprzedzało je tylko wspaniałe Ni-moya na Zimroelu, a jeśli chodzi o bogactwo i wspaniałość, nawet Ni-moya musiało mu ustąpić.

Wielkość i szczęśliwa lokalizacja czyniły ze Stee prosperujące centrum finansowe; do tego stopnia, że mieszkańcy innych miast uważali tutejszych baronów produkcji i handlu za więcej niż odrobinę wulgarnych. Dzielnicę handlową stanowiły wspaniałe, wysokie

budynki o fasadach wyłożonych odbijającymi światło płytami szaroróżowego marmuru, znane pod nazwą Rzecznej Ściany, ciągnące się milami wzdłuż obu brzegów rzeki Stee. Za zasłoną tej bliźniaczej ściany biur i magazynów stały pracujące pełną parą fabryki przemysłowej dzielnicy miasta na lewym brzegu i pałace finansowej arystokracji na prawym. Za pałacami położone były wielkie posiadłości wiejskie, parki i rezerваты, z których miasto słynęło na cały świat, a po lewej, za fabrykami, wybudowano skromne domy milionów robotników, z których pracy wziął się dobrobyt miasta, stały i rosnący niezmiennie od legendarnych dziś już czasów Lorda Stiamota.

Simbilon Khayf był kiedyś jednym z tych robotników, ale zaczął swą karierę od pozycji znacznie niższej, bo ulicznego żebraka. Od tego czasu minęło jednak czterdzieści, a może nawet pięćdziesiąt lat. Szczęście, spryt i ambicja zapewniły mu szybki awans aż do wyjątkowej pozycji, którą zajmował obecnie. Bo dziś bawił się w towarzystwie hrabiów, diuków i innych wielkich tego świata, udających, że jest im równy, bowiem doskonale wiedzieli, że pewnego dnia mogą stanąć wobec konieczności skorzystania z jego usług finansowych. W swym domu przyjmował arystokratów i piastujących wysokie urzędy obywateli innych miast, jeśli interesy przywiodły ich do Stee, a w chwili, gdy nieszczęsna pokojówka Klaristen rzucała się w objęcia śmierci, uczestniczył w wielkim święcie koronacyjnym Lorda Prestimiona.

A tymczasem jego córka Varaile klęczała w kałuży krwi na ulicy

przed wielkim domem, patrząc na groteskowo zniekształcone, zmiażdżone ciała, a wrogim tłum rósł i otaczał ją coraz ciasniejszym kręgiem. Pomruk niezadowolenia też stawał się coraz głośniejszy.

Varaile przede wszystkim zainteresowała się pechowymi przechodniami. Byli to mężczyzna i kobieta, oboje dobrze ubrani i niewątpliwie zamożni. Nie potrafiła ich zidentyfikować. Zauważyła pusty ścigacz, zaparkowany na trawniku po przeciwnej stronie ulicy. Turyści, pragnący obejrzeć wielki dom wielkiego Simbilona Khayfa często zostawiali tam swe pojazdy, więc być może i ci ludzie przyjechali do miasta dla rozrywki i stali na brukowanym placu przy zachodnim skrzydle podziwiając zdobiące fasadę piękne rzeźby z wapienia, kiedy z góry spadło na nich ciało nieszczęsnej pokojówki Klaristen.

A teraz oboje nie żyli, co do tego Varaile nie miała wątpliwości. Nigdy nie widziała trupa, ale teraz, klęcząc i patrząc w nieruchome, ślepe oczy wyczuwała, że za ich szklanym wzrokiem nie kryje się już nawet isierka życia. Głowy odrzucone mieli pod nieprawdopodobnym kątem; Klaristen musiała spaść wprost na nich i skrócić im karki. Szybka śmierć; można by powiedzieć, że to rodzaj błogosławieństwa - pomyślała dziewczyna - ale śmierć to śmierć. Powstrzymała falę instynktownego strachu. Poruszyła dłońmi w drobnym geście modlitwy.

- Klaristen jeszcze oddycha, pani - zawołał masztalerz Bettaril. - Ale to już niedługo...

Pokojówka musiała odbić się od dwójki turystów. Wylądowała na

chodniku w odległości kilkunastu stóp od nich. Upewniwszy się, że nie może nic zrobić dla ofiar Varaile podeszła do niej, ignorując nieprzyjazne spojrzenia gapiów. Zachowywali się tak, jakby uważali ją za sprawczynię tragedii, jakby sądzili, że w ataku urażonej dumy osobiście wyrzuciła służącą przez okno.

Oczy Klaristen były otwarte i było w nich życie, ale już nie świadomość. Żrenice nie poruszały się i dopiero gdy Varaile przesunęła nad nimi ręką, drgnęły, co wskazywało, że mózg nadal pracuje, choć pokojówka umiera.

- Klaristen? - powiedziała cicho. - Czy mnie słyszysz?

- Ona nas opuszcza, pani. - Bettaril mówił równie cicho.

Varaile widziała, jak zmienia się wyraz oczu biedaczki, jak znika z nich ostatni ślad świadomości, jak nieruchomieją. A potem zmienił się sam ich wygląd, stały się dziwnie płaskie, nakrapiane, jakby władanie nad nimi już objęły zaledwie obudzone siły rozkładu. Niezwykły to był widok, to przejście z życia do śmierci.

Zdumiało ją, że w tej strasznej chwili jest w stanie chłodno myśleć, analizować rzeczywistość.

Biedna Klaristen. Varaile nie знаła jej wieku, ale nie miała pewnie więcej niż szesnaście lat. Dobra, prosta dziewczyna z jednego z prowincjonalnych dystryktów miasta, przylegającego do Pola Wielkich Kości, nazwanego tak dlatego, że znaleziono tam w ziemi skamieniałe szkielety prehistorycznych potworów. Co mogło stać się takiego, że odebrała sobie życie? W ten sposób?

- Jest lekarz! - krzyknął ktoś. - Przepuście lekarza! Zróbcie mu

przejdzie!

Ale lekarz mógł tylko bez wahania potwierdzić diagnozę Varaile: nic się nie da zrobić. Trzy osoby nie żyły.

Potęźnie zbudowany mężczyzna o donośnym, ochrypłym głosie zawołał, by sprowadzić maga, maga zdolnego wielkim czarem wskrzesić z martwych. Varaile spojrzała na niego gniewnie. Ci prości ludzie z ich wiarą w czary i czarodziejów! Jakże to zawstydzające, jakże irytujące! Ona sama i ojciec też zatrudniali magów i wróżbitów, w końcu jak inaczej uniknąć nieprzyjemnych niespodzianek niesionych przez życie, ale nienawidziła współczesnej łatwowierności, coraz popularniejszego przekonania o wszechwładzy nadprzyrodzonych sił. Dobry wieszcz potrafi być użyteczny, owszem, ale przecież nie przywróci nikomu życia! Najlepsi z nich potrafili odczytać strzępy przyszłości, cuda nie należały do ich arsenału.

A skoro już przy tym jesteśmy - pomyślała Varaile - dlaczego nasz domowy mag, Vyethorn Kamman, nie ostrzegł przed nieszczęściem, sprokurowanym nam przez nieszczęsną pokojówkę?

- Lady Varaile? - powiedział głos, którego przedtem nie słyszała. - Straż imperialna, pani.

Pojawili się mężczyźni w mundurach, szarych w czarne pasy. Pokazali jej odznaki z symbolem Pontifexa. Zachowywali się nienagannie, z szacunkiem. Potrafili ocenić sytuację na pierwszy rzut oka: ciała i krew na bruku. Odsunęli tłum. Spytała, czy ojciec jest w domu. Powiedziała im, że jako gość hrabiego Fisiolo uczestniczy w koronacji Lorda Prestimiona, co tylko pogłębiło ich szacunek. Czy

znała ofiary? Tylko jedną - powiedziała dziewczyna - O tę. Pokojówka. Wyskoczyła z okna, prawda? Tak, najwyraźniej - przytaknęła. A czy nie cierpiała przypadkiem na jakieś zaburzenia emocjonalne, pani? Nie - zaprzeczyła Varaile. Nic o tym nie wiem.

Ale tak naprawdę, co mogła wiedzieć o problemach emocjonalnych pokojówki z czwartego piętra? Widywała ją nieczęsto, rzadko wymieniały kilka słów, częściej za ledwie skinienie, uśmiech. Dzień dobry, Klaristen, piękny mamy dzień. Tak, Klaristen, wyślę kogoś na najwyższe piętro, żeby naprawił umywalkę. Nigdy ze sobą nie rozmawiały, przynajmniej tak, jak Varaile rozumiała określenie „rozmowa”. Bo i dlaczego miałyby rozmawiać?

Szybko okazało się jednak, że od pewnego czasu z pokojówką działo się coś złego. Zespół straży, po zbadaniu miejsca wypadku, wszedł do domu i rozpoczął przesłuchania służby. Prawda wyszła na jaw niemal natychmiast.

- Jakież trzy tygodnie temu zaczęła budzić się z płaczem - powiedziała tęga, wesoła Thanna, pokojówka z trzeciego piętra. Dzielila z Klaristen pokój w kwaterach służby. - Szlochała, krzyczała, poważnie to wyglądało, ale kiedy pytałam, o co chodzi, nie potrafiła powiedzieć. Nawet nie wiedziała, że płacze, przynajmniej tak mówiła.

- A potem - zeznała Vardinna, pomoc kuchenna i najbliższa przyjaciółka Klaristen wśród służby - okazało się, że nie pamięta mojego imienia. Śmiałam się z niej, powiedziałam, jak mi na imię, a ona zbladła jak śmierć, bo nie pamiętała też swojego imienia. Myślałam, że żartuje, ale nie, wcale nie żartowała, mówiła poważnie.

Była przerażona. Nawet kiedy powiedziałam: „Jesteś Klaristen, ty głupia” to wcale się nie uspokoiła tylko powtarzała: „Jesteś pewna? Jesteś pewna?”.

- No a potem zaczęły się koszmary - mówiła dalej Thanna. - Siadała na łóżku, zaczynała krzyczeć, a ja włączałam światło. Wyglądała jak ktoś, kto właśnie zobaczył ducha. Raz wyskoczyła z łóżka, zerwała z siebie nocną koszulę, no i widziałam, że poci się dosłownie na całym ciele, jakby właśnie wyszła z kąpieli. Szczekała zębami tak, że słyhać ją było aż na ulicy. Przez cały tydzień miała naprawdę straszne koszmary. Właściwie nie pamiętała snów, mówiła tylko, że były okropne, ale jeden mi opowiedziała: wielki obrzydliwy robał usiadł jej na twarzy i zaczął wysysać mózg, aż głowa zrobiła się całkiem pusta. Powiedziałam, że to pewnie jakieś przesłanie, że powinna zobaczyć się z tłumaczką snów, ale takich jak my nie stać przecież na tłumaczki, a ona jeszcze powiedziała, że nie jest aż taka ważna, żeby dostawać przesłania. Nigdy nie widziałam nikogo, kto by tak bał się snów.

- Mnie też o tym mówiła - przytaknęła Vardinna. - A parę dni temu przyznała, że ma te koszmary nawet na jawie. Że zaczyna jej dudnić w środku głowy, a zaraz potem pojawiają się straszne obrazy, wprost przed oczami, nawet kiedy sprząta.

- Pani, czy nikt ci o tym nie mówił? - Strażnik zwrócił się bezpośrednio do Varaile.

- Nie.

- Jedna z twoich pokojówek przechodziła najwyraźniej coś, co

można chyba opisać jako załamanie nerwowe. Nie dostrzegłaś żadnych niepokojących oznak, pani?

- Nie. W normalnych okolicznościach rzadko ją widywałam - wyjaśniła dziewczyna chłodnym głosem. - Pracowała na piętrze dużego domu...

- Tak... no tak, oczywiście, pani. - Strażnik zmieszał się nagle, nawet wyglądał na przestraszonego, jakby za późno uświadomił sobie, że to, co powiedział wydaje się obciążać córkę samego Simbilona Khayfa częścią, choćby drobną, odpowiedzialności za wypadek.

Pojawił się kolejny strażnik.

- Ustaliliśmy tożsamość ofiar - zakomunikował. - Byli to goście z Canzilane, mąż i żona. Hebbidanto Throle z żoną Garelle. Zatrzymali się w Gospodzie Pod Ścianą. To drogi hotel, stać na niego tylko bardzo zamożnych. Obawiam się, że trzeba będzie zapłacić poważne odszkodowanie, pani. - Spojrzał przepaszająco na Varaile. - Ale dla pani ojca to oczywiście nie problem...

- Tak - przerwała mu dziewczyna niezbyt przytomnie. - Tak, oczywiście...

Canzilane! Ojciec miał tam fabryki, duże fabryki. Hebbidanto Throle... czy nie słyszała już tego nazwiska? Była prawie pewna, że tak. Pomyślała, że mógł on być jakimś zatrudnionym przez ojca dyrektorem, być może zarządzał nawet którąś z jego wielkich operacji. Wybrał się z żoną na wakacje, chciał jej pokazać zdumiewający, oszałamiający ogromem dom swego bajecznie bogatego pracodawcy i...

Przerażający przypadek. Co za smutny koniec podróży dla przyjemności!

Strażnicy skończyli wreszcie zadawać pytania. Zebrali się w kącie biblioteki i przed wyjściem coś jeszcze między sobą uzgadniali. Ciała zabrano już z ulicy, dwaj ogrodnicy splukiwali z chodnika krew. Varaile, ponuro zamyślona, zastanawiała się nad tym, co czeka ją w najbliższej przyszłości.

Po pierwsze, musi wezwać maga, by oczyścił dom z plamy, którą pozostawiło na nim samobójstwo. Bo samobójstwo to poważna sprawa, ściąga na gospodarstwo mrok i wszelakie zło. Po drugie, odszukać rodzinę Klaristen, przekazać jej wyrazy współczucia, informację, że koszta pogrzebu pracodawca bierze na siebie i że przekaże znaczny dar jako podziękowanie za jej nienaganną pracę. Po trzecie, skontaktować się z kimś z pracowników ojca w Canzilane, dowiedzieć się od niego, kim był Hebbidanto Throle i jego żona, jak można skontaktować się z ich bliskimi, jak wyrazić im współczucie w sposób najbardziej odpowiedni. Wypłata nawet znacznego odszkodowania to jedno, ale być może trzeba będzie wykonać jeszcze jakiś gest.

Same kłopoty. Nic, tylko kłopoty. A przecież już wcześniej goryczą napełniła ją konieczność pozostania w domu, podczas gdy ojciec wyjechał na koronację.

- W tym tygodniu za wielu tam będzie mężczyzn chętnych, żeby popić i poszaleć, młoda damo. To nie miejsce dla ciebie - orzekł Simbilon Khayf i był to koniec dyskusji. Varaile wiedziała

oczywiście, o co chodzi: on sam zamierzał popić i poszaleć, on i jego wielce arystokratyczny przyjaciel, wulgarny, nieustannie bluźniący hrabia Fisiolo, i wolał nie mieć przy boku córki. Niech i tak będzie; nikt, nawet jego jedyne dziecko, nie śmiał sprzeciwić się woli Simbilona Khayfa. Posłusznie została w domu i teraz pomyślała, że to wielkie szczęście dla rodziny; co by było, gdyby nie ona, przecież służący nie poradziliby sobie z taką odpowiedzialnością.

Tuż przed wyjściem szef straży powiedział do niej cicho:

- Pani, mieliśmy ostatnio kilka podobnych przypadków, choć żaden nie zakończył się aż tak źle. Szerzy się jakaś epidemia szaleństwa. Proszę uważać na służbę, może oszaleć ktoś jeszcze.

- Będę o tym pamiętać, funkcjonariuszu. - Varaile skrzywiła się. Perspektywa nadzorowania stanu umysłowego służby nie wydawała się szczególnie pociągająca.

Strażnicy wyszli. Dziewczyna poczuła narastający ból głowy. Mimo to przeszła do gabinetu przygotować się do tego, co musiało być zrobione. Musi wziąć sprawy w swoje ręce nim Simbilon Khayf powróci z Zamku.

Epidemia szaleństwa?

Dziwne. Przyszło jej żyć w niezwykłych czasach. Nawet ona doświadczała ostatnio dziwnych chwil depresji, a czasem nawet dezorientacji. Zapewne coś związanego z hormonami, tylko że tego rodzaju nastroje do tej pory nie były jej znane.

Posłała po Gawona Baria, zarządcę domu. Kazała mu natychmiast przygotować rytuał oczyszczający.

- Muszę mieć adres rodziców Klaristen - powiedziała stanowczo - a jeśli nie rodziców, to w każdym razie rodziny. A jeśli chodzi o tych biedaków z Canzilane...

I znów Zamek stał się sceną igrzysk koronacyjnych, po raz drugi w ciągu ostatnich trzech lat. Znów zabudowano trybunami trzy boki obszernego, słonecznego, porośniętego trawą pola znanego pod nazwą Łąki Vildivara, leżącej tuż przy dolnym krańcu Dziewięćdziesięciu Dziewięciu Stopni. I znowu najwyżsi rangą obywatele królestwa, Koronał oraz dwie pozostałe Potęgi, członkowie Rady, parowie, diukowie i książęta z setek prowincji zgromadzili się, by uczcić wstąpienie na tron nowego władcy. Ale owych poprzednich, wyprawionych ku czci Koronała Lorda Korsibara i samego Lorda Korsibara, nie pamiętał nikt z wyjątkiem Prestimiona, Gialaurysa i Septacha Melayna. Biegi, turnieje, zapasy, zawody łucznicze i inne... zapomniane przez wszystkich, zwycięzców na równi z pokonanymi. Wymazane z pamięci. Usunięte z niej przez zespół czarnoksiężników Prestimiona, działających wspólnie, w jednej potężnej manifestacji sztuki magicznej. Wszystko, co zdarzyło się podczas tych „pierwszych” igrzysk wcale się nie zdarzyło. Dzisiaj miano popisywać się siłą i zręcznością ku czci Lorda Prestimiona, Lorda Korsibara nigdy nie było. Nawet czarnoksiężnicy, wypełniający rozkaz władcy, posłusznie zapomnieli o własnym dziele.

- Niech wystąpią łucznicy! - krzyknął Mistrz Igrzysk. Tę honorową funkcję pełnił dziś diuk Oljebbin ze Stoienzar.

Uczestnicy zawodów wyszli w pole. Na widowni wszczał się

tumult i wrzawa, bo był wśród nich także Lord Prestimion, a nie tego oczekiwano przecież po nowym Koronalu. Goście nie powinni się jednak dziwić. Łucznictwo było ulubionym sportem Prestimiona. Był w nim prawdziwym mistrzem, a należał do ludzi, w których sercach płonął jasny ogień współzawodnictwa... i siał iskrami przy każdej okazji. Ci, którzy go znali wiedzieli doskonale, że nie zrezygnuje z szansy na zademonstrowanie swego mistrzostwa. Mimo to... Koronal biorący udział w igrzyskach na własną cześć... jakie to dziwne, jakie niezwykle!

Prestimion zrobił co mógł, niemal więcej niż mógł, by wydać się nikim więcej niż zwykłym łucznikiem chcącym zdobyć nagrodę. Nosił wprawdzie królewskie barwy, obcisły zielony dublet i zielone bryczesy, ale nie miał żadnej oznaki władzy. Ktoś obcy, nie znający Koronala być może zidentyfikowałby go po atmosferze godności i władzy, którą roztaczał wokół siebie od najwcześniejszej młodości, ale bardziej prawdopodobne wydawało się, że niewysoki, barczysty mężczyzna o krótko przyciętych blond włosach pozostałby niezauważony w grupie masywnych, muskularnych atletów.

Pierwszy strzelał Glaydin, długoręki i długonogi najmłodszy syn Serithorna z Samivole. Dobry łucznik; Prestimion z przyjemnością obserwował jego popis.

Jako następny wystąpił Kaitinimon, nowy diuk Bailemoona, nadal noszący zawiązaną na ramieniu żółtą wstążkę, oznakę żałoby po ojcu, diuku Kantaverelu. Kanteverel zginął walcząc po stronie Korsibara w krwawej bitwie pod Granią Thegomar, ale o tym nie wiedział nawet

jego syn. Ojciec nie żyje, to nie było dla niego tajemnicą, ale prawdziwe okoliczności jego śmierci okrywała mgła, jak okoliczności śmierci wszystkich ofiar wojny. Tak działał czar, który Prestimion kazał utkać magom. A był on utkany tak sprytnie, że pozwalał krewnym i bliskim ofiar wysnuć ich własne fantazje co do przyczyn śmierci, wypełniające próżnię tym surowszą, że pozbawioną jakichkolwiek informacji o tym co się stało z tymi, których już wśród nich nie było. Być może Kaitinimon wierzył, że Kanteverel zmarł na atak serca podczas wizyty w swych posiadłościach na zachodzie, a może w to, że gorączka bagienna zabrała go podczas pobytu na wilgotnym południu, w każdym razie i jedno, i drugie było nieprawdą.

Kaitinimon poradził sobie doskonale, podobnie jak trzeci zawodnik, wysoki mężczyzna o jastrzębiej twarzy, leśnik Rizlail z Megenthorp, który - jak i sam Prestimion - nauczył się sztuki łuczniczej od słynnego earla Kamby z Mazadone. Po jego występie publiczność znów zamilkła, bo w szranki wstąpił jeden z zaledwie dwóch zawodników niebędących człowiekiem, a w dodatku Su-Suheris, przedstawiciel przedziwnej, dwugłowej rasy, która ostatnio pojawiła się w dużej liczbie na Majipoorze. Obwołany został nazwiskiem Gabin-Badinion.

Jak ktoś mający dwie głowy może dobrze celować? Czy głowy nie mogą poróżnić się w prawidłowym wymierzeniu łuku? Jeśli był to problem, to nie dla Gabina-Bandiniona, który na zimno, nie zdradzając śladu jakichkolwiek uczuć, trafiał raz za razem w sam środek tarczy, po czym krótko skinął oboma głowami krzyczącemu,

bijącemu mu brawo na stojąco tłumowi.

Przyszedł czas na Prestimiona. Niósł on w rękę wielki łuk, który earl Kamba podarował mu w dzieciństwie, łuk tak potężny, że niewielu dorosłych potrafiło go naciągnąć, choć on radził z nim sobie bez problemu. Łuk ten dobrze mu służył w bitwach wojny domowej; teraz Prestimion myślał o tym, że o wiele lepiej jest używać go w pokojowym współzawodnictwie niż do odbierania życia ludziom.

Dotarwszy na linię strzału pokłonił się obecnym podczas igrzysk Wysokim Mocom Królestwa. Najpierw Pontifexowi Confalume, siedzącemu na majestatycznym tronie z drzewa gamandrusu pośrodku trybuny po prawej stronie Łąki Vildivara. Ceremonia, podczas której Pontifex wybierał nowego Koronala była w swej istocie adopcją, a więc w zwyczaju Majipooru leżało, by Prestimion uznał w nim ojca - a jego naturalny ojciec zmarł dawno temu - i traktował go z należnym ojcu szacunkiem.

Następny pokłon należał się jego matce, księżniczce Therissie. Siedziała ona na podobnym, wspaniałym tronie po lewej stronie trybuny, w towarzystwie poprzedniej Pani Wyspy Snu, lady Kunigardy. Następnie Prestimion obrócił się i oddał salut swemu własnemu, pustemu miejscu na trzeciej trybunie, czcząc w ten sposób nie osobę, lecz sprawowany przez nią urząd, majestat Koronala Majipooru.

Następnie mocno zacisnął dłoń na luku, łuku Kamby, łuku, którego posiadaniem cieszył się od tak dawna. Przygnębiało go, że dobrodusznego, zawsze wesołego Kamby, mistrza sztuki łuczniczej,

nie było tu dziś i nie mógł wziąć udziału w zawodach. Niestety, należał on do tych arystokratów, którzy opowiedzieli się po stronie Korsibara i zginął, jak wielu dzielnych żołnierzy, pod Granią Thegomar. Czar magów sprawił, że wojna została zapomniana, ale nie był w stanie przywrócić zmarłych do życia.

Prestimion stanął na linii strzału i stał tak nieruchomo przez długą chwilę. Był człowiekiem impulsywnym, lecz nie wtedy, gdy znajdował się naprzeciw celu. Zwężonymi oczami mierzył drogę do niego, a kiedy wyczuł idealną równowagę duszy podniósł łuk, napiął go, przesunął wzrokiem wzdłuż strzały.

- Prestimion, Prestimion, Lord Prestimion! - rozległ się ryk tysiąca gardeł.

Był świadom tego krzyku, ale nie miał on na niego żadnego wpływu. Nie teraz. Liczyło się tylko jedno: wyczucie. Jakąż przyjemność czerpał z tej sztuki. Wystrzelenie strzały samo w sobie nie miało wielkiego znaczenia, ale zrobić coś w sposób doskonały, z absolutną pewnością, że robi się to dobrze, niezależnie od tego, czym „to” jest... ach, co za radość!

Uśmiechnął się i wypuścił strzałę. Widział, jak zmierza w samo serce celu i wbija się w nie z donośnym, zadowolającym stuknięciem.

*

- Nikt mu w tym nie dorówna, prawda? - spytał Navigorn z Hoikmar, siedzący wśród mężczyzn wysokiej rangi w jednej z łóż po tej samej stronie trybun co łoża Koronała. - To nie w porządku. Powinien sięść tu z nami i pozwolić, żeby ktoś inny zdobył tytuł w

łucznictwie, tylko raz, tak dla odmiany. Nie wspomnę już o tym, że świadczy to o bardzo wątpliwym smaku: Koronał uczestniczący w igrzyskach na własną cześć.

- Co? Prestimion ma siedzieć spokojnie, pozwolić komuś wygrać?
- zdumiał się Wielki Admirał Królestwa, Gonivaul z Bombifale, ponury mężczyzna o brodzie tak gęstej i włosach zachodzących na czoło tak nisko, że ledwie widziało się rysy jego twarzy. Oferował Navigornowi swą wersję uśmiechu; ktoś, kto go nie znał, z pewnością uznałby ją za grymas niezadowolenia. - Przecież nie leży to w jego naturze. Wydaje się przyzwoitym, dobrze urodzonym młodym człowiekiem i taki rzeczywiście jest, ale interesuje go tylko zwycięstwo, prawda? Confalume zrozumiał to od razu, kiedy zobaczył go jeszcze jako chłopca. To dlatego Prestimion tak szybko awansował w zamkowej hierarchii i teraz jest naszym Koronalem.

- No i popatrzcie tylko. Wstydu nie ma! - powiedział Navigorn, bardziej z podziwem niż krytycznie. Prestimion właśnie rozłupał pierwszą strzałę drugą. - Wiedziałem, że znowu spróbuje tej sztuczki. Robi to zawsze.

Do rozmowy włączył się książę Serithorn.

- Wiem od syna, że Prestimion nie bierze udziału w turnieju, ale występuje z prostego upodobania sztuki. Wniósł do sędziów o nieprotokołowanie jego wyniku.

- A to oznacza - stwierdził Gonivaul cierpko - że zwycięzca, ktokolwiek nim zostanie, będzie musiał pogodzić się z myślą, że jest najlepszym łucznikiem ze wszystkich tych, którzy nie nazywają się

Prestimion.

- Powiedziałbym że odziera to nieco z chwały zwycięstwa - zauważył Navigorn.

- Glaydin pozwolił sobie na podobną uwagę - przytaknął Serithorn - ale okażcie odrobinę litości Prestimionowi. Albo bierze udział w zawodach i najprawdopodobniej wygrywa, albo dyskwalifikuje sam siebie i w ten sposób rzuca cień na zwycięzcę. I co ma biedak zrobić? Nalej mi wina, Navigornie... masz zamiar sam wypić wszystko?

- Przepraszam. - Navigorn podał mu flaszę.

Tymczasem Prestimion nadal popisywał się swą sztuką. Tłum głośno wyrażał swój podziw.

Navigorn, potężnie zbudowany, ciemnowłosy mężczyzna o dumnej postawie, przyglądał się mu nie kryjąc podziwu, w którym nie było ani odrobiny zazdrości lub niechęci. Podziwiał doskonałość w każdej jej postaci, a także bardzo podziwiał Prestimiona. Mimo pańskiej postawy nigdy nie ubiegał się o urzędy, ale grzanie się w słońcu władzy sprawiało mu przyjemność, a Koronał zaledwie wczoraj zaproponował mu członkostwo w nowej Radzie.

- Nigdy nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi - powiedział - ale umiem docenić twe zalety. Powinniśmy zawrzeć bliższą znajomość, Navigornie.

Prestimion wreszcie zszedł z pola przy akompaniamencie ogłuszających braw. Biegł lekkim, młodzieńczym krokiem, uśmiechając się od ucha do ucha. Jego miejsce zajął szczupły chłopak w niebieskich legginsach i olśniewająco kolorowej, szkarłatnozłotej

tunice, typowych dla dalekiego zachodniego wybrzeża Zimroelu.

- Jest teraz taki szczęśliwy - westchnął książę Serithorn. - Znacznie szczęśliwszy niż na ucztach. Widzieliście, jaki był zamyślony?

- Owszem, wydawał się strasznie ponury - przytaknął admirał Gonivaul. - Cóż, jest najszczęśliwszy, kiedy trzyma w garści ten swój łuk. A jego smutek, o którym mówicie może świadczyć o tym, że zaczął trzeźwo myśleć o konsekwencjach bycia Koronalem. Żadne tam Wielkie Procesje i radość zachwyconych tłumów. Nie, nie, nie! Będzie harował do końca życia, już to pewnie rozumie. Wiesz, co to znaczy „harować”, prawda, Serithornie? Nie, skąd masz wiedzieć. Tego słowa nie ma przecież w twoim słowniku.

- A niby dlaczego miałyby być? - Zdziwił się Serithorn. Miał już swoje lata, ale skórę gładką jak u młodzieńca, sylwetkę szczupłą i zawsze był nie tylko pogodny, lecz i uderzająco elegancki. Swe legendarne bogactwo zawdzięczał wielu pokoleniom rodziny, której historia sięgała czasów Lorda Stiamota i korzystał z niego bez zahamowań. - Jaką pracę miałbym, twoim zdaniem, wykonywać? Nigdy nie twierdziłem, że mam światu coś użytecznego do zaoferowania. Lepiej lenić się przez całe życie, ale robić to dobrze, niż próbować coś robić i wykonywać to źle. Prawda, przyjaciele? Niech pracują ci, którzy umieją pracować. Na przykład Prestimion. Będzie wspaniałym Koronalem. To godność jakby dla niego stworzona. Albo ty, Navigornie. Jesteś urodzonym administratorem. Masz do tego talent. Słyszałem, że zostałeś mianowany do Rady?

- Owszem. Nie ubiegałem się o tę godność, ale jestem z niej

dumny.

- To wielka odpowiedzialność, członkostwo w Radzie. Możesz mi wierzyć. Tkwiałem w tym dłużej niżbym chciał. A Prestimion poprosił mnie, żebym został. Co z tobą, Gonivaulu?

- Chcę odejść ze służby - odparł Wielki Admirał. - Nie jestem już młody. Chyba powrócę do Bombifale, cieszyć się wygodami i przyjemnościami w mych dobrach.

Serithorn uśmiechnął się lekko.

- Czy chcesz powiedzieć, że Prestimion nie zaproponował ci pozostania na stanowisku Admirała? O to chodzi, prawda? No cóż, będzie mi cię brakowało, Gonivaulu. Oczywiście być Wielkim Admirałem to przeraźliwie nudna mordęga. Trudno cię winić, że chcesz skończyć z tym raz na zawsze. Ale powiedz mi... czy w trakcie pełnienia tej swojej, jakże kłopotliwej funkcji choć raz postawiłeś stopę na pokładzie statku oceanicznego? Nie, oczywiście, że nie. Ryzykowna zabawa, wypływać w morze. Można się utopić.

Tę zabawę dwaj wielcy panowie uprawiali od lat: sarkazm, żarty, docinki.

Niewielka, nieowłosiona część twarzy Gonivaula widoczna dla postronnych, poczerwieniała z gniewu.

- Serithornie... - warknął groźnie.

- Panowie, jeśli pozwolicie... - Navigorn gładko przerwał im spór dokładnie w chwili, w której mógł się on przerodzić w karczemną kłótnię. Gonivaul wycofał się, mruczając coś do siebie, Serithorn zaśmiał się cicho, z satysfakcją. Navigorn mówił dalej: - ...nie objąłem

jeszcze oficjalnie swego stanowiska, a już muszę uporać się z bardzo szczególnym problemem. Być może wy dwaj, od podszewki znający kulisy zamkowej polityki, będziecie w stanie mi pomóc.

- A cóż to za problem? - spytał Serithorn bez wielkiego zainteresowania. Nie patrzył na przyjaciela, lecz na pole poniżej, gdzie nadal trwał turniej. W szrankach stał potężny włochaty Skandar w miękkim wełnianym kaftanie w jaskrawe czarne, pomarańczowe i żółte pasy. Łuk, większy i cięższy nawet niż luk Prestimiona, trzymał swobodnie w jednej z czterech potężnych łap, jakby to była zabawka. Herold podał jego nazwisko: Hent Sekkitorn.

- Poznajecie może, czyje kolory nosi ten zawodnik? - spytał Navigorn.

- Mam wrażenie, że prokuratora Dantiryi Sambaila - odparł Serithorn po chwili wahania.

- No właśnie. A jak sądzicie, gdzie podziewa się pan prokurator?

- No... a właśnie. - Serithorn rozejrzał się dookoła. - Wiecie... jakoś go nie widzę. Powiedziałbym, że powinien siedzieć tu z nami. Może ty wiesz, co się z nim stało, Gonivaul.

- Od tygodnia go nie widziałem - burknął Wielki Admirał. - Jak się zastanowić, to nie pamiętam nawet, kiedy widziałem go po raz ostatni, a on nie należy do tych, którzy potrafią przemknąć niezauważeni. Czy to możliwe, żeby nie pojawił się na koronacji? Został w domu, w Nimoya?

- Niemożliwe - orzekł autorytatywnie Serithorn. - Mamy nowego Koronała, po raz pierwszy od kilku dziesięcioleci, a księżę Zimroelu

nie przyjeżdża na Zamek? Toż to absurd! Dantiryra Sambail z pewnością nie przepuściłby okazji i byłby na miejscu w chwili, gdy rozdawane są nowe stanowiska i przywileje. Był obecny przy śmierci starego Prankipina, tego jestem całkiem pewien. Zostałby na koronację, bez dwóch zdań. A poza tym gdyby zlekceważył go w ten sposób, Prestimion śmiertelnie by się na niego obraził.

- Och, Dantiryra Sambail jest na Zamku - westchnął Navigorn. - Na tym właśnie polega problem, o którym chciałem z wami porozmawiać. Nie widzieliście go podczas uroczystości, ponieważ został uwięziony w tunelach Sangamora. Prestimion kazał mi opiekować się nim. Mam być jego strażnikiem. To moje pierwsze zadanie jako członka Rady.

Na twarzy Serithorna pojawił się wyraz niebotycznego zdumienia.

- O czym ty mówisz, Serithornie? Dantiryra Sambail więźniem?

- Najwyraźniej.

Gonivaul sprawiał wrażenie równie zdumionego.

- Wydaje mi się to absolutnie niemożliwe. Dlaczego Prestimion miałby zamykać Dantiryę Sambaila w tunelach? Prokurator jest przecież jego kuzynem... no, w każdym razie istnieje między nimi pokrewieństwo, prawda? Serithornie, wiesz o tym więcej ode mnie. Czy to jakaś rodzinna sprzeczka?

- Może, może - przytaknął Serithorn - ale jest istotniejszy problem. Jak ktoś, nawet Prestimion, zdołał uwięzić kogoś tak hałaśliwego, samowolnego i - nie bójmy się tego słowa - nikczemnego jak prokurator? Zaryzykuję twierdzenie, że już łatwiej byłoby uwięzić

stado oszalałych haigusów. A jeśli już mu się udało, dlaczego my nic o tym nie wiemy? Taka nowina zatrzęsłaby Zamkiem.

Navigorn rozłożył ręce, wzruszył ramionami.

- Panowie, nie znam odpowiedzi na żadne z tych pytań, I nic nie rozumiem. Wiem tylko, że prokurator siedzi w więzieniu, przynajmniej jeśli wierzyć Prestimionowi, który osobiście polecił mi dopilnować, by siedział tam aż do chwili, kiedy stanie przed obliczem sprawiedliwości.

- A co on zrobił? - Gonivaul podniósł głos.

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Spytałem Prestimiona, o jakie przestępstwo oskarżony jest prokurator, a on odparł, że porozmawia o tym ze mną innym razem.

- No to w czym problem? - prychnął Serithorn. - Koronał wydał ci polecenie. Wypełniasz je i to wszystko. Chce, żebyś był strażnikiem prokuratora, więc jesteś strażnikiem prokuratora.

- Nie żywię przesadnej sympatii do Dantiryi Sambaila, w moim przekonaniu jest niewiele więcej niż dziką bestią, ale mimo wszystko... Jeśli stracił wolność bez wyroku, tylko dlatego, że tak się spodobało Prestimionowi, to czy jako jego strażnik nie staję się współnikiem w przestępstwie?

- Czyżbyś podniósł temat sumienia, Navigornie? - zdumiał się Gonivaul.

- Można to i tak określić.

- Złożyłeś przysięgę na wierność Koronałowi. Koronał uznał za stosowne aresztować Dantiryę Sambaila, a tobie polecił czuwać, by

pozostał w zamknięciu. Albo spełniasz jego polecenia, albo rezygnujesz ze służby. Taką masz alternatywę, Navigornie. Sądziś, że Prestimion jest człowiekiem złym?

- Nie, skądże. I nie mam ochoty rezygnować.

- Więc załóż po prostu, że Prestimion posiada powód wystarczający, by zamknąć prokuratora. Znajdź dwudziestu wypróbowanych ludzi, niech pilnują tuneli przez całą dobę. Albo trzydziestu, czy ilu uważasz za stosowne. Mają trzymać stałą wartość wiedząc, że jeśli Dantiryra Sambail zdoła wydostać się na wolność, czy to słodkim gadaniem, czy to brutalną siłą, czy w jakikolwiek inny sposób, będą tego żałować do końca życia.

- A jeśli ludzie z Ni-moya, ludzie prokuratora, ta obrzydliwa banda morderców i złodziei, których widzi się czepiających jego poły, przyjdzie do mnie choćby dziś po południu z żądaniem wyjaśnienia, gdzie jest ich pan albo na jakiej podstawie jest przetrzymywany, albo zagrozi wszczęciem takiego zamieszania, że Zamek zatrzęsie się w posadach, jeśli go natychmiast nie uwolnię... - zastanawiał się głośno Navigorn.

- Odeślij ich do Koronala - poradził mu Gonivaul. - To on osadził prokuratora w tunelach, nie ty. Jeśli chcą wyjaśnień, może im ich udzielić tylko Lord Prestimion.

- Dantiryra Sambail więźniem - powiedział Serithorn głosem pełnym zdumienia, kierując te słowa do nikogo, jakby mówił w powietrze. - Co za dziwna sprawa. I co za dziwny początek rządów... czy mamy trzymać tę rewelację w sekrecie, Navigornie?

- Koronal nie zastrzegł tajemnicy, ale podejrzewam, że im mniej się o tym mówi, tym lepiej.

- Oczywiście, oczywiście. Im mniej tym lepiej.

- Rzeczywiście - przytaknął Gonivaul. - Zmieńmy temat.

Przyjaciele skinęli głowami jak na komendę.

*

- Serithorn! Gonivaul! - rozległ się dobiegający z wysoka, donośny głos. - Witaj, Navigornie.

Kilka rzędów nad ich głowami stał Fisiolo, hrabia Stee, w towarzystwie tęgiego, rumianego na twarzy mężczyzny o czarnych, zimnych oczach i wysokim czole, z którego strzecha sztywnych siwych włosów wznosiła się na dumną, lecz nieco niepokojącą wysokość. - Znacie Simbilona Khayfa, prawda? - Zerknął na swego towarzysza. - To najbogatszy człowiek w Stee. Sam Prestimion wkrótce się u niego zadłuży, zapamiętajcie moje słowa.

Simbilon Khayf oferował Serithornowi, Gonivaulowi i Navigornowi szybkie, bardzo grzeczne skinienie głowy, demonstrując nim jednocześnie wystudiowaną skromność. Wyglądało na to, że obecność wśród prawdziwej arystokracji, piastującej tak wysokie godności, niesłuchanie mu pochlebia. Hrabia Fisiolo, mężczyzna o szorstkiej, kwadratowej twarzy, znany z bezceremonialności, skinął na niego, zapraszając go do łoża; skorzystał z zaproszenia natychmiast, ale przy tym roztaczał aurę człowieka wiedzącego, że wypłynął na zbyt głębokie dla niego wody.

- Słyszeliście - spytał hrabia - że Prestimion zamknął w tunelach

Dantiryę Sambaila? Podobno przykuł go do ściany grubym łańcuchem, przynajmniej tak słyszałem. Potraficie to sobie wyobrazić? Na Zamku nie mówi się o niczym innym.

- Dowiedzieliśmy się o tym dosłownie przed chwilą - wyjaśnił Serithorn. - Cóż, jeśli to prawda, to Koronał miał bez wątpienia dobre powody, żeby to uczynić.

- A jakie mogłyby być te „dobre powody”? Czyżby brzydki Dantiryę Sambail powiedział coś wyjątkowo nieuprzejmego? Może wykonał znak gwiazd odwrotnie? Może pierdnął na uroczystości koronacyjnej? No właśnie... czy ten brzydał w ogóle był na koronacji?

- Nie przypominam sobie, bym widział go przyjeżdżającego na Zamek - powiedział Gonivaul. - To znaczy, kiedy wróciliśmy z pogrzebu Prankipina.

- Ja też - przyznał Navigorn. - A byłem tu, nim wróciła główna grupa. Nie było w niej Sambaila.

- A jednak mamy wiarygodne informacje dowodzące, że jest właśnie tutaj - dodał Serithorn. - Od dłuższego czasu. W każdym razie wystarczająco długiego, by zdążył obrazić Prestimiona i został za to uwięziony... a jednak nikt nie pamięta momentu jego przybycia. Bardzo, bardzo dziwne. Dantiryę Sambail jest jak trąba powietrzna, gdziekolwiek się pojawi, zawsze coś się dzieje i to przeważnie z hukiem. Jak zdołał wjechać na Zamek, że nikt go nie zauważył?

- Bardzo dziwne - przytaknął Gonivaul.

- Może i dziwne - zgodził się Fisiolo - ale... nie podoba się wam, że Prestimion zdołał jakimś cudem zakuć w kajdany tego odpychającego,

obrzydliwego potwora? Bo mnie bardzo.

W dniach bezpośrednio po ceremonii koronacyjnej Prestimion także dużo myślał o prokuratorze Ni-moya. Nie śpieszyło mu się jednak do wymierzenia sprawiedliwości przewrotnemu krewniakowi, zdradzającemu go raz za razem podczas długiej, trudnej wojny domowej, w której zwycięstwo przechylało się to na tę, to na tamtą stronę. Niech pocierpi sobie trochę w lochu, powtarzał sobie, najpierw muszę znaleźć jakiś sposób załatwienia sprawy.

Dantirya Sambail był winny najwyższej zdrady, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Wspierał Korsibara w jego szalonym buncie bardziej niż ktokolwiek, za wyjątkiem może samej lady Thismet. To on winien był barbarzyńskiego aktu zniszczenia tamy na Iyann. A w bitwie pod Granią Thegomar ośmielił się podnieść rękę na Prestimiona. Złożył mu szyderczą propozycję: niech rozstrzygną w pojedynku, który z nich zostanie Koronalem, a potem zaatakował z toporem w jednej ręce, a szablą w drugiej. Prestimion zwyciężył, choć nie przyszło mu to łatwo, nie potrafił jednak zabić krewniaka na polu bitwy, na co ów sobie zasłużył. Uwięził go tylko wraz z jego złowrogim zausznikiem, Mandraliscą, przeprowadzenie sądu rezerwując na przyszłe, lepsze czasy.

Tylko jak - zastanawiał się - sądzić winnego za winy których nikt, nawet on sam, nie pamięta, bo pamiętać nie może? Kto ma wystąpić w roli oskarżyciela? Jakie przedstawić dowody? „Ten człowiek podzegał

do wojny domowej i jest głównym sprawcą jej wywołania". Owszem, prawda, tylko... jakiej wojny domowej? „Jego zdradziecka intencją było przejęcie władzy Koronala po zamordowaniu pełniącego tę funkcję Korsibara, będącego narzędziem w jego rękach". Korsibara? Jakiego Korsibara? „Jest winien zagrożenia życia prawowitego Koronala atakując go na polu bitwy". Jakiej bitwy? Kiedy rozegranej? Gdzie?

Prestimion nie znał odpowiedzi na te pytania. Poza tym teraz, w pierwszych tygodniach rządów, miał do załatwienia sprawy pilniejsze i ważniejsze.

Koronacyjni goście, a przynajmniej większość z nich, rozjechali się do swych domów. Książęta, diukowie, earlowie i burmistrzowie powrócili do podległych sobie domen, a były Koronał, teraz Pontifex Confalume, popłynął rzeką Glayge w długą, posępną podróż, której kresem była czekająca na niego podziemna rezydencja: Labirynt. Łucznicy, uczestnicy turnieju rycerskiego, zapaśnicy, mistrzowie miecza, prezentujący swe talenty w igrzyskach koronacyjnych także rozproszyli się każdy w swoją stronę. Księżniczka Therissa udała się do Domu Muldemar, gdzie czekały na nią przygotowania do podróży na Wyspę Snu i objęcia nowej funkcji. Zamek stał się nagle miejscem dziwnie spokojnym, a Prestimion mógł przystąpić do sprawowania władzy.

A tyle było do zrobienia! Pożądał tronu całym sercem, ale teraz, kiedy spełniło się marzenie jego życia, zdumiewał go ogrom pracy, do której budził się każdego dnia.

- Nie wiem, od czego zacząć - poskarżył się, patrząc na Septacha Melayna i Gialaurysa zmęczonymi oczami.

Wszyscy trzej znajdowali się w przestronnej sali o ścianach wyłożonych boazerią z rzadkich gatunków drzew i pasami lśniącego metalu, będącej jądrem oficjalnych apartamentów Koronala. Pompatyczna sala tronowa używana była podczas uroczystości oficjalnych, w tej Koronal rządził na co dzień.

Prestimion siedział przy wspaniałym biurku o blacie ozdobionym intarsjowanym symbolem rozbłysku gwiazd. Długonogi Septach Melayn stał w eleganckiej pozie przy wielkim łukowym oknie, otwierającym się na bezdenną otchłań, w której krawędź wpuszczone były mury Zamku od tej strony Góry. Gruby, umięśniony Gialaurys przycupnął na ławie po lewej ręce Koronala.

- To bardzo łatwe, panie - powiedział. - Trzeba zacząć od początku, najpierw zająć się pierwszą sprawą, potem drugą, trzecią i tak dalej.

Gdyby udzielił takiej rady Septach Melayn, byłaby kpina, ale wielki, niewzruszony Gialaurys nie znał pojęcia ironii i kiedy w ogóle coś mówił tym swoim głębokim, powolnym, zgrzytliwym głosem, z niewyraźnym akcentem ojczystego Piliplok, to zawsze z największą powagą. Ruchliwy jak rtęć, uwielbiający żarty, nieodżałowany przyjaciel Prestimiona, diuk Svor, często mylił jego ociężałość z głupotą, ale Gialaurys wcale nie był głupi, tylko przeraźliwie prostolinijny.

Prestimion roześmiał się szczerze.

- Dobrze powiedziane, Gialaurysie. Tylko... która rzecz jest

pierwsza, a która druga? Gdyby można było się tak łatwo zorientować...

- W porządku - odezwał się Septach Melayn - a więc zrobmy listę.
- I zaczął wyliczać na palcach. - Po pierwsze: mianowanie nowych urzędników dworskich. Powiedziałbym, że w tej sprawie zrobiliśmy niezły początek. Masz nowego Wysokiego Doradcę, a Gialaurys będzie wspaniałym Wielkim Admiralem. I tak dalej. Po drugie: przywrócenie dobrobytu dystryktów, które ucierpiały w trakcie wojny. Twój brat, Abrigant, ma kilka pomysłów, jak tego dokonać i w związku z tym chce się z tobą spotkać jeszcze dziś. Po trzecie... - Septach Melayn zawahał się, ale w głosie Gialaurysa nie była wahania:

- Po trzecie - burknął - trzeba coś zrobić w sprawie sądu nad Dantiryą Sambailem.

- Z tym zaczekajmy - sprzeciwił się Prestimion. - Sprawa jest skomplikowana.

- Po czwarte... - kontynuował niewzruszony Gialaurys - ...przesłuchanie wszystkich walczących w ostatniej wojnie po stronie Korsibara celem upewnienia się, że nie pozostał w nich nawet cień nielojalności mogący zagrozić w przyszłości bezpieczeństwu...

- Nie - zaprotestował Prestimion. - Ten punkt skreślamy z listy. Przecież nie było żadnej wojny, zapomniałeś? Jak ktoś może być lojalny wobec Korsibara, jeśli Korsibar nigdy nie istniał?

Gialaurys skrzywił się przeraźliwie i prychnął z oczywistym niezadowoleniem.

- Mimo wszystko, Prestimionie...

- Powtarzam, że z tej strony nie mamy się czego obawiać. Większość dowódców armii Korsibara zginęła pod Granią Thegomar: Farholt, Mandrykarn, Venta, Farquanor i inni, a tych, którzy ocaleli, nie mam powodu się bać. Na przykład Navigorn: był najlepszym generałem Korsibara, prawda? A jednak - i mam nadzieję, że to pamiętacie - zaraz po jego śmierci przybył z propozycją kapitulacji. Błagał o przebaczenie na polu bitwy. To było szczere. Dobrze posłużył mi w Radzie. Oljebbin, Serithorn, Gonivaul... sprzedali się Korsibarowi, owszem, ale tego przecież nie pamiętają, poza tym nie są w stanie zaszkodzić mi teraz w żaden sposób. Diuk Oljebbin przenosi się do Labiryntu, będzie Wysokim Rzecznikiem Pontifexa, pozbywam się go w ten sposób na dobre. Gonivaul kończy służbę. Wraca do Bombifale. Serithorn jest użyteczny i zabawny, zatrzymam go przy sobie. O kimś zapomniałem? Wymień mi ludzi, których podejrzewasz o nielojalność.

- No... - Gialaurys otworzył usta, ale nie podał żadnego nazwiska. Za to do rozmowy włączył się Septach Melayn.

- Jedno ci powiem, przyjacielu... być może rzeczywiście nie ma już nikogo lojalnego wobec Korsibara, ale na zamku tylko my trzej jesteśmy wolni od zakłopotania, poczucia zagubienia spowodowanego czarem, który z twojej woli rzucony został na zakończenie wojny. Nikt już jej nie pamięta, ale wszyscy czują, że wydarzyło się coś wielkiego, tylko nie wiedzą co. Wielu ważnych ludzi nie żyje, całe regiony Alhanroelu leżą w ruinie, tama Mavestoi zawaliła się

tajemniczo, zalała pół prowincji, a jednak każe się nam wszystkim wierzyć, że władza przeszła z Confalume'a na ciebie gładko i bezproblemowo. Coś tu nie pasuje, to się po prostu wyczuwa. W głowie ma się wielką, bolesną pustkę, dziurę w pamięci. Nie do przeoczenia. Widzę twarze przybierające ten tępy, zdziwiony wyraz w środku wypowiedzanego zdania. Marszczą czoła, krzywią się, łapią rękami za głowy, jakby szukali po omacku czegoś, czego w nich nie ma. Zaczynam się zastanawiać, czy to był dobry pomysł, wymazywać wojnę z historii w ten sposób.

Był to temat, którego Prestimion wolałby nie poruszać. Nie miał jednak wyboru, skoro przyjaciel wywłócił go jednak na światło dzienne.

- Wojna była straszliwą raną na duszy naszego świata - powiedział napiętym głosem. - Gdybym jej nie wymazał, między frakcjami moją i Korsibara wynikałyby ciągłe niesnaski, jedni w nieskończoność zgłaszałiby pretensje do drugich. To, co zrobiłem, pozwoliło nam wszystkim zacząć od nowa. By użyć tak lubianego przez ciebie powiedzenia, Septachu: „co się stało, to się nie odstanie”. Musimy żyć z konsekwencjami naszych działań, będziemy z nimi żyli i więcej nie ma co o tym gadać.

Ale w głębi duszy nie był tego taki pewny. Jak wszyscy i on słyszał niepokojące wieści o dziwnych przypadkach zachwiania równowagi umysłowej, pojawiających się na Górze. Bez wyraźnego powodu atakowano obcych na ulicach, ludzie dostawali ciągnących się tygodniami ataków płaczu, rzucali się do rzeki albo w przepaście.

Takie historie przyniesiono ostatnio z Halanx i Minimool, a także z Haplior, jakby jakiś wir szaleństwa rozszerzał się i spływał zboczami Góry z Zamku do sąsiednich miast. Nie tylko tych bliskich; nawet w Stee zdarzył się poważny wypadek, mówiono, że pokojówka pracująca w domu jakiegoś bogatego obywatela skoczyła z okna, zabiła siebie i dwie osoby akurat przechodzące ulicą.

Lecz przecież nie było żadnego prawdziwego dowodu na to, że ostatnie zdarzenia wywołane zostały przez jego czarnoksiężników, po sprowadzeniu na świat powszechnej amnezji. Być może coś podobnego zdarzało się zawsze w momencie zmiany władzy, zwłaszcza po wyjątkowo długich i szczęśliwych rządach, takich jak rządy Confalume'a. Dla ludzi był on kochającym ojcem świata i zapewne poraziła ich świadomość tego, że schodzi do Labiryntu. Stąd te zdarzenia.

Być może właśnie stąd.

*

Septach Melayn i Gialaurys bynajmniej na tym nie poprzestali. Do długiej listy dopisywali dalsze punkty, dotyczące coraz to nowych spraw. Dowiedział się od nich, że powinien znaleźć sposób na integrację różnych dziedzin sztuki magicznej, tak rozpowszechnionej na Majipoorze za czasów Lorda Confalume'a, z głównym nurtem życia na planecie. Wymaga to - powiedział Gialaurys - konsultacji z postaciami w tej dziedzinie, takimi jak Gominik Halvor i Heszmon Gorse, którzy pozostali na Zamku właśnie w tym celu, zamiast jak najszybciej powrócić do stolicy czarnoksiężników w Triggoin. I że

musi coś zrobić z hordą syntetycznych potworów, których Korsibar użyłby w wojnie, gdyby trwała odrobinę dłużej. Według Gialaurysa część z nich uciekła z zagród i w tej chwili sieje zniszczenie w okęgach leżących na północ od Zamkowej Góry. No i sprawa Metamorfów na Zimroelu, mających jakieś pretensje związane z granicami rezerwatów leśnych, w których pozwolono im żyć. Pozbawieni skrupułów deweloperzy z Ni-moya coraz częściej je naruszali. Podobno.

I jeszcze to, i to, i tamto.

Prestimion właściwie już ich nie słuchał.

Jacy nieznośnie szczerzy stali się ci dwaj, Septach Melayn na swój charakterystyczny, elegancki sposób, Gialaurys na zwykły, prosty i bezpośredni. Septach zawsze pozował na kogoś, kto niczego nie bierze na serio, ale dla Prestimiona nie było tajemnicą, że to tylko poza, jeśli zaś o Gialaurysie mowa, to był przecież niczym innym niż wcieleniem twardej jak skała szczerości. Nigdy przedtem nie brakowało mu tak bardzo śliskiego jak węgorz diuka Svora, mającego wiele wad, do których przesadna szczerść nigdy nie należała, ale był on idealnym mediatorem między tymi dwoma.

Jakąż wykazał się głupotą wstępując na pole walki pod Granią Thegomar. Przecież jego właściwe miejsce było za kulisami, przecież najlepiej potrafił planować i intrygować. Nie był wojownikiem. Co za szaleństwo nakazało mu walczyć? Padł w rzezi i gdzie teraz znaleźć jego następcę?

I gdzie teraz znaleźć kogoś, kto mógłby zastąpić Thismet?

Zwłaszcza Thismet. Ostry ból tej straty nie miał go opuścić, nie miał nawet złagodnieć, a przynajmniej nie w ciągu najbliższych tygodni. A może to śmierć dziewczyny ściągnęła na mnie ten nastrój przygnębienia? - pytał sam siebie.

Czekała na niego praca, owszem. Często wydawało mu się, że aż za wiele pracy. No cóż, jakoś sobie poradzi. Każdy Koronał z długiej listy jego poprzedników stawał przed tym samym problemem: ogromem odpowiedzialności, którą brał na swe barki, więc niósł ją dzielnie, grał swoją rolę na dobre i złe, poddając się ocenie historii. Większość z nich poradziła sobie z nią całkiem nieźle. Biorąc pod uwagę okoliczności.

A jednak nie zdołał otrząsnąć się z tajemniczego, przekłętogo uczucia zmęczenia, pustki, słabości i niezadowolenia, które zatruło mu duszę już pierwszego dnia rządów. Miał nadzieję, że podjęcie obowiązków władzy wyleczy go z humorów, ale zdaje się, że nie działało w ten sposób.

Być może cele do osiągnięcia nie wydawałyby się tak niebotyczne, gdyby tylko żyła Thismet - myślał Prestimion. Jakże cudowną miałby w niej partnerkę! Córka Koronała, świadoma wyzwania władzy, najprawdopodobniej zdolna poradzić sobie z większością z nich, byłaby władczynią o wiele zdolniejszą niż jej śmieszny brat. Z radością dzieliłaby z nim ciężar rządów. Ale ją też utracił na zawsze.

Prestimion zaczął bawić się cienką srebrną obręczą, leżącą przed nim na biurku. Swą „codzienną” koroną; tak odróżniał ją od korony „świętecznej”, niezwykle wspaniałej, formalnej, którą Lord

Confalume kazał sporządzić dla siebie, z wielkimi wielofacetowymi fioletowymi diamentami na czole, zwieńczoną szmaragdami i rubinami, z opaską z siedmiu cennych metali, misternie cyzelowaną.

Confalume kochał stroić się w tę koronę, on sam włożył ją jednak na głowę tylko raz, w pierwszych godzinach rządów. Zamierzał zarezerwować ją na najważniejszą ceremonię dworską. Uważał za absurdalne noszenie nawet skromnej srebrnej obręczy, choć tak ciężko walczył o to prawo. Ale zawsze miał ją przy sobie. W końcu został Koronalem.

Korona Majipooru.

Postawił sobie najszczytniejszy cel i po przerażającej walce osiągnął go.

Dwaj jego najdrożsi przyjaciele monotonnie recytowali najwyraźniej nieskończoną listę czekających go zadań, od czasu do czasu spierając się o strategię i priorytety. Prestimion nie udawał już nawet, że ich słucha. Wiedział, jakie stoją przed nim cele: wszystkie wymienione plus jeden, o którym Septach Melayn i Gialaurys nie pomyśleli. Bowiem teraz, na samym początku, musi uczynić samego siebie panem nad oficjalistami i dworakami, będącymi prawdziwym sercem rządu, musi pokazać im swą królewskość, udowodnić, że Lord Confalume, za przewodnictwem Bogini, wybrał właściwego władcę.

A to oznacza, że będzie musiał myśleć jak Koronał, żyć jak Koronał, chodzić jak Koronał, nawet oddychać jak Koronał. Jeśli tego dokona, reszta przyjdzie sama.

Bardzo dobrze - powiedział do siebie. Jesteś Koronalem? To bądź

Koronalem!

Ciałem pozostał za biurkiem, udając, że słucha przyjaciół, tak chętnie układających plan pierwszych miesięcy jego rządów, ale duszą wleciał wysoko, daleko, w chłodne powietrze ponad najwyższym punktem Zamku. Oglądał świat, cudownym sposobem lecąc jednocześnie we wszystkich kierunkach.

Otworzył się dla Majipooru, pozwolił, by jego ogrom go przeniknął. Wysłał umysł w podróż po nim, po świecie, który przed kilkoma zaledwie dniami powierzony został jego opiece.

Wiedział, że musi wchłonąć go w siebie, przytulić do piersi, otoczyć duchem.

...Trzy wielkie kontynenty: największy, ogromny Alhanroel o wielu miastach, gigantyczny, pokryty pierwotną puszcza Zimroel i najmniejszy Suvrael na okrutnym południu, spalony promieniami słońca. Ogromne bystre rzeki, niezliczone gatunki drzew i roślin, zwierząt i ptaków, tak pięknych, tak cudownych. Błękitno-zielone Morze Wewnętrzne zamieszkane przez stada morskich smoków, płynących niespiesznie w tajemniczej migracji, święta Wyspa Snu na jego środku. I drugie z mórz, niezmierny, niezbadany Wielki Ocean, oblewający niedostępną nam półkulę.

...Cudowne miasta, pięćdziesiąt wielkich na Górze Zamkowej i nieprzeliczone ich bogactwo niżej, poza jej zboczami. Sippulgar, Sefarad, Alaisor, stolica czarnoksiężników Triggoin, Kilkil i Mai, Kimoise, Pivrarch, Lantano, Da, Polana Demigon, i tak dalej, po najdalsze wybrzeże Morza Wewnętrznego, poprzez morze, na odległy

Zimroel bogaty w nieustannie rosnące megalopolie: Ni-moya, Narabal, Tilomon, Pidruid, Dulorn, Sempernond i wiele, wiele innych.

...Miliardy, miliardy obywateli, nie tylko ludzi, także przedstawicieli innych ras: Vroonów i Skandarów, Su-Suherisów, Hjortów, pokornych, tępych Liimenów, a także Zmiennokształtnych, Metamorfów, właścicieli całego Majipooru, którym został on zabrany wiele tysięcy lat temu.

...Całe to bogactwo złożone w jego dłoniach.

...W jego dłoniach...

...w jego dłoniach...

W dłoniach Prestimiona z Muldemar. Tak. Prestimiona, który jest Koronalem Majipooru.

Prestimion uświadomił sobie nagle, że gorączkowo pragnie wyprawy nie w wizji, lecz rzeczywistej. Że pragnie zbadać powierzony mu świat. Poznać go całym, być wszędzie w tej samej chwili, upić się nieskończonymi cudami Majipooru. Z bólu i samotności nowego, zaledwie rozpoczętego życia Koronala w jednym, gwałtownym skurczu narodziło się przemożne pragnienie poznania krain, z których nadeszły dary. Zapłacić za hojność inną hojnością, samym sobą.

Władca musi poznać swe władztwo z pierwszej ręki. Aż do wojny i spowodowanej przez nią konieczności przemieszczania się od jednego pola walki do drugiego, życie Prestimiona koncentrowało się niemal wyłącznie na Zamkowej Górze i na samym Zamku. Oczywiście, bywał w tym i owym z Pięćdziesięciu Miast, odwiedził też wschodnie

wybrzeże Zimroelu, był wówczas niemal chłopcem, to wtedy spotkał Gialaurysa i zaprzyjaźnił się z nim, ale poza tym niewiele widział świata.

Dopiero wojna obudziła w nim apetyt na podróże. Dzięki wojnie poznał serce Alhanroelu, miasta i miejsca, których nigdy nie spodziewał się zobaczyć. Widział nieprawdopodobnej wielkości i mocy Fontannę Gulikap, tryskającą strumieniem czystej energii, przekroczył niedostępne szczyty gór Trikkala, poznał łagodną, rolniczą krainę po ich drugiej stronie, wyłącznie dzięki sile woli przekroczył odstręczającą pustynię Valmambra, bo tylko w ten sposób mógł dotrzeć do odległego miasta czarnoksiężników, Triggoin, leżącego daleko na północy. A jednak widział tylko drobną cząstkę tej wspaniałości, którą był Majipoor.

A teraz, nieoczekiwanie, poczuł tęsknotę za tym, żeby zobaczyć więcej. Aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak potężna jest ta tęsknota. Ogarnęła go, posiadała całego. Jak długo jeszcze miał pozostawać tu, zakopany w majestatycznej wprawdzie, luksusowej, a jednak izolowanej samotności Zamku, spędzając kolejne nudne dni na rozmowach z kandydatami na członków Rady, na przeglądaniu programu legislacyjnego pozostawionego mu w spadku przez administrację Lorda Confalume'a, kiedy tam, za murami, oczekiwał go niecierpliwie wielki świat? Nie może mieć Thismet, ale ból po jej stracie może ukoić cały Majipoor. Zobaczyć wszystko, wszystkiego dotknąć, posmakować, powąchać... pić głęboko, do dna. Pochłonąć. Stać przed poddanymi, mówiąc: patrzcie, oto jestem, Prestimion,

wasz król!

*

- Dość! - powiedział podnosząc głowę, przerywając Septachowi Melaynowi w środku przemowy. - Proszę, przyjaciele, oszczędźcie mi tego, przynajmniej na razie.

Septach spojrział w dół z wysokości swego imponującego wzrostu.

- Wszystko w porządku, Prestimionie? - spytał. - Nagłe zmieniłeś się na twarzy.

- Tak?

- Jesteś jakiś napięty, zdenerwowany.

Prestimion zachował całkowitą obojętność.

- Ostatnie kilka nocy kiepsko spałem.

- To dlatego, że sypiasz sam, panie. - Septach Melayn łypnął na niego prowokująco.

- Bez wątpienia. - Zabrzmiało to wręcz lodowato. - Kolejny problem do rozwiązania, ale to już kiedy indziej. - Dopilnował, by przyjaciel pojął, że nie udało mu się go rozbawić. Zachowywał chłodną ciszę, a po długiej chwili milczenia powiedział: - Prawdziwy problem, Septachu Melaynie, polega na tym, że czuję budzący się we mnie wielki niepokój. Pojawił się, kiedy nałożono mi na głowę koronę. Zamek zaczyna wydawać mi się więzieniem.

Jego przyjaciele wymienili zaniepokojone spojrzenia.

- Powinieneś porozmawiać z Dantiryą Sambailem. Już on by ci uświadomił prawdziwe znaczenie słowa „więzienie”. - Septach Melayn przesadnie przewrócił oczami.

Ten człowiek jest niereformowalny - pomyślał Prestimion.

- Niewątpliwie dojdzie i do tego... we właściwym czasie - powiedział głośno, bez uśmiechu. - Pozwolę sobie tylko przypomnieć ci, że jest on kryminalistą, zaś ja - królem.

- Mieszkającym w najwspanialszym z Zamków - zauważył Gialaurys. - Czyżbyś wolał wrócić na pole bitwy, panie? Spać na deszczu w malowniczym schronieniu pod drzewem vakumba w lasach Moorwath? Przedzierać się w błocie po pas brzegami Jhelum? Grzęznąć w bagnach Beldak? A może jeszcze raz iść w delirium przez pustynię Valmambra?

- Daj spokój tym głupstwom, Gialaurysie. Nie rozumiesz, o czym mówię. Obaj nie rozumiecie. Czy Zamek to Labirynt? Czy jestem Pontifexem, od którego wymaga się, by do śmierci nie ruszał się z Labiryntu? Zamek nie zakreśla mi granic życia. Kilka ostatnich lat spędziłem próbując uczynić się Koronalem, zostałem nim wreszcie, a teraz mam nieodparte wrażenie, że jedyne, co osiągnąłem, to królowanie nad dokumentami i debatami. Uroczystości koronacyjne przeszły i minęły. Siedzę za biurkiem... przyznaję, wspaniałym... dzień po dniu, marząc jednak o tym, by być gdzie indziej. Przyjaciele, muszę udać się w świat. Na jakiś czas.

- Ależ... nie myślisz chyba o wielkiej procesji, Prestimionie? - zaniepokoił się Septach Melayn. - Jeszcze nie! Nie w pierwszym miesiącu panowania. Ba, nie w pierwszym roku!

Prestimion potrząsnął głową.

- Nie. Doskonale rozumiem, że na to jest jeszcze za wcześnie. -

Więc czego właściwie chciał? Szczerze mówiąc, sam nie do końca wiedział i musiał improwizować. - Krótkie wizyty gdzieś... nie wielka procesja, lecz mała, przez kilka z Pięćdziesięciu Miast na przykład. Powiedzmy dwa-trzy tygodnie podróży wyłącznie po Górze. Zbliżyłbym się do ludzi, dowiedział, o czym myślą. Całe lata nie zajmowałem się niczym innym, tylko gromadziłem żołnierzy i planowałem bitwy.

- Ależ oczywiście, wypraw się do najbliższych miast, nie widzę w tym nic niewłaściwego - przytaknął Melayn. - Ale przygotowanie nawet najkrótszej oficjalnej wizyty wymaga czasu. Tygodni, jeśli nie miesięcy. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Urządzenie królewskich apartamentów... program oficjalnych i nieoficjalnych wydarzeń... organizacja przyjęć i bankietów...

- Jakbym nie dość miał bankietów - burknął Prestimion.

- Nie da się ich uniknąć, panie. Ale jeśli chcesz tylko uciec z Zamku, powłóczyć się po którymś z sąsiednich miast, mogę ci coś zasugerować.

- Co mianowicie?

- Mówiono mi, że Korsibar też chciał móc podróżować po Górze, chociaż był Koronalem. Robił to w sekrecie, w przebraniu, używając jakiegoś sposobu na zmianę postaci, wymyślonego przez tego oślizgłego Vroona, Thalnapa Zelifora. Przecież możesz zrobić to samo, zmienić się tak albo inaczej, i nikt się nie zorientuje.

Prestimion spojrział na niego z powątpiewaniem.

- Przypominam ci - powiedział surowo - że w tej chwili Thalnap

Zelifor jest w drodze na wygnanie na Suvraelu, a z nim wszystkie należące do niego narzędzia magii.

- Och, rzeczywiście, zupełnie o tym zapomniałem. - Septach Melayn zmarszczył brwi, ale już w następnej chwili oczy mu błysnęły.

- Ale przecież nie jesteśmy niewolnikami magii, prawda? Jak rozumiem, pewnego dnia zawiodła ona Korsibara, zdaje się, że podczas wizyty w Sipermit i ludzie widzieli, jak odzyskuje swą postać. Dało to początek głupiej plotce, że jest Zmiennokształtnym. Za to fałszywa broda, powiedzmy, chusta zawiązana na głowie, ubogi strój...

- Fałszywa broda? - Prestimion aż się zachłysnął.

- A owszem. Towarzyszylibyśmy ci, ja albo Gialaurys, także w przebraniu. Wykradlibyśmy się z Zamku do Bibiroon, Górnego Sunbreak, Banglecode czy Greel, czy gdzie byś chciał, spędzilibyśmy dzień czy dwa bawiąc się z dala od Zamku. W całkowitej tajemnicy. I co ty na to, panie? Czy nie uspokoiłoby cię to, przynajmniej odrobinę?

- Podoba mi się ten pomysł. - Nowo mianowany Koronał czuł, jak w sercu kiełkuje mu ziarno radości, uczucia, którego nie czuł od czasu tak długiego, że wolał go nie liczyć. - Nawet bardzo mi się podoba.

*

I chętnie wyrwałby się z Zamku tego samego wieczoru, ale czekały na niego spotkania, w których musiał uczestniczyć, musiał rozważyć propozycje i podpisać dekryty. Dopiero teraz dotarła do niego mądrość starego i doskonale mu znanego powiedzenia, że komu spełni się marzenie o władaniu światem szybko przekona się, że został jego

sługą.

- Panie, przyszedł książę Abrigant z Muldemar, by się z tobą spotkać - ogłosił Nilgir Sumanand, awansowany do funkcji majordomusa Koronala.

- Niech wejdzie.

Szczupły, wysoki Abrigant był o siedem lat młodszy od Prestimiona. Po obecnym Koronalu przejął tytuł księcia Muldemar, miał też wielką szansę na członkostwo w Radzie, które władca rozważał bardzo poważnie. Nie od razu oczywiście, lecz za jakiś czas, gdy dojrzeje, a wiek doda mu rozwagi.

Wyglądał na brata Septacha Melayna raczej niż Prestimiona, tak bardzo różnił się od niego fizycznie. Był smukły tam, gdzie Prestimion potężny, i wysoki, zaś jego włosy, choć także złote, lśniły, podczas gdy włosy starszego brata były matowe. Był przystojny, odziany w strój doskonale pasujący do dworskiej etykiety: elegancki, obcisły, nie sięgający talii, różowo-fioletowy dublet, uszyty niewątpliwie w Alaisor, tego samego koloru długie bryczesy z miękkiej tkaniny, wpuszczone w wysokie buty z unikalnej żółtej skóry z Estotilaup, o cholewkach wykończonych doskonałej jakości marszczoną koronką. Władcę powitał nie tylko gestem gwiazd, lecz także niskim ukłonem, mocno przesadzonym. Prestimion tylko machnął ręką, jakby odsuwał od siebie objawy takiej uniżoności.

- Przesadziłeś, Abrigancie. I nie była to drobna przesada.

- Przecież teraz jesteś Koronalem.

- Owszem, jestem, ale nie przestałeś przez to być moim bratem.

Prosty rozbłysk gwiazd byłby wystarczający. Więcej niż wystarczający. - Prestimion znów bawił się leżącą na biurku opaską. - Septach Melayn wspomniał, że masz kilka pomysłów, które chcesz mi przedstawić. Zdaje się, iż dotyczą poprawy losu mieszkańców regionów cierpiących obecnie z powodu nieurodzaju oraz innych podobnych przyczyn.

Wyglądało na to, że udało mu się zaskoczyć Abriganta.

- Naprawdę tak powiedział? Nie, raczej nie w tym rzecz. Oczywiście wiem, że na Alhanroelu całkiem nagle zaczęło się źle dziać, ale nie mam pojęcia, z jakiego powodu. Oczywiście wiem o zawaleniu się tamy Mavestoi, zalaniu doliny Iyann, ale reszta to dla mnie tajemnica. Lokalne braki w zaopatrzeniu w żywność? Taka pewnie jest wola Bogini.

Takie właśnie stwierdzenia niepokoiły Prestimiona, a ostatnio słyszał je coraz częściej. Czegóż jednak mógł się spodziewać, skoro sam trzymał otoczenie w ignorancji, nie pozwalając mu poznać biegu głównych wydarzeń epoki? Stał przed nim jego własny brat, a jednocześnie jeden z najbardziej zaufanych przyjaciół, co więcej człowiek, którego chciał mieć w przyszłości w gronie najbardziej zaufanych doradców, w radzie królewskiej... i nie wiedział nic ani o wojnie, ani o jej skutkach. Nic!

Wielka wojna domowa niszczyła duże połacie Alhanroelu przez dwa pełne lata. Abrigant w ogóle nie zdawał sobie sprawy z tego, że się toczyła. Żyjąc w takiej niewiedzy, jak mógł podejmować racjonalne decyzje w sprawach publicznych? Nie tego należało się po

nim spodziewać. Prestimion walczył z pokusą przekazania mu całej prawdy, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. We trzech: on, Septach i Gialaurys ustalili i obiecali sobie, że nikomu nie zdradzą tej tajemnicy. Nie będzie wyznań po fakcie, ani teraz, ani nigdy. Nikt się niczego nie dowie, nawet Abrigant.

- A więc nie przyszedłeś porozmawiać o sposobach wsparcia potrzebujących prowincji?

- Nie. Za to mam kilka pomysłów na to, jak podnieść ogólny ekonomiczny dobrobyt naszego świata. Jeśli wszyscy się wzbogacimy, wzbogacą się także nawet najbiedniejsi mieszkańcy znajdujących się w najtrudniejszej sytuacji prowincji. Septach Melayn zapewne w ten sposób zrozumiał moje słowa.

- Mów dalej.

Prestimion czuł się niepewnie. Poważne słowa brata dziwnie zabrzmiały w jego uszach. Abrigant, którego znał, był energiczny, porywczy, chwilami wręcz lekkomyślny. W walce przeciwko Korsibarowi okazał się dzielny, energicznym żołnierzem. Ale żaden był z niego filozof. Nigdy nie zdradzał szczególnych talentów do abstrakcyjnego myślenia. Polowania, wyścigi wierzchowców, w ogóle sport, tylko tym interesował się od dziecka. Być może, pomyślał, dorasta szybciej, niż się spodziewałem?

Abrigant zawahał się. On także wydawał się niepewny. Po chwili powiedział, jakby czytał w umyśle brata.

- Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, Prestimionie, że uważasz mnie za człowieka w gruncie rzeczy płytkiego. Ale ostatnio bardzo

dużo czytam i uczę się. Wynająłem specjalistów, żeby prowadzili mnie w sprawach publicznych. Bo ja...

- Abrigancie, proszę. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że nie jesteś już chłopcem.

- Dziękuję. Po prostu chcę żebyś wiedział, że dużo myślałem o tych sprawach. - Obliznął wargi, odetchnął głęboko. - Wiesz, chcę powiedzieć, że za czasów Lorda Confalume'a, a nawet wcześniej, Lorda Prankipina, sytuacja ekonomiczna Majipooru stale się poprawiała. Można by udowodnić, że przeżywaliśmy swój Złoty Wiek. A jednak nie żyjemy tak dostatnio, jak powinniśmy, biorąc pod uwagę bogactwo natury Majipooru i stabilność polityczną.

Stabilność polityczną? Co za określenie, padające w kilka tygodni zaledwie po zakończeniu wojny domowej. Prestimionowi przemknęła przez głowę myśl, że być może Abrigant nieświadomie ironizuje. Ale nie, pomyślał. Jego szczere spojrzenie wykluczało podejrzenie o dwuznaczność. Oczy, morsko-zielone jak brata, wpatrywały się w niego z uroczystą, prostą powagą.

- Wielką przeszkodą - mówił dalej - o którą potyka się nasza gospodarka, jest oczywiście brak metali. Od początku historii brakowało nam żelaza na przykład, a także niklu, ołowiu, cyny. Mamy trochę miedzi, a także złota i srebra, ale niewiele więcej. Pod tym względem jesteśmy wręcz ubodzy. Wiesz, dlaczego tak jest, Prestimionie?

- Przypuszczam, że taka jest wola Bogini.

- Owszem, chyba można tak powiedzieć. Wolą Bogini było

wyposażyć większość planet wszechświata w użyteczne, ciężkie jądra z żelaza lub niklu. Ich skorupa też jest w nie bogata. Ale Majipoor jest znacznie lżejszy. W miejscu, w którym na innych planetach istnieją masy ciężkiego metalu, my mamy kamień albo wielkie puste kawerny. Skorupa planety też jest pod tym względem uboga. To dlatego grawitacja nie jest tak duża, mimo ogromu Majipooru. Gdyby dysponował on metalem w proporcji do innych planet, nas, ludzi, zapewne zmiażdżyłaby na placek, a nawet jeśli nie, to pewnie nie mielibyśmy siły podnieść palca, Prestimionie! Czy jest to dla ciebie zrozumiałe?

- Wiem to i owo o prawach grawitacji - odparł Prestimion zdumiony, bo Abrigant wydawał się ostatnią osobą, która mogłaby pouczać go na ten temat.

- Świetnie. Więc z pewnością zgodzisz się z moją opinią, że brak metalu znacznie upośledza naszą gospodarkę, prawda? Nie jesteśmy w stanie budować pojazdów kosmicznych, ani nawet stworzyć adekwatnego systemu transportu szynowego i powietrznego. Jeśli chodzi o zaopatrzenie w metale zależymy od innych światów, co jest dla nas kosztowne pod wieloma względami.

- Zgoda. Ale wiesz, Abrigancie, w sumie radzimy sobie całkiem dobrze. Nikt nie głoduje, mimo ogromu populacji. Pracy wystarczy dla wszystkich. Zbudowaliśmy wspaniałe, ogromne miasta. Osiągnęliśmy stabilność społeczną pod zunifikowanymi, ogólnoswiatowymi rządami.

- To dlatego, że niemal wszędzie mamy wspaniały klimat, żyzną

ziemię i mnóstwo użytecznych roślin oraz zwierząt, zarówno lądowych, jak i morskich. W tej chwili jednak, jak słyszałem, znaczna liczba ludzi nie dojada, choćby w rejonie doliny Iyann. Dobięły mnie też słuchy o nieurodzaju w innych częściach Alhanroelu, o pustych spichlerzach, o fabrykach zamykanych z powodu dziwnych opóźnień w dostawach surowca i tak dalej.

- To krótkoterminowe problemy.

- Być może. Ale tego rodzaju trudności są wielkim ciężarem dla systemu ekonomicznego, nie uważasz, bracie? Jak już mówiłem, ostatnio bardzo interesowałem się tymi sprawami. Zrozumiałem, że zakłócenie w tym miejscu wywołuje zakłócenie gdzie indziej, co przenosi się w jeszcze inne, często bardzo odległe miejsce i nim się zorientujesz, mamy trudności na skalę całego świata. Obawiam się, że za kilka miesięcy ty będziesz musiał stawić im czoła.

Prestimion skinął głową. Ta rozmowa powoli stawała się nieznośna.

- Więc co sugerujesz?

Abrigant ożywił się natychmiast.

- Należy doprowadzić do wzrostu wydobycia użytecznych metali, zwłaszcza żelaza. Mając więcej żelaza będziemy w stanie produkować więcej stali na użytek przemysłu i transportu, co doprowadzi do ożywienia handlu zarówno na samym Majipoorze, jak i w stosunkach z sąsiednimi światami.

- A jak możemy do tego doprowadzić? Używając magii?

Udało mu się urazić brata.

- Błagam cię, panie, nie zachowuj się tak protekcyjnie. Ostatnio bardzo dużo o tym czytałem.

- Tak, wiem. Już mi o tym mówiłeś.

- Dzięki czemu wiem na przykład, że podobno gdzieś, daleko na południu, przy wschodniej granicy prowincji Aruachozja istnieje region, w którym gleba jest tak dziwnie bogata w metale, że nawet rośliny zawierają w pniach i liściach żelazo oraz miedź. Wystarczy je podgrzać, by uzyskać użyteczny metal.

- A owszem. Skakkenoir. Ale to mit, Abrigancie. Nikomu nie udało się znaleźć tego cudownego miejsca.

- Pytanie, czy skutecznie go szukano. Jedyne, co udało mi się znaleźć w archiwach to wzmianka o wyprawie z czasów Lorda Guadelooma, sprzed tysięcy lat. Powinniśmy spróbować jeszcze raz, Prestimionie. Mówię to bardzo poważnie. I mam jeszcze jedną propozycję. Otóż czy wiedziałeś, bracie, że istnieją sposoby otrzymywania żelaza, cynku i ołowiu z prostych substancji, takich jak węgiel, a nawet ziemia? Nie chodzi mi o czarnoksiężstwo, chociaż tego rodzaju nauka może się nim wydawać, lecz właśnie o naukę. Przeprowadzono już pewne badania. Mogę przedstawić ci ludzi, umiejących dokonać tego rodzaju transformacji. Na małą skalę, owszem, nawet na bardzo małą skalę... ale z odpowiednim poparciem, z funduszami ze skarbcza...

Prestimion przyjrzał mu się z nieukrywaniem zainteresowaniem. Tak, to był zupełnie nowy Abrigant.

- Rzeczywiście znasz tych ludzi?

- Nie osobiście, przyznaję. Ale słyszałem o nich i to z wiarygodnych źródeł. Nalegam bardzo stanowczo, bracie...

- Nie musisz nalegać, Abrigancie. Już nie. Rozbudziłeś moje wielkie zainteresowanie. Przyrowadź do mnie tych swoich magów. Chcę z nimi porozmawiać.

- Naukowców, Prestimionie, naukowców!

- Naukowców. Oczywiście. Chociaż każdy zdolny przemienić węgiel w żelazo wydaje się magiem, mnie przynajmniej. Chętnie poświęcę godzinę na dowiedzenie się czegoś o ich sztuce. Zgadzam się z twoją podstawową argumentacją: większy zasób metali oznacza większy dobrobyt Majipooru. Pytanie, czy pozyskamy więcej metalu.

- Jestem o tym przekonany, bracie.

- Zobaczymy.

Prestimion wstał. Odprowadził brata do drzwi; szli obaj po pięknej podłodze udekorowanej klepkami ghazynu, bannikopu i innych gatunków cennego drewna. Abrigant zatrzymał się w progu.

- Jeszcze jedna sprawa, Prestimionie. Czy to prawda, że nasz krewniak, Dantirya Sambail, jest więźniem na Zamku?

- A więc już o tym słyszałeś?

- Jest więźniem?

- Owszem. Siedzi sobie bezpiecznie w przytulnych tunelach Sangamora.

Abrigant uczynił święty gest.

- Nie wierzę własnym uszom, bracie. Cóż to za szaleństwo? Prokurator jest zbyt niebezpieczny, by traktować go w ten sposób.

- Właśnie dlatego, że jest niebezpieczny znalazł się tam, gdzie się znalazł.

- Ale... obrazić człowieka mającego taką władzę, tak swobodnie szafującego gniewem...

- Jeśli o obrazie mowa, to on obraził mnie, nie odwrotnie. W sposób w pełni usprawiedliwiający uwięzienie. Co do jej istoty i okoliczności, nie dotyczą one nikogo oprócz mnie. Niezależnie od tego, jaką potęgą włada prokurator Zimroelu, ja władam większą. Upewniam cię, że we właściwym czasie załatwię tę sprawę w sposób, na jaki zasługuje. Sprawiedliwości stanie się zadość. I... dziękuję ci, że zechciałeś mnie odwiedzić, bracie. Być może twoja wizyta sprowadzi same dobre rzeczy, dla nas wszystkich.

- A ten nowy Koronal, co o nim sądzisz? - spytał Dekkeret.

- Co tu jest do sądenia? - odpowiedziała jego kuzynka Sithelle. - To młody mężczyzna, tylko tyle wiem. Podobno inteligentny. Z czasem dowiemy się o nim wszystkiego. Aha, mówią też, że jest niski.

- Jakby miało to jakieś znaczenie. - Dekkeret prychnął pogardliwie.

- Chociaż pewnie ma, przynajmniej dla ciebie. Bo nigdy się z tobą nie ożeni. Jesteś dla niego za wysoka. Nie pasowalibyście do siebie.

Szli po szerokim grzbiecie masywnego, nieprzeniknionego muru z czarnych ogromnych głazów, otaczającego ich rodzinne Normork, jedno z dwunastu Miast Zbocza, leżące nisko na Górze, z dala od Koronala i jego siedziby. Dekkeret nie miał jeszcze osiemnastu lat, był wysoki, postawny, potężnie zbudowany, szeroki w ramionach; roztaczał wokół atmosferę siły i pewności siebie. Sithelle, dwa lata od niego młodsza, niemal dorównywała mu wzrostem, lecz przy jego boku wydawała się jeszcze delikatniejsza i smuklejsza niż w rzeczywistości, niemal krucha.

Roześmiała się wesoło dźwięcznym, srebrzystym głosem.

- Ja miałabym poślubić Koronala? Doprawdy wierzysz, że taka myśl powstała mi w głowie?

- Oczywiście, że powstała. Wszystkie dziewczyny na całym Majipoorze myślą teraz tylko o tym. „Lord Prestimion jest młody, przystojny i samotny, prędzej czy później wybierze sobie towarzyszkę

życia, więc dlaczego nie miałabym być nią ja?". Nie mam racji, Sithelle? Nie, oczywiście, że nie. Nigdy nie mam racji. A ty nigdy nie przyznałabyś się, że jesteś nim zainteresowana, nawet gdybyś była, prawda?

- Co też opowiadasz! Koronałowie nie żenią się ze zwykłymi dziewczynami. - Dziewczyna wzięła go pod rękę. - Jesteś głupi, Dekkercie. Jak zawsze.

Dekkeret i Sithelle byli najlepszymi przyjaciółmi na świecie. Na tym polegał problem, bo obie rodziny miały nadzieję, że kiedyś wezmą ślub, a oni dorastając razem uważali się za rodzeństwo, za brata i siostrę. Ona była ładną dziewczyną, o długich, gęstych, kręconych włosach koloru płomienia i błyszczących, przekornych szaroniebieskich oczach, Dekkeret wiedział jednak, że jego małżeństwo z nią jest mniej więcej tak prawdopodobne, jak... no, powiedzmy, jej małżeństwo z Lordem Prestimionem. A nawet nie tak prawdopodobne, ponieważ istniała przecież szansa, choćby mała, że Sithelle pozna kiedyś Koronała i spodoba mu się, podczas gdy nie było szansy, by on sam wybrał ją dla siebie.

Przez długą chwilę szli w milczeniu. Mur był tak szeroki, że prowadzącą jego wierzchem drogą mogło iść i dziesięć osób obok siebie, ale w tej chwili nie było tu tłoku. Robiło się późno, nadchodziła godzina długich cieni. Zielonozłota kula słońca wisiała nisko na niebie i już za chwilę miała skryć się przed ich wzrokiem za potężną, bijącą w niebo masą Zamku.

- Popatrz. - Dekkeret wyciągnął rękę i wskazał w dół, na miasto.

Stali w miejscu, gdzie mur, idąc za kształtem skalistych zboczy Góry, wybiegał na zewnątrz, omijając wysuniętą daleko kamienną ostrogę. W wytworzonej przez nią niszy stał starożytny pałac hrabiów Normork, niski, przysadzisty, niemal bezokienny prostokątny budynek, zwieńczony sześcioma groźnie wyglądającym wieżyczkami. Wyglądał bardziej na fortecę niż rezydencję, czym nie odróżniał się od samego miasta, sprawiającego wrażenie dobrze zabezpieczonego przed interwencją z zewnątrz, obróconego do środka, bezpiecznego i dobrze strzeżonego. Zupełnie jakby budowniczy mieli na względzie przede wszystkim możliwość ataku, wychodzącego z jakiegoś pobliskiego siedziska, i traktowali ją jako ciągłe zagrożenie. Sam mur zewnętrzny, z którego Normork służyło przede wszystkim, zamykał je niczym skorupa żółwia, tak potężny, że można niemal było uznać właściwe miasto za dodatek do niego.

W murze wybito tylko jedną bramę, wąską i niską, od niepamiętnych czasów zamykaną wieczorem, tak że wędrowcy, którzy nie zdążyli wjechać do Normork przed zachodem słońca musieli nocować pod murami. Powiadano, że sam mur wzorowany był na innym, także zbudowanym z wielkich głazów, teraz niemal w całości leżącym w ruinie, a niegdyś chroniącym prehistoryczną stolicę Metamorów, Velalisier. Lecz przecież ostatnią wojnę prowadzono na Majipoorze przed tysiącami lat i Dekkeret zastanawiał się często, przeciwko komu zamierzano bronić się za tak imponującym wałem.

- Chodzi ci o pałac? - upewniła się Sithelle. - Widzisz tam coś niezwykłego?

Z płaskiej, niezdobionej fasady zwisały długie żółte chorągwie.

- Nadal są w żałobie - zauważył Dekkeret.

- A nie powinni? Przecież hrabia i jego brat zginęli całkiem niedawno.

- Popatrz, a mnie się wydaje, że dawno. Przed kilkoma miesiącami.

- Skąd! Zaledwie przed kilkoma tygodniami. Wiem, wydaje się, że minęło więcej czasu, ale to naprawdę tylko tygodnie.

- Dziwne. Żeby obaj zginęli tak młodo...

Bracia uprawiali sport wędkarski. Oficjalnie podano do wiadomości, że utonęli w jeziorze na skutek wypadku.

- Czy to możliwe - mówił dalej Dekkeret - żeby rzeczy działały się tak, jak nam się mówi?

Sithelle spojrzała na niego, bardzo zdziwiona.

- A jest jakiś powód, żeby w to wątpić? Arystokracja chętnie daje się zabijać na polowaniach.

- Każe się nam wierzyć, że hrabia Iram zaciął scamminaupa tak wielkiego, że ten wciągnął go do jeziora i utopił. Dziewczyno, taki scamminaup musiał przewyższać rozmiarami smoka morskiego. Nie mogę przestać się dziwić, że po prostu nie puścił linki. Lamiran skoczył, żeby go uratować i też utonął? Bardzo trudno w to uwierzyć.

Sithelle wzruszyła ramionami.

- A po co ktoś miałby nas okłamywać? W sumie, co to za różnica, jak zginęli? Ważne, że nie żyją i że hrabią Normork został Meglis, a reszta nie ma znaczenia, prawda?

- No, tak... - przyznał Dekkeret - ...ale w każdym razie to dziwne.

- Co cię tak dziwi?

- Tyłu ludzi zginęło mniej więcej w tym samym czasie. Nie tylko diuków, książąt i hrabiów, ale i zwykłych ludzi też. Ojciec często podróżuje po całej Górze, taką ma pracę, sama wiesz. Bibiroon, Stee, Banglecode, Minimool i nie tylko. Mówi, że gdziekolwiek jest, wszędzie widzi żałobne chorągwie na fasadach ważnych budynków publicznych i prywatnych rezydencji. Mnóstwo ludzi umarło ostatnio. Mnóstwo. Trudno to wyjaśnić.

- Chyba tak. - Dziewczyna nie wyglądała na szczególnie zainteresowaną. Ale jego wyraźnie ten problem gnębił.

- Niepokoi mnie to, wiesz? Wiele rzeczy mnie ostatnio niepokoi. Nie uważasz, że ostatnie tygodnie wydają się jakoś dziwnie zamazane w pamięci? Nie chodzi tylko o śmierć hrabiego i jego brata, ale... śmierć starego Pontifexa, Lord Confalume zajmujący jego miejsce, powołanie Prestimiona na Koronała... to wszystko zdarzyło się tak szybko...

- Nic nie działo się szybko, kiedy jego dostojność umierał. Wydawało się, że trwa to wieki.

- Za to kiedy już umarł to w jednym tygodniu mieliśmy pogrzeb, w następnym koronację...

- Nie wydaje mi się, żeby Prestimiona koronowano tak szybko - zaprotestowała Sithelle.

- Może i nie, ale mnie się tak wydaje.

Tymczasem minęli już pałac i znaleźli się w miejscu, z którego skała nie zasłaniała widoku na ścianę Góry i, w oddali, na Morvole,

wybudowane na pomniejszym szczycie. Wbudowana w mur wieża strażnicza pełniła funkcje punktu widokowego. Po lewej droga biegła w dół, przebijając najeżony ostrymi skałami Grzbiet Normork i docierając aż na równinę, do miast kolejnego kręgu, a jeśli wyteżyło się wzrok, można było dostrzec, nieprawdopodobnie wysoko, ledwie widoczny cień pasa mgły, okrywającego najwyższe rejony Góry, zasłaniającego szczyt i stojący na szczycie Zamek przed oczami tych, którzy znajdowali się niżej.

Sithelle wspięła się zręcznie po wąskich kamiennych schodach, pozostawiając kuzyna daleko za sobą. Jej smukła figura i długie nogi dawały jej niezwykłą zręczność. Dekkeret podążał za nią w nieco bardziej godnym tempie. Ręce i nogi miał krótkie w porównaniu z potężnym tułowiem i nauczył się poruszać ostrożnie, a przede wszystkim niespiesznie.

Kiedy już dotarł na górę, zastał dziewczynę stojącą z zaciśniętymi na barierce dłońmi, patrzącą przed siebie pustym wzrokiem. Zatrzymał się tuż przy niej. Powietrze było czyste, chłodne i słodkie, z delikatną zapowiedzią deszczu mającego spaść późnym wieczorem. Dekkeret pozwolił sobie na spojrzenie w górę, tam gdzie, jak sobie wyobrażał, stał Zamek, uczepiony najwyższej grani, odległy w pionie o całe mile.

- Słyszałem, że Koronal wkrótce ma nam złożyć wizytę - powiedział po długiej chwili ciszy.

- Wielka procesja? Już? Myślałam, że Koronalowie nie bawią się w to póki nie spędzą na Górze dwóch, trzech lat.

- Nie chodzi o pełną procesję. Raczej o krótkie wizyty w niektórych miastach. Ojciec mi mówił. Dowiadyje się wielu ciekawych rzeczy podczas podróży.

Sithelle odwróciła się. Spojrzała na niego, oczy jej płonęły.

- Och, gdyby tylko miał rację! Zobaczyć prawdziwego Koronała...!
Zaniepokoił go ten bezgraniczny entuzjazm.

- Raz widziałem Lorda Confalume'a.

- Naprawdę?

- W Bombifale. Miałem wtedy dziewięć lat. Byłem tam z ojcem, a Koronała zaprosił do swych posiadłości Wielki Admirał Gonivaul. Widziałem, jak jadą razem wielkim lataczem. Nie sposób pomylić z kimś Gonivaula, ma gęstą rozczochraną brodę, zarastającą całą twarz, widać przez nią tylko oczy i nos. Obok niego siedział Lord Confalume i był, mówię ci, wspaniały! Promieniejący! Był wówczas w kwiecie wieku i widziało się światło bijące od jego postaci. Pomachałem mu, kiedy przede mną przejeżdżał i, słuchaj, on mi odmachał! Uśmiechnął się takim naturalnym, sympatycznym uśmiechem, jakby chciał mi powiedzieć, że bardzo kocha być Koronałem. Tego samego dnia ojciec zabrał mnie do Pałacu Bombifale. Lord Confalume zorganizował tam audiencję generalną. Wtedy znowu się do mnie uśmiechnął, jakby wyraźnie dając do zrozumienia, że mnie pamięta. To niezwykle, wiesz, czuć jego bliskość, siłę, dobro. Przeżyłem chyba najwspanialszą chwilę w całym moim życiu.

- Był tam Prestimion?

- Prestimion? Aha, pytasz, czy towarzyszył Koronałowi? Nie, skąd,

dziewczyno. Przecież to było dziewięć lat temu. Prestimion nie był wówczas nikim ważnym, po prostu jedno więcej młode książętko Zamkowej Góry, a tam jest ich przecież mnóstwo. Awansować zaczął znacznie później. Ale Confalume... och, Confalume! Co to za cudowny człowiek! Prestimion będzie musiał bardzo się starać, żeby mu dorównać.

- Sądysz, że mu się uda?

- Któż to może wiedzieć? Przynajmniej wszyscy się zgadzają, że jest bystry i energiczny. Czas odpowie na wszystkie pytania.

Słońce znikło z nieba, na ziemię spadły pierwsze, drobne krople deszczu. Dekkeret podał Sithelle kurtkę, ale dziewczyna potrząsnęła głową przecząco. Zaczęli schodzić z wieży.

- Jeśli Prestimion ma rzeczywiście przyjechać do Normork - mówił dalej Dekkeret - to zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby się z nim spotkać. Osobiście. Chcę z nim porozmawiać.

- Po prostu podejdź i przedstaw mu się. Z pewnością zaraz poprosi, żebyś usiadł obok niego i wypijecie razem butelkę wina.

Dekkeretowi nie spodobała się ironia w jej głosie.

- Mówię poważnie - zapewnił dziewczynę. W tej chwili deszcz poddał się, po zaledwie kilku minutach i niewielu kroplach, pozostawiając w powietrzu przyjemny, świeży zapach. Oboje poszli na zachód granią czarnego muru. - Nie spodziewasz się chyba, że chcę spędzić resztę życia w Normork, kontynuując pracę ojca.

- Czy to coś złego? Potrafię wyobrazić sobie gorsze rzeczy.

- Nie wątpię. Ale ja mam plan: chcę zostać rycerzem Zamku i

awansować do ważnego stanowiska w rządzie.

- Oczywiście. A pewnego dnia zostać nawet Koronalem. Mam rację?

- Dlaczego nie? - Sithelle stawiała się doprawdy nieznośna. - Każdy może zostać Koronalem.

- Jeśli ma właściwe kontakty rodzinne. Prości ludzie nie docierają na ogół do tronu.

- Ale mogą. Wiesz, Sithelle, każdy z nas ma szansę wspiąć się na sam szczyt. Musi cię tylko wybrać odchodzący Koronał, a nikt mu nie każe wybierać akurat spośród zamkowej arystokracji, jeśli nie ma na to ochoty. A w ogóle, kim jest arystokrata, jeśli nie potomkiem prostego człowieka z dawnych czasów? Nie jest przecież tak, że arystokracja jest osobnym gatunkiem. Posłuchaj mnie, Sithelle. Nie twierdzę, że spodziewam się zostać Koronalem, ani nawet, że pragnę zostać Koronalem. To twój pomysł, ja po prostu chciałbym zostać kimś więcej niż drobnym handlarzem, który całe życie musi wędrować po Górze z miasta do miasta, sprzedając towar znudzonym klientom, z których większość traktuje go jak błoto pod nogami. Nie to, żeby zawód handlarza był czymś upokarzającym, ja tylko uważam, że być urzędnikiem państwowym daje większe szanse...

- Jasne, Dekkercie, nie musisz mówić więcej. Przepraszam, że tak się z tobą drażniłam. Tylko proszę, skończ z przemowami. - Czubkami palców dotknęła skroni. - Przez ciebie znów zaczęła mnie boleć głowa.

Dekkeret natychmiast zapomniał o ogarniającej go irytacji.

- Przeze mnie? Przecież wczoraj też cię bolała, a nie wygłaszałem żadnych mów...

- Szczerze mówiąc od paru tygodni miewam częste migreny. Niektóre bardzo dotkliwe. Przedtem nie miałam tego problemu.

- Dałaś się zbadać? Byłaś u lekarza? U tłumaczki snów?

- Jeszcze nie. Ale zaczynam się bać. Niektórzy z moich przyjaciół też mają ten problem. A ty, Dekkeret?

- Migreny? Nie, niczego nie zauważyłem.

Doszli do szerokich kamiennych schodów, prowadzących w dół, ze szczytu muru na Melikand Plaza, będącą wrotami do Starego Miasta. Uliczki były tu wąskie, kręte, wyłożone błyszczącym zielonym brukiem. Dekkeret zdecydowanie wolał szerokie, skręcające łagodnie bulwary Nowego Miasta, choć stare uważał za pełne uroku i malownicze. Dziś jednak wydawały mu się raczej groźne i odpychające.

- Jeśli o bólach głowy mowa, to rzeczywiście, nie mam ich. Ale od czasu do czasu dzieją się ze mną dziwne rzeczy. - Umilkł, szukając właściwych słów. - Wiesz, trudno mi o tym mówić, Sithelle. Czuję się tak, jakby było coś, co powinienem pamiętać i prawie pamiętam, coś bardzo ważnego, ale nie jestem w stanie przypomnieć sobie, co to takiego. Kiedy o tym myślę, zaczyna kręcić mi się w głowie. Czasami aż tracę równowagę. Nie nazwałbym tego migreną, to raczej zawrót głowy.

- Dziwne - powiedziała Sithelle z namysłem. - Mnie też zdarzają się takie chwile. Jakbym coś zgubiła i chciała znaleźć, ale nie wiem,

gdzie szukać. To strasznie natrętne wrażenie. Wiesz, o czym mówię?

- O tak. Chyba wiem.

Przystanęli, tu ich drogi miały się rozstać. Sithelle uśmiechnęła się ciepło, ujęła jego dłonie.

- Mam nadzieję, że spotkasz się z Lordem Prestimionem, jeśli tylko pojawi się w mieście, Dekkerecie. I że zrobi cię rycerzem Zamku.

- Mówisz poważnie?

Spojrzała na niego, zdziwiona.

- Dlaczego nie miałabym mówić poważnie?

- W takim razie bardzo ci dziękuję. A kiedy go spotkam, to czy mam mu powiedzieć o pięknej kuzynce, która jest dla niego trochę za wysoka? Czy też wolisz, żeby zostawić tę sprawę?

- Staralam się być miła - powiedziała Sithelle żałośnie, puszcżając dłonie Dekkereta. - Ale ty nie masz oczywiście pojęcia, co to znaczy.

- Pokazała mu język i odbiegła, gubiąc się w leżącym przed nimi labiryncie wąskich, krętych uliczek.

Bombifale, Nocne Targowisko - oznajmił uroczyście Septach Melayn. Skłonił się i wskazał drogę zamaszystym gestem kapelusza o szerokim rondzie.

Prestimion wielokrotnie odwiedzał Bombifale, jedno z najbliższych Miast Wewnętrznych, leżące zaledwie dzień drogi od Zamku; nikt nie podważał jego prawa do miana najpiękniejszego na Górze. Wiele setek lat temu dało ono Majipoorowi Koronała, Lorda Pinitora, a Pinitor, człowiek wyjątkowo aktywny, wizjoner i wielki budowniczy, nie oszczędzał na przebudowie rodzinnego miasta. Ciemnopomarańczowy piaskowiec ząbkowanych murów sprowadzono setkami karawan jucznych zwierząt z groźnej pustyni, rozciągającej się za Labiryntem, wspaniałe płyty błękitnego kalcytu morskiego pochodziły z niezamieszkałych terenów leżących wzdłuż wschodniego wybrzeża Alhanroelu, w które nie wysyłano ekspedycji ani wcześniej, ani później, a ciągnące się wzdłuż granic miasta mury ozdobiono smukłymi, wdzięcznymi wieżyczkami wyjątkowo delikatnej konstrukcji, przez co Bombifale nabrało czarodziejskiego wyglądu, jakby wzniosły je istoty wręcz nadnaturalne.

Ale nie całe Bombifale było delikatne, magiczne, fantastyczne. Tu, gdzie stali w tej chwili Prestimion i Septach Melayn, na ścieżce brukowanej splekanymi, nierównymi kamieniami, prowadzącej ostro w dół do słabo oświetlonej, mrocznej dzielnicy magazynów przy

granicy miasta, niedaleko baśniowych murów Lorda Pinitora, było tak nędznie i cuchnęło tak strasznie jak w byle jakim, trzeciorzędym porcie.

Coś w tym otoczeniu wydawało się znajome. Może paki luźno powiązanych śmieci, pomyślał Prestimion. A może odór stojących gdzieś blisko ścieków. I te stojące blisko ceglane budynki wyglądające tak, jakby miały się lada chwila zawalić, stare, opierające się o siebie; one też budziły jakieś echo w pamięci.

- Już tu kiedyś byłem, prawda? - spytał.

- Prawda, panie. - Septach Melayn wskazał gestem małą, brudną gospodę po drugiej stronie ulicy. - Nocowaliśmy tu niedługo przed wojną. Wracaliśmy wówczas z Labiryntu po pogrzebie Pontifexa, byliśmy wyrzutkami, chcieliśmy sprawdzić, czy Korsibar jest w stanie utrzymać się na zagarniętym tronie.

- A tak, pamiętam. Rzeczywiście, cieszyliśmy się grubiańską, niechętną gościnnością tego wspaniałego przybytku. - I Prestimion, zniżając głos do niemal niesłyszalnego szeptu, dodał: - Nie powinienes nazywać mnie „panem”, nie tu.

- Któż uwierzyłby, że jakiś pan zabłąkał się w miejsce takie jak to? Poza tym nie jesteś do siebie podobny.

- Mimo wszystko. Przybyliśmy tu w sekrecie, więc bądźmy konsekwentni. A teraz chodźmy, pokażesz mi te swoje słynne Nocne Targowisko.

Nie chodziło o to, że Prestimion obawiał się o swe bezpieczeństwo. Był więcej niż pewien, że nikt tu nie ośmieli się podnieść ręki na

Koronala, gdyby jego prawdziwa tożsamość miała wyjść na jaw. Poza tym potrafił zadbać o siebie i nie bał się bójek, a nie narodził się jeszcze szermierz, zdolny dorównać Septachowi Melaynowi. Tyle, że demaskacja byłaby czymś głęboko zawstydzającym; oto sam Koronal Lord Prestimion przemykający przez nieprzyjemne, nędzne miejsce w poplamionym płaszczu i połatanych portkach, z połową twarzy ukrytą pod brodą czarną jak broda Gonivaula i odpowiednio dobraną do niej peruką, z włosami opadającym na plecy. Jaki mógłby podać powód takiej maskarady? Gdyby wieść o niej się rozniosła, cały Zamek śmiałyby się z niego miesiącami. I wiele czasu upłynęłoby, nim Kimbar Hapitaz, dowódca straży Koronala, pozwoliłby mu na podobną wyprawę.

Septach Melayn, także w przebraniu, z obrzydliwą szopą sztywnych jak druty rudych włosów ukrywających jego eleganckie jasne loki i obszarpaną apaszką, osłaniającą elegancko przystrzyżoną bródkę, poprowadził przyjaciela zarośniętą chwastami dróżką prowadzącą do skupiska kilku na pół zrujnowanych budynków, zamykających uliczkę. Przybyli tu we dwóch, Gialaurys nie mógł im towarzyszyć, bowiem daleko na północy ścigał i tępił sztuczne istoty, stworzone przez Korsibara na potrzeby wojny, lecz nigdy przez niego nie użyte. Część z nich zdołała wyrwać się na wolność i pustoszyła nieszczęsny okręg Kharax.

- Zapraszam do środka - powiedział Septach, otwierając ciężkie, przeraźliwie zgrzytające drzwi.

*

Prestimiona uderzył najpierw panujący we wnętrzu mrok, a potem jadowity odór, przeraźliwy hałas i chaos. To, co z zewnątrz wydawało się grupą budynków okazało się w istocie jednym, długim i niskim, podzielonym przejściami, ciągnącymi się jak okiem sięgnąć. Głównym, dalece niewystarczającym źródłem światła były unoszące się pod deskami dachu świetlne kule. Uzupełniały je płonące przed straganami pochodnie, plujące gęstym, śmierdzącym dymem.

- Cokolwiek zechciałbyś kupić, dostaniesz to tutaj - szepnął Septach Melayn Prestimionowi do ucha.

Była to niewątpliwie prawda. Prestimion miał wrażenie, że towarów jest tu nieskończoność.

Na straganach najbliższych wejścia sprzedawano przede wszystkim to, co można znaleźć na każdym dowolnym targu dosłownie wszędzie: wszelkiego rodzaju przyprawy i aromaty w nabitych do granic możliwości workach: bdella, malibathron, kankamon, storax i mabaric, szary corinder i fennel, i wiele innych, różne rodzaje soli, farbowanej na kolor indygo, czerwony, żółty i czarny, by można je było odróżnić bez próbowania, niezwykle ostry sproszkowany glabbam, dodatek do duszonych mięs uwielbianych przez Skandarów, słodka sarjorelle, dodająca smaku lepkiemu ciasteczkom Hjortów... niczego tu nie brakowało. Za handlarzami przypraw znajdowały się jatki z wielkimi kawałami mięsa zwisającymi z drewnianych haków, dalej stragany z jajami wszystkich gatunków ptaków, we wszystkich możliwych kolorach i kształtach, za nimi zbiorniki, z których można było kupić żywe ryby i gady, a nawet młode smoki morskie, dalej na

kupujących czekali sprzedawcy koszów, sakw, pacek na muchy i szczotek, mat z palmowych liści, butelek z kolorowego szkła, tanich koralików i nędznie wykonanych bransoletek, fajek i perfum, dywanów i błyszczących brokatem płaszczy, papieru do pisania, suszonych owoców, serów, chlebów i miodu, i tak dalej, stragan za straganem, po lewej i prawej, w tej sali, w następnej i jeszcze następnej.

Prestimion i Septach Melayn znaleźli się wśród plecionych klatek, w których znajdowały się żywe zwierzęta, sprzedawane do celów, których Prestimion wolał nawet nie dochodzić. Widział małe, tulące się do siebie bilantony, jakkabole o potężnych, sterczących zębach, mintony, drole, manculainy. W którymś momencie, skręcając za jeden ze straganów w poprzeczny korytarz, stanął twarzą w twarz z ukrytym za mocnymi bambusowymi prętami niewielkim stworzeniem o rudym futrze, którego nie potrafił nazwać. Przypominało wilka, było jednak niskie i szerokie, miało ogromne łapy i łeb nieproporcjonalnie wielki do ciała, oraz grube, wygięte, pożółkłe kły wyglądające tak, jakby mogły nie tylko rwać mięso, lecz także kruszyć kości. Jego żółtozielone oczy płonęły dzikim okrucieństwem. Klatka wydzielala z siebie zapach stęchlizny, jak mięso za długo leżące na słońcu. Przyglądał się istocie w zdumieniu, a ona wydała z siebie nagle niski okropny dźwięk, coś pośredniego pomiędzy warkotem a wyciem. Brzmiała w nim groźba.

- Co to jest? - spytał. - Najokropniejsze zwierzę, jakie zdarzyło mi się widzieć.

- Krokkotas - odparł Septach Melayn. - Zamieszkuje pustynie północy, od Valmambry na wschód. Mówi się, że umie naśladować ludzki głos, czym zwabia nocami wędrowca, a kiedy wezwany przez niego podchodzi, atakuje i zabija. I pożera ofiarę całą, nie zostawiając ani kości, ani włosów czy paznokci. W ogóle nic.

Prestimion skrzywił się przeraźliwie.

- Właściwie dlaczego coś aż tak okropnego wystawiane jest na sprzedaż na miejskim targowisku?

- O to zawsze możesz spytać sprzedawcę. Ja osobiście nie mam pojęcia.

- Chyba lepiej nie wiedzieć. - Prestimion obdarzył krokkotasa pożegnalnym spojrzeniem. Nagle doznał wrażenia, że wycie stworza ma znaczenie, że mówi on: „Koronalu, Koronalu, chodź do mnie, Koronalu”. - Dziwne - mruknął do siebie.

Poszli dalej, wystawione towary stały się jeszcze dziwniejsze.

- Wkraczamy na targ czarnoksiężników - objaśnił mu przyjaciel. - A może zrobimy sobie teraz krótką przerwę? Zjemy coś?

Prestimion nie miał pojęcia, co sprzedawane jest w kilku przylegających do siebie, małych straganach z jedzeniem, przed którymi stali. Septach Melayn nie był chyba wiele mądrzejszy od niego. Za to zapachy urzekały. Kilka pytań zidentyfikowało dla nich mielone mięso bilantoona z siekaną cebulką z czubków palm, pieprzną wyeille w liściach winorośli, kolejny stragan specjalizował się zaś w przygotowaniu mięszu wielkiej dyni zwanej khiyaar duszonego z fasolą i małymi kawałkami ryby. Wszyscy sprzedawcy

byli Liimenami, kamiennie spokojnymi, trzyokimi istotami o płaskich twarzach, podejmującymi najcięższe i najgorzej płatne na Majipoorze prace. Wypytyjącemu o naturę ich towaru Septachowi Melaynowi odpowiadali ochryplymi, niemal niezrozumiałymi z powodu gardłowego akcentu monosylabami, a czasami nie odpowiadali wcale, więc w końcu kupił nieco specjałów, wybranych mniej lub bardziej przypadkowo, płacąc także za Prestimiona, który, jak to było w zwyczaju, nie miał przy sobie pieniędzy. Zatrzymali się przy wejściu na targ czarnoksiężników, spróbowali specjałów. Okazały się wyjątkowo smaczne; na prośbę przyjaciela Melayn dopełnił ucztę butelką prostego, ale wyraźnego w smaku wina.

Prestimion wiedział, jak wygląda targ czarnoksiężników, widział go na wygnaniu, w mieście magów Triggoin. Można tam było dostać najdziwniejsze maści i eliksiry, wszelkiego rodzaju amulety oraz zaklęcia, przydatne w bardzo różnych okolicznościach. Tego rodzaju miejsce pasowało do mrocznej, tajemniczej stolicy magii, należało się go nawet spodziewać. Ale piękne, pogodne Bombifale? Leżące u samego progu Zamku? Wydawało się to wręcz niesamowite. Po raz kolejny Prestimion otrzymał dowód na to, jak dalece okultystyczne sztuki wdarły się w ostatnich latach w samą tkankę życia na Majipoorze. Kiedy był chłopcem, nic nie wiedział o magii i czarach, a teraz świat tańczył do muzyki magów i czarodziejów.

W porównaniu z tym, na co patrzyli w tej chwili, zewnętrzne sektory Nocnego Targowiska wydały się im niemal puste. Tu, gdzie handlowano towarem bardziej ezoterycznej natury, klienci tłoczyli się

w przejściach tak gęsto, że Prestimion i Septach Melayn mieli poważne trudności, by się wśród nich przecisnąć.

- Ciekawe, czy jest tu tak co noc? - zdziwił się Prestimion.

- Targowisko czarnoksiężników otwiera się tylko w pierwszy i trzeci Dzień Morza każdego miesiąca - odparł Melayn. - Jeśli ktoś chce coś kupić, musi przyjść w któryś z tych dni.

Prestimion gapił się przed siebie szeroko otwartymi oczami. Tu też widział stragany ze stosami wypchanych worków, ale nie było w nich przypraw i zapachów lecz, o czym niezmordowanie informowali sprzedawcy, surowce do produkcji artykułów przydatnych w czarnoksiężskich sztukach, proszki i oleje, olustro, elecamp i złota ruta, i sproszkowana pistacja, i chochli cukier, mirra, aloes, cynober, maltabar i rtęć, i siarka, i thekka ammoniaca, scamion, pestash i yarkand, i dvort. Czarne świece służyły do przepowiadania przyszłości z błyskawic i zwierzęcych wnętrzności, przeróżne specyfiki broniły przed klątwami i oddaniem się we władzę demonom, wino przywracało życie, kataplazmy odpędzały diabelską gorączkę. Grawerowane talizmany miały moc przywoływania irgalisteroi, podziemnych prehistorycznych duchów antycznego świata, zaklętych potężną mocą Metamorfów przed dwudziestoma tysiącami lat; czasami, jeśli znało się odpowiednie formuły przywołujące, można je było nagiąć do własnej woli. Prestimion dowiedział się o nich w Triggoin, w którym znalazł schronienie przed armiami Korsibara.

W głowie kręciło mu się na widok niekończącego się mnóstwa amuletów, magicznych instrumentów i narzędzi, roślinnych leków i

innych specyfików rozłożonych wokół jak daleko sięgał wzrok. Przykro było patrzeć na obywateli pięknego Bombifale, tłoczących się setkami w przejściach między straganami tego przedziwnego targu, rozpychających się łokciami, równie chętnie co pospiesznie pozbywających się zarobionych w pocie czoła koron i rojali, przeznaczając je na tego rodzaju dziwactwa. Bo przecież przeważali zwykli, skromnie ubrani ludzie, a jednak potrafili trwonić pieniądze jak książęta na wyścigach.

- Jest tego więcej? - spytał.

- O tak. O wiele więcej.

Podłoga budynku, w którym znajdował się targ, wydawała się pochylać i prowadzić w dół. Najwyraźniej schodzili do podziemnej części targowiska.

Było tu więcej dymu, od którego powietrze było bardziej stęchłe. Oprócz handlu uprawiano tu także rozrywki. Żonglerzy, grupa czterorękich Skandarów, miotali w siebie nożami, kulami i płonącymi pochodniami zapomniawszy najwyraźniej o całym świecie. Muzycy, przycupnięci nad miseczkami na datki, grali na skrzypcach, bębenkach i rikkitawmach nie zwracając uwagi na wszechobecny hałas. Zwykli, „magicy” prezentowali nie mające żadnych pretensji do bycia magią kuglarskie sztuczki z wężami, różnobarwnymi chusteczkami, zamkniętymi na cztery spusty skrzynkami i nożami, które miały im przebijać gardła. Skrybowie nawoływali tych, którzy chcieli napisać list, lecz nie posiadli sztuki pisania, nosiciele wody, obwieszeni błyszczącymi sakwami, obiecywali ukoić pragnienie

spragnionych, mali chłopcy o błyszczących oczach zapraszali przechodzących do zrobienia majątku w grze polegającej na szybkim manipulowaniu pękami gałązek.

Prestimion uświadomił sobie nagle, że pośrodku całego tego zamieszania istnieje strefa ciszy, że przez sam środek tłumu przebiega linia cichych, stłumionych szeptów. Nie od razu zorientował się, co wywołuje tak zdumiewający efekt, lecz po chwili Septach Melayn wskazał mu dwie postaci w mundurach oficjeli Pontyfikatu idących przed siebie powoli, niewzruszenie, ciągnąc za sobą falę niepewności, nawet strachu. Jednym z nich był Hjort o szorstkiej skórze, szerokiej, nadętej gębie i wyłupiastych oczach, charakterystycznych dla jego gatunku. Jak oni wszyscy trzymał się demonstracyjnie, przesadnie prosto, przez co w oczach wszystkich innych mieszkańców Majipooru Hjortowie uchodzili za pompatycznych, nadętych i śmiesznie zarozumiałych, choć ten sposób poruszania się był naturalny dla ich rasy o tęgich ciałach i nisko umieszczonym środku ciężkości. Z jego ramienia zwisała wielka waga szalkowa, która Prestimionowi wydała się bardziej oznaką władzy niż czymś, co bywa używane w praktyce.

Znacznie większą konsternację wydawała się wywoływać druga postać, a mianowicie mężczyzna z rasy Su-Suherisów, niesamowicie wysoki, dorównujący chyba wzrostem Skandarom, z dwiema łysymi, niezmiernie wydłużonymi głowami o zimnych oczach, umieszczonymi na długiej na pół metra, rozwidlającej się, cienkiej szyi. Sprawiał on bardzo niepokojące wrażenie. Su-Suherisowie zawsze niepokoiili. Jak Hjortowie nie mogli nic poradzić na to, że

przedstawicielom innych ras wydawali się zawsze karykaturalnie tędy, a z tymi swoimi wulgarnymi rysami, szorstką skórą koloru popiołu i wybałuszonymi ślepiami także śmiesznie brzydzy, tak i Su-Suherisowie przez dwie lśniące blade głowy musieli wydawać się groźni i obcy na tym świecie jak żadna inna rasa.

- Inspektor miar i wag - powiedział Septach Melayn odpowiadając na niewypowiedziane pytanie przyjaciela.

- Tu? Zdaje się, że mówiłeś mi, że tego targowiska nie nadzoruje żadna rządowa agencja.

- Bo i nie nadzoruje. A jednak działają tu inspektorzy. To ich własne, prywatne przedsięwzięcie, pracują w wolnym czasie. Każą handlarzom dowodzić, że ich wagi i ceny są uczciwe, a jeśli trafi się ktoś, kto tego dowieść nie może, zabierają go na zewnątrz, gdzie zostaje on wychłostany przez innych handlarzy. Pobierają za to wynagrodzenie. Nikt tu nie chce widzieć niczego niewłaściwego.

- Ale przecież tu wszystko jest niewłaściwe.

- Och, nie dla nich przecież - zaprotestował Melayn.

Istotnie, ten świat istniał sam w sobie i dla siebie, Nocne Targowisko w Bombifale wykraczało poza granice Majipooru, nad którym władzy nie mieli ani Koronal, ani Pontifex.

Inspektor miar i wag, wraz ze swym przybocznym Hjortem, godnie i powoli szli dalej, w głąb targowiska. Prestimion i Septach Melayn ruszyli w ślad za nimi.

W tym miejscu swe stoiska mieli sprzedawcy akcesoriów koniecznych w sztuce wieszczenia i przewidywania przyszłości.

Prestimion rozpoznawał niektóre z nich dzięki treningowi, jaki przeszedł w Triggoin. Skrząca się substancja w małych płóciennych zawiniątkach nosiła nazwę pyłu zemzem, osypanie nim poważnie chorego zdradzało, jak też rozwijać się będzie choroba, na którą cierpi. Pochodził z Velalisier, nawiedzonej, zrujnowanej stolicy pradawnych Metamorfów. Małe, wyglądające jak spalone ciasteczka nosiły nazwę rukka i miały wpływ na przebieg miłosnej przygody, a lepkie błoto z Pływającej Wyspy Masulind pomagało w zawarciu korzystnej transakcji handlowej. Sproszkowany aloes delem pomagał określić płodne dni kobiety, wywołując na jej piersiach cienkie czerwone kręgi. I jeszcze coś, takie dziwne...

*

- Bezwartościowa zabawka, panie - powiedział ktoś stojący po jego lewej stronie głębokim, dźwięcznym głosem, dobiegającym z bardzo wysoka. - Lepiej zrobisz nie poświęcając temu czemuś swej cennej uwagi.

Prestimion trzymał w dłoniach urządzenie w postaci magicznego kwadratu, które w rękach fachowca miało podobno udzielać odpowiedzi na wszelkie pytania, lecz w formie numerycznej, wymagającej odkodowania. Zdziwiło go, więc wziął je ze straganu, by bliżej się mu przyjrzeć. Usłyszawszy głos, którego się nie spodziewał, odrzucił urządzenie na stragan jakby parzyło niczym rozpalone węgle i spojrzał na mówiącego.

Był to kolejny Su-Suheris, wysoki, o skórze barwy kości, ubrany w prosty czarny płaszcz przepasany czerwoną szarfą. Jego lewa głowa

przyglądała mu się chłodno, beznamiętnie, druga zaś patrzyła bez zainteresowania w zupełnie innym kierunku.

Prestimion poczuł przede wszystkim zakłopotanie i niesmak.

Trudno było czuć się swobodnie w towarzystwie tych dwugłowych istot, tak dziwnie wyglądały i się zachowywały. O wiele łatwiej przychodziło przyzwyczać się do równie wielkich, kudłatych, czterorękich Skandarów lub małych Vroonów z ich wieloma mackami, albo nawet gadzich Ghayrogów, którzy w tak wielkiej liczbie osiedlili się na drugim kontynencie. Skandarowie, Vroonowie i Ghayrogowie też nie przypominali ludzi, ale przynajmniej nosili na karku jedną głowę.

Poza tym Prestimion miał własne powody, by nie kochać Su-Suherisów. Sanibak-Thastimoon, osobisty czarnoksiężnik Korsibara, należał do tej właśnie rasy. To on, ze swym lodowato zimnym zachowaniem, bardziej niż ktokolwiek winny był wepchnięcia słabego, podatnego na wpływy Korsibara na drogę wiodącą przez uzurpację tronu do wojny, fałszywie przepowiadając mu wspaniałe zwycięstwo. To przede wszystkim dzięki jego zaklęciom siłom Korsibara udało się utrzymać przewagę w wojnie tak długo. I to on, w ostatnich chwilach decydującej bitwy, zaatakowany przez zwyciężonego już, zdesperowanego uzurpatora, zabił Korsibara i jego siostrę Thismet, gdy zrozpaczona rzuciła się na niego z mieczem, wyjętym z ręki poległego brata.

Ale Sanibak-Thastimoon zginął w chwilę później od ciosu Septacha Melayna. Sam fakt jego istnienia usunięty został wraz z tyłu

innymi rzeczami i zdarzeniami przez czarnoksiężników, którzy wymazali wojnę ze zbiorowej pamięci Majipooru. Ten Su-Suheris z pewnością nie był Sanibakiem i trudno przecież obciążyć go winami jego krewniaka. Poza tym, przypomniał sobie Prestimion, Su-Suherisowie są pełnoprawnymi obywatelami tego świata. Nie jest jego rolą traktowanie ich z pogardą.

Zachował więc spokój i spytał:

- Zapewne masz powód, by nie ufać tym maszynkom?

- To, co czuję, panie, należałoby nazwać raczej pogardą niż nieufnością. Są bezużyteczne. Jak większość towaru, oferowanego tu na sprzedaż. - Dwugłowa istota wyciągnęła przed siebie długie, chude ramię, obejmując tym gestem całą widoczną część targu. - Istnieje prawdziwa sztuka wieszczenia i istnieje ta inna, a tu mamy w zasadzie wyłącznie godne pogardy, bezużyteczne narzędzia, wytworzone dla oszukania głupich ludzi.

Prestimion skinął głową. Podniósł głowę i patrząc w zimne, szmaragdowe oczy tej tak obcej mu istoty spytał cicho:

- Dwukrotnie nazwałeś mnie panem. Dlaczego?

Su-Suheris spojrział na niego, zdziwiony.

- Ależ dlatego, że należy tak się do ciebie zwracać, panie. - Kościste palce rozwarły się, czyniąc gest rozbłysku gwiazd. - Czyż nie tak?

Septach Melayn przysunął się do nich. Dłoń trzymał na rękojeści miecza, twarz skrzywioną miał we wrogim grymasie.

- Przyjacielu, uwierz mi, że bardzo się mylisz. Lepiej będzie dla

ciebie, jeśli zaniechasz rozmowy w tym tonie.

Obie głowy obdarzyły uwagą Prestimiona, czworo oczu patrzyło z wielkiej wysokości na jego niewysoką, lecz mocno zbudowaną postać. Głosem, którego nie był w stanie usłyszeć nikt poza nimi, lewa głowa powiedziała:

- Mój dobry panie, wybacz mi, jeśli w czymś pobłądziłem. Twa tożsamość jest przecież oczywista. Nie wiedziałem, że chcesz pozostać nierozpoznany.

- Oczywista? - Prestimion przeczesał palcami sztuczną brodę, pociągnął za włosy peruki. - Czyżbyś rozpoznawał moje rysy pod tym przykryciem?

- Rozpoznaję twą naturę i pozycję bez najmniejszego kłopotu, panie. Oraz naturę i pozycję stojącego obok ciebie Wysokiego Doradcy Septacha Melayna. Nie skryją ich fałszywe brody i peruki, a przynajmniej nie ukryją ich przede mną.

- A ty, kim jesteś? - spytał Melayn.

Dwie głowy pochyliły się jednocześnie w dworskim ukłonie.

- Nazywam się Maundigand-Klimd - przedstawił się Su-Suheris jak prawdziwy światowiec. Tym razem przemówiła prawa głowa. - Z zawodu jestem czarnoksiężnikiem. Kiedy obliczenia powiedziały mi, że będziesz tu dziś, uznałem za stosowne i pożądane pojawić się u twego boku.

- Obliczenia, co?

- Przyznaję, że nieco inne niż te, jakie przeprowadza się na tych tu maszynkach. - Maundigand-Klimd roześmiał się z chłodną pogardą,

wskazując gestem magiczne kwadraty, tak interesujące Prestimiona. - One tylko udają magię, w dodatku bardzo nieudolnie. W sercu moich przepowiedni miejsce ma prawdziwa matematyka.

- A więc przewidujesz przyszłość naukowo.

- Z pewnością jest to nauka, szlachetny.

Słyszac ten tytuł Prestimion zerknął na przyjaciela, ale jego twarz pozostała nieruchoma. Do Maundiganda-Klimda powiedział:

- A więc nie było nic przypadkowego w tym, że pojawiłeś się przy mnie właśnie w tej chwili?

- Och, panie... - Mag uśmiechnął się i bardziej przypominało to zwykły, normalny uśmiech niż wszystko, co kiedykolwiek widział na twarzy Su-Suherisa. - To, co nazywamy przypadkiem, nie istnieje.

- Proszę tędy, jeśli pozwolisz, Lordzie Prestimionie - powiedział Navigorn z Hoikmar.

Obaj stali przy wejściu do tuneli Lorda Sangamora, niezwykle skomplikowanego labiryntu podziemnych komnat o świecących jasno ścianach, które Koronal sprzed tysiącleci kazał wyryć w zachodnim zboczu Zamkowej Góry.

- Nie sądzę, byś miał okazję być tu kiedyś, szlachetny - mówił dalej Navigorn - a to doprawdy niezwykle miejsce.

- Odwiedziłem je raz, z ojcem, kiedy byłem małym chłopcem. Chciał, żebym obejrzał sobie barwy ścian. Tuneli nie używano jako więzienia przynajmniej od kilkuset lat.

- Od czasów Lorda Amyntilira. - Wartownik na służbie na ich widok odstąpił o krok. Navigorn położył dłoń na metalowej płycie przy framudze i drzwi rozsunęły się przed nimi na wąski korytarz, prowadzący do właściwych tuneli. - Ale cóż to za wspaniałe lochy! Jak widzisz, wejść tu można tylko przez łatwy do obstawienia korytarz. Potem, cały czas pod ziemią, dochodzimy do Szczytu Sangamora, wznoszącego się ze zbocza góry w taki sposób, że nie sposób się nań wspiąć, a dotrzeć do niego można tylko pod ziemią.

- Owszem - przyznał Prestimion. - Bardzo pomysłowe.

Nie zamierzał poinformować Navigorna, że jest to jego trzecia wizyta w tunelach, i że zaledwie dwa lata temu to on był tu więźniem,

pierwszym od stuleci, aresztowanym przez Korsibara. Powieszono go za nadgarstki i kostki na ścianie kamiennej sali, której ściany emitowały potężne, zmienne błyski jaskrawoczerwonego światła, widoczne nawet przez zamknięte powieki. Światło to, docierające falami do jego mózgu, atakowało go tak bezlitośnie, że nieomal oszalał.

Nie miał pojęcia, jak długo go więziono. Co najmniej trzy, cztery tygodnie, choć jemu wydawało się, że trwało to miesiące, a nawet lata. Wyszedł na wolność słaby, roztrzęsiony, potrzebował wiele czasu, by znów dojść do siebie.

Navigorn nic jednak o tym nie wiedział. Pobyt w tunelach Sangamora był jeszcze jednym z wielu zdarzeń, wymazanych zaklęciem z pamięci mieszkańców Majipooru. Wszystkich, ale nie jego. Gdyby tylko i on mógł zapomnieć! Ale nie, wspomnienie tych strasznych chwil pozostanie z nim na zawsze.

Teraz jednak nie był więźniem, lecz Koronalem. Navigorn wprowadził go do środka, cały czas przemawiając niczym przewodnik. Prestimiona rozbawiło to, jak dobrze poczuł się w roli więziennego strażnika.

- Jak widzisz, panie, ściany wyłożone są materiałem przypominającym kamień, choć w istocie sztucznie wytworzonym. Jego cechą charakterystyczną jest to, że nieustannie wydziela z siebie wielkie ilości barwnego światła. Jest to jeden z tych naukowych sekretów starożytnych, który nie dotrwał do naszych czasów.

- Jeden z wielu, choć muszę przyznać, że ten nie wydaje mi się

szczególnie użyteczny.

- Te kolory są jednak piękne.

- Mogą się podobać tylko do pewnego momentu. Potrafię wyobrazić sobie, że przychodzi chwila, kiedy zaczynają doprowadzać do furii, silne i nie dające się wyłączyć.

- Być może, jednak przez kilka chwil...

No cóż, jego, Prestimiona, Korsibar więził znacznie dłużej niż przez kilka chwil, aż wreszcie powtarzające się nieustannie, dzień po dniu, noc po nocy, bezlitosne rozbłyski rubinowego światła okazały się niemal zabójcze. Prestimion nie znalazł w sobie tyle złości, by skazać Dantiryę Sambaila na to samo, więc dopilnował, by znalazł się on w jednej z wygodniejszych komnat.

Wiedział, że po Zamku krążą najbardziej nieprawdopodobne plotki. Dantiryę Sambail miał leżeć skrępowany we dnie i w nocy, w najgorszej, najposępniejszej norze, znosząc najwymyślniejsze tortury. Tymczasem prawda wyglądała całkiem inaczej. Nie założono mu więzów, nie przykuto do ściany jak Prestimiona, lecz oddano do dyspozycji dużą salę, w której miał pełną swobodę ruchów, wyposażoną w łóżko, sofę i biurko. Promieniowanie ścian też mu nie przeszkadzało, było łagodne, pastelowozielone, w niczym nie przypominało gwałtownych fal oślepiającej, atakującej mózg i paraliżującej ducha czerwieni, które Prestimion zmuszony był znosić tak długo.

Koronal nie uznał jednak za stosowne zaprzeczać plotkom. Niech każdy wierzy w to, w co chce wierzyć. O Dantiryi Sambailu i jego

losach nie miał zamiaru dyskutować z nikim, wcale nie jest źle, jeśli nowy Koronal wzbudzi w swym bezpośrednim otoczeniu odrobinę niepokoju.

Wraz z Navigornem przeszedł przez sferę rozmytego, mlecznozielonego, falującego światła, ciężkiego jak woda na dnie oceanu i światła jadowicie pomarańczowego, ostrego jak klinga, a także światła barwy ochry, rozjarzającego się i gasnącego z siłą potężnych, stłumionych bębnow. Szli w górę po spirali, wspinając się na kamienny sztylet Szczytu Sangamora; przez moment, na szczęście krótki jak mgnienie oka, Prestimiona uderzyło rubinowoczerwone światło jego starej celi. Sąsiednia błyszczała jakby była wyłożona świeżo wytopioną miedzią. Potem barwy złagodniały: hiacyntowo-niebieska, akwamaryna, blady fiolet.

Przyszła wreszcie kolej na łagodną, żółtawą zielen chartreuse i Koronal stanął na progu celi, w której przetrzymywany był prokurator Ni-moya.

Odkładał wizytę u prokuratora tak długo, jak tylko było to możliwe, a wiedział, że dłużej nie może jej już odkładać. Przyszedł czas, by uznać wreszcie prosty fakt: Dantirya Sambail przetrzymywany jest jako oskarżony o przestępstwa główne i pomniejsze naruszenia prawa, o których nie miał jednak zielonego pojęcia. Nadal nie wiedział, jak poradzi sobie z nieuniknionym paradoksem tej sytuacji, rozumiał jednak, że nie może już się do niego nie odnieść.

*

Navigorn długo i cierpliwie otwierał skomplikowane zamki drzwi, a kiedy skończył, prokurator pozdrowił Koronala serdecznym: „Ach, kuzynie!”

- Powiedzieli mi, że mam dziś oczekiwać twych odwiedzin - mówił dalej - ale myślałem, że żartują albo chcą we mnie wzbudzić próżne nadzieje. Jak to miło widzieć znów twoją młodą, przystojną twarz, Prestimionie! Ale, ale... powinienem przecież nazywać cię Lordem Prestimionem, prawda? Jak rozumiem koronowano cię już, zasiadłeś na tronie, choć przez jakieś przeoczenie nie zaproszono mnie na uroczystość.

Prokurator uśmiechnął się rozbrajająco, wyciągnął ręce, spięte łańcuchem zamkniętym obręczami na nadgarstkach, pokręcił palcami w dobrodusznej karykaturze gestu rozbłysku gwiazd.

Prestimion wiedział, że po pierwszym w tych okolicznościach spotkaniu twarzą w twarz z Dantiryą Sambailem może spodziewać się wszystkiego, ale ten pokaz uroczej jowialności nie plasował się wysoko na liście oczekiwanych reakcji. Właśnie dlatego kazał skrępować mu ręce na czas odwiedzin, bowiem prokurator Zimroelu miał siłę byka i wściekły z powodu uwięzienia był w stanie rzucić się w morderczej furii nawet na samego Koronala Majipooru, gdy tylko ten przekroczy próg jego celi.

Ale nie. Dantirya Sambail uśmiechał się uroczo, oczy błyszczały mu humorem, jakby rozmawiali przy stole w gospodzie, a Lord Prestimion był jego ulubionym gościem.

- Rozkuj go - polecił Navigornowi.

Po krótkiej chwili wahania Navigorn wykonał polecenie. Prestimion zachował czujność, był gotów do obrony na wypadek, gdyby dobry humor więźnia zmienił się nagle w niepohamowaną wściekłość i gdyby chciał skorzystać z uzyskanej swobody ruchów. Ale prokurator nie ruszył się z miejsca, stał w przeciwległym krańcu celi, pomiędzy długą, niską kanapą a biurkiem o falistej linii, na którego blacie leżały rzucone niedbale książki. Był rozluźniony, swobodny. A jednak Prestimion doskonale wiedział, jak gorący płomień urazy szaleje teraz w duszy kuzyna.

Ze ścian bił jednostajny, bladozielony blask. Otaczał i łagodnie obmywał wszystko, co znalazło się w jego zasięgu.

- Miło mi wiedzieć, że twa komnata należy do przyjemnych, kuzynie. Mam wrażenie, że w tunelach znalazłoby się wiele gorszych miejsc.

- Doprawdy, Prestimionie? Nie wiem nic na ten temat. Ale oczywiście, oczywiście... całkiem tu miło... i ta delikatna zieleń, którą oddają ściany... eleganckie meble, podłoga z doskonale gładzonego kamienia, którą codziennie szlifuję, spacerując po niej tam i z powrotem. Mogłeś potraktować mnie znacznie mniej uprzejmie.

Miękki, cichy głos nie w pełni maskował obecną w nim furję. Prestimion obserwował Dantiryę Sambaila bardzo uważnie. Nie patrzył mu w oczy od tego straszego dnia pod Granią Thegomar kiedy - w trakcie bitwy kończącej się klęską nieżyjącego już Korsibara - stanął on przed nim z mieczem w jednej ręce i toporem w drugiej i wyzwał go do walki, której stawką miał być tron Koronała. I

omal go nie obalił uderzeniem płazem miecza w żebra, choć w końcu to Prestimion zwyciężył, przecinając rapierem ścięgną ręki trzymającej topór, a potem zostawiając długą ranę na ręce uzbrojonej w miecz. Mimo iż Dantirya Sambail ubrany był w luźną, marszczoną bluzę ze złotego jedwabiu widać było, że nadal nosi opatrunki, choć rany miały czas się zagoić.

Był to człowiek w średnim wieku, wręcz wspaniały w swej brzydocie, przysadzisty i ciężki, z wielką głową na grubej szyi, szeroki w ramionach. Twarz miał bladą, całą upstrzoną jaskrawoczerwonymi piegami, włosy rude, niemal pomarańczowe, sztywne, sterczące i bardzo gęste, wiszące mu frędzlami nad wysokim, wypukłym czołem, brodę spiczastą, szeroki mięsisty nos i okrutne usta. Była to twarz straszliwej bestii, z której wyglądały na człowieka przedziwnie łagodne, fiołkowszare oczy o nieprawdopodobnie ciepłym, łagodnym, pełnym sympatii i współczucia spojrzeniu. Kontrast między jego wrażliwością a gwałtownością rysów był w tym człowieku najstraszniejszy, świadcząc o tym, że mamy oto do czynienia z człowiekiem zdolnym pojąć pełną gamę ludzkich uczuć... i wykorzystać je wszystkie w służbie swej niepohamowanej zachłanności.

Dantirya Sambail stał w tej chwili w charakterystycznej dla niego pozycji, z wyzywająco wysuniętą wielką głową, wypiętą piersią i szeroko rozstawionymi krótkimi nogami, gwarantującymi doskonale utrzymanie równowagi. Był gotów do ataku zawsze, nawet wtedy, kiedy odpoczywał. Zimroelem, kontynentem, na którym się urodził,

rządził jak udzielny, niezależny władca ze swej rezydencji w wielkim mieście Ni-moya, jego władztwo wydawało się niezmiernie, a jednak najwyraźniej mu to nie wystarczało. Pragnął nie tronu kontynentu, lecz Majipooru, a co najmniej prawa wyznaczania jego władcy. On i Prestimion byli kuzynami drugiego stopnia i od zawsze udawali, że stosunki między nimi są kordialne, choć nigdy takie nie były.

Mijały chwile, a Prestimion milczał. Przemówił Dantirya Sambail, nadal cichym, kpiącym głosem. Jego samokontrola budziła podziw.

- Czy uczynisz mi zaszczyt, panie, i raczysz mnie oświecić jak długo jeszcze będę się cieszył twą gościnnością w tym miejscu?

- Nie zostało to jeszcze ustalone, Dantiryo Sambailu.

- Sprawy wagi państwowej wymagają mej obecności na Zimroelu.

- Niewątpliwie. Najpierw jednak musimy rozważyć kwestie twej winy i kary. Dopiero później zezwolę ci powrócić do rządów na Zimroelu... jeśli w ogóle ci na nie pozwolę.

- Ach. - Głos prokuratora zabrzmiał bardzo poważnie, jakby dyskutowali wymagania przy produkcji najlepszych win, lub hodowli bidlaków. - Mówisz o mojej winie. O karze. Powiedz mi więc, czego jestem winny? W jaki sposób zamierzasz mnie ukarać? Spodziewam się, że w swej łaskawości zechcesz wyjaśnić tę drobną, nieważną zagadkę.

Prestimion zerknął na Navigorna spod oka.

- Chcę porozmawiać z prokuratorem w cztery oczy - powiedział. - To nie potrwa długo.

Navigorn zmarszczył brwi. On był uzbrojony, Koronał nie. Rzucił okiem na leżące luzem łańcuchy, krępujące dłonie więźnia. Prestimion potrząsnął głową, więc odwrócił się posłusznie i wyszedł.

Jeśli prokurator ma go zaatakować to teraz, co do tego nie można było mieć wątpliwości. Przy potężnie zbudowanym, o dobre pół głowy wyższym krewniakowi Koronał sprawiał wrażenie wręcz delikatnego. Wyglądało jednak na to, że prokuratorowi nie wpadła do głowy tak szaleńcza myśl. Owszem, nie zrezygnował z agresywnej pozy, ale też nie ruszył się z miejsca pod przeciwną ścianą celi, a jego zwodniczo piękne oczy nie zdradzały innych uczuć niż przyjacielska ciekawość.

- Jestem oczywiście gotów uwierzyć, że popełniłem straszne czyny, jeśli ty tak twierdzisz - powiedział, gdy za Navigornem zamknęły się drzwi. - A jeśli je popełniłem, muszę ponieść karę. Tylko dlaczego nic o nich nie wiem?

Prestimion milczał. Zdawał sobie sprawę z tego, że jego milczenie trwa za długo, ale spotkanie to okazało się trudniejsze, niż przewidywał.

- I co? - Ciszę znów przerwał prokurator. W jego głosie pojawiła się nuta irytacji. - Czy dowiem się wreszcie od ciebie, kuzynie, dlaczego przetrzymujesz mnie w więzieniu? Z jakiego powodu? W czym złamałem prawo? Nie popełniłem przestępstwa usprawiedliwiającego takie traktowanie. A może tylko podejrzewasz, że teraz, kiedy zostałeś Koronałem, mogę sprawiać ci jakieś kłopoty i dlatego mnie uwięziłeś?

Nie sposób już było odwlekać konfrontacji.

- Od krańca do krańca naszego świata, kuzynie, wszyscy wiedzą, że jesteś ciągłym, niezmiennym zagrożeniem dla bezpieczeństwa państwa i dla człowieka, który tym państwem włada, niezależnie od tego, jak by się nazywał. Ale nie to jest powodem, dla którego się tu znalazłeś.

- Więc co?

- Nie zostałeś uwięziony dlatego, że byłąs w stanie uczynić coś w przyszłości lecz za to, co uczyniłeś w przeszłości. A dokładniej: za zdradę korony i gwałt popełniony na mej osobie.

Twarz Dantiryi Sambaila świadczyła o jego niebotycznym zdumieniu. Szczęka mu opadła, zamrugał szybko, opuścił głowę, jakby jej ciężar stał się nagle nie do zniesienia. Prestimion nie widział go jeszcze tak oszołomionego, wytrąconego z równowagi. Przez chwilę potrafił nawet współczuć temu człowiekowi.

- Czyś ty oszalał, kuzynie? - spytał prokurator ochryłym głosem.

- Ależ nie, jestem całkiem normalny. Złamano pokój, popełniono bezprawne czyny, a że nie jesteś świadom swych win, cóż to za różnica? Nie oznacza to przecież, że nie zostały popełnione.

- Ach - westchnął prokurator. Najwyraźniej nic z tego nie pojmował.

- Odniosłeś rany, prawda? - Prestimion dotknął ciała pod lewą pachą, po czym przejechał palcami lewej ręki po wnętrzu prawego ramienia, od łokcia do nadgarstka.

- Owszem - przyznał niechętnie Dantiryja Sambail. - Miałem cię

nawet zapytać, jak to...

- Ja ci je zadałem. Walczyliśmy na polu bitwy.

Sambail powoli pokręcił głową.

- Ale przecież ja nic nie pamiętam. Nie, nic takiego się nie zdarzyło. Jesteś szalony, Prestimionie. Na Boginię, stałem się więźniem szaleńca!

- Wręcz przeciwnie, kuzynie, mówię ci wyłącznie szczerą prawdę. Nastąpił akt zdrady, walczyliśmy ze sobą, z tej walki ledwie uszedłem z życiem. Za to, co zrobiłeś, każdy inny Koronal skazałby cię na śmierć bez wahania. Z jakiegoś tajemniczego dla mnie powodu, być może wynikającego z naszego powinowactwa, nie chciałem postąpić w ten sposób. Ale też nie mam zamiaru cię uwolnić, przynajmniej póki nie dojdziemy do porozumienia i nie zapewnię sobie twej niewzruszonej lojalności. Gdybyś mi ją obiecał, czy mógłbym ci uwierzyć?

Na twarz Dantiryi Sambaila powoli wracał kolor, przy czym jego piegi uwidaczały się tym bardziej, niczym płomienne oznaki nagłej ospy. To zginał, to prostował palce; była to oznaka frustracji i rosnącego gniewu. Z głębi jego potężnej piersi wydobył się dziwny charkot, daleki i niewyraźny, Prestimionowi przypominał głos wydawany przez krokkotasa z Nocnego Targowiska w Bombifale. Ale nie przemówił. Być może nie był w stanie, przynajmniej w tej chwili.

- Wytworzyła się dziwna sytuacja - mówił dalej Prestimion. - Ty nic nie wiesz o przestępstwach, o których ja wiem wszystko. Powinieneś uwierzyć mi, że jesteś im winny, niezależnie od

wszystkiego.

- Manipulowano moją pamięcią, w tym rzecz, prawda?

- Na to pytanie nie uzyskasz odpowiedzi.

- Więc jednak! Dlaczego? Jak śmiałeś! Prestimionie, za kogo się masz, za jakiegoś boga? A mnie? Za jakieś nieważne stworzenie, które możesz wtrącić do więzienia za wymyślone winy, któremu możesz także grzebać w głowie? Dość tej farsy! Chcesz mojej lojalności? Będziesz jej miał tyle, na ile zasługujesz. Przez te dni, a może tygodnie czy nawet miesiące, spędzone tu z twej woli, wykazałem się niezwykłą cierpliwością. Teraz mówię ci, że albo mnie uwolnisz, albo między nami wojna! Mam swoich zwolenników, wiesz o tym doskonale i wiesz, że nie są wcale tacy nieliczni.

- Między nami była już wojna. Trzymam cię tu dla pewności, że nigdy się nie powtórzy.

- Bez sądu? Nawet bez wniesienia skargi, z wyjątkiem tego bełkotu o zdradzie i przestępstwach przeciw twojej osobie? - Widać było wyraźnie, że prokurator odzyskał już całą pewność siebie. Wyraz zaskoczenia znikł, tak jak znikły wcześniejsze oznaki wzbierającej furii. Powrócił spokój, straszny spokój, który, o czym Prestimion wiedział doskonale, krył powstrzymywane wielką siłą woli wrzenie wulkanu. - Ach, kuzynie, jak strasznie mnie irytujesz. Bez wątplenia nie potrafiłbym utrzymać na wodzy temperamentu, gdyby nie przecucie, że zdrowe zmysły opuściły cię, a gniewać się na szaleńca jest dowodem głupoty.

Prestimion znalazł się w kłopotliwym położeniu, musiał je

rozważyć. Czy miał powiedzieć prokuratorowi o wielkim akcie zapomnienia? Nie, byłoby to jak wręczenie mu obnażonego ostrza z zaproszeniem, by zadał cios. To, w jaki sposób odmieniono świat musiało pozostać tajemnicą. Ale też nie mógł trzymać go tu w nieskończoność bez sądu. Sambail nie rzucał słów na wiatr, nie kłamał mówiąc, że ma zwolenników. Na drugim kontynencie jego wpływy były wręcz nieograniczone. Wydawało się całkiem prawdopodobne, że jeśli nadal będzie go więził w sposób arbitralny, ocierający się o tyranie, wkrótce będzie miał na głowie drugą wojnę domową, tym razem między Alhanroelem i Zimroelem.

Z drugiej strony, człowiek nie posiadający świadomości popełnionych przestępstw nie może zostać sprawiedliwie osądzony. Prestimion zastawił pułapkę sam na siebie, a teraz uświadomił sobie, że jest równie daleki od wydostania się z niej jak był przed wizytą.

Najwyższy czas wycofać się, przegrupować, poszukać rady przyjaciół.

- Jest człowiek, który zawsze stał przy mnie i wiernie mi służył - powiedział nagle Dantirya Sambail. - Nazywa się Mandralisca. Dobry, wierny, lojalny. Co się z nim dzieje, Prestimionie? Jeśli mam pozostać tu dłużej, chciałbym znów mieć go pod ręką. Przyślij go do mnie, dobrze? Wiesz, zawsze próbował mojego jedzenia, sprawdzał, czy nie ma w nim trucizny. Brakuje mi jego cudownej pogody ducha i dowcipu. Przyślij go do mnie, Prestimionie, proszę.

- Oczywiście. Przecież chodzi ci tylko o to, by mieć z kim śpiewać biesiadne pieśni przez całą noc, nie mylę się?

Niemal komiczne wydało się Prestimionowi przypisanie Mandralisce pogody ducha i dowcipu. W bitwie pod Granią Thegomar odegrał złowrogą rolę, po pojedynku z Abrigantem zszedł z pola bitwy ranny, uwięziony, pluł jadem za każdym oddechem. Siedział teraz w innej celi, znacznie mniej komfortowej, w odległym zakątku tuneli. I tam też miał pozostać.

W każdym razie rozmowa z więźniem nie prowadziła do niczego. Prestimion podszedł do drzwi. Od progu powiedział:

- Żegnam cię, kuzynie. Zobaczymy się jeszcze.

Dantirya Sambail patrzył na niego z otwartymi ustami.

- Co? Przyszedłeś tylko po to, by kpić ze mnie... kuzynie?

I znów rozległ się ten zduszony warkot krokkotasa. Na twarzy prokuratora Zimroelu pojawił się wyraz nieopanowanej furii, choć z maski niebezpiecznego szaleńca na świat ciągle patrzyły piękne, łagodne oczy. Prestimion chłodno, bez pośpiechu, przestąpił próg i zamknął drzwi w chwili, gdy Dantirya Sambail rzucił się na niego z uniesionymi rękami.

- Prestimionie! - wrzeszczał, waląc w zamknięte mu przed nosem drzwi z taką siłą, że odpowiadały mu echem. - Bądź przeklęty, Prestimionie!

Bardzo rzadko podróżnicy przybywali na Zamek północnozachodnią drogą, biegnącą zboczem Góry do Wysokiego Miasta Huine, a stamtąd tak zwaną Drogą Stiamota, szeroką, lecz źle utrzymaną, starą, nierówną, dochodzącą do Bramy Vaisha. Korzystano zazwyczaj z tej wznoszącej się łagodnie Płaskowyżem Bombifale do Morpin Wysokiego, a potem z dziesięciomilowego, tonącego w rosnących na poboczach kwiatach Wielkiego Traktu Calintane'a, kończącego się na Placu Dizimaule'a, przy bramie głównej.

Dziś jednak ktoś przybywał Drogą Stiamota. Jechała nią powoli grupa czterech pojazdów, z których pierwszy był zdecydowanie dziwny. Widok był tak dziwny, że młody kapitan straży, wypełniający przykry obowiązek rozprawienia warty przy Bramie Vaisha, aż westchnął ze zdumienia, gdy zobaczył je znacznie niżej, mające do pokonania jeszcze kilka zakrętów wijącego się szlaku. Przez chwilę stał nieruchomo, nie wierząc własnym oczom, wpatrzony w latacz - platformę staroświeckiego typu - tak szeroki, że wypełniał sobą Drogę Stiamota od pobocza do pobocza... i ta otaczająca go ze wszystkich stron ruchoma ściana pulsującego, zimnego, białego światła... I ładunek, zaledwie widoczny za tarczą oślepiającego blasku... te przerażające stwory...

Kapitan dowodzący posterunkiem przy Bramie Vaisha pochodził z

Amblemoon, miasta leżącego u stóp Zamkowej Góry, miał dwadzieścia lat i nic w jego wojskowym wykształceniu nie przygotowało go na to, czemu za chwilę będzie musiał stawić czoło. Odwrócił się do młodziutkiego porucznika, chłopca z Pendiwane, miasta w Dolinie Glayge.

- Kto jest dziś oficerem dyżurnym? - spytał.

- Akbalik.

- Znajdź go. Prędko. Powiedz mu, że jego obecność jest konieczna.

Chłopiec odwrócił się i pobiegł, ale znalezienie kogoś w niemal nieskończonym labiryncie Zamku nie jest zadaniem łatwym, nawet oficera dyżurnego straży, który z natury rzeczy winien być łatwo dostępny. Minęło dobre pół godziny nim posłaniec wrócił, prowadząc ze sobą Akbalika. Tymczasem platforma zdążyła już podjechać i zaparkować na szerokim, żwirowym podjeździe pod bramą, pozostałe trzy jadące za nią ścigacze stanęły obok i kapitan gwardii z Amblemoon znalazł się nagle w niezwyklej sytuacji: oto stał z wyciągniętym mieczem naprzeciw wielkiego wojownika Gialaurysa, Wielkiego Admirala Królestwa. Kilku ponurych ludzi z jego otoczenia stało tuż za nim, przybierając pozycje świadczące o tym, że są gotowi do ataku.

Akbalik, bratanek księcia Serithorna, bardzo ceniony za opanowanie i zdrowy rozsądek, potrafił ocenić niebezpieczeństwo na pierwszy rzut oka. Niczym nie dał po sobie poznać, że widok ładunku go zaskoczył, a tylko zwrócił się do kapitana tonem rozkazu.

- Odłóż broń, Mibikihur. Nie znasz admirała Gialaurysa?

- Wszyscy znają admirała Gialaurysa, dowódcę, ale tylko popatrz, co przywiózł! Nie ma pozwolenia na wprowadzenie dzikich zwierząt na Zamek. Nawet sam Gialaurys musi mieć pozwolenie na wjazd z czymś takim!

Chłodne, szare oczy Akbalika powoli obróciły się na platformę. Jeszcze nigdy nie widział tak wielkiego pojazdu. Nigdy nie widział też tak dziwnego ładunku.

Trudno było dokładnie przyjrzeć się stanowiącym go potworom, ponieważ w ryzach trzymała je sieć otaczającej platformę energii, kurtyna światła niczym wyrastające z ziemi błyskawice. Miał wrażenie, że ściany energii rozdzielają też same transportowane stworzenia, potworne, obrzydliwe potwory.

Gialaurys był wściekły. Zaciskał pięści, widać było, jak napina potężne mięśnie ramion, furia wykrzywiła mu twarz tak przeraźliwie, że jej wygląd mógł stopić nawet skałę.

- Gdzie jest Septach Melayn? - krzyknął na widok Akbalika. - Wysłałem mu wiadomość, miał czekać na mnie przy bramie! Dlaczego jesteś tu ty, a nie on?

- Przyszedłem na wezwanie warty, Gialaurysie - wyjaśnił Akbalik, jak zwykle niewzruszenie spokojny. - Poinformowano mnie, że zbliża się konwój transportujący dziwaczne i zapewne niebezpieczne stwory. Na taką okoliczność moi ludzie nie mieli odpowiednich instrukcji. Przybyłem, żeby sprawdzić, o co chodzi. Na Panią, Gialaurysie, skąd te bestie!?

- Domowe zwierzątka. Mają umilić czas Jego Wysokości.

Zdobyłem je dla niego pod Kharax. Nic więcej nie musicie wiedzieć, przynajmniej na razie. Septach Melayn miał na mnie czekać. Mój ładunek trzeba właściwie przechować, a jego obowiązkiem było się o to zatroszczyć! Pytam cię jeszcze raz, Akbaliku, gdzie jest Septach?

- Ależ jestem - rozległ się łagodny, nawet nieco rozbawiony głos i mistrz miecza stanął przed bramą. - Twoja wiadomość wędrowała powoli, Gialaurysie, dotarła do mnie późno, poza tym popełniłem błąd i dotarłem tu przez Przedpiersie Spurifona, a więc musiałem nieco nadłożyć drogi. - Lekkim, kocim krokiem Melayn podszedł do Gialaurysa, przywitał go mocnym, przyjacielskim klepieniem po ramieniu. I wreszcie spojrział w kierunku platformy.

- A więc to one szaleją na wolności w Kharax - powiedział głosem pełnym zdumienia. - Gialaurysie?

- Owszem, biegają sobie na swobodzie po całym Kharax. Są ich setki, dosłownie setki. Przeklęta robota, przyjacielu, tropić je i zarzynać. Nasz Koronał jest mi coś winien za jej wykonanie. Ale, ale... masz dla nich miejsce, Septachu? Bezpieczne miejsce? To tylko próbki tego, z czym miałem do czynienia.

- W istocie, przygotowałem zamkowe stajnie. Pytanie tylko, czy twoja platforma zmieści się w bramie.

- W tej owszem, ale nie w Dizimaule'a. Właśnie dlatego podjechaliśmy z tej strony. - Gialaurys obrócił się do swych ludzi. - Hej, do roboty! Uruchamiamy latacze i wjeżdżamy na Zamek. No już. Na Zamek!

*

Godzinę zajęło przetransportowanie stworzeń na miejsce, wybrane przez Melayna i umieszczenie ich za solidnymi kratami, które niełatwo przyszłoby im sforsować. Miejszem tym było nieużywane skrzydło zamkowych stajni, wielkiej kamiennej konstrukcji pogrzebanej głęboko pod bardzo starą Wieżą Trąb, gdzie trzymano królewskie wierzchowce tysiąc lub nawet dwa tysiące lat temu, w czasach Lorda Spurifona lub może Lorda Scaula. Rzemieślnicy, pracujący pod kierunkiem Septacha Melayna, w błyskawicznym tempie przygotowali je na przyjęcie przemiłych okazów zdobytych przez Gialaurysa.

Gdy je wreszcie dostatecznie zabezpieczono Gialaurys i Septach Melayn zwolnili Akbalika i jego ludzi, pomagających im w pracy, sami zaś pozostali w stajniach. Patrząc w zdumieniu - i przerażeniu - na prychnące bestie, miotające się w swych klatkach, Melayn powiedział:

- Chciałbym wiedzieć, jak poradzilibyśmy sobie na wojnie, gdyby Korsibarowi udało się wypuścić przeciw nam coś tak potwornego.

- Podziękuj Bogini, że tego nie zrobił. Może miał nawet tyle rozsądku, by zrozumieć, że kiedy raz znajdą się na wolności nie poprzestaną na nas, ale rozpełzną się po świecie, zagrażając wszystkim, zarówno przyjaciółom, jak i wrogom.

- Korsibar? Rozsądek?

- No tak, to zestawienie rzeczywiście budzi wątpliwości - przyznał Septach Melayn. - W takim razie co powstrzymało go przed ich użyciem? Ośmielę się przypuścić, że wojna skończyła się, nim zdołał

je przygotować. - Znow przyjrzał się klatkom i zadrzał. - Faj! Ale śmierdzą te twoje zwierzątka. Co za stado potworności.

- Powinieneś je widzieć wędrujące po całej równinie Kharax. Gdziekolwiek spojrzales, wzrok padał na bestię, warcząca na jeszcze groźniejszą bestię, zupełnie jak w najgorszych koszmarach. Mamy szczęście, że równina zamknięta jest z trzech stron wysokimi granitowymi wzgórzami, więc mogliśmy zagonić je w pułapkę i zabijać z dystansu.

- Mam nadzieję, że zginęły wszystkie?

- Wszystkie te, które wyrwały się na wolność. Nie zostawiliśmy przy życiu ani jednej, a kilka złapaliśmy na upominek dla Prestimiona. Ale w zagrodach są jeszcze setki. Ci, którzy ich pilnują nie wiedzą, z czym mają do czynienia, bo jak mogą wiedzieć, nie pamiętając ani wojny, ani Korsibara? Rozumieją tyle, że na Kharax, a powiem ci, że to okropne, jałowe miejsce, ani drzewa jak okiem sięgnąć, wybudowano wielkie zagrody, zamknięto w nich potwory, mieli ich pilnować, ale zdarzył się jakiś wypadek i niektórych nie upilnowali. Chcesz wiedzieć, jak się nazywają?

- Kto? Ci pilnujący?

- Nie, zwierzęta - wyjaśnił cierpliwie Gialaurys. - Bo one mają nazwy, wiesz? Prestimion pewnie będzie chciał je poznać. - Wyjął spod tuniki kawałek brudnego zwiniętego papieru, nad którym pochylił się marszcząc brwi; czytanie nie należało do jego specjalności. - No tak... więc ten tu... - wskazał długie, białe, kościste coś wyglądające jak wąż, zrobiony z zespolonych ze sobą, ostrych jak

brzytwa sierpów, wijące się w najdalszej klatce, sycząc jadownicie - ... to zytoon. A ten z różową, luźną skórą, mnóstwem nóg, czerwonymi ślepiami i obrzydliwym włochatym ogonem, uzbrojonym w czarne żądła, to malorn. Za nim mamy vourhaina... to ten zielony, krostowaty, przypominający niedźwiedzia, z mordą uzbrojoną w wielkie zakrzywione zębiska. Tu jest zeil, tam minmollitor, a tam kassai... nie, to jest kassai, ten z łapami kraba, a zeil to tamten... a z tyłu, widzisz weyhanta? Ma gębę tak wielką, że mógłby połknąć trzech Skandarów na raz. - Gialaurys splunął. - Och, Korsibarze, powinniśmy zabić cię raz jeszcze tylko za to, że przyszło ci do głowy walczyć z nami w ten sposób. A także znaleźć czarnoksiężników, którzy je stworzyli i ich także pozabijać.

Odwrócił się z grymasem obrzydzenia na twarzy. Zmienił temat.

- A teraz powiedz mi, Septachu Melaynie, co nowego i interesującego zdarzyło się na Zamku, kiedy ja uganiałem się za zeilami i vourhainsami.

Melayn uśmiechnął się szelmowsko.

- Cóż... powiedziałbym, że nowy Su-Suheris jest interesujący.

Gialaurys spojrzał na niego, zdezorientowany.

- Jaki znowu Su-Suheris?

- Maundigand-Klimd, mówiąc dokładniej. Tak się nazywa. Spotkaliśmy go na Nocnym Targowisku w Bombifale. A raczej on nas spotkał, przejrzał nasze przebrania, podszedł i przywitał się, wymieniając właściwe imiona, Prestimiona i moje. - I znów ten szelmowski uśmiech. - Rozbawi cię zapewne wiadomość, że jest

nowym nadwornym magiem Prestimiona.

- Su-Suheris? Myślałem, że Heszmon Gorse będzie głównym czarnoksiężnikiem.

- Heszmon Gorse wkrótce wraca do Triggoin. Będzie rządził miejscowymi magikami jako adiutant ojca i w końcu, kiedyś go zastąpi. Nie, Gialaurysie, ten Su-Suheris dostał w nagrodę posadę na dworze. Wtedy, w Bombifale, spodobał się Koronalowi od razu. Dzień czy dwa później wezwano go na Zamek, Prestimion wydał odpowiednie polecenia, no i teraz są bliskimi przyjaciółmi. Nie chodzi tylko o to, że tę swoją sztukę opanował do mistrzostwa, choć w to akurat nie sposób wątpić. Prestimion jest nim urzeczony, kocha go jak sądzę tak, jak kiedyś kochał diuka Svora. Wydaje się, że potrzebuje przy swym boku kogoś o duszy mroczniejszej, niż moja czy twoja. No i znalazł kogoś takiego.

- Ale żeby Su-Suherisa...? - Gialaurys rozłożył ręce w bezradnym geście. - Żeby te dwie obleśne, węzowe głowy cały czas patrzyły na ciebie z góry... i te zimne oczy! I jeszcze zdradziecka natura tej rasy, to też trzeba wziąć pod uwagę, Septachu. Jak Prestimion mógł tak szybko zapomnieć o Sanibaku-Thastimoonie?

- Mogę ci od razu powiedzieć, że ten to zupełnie inna para trzewików. Od Sanibaka cuchnęło złem. Wydzielał zło przez skórę, jak trujący pot. Maundigand-Klimd jest spokojny i bardzo bezpośredni. Może wydaje się mieć ciemną duszę, może nawet wygląda groźnie, ale taka jest natura tych istot. Mimo wszystko ma się ochotę mu zaufać. Przekazał nawet Prestimionowi sekret

przepowiadania przyszłości za pomocą zaklęć z tych swoich figur, wiesz?

- Doprawdy? Czy to możliwe?

- Owszem, w dodatku wydają się takie matematyczne, takie czyste, że zrobiły wrażenie nawet na Koronalu, mimo charakterystycznego dla niego sceptycyzmu, ledwie maskowanego pozorną tolerancją dla czarów. Muszę przyznać, że ja też...

- Su-Suheris wśród przybocznych władcy - warknął Gialaurys. - Bardzo mi się to nie podoba, Septachu Melaynie.

- Najpierw się z nim spotkaj, potem będziesz go oceniał. Inaczej wówczas zaśpiewasz. - Szermierz zmarszczył nagle brwi. Wyjął miecz z pochwy, jego czubkiem zaczął rysować na klepisku starych stajni wzór podobny do tych mistycznych, z jakich przepowiadali przyszłość czarnoksiężnicy jego rodzinnego miasta Tidias. - Chociaż - powiedział z namysłem - zdążył już udzielić Prestimionowi rady, która szczególnie mi się podoba. Wczoraj rozmawiali o problemie Dantiryi Sambaila i Maundigand-Klimd stwierdził, że prokuratorowi należy przywrócić pamięć wojny. - Gialaurys wytrzeszczył oczy. Patrzył na przyjaciela, zdumiony. - Koronal - mówił dalej Septach Melayn, bardzo spokojnie - Koronal wyraził zgodę. Powiedział, że najprawdopodobniej tak właśnie należy zrobić.

- O, na Panią! - ryknął Gialaurys, wyrzucając ręce do góry i czyniąc modlitewne gesty. - Opuszczam Zamek na kilka tygodni i natychmiast zaczyna się w nim szerzyć szaleństwo. Odtworzyć pamięć prokuratora? Prestimion zwariował. Ten czarnoksiężnik

musiał mu odebrać zmysły!

- Naprawdę tak przypuszczasz? - spytał Koronal, który właśnie pojawił się w stajniach; jego głos odbił się echem od kamiennych sklepień. Skinął im głową, wchodząc do środka. - Podejdz, Gialaurysie, niech cię powitam uściskiem, znów na Zamku, a potem powiesz mi, czy naprawdę uważasz mnie za szalonego.

Gialaurys podszedł do niego. W połowie drogi zauważył stojącego za Prestimionem Su-Suherisa, wysoką, dostojną postać w zdobnej fioletowej szacie gęsto przesywanej złotą nicią, paradnym stroju dworskiego czarnoksiężnika. Długa, rozwidlona szyja, zakończona dwiema bezwłosymi, wydłużonymi głowami wyrastała ponad ciężki, obsyty klejnotami kołnierz niczym rzeźbiona kolumna lodu. Gialaurys obdarzył go nieprzyjaznym spojrzeniem, przycisnął Prestimiona do serca i trzymał go w objęciach przez kilka długich chwil.

- I co - spytał Prestimion, uwalniając się i odstepując o krok. - I co teraz powiesz? Nadal sądzisz, że jestem szaleńcem czy też może, że masz przed sobą Prestimiona takiego, jakim zostawiłeś go na Zamku, nim wyjechałeś na Kharax?

- Mówisz o przywróceniu Dantiryi Sambailowi pamięci wojny, tak przynajmniej słyszałem. Dla mnie to szaleństwo. - I Gialaurys powtórnie spojrział wrogo na maga.

- Brzmi jak szaleństwo? Być może, ale czy jest szaleństwem, nad tym trzeba się zastanowić. - Prestimion przerwał, pociągnął nosem, skrzywił się. - Co za potworny smród! Mam wrażenie, że tak pachną

te twoje śliczne zwierzątka, nie mylę się? Będziesz musiał mi je pokazać, ale to za chwilę. - Odprężył się wyraźnie. Wskazał swego towarzysza. - Najpierw wypada się sobie przedstawić. To nasz nowy dworski czarnoksiężnik, Gialaurysie. Nazywa się Maundigand-Klimd. Upewniam cię, że już udowodnił swą przydatność. - Zwrócił się do Su-Suherisa. - A oto słynny Wielki Admirał imieniem Gialaurys z Piliplok. Ale jego z pewnością już znasz, Maundigandzie-Klimdzie.

Lewa głowa maga uśmiechnęła się, prawa skłoniła lekko.

- W istocie, znam, panie.

- O Dantiryi Sambailu porozmawiamy przy innej okazji, Gialaurysie - oznajmił Prestimion. - Powiem jednak od razu, że w gruncie rzeczy mamy do rozwiązania problem niemożności postawienia przed sądem oskarżonego, który nie pamięta swych zbrodni, a jakby tego było mało, o jego zbrodniach nie pamięta nikt oprócz nas! Któż więc może być oskarżycielem? Jak oskarżony może się bronić? Jaką ma odbyć karę, gdy zostanie uznany winnym? Nie ma przecież kary tam, gdzie nie ma świadomości winy!

- To wszystko nie jest dla nas tajemnicą, Prestimionie - powiedział zniecierpliwiony Gialaurys.

- Owszem, tylko nadal nie znaleźliśmy sposobu na rozwiązanie problemu. Maundigand-Klimd proponuje, byśmy zneutralizowali działanie zaklęcia zapomnienia, sądzili prokuratora w pełnej świadomości win, a potem znów kazali mu zapomnieć. Ale, jak powiedziałem, to rozmowa na inną okazję. A teraz pokaż mi te swoje urocze zwierzątka, Gialaurysie.

- Tak, oczywiście. - Ale Gialaurys ani drgnął, najwyraźniej coś właśnie przyszło mu do głowy. Po krótkiej chwili namysłu powiedział posępnie, powoli, w sposób, w jaki zwykł był dawać do zrozumienia, że jest bardzo niezadowolony: - Z tego, co powiedziałaś panie, wydaje się, że nasz nowy mag zna sekret wymazania pamięci, zaś sekret ten, na mocy naszej umowy, tak jak ja ją rozumiałem, miał pozostać sekretem dla wszystkich oprócz nas. Wszystkich bez wyjątku.

Teraz na Prestimiona przyszła kolej milczeć. Był bez wątpienia zmieszany, na twarz wypłynął mu lekki rumieniec, po wyrazie oczu widać było, że jest zażenowany.

- Maundigand-Klimd poznał nasz sekret samodzielnie, Gialaurysie, ja tylko potwierdziłem prawdę jego domysłów. Zgadza się, że technicznie doszło do złamania przysięgi, lecz w rzeczywistości...

- Czy ma to oznaczać, że od dziś nie będzie nam wolno mieć żadnych sekretów przed tym człowiekiem? - spytał admirał z niepokojem.

Prestimion uniósł dłoń w uspokajającym geście.

- Spokojnie, Gialaurysie, spokojnie. Maundigand-Klimd jest wielkim magiem. Lepiej ode mnie wiesz, przyjacielu, jak trudno utrzymać sekret przed prawdziwym mistrzem. Właśnie dlatego uznałem za bezpieczniejsze przyjęcie go na służbę. Nie uważasz, że miałem rację? A teraz powtarzam raz jeszcze: porozmawiamy o tym przy innej okazji, dobrze, Gialaurysie? Chciałbym obejrzeć twe zdobycze z Kharax.

*

Gialaurys, zachowując się wręcz gburowato, poprowadził Koronala przed klatki, by pokazać mu przywiezione okazy. Wyciągnął tę samą obszarpaną kartkę, czytał z niej nazwy, wskazywał, który z nich to malorn, który minmollitor, a który zytoon. Prestimion prawie się nie odzywał, ale z jego zachowania łatwo było odczytać, że wstrząsnęła nim ich straszna brzydota, wydzielany przez nie obrzydliwy, gryzący odór i wyraźna atmosfera zagrożenia, którą stwarzały przez wielkie zęby, pazury, żądła.

- Zeil - powiedział w pewnym momencie, jakby do siebie. - Nieprzyjemny, bardzo nieprzyjemny. I vourhain, tak nazywa się ten straszny, pękaty? Czyj umysł był zdolny stworzyć coś takiego? Tak potwornego. Tak dziwnego.

- Na północy dzieje się wiele dziwnych rzeczy, panie. O jednej muszę ci powiedzieć: widziałem ludzi śmiejących się głośno na ulicach.

Prestimiona najwyraźniej rozbawiła uwaga przyjaciela.

- A więc musieli być szczęśliwi, nie uważasz? Czy szczęście to taka dziwna rzecz, Gialaurysie?

- Byli sami, panie. Śmiali się bardzo głośno. Spotkałem parę osób zachowujących się w ten sposób i mogę powiedzieć, że ich śmiech nie był radosny. I jeszcze... jeden człowiek tańczył. Też był sam, miotał się dziko na publicznym skwerze w Kharax.

- Słyszałem więcej takich historii - wtrącił się do rozmowy Septach Melayn. - Ludzie dziwnie się zachowują i to dosłownie wszędzie. Takiej epidemii szaleństwa nasz świat jeszcze nie znał.

- Całkiem możliwe, że masz rację, przyjacielu. - W głosie Prestimiona zabrzmiała troska, ale także coś w rodzaju obojętności, roztargnienia, jakby myślał o trzech, czterech sprawach naraz, nie poświęcając całej swej uwagi żadnej z nich. Odwrócił się i odszedł; idąc wśród klatek mrucał do siebie, wymieniając nazwy: „zytoon... malorn... minmollitor... zeil” jakby wygłaszał zaklęcie. Nie było wątpliwości, że przedziwne kształty i niekwestionowana drapieżność stworzeń, które magowie Korsibara powołali do życia, by służyły mu na wojnie jako broń, miały na niego dziwny wpływ. Przez swą niekwestionowaną, okrutną brzydotę, przez samo to, do jakiego stopnia były zbędne, przywracały do życia ducha samej, zapomnianej już wojny.

Po pewnym czasie odstąpił od klatek. Wzruszył ramionami w sposób świadczący dowodnie, że chce oczyścić umysł z tego, co właśnie zobaczył.

- I co powiesz, Prestimionie? - spytał Gialaurys. - Mamy je pozabijać teraz, kiedy zaspokoiliś już swą ciekawość?

Mogło się wydawać, że Koronał nie dosłyszał pytania, ale po chwili powiedział głosem, który wydawał się dobiegać z bardzo daleka:

- Nie. Raczej nie. Sądzę, że warto je zachować dla przypomnienia, co mogłoby się stać, gdyby Korsibar żył odrobinę dłużej. - Znów przerwał, a potem dodał: - Wiesz, Gialaurysie, mam pomysł. One mogą nam się przydać do oceny męstwa naszych młodych rycerzy.

- Jak to, panie?

- Niech stają przeciw twym malornom i zytoonom w prostej walce, jeden na jednego. Zobaczymy, jak sobie z nimi poradzą, dowiemy się, którzy z nich są naprawdę pomysłowi i odważni. Co o tym myślisz? Podoba ci się ten pomysł?

Gialaurys daremnie szukał odpowiednich słów, bo pomysł wydał mu się groteskowy. Spojrzał na Septacha Melayna. Szermierz pokręcił głową dyskretnie, ledwie widocznie. Prestimion sprawiał jednak wrażenie rozbawionego. Obrzucił bestie ostatnim, pożegnalnym spojrzeniem, jakby oczami wyobraźni już widział paniątka z Góry, stawiające im czoło na arenie.

Nagle powrócił z jakiegoś dziwnego miejsca, w którym przebywał myślami. Jego głos zabrzmiał normalnie, rzeczowo.

- A teraz zajmijmy się tak zwaną epidemią szaleństwa, dobrze? Być może mamy tu do czynienia z czymś, co wymaga dokładniejszego zbadania. Wygląda na to, że z tą sprawą powinienem zapoznać się bezpośrednio. Septachu Melaynie, jak postępują przygotowania do procesji, którą mam odbyć po miastach Zamkowej Góry?

- Do uzgodnienia pozostały już tylko szczegóły, panie. Potrzeba na to nie więcej niż dwóch miesięcy.

- Dwa miesiące to bardzo długo. Za długo, skoro ludzie śmieją się do siebie i szaleńczo tańczą na ulicach Kharax. I jeszcze rzucają się z okien... ciekaw jestem, czy było więcej tego rodzaju przypadków. Powinienem zobaczyć to na własne oczy. Bez zwłoki. Jutro, w najgorszym razie pojutrze. Dopilnuj, żeby przygotowano nam nowe

przebrania, dobrze, Septachu? Lepsze niż ostatnim razem. Peruka była śmieszna, a broda okropna. Zamierzam udać się do Stee, potem może do Minimool i dalej do Tidias... nie, nie Tidias, ktoś może cię tam rozpoznać, więc... Hoikmar? Tak, Hoikmar to dobry pomysł. Takie piękne, spokojne miejsce, i te kanały...

Potworne wycie, a potem ryk, rozdarły powietrze stajni. Prestimion obejrzał się.

- Podejrzewam, że weyhant zamierza zjeść zeila... czy dobrze zapamiętałem nazwy, Gialaurysie? - Znów potrząsnął głową, wyraz jego twarzy świadczył o głębokim obrzydzeniu. - Kassai... malorn... zytoon. Fuj, obrzydliwość. Niech ten, kto je wymyślił, nie zazna spoczynku nawet w grobie.

Podróż do Wolnego Miasta Stee drogą lądową, wokół zbocza Góry, trwałaby zbyt długo, by Prestimion i jego towarzysze mogli uznać ją za praktyczną, bowiem miasto było tak wielkie, że przebycie samych jego przedmieść tym sposobem zabierało całe trzy dni. Postanowili więc udać się lądem tylko do Halanx o złotych murach, leżącego niedaleko Zamku, a tam wsiąść na prom o tępym nosie i grubych ścianach, szybko i bezpiecznie transportujący podróżnych rzeką Stee do miasta o tej samej nazwie. Tak też zrobili. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Ubrani byli w szorstkie lniane szaty, proste, o stłumionej barwie, z rodzaju używanego przez wędrownych handlarzy, a fryzjer Septacha Melayna zręcznie zmienił ich wygląd używając peruk, fałszywych wąsów i, w przypadku Prestimiona, małej bródki, przystrzyżonej krótko wzdłuż linii szczęki.

Podobnie jak jego poprzednik na stanowisku Wielkiego Admirala Majipooru Gialaurys nie przepadał za szlakami wodnymi. Poczul się fatalnie już w chwili, gdy prom odbił od brzegu. Kilka chwil kołysania sprawiło, że odwrócił się szerokimi plecami do bulaja i zaczął recytować pod nosem modlitwy, jedną po drugiej, pocierając kciukami dwa małe amulety, które trzymał w zaciśniętych pięściach.

Septach Melayn nie okazał mu litości.

- Tak, mój drogi, dobrze robisz, módl się ile tylko możesz, bo przecież wszyscy wiedzą, że te promy wciąż toną, a z nimi setki ludzi.

Co tydzień.

W oczach Gialaurysa błysnął gniew.

- Oszczędź mi swego dowcipu przynajmniej raz, dobrze?

- To rzeczywiście bystra rzeka - odezwał się Prestimion, pragnąc przerwać ich kłótnię. - Na świecie niewiele jest chyba bystrzejszych.

Nie czuł obaw, żywionych przez Gialaurysa, choć szybkość, z jaką prom spływał ze szczytu Góry była naprawdę zaskakująca. Chwilami wydawało się, że lecą z Góry pionowo w dół. Po pewnym czasie ich droga wyrównała się jednak, a szybkość promu przestała niepokoić.

Zatrzymywał się w przystaniach pasażerskich Miasta Wewnętrznego Banglecode i Miasta Strażniczego Rennosk, wysadził część pasażerów, przyjął nowych i popłynął łagodnym łukiem na zachód, o kolejny poziom w dół. Kiedy późnym wieczorem znalazł się wśród Wolnych Miast i zbliżał do Stee, rzeka była już tak spokojna, że aż nieruchoma. Na horyzoncie widzieli stojące na jej obu brzegach wieże. Wraz z zapadającym zmierzchem różowoszary marmur murów na prawym brzegu przybrał odcień brązu od barwy zachodzącego słońca. Równie wyniosłe budynki na lewym brzegu już pogrążone były w cieniu.

Septach Melayn przyjrzał się lśniącej mapie z niebieskich i białych płytek, wpuszczonych w zaokrągloną ścianę promu.

- Widzę tu, że w Stee jest jedenaście przystani. Którą wybieramy, Prestimionie?

- A czy ma to jakieś znaczenie? Dla nas wszystkie są równe.

- W takim razie Vildivar - zdecydował Melayn. - To po tej stronie

centrum, lepiej dla nas. Czwarty przystanek.

Prom, tym razem już niespiesznie, płynął od przystani do przystani, wysadzając grupy pasażerów; wkrótce lśniący znak na nabrzeżu powiedział im, że dotarli na miejsce. „I nie za wcześnie” - mruknął pod nosem Gialaurys. Twarz miał o trzy odcienie bledszą niż zazwyczaj, więc brązowa szczecina jego długich, gęstych baczków ostro odcinała się od policzków, nadając jego twarzy gniewny wyraz.

- No, panowie, ruszać się! - krzyknął wesoło Septach Melayn. - Wielkie Stee czeka na nas!

Każdy mieszkaniec Majipooru marzył o tym, by odwiedzić Stee choćby raz. Ojciec zabrał tu Prestimiona, gdy był on małym chłopcem, podobnie jak do wielu innych sławnych miejsc i jego syn, oszołomiony widokiem ciągnących się milami wspaniałych wież, przysięgł sobie, że powróci tu na dłużej, gdy tylko dorośnie. Ale ojciec zmarł nagle, obowiązki księcia Muldemar spadły na barki Prestimiona w bardzo młodym wieku, a potem zaczął awansować wśród młodych rycerzy Góry i tak rozpoczęła się jego kariera. Brakowało mu czasu na podróże dla przyjemności i teraz, patrząc na wielkie Stee oczami dorosłego mężczyzny, ze zdumieniem stwierdził, że wydaje mu się ono równie wspaniałe jak wtedy, kiedy był dzieckiem.

Przystań Vildivar nie leżała jednak tak blisko centrum, jak to się wydawało Septachowi Melaynowi. Tę część miasta zajęły dzielnice przemysłowe. Z fabryk wysypywali się kończący właśnie pracę robotnicy, śpieszący do swych domów w dzielnicy mieszkalnej po

drugiej stronie rzeki. Czekają już na nich małe, kursujące regularnie promy i pasażerskie łodzie, zastępujące mosty, których nie sposób było przetrząść przez ogromną Stee. Dzielnica, w której się znaleźli, już wkrótce miała się wyludnić.

- Wynajmiemy łódź i popłyniemy nią do następnej przystani - postanowił Prestimion. Zawrócili i zeszli z powrotem nad wodę.

Bez problemu znaleźli odpowiednią łódkę czekającą w tej części nabrzeża, gdzie wolno było cumować prywatnym właścicielom. Była mała, sprawiała wrażenie pewnej i mocnej. Należała do rodzaju zwanego trappagasis, zrobiona była z klepek uszczelnionych tłuszczem i łączonych nie gwoździami, lecz grubymi, mocnymi linami z włókna guellum. Dziób i rufę ozdabiały galiony, zniekształcone i wypłowiałe, zapewne przedstawiające niegdyś łby smoków morskich. Jej kapitan - i najprawdopodobniej budowniczy - zaspany stary Skandar, siedział nieruchomy, zgarbiony na rufie, zapatrzony w ciemniejące niebo, ze wszystkimi czterema ramionami splecionymi na wypukłej piersi, jakby zamierzał uciąć sobie drzemkę.

Gialaurys, mówiący dobrze dialektem Skandarów, zaczął targi o wynajęcie jego łodzi. Wrócił po chwili krótkiej rozmowy, która nie poszła chyba po myśli gości, z bardzo dziwną miną.

- O co chodzi, Gialaurysie? - spytał Prestimion. - Czyżby nie chciał z nami popłynąć?

- Panie, powiedział mi, że nierozsądnie jest płynąć z prądem o tej porze dnia, ponieważ właśnie teraz Koronał Lord Prestimion zazwyczaj wraca do swego pałacu wielkim jachtem. Płynie w górę

rzeki.

- Koronal Lord Prestimion? Tak powiedziałeś?

- Tak powiedziałem. Nowo koronowany władca świata, nikt inny, Koronal Lord Prestimion. Skandar powiedział mi, że ostatnio przeniósł się on do Stee i każdego dnia wraca z pałacu swego przyjaciela, hrabiego Fisiolo, do swej rezydencji. W niektóre wieczory jest w świetnym humorze, więc dla zabawy rzuca mieszkami pełnymi dziesięciokoronówek w kapitanów łodzi przepływających obok, a czasami w gorszym i wtedy każe kapitanowi taranować te, które mu się nie spodobały i je zatapiać. Nikt mu nie przeszkadza, bo w końcu jest przecież Koronalem. Nasz Skandar woli poczekać, aż jego jacht przepłynie i dopiero wówczas zabierze pasażerów. Twierdzi, że tak jest bezpieczniej.

- Ach! Koronal Lord Prestimion ma więc pałac w Stee? - powiedział Prestimion, zaniepokojony nie na żarty. Była to bardzo dziwna nowina. - No proszę, nie miałem o tym pojęcia! I o zachodzie słońca zabawia się zatapiając przypadkowe łodzie na Stee? Powinniśmy chyba dowiedzieć się o tym czegoś więcej.

- To prawda, powinniśmy - przytaknął poważnie Septach Melayn.

Tym razem zeszli na brzeg wszyscy trzej. Gialaurys ponownie zagadnął Skandara wyjaśniając mu, że chcą skorzystać z jego usług, a kiedy wyrzucił on dwa górne ramiona w niebo gestem odmowy, Septach Melayn wyciągnął aksamitny worek i uchylił go, ujawniając pobłyskujące srebrem pięciokoronówki. Stary wytrzeszczył na nie oczy.

- Jaka jest twoja zwyczajowa stawka za transport w górę rzeki, do najbliższej przystani, przyjacielu?

- Trzy korony i pięćdziesiąt wag, ale...

Septach Melayn wytrząsnął na dłoń dwie lśniące monety.

- Oto dziesięć koron - oznajmił. - Potrójna stawka, nie myślę się? Nie kusi cię?

- A jeśli Koronalowi Lordowi Prestimionowi spodoba się zatopić mi łódź? - spytał Skandar grobowym głosem. - Ostatniego dnia drugiego zrobił to Friedragowi, prawdę mówię, a trzy tygodnie temu pod wodę poszedł Rhezmezas. Jeśli to samo spotka mnie, jak zarobię na życie? Młodość już poza mną, dobry panie, nie nadaję się na skutnika. Dziesięć koron to bardzo mało, jeśli nie ma się źródła utrzymania.

Prestimion uczynił szybki znak, nieznaczny, niemal niewidoczny ruch palców. Septach Melayn znów zadzwonił mieszkaniem i na jego dłoń wypadła ciężka srebrna moneta imponującej wielkości, przy której pięciokoronówki wyglądały jak błahe zabawki.

- Wiesz, co to jest, przyjacielu? - spytał.

Skandar wytrzeszczył oczy.

- Dziesięć rojali, prawda? - spytał drżącym głosem.

- Owszem, dziesięć rojali. Czyli, inaczej mówiąc, sto koron. To teraz popatrz: mam tu drugą, a także trzecią. Nie będziesz musiał budować następnej trappagasis, prawda? Za trzydzieści rojali kupisz ją sobie bez problemu. To twoje ubezpieczenie na wypadek, gdyby Lord Koronal miał dziś ochotę coś sobie zatopić. I co, przyjacielu? Co

ty na to?

- Czy mogę zobaczyć jedną z tych monet, mój panie? - spytał stary ochrypłym głosem.

- Nie jestem twoim panem, przyjacielu, tylko zwykłym zamożnym kupcem z Gimkandale, który zapragnął obejrzeć cuda Stee wraz z przyjaciółmi. Podejrzewasz, że moje pieniądze są fałszywe?

- O nie, panie, skąd! - Szybko, wręcz błyskawicznie, Skandar wykonał serię przeproszających gestów. Wszystkie cztery ramiona dotknęły czoła. - Ale... ja nigdy nie widziałem dziesięciorojalki, ani razu, przez całe życie! Nie to, że nie miałem, po prostu nie widziałem! Mogę popatrzeć? A potem zabiorę was gdzie chcecie.

Septach Melayn podał mu wielką monetę. Stary marynarz obejrzał ją uważnie, zdumiony i zachwycony, przesuwając włóchatymi paluchami po twarzach na awersie i rewersie: Koronala Lord Confalume i zmarłego Pontifexa Prankipina. Kiedy ją oddawał, ręce mu drżały.

- Dziesięć rojali - powtórzył. - Cóż to za widok dla moich starych oczu, nie znajduję właściwych słów. Zapraszam, panowie. Zapraszam z całego serca.

Wsiedli. Skandar odepchnął łódź od nabrzeża. Najwyraźniej nadal był w szoku w obliczu takiej fortuny, od czasu do czasu potrząsał głową, wpatrywał się w palce, gładzące przed chwilą coś tak cennego.

Trappagasis wpłynęła w nurt rzeki. Prestimion, który jak większość panów z Góry niewiele miał okazji, by posługiwać się gotówką, pochylił się do Septacha Melayna.

- Powiedz mi, co można za to kupić? - spytał cicho.

- Za dziesiątkę? Powiedziałbym, że dobrego wierzchowca czystej krwi. Paromiesięczne mieszkanie w przyzwoitym hotelu, albo tyle dobrego wina z Muldemar, że wystarczyłoby go na rok. Nasz przewoźnik zarabia tyle w ciągu może pół roku, zapewne więcej, jego łódź jest mniej więcej tyle warta.

- Ach!

Prestimion w milczeniu rozważał przepaść, dzielącą jego życie od życia tego Skandara. Wiedział, że istnieją monety o nominałach większych niż dziesięć rojali, pięćdziesiątki, a nawet setki. Zaledwie wczoraj zaaprobował przecież projekty nowych serii z wizerunkiem swoim i Pontifexa Confalume'a.

A przecież dziesięć rojali w jednej monecie, jakich Septach Melayn miał zapewne wiele w mieszkaniu, dla przeciętnego mieszkańca tego świata było niewyobrażalnym bogactwem. Zwykli ludzie posługiwali się drobną monetą, bitą w brązie lub lśniącymi jednokoronówkami, zawierającymi minimalną ilość srebra w stopie z miedzią. Rojal mógł, przynajmniej dla nich, pochodzić wręcz z innego świata, tyle miał wpływu na zwykłe, codzienne życie.

Było to doświadczenie trzeźwiące i pouczające zarazem, zwłaszcza w świetle doskonale zapamiętanych momentów, gdy ludzie pokroju Dantiryi Sambaila czy Korsibara bez namysłu stawiali pięćdziesiąt czy nawet sto rojali na zawodników w zamkowych igrzyskach. Muszę wiele się jeszcze nauczyć, powiedział sobie Prestimion, nauczyć wiele o świecie, który uczynił mnie swym władcą.

*

Trzeszcząca, stara trappagasis powoli spływała w dół rzeki. Jej siedzący na rufie właściciel od czasu do czasu napierał na ster, utrzymując ją w nurcie. W tym miejscu rzeka była wręcz nieprawdopodobnie szeroka i tak leniwa, że niemal stojąca. Prestimion wiedział jednak, że jej charakter zmienia się wraz z opuszczeniem miasta, gdzie z wielką siłą uderzała w rząd niewysokich, lecz ostrych skalistych wzgórz, znanych pod nazwą Ręki Lorda Spadagasa, rozpadała na mnóstwo wąskich, bystrych, nic nie znaczących strumieni, ginących gdzieś u podnóża Góry.

- Dokąd się udajecie, wielcy panowie? - zawołał Skandar. - Najbliższa jest przystań Havilbove'a, potem Kanadby, a za nią Guadeloome'a.

- Dowieź nas tam, gdzie coś się dzieje, gdziekolwiek to jest - odpowiedział Prestimion i zwrócił się do Septacha Melayna: - Jak myślisz, o czym on mówił? Chodzi mi o tę historię z Lordem Prestimionem, pływającym jachtem i zatapiającym łodzie? Przecież tutejsi mieszkańcy muszą wiedzieć, że Lord Prestimion nie miał jeszcze czasu na złożenie oficjalnej wizyty w mieście i nie ma najmniejszej szansy na to, by w nim zamieszkać i sprawiać im kłopoty.

- Sądzisz, panie, że interesują ich realia życia Koronała? - spytał Gialaurys. - Przecież dla nich jest on mitem, postacią z legendy i równie dobrze może być w sześciu miejscach naraz.

Prestimion roześmiał się.

- Mimo wszystko... wymyślić, że Koronal, nawet gdyby tu rzeczywiście był, dla zabawy zatapia łodzie na rzece...

- Uwierz mi panie, kiedy powiem, że lepiej znam sposób myślenia zwykłych ludzi niż ty masz szansę go poznać. Tacy ludzie uwierzą w cokolwiek i we wszystko, co dotyczy władcy. Nie masz pojęcia, jak dalece jesteś im obcy mieszkając wysoko nad nimi, na samym szczycie Góry. I nie potrafisz sobie wyobrazić, jak fantastyczne wymyślają historie, jakie nieprawdopodobne opowieści.

- Nie mówimy o opowieści, Gialaurysie - powiedział Septach Melayn nie kryjąc zniecierpliwienia - tylko o przywidzeniu. Nie widzisz, że ten stary oszalał jak ci wszyscy, których widziałeś w Kharax, tańczących i śmiejących się głośno? Taki był poważny wyjawiając nam, że Koronal zabawia się zatapianiem łódek! Czy nie jest to kolejny przypadek szaleństwa, rozprzestrzeniającego się po świecie jak zaraza?

- Słusznie. Sądzę, że masz rację. Szaleństwo. Złudzenie. Ten Skandar nie wydaje się głupi, więc musi być szalony, bez dwóch zdań.

- Mimo wszystko dziwne to przywidzenie - zauważył Prestimion. - Na swój sposób komiczne, oczywiście, lecz ja miałem raczej nadzieję, że moi poddani kochają mnie wystarczająco mocno, by nie sądzić, że byłbym zdolny...

W tym momencie ich przewoźnik krzyknął głośno.

- Patrzcie, wielcy panowie! Patrzcie! - Stary Skandar wyciągnął przed siebie wszystkie cztery ramiona, wskazując kierunek. - Tam. Blisko, pod prąd.

Na rzece wrzało. Promy i łodzie wszystkich rodzajów i rozmiarów ożywiały się, nabierały prędkości, uciekały do brzegów, który był im bliższy, każdym możliwym kursem, byle szybciej. A nieco dalej widać było płynący majestatycznie, prawdziwie książęcy w swych rozmiarach i luksusie jacht, zbliżający się ku nim środkiem szlaku wodnego, cały błyszczący od świateł.

- Korona! Lord Prestimion płynie zatopić mi łódź - powiedział stary zdławionym głosem.

Sytuacja, która jeszcze przed chwilą wydawała się zabawna, zaczęła wielkim głosem domagać się wyjaśnienia.

- Zbliź się do jachtu - polecił Prestimion.

- Panie... nie... błagam...

- Tak, zbliź się - warknął Gialaurys, dodając kilka skandarskich przekleństw.

Przerażony przewoźnik nadal się wahał, błagając swych pasażerów o litość. Septach Melayn uśmiechnął się bezwstydnie, podniósł dłoń; zabłyśły w niej wielkie, okrągłe dziesięciorojale.

- To dla ciebie, przyjacielu, na wypadek kłopotów. Jesteś w pełni zabezpieczony. Trzydzieści rojali, widzisz? Trzydzieści!

Biedny Skandar wyglądał doprawdy żałośnie, zrezygnował jednak z oporu, ujął ster w dwie dłonie i utrzymał trappagasis na kursie.

Pozostali na rzece sami, widoczni jak na dłoni, jedna jedyna jednostka na kanale kursowym... za wyjątkiem luksusowego jachtu domniemanego Lorda Prestimiona. Zbliżali się do niego z każdą chwilą, ogromnego, onieśmielającego, władającego rzeką, a

przynajmniej tą jej częścią.

Byli już bardzo blisko. Niebezpiecznie blisko; Prestimion dopiero teraz w pełni uświadomił sobie niebezpieczeństwo. Jacht mógł z największą łatwością zmiażdżyć łódź, skruszyć ją i popłynąć dalej, a na pokładzie nie poczuło by najlżejszego drgnięcia. Nigdy nie był ekspertem w tej dziedzinie, ale nie miał wątpliwości, że rosnącą im w oczach jednostkę wybudowano na prawdziwie królewską skalę, że Oljebbin czy Serithorn uznaliby ją za w pełni odpowiednią dla siebie. Kadłub zrobiony był z jakiegoś czarnego lśniącego drewna, błyszczącego niczym polerowana stal, nadbudówki jeżyły się gęsto od bomów, wysięgników, drzewców, fałów, obwieszonych flagami sygnałowymi masztów i wiszących dosłownie wszędzie kolorowych lamp. Na dziobie wznosił się zębaty łeb o wytrzeszczonych ślepiach, łeb jakiejś legendarnej bestii z głębin, precyzyjnie rzeźbiony i pomalowany na żywe barwy: szkarłatną, żółtą, fioletową i zieloną. Jacht wywierał przez to potężne wrażenie: oszalał, budził podziw, a także strach.

Płynął zaś pod flagą, której widok najbardziej zdumiał Prestimiona, była to bowiem flaga floty Koronała, zielony rozbłysk gwiazd na złotym tle.

- Widzicie? - krzyknął wstrząśnięty, szarpiąc Gialaurysa za rękaw.

- Ta flaga... oficjalna flaga...

- A oto, jak mi się zdaje, i sam Koronał. - Septach Melayn zachowywał kamienny spokój. - Co prawda słyszałem, że Lord Prestimion jest przystojnym mężczyzną, ale były to zapewne zwykłe

plotki.

Prestimion stał nieruchomo, sparaliżowany ze zdumienia, przyglądając się człowiekowi, mającemu być nim. Stał on dumnie na pokładzie dziobowym swego wspaniałego statku, ubrany w szaty w królewskich barwach, iście po królewsku kontemplując nadchodzącą noc.

Rzeczywiście, w niczym nie przypominał władcy, którym miał być. Jak wielu mężczyzn przewyższał Prestimiona wzrostem, ramiona miał jednak węższe, a pierś wątlejszą. Jego złotobrązowe włosy bardzo różniły się od matowobłond włosów Koronała, poza tym były nie proste, lecz zwijały się w miękkie fale. Twarz, mięsista, nalana, nie sprawiała przyjemnego wrażenia przez przesadnie gęste brwi i orli nos. Jej właściciel przyjął pozę wręcz królewską, z dumnie odrzuconą głową i ręką sztywno zasadzoną za rozcięcie kasaka. Za nim stał wysoki, szczupły mężczyzna w bufiastym kaftanie i ognistoczerwonych bryczesach, grający zapewne rolę Septacha Melayna, obok niego zaś, przy drugim boku władcy, tęgi mężczyzna z kwadratową szczęką w bryczesach w stylu Piliplok, bez wątpienia mający być Gialaurysem. Ich obecność czyniła tę przedziwną maskaradę tym bardziej niepokojącą, czyniła wydarzenie bardziej oszukańczym; Prestimion zapomniał już, że poprzednio tylko go niepokoiło, teraz czuł coś bardzo podobnego do gniewu. Przeżył już jedną uzurpację, nie czuł w sercu gotowości na walkę z kolejną, jeśli to, na co teraz patrzył można określić tym słowem.

Skandar szczerkał zębami ze strachu.

- Wielcy panowie, umrzemy. Umrzemy... umrzemy... błagam was... pozwólcie mi zawrócić łódź...

Ale w tej chwili zmiana kursu nie miała już sensu. Jednostki znajdowały się tak blisko siebie, że jacht mógł bez problemu staranować łódkę, gdyby Koronalowi Lordowi Prestimionowi przyszła na to ochota. Ale wydawało się, że jest dziś w pogodnym humorze i kiedy łódka mijала się z jachtem po jego sterburcie, Lord Prestimion opuścił wzrok, spojrzał na znajdującego się o tyle niżej od niego Lorda Prestimiona i skrzyżował z nim spojrzenie. Dwaj Lordowie patrzyli sobie w oczy przez długą chwilę w napiętym milczeniu, po czym ten wywyższony i wspaniały uśmiechnął się do tego płynącego skromną łódką jak król, obdarzający łaskami prostaczka, dworsko skinął mu głową, wyciągnął ukrytą pod kasakiem dłoń, w której trzymał mały woreczek z zielonego aksamitu i cisnął go mniej więcej w kierunku łódki.

Prestimion trwał w takim osłupieniu, że nawet nie próbował po niego sięgnąć, ale Septach Melayn, obdarzony błyskawicznym refleksem, pochylił się i chwycił go nim przeleciał im nad głowami i wpadł do wody. Tymczasem wielki jacht minął ich i majestatycznie popłynął dalej, pozostawiając po sobie kilwater, na którym mała łódka kołysała się szaleńczo.

Przez chwilę na jej pokładzie trwała zdumiona cisza. Przerwał ją monotony głos Skandara, odmawiającego jedną po drugiej modlitwy dziękczynne za ocalenie od niechybnej śmierci i, zaraz potem, okrzyk Prestimiona.

- Bythois i Sigei! - krzyknął, równie wstrząśnięty co rozwścieczony. - Rzucił pieniądze! Rzucił mieszek z pieniędzmi! Mnie! Za kogo mnie uważa?

- Najwyraźniej nie wie, z kim miał przyjemność - powiedział Septach Melayn uspokajająco. - A jeśli chodzi o to, za kogo uważa siebie...

- Niech Remmer odbierze mu duszę!

- Ach, panie, nie powinienes przywoływać imion demonów - zauważył przestraszony nie na żarty Gialaurys. - Nawet żartem.

Prestimion skinął głową, pobłażając jego słabostce.

- Tak, Gialaurysie, oczywiście. - Dla niego te straszne słowa były tylko słowami, dźwiękami bez znaczenia, rodzajem przekleństwa. Ale nie dla przyjaciela.

Uspokajał się, choć powoli. Zbyt ozdobna to była maskarada, by uznać ją za naprawdę groźną, ale z drugiej strony trzeba było jednak koniecznie sprawdzić, o co tu właściwie chodzi.

Przeniósł wzrok na Septacha Melayna.

- Czy przynajmniej te pieniądze są prawdziwe? - spytał.

Melayn wyciągnął ku niemu rękę pełną monet.

- Wydają mi się wystarczająco prawdziwe. To dziesięciokoronówki, będzie ich za dwa, trzy rojale. Chcesz zobaczyć?

- Daj je naszemu przewoźnikowi. I powiedz mu, żeby podpłynął do prawego brzegu. Simbilon Khayf mieszka na nim, prawda? Niech dobije do przystani najbliższej domowi Khayfa.

- Simbilon Khayf? Zamierzasz go odwiedzić?

- To najważniejsza postać w handlowych kręgach Stee, a przynajmniej tak mi mówiono. Każdy, kto dysponuje pieniędzmi w ilości pozwalającej na ciskanie mieszkami dziesięciokoronówek w przepływające obok łodzie, musi być mu dobrze znany. Od niego dowiemy się z pewnością, kim jest nasz dumny żeglarz.

- Ale... Prestimionie, Koronal nie może tak bez jednego słowa uprzedzenia narzucać się nieznanym! Nawet nieznanym tak bogatym jak Khayf. Każda oficjalna wizyta wymaga przecież przygotowań. Sam wiesz, że nie możesz tak sobie wpaść do niego na pogawędkę. „Cześć, Simbilonie, wpadłem do miasta, więc korzystając z okazji chciałbym zadać ci kilka pytań... ”.

- Och, nie. Nie powiemy mu, kim jesteśmy. Całkiem możliwe, że mamy do czynienia ze spiskiem, do którego i on należy. Fałszywy Prestimion może równie dobrze być jego kuzynem, więc jeśli pojawimy się w jego domu jako my, zawsze istnieje szansa, że już z niego nie wyjdziemy. Nie, Septachu Melaynie, mamy odpowiednie, wspaniałe przebrania, więc będziemy tylko skromnymi kupcami, potrzebującymi pożyczki. Przy okazji opowiemy, co nam się wydarzyło i zobaczymy, jak zareaguje.

*

- Ojciec będzie wkrótce do panów dyspozycji - powiedziała urocza, ciemnowłosa dziewczyna, która powitała ich u wejścia do salonu domu Simbilona Khayfa. - Tymczasem może zechcą panowie napić się wina? Bardzo cenimy wino z Muldemar. Ojciec twierdzi, że pochodzi z piwnic należących do samego Lorda Prestimiona.

Dziewczyna miała na imię Varaile. Prestimion przyglądał się jej ukradkiem ze swego miejsca spod ściany imponująco wspaniałego pokoju, myśląc o tym, jak nieprawdopodobne wydaje się, że tę piękną istotę spłodził człowiek tak toporny i szpetny jak Simbilon Khayf, którego brzydota dorównywała brzydocie Hjortów.

Bo Varaile była prawdziwą pięknnością. Nie w ten tajemniczy, kruchy sposób, cechujący urodę Thismet, która była niska, bardzo drobna, delikatna, wąska w talii, z której rozkwitały piękne biodra. Rysy miała idealnie wymodelowane, a oczy czarne, błyszczące w gniewie i w radości z twarzy bladej jak Wielki Księżyc. Jej skóra była zaskakująco biała.

Nie. Ta dziewczyna wzrostem dorównywała Prestimionowi, nie sprawiała też wrażenia kruchej, co Thismet czyniło tak niezwykle atrakcyjną. Thismet wydawała się promieniować własnym blaskiem, do czego córka Khayfa nie była zdolna. Nie poruszała się też w ten majestatyczny, chłodny, królewski sposób, jakże charakterystyczny dla wysokiego urodzenia.

Takie porównania trudno jednak uznać za sprawiedliwe, z czego Prestimion doskonale zdawał sobie sprawę. W końcu Thismet była córką Koronała, wychowała się w pełnym pułapek, niebezpiecznym świecie władzy. Życie na dworze dało jej godność, zdolną wyłącznie podkreślić, a nie zaćmić wrodzoną urodę. Ta Varaile, czemu nikt nie byłby w stanie zaprzeczyć, była po prostu piękna, lecz na swój własny sposób, szczupła, elegancka, bardzo zgrabna. Wydawała się też spokojna, zrównowazona; kobieta, a właściwie jeszcze dziewczyna,

pełna niezwykłego wdzięku i pewności siebie.

Prestimiona zaskoczyło, że tak bardzo się nią interesuje. Przecież nadal opłakiwał utraconą miłość. Los dał mu zaledwie kilka niesłychanie intensywnych tygodni z Thismet przed bitwą, mającą zdecydować o losach wojny domowej. Z kobietą będącą jego śmiertelnym wrogiem do chwili, gdy porzuciła swego nieodpowiedzialnego brata i w poszukiwaniu Prestimiona przebyła długą drogę; kobietą, którą śmierć mu odebrała, gdy ich wspólne życie dopiero miało się rozpocząć. Z taką stratą trudno się pogodzić i nieprędko się o niej zapomina. Prestimion myślał nawet czasami, że nie sposób o niej zapomnieć. Od jej śmierci nie spojrzał nawet na inną kobietę, a pomysł, by związać się z kimś, nawet w najbardziej powierzchowny sposób, nie powstał mu w głowie.

A jednak przyjmował teraz z rąk Varaile kielich doskonałego wina z jego rodzinnych winnic, choć o tym nie mogła wiedzieć, podnosił na nią wzrok, patrzył jej w oczy, ich spojrzenia spotkały się i coś wówczas nastąpiło? Czyż nie poczuł drżenia, w którym było i zastanowienie, i chyba także odrobina pożądania...?

- Zamierzacie zostać w Stee dłużej? - spytała. Miała głęboki głos jak na kobietę, bogaty, dźwięczny i muzykalny.

- Dzień, może dwa dni, nie dłużej. Mamy interesy w Hoikmar, pilne, a także w Minimool, choć możemy odwrócić kolejność. Potem wrócimy do domów, do Gimkandale.

- Ach, więc wszyscy jesteście z Gimkandale?

- Ja, tak. I ten tu Smirok Morlin. Rodzina naszego partnera

Gheveldina - Prestimion spojrział na Gialaurysa - pochodzi z Piliplok.

Nie sposób było nie rozpoznać śpiewnego akcentu, zdradzającego jego pochodzenie ze wschodniego wybrzeża Zimroelu; lepiej nie mijać się z prawdą tam, gdzie nie jest to absolutnie konieczne.

- Piliplok! - krzyknęła dziewczyna, a w jej oczach pojawił się wyraz tęsknoty. - Tyle o nim słyszałam, o ulicach, biegnących idealnie prosto. Piliplok i oczywiście Ni-moya, i Pidruid, i Narabal... dla mnie nazwy tych miast są jak z legendy. Czy kiedykolwiek je zobaczę? Zimroel jest tak strasznie daleko.

- Tak, nasz świat jest wielki, pani - powiedział Septach Melayn tonem wykładu, obdarzając ją poważnym spojrzeniem kogoś wygłaszającego głęboką prawdę - ale podróże to wspaniała rzecz. Ja osobiście byłem nawet w Alaisor na zachodzie, w Bandar Delem na północy, a pewnego dnia, jestem pewien, pożegluję i na Zimroel. - Obrzucił dziewczynę dwuznacznym spojrzeniem, uśmiechnął się krótkim, nieprzyjemnym uśmiechem. Czy byłaś kiedyś w Gimkandale, pani? Sprawiłoby mi niezwykłą wręcz przyjemność, gdybym mógł pokazać ci moje miasto, jeśli kiedykolwiek zdecydujesz się je odwiedzić.

Nim zdołał się powstrzymać, Prestimion obrzucił przyjaciela zaskoczonym spojrzeniem. Czy Septach Melayn zdaje sobie sprawę z tego, co właśnie powiedział? Czyżby poważnie oferował swe usługi przewodnika po Gimkandale? I jeszcze uśmiecha się tak nieprzyzwoicie bezpośrednio? Przecież to bardzo ryzykowna taktyka. Przybyli do tego domu w interesach, nie w konkury. A poza tym, od

kiedy to Septach ma raptem ochotę na flirt, nawet z tak piękną kobietą? Ale... - Prestimion spytał sam siebie, zaskoczony - ...czy nie odczułem przypadkiem ukłucia zazdrości?

Córka Simbilona Khayfa dołała im wina. Nietrudno było zauważyć, że nie szczędzi go gościom, mimo iż było kosztowne. Lecz w tym domu mieszkało bogactwo. Już kiedy stanęli na progu dostrzegli meble i wyposażenie godne samej Zamkowej Góry: drzwi z ciemnego drzewa thuzna intarsjowane złotymi filigranami, hol, który swą wspaniałością przyniósłby zaszczyt władcy, w którym perfumowana woda tryskała pod sufit z dwunastościennej fontanny wyłożonej szkarłatnymi płytkami o krawędziach z turkusa, no i ten salon: gęsto tkane kosztowne dywany z Makroposopos, obficie brokatowane poduszki. A przecież był to parter cztero, a może nawet pięciokondygnacyjnego budynku, liczącego sobie, wszystko na to wskazywało, najwyżej kilka lat. Ktokolwiek wykonywał tę pracę dla Simbilona Khayfa, wykonał ją doprawdy bardzo dobrze.

- Och, jest i ojciec - powiedziała Varaile. Klasnęła w dłonie. W drzwiach po lewej pojawił się służący w liberii, dźwigający krzesło tak bogato dekorowane klejnotami i rzadkimi metalami, że zasługiwało wręcz na nazwę tronu, a jednocześnie przez drzwi od strony przeciwnej wszedł szybkim krokiem sam Simbilon Khayf, witając niezapowiedzianych gości krótkim ukłonem. Usiadł na podsuniętym mu szacownym siedzisku.

Okazał się jeszcze brzydszy niż Prestimion zapamiętał go z uroczystości koronacyjnych, podczas których miał czas zaledwie raz

rzucić na niego okiem: niski wzrost, zacięta twarz, wielki nos, cienkie okrutne usta oraz narzucająca się, wręcz wpadająca od razu w oko wielka szopa siwych włosów, absurdalnie spiętrzonych na czubku głowy. Dziś miał na sobie strój pretensjonalnie formalny: kasztanową kamizelkę przetykaną lśniąco metalicznie nicią, w parze z obcisłymi bryczesami wykończonymi czerwoną aksamitną lamówką.

- Ach, tak... - powiedział zacierając ręce w nieświadomym geście drobnego handlarza wietrzącego okazję do zarobienia paru koron - ...zapewne doszło do jakiegoś nieporozumienia w związku z umówionym terminem spotkania, bowiem muszę przyznać szczerze, panowie, nie pamiętam, bym wyrażał zgodę na spotkanie trzech kupców z Gimkandale, dziś wieczorem, w moim domu. Ale nie doszedłem do tego, co posiadam, odrzucając zyskowne propozycje powodowany fałszywą dumą. Jestem więc do usług. Mam nadzieję, że córka potraktowała was odpowiednio?

- Pod każdym względem, proszę pana. - Prestimion uniósł kielich. - To wino... nigdy nie piłem lepszego.

- Pochodzi z własnych piwnicy Koronala. Najlepsze Muldemar. W tym domu nie pije się niczego innego.

- Pozazdrościć, pozazdrościć. - Zabrzmiało to bardzo godnie i poważnie. - A więc, ja nazywam się Polivand, mój partner po lewej to Simrok Morlin, a tam, szanowny panie, siedzi Gheveldin, którego rodzina wywodzi się z Piliplok.

Przerwał. Chwila była niebezpieczna, Simbilon Khayf uczestniczył

w bankiecie koronacyjnym jako towarzysz hrabiego Fisiolo, a więc siedział względnie blisko podwyższenia. Czy nie zaświta mu myśl, że siedzący pod jego dachem trzej kupcy to w istocie Koronał Lord Prestimion, Wysoki Doradca Septach Melayn i Wielki Admirał Gialaurys, ukryci pod idiotycznymi przebraniami? A jeśli zobaczył prawdę pod osłoną ich fałszywych bokobrodów, czy nie wystrzeli za chwilę głupim pytaniem o powód podjęcia tak niezwyklej próby oszustwa, czy też będzie milczał w oczekiwaniu na słowa Koronała?

Khayf nie dał po sobie niczego poznać. Siedział zadowolony z siebie, odrobinę znudzony, jak to człowiek jego stanu, gotów znieść towarzystwo nieoczekiwanych gości nie reprezentujących sobą niczego. Albo był doskonałym aktorem, co wydawało się całkiem możliwe biorąc pod uwagę jego niezwyklej karierę i nieprawdopodobny majątek, zdobyty w okresie zaledwie kilku lat, albo rzeczywiście wierzył, że ma przed sobą skromnych kupców, pragnących przedłożyć mu propozycję handlową, a o spotkaniu z którymi zdarzyło mu się w jakiś dziwny sposób zapomnieć.

- Czy mam ci wyjaśnić, dlaczego tu jesteśmy, mój dobry Simbilonie Khayfie? - Prestimion podjął temat gładko, chwila milczenia wydała się przez to zupełnie naturalna. - Otóż wynaleźliśmy maszynę umożliwiającą prowadzenie rachunków firmy... sporządzenie jej bilansu... znacznie szybszą i łatwiejszą w obsłudze niż dotychczas dostępne.

- Doprawdy? - Simbilon Khayf nie wykazał szczególnego entuzjazmu. Splótł dłonie na brzuchu, a w jego oczach, zimnych i

nieprzyjemnych, pojawił się błysk irytacji. Najwyraźniej błyskawicznie ocenił pomysł gości i uznał, że widoki nie są najlepsze i że ta sprawa go nie interesuje.

- Gdy tylko trafi na rynek, będzie na nią wielkie zapotrzebowanie - kontynuował Prestimion skwapliwie, bardzo starając się okazać interesującym. - Tak wielkie, że odpowiednia rozbudowa naszej fabryki da się sfinansować tylko wielką ilością pożyczonego kapitału. Przeto...

- Tak, potrafię dopowiedzieć sobie resztę. Oczywiście przywieźliście ze sobą w pełni sprawny egzemplarz waszego urządzenia?

- Przywieźliśmy, oczywiście... - w głosie Prestimiona zabrzmiała rozpacz - ...lecz gdy płynęliśmy rzeką zdarzył się nieszczęśliwy wypadek...

Septach Melayn kontynuował opowieść.

- Łódź, którą wynajęliśmy do przewiezienia nas z Przystani Vildivara do miejsca najbliższego pańskiemu domowi, omal nie została przewrócona i zmiądzona w kolizji z wielkim jachtem, który nie zostawił nam miejsca na manewr, na żaden manewr. - Powiedział to z tak szczerym, prostackim oburzeniem, że Prestimion musiał zrobić wszystko, co w jego mocy, by nie wybuchnąć śmiechem. - Mogliśmy się utopić, panie! Ale trzymaliśmy się mocno naszych siedzeń, utrzymaliśmy się w łodzi i ocaliliśmy życie. Niestety, dwie sztuki naszego bagażu wypadły za burtę. W jednej, mówię to z największym żalem, znajdował się...

- Model waszego urzadzenia, jak rozumiem? - dokończył za niego gospodarz. - Co za nieszczęśliwy wypadek. - W jego głosie nie było współczucia. Nagle zachichotał. - Mam nieodparte wrażenie, że zdarzyło się wam spotkać naszego szalonego Koronala. Wielki, tak bogaty, że aż w złym guście, krzykliwy jacht, cały obwieszony latarniami, rzeczywiście próbujący uderzyć w was pośrodku rzeki?

- Tak! - przytaknęli jednym głosem Prestimion i Gialaurys. - Tak jest, dokładnie tak, panie.

- Owszem, to by się zgadzało - dodał Septach Melayn. - Stopa, może dwie bliżej i zmiażdżyłby nas na placek. Na mały cienki placuszek, panie!

- Czy zechciałeś powiedzieć, panie, że Koronal jest szalony? - Prestimion pozwolił sobie na okazanie wielkiego zainteresowania. - Zdaje się, że nie pojąłem znaczenia tych słów, bo przecież Koronal z całą pewnością przebywa w tej chwili na szczycie Zamkowej Góry i nie ma żadnego powodu przypuszczać, że jego umysł został w jakiś sposób upośledzony. Byłoby rzeczą straszną, gdyby okazało się, że nowy władca...

- Musicie panowie zrozumieć - Varaile włączyła się umiejętnie do rozmowy - że mój ojciec nie ma bynajmniej na myśli Koronala Lorda Prestimiona. Jak słusznie zauważyliście, wszystko wskazuje na to, że jest tak normalny jak każdy z nas. Chodzi mu o naszego własnego szaleńca, młodego krewnego hrabiego Fisiolo, który ostatnimi czasy postradał zmysły. W Stee mamy, niestety, wiele przypadków szaleństwa. Miesiąc czy dwa temu i w naszym domu zdarzyło się

nieszczęście. Młoda pokojówka straciła panowanie nad sobą. Wyskoczyła z okna, zabijając dwoje ludzi, przechodzących akurat pod domem...

- To straszne! - przerwał jej Septach Melayn, demonstrując przesadne objawy wstrząsu.

- Krewniak hrabiego - wrócił do tematu Prestimion - cierpi zatem na urojenia, a dokładniej: wydaje mu się, że jest naszym nowym Koronalem?

Varaile skinęła głową.

- Właśnie tak. I może robić co chce, jakby był właścicielem świata.

- Powinno się go zamknąć w głębokim lochu niezależnie od tego, czyim jest krewniakiem - powiedział Gialaurys z wielkim, szczerym przekonaniem. - Nie powinien szaleć po rzece, narażając uczciwych podróżnych na utratę życia.

- Och, najzupełniej się z tym zgadzam - przytaknął Simbilon Khayf. - Przez tę jego krzykliwą zabawkę zaczął szwankować handel. Ale hrabia Fisiolo, będący, pragnę zaznaczyć, moim drogim przyjacielem, to człowiek miłosierny. Szaleniec jest synem brata żony hrabiego, nazywa się Garstin Karsp. Ojciec jego, Thiwid, odszedł od nas niedawno, niespodziewanie, w kwiecie wieku. Jego nieoczekiwana śmierć wstrząsnęła młodym Garstinem, a kiedy dowiedzieliśmy się o śmierci starego Pontifexa i wyborze Lorda Prestimiona na Koronala, mającego zastąpić udającego się do Labiryntu Lorda Confalume'a, Garstin Karsp począł rozgłaszać, że Prestimion nie pochodzi z Muldemar, jak to się zwykło uważać, lecz

ze Stee. Że to on jest Prestimionem i że jako Koronal przeniesie stolicę do Stee, które pełniło już tę funkcję w czasach Lorda Stiamota.

- Czy jego pretensje są powszechnie akceptowane w mieście? - zainteresował się Septach Melayn.

Simbilon Khayf wzruszył ramionami.

- Być może wśród najprostszych, wśród pospólstwa. Większość obywateli rozumie doskonale, że to przecież tylko syn Thiwida Karspa, oszalały z żalu.

- Biedny człowiek. - Septach uczynił odpowiedni, święty gest.

- Och, nie taki biedny, nie taki biedny. Jestem bankierem rodziny, lecz z pewnością nie zdradzę zaufania stwierdzając, że skarbiec Karspów błyszczy od sturojalówek jak niebo od gwiazd. Sam jacht kosztował Garstona fortunę! Plus wynajęcie załogi na codzienne wieczorne rejsy, podczas których przeraża przewoźników. Plus rozrzucone od czasu do czasu grube mieszki pełne koron. Kiedy zmieni mu się nastrój taranuje ich, jakby były niewidzialne. Nikt nie wie, kiedy jest w takim nastroju, kiedy w innym, więc gdy się zbliża wszyscy uciekają.

- Mimo to hrabia go oszczędza - zauważył Prestimion.

- Z litości. Młody człowiek ciężko przeżył śmierć ojca.

- A co z właścicielami zatopionych łodzi? Odbiera im środki utrzymania. Ciężko to przeżywają?

- Hrabia, jak rozumiem, rekompensuje im straty.

- Straciliśmy nasz ładunek. Kto nam to zrekompensuje? Czy mamy zwrócić się ze skargą do pana hrabiego?

- Być może powinniście. - Simbilon Khayf lekko zmarszczył brwi, jakby zmiana, która zaszła w Prestimionie, przemawiającym stanowczo, wręcz oskarżycielsko uświadomiła mu, że nie jest osobą tak skromną, za jaką jeszcze przed chwilą zamierzał uchodzić. - Ale przyznaję ci rację, człowieku, tej sprawy nie powinno tolerować się dłużej. Do dziś nikt nie utonął, ale w końcu dojdzie i do tego, a wówczas Fisiolo uświadomi chłopcu, że czas skończyć z tą maskaradą, po cichu wyśle go gdzieś na leczenie i na rzece znów zapanuje spokój.

- O co też się modłę - rzekł Septach Melayn.

- A na razie - mówił dalej pan domu - wygląda na to, że mamy wśród nas Koronała, jaki by był i trudno. Niech będzie. Jak już wspomniała moja córka, ostatnio wiele rzeczy nie jest całkiem w porządku. Ten smutny incydent, mam na myśli śmierć naszej pokojówki, jest tego najlepszym dowodem. - Wstał ze swego tronu, najwyraźniej postanowił zakończyć rozmowę. - Przykro mi z powodu kłopotów, które stały się waszym udziałem. Jeśli zechcecie powrócić z nowym modelem waszego urządzenia, proszę, umówcie się z moimi ludźmi. Zdecydujemy wówczas o inwestycji w waszą firmę. Życzę miłego dnia.

- Czy mam panów odprowadzić, ojcze? - spytała Varaile.

- Gawon Bari się tym zajmie. - Simbilon Khayf zaklaskał na służącego, który przyniósł mu krzesło.

Kiedy wyszli, Prestimion odetchnął głęboko.

- No, przynajmniej w mieście nie ma zakonspirowanej grupy,

pragnącej pozbawić mnie władzy - powiedział. - Jest biedny szaleniec, którego hrabia Fisiolo pochopnie utwierdza w jego szaleństwie. Ta wiedza przynosi ulgę, prawda? Kiedy zakończymy już te zwariowane podróże, wyślemy notę do hrabiego Fisiolo, nakazując mu zakończenie wariackich wypadów młodego Karspa. Oraz położenie kresu jego bełkotowi, jakoby był Lordem Prestimionem.

- Tyle jest szaleństwa wokół nas - westchnął Septach Melayn. - O co tu chodzi?

Gialaurys zwrócił uwagę na coś innego.

- Zauważyliście, że rozpoczęliśmy od zwykłej prośby o pożyczkę, a on skończył mówiąc o „inwestycji”? Gdybyśmy rzeczywiście mieli firmę, produkującą coś wartościowego, szybko zdobyłby w niej pakiet kontrolny. Zdaje się, że teraz rozumiem, jak doszedł do takich pieniędzy tak szybko.

- Ludzie tacy jak on nie słyną z delikatności w interesach.

- Ach, ale ta jego córka, ta córka - westchnął Septach Melayn. - Oto wyższe sfery, mój panie.

- Zdaje się, że wywarła na tobie piorunujące wrażenie - zauważył Prestimion.

- Na mnie? Tak, oczywiście, w ten abstrakcyjny sposób, w jaki piękno i wdzięk zawsze wywierają na mnie wrażenie. Przecież wiesz, że nie uważam towarzystwa kobiet za istotne. Za to ty, przyjacielu, wyszedłeś z tego domu najgłośniej wyśpiewując jej pochwały.

- Jest bardzo piękną dziewczyną - zgodził się z nim Koronał. - I doskonale wychowaną jak na córkę prostackiego dorobkiewicza. Ale

w tej chwili mam na głowie sprawy zupełnie inne niż urodziwe damy. Na przykład sąd nad prokuratorem. Głód w okręgach zniszczonych przez wojnę. Nie zapomnijmy też o przypadkach szaleństwa, mnożących się jak grzyby po deszczu. I o krewnym hrabiego Fisiolo, tym drugim Lordzie Prestimionie, któremu pozwala się terroryzować szlak rzeki Stee. Ciekawe, kto jest większym szaleńcem: chłopiec, który twierdzi, że jest mną, czy Fisiolo, tolerujący jego szaleństwo. Chodźmy. Znajdziemy sobie miejsce w gospodzie, a jutro... Hoikmar, tak? Być może zastaniemy tam trzech Prestimionów, sprawujących sądy.

- Na dodatek do kilku Confalume'ów - westchnął Septach Melayn.

*

Stojąca w oknie swej sypialni na drugim piętrze córka Simbilona Khayfa odprowadzała wzrokiem trzech gości, idących przez brukowany plac w stronę rozpościerającego się za nim ogrodu.

W każdym z nich jest coś niezwykłego, pomyślała. Coś, co odróżnia ich od większości ludzi, przychodzących do ojca z prośbą o pożyczkę. Choćby ten bardzo wysoki, smukły, poruszający się z wdziękiem tancerza; w rozmowie sprawiał wrażenie wioskowego idioty, ale było oczywiste, że udaje; w rzeczywistości jest wyjątkowo inteligentny i bystry. Łatwo to poznać po spojrzeniu, a jego przenikliwe, niebieskie oczy dostrzegały wszystko w jednej chwili. Zapamiętywał to, na co patrzył na wypadek, gdyby miało mu się kiedyś przydać. Sprytu też mu nie brakowało, a wszystko, co mówił, choć brzmiało bardzo poważnie, podszyte było ironią. Ten mężczyzna

jest przebiegły, mądry i najprawdopodobniej bardzo niebezpieczny. A ten drugi? Mówił niewiele, z bardzo wyraźnym akcentem z Zimroelu... ileż w nim siły, potężnej, doskonale opanowanej! Prawdziwy człowiek - skała.

Trzeci z nich? Niski, szeroki w ramionach... i to spojrzenie, które nie sposób zignorować. I twarz, wspaniała mimo śmiesznie do niej nie pasujących wąsów i brody. Bez nich musi być naprawdę przystojny. Niezwykła osobowość, myślała Varaile. Otacza go prawdziwie pańska aura. Nie uwierzę, że ktoś taki może być prostakiem, zwykłym drobnym handlarzem, nic nieznaczącym fabrykantem maszyn księgowych. Musi być kimś ważniejszym. Kimś o wiele, wiele ważniejszym.

Pojechali ku szczytowi Góry. Ich celem był krąg Miast Strażniczych, a jako pierwsze odwiedzili Hoikmar. Tam, w publicznym ogrodzie, wśród rozkwitających właśnie tanigalów i karmazynowych eldironów, na brzegu spokojnego, idyllicznego kanału o brzegach porośniętych krótko przyszczyżoną, czerwonawą trawą, miękką jak futro thangi, spotkali zebraka, brudnego, obdartego, starego siwego człowieka, który jedną dłoń zacisnął na nadgarstku dłoni Septacha Melayna, drugą na nadgarstku Prestimiona i powiedział dziwnym, napiętym głosem:

- Wielcy panowie, o wielcy panowie, poświęćcie mi chwilę swego cennego czasu, mam bowiem skrzynkę pieniędzy na sprzedaż po dobrej cenie. Po bardzo, bardzo dobrej cenie.

Wpatrywał się w nich oczami błyszczącymi z niezwykłego napięcia, a nawet, być może, błyskotliwej inteligencji. A jednak odziewał się w szmaty, podarte i śmierdzące. Stara, bladoczerwona blizna przecinała jego lewy policzek, sięgając kącika ust. Septach Melayn zerknął nad jego głowę na Prestimiona i uśmiechnął się krzywo, jakby chciał powiedzieć: „Chyba mamy kolejnego szaleńca”. Prestimion, którego ta myśl przygnębiła, poważnie skinął głową.

- Skrzynka pieniędzy na sprzedaż? Co chcesz przez to powiedzieć?
- spytał.

Starzec najwyraźniej chciał powiedzieć dokładnie to, co

powiedział. Z wytartej płóciennej torby, wiszącej mu u pasa, wyjął zardzewiałą, umazaną ziemią skrzyneczkę, przewiazaną grubymi wypłowiałymi, popękkanymi rzemieniami. Otworzył ją i okazało się, że rzeczywiście, wypełniają ją po brzegi monety o wysokich nominałach, dziesiątki monet, rojale, pięciorojalówki i kilka dziesiątek. Zanurzył dłoń w tym bogactwie, przegarnął je, monety zabręczwały srebrzyście.

- Są takie piękne - zachwycił się. - I wasze, wielcy panowie, za taką cenę, jaką zechcecie zapłacić.

Septach Melayn wyjął jedną ze srebrnych monet, postukał w nią paznokciem. Zwrócił się do Prestimiona.

- Popatrz tylko! Widzisz litery napisu wzdłuż krawędzi? Poznajesz, jakie są stare? Poznajesz Lorda Arioca? Jego Pontifexem był Dizimaule.

- Ależ oni żyli trzy tysiące lat temu!

- Chyba nawet nieco dawniej. A to kto? Lord Vildivar? W każdym razie tak tu jest napisane. I Thraym na rewersie.

- A tu? - Gialaurys też sięgnął do skrzynki, wyjął kolejną monetę, przyjrzał się jej, zmarszczył brwi, próbując odczytać inskrypcję. - To Lord Siminave. Wiecie coś o tym Siminave?

- Zdaje się, że był Koronalem Calintane'a. - Prestimion spojrział na starego surowo. - Masz w tej swojej skrzynce prawdziwa fortunę, co najmniej pięćset rojali, więc czemu chcesz sprzedać je nam za byle jaką cenę? Przecież możesz płacić tym, co masz i żyć jak książę do końca swych dni!

- Och, mój panie, czy ktoś uwierzy, że człowiek taki jak ja był w stanie zgromadzić taki skarb? Nazwą mnie złodziejem, zamkną w więzieniu i tam będę żył do końca mych dni. Poza tym to bardzo stare pieniądze, nawet ja to widzę, chociaż nie umiem czytać. Obce twarze, ci Koronalowie, ci Pontifeksi? Ludzie potraktują je podejrzliwie. Nie przyjmą ich, bo nie znają twarzy władców. Nie, nie... znalazłem skrzynkę koło kanału, tam gdzie deszcz wypłukał ziemię. Ktoś zakopał ją dawno temu, pewnie po to, żeby przechowała się bezpiecznie. Nigdy po nią nie wrócił. Ale dla mnie, wielcy panowie, ten skarb jest zupełnie nieprzydatny. - Stary uśmiechnął się chytrze, ukazując kilka pozostałych mu zębów. - Dajcie mi... powiedzmy... dwieście koron w monetach, które mogę wydać, dziesięciokoronówkach, albo i drobniejszych, a to wszystko będzie wasze. Zrobicie ze skarbem co chcecie, bo przecież widzę, że jesteście ludźmi znaczącymi, więc będziecie wiedzieć, jak go wykorzystać.

- Bełkoczesz jak dureń. - Gialaurys wrzucił monetę do skrzynki, a potem popukał się w głowę. - Nikt nie odmówi przyjęcia dobrego srebrnego rojala, choćby był nie wiem jak stary.

Septach Melayn skinął głową, uśmiechnął się, narysował palcem kółko na czole.

Prestimion zgodził się z tą opinią. Żał mu było nędznego, brudnego starca. Tym, co rozpałało jego spojrzenie było szaleństwo, nie inteligencja; oto kolejny przerażający przykład epidemii, zalewającej falą świat. Oczywiście, mógł być złodziejem, mógł ukraść jakiemuś kolekcjonerowi zbiór starych monet, ale sądząc po stanie skrzynki, w

której je nosił, rzeczywiście znalazł je gdzieś w pobliżu kanału. Tak czy inaczej tylko ktoś niespełna rozumu mógł oferować je na sprzedaż tak tanio, za drobny ułamek ich rzeczywistej wartości, obcym, przypadkowo spotkanym ludziom.

Nie miał też ochoty na takie interesy. Spośród wszystkich mieszkańców Majipooru właśnie jemu nie wolno było kupić kilku setek rojali w srebrze za dwie garście koron. Poczul strach, spowodowany tak bezpośrednią bliskością szaleństwa. Marząc tylko o tym, by móc oddalić się stąd jak najszybciej polecił Septachowi Melaynowi, by dał staremu pięćdziesiąt koron... i niech zachowa swój skarb dla innego kupca.

Żebrak ze zdumieniem patrzył na Melayna, wręczającego mu pięć odliczonych dziesięciokoronówek. Zdumienie nie przeszkodziło mu zresztą w przyjęciu pieniędzy i schowaniu ich za pasem. Po czym jego sprytne oczka rozszerzyły się, a przez twarz przemknął grymas mogący oznaczać strach.

- Ach, ale nie wolno nie odpowiedzieć na dar darem jednakowej wartości. - Wybrał trzy monety ze swego skarbu. Jeszcze raz złapał Prestimiona za przegub ręki, wcisnął mu je i oddalił się szybkim, krótkim, nierównym krokiem, tuląc skrzynkę do wątlej piersi.

- Jakie to dziwne - powiedział Prestimion w zamyśleniu; kwaśny odór podartych, brudnych szmat wisiał w powietrzu; ostatni ślad pozostały po niezwyklej przygodzie. Nieufnie trącił palcem otrzymane monety, obrócił je, przyjrzał się im dokładniej. - Mnie te starocie wydają się dziwne, a wam? Zdaje się, że mamy tu Kanabę i Lorda

Sirrutha, Guadelooma i Lorda Calintane'a, a tu... nie, nie potrafię rozszyfrować nazwisk, ale to w końcu bez znaczenia. Przechowaj je dla mnie, dobrze? - zwrócił się do Septacha Melayna. Ruszyli z miejsca. - Dwieście koron za całą skrzynkę? - powiedział Prestimion po dłuższej chwili milczenia. - Mógł zażądać i dwadzieścia razy więcej. Jak myślicie, to głupiec, złodziej, czy szaleniec?

- A dlaczego nie wszystko naraz? - odpowiedział pytaniem Melayn.

Wkrótce zapomnieli o sprawie. Jeszcze dwa dni spędzili w sennym Hoikmar, odwiedzając gospody i targi tego spokojnego miasta, wybudowanego na brzegu jeziora. Urok wizyty zakłóciły jeszcze dwa niepokojące incydenty. Chuda, zniszczona ponad wiek kobieta o pustych oczach podeszła do Septacha Melayna na głównej alei, założyła mu na ramiona kosztowną etolę z futra szkarłatnego gebraxa bełkocząc przy tym coś o Pontifeksie, który kazał jej to uczynić, po czym znikła wśród przechodniów. Tego samego dnia, na placu w centrum kupowali smażone kiełbaski od Liimena, kiedy stojący za nimi, czekający w kolejce elegancki mężczyzna w średnim wieku, który mógłby być profesorem uniwersytetu lub właścicielem prosperującego sklepu jubilerskiego, krzyknął nagle donośnie, szalonym piskliwym głosem, że Liimen sprzedaje zatrute mięso. Przepchnął się do wózka, przewrócił go, aż rozżarzone węgle i na pół usmażone kiełbaski poleciały na wszystkie strony, po czym odszedł szybkim krokiem, mamrocząc coś gniewnie pod nosem.

Były to niepokojące zdarzenia. Prestimion wraz z przyjaciółmi

opuścił Zamek w przebraniu, by poznać z pierwszej ręki te aspekty życia na Majipoorze, których nie pozna się wśród bogatej arystokracji, nie przewidział jednak, że dane mu będzie doświadczyć tak tajemniczego, niepokojącego zła, takiego bogactwa irracjonalnych zachowań.

Zastanawiał się, czy w miastach było tak zawsze, czy obfitowały w objawy szaleństwa, publiczne demonstracje aż tak niezwykłych zachowań? Czy też, co już dawno zasugerował Septach Melayn, były one jakimś skutkiem ubocznym aktu wymazania z pamięci wojny domowej, objawiającym się pośród umysłów najsłabszych i najwrażliwszych? Tak czy inaczej zjawisko napawało niesmakiem, choć Prestimiona szczególnie niepokoiła możliwość, że to on sam, pragnąc w jednej chwili zaleczyć rany, zadane światu przez bunt Korsibara, odpowiedzialny był za tę epidemię, przedziwną plagę umysłowego obłąkania, narastającą z tygodnia na tydzień, w iście lawinowym tempie.

W Minimool, sąsiadującym z Hoikmar w pierścieniu Miast Strażniczych, pojawiły się podobne niepokojące oznaki. Zamierzone dwa dni pobytu wystarczyły, by zaobserwować ich aż za wiele.

Prestimion słyszał, że Minimool jest miastem charakterystycznym, o architekturze „przykuwającej uwagę”, ale w swym obecnym nastroju uznał je za przygnębiająco dziwaczne: mnóstwo przylegających do siebie, wysokich, wąskich budynków o białych ścianach, czarnych dachach i maleńkich oknach. Przypominały powiązane w pęczki włócznie. Zaułki, które z trudem dawały się

określić mianem ulic, tak strome, że aż kręciło się w głowie, oddzielały jeden pęczek domów od drugiego. Tu też słyszał ten niesamowity, piskliwy, rozlegający się echem nad głowami przechodniów śmiech, widział więcej wędrujących uliczkami ludzi o zastygłych w grymasie twarzach i szklistych oczach, a w jakichś drzwiach zderzył się z kobietą wybiegającą z domu w ataku paniki; wstrząsana szlochom uciekała przed czymś nie patrząc, dokąd biegnie.

Zaczęły go nawiedzać sny. W jednym z nich przyszedł do niego żebrak z Hoikmar, szczerzący kilka pozostałych mu zębów w złym uśmiechu, otworzył skrzynkę z pieniędzmi i zasypał go monetami, setkami, tysiącami monet, aż niemal pogrzebał go pod ich ciężarem. Prestimion obudził się drżący, spocony, a potem, kiedy znów zasnął, przyśniło mu się, że stoi o świcie nad brzegiem spokojnego jeziora przepięknej, perłowej barwy, wraz z Thismet podziwiają niebo zasnutę pasmami różu i szmaragdu, podchodzi do nich ciemnowłosa córka Simbilona Khayfa, która wzięła się tam znikąd, wrzuca milcząca, nie próbując się bronić Thismet w chłodną toń, w której siostra Korsibara znika natychmiast. Tym razem, budząc się, krzyknął ochryple i Septach Melayn, zajmujący sąsiednie łóżko w tawernie, w której wynajęli pokój, chwycił go mocno za ramię i nie puszczał, póki jego przyjaciel się nie uspokoił.

Tej nocy w Minimool nie było już mowy o śnie. Od czasu do czasu nawiedzał go dziwny dreszcz udręki, a przed świtem nabrał przekonania, że wszechobecne szaleństwo wyciąga ku niemu swe macki, że i on został nim zarażony. Skupił się i zdołał je od siebie

odepchnąć. Nie dotknie go, czymkolwiek by było, lecz o Bogini, ci ludzie... ten świat!

- Mam dość naszej wycieczki - powiedział rano. - Jeszcze dziś wracamy na Zamek.

*

Na świecie, wśród zwyczajnych ludzi działo się najwyraźniej wiele złego, więc zaraz po powrocie Prestimion wydał polecenie przyspieszenia przygotowań do oficjalnej wizyty w miastach Góry. Nie miał zamiaru kryć się pod fałszywymi wąsami i nędznym strojem, już nie. W majestacie władzy, jako Lord Koronał, pojedzie do sześciu, siedmiu spośród Pięćdziesięciu Miast, porozmawia z diukami, hrabiami, burmistrzami, ogarnie wielkość kryzysu, rozprzestrzeniającego się po świecie z tak przerażającą szybkością akurat teraz, w pierwszych miesiącach jego rządów.

Najpierw należało jednak rozwiązać jakiś problem uwięzionego Dantiryi Sambaila.

Prestimion złożył wizytę Maundigandowi-Klimdowi, który tymczasem zdążył urządzić sobie pracownię w kilku pustych pokojach po drugiej stronie Dworu Pinitora, apartamentach zajmowanych przez Korsibara nim ogłosił się Koronalem. Spodziewał się zobaczyć tam wszystkie te słynne, skomplikowane magiczne akcesoria, bez których nie mogą się obejść czarnoksiężnicy: skomplikowane astrologiczne mapy i wykresy, stosy oprawnych w skórę ksiąg pełnych tajemnej wiedzy, zagadkowe mechanizmy, które widział w domu Gominika Halvora, mistrza czarnoksięskich sztuk, pod którego kierunkiem

studiował je w Triggoin - phalangarie i ambiviale, hexaphory, ammatepilasy, sfery armilarne, astrolabia, alembiki i tak dalej. Ale niczego takiego tu nie było, tylko kilka małych, nie wyglądających zbyt godnie mechanizmów stało na górnych półkach prostych regałów na książki, poza tym pustych. Prestimion nie potrafił rozpoznać ich przeznaczenia, równie dobrze mogły być maszynami liczącymi do wykonywania najprostszych funkcji arytmetycznych, dokładnie takimi, jakimi handel udawał podczas pobytu w Stee. Lub tanimi urządzeniami do przepowiadania przyszłości, jakie widział na straganach na Nocnym Targu w Bombifale, gdzie spotkał Maundiganda-Klimda i usłyszał od niego pogardliwą opinię, że są bezwartościowym oszustwem. Nie, Su-Suheris by ich tu nie trzymał - uznał Prestimion. Ale surowa oszczędność wnętrza wyraźnie go zdziwiła, bo czarnoksiężnik wyposażył swą kwaterę tylko w to, co absolutnie niezbędne. W głównym pokoju znajdowała się uprząż do snu z rodzaju faworyzowanego przez Su-Suherisów, kilka krzeseł dla gości - ludzi oraz niewielki stół, na którym leżało parę książek oraz jakieś papiery, rzucone niedbale, najwyraźniej pozbawione znaczenia. Pozostałe pokoje były puste. Ściany ze starego kamienia pozostawiono nagie, bez ornamentyki. W efekcie pracownia czarnoksiężnika wydawała się odpychająco sterylna.

- Nie była to dla ciebie przyjemna wyprawa, panie - przywitał Prestimiona czarnoksiężnik.

- Widziałeś to, prawda?

- Nie trzeba być mistrzem sztuk proroczych, żeby to widzieć.

Prestimion uśmiechnął się krzywo.

- Czyżby takie to było oczywiste? No owszem, przypuszczam, że tak. Widziałem rzeczy, których wolałbym nie widzieć, śniłem sny, których wolałbym nie śnić. Jest dokładnie tak, jak mi mówiono: na świecie szerzy się szaleństwo, Maundigandzie. Jest go więcej niż się spodziewałem. O wiele więcej.

Su-Suheris skinął obiema głowami, ale poza tym wstrzymał się od komentarza.

- Widziałem ludzi, chodzących po ulicach jak we śnie, śmiejących się do siebie, płaczących, krzyczących - mówił Prestimion. - Krewniak hrabiego Stee, Fisiolo, nazywa samego siebie Lordem Prestimionem. Pływa po rzece wspaniałym jachtem i dla kaprysu zatapia nim łodzie na Stee. - W Hoikmar... - miał przy sobie trzy monety, które żebrak wcisnął mu do ręki; przyniósł je i teraz pokazał Maundigandowi-Klimdowi - ... dostałem je od żalosego, zwariowanego starego żebraka. Chciał nam sprzedać zardzewiałą skrzynkę pełną dobrych, srebrnych rojali, żądając w zamian garści koron. Popatrz tylko, niektóre z nich mają tysiące lat. To Lord SIRRUTH, a to Lord Guadeloom, a tu...

Mag ułożył monety w równym rzędzie na swej szczupłej, białej dłoni. Lewa głowa spojrzała na Koronala z lekką, lecz widoczną kpina.

- Kupiłeś od niego tę skrzynkę, prawda, panie?

- Jak bym śmiał! Dałem mu trochę pieniędzy, jałmużnę, a on podarował mi za nie te trzy monety, odwrócił się i uciekł.

- Mam wrażenie, że nie był taki szalony jak podejrzewasz, panie. Dobrze zrobiłeś, że nie przyjąłeś jego oferty. Te monety są fałszywe.

- Fałszywe?

Maundigand-Klimd nakrył jedną dłoń drugą. Przez chwilę stał nieruchomo.

- Czuję wibrację atomów - oznajmił w końcu. - Są odlane z brązu, pokrytego cienką warstewką srebra. Można zdrapać ją i paznokciem. Jaka jest szansa, że za Lorda Stirrutha odlewano brązowe monety? - Oddał je Prestimionowi. - Nie brak na świecie szaleńców, panie, ale starzec z Hoikmar nie był jednym z nich, tylko zwykłym oszustem.

- Powiedziałbym, że to pocieszające - powiedział Prestimion tonem tak lekkim, jak to tylko było możliwe w tych okolicznościach. - O jednym człowieku możemy powiedzieć z całą pewnością, że zachował pełnię władz umysłowych. Ale... jak myślisz, skąd wzięła się plaga chorób umysłowych? Septach Melayn twierdzi, że to przez wymazanie pamięci. Że w umysłach ludzi istnieje próżnia w miejscu, gdzie kiedyś były wspomnienia z wojny, a kiedy pojawia się próżnia, wciąga różne dziwne rzeczy.

- Znajduję ziarno prawdy w tej opinii, panie. Kilka miesięcy temu poczułem w pewnej chwili wdzierającą się we mnie próżnię, której pochodzenia nie znałem. Byłem wystarczająco silny, by się jej oprzeć, ale inni najwyraźniej nie mieli tyle szczęścia.

Słowa czarnoksiężnika wzbudziły w Koronalu wstyd i poczucie winy. Czy to możliwe? Czy cały świat ma postradać zmysły na skutek decyzji podjętej pod wpływem chwili, na polu bitwy?

Nie - powiedział sobie. Nie, nie i jeszcze raz nie. Teoria Septacha Melayna jest błędna, a to, co widziałem, to tylko izolowane przypadki. Wśród miliardów żyjących na świecie istot musi być proporcjonalna liczba szaleńców. I tylko przypadkiem tyłu z nich ujawnia się właśnie teraz.

- Niech i tak będzie - powiedział, odpychając od siebie niepokój. - Całej prawdy poszukamy przy innej okazji. Na razie... wkrótce znów opuszczę Zamek. Na kilka tygodni, być może kilka miesięcy. Składam formalną wizytę w miastach Zamkowej Góry. Nim wyjadę, chcę zakończyć jeszcze sprawę Dantiryi Sambaila.

- Czego sobie życzysz, panie?

- Niedawno wspominałeś o możliwości przywrócenia mu wspomnień wojny. Czy rzeczywiście jest to możliwe?

- Każde zaklęcie może odwrócić ten, który je rzucił.

- To uczynił Heszmon Gorse z Triggoin i jego ojciec Gominik Halvor. Obaj powrócili do domu na północy; jeśli teraz po nich poślę, minie wiele tygodni, nim się tu zjawią. Poza tym obaj nie mają pojęcia o tym, co nakazałem im zrobić.

Przez obie twarze Maundiganda-Klimda przemknął wyraz zdziwienia.

- Doprawdy, panie?

- Wymazanie pamięci miało być całkowite. Wyjątkiem jestem ja. A także Septach Melayn. I Gialaurys. Od tamtego dnia tylko tobie powiedziano, co się naprawdę zdarzyło.

- Ach!

- Nie spieszy mi się do powiększenia grona wtajemniczonych, nawet o Gominika Halvora i jego syna. Ale Dantirya Sambail był mózgiem spisku. Uzurpacja to jego dzieło, musi więc ponieść za nią karę, lecz złem byłoby karanie kogoś, kto nie ma świadomości swych uczynków. Nim ogłoszę wyrok, chciałbym dostrzec w nim choć cień skruchy. A przynajmniej cień świadomości winy, poczucia, że zasłużył na los, który zamierzam mu zgotować. Powiedz mi jedno, Maundigandzie: czy potrafisz przywrócić mu pamięć?

Su-Suheris zastanawiał się przez chwilę.

- Bardzo prawdopodobne, że potrafię, panie - odpowiedział.

- Zawahałeś się. Dlaczego?

- Rozmyślałem o konsekwencjach takiego czynu. Dostrzegłem... pewne dwuznaczności.

Prestimion zmarszczył brwi, zdziwiony.

- Wyrażaj się jasno, czarnoksiężniku.

I znów ta chwila milczenia.

- Czy wiesz, w jaki sposób sięgam w przyszłość, panie?

- Skąd mógłbym to wiedzieć?

- Więc pozwól, że wytłumaczę. - Su-Suheris podniósł prawą rękę do czoła prawej głowy, lewą do czoła lewej. - Nasza rasa jako jedyna spośród wielu rozumnych w znanym wszechświecie, obdarzona została podwójnym umysłem. Nie podwójną tożsamością, choć zwyczajowo nosimy dwa nazwiska, ale umysłem. Jedna tożsamość rozdzielona między dwa mózgi. Mogę mówić jednymi albo drugimi ustami, to zależy ode mnie, mogę obrócić jedną albo drugą głowę, by

podążyc za czymś wzrokiem, ale pozostaję przecież jedną osobą. Każdy z dwóch mózgów może prowadzić własny proces myślowy, ale mogą one także zjednoczyć się dla wspólnego celu.

- Doprawdy? - Prestimion ledwie rozumiał, co mag do niego mówi i był tylko ciekaw, do czego prowadzi ta przemowa.

- Czy sądzisz, panie, że do poznania tego, co może się zdarzyć konieczne jest palenie kadzidła i wygłaszanie zaklęć, przywołujących ciemne moce? Nie, a w każdym razie my tak nie postępujemy. Czarnoksiężnicy z Tidias i im podobni mogą stosować tę metodę, lub podobne, owszem, mogą potrzebować trójnogów z brązu i kolorowych proszków, mogą uciekać się do śpiewów i czarów. Ale nie my. - Maundigand-Klimd przeciągnął ręką przed obiema parami oczu. - My ustanawiamy połączenie między swoimi mózgami. Wir, jeśli wolisz, panie, napięć sił neuralnych, zderzających się i wirujących wokół siebie. I on daje nam siłę, dzięki której potrafimy przemieścić się w górę strumienia czasu. Widzimy fragmenty tego, co jeszcze przed nami.

- Wiarygodne fragmenty?

- Zazwyczaj tak, panie.

Prestimion próbował wyobrazić sobie, jak może to wyglądać.

- Widzicie sceny przyszłych zdarzeń? Ludzkie twarze? Słyszycie wypowiedane słowa?

- Nie, nic takiego. Nasze widzenie jest znacznie mniej konkretne i jednostkowe. Jest subiektywne: wrażenia, wnioski, subtelne uczucia, intuicje. Wgląd w prawdopodobieństwa. Nie ma sposobu, bym

nauczył cię to rozumieć, musiałbyś sam doświadczyć tego, czego my doświadczamy. A to...

- Jest niemożliwe dla kogoś obdarzonego tylko jedną głową. W porządku, Maundigandzie-Klimdzie. Przynajmniej brzmi to racjonalnie. Wiesz, że osobiście faworyzuję racjonalność, prawda? Nie czuję się swobodnie w towarzystwie czarnoksiężstwa, zaklęć i pachnących proszków, i to się prawdopodobnie nie zmieni, ale w tym, co mówisz, dostrzegam aspekt naukowy, lub podobny do nauki. Telepatyczne zjednoczenie twych umysłów, czasowy wir niosący widzenie pod prąd strumienia czasu; łatwiej mi to strawić niż gadanie o ammetapilasach, pentagramach i magicznych amuletach. Powiedz mi więc, co widzisz, gdy rozważasz możliwość przywrócenia Prokuratorowi utraconej pamięci.

Kolejna chwila wahania...

- Widzę wiele rozbieżnych ścieżek, panie.

- Tyle to i ja widzę. Muszę wiedzieć, dokąd te ścieżki prowadzą.

- Niektóre do pełnego sukcesu we wszystkich twych przedsięwzięciach. Niektóre do wielkich kłopotów. A krańca niektórych nie sposób zobaczyć.

- Nie pomagasz mi, czarnoksiężniku.

- Są wśród nas tacy, którzy swym książętom powiedzą dokładnie to, co ich książęta chcą usłyszeć. Ja do nich nie należę.

- Wiem i jestem ci za to wdzięczny. - Prestimion odetchnął głęboko, wypuszczając powietrze z płuc z lekkim świstem. - Przynajmniej podaj mi rozsądną ocenę ryzyka. Odczuwam moralny

nakaz przywrócenia Dantiryi Sambailowi pełni wiedzy jako warunku do wydania na niego wyroku. Czy w twojej opinii samo to może być niebezpieczne?

- Nie, jeśli pozostanie twym więźniem aż do wypełnienia kary - odparł Su-Suheris bez wahania.

- Jesteś tego pewien?

- Nie mam żadnych wątpliwości.

- Doskonale. Mnie to wystarczy. W takim razie idziemy. Złożymy mu wizytę.

*

Prokurator Zimroelu zachowywał się znacznie mniej ujmująco niż przy ostatniej wizycie Koronała; najwyraźniej dodatkowe kilka tygodni spędzonych w więziennej celi nadużyły jego cierpliwości i miały zły wpływ na humor. W spojrzeniu bazyliuszka, jakim powitał kuzyna, nie było nic uprzejmego. A kiedy za nim do środka wszedł Su-Suheris, pochylając obie głowy w za niskich dla niego drzwiach, Dantiryja Sambail nieomal wybuchł gniewem.

Ale poza wściekłością w pięknych, ametystowej barwy oczach była też spora doza strachu. Prestimion nigdy przedtem nie widział niczego choćby zbliżonego do niepokoju w twarzy tego człowieka, zawsze absolutnie pewnego siebie, zawsze w pełni panującego nad swą duszą. A jednak widok Su-Suherisa wstrząsnął tym doskonałym opanowaniem.

- Co się stało, Prestimionie - spytał lodowatym tonem. - Dlaczego ściągasz mi na głowę tego potwora?

- niesprawiedliwe dla niego są twe ostre słowa - odparł spokojnie Prestimion. - Oto Maundigand-Klimd, wielki mag dworu i wielki uczony. Przybył tu, by naprawić twój uszkodzony mózg, kuzynie, przywrócić ci pamięć pewnych uczynków, która została ci odebrana.

Oczy prokuratora rozbłyły płomieniem.

- Aha! A więc przyznajesz, że moim umysłem manipulowano? Czemu zaprzeczyłeś podczas poprzedniej wizyty, kuzynie.

- Niczemu nie zaprzeczałem, a tylko nie udzieliłem odpowiedzi, kiedy mnie o to zapytałeś. Cóż, rzeczywiście, twój umysł podległ manipulacji, czego teraz żałuję. Przyszedłem dziś dopilnować naprawienia mych błędów. No, to zaczynamy. - Prestimion zwrócił się do Maundiganda-Klimda. - Co zamierzasz zrobić?

Furia i strach, w równych proporcjach, sprawiły, że twarz prokuratora nadeła się i poczerwieniała od napływającej do niej krwi. Nozdrza wielkiego, spłaszczonego nosa rozdęły się, oczy zwęziły w szparki; w tej twarzy nie było już śladu piękna, wyłącznie zło. Dantirya Sambail cofnął się, przywarł plecami do pulsującej zieloną poświatą ściany ogromnego pomieszczenia. Zaciskał dłonie w pięści, jakby dusił Su-Suherisa lub przynajmniej groźbą próbował powstrzymać go od podejścia bliżej. Z jego gardła wydobył się zwierzęcy warkot.

Ale ten ohydny dźwięk zmienił się nagle w łagodny pomruk, twarz złagodniała i odprężyła się, szerokie ramiona rozluźniły i przygarbiły. Prokurator sprawiał wrażenie zdezorientowanego; stał naprzeciw ogromnego Su-Suherisa nie próbując już żadnych form oporu.

Prestimion nie miał pojęcia, co dzieje się pomiędzy tymi dwoma, ale jedno było pewne: coś się działo. Wydłużone głowy Maundiganda-Klimda wysunęły się do przodu na lekko pochylonej, masywnej kolumnie szyi. Wydawały się stykać, lub niemal stykać skrońmi. Coś niewidzialnego, lecz bez wątpliwości rzeczywistego, wisiało w powietrzu pomiędzy dwoma istotami różnych ras. W sali panowała przeraźliwa, wydająca się aż trzeszczeć, cisza. Napięcie stawało się nie do zniesienia.

I nagle wszystko się skończyło. Su-Suheris cofnął się o krok, uczynił obiema głowami dziwacznie wyglądający gest przyzwolenia. Wydawał się usatysfakcjonowany.

Dantirya Sambail stał nieruchomo, oszołomiony, po czym zrobił kilka chwiejnych kroków i opadł na stojący przy ścianie szezlong. Siedział na nim przez chwilę skulony, z głową podpartą i osłoniętą dłońmi. Ale też szybko odzyskał swą niezwykłą siłę. Najpierw podniósł głowę, spojrzał przed siebie, potem, powoli, stopniowo, jego twarz przybrała zwykły, demoniczny wyraz. Uśmiechnął się do Prestimiona okrutnym uśmiechem, najdobitniejszy znak, że znów był sobą.

- Na dwoje babka wróżyła tam, pod Granią Thegomar. Odrobinę celniejszy cios toporem i byłbym teraz Koronalem, a nie więźniem w twoich tunelach.

- Bogini prowadziła mnie tego dnia, kuzynie. Nie było ci pisane zostać Koronalem.

- A tobie było, Prestimionie?

- Przynajmniej tak sądził Lord Confalume. Tysiące dobrych ludzi życiem potwierdziło słuszność jego decyzji. Oni wszyscy żyliby teraz, gdyby nie zasiane przez ciebie zło.

- Aż taki jestem zły? Jeśli tak, zły był i Korsibar, i jego mag Sanibak-Thastimoon, by już nie wspomnieć o twej przyjaciółce, lady Thismet.

- Lady Thismet żyła wystarczająco długo, by spostrzec swe błędy i okazać nadmiar skruchy - powiedział Prestimion sucho. - Sanibak-Thastimoon poniósł właściwą karę wprost na polu bitwy, z ręki Septacha Melayna. Naiwny Korsibar od samego początku był figurantem i nikim więcej, poza tym i on zginął w walce. Ze wszystkich architektów buntu tylko ty pozostałeś przy życiu, zdolny ocenić głupotę, przewrotność i obrzydliwe wręcz marnotrawstwo tego niegodnego czynu. Oceń go teraz. Masz szansę. Wykorzystaj ją.

- Głupotę, mówisz, mój kuzynie? Przewrotność? Obrzydliwe marnotrawstwo? - Dantirya Sambail wybuchnął głośnym, dudniącym śmiechem. - Głupota jest twoim udziałem i to przeklęta głupota, inaczej nie sposób jej nazwać. Przewrotność i marnotrawstwo również, twoje to dzieło, nie moje. Mówisz o buncie, prawda? Ty się przecież zbuntowałeś. Nie Korsibar. Bo to on, nie ty, był Koronalem. Ukoronowano go w tym Zamku, tu zasiadł na tronie! A ty z twoimi dwoma sługusami z własnej woli wypowiedziałeś mu wojnę, w której zginęło ilu? Nie potrafię ci tego powiedzieć.

- Wierzysz w to, co mówisz, prawda?

- To prawda.

- Nie zamierzam dyskutować z tobą kwestii prawnych, Dantiryo Sambailu. Wiesz równie dobrze jak ja, że syn Koronala nie może przejąć tronu od ojca. Korsibar tylko wdarł się na niego za twoją radą i pomocą, a Sanibak-Thastimoon oszołomił starego Confalume'a hipnotyzującym czarem, przez który zaakceptował on to, co się dokonało.

- Dla wszystkich byłoby lepiej, gdybyś pozwolił sprawom toczyć się swoim torem, Prestimionie. Korsibar był idiotą, ale i dobrym, prostym człowiekiem. Umiałby prowadzić świat we właściwy sposób, a co najmniej pozwolił mądrzejszym, by go prowadzili i starał się im nie przeszkadzać. Tymczasem ty, pragnący tylko pozostawić po sobie ślad na wszystkim, od wielkich rzeczy po najmniejsze, na swój żałosny, chłopięcy sposób zdecydowany zostać Władcą Wielkim W Oczach Historii, sprowadzisz na świat nieszczęścia, doprowadzisz Majipoor do ruiny, bezustannie wchodząc w drogę ludziom...

- Dość! - przerwał mu Prestimion. - Doskonale wiem, jak twoim zdaniem powinno się rządzić Majipoorem. Poświęciłem parę trudnych lat życia, by dopilnować, że nie będzie rządzony w ten sposób. - Potrząsnął głową. - Nie masz choćby najmniejszych wyrzutów sumienia, prawda, Dantiryo Sambailu?

- Wyrzutów sumienia? Dlaczego miałbym je mieć?

- Doskonale. Potępiłeś się własnymi słowami. Dlatego też uznaję cię winnym zdrady stanu, kuzynie i niniejszym skazuję cię...

- Winnym? A proces, kuzynie? A oskarżyciel? Kto przemówi w mojej obronie? Gdzie ława przysięgłych?

- Ja jestem oskarżycielem. Nie chciałeś przemówić we własnej obronie i nikt inny tego nie uczyni. Nie potrzebujemy też ławy przysięgłych, chyba że chcesz, bym przywołał Gialaurysa i Septacha Melayna. To życzenie mogę spełnić.

- Bardzo zabawne. I co teraz, Prestimionie? Co masz zamiar zrobić? Obciąć mi głowę w obecności tłumów, zgromadzonych na Dziedzińcu Dizimaule'a? Ten czyn zapisałby się w historii wielkimi literami! Publiczna egzekucja, pierwsza od ilu tysięcy lat? Dziesięciu? A po niej, oczywiście, wojna domowa, bo cały Zimroel powstanie przeciwko barbarzyńcy, który ośmielił się skazać legalnego, właściwie mianowanego prokuratora Ni-moya z powodów, których sam nie umie wyjaśnić.

- Powinienem skazać cię na śmierć, i do diabła z konsekwencjami, Dantiryo Sambailu. A jednak tego nie zrobię. Brakuje mi odpowiedniej dozy barbarzyństwa. - Prestimion przeszył więźnia przenikliwym spojrzeniem. - Wybaczam ci przestępstwa główne, których jesteś winien, jednakże pozbawiam cię tytułu prokuratora i na zawsze odbieram ci władzę inną, niż piastujesz w swych posiadłościach, które pozostawiam ci nienaruszone, wraz z resztą twego majątku.

Dantiryja Sambail spojrział na niego spod półprzymkniętych powiek.

- Jesteś bardzo łaskawy, Prestimionie.

- To jeszcze nie wszystko, kuzynie. W głębi duszy knujesz jadowite zdrady. To musi się zmienić i zmieni... nim opuścisz Zamek i

powrócisz do siebie, za ocean. Jak sądzisz, Maundigandzie-Klimdzie, czy możliwa jest taka zmiana umysłu tego człowieka, by dzięki niej stał się przykładowym obywatelem? Czy można odjąć mu gniew, zazdrość, nienawiść tak, jak prokuratorowi odjęto stanowisko i władzę? Czy można wysłać go w świat uczciwym człowiekiem?

- Na miłość Bogini, Prestimionie, wolałbym stracić głowę! - ryknął Dantirya Sambail.

- O, tak! Sądzę, że rzeczywiście byś wolał. Wyssać jad, którym przesiąkłeś, a sam dla siebie będziesz obcym człowiekiem. Co powiesz, czarnoksiężniku? Czy możliwe jest to, o co proszę?

- Potrafię spełnić twe życzenie, panie. Tak przynajmniej sądzę.

- Doskonale. Spełń je więc i zrób to szybko. Wymaż pamięć o wojnie domowej, którą mu przed chwilą przywróciłeś, bo wie już, czym zasłużył sobie na nałożoną na niego karę, zrób to najpierw, bez zwłoki, a potem zrób wszystko, by dopasować tego człowieka do cywilizowanego społeczeństwa. Wkrótce wyjeżdżam, jak wiesz, do Peritole, do Strave i kilku innych miast Góry. Chcę mieć tego człowieka unieszkodliwionego, a nie chcę na to czekać. Kiedy zaś wrócę, Dantiryo Sambailu, spotkamy się znowu, porozmawiamy i jeśli zdecyduję, że uwolnienie cię obciążone jest ryzykiem możliwym do przyjęcia, cóż, zostaniesz uwolniony. Czyż to nie uprzejmość z mej strony, kuzynie? Czy to nie łaska? Czy nie dowodzi najcieplejszych uczuć, jakie do ciebie żywię?

Nie była to wielka procesja, nie w dosłownym znaczeniu tego słowa, bo wielka procesja wymagałaby od niego wizyt w najdalszych regionach królestwa, miastach nie tylko Alhanroelu, lecz także innych kontynentów, miejscach, o których wiedział niewiele: Pidruid, Narabal, Tilomon na najdalszych wybrzeżach Zimroelu, co najmniej Tolaghai i Natu Gondnu w pustynnym Suvraelu. Wielka procesja ciągnęłaby się przez lata, a za krótko jeszcze rządził, by móc pozwolić sobie na tak długą nieobecność na Zamku.

Z Zamku przez Wrota Dizimaule'a wyruszył orszak i posuwał się w dół, Wielką Drogą Calintane'a, najpierw latacz Koronala, potem długi rząd ozdobnych lataczy dworu. Koronalowi towarzyszyli bracia, Abrigant i Teotas, a także połowa funkcjonariuszy nowej, młodej administracji: Wielki Admirał Gialaurys, członkowie rady Navigorn z Hoikmar, Belditan młodszy z Gimkandale i Yegan z Morpin Niskiego, i krewniak Septacha Melayna Dembitave, diuk Tidias, i wielu, wielu innych. Septach Melayn pozostał na zamku jako regent, nie wydawało się bowiem mądrym pozostawienie go bez wszystkich ważnych postaci, nawet na kilka tygodni, jakie miała trwać ta wyprawa.

Prestimion zamierzał zatrzymać się w jednym mieście każdego z pięciu kręgów Góry. Odpowiedni burmistrzowie zostali oczywiście poinformowani o jego przybyciu z kilkutygodniowym

wyprzedzeniem, zdążyli więc przygotować się na wysokie, wręcz przygniatające koszty zaszczytu, jakim było niewątpliwie goszczenie władcy oraz jego dworu.

Spośród Miast Wysokich wybór padł na Muldemar, z którego pochodził jego ród. W Muldemar mógł spędzić noc w rodzinnej posiadłości i w wielkim domu noszącym tę samą nazwę co miasto. Mógł polować na sigimoiny i bilantony w rodzinnym parku myśliwskim, mógł powitać lojalną służbę, opiekującą się jego rodzicami i dziadkami, przyjąć hołd dobrych obywateli, dla których był nie tylko Koronalem, lecz także księciem i przyjacielem. I wreszcie mógł dyskretnie wypytać kamerdynerów i szambelanów o to, czy ostatnio wśród pracowników nie pojawiły się jakieś dziwne, nieoczekiwane problemy. Dowiedział się, że tak, owszem, pojawiły, wydarzyły się rzeczy zaskakujące, ludzie skarżą się na luki w pamięci, zapominają o drobiazgach i nie tylko drobiazgach, niektórzy gubią się całkowicie, cierpią duchowe męki... cóż, zdradzają objawy szaleństwa. Ale - powtarzano mu raz za razem - to przecież minie, to chwilowe, nie ma się czym przejmować.

Po Muldemar przyszła kolej na Peritole z Miast Wewnętrznych, gdzie siedem milionów ludzi żyło w swym własnym, wspaniałym świecie, w jednym z najpiękniejszych regionów Góry, pomniejszym łańcuchu górskim cechującym się dziką urodą; gdzie przedziwne, stożkowe, fioletowe szczyty wyrastały pod niebo z szarzielonego zwirowego płaskowyżu. Prawdziwym cudem były tu naturalne kamienne schody Przełęczy Peritole, umożliwiające dostęp do

rozciągających się poniżej malowniczych, zamkniętych skalnymi ścianami dolin. Także i w Peritole Prestimionowi opowiadano o załamaniach nerwowych i umysłowych chorobach, choć opowiadający nie traktowali ich poważnie, uważali za niewiele znaczące, lekceważyli; raczej próbowali zainteresować gościa kolejnymi porcjami ostrych wędzonych mięs, będących tutejszą specjalnością, niż tymi opowieściami.

Kolejny krok w dół. Strave z Miast Strażniczych, słynne z nieporównywalnego szaleństwa architektury. Nie było tu dwóch podobnych do siebie budynków, pałace próbowały zaćmić jeden drugi wspaniałością w stopniu, który czynił je niepowtarzalnymi. Gdziekolwiek się obrócić, niczym gigantyczne grzyby po deszczu wyrastały w cudownym chaosie wieże, pawilony, belwedery, iglice, dzwonnice, kopuły i rotundy. W Strave niedawno zakończył się okres urzędowej żałoby po parze Alexidzie, zmarłym nieoczekiwanie, z powodu - jak mówiono - nagłego ataku dziwnej choroby. Nowy par, syn Alexida, Verligar, był zaledwie wyrostkiem, wyraźnie onieśmielonym obecnością Koronala przy swym boku, ale hołd złożył mu z prawdziwie dworskim oddaniem. Dla Prestimiona była to chwila wyjątkowo nieprzyjemna, wręcz bolesna, bo przecież był świadom tego, że jego przyjaciel i towarzysz polowań, Alexid, nie zmarł na tajemniczą chorobę, lecz zginął z ręki Septacha Melayna na samym początku buntu Korsibara.

Tu też mieszkańców nawiedziła fala szaleństw, ale par Verligar i jego towarzysze niechętnie o niej wspominali, jakby - podobnie jak

mieszkańcy Muldemar - uważali ją za coś wstydlivego.

Po zakończeniu uroczystości w Strave Koronał i dwór Koronała ruszyli dalej, do miasta białych murów, Minimool z Miast Strażniczych, a po paru dniach w Minimool przejechali siedemdziesiąt mil ostro opadającym zboczem góry i dotarli do Gimkandale z Wolnych Miast. Kolejne sto mil krętą drogą, prowadzącą po rozszerzającej się stopniowo podstawie Góry i dotarli do ostatniego w planie ich podróży Normork, drugiego najstarszego z Miast Zbocza.

- Co za mroczne, ponure miejsce - szepnął do Prestimiona Gialaurys, gdy ich latacz przejeżdżał przez dziwnie niepozorną bramę, jedyną w nieprzerwanym kręgu gigantycznych murów z czarnego kamienia. - Już czuję jego ciężar, a przecież zaledwie wjechaliśmy do środka!

Prestimion, wychylony przez okno latacza, uśmiechnięty i radośnie machający do zgromadzonego wzdłuż drogi tłumu, czuł podobnie. Normork wisiało przyczepione do czarnych zębatych skał znanych jako Pasma Normork tak, jak przerażone zwierzę czepia się niepewnej grzędy, o której wie, że jest poza zasięgiem jego prześladowców. Potężne, broniące miasta czarne mury - przed kim go broniące, nie znajdował odpowiedzi na to pytanie - nie pasowały do znajdujących się za nimi wież z szarego kamienia, proporcje były tu dramatycznie zachwiane. Istnienia tych fantastycznych, przytłaczających fortyfikacji nie dawało się wyjaśnić w żaden rzeczowy sposób. I ta jedna maleńka brama... co właściwie miała manifestować? Czy to ciągle Majipoor, na którym ludzie żyją w harmonii i pokoju? Dlaczego ktoś miałby się

ukrywać jak przerażona mysz, żyć w strachu przed całym wielkim, pięknym światem?

Ale był Koronalem całego Majipooru, tak samo miast pięknych, jak i dziwnie odpychających, i nie było jego zajęciem zgadzać się albo nie zgadzać na sposób, w jaki ci lub tamci postanowili się zaprezentować. Witał więc obywateli Normork promiennym uśmiechem, machał im entuzjastycznie, odpowiadał gestem rozbłysku gwiazd na ten sam gest, którym mu składali hołd, i w ogóle w każdy dostępny sposób manifestował, że uważa odwiedziny w ich wspaniałym mieście za wielkie szczęście. A do Gialaurysa mruknął pod nosem:

- Uśmiechnij się. Masz być szczęśliwy. Jego mieszkańcy kochają swe miasto, a my nie przyjechaliśmy ich osądzać.

- Kochają to miasto? Już wolałbym tulić do piersi smoka morskiego!

- Udawaj, że to Piliplok.

Prestimion podkpiwał z przyjaciela, którego rodzinne miasto słynęło z posępności. W Piliplok żadna ulica nie śmiała odchylić się choćby o cal od planu, wyrysowanego tysiące lat temu i ci, którzy się w nim nie urodzili uważali je za ponure, przygnębiające. Ale Wielki Admirał nie poznał się na żarcie, jak zwykle zresztą, tylko posłusznie, zdobywszy się na wielki wysiłek, przywołał na twarz coś, co w jego przekonaniu było ujmującym uśmiechem; wystawił głowę przez okno i zajął się manifestowaniem zachwyty nad możliwością poznania przepięknego Normork.

Przynajmniej dzień był pogodny, słoneczny, przez co szary kamień, z którego pobudowano miasto, nabrał przyjemnej, ciepłej barwy. Prestimion pomyślał nawet, że kiedy już znajdziesz się za murami, nabiera ono nawet, przyciężkiego wprawdzie, lecz jednak wdzięku.

Ale nawet ciężkiego wdzięku brakowało pałacowi hrabiów Normork, wyglądającemu mniej jak pałac, a bardziej jak twierdza. Ta masywna kamienna konstrukcja wznosiła się na półkolistej skalnej półce i wyglądem do złudzenia przypominała dziką bestię, gotową rzucić się na rozciągające niżej budynki i zamieszkujących je ludzi. Na placu przed głównym wejściem oczekiwał ich już wielotysięczny tłum, a kolejne tysiące zajmowały rozciągające się dalej wąskie uliczki. „Prestimion!” - krzyczały. „Lord Prestimion!”. A przynajmniej tak się Prestimionowi wydawało, bo krzyk ten, odbity od wznoszących się dookoła masywnych skalnych ścian, stawał się nieczytelny, przekształcał w wielkie, rytmiczne dudnienie, wznoszące się i opadające.

Na jego powitanie wyszedł hrabia Meglis, daleki krewny Irama, zabitego w wojnie domowej; Prestimion prawie go nie znał. Był to mężczyzna śniady, szeroki w ramionach, przysadzisty i tęgi, mocno stojący na krótkich nogach, przez co przypominał nieco rezydencję, której był teraz gospodarzem. Miał nieprzyjemne, małe, przekrwione oczy oraz uderzająco szerokie szczyrby między przednimi zębami zarówno w górnej szczęce, jak i w dolnej. Wygląd oraz poza, jaką przyjął czyniła go nieprzyjemnie podobnym do Dantiryi Sambaila;

Prestimionowi byłoby znacznie milej widzieć na jego miejscu dobrodusznego, zawsze pogodnego, rudowłosego hrabiego Irama, zwycięzcę wielu zawodów w powożeniu rydwanami i więcej niż kompetentnego łuczника.

Ale Iram zginął służąc Korsibarowi, podobnie jak jego brat, smukły, zręczny Lamiran, a wygłoszone przez tego hrabiego Meglisa powitanie wydawało się ciepłe i szczere. Stał na najniższym stopniu pałacu z szeroko rozłożonymi ramionami i tym swoim szczerbatym uśmiechem dawał do zrozumienia, że jest wielce, bezgranicznie zachwycony perspektywą goszczenia na kolacji swego władcy.

Prestimion wysiadł z latacza. Gialaurys stał tuż przy jego lewym ramieniu, zdolny, szarooki Akbalik, bratanek księcia Serithorna, po prawej, jak przystało dowódcy gwardii. Ku wielkiemu zaskoczeniu dostojnego gościa, hrabia Meglis nawet nie drgnął. Protokół nakazywał mu podejść do Koronała, a nie odwrotnie, lecz on, nadal szeroko uśmiechnięty, z radośnie rozłożonymi ramionami, pozostawał nieruchomy dwadzieścia, może nawet trzydzieści kroków od nich, jakby spodziewał się, że to Prestimion wbiegnie po schodach, by rzucić mu się w objęcia.

Cóż, dlaczegoż nie miał tak stać, ten niewątpliwy głupiec? Co człowiek, wypchnięty na niebosiężne szczyty władzy przez niemal jednoczesną śmierć Irama i jego brata, nagle, bez przygotowania, mógł wiedzieć o dworskim protokole? A jednak ktoś powinien był go przeszkolić. Prestimion nie cenił wprawdzie dworskich formalności, nie mógł jednak wykonać pierwszego kroku, zaś Meglis najwyraźniej

nie pojmował, czego się od niego wymaga.

Tak więc obaj nie ruszali się z miejsca, choć mijające chwile wydawały się ciągnąć w nieskończoność i Prestimion właśnie nabierał przekonania, że zostaną tak do końca świata, kiedy zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Wysoki, kobiecy głos z tłumu zawołał „Panie! Panie!”, zwracając jego uwagę na ładną wysoką kobietę, właściwie dziewczynę, piętnasto-, może szesnastoletnią, wybiegającą z pierwszego rzędu, rzucającą się w jego kierunku. Dziewczyna trzymała w dłoni dekoracyjną wiązanekę: szkarłatne i złote halatingi, jaskrawożółte morigoiny, ciemnozielone trymoniony i mnóstwo innych kwiatów, których nie potrafił nawet nazwać, połączonych ze sobą w bardzo piękny sposób.

Straż przesunęła się natychmiast, stając przed nim murem, Prestimiona rozbawiła jednak jej śmiałość. Potrząsnął głową, po czym skinął na nią pozwalając, by się zbliżyła. Skoro tęgi, obrzydliwy hrabia Meglis nadal czeka na niego jak idiota, z rozpostartymi ramionami i sztucznym uśmiechem na ustach, skoro najwyraźniej gotów jest tak czekać do końca świata, to przecież - pomyślał - miłe i odwracające uwagę będzie przyjąć piękne kwiaty od pięknej dziewczyny.

Bo rzeczywiście była wyjątkowo atrakcyjna: szczupła, wysoka - znalazła się dość blisko, mógł więc ocenić, że jest odrobinę wyższa od niego - z gęstymi, kręconymi złotorudymi włosami opadającymi na policzki i lśniącymi szarofiołkowymi oczami. Na jej ślicznej twarzy malował się uroczy wyraz jednocześnie strachu, nabożnej czci,

radosnego oczekiwania i - tak! - miłości. Inaczej nie sposób było tego nazwać. Nigdy jeszcze w niczyich oczach nie widział takiego uwielbienia.

Podając mu wiązanekę drżała na całym ciele.

- Jakie piękne - powiedział Prestimion, przyjmując kwiaty z jej rąk.
- Dziś w nocy postawię je przy łóżku.

Dziewczyna zaczerwieniła się, palcami drżących rąk uczyniła gest rozbłysku gwiazd, cofnęła, lecz on, urzeczony jej urodą, urokiem niewinności, nie był jeszcze gotów na rozstanie. Zrobił krok w jej kierunku, potem drugi.

- Jak ci na imię? - spytał.

- Sithelle, panie - odpowiedziała schrypniętym głosem, tak przerażona, że ledwie można było usłyszeć ją i zrozumieć.

- Sithelle... Takie piękne imię. Mieszkasz tu, w Normork, prawda? Chodzisz jeszcze do szkoły?

Próbowała odpowiedzieć, ale Prestimion nie zrozumiał, co mówi, bowiem w tym momencie zapanował chaos. Z prącego na królewskie latacze tłumu wyskoczyła druga osoba, chudy, brodaty mężczyzna o dzikim wzroku. Biegł ku niemu tanecznym krokiem, wrzeszczał dziko, wykrzykiwał słowa bez związku, niedokończone i splątane, prawdziwy bełkot szaleńca. W prawej wzniesionej ręce trzymał sierp, błyszczący, ostry. Od Prestimiona dzieliła go tylko dziewczyna. Słyszając krzyki odwróciła się odruchowo, zrobiła krok i dosłownie wpadła na mężczyznę.

- Uważaj! - krzyknął Prestimion.

Ale Sithelle nie miała szans. Napastnik bez wahania uderzył ją sierpem, szybki, gwałtowny lecz niedbały gest, jakby chciał tylko usunąć ją z drogi. Upadła na bok i skuliła się, leżąc na chodniku. Kopała konwulsyjnie, mocno, kurczowo przyciskała do gardła ręce. Z przedziwną jasnością, nachodzącą człowieka w chwili tragedii, Prestimion widział strugi krwi, wyciekające spomiędzy jej palców.

W sekundę później szaleniec wyrósł przed nim, wznosząc nad głowę krwawy sierp. Gialaurys i Akbalik błyskawicznie zorientowali się w zagrożeniu, podbiegli, lecz przy Koronalu wcześniej pojawił się mocno zbudowany młody mężczyzna imponującego wzrostu. Wyprysnął z tłumu tuż za szaleńcem, dopadł go i, działając bez namysłu, z godną podziwu szybkością, chwycił jego prawy nadgarstek, wykręcił mu rękę. Sierp upadł na chodnik z cichym brzękiem, podskoczył i odsunął; nie był już groźny. Młodzieniec zacisnął na szyi zamachowca drugie ramie, zacisnął je bezlitośnie i skręcił. Rozległ się niegłośny trzask, ciało zwiotczało, a on odrzucił je na bok jak szmacianą lalkę.

Ukląkł przy dziewczynie; krew zalała jej szyję i pierś, Sithelle nie poruszała się już. Na widok rany jęknął głośno, z rozpaczą. Szok i żal sparaliżowały go, ale opanował się szybko, delikatnie wziął ciało na ręce i znikł w tłumie.

Całe to straszne wydarzenie nie trwało dłużej niż kilka sekund. Prestimionowi zakręciło się w głowie, ale, choć z trudem, odzyskał panowanie nad sobą.

Akbalik, ponury, z nieruchomą twarzą, stał nad ciałem niedoszłego

zabójcy, opierając o nie czubek miecza, jakby spodziewał się, że wstanie i znów zacznie wymachiwać sierpem. Strażnicy wystąpili przed zdumiony tłum mieszkańców Normork, zasłaniając Koronala przed ich spojrzeniem. Gialaurys wyrósł nagle tuż przed nim, wielki jak ściana.

- Panie! - krzyknął. - Nic ci się nie stało, panie?

Prestimion skinął głową; był w szoku, ale sierp nawet się do niego nie zbliżył. Odwrócił się i szybkim krokiem wspinał się po schodach ku miejscu, w którym Meglis stał nieporuszony, gapiąc się przed siebie wytrzeszczonymi oczami utopionego habbagoga. Wraz ze swymi najbliższymi współpracownikami znikł w pałacu. Ktoś przyniósł mu puchar schłodzonego wina, wypił je duszkiem. Nie mógł przepędzić sprzed oczu obrazu zakrwawionego ciała umierającej, a być może martwej dziewczyny. I ten oszalały morderca: dzikie wycie, nieprzytomne oczy, lśniące ostrze sierpa. Gdyby nie przypadek, gdyby nie stanęła przed nim ta dziewczyna, to prawdopodobnie on leżałby martwy na placu. Ocaliła go... ona i ten wielki chłopak, który złapał zamachowca za rękę.

Jakie to dziwne - pomyślał - być celem zamachu. Czy jakiś Koronal zginął kiedyś zamordowany? Na oczach tłumu, z gardłem podejrzanym przez zabójcę? Szczerze wątpił, bo zaprzeczało to wszelkiemu rozsądkowi. Koronal jest wcieleniem świata, zabójstwo Koronala to jak zniszczenie kontynentu, zatopienie, powiedzmy, całego Alhanroelu. Próbę przejęcia tronu przez Korsibara Prestimion był niemal w stanie zrozumieć, oto księżę wysuwa pretensje,

jakkolwiek by były fałszywe, do tego, co jest prawem innego księcia. Ale to... to było coś nowego. To było szaleństwo, pustka w czyjejsz duszy skłaniająca do stworzenia pustki w świecie. Prestimion podziękował Bogini za to, że zamach się nie udał. I nie tylko za to, że żyje, nie, dziękował za świat. Świat nie zniósłby śmierci Koronala padającego na bruk ulicy jak zarżnięte zwierzę.

Odwrócił się, spojrzał na Akbalika.

- Znajdź tego chłopca i przyprowadź go tu, natychmiast. Dowiedz się także, co z dziewczyną.

A Gialaurysa spytał: „Co z zamachowcem?”.

- Nie żyje, panie.

- Niech to! Nie chciałem, żeby zginął, Gialaurysie. Powinno się go zatrzymać i przesłuchać.

Akbalik wychodził już z komnaty, ale usłyszawszy te słowa przystanął w drzwiach.

- Na to nic się już nie poradzi, panie. Skręcono mu kark. Stałem nad trupem.

- No to dowiedźcie się przynajmniej, kim był. Czy tylko samotnym szaleńcem, czy może mamy tu do czynienia ze spiskiem?

Meglis podszedł do nich chwiejnie. Wygłaszał jakieś durne przeprosiny, bełkotał, błagając Lorda Koronala o wybaczenie „za nieszczęśliwy wypadek”. Prestimion uznał, że godny jest tylko pogardy. Kolejne nieszczęście, ściągnięte na świat przez Korsibara: kwiat arystokracji Majipooru zginął w wojnie, za wiele wspaniałych tytułów dostało się chłopcom i głupcom.

Późnym popołudniem do pałacu wrócił Akbalik. Był z nim młody człowiek, ten, który ocalił Prestimionowi życie.

- To Dekkeret - przedstawił go Akbalik. - Dziewczyna była jego kuzynką.

- Była?

- Umarła niemal natychmiast - powiedział chłopiec. Głos drżał mu lekko, był blady, nie ośmielał się spojrzeć Koronalowi w oczy. Odczuwał żal, wielki żal, to było oczywiste, a jednak potrafił doskonale kontrolować uczucia. - Taka straszna strata... Była moją najlepszą przyjaciółką. Od tygodni nie mówiła o niczym innym tylko o twoich odwiedzinach, panie. I o tym, jak bardzo pragnie znaleźć się blisko ciebie, panie, kiedy do nas przyjedziesz. Sądzę, że cię kochała.

- Ja też tak sądzę. - Prestimion skinął głową. Zmierzył młodego człowieka długim, uważnym spojrzeniem; niewątpliwie wywierał on wrażenie. Dawno temu nauczył się, że są ludzie, których talenty i możliwości widoczne są na pierwszy rzut oka, a Dekkeret bez wątpienia należał do tej kategorii. Sprawiał wrażenie inteligentnego, wrażliwego, silnego duszą i ciałem. A także, zapewne, ambitnego. Mimo ciężaru, jakim była dla niego straszna śmierć ślicznej kuzynki, zachowywał się wzorowo.

Do głowy wpadła mu pewna myśl.

- Ile masz lat, Dekkercie? - spytał.

- Skończyłem osiemnaście w dzień czwarty.

- Chodzisz do szkoły.

- Jeszcze dwa miesiące, panie.

- A potem?

- Nie podjąłem decyzji, panie. Być może służba rządowa? Na Zamku, jeśli się uda, albo dla Pontyfikatu. Ojciec jest kupcem, podróżującym od miasta do miasta, ale mnie to nie odpowiada. - Zmienił temat, jakby mówienie o sobie nie wydawało mu się interesujące. - Człowiek, który zabił moją kuzynkę... co z nim będzie, panie?

- On nie żyje, Dekkerecie. Obawiam się, że skręciłeś mu głowę trochę za mocno.

- Ach! Nie zawsze potrafię kontrolować własną siłę. Czy to źle, że go zabiłem, panie?

- Szczerze mówiąc chciałem mu zadać kilka pytań, dowiedzieć się, dlaczego czuł do mnie nienawiść. Ale w zaistniałej sytuacji trudno mieć do ciebie pretensje o to, że nie potraktowałeś go z jakąś wyjątkową delikatnością. To dobrze, że potrafisz poruszać się tak szybko, jak to nam pokazałeś. A o karierze na Zamku mówisz poważnie, chłopcze?

Dekkeret zaczerwienił się.

- Och, panie! O, tak! Tak! Tak! Niczego w życiu nie pragnę tak bardzo, jak właśnie tego!

- Gdyby wszystko dało się załatwić tak łatwo, jak to - Prestimion uśmiechnął się do niego przyjaźnie, a potem spojrzał na Akbalika. - Ten młody człowiek powróci na Zamek w naszym towarzystwie. Zostanie wpisany na listę rycerzy kandydatów. Dopilnuj, by przeszedł naukę w trybie przyspieszonym. Przygarniesz go pod swoje skrzydła.

Oddaję ci go pod opiekę, Akbaliku. Nadaj mu właściwy kierunek.

- Dobrze się nim zaopiekuję, panie.

- O to właśnie mi chodzi. Kto wie, może właśnie dziś znaleźliśmy nowego Koronala? Co o tym sądzisz? Zdarzały się już i dziwniejsze rzeczy.

Twarz Dekkereta płonęła. Mrugał szybko, raz za razem, jakby tak zdumiewające spełnienie najfantastyczniejszych marzeń doprowadziło go do łez, z którymi czuł się zmuszony walczyć. Lecz i teraz potrafił się opanować niemal natychmiast. Przyklęknął przed Koronalem z wielką godnością, uczynił gest rozbłysku gwiazd, podziękował opanowanym, nieprzesadnie donośnym głosem.

Prestimion łagodnie kazał mu powstać.

- Poradzisz sobie między nami, wiem o tym - powiedział. - I bardzo, bardzo mi przykro z powodu twojej kuzynki. Zamieniłem z nią zaledwie kilka słów, ale to wystarczy, bym mógł wyobrazić sobie, jak wspaniałą musiała być dziewczyną.

Nie były to puste słowa. Upiorne, bezsensowne morderstwo ślicznego dziecka obudziło w nim ponure wspomnienia. Wyprostował się i zwrócił do Gialaurysa.

- Poinformuj Meglisa - polecił - że dzisiejszy bankiet zostaje odwołany, bo dureń pewnie sam na to nie wpadł. Lekką kolację zjem u siebie. Nie chcę się z nikim widzieć ani rozmawiać, czy to jasne? Rano wracamy na Zamek.

*

Pogrążony w myślach Koronal spędził długi, ponury, samotny

wieczór. Obraz wymachującego sierpem mężczyzny i drugi, tryskających strumieni krwi, miał go już nigdy nie opuścić. Łagodna twarz dziewczyny, jej oczy szeroko rozwarte z uwielbienia i strachu, zacierały mu się w pamięci, tańczyły jak mgła na wietrze, zmieniały w zupełnie inne rysy Thismet. Raz za razem jego udręczony umysł powracał do sceny, którą oglądał wielokrotnie: krwawe błota Beldak, ostatnie chwile bitwy pod Granią Thegomar, czarnoksiężnik Sanibak-Thastimoon powstający przed Thismet ze sztyletem w dłoni...

Nie ośmielił się zasnąć, bowiem wiedział, jakie może mieć sny. W bagażach miał kilka książek. Wybrał jedną na chybił trafił, zabrał się do lektury. „Szczyty Zamkowej Góry”, trzeszczący ze starości poemat epicki, opisujący dzieje bohaterskich Koronalów, wyprawiających się w najdalsze, najbardziej niebezpieczne zakątki Majipooru. Prestimion z ulgą pogrążył się w lekturze, zagubił się w niej, znikł w owym świecie. Czy oni rzeczywiście istnieli, ci wspaniali bohaterowie z odległej przeszłości, czy też byli tylko imionami, zaczerpniętymi z wyobraźni? Czy ktoś kiedyś, pewnego dnia w odległej przyszłości, zacznie pisać o nim, tragicznym, heroicznym Lordzie Prestimionie, który kochał i utracił siostrę śmiertelnego wroga, a potem...

Rozległo się pukanie do drzwi. O tak późnej godzinie?

- Kto to? O co chodzi? - spytał, nie starając się ukryć irytacji.

- Gialaurys, panie.

- Nie chciałem dziś widzieć nikogo...

- Przecież wiem, Prestimionie. Ale Septach Melayn przysłał wiadomość. Z Zamku. Jest przeznaczona wyłącznie dla ciebie i

wymaga natychmiastowej odpowiedzi. Nie mogłem sobie pozwolić na czekanie do rana.

Prestimion westchnął ciężko. Odrzucił książkę, podszedł do drzwi.

- Dobrze, niech będzie - powiedział, zrezygnowany.

List zapieczętowany był jego osobistą pieczęcią, Septach Melayn wysłał go więc oficjalnie, jako regent. Sprawa musiała być rzeczywiście pilna, może wiązała się jakoś ze zdarzeniami dzisiejszego dnia? Prestimion złamał ją, rozłożył kartę.

- Nie - powiedział, przebiegając wzrokiem po literach. Czuł bicie pulsu w skroniach. Przymknął oczy. - Na wszystkie demony Triggoin, nie.

- Panie?

- Masz, sam przeczytaj.

Była to krótka wiadomość i nawet Gialaurys, sunący palcem wzdłuż rzędu liter i powoli, pracowicie sylabizujący pod nosem kolejne słowa, szybko sobie z nią poradził. Podniósł wzrok, jego kamienna twarz poszarzała od szoku.

- Dantiryja Sambail uciekł z Zamku? Mandralisca też? Próbują ucieczki na Zimroel, chcą ustanowić tam rząd w opozycji do twojego? Przecież... panie, to przecież niemożliwe! Jak to...? Czy to kolejny dowcip w stylu naszego przyjaciela? Jak sądzisz?

Prestimion zdołał się uśmiechnąć, ale nie był to uśmiech wesoły.

- Obawiam się, że nawet jego poczucie humoru nie sięga tak daleko.

- Dantiryja Sambail! - krzyknął Gialaurys. Nie potrafił ustać w

miejscu, chodził po komnacie wielkimi krokami. - Musi być w tym jakaś zdrada, panie. Gdybyśmy zabili go od razu, tam, na polu bitwy, to by się nigdy...

- Gdybyśmy... no tak. Gdybyśmy. Nie jest to stwierdzenie szczególnie użyteczne. - Prestimion podniósł list do oczu. Odczytywał go raz za razem, jakby spodziewał się, że kolejna lektura może zmienić jego treść na mniej przerażającą. Ale nic się nie zmieniało, tylko usłyszał głos Maundiganda-Klimda, słowa wypowiedziane tego dnia, kiedy mag rozpatrywał konsekwencje przywrócenia Dantiryi Sambailowi pamięci wojny. Widział... dwuznaczności. Wiele rozbieżnych ścieżek.

Tak - pomyślał Prestimion. Wiele rozbieżnych ścieżek. A teraz muszę przejść je wszystkie.

Część Druga
Księga Poszukiwań

Jak mogę pozostać na Zamku po tym, co się stało? - spytał Navigorn. Jego mocna, wyrazista twarz była w tej chwili prawdziwą maską cierpienia. - Okryłem się hańbą, mój panie. Nie mogę spojrzeć w oczy uczciwym ludziom. Wyznaczyłeś mi obowiązki, a ja nie potrafiłem się z nich wywiązać i popatrz, do czego doprowadziłem. Cóż innego mogę zrobić niż opuścić Zamek, udać się na wygnanie? Błagam cię, panie, pozwól mi...

Prestimion uniósł dłoń.

- Spokojnie, Navigornie - powiedział. - Nie wątpię, że to miało prawo wstrząsnąć tobą i wstrząsnęło, ale ja nadal potrzebuję cię przy swym boku. Prośbie o zezwolenie na opuszczenie Zamku odmawiam. Uspokój się i bądź uprzejmy powiedzieć mi, jak doszło do tej ucieczki.

- Gdybyśmy tylko mieli pewność...

- Nie macie pewności. Rozumiem. A co przypuszczacie?

- Powiem ci wszystko, co wiem.

Navigorn wstał z ławki po lewej ręce Prestimiona. Zaczął chodzić po sali, jak zwierzę zamknięte w zbyt małej klatce.

Spotkanie odbywało się nie w sali królewskiej, lecz w skromnej, surowej sali tronowej Lorda Stiamota, chyba przypadkiem ocalałej w niezmiennym stanie, sąsiadującej przez ścianę z majestatycznymi, oszalamiającymi świetnością komnatami, będącymi jądrem

współczesnego Zamku, małej, pozbawionej dekoracji, umeblowanej prostym marmurowym fotelem dla Koronała, niskimi ławkami przeznaczonymi dla ministrów i dywanem z Makroposopos w stłumionych kolorach, prawdopodobnie kopią oryginału, pochodzącego z czasów Stiamota.

Ale czasy Stiamota odeszły w przeszłość siedem tysięcy lat temu. Sala, w której znajdowali się teraz zastąpiona została przez inne komnaty ceremonialne, zbudowane przez Lorda Makhario, które po wielu stuleciach ustąpiły miejsca kolejnym, jeszcze wspanialszym. Lord Confalume wyposażył je w tron tak niezwykle przepyszny, że wydawał się odpowiedni dla bogów raczej niż ludzkich władców. Jednak Prestimion, po powrocie z wizyty w miastach Góry, zaczął używać do pracy bezpretensjonalnej sali Stiamota, przedkładając jej prostotę nad przytłaczający przepych komnat Confalume'a. Rozbawiła go informacja, że po pierwszych tygodniach swych krótkich rządów Korsibar postąpił podobnie.

W spotkaniu uczestniczyli wyłącznie jego najbliżsi współpracownicy: Septach Melayn, Gialaurys, Maundigand-Klimd, oraz bracia: Abrigant i Teotas. Prestimion zdawał sobie sprawę z tego, że powinien zaprosić także Volgaza Sara, oficjalnego przedstawiciela Pontyfikatu na Zamku oraz hierarchinię Marcatain, jako reprezentanta Pani Wyspy, w tej chwili nie wiedział jednak, jak przyznać się Pontifexowi - i matce - do wielkiego oszustwa, którego dopuścił się kosztem całego świata. Rządził więc, jakby był jego jedyną Potęgą, nie dzieląc się władzą i odpowiedzialnością z reprezentantami władzy,

która konstytucyjnie przewyższała jego władzę.

Nie mogło to trwać wiecznie. Kryzys wywołany przez ucieczkę Dantiryi Sambaila już zmusił go do ujawnienia zdumionym braciom prawdy o wymazaniu pamięci. Im mógł zaufać, wiedział, że będą milczeć tak długo jak on, ale nie mógł zażądać milczenia ani od matki, ani od Confalume'a.

Navigorn nadal chodził po sali, tam i z powrotem.

- Ktoś kogoś przekupił, co do tego nie mam żadnych wątpliwości - powiedział. - Mandralisca...

- Ten demon! - przerwał mu Gialaurys.

- Demon, tak. Sprawdza, czy jedzenie prokuratora nie zostało zatrute, a sam jest jak trucizna. Zamknęliśmy go i uznaliśmy, że jesteśmy bezpieczni, a on powoli, cierpliwie nakłaniał strażników do zdrady, obiecując... to nie jest jasne... wielkie posiadłości w Zimroelu lub coś w tym guście. W każdym razie brakuje czterech ludzi. Uwolnili go i znikli, jakby ich nigdy nie było.

- Masz ich nazwiska, prawda? - zainteresował się Septach Melayn.

- Oczywiście.

- Znajdę ich, choćby się zapadli pod ziemię. I ukarzę w najsurowszy przewidziany przez prawo sposób. - Wygiął przegub szybkim, lekkim ruchem, jakby przecinał powietrze ostrzem niewidzialnego miecza. - A swoją drogą ciekawe, czy w naszym świecie pojawiło się już kiedyś takie jak on wcielenie niegodziwości. Od pierwszego spojrzenia widziałem...

- Tak, pamiętam. - Prestimion uśmiechnął się słabo. - Igrzyska

pogrzebowe ku czci starego Pontifexa. Założyliśmy się o wynik szermierki na kije, a ty postawiłeś przeciw Mandralisce z czystej nienawiści do tego człowieka, chociaż wiedziałeś, że jest lepszy. Dzięki czemu wzbogaciłem się o pięć koron. - Spojrzał na Navigorna. - W porządku, pora wrócić do twojej historii. Mandralisce udało się uciec. Jakim cudem udało mu się dotrzeć do prokuratora, uwięzionego w innej części tuneli?

- Tego też jeszcze nie wiemy, panie, ale kolejne przekupstwo wydaje się pewne.

- Jak źle musisz płacić ludziom, że chętnie sprzedają się więźniom?
- warknął Teotas.

Navigorn obrócił się na pięcie, jakby słowa młodszego brata Koronała boleśnie go zraniły. Jego oczy zapłonęły szalonym gniewem, ale Teotas, smukły, jasnowłosy młody mężczyzna, niezwykle podobny do swego królewskiego brata, lecz znacznie od niego gwałtowniejszy, odpowiedział mu równie gniewnym spojrzeniem. Przez chwilę wydawało się, że tych dwóch będzie chciało walczyć, ale w chwili, gdy Prestimion już miał nakazać interweniować Gialaurysowi, Navigorn odwrócił się i, ze zmęczeniem i rezygnacją wypisanymi na twarzy, powiedział cicho:

- Twoje pytanie nie zasługuje na odpowiedź, chłopcze. Mimo to coś ci wyjaśnię: mogłem dawać im nawet sto rojali tygodniowo i nic bym przez to nie zyskał. On przejął władzę nad ich duszami.

- Tak jest rzeczywiście. - Septach Melayn lekko dotknął palcami piersi królewskiego brata, powstrzymując go tym gestem od

odpowiedzi. - Mandralisca płaci diabelskim pieniądzem. Kiedy ma dobry dzień, podporządkuje sobie każdego, dosłownie każdego.

- Mnie? Ciebie? Prestimiona? - Teotas odsunął jego rękę gwałtownym gestem. - Demon czy nie demon, nie jest przecież w stanie kupić wszystkich! Mówisz wyłącznie za siebie, Septachu Melaynie!

Prestimion stracił wreszcie cierpliwość.

- Dość tych kłótni! Odbiegamy od tematu. Więc co powiesz, Navigornie? Jak Mandralisca odnalazł celę swego pana?

- Nie wiem, po prostu nie wiem. Zakładam, że pomógł mu jeden z czterech przekupionych. Mogę tylko powiedzieć, że do niej dotarł, uwolnił go i przeprowadził przez tunele tak, że nikt ich nie zatrzymał. Bardzo prawdopodobne, że na strażników przy bramie rzucił jakiś czar, zdolny zaćmić ich umysły i przeszedł między nimi niczym między śpiącymi.

- Nie wiedziałem, że ten Mandralisca tak dobrze posługuje się czarnoksięstwem - zauważył zaskoczony Prestimion.

- Każdy może nauczyć się jednego czy drugiego zaklęcia - odparł Maundigand-Klimd. - A takie należą do najprostszych.

- Może dla ciebie. Ale czary rzucałby zaraz po aresztowaniu, gdyby je tak dobrze znał. Nie, zaklęcia dostał dzień przed ucieczką.

- Ale od kogo? - spytał Gialaurys.

- Kogoś z bezpośredniego otoczenia prokuratora, który mu je przesmuglował! - krzyknął Septach Melayn. - Wślizgnął się pewnie do tuneli w ten sam sposób, w jaki Mandralisca z prokuratorem z nich

wyszli. Spisek! Ludzie z Ni-moya dowiedzieli się, gdzie jest ich prokurator i postanowili uwolnić go za pomocą magii!

- Wstyd! - Teotas znów obrzucił Navigorna wściekłym spojrzeniem. - Jeśli czarnoksięstwem tak łatwo uwolnić więźniów, dlaczego nie użyto go do ich zatrzymania? Dlaczego nie położono na celach jakiegoś kontrzaklęcia?

- Zaklęcia, zaklęcia na zaklęcia, zaklęcia na zaklęcia na zaklęcia... można tak bez końca - zirytował się Prestimion. - Nie da się wykluczyć wszystkich możliwości, Teotasio. - Spojrzał na Su-Suherisa. - Poleciłem ci wymazać z umysłu Dantiryi Sambaila pewne specjalne wspomnienia. A także miałeś pozbawić go zdolności czynienia zła. Czy to zrobiłeś?

- Dopiero zacząłem, byłem jeszcze we wstępnej fazie. Usunąłem wspomnienia, owszem. Poważniejsza praca, stłumienie instynktu czynienia zła, tak głęboko w nim zakorzenione, wymaga wielkiej ostrożności, panie, jeśli nie chce się zredukować człowieka do bełkoczącego idioty.

- Nic byśmy nie stracili, gdyby ten człowiek stał się śliniącym się idiotą - prychnął Gialaurys. - No to mamy teraz niezły bałagan: Dantiryja Sambail na wolności, nadal wypełniony tą swoją obrzydliwością, zmierza właśnie na Zimroel, gdzie może zgromadzić armię. Z tym sobie poradzimy. Wyślemy najszybszych posłańców, na zachód i na południe. Nałożę obowiązek prowadzenia obserwacji we wszystkich portach na obu wybrzeżach. Stoien, Treymone, Alaisor... odetniemy go od domu, wytropimy i przyprowadzimy z powrotem na

Zamek. W kajdanach. Bo to nie tak, żeby prokuratora trudno było rozpoznać.

- To ostatnie jest prawdą - Abrigant do tej pory milczał, odezwał się po raz pierwszy. - Możliwe jednak, że nie zmierza ani na południe, ani na zachód.

- Co? - spytali jednym głosem Septach Melayn i Gialaurys.

Abrigant rozłożył formularz depeszy.

- Akbalik dostarczył mi ją pięć minut przed początkiem naszego spotkania - wyjaśnił. - Zgodnie z tym, co tu napisano, dwa dni temu widziano kogoś bardzo przypominającego prokuratora w prowincji Vrambikat. Zwracam waszą uwagę na to, że to na wschód stąd.

- Na wschód? - zdumiał się Gialaurys. - Co mu da ucieczka na wschód? Musisz się mylić. Nie uciekniesz z Góry na Zimroel jadąc na wschód.

Septach Melayn uśmiechnął się szelmowsko.

- Uciekniesz, jeśli zdołasz dotrzeć na wybrzeże Wielkiego Morza i przepłyniesz na jego drugą stronę.

Gialaurys prychnął, zirytowany.

- Nikt w całej naszej historii nie przepłynął Wielkiego Morza. Dlaczego sądzisz, że Dantirya Sambail mógłby spróbować czegoś aż tak niemożliwego?

- Miejmy nadzieję, że rzeczywiście spróbuje. - Akbalik uśmiechnął się szeroko. - I nigdy go już nie zobaczymy.

Septach Melayn roześmiał się głośno, wesoło.

- A nawet jeśli jakimś cudem po roku lub dwóch wyląduje

wreszcie na Zimroelu, będzie miał przed sobą jeszcze pół roku podróży z Pidruid, Narabalu, czy gdzie tam uda mu się dotrzeć, do swojego Ni-moya. Gdzie już będą na niego czekali żołnierze. I natychmiast go aresztują.

Tylko Prestimion nie sprawiał wrażenia rozbawionego.

- Sama myśl, że prokurator zdecydowałby się na takie przedsięwzięcie, jest dowodem wyjątkowej głupoty - powiedział stanowczo. - Tego po prostu nie da się zrobić.

- Mówi się - powiedział powoli Maundigand-Klimd - że za czasów Lorda Arioca podjęto próbę przepłynięcia oceanu. Statek wypłynął z Tilomon na zachód, ale wplątał się w dryfującą smoczą trawę, potem zgubił kierunek, błądził pięć lat, a niektórzy twierdzą, że nawet jedenaście, ale w końcu udało mu się wrócić do portu macierzystego...

- Świetnie, doskonale - przerwał mu zirytowany Prestimion - ale ja nie wierzę, by Dantirya Sambail myślał o tego rodzaju wyczynach. Jeśli rzeczywiście pojechał na wschód, to z pewnością próbuje jakichś sztuczek. Wschodni Alhanroel jest względnie pusty, słabo zaludniony. Łatwo tam zniknąć, a po jakimś czasie, kiedy zrobi się spokojniej, zmienić kierunek na północny i poszukać transportu na Zimroel choćby w Bandar Delem albo w Vythiskiorn. Albo pojechać na południe, przez tropiki. Jednego pomysłu nigdy nie zaakceptuję. Nie wierzę, by rzeczywiście chciał wrócić do domu drogą morską, której nikt przed nim nie był w stanie pokonać.

- Więc co masz zamiar zrobić? - spytał Septach Melayn.

- Wysłać wojsko do Vrambikat. Ma go wytropić, nim prokurator

ostatecznie zniknie nam z oczu. - Prestimion wskazał palcem Gialaurysa. - Pod twoją komendą. Wspólną, twoją i Abriganta. Macie wyruszyć w ciągu pięćdziesięciu godzin. - Zawahał się chwilę, po czym wskazał Su-Suherisa. - Pojedziesz z nimi, Maundigandzie-Klimdzie. Chcę też mieć w ekipie Vroona. Vroonowie są świetni, jeśli chodzi o wyczarowywanie kierunku na drodze. Masz może jakiegoś wśród znajomych czarodziejów, Maundigandzie-Klimdzie? Takiego, który zgodziłby się pojechać z tobą.

- Owszem. Znam niejakiego Galielbera Dorna. Posiada umiejętności, których będziemy potrzebowali.

- Gdzie go można znaleźć?

- W Morpin Wysokim, panie. Ma pozwolenie na czytanie w myślach, w parku lustrzanych zjazdów.

- To nie tak daleko. Wyślij do niego wiadomość, ma stawić się na Zamku do jutrzejszego popołudnia. Zapłać tyle, ile zechce wziąć za stanowisko przewodnika.

W tym momencie Prestimionowi przyszła do głowy myśl: jak by to było wyruszyć na wschód, gdzie nigdy nie był, do krainy, której nikt niemal nie odwiedzał? Poczul pokusę, podniecenie, tęsknotę za włóczęgą, tak silne, że niemal nie do zwalczenia. Pożądanie, by opuścić Zamek z jego mnóstwem odbijających echo komnat, wyruszyć na poszukiwanie kolejnych cudów Majipooru, jedyną tęsknotę, jedyne pożądanie zastępujące mu posiadanie towarzyski życia.

Nie pozwoli, by udali się w te dziwne kraje bez niego.

Nie jest w stanie im na to pozwolić.

Potrzebuje dobrego pretekstu, pozwalającego mu znów opuścić Zamek. No proszę, gdzie znalazłby lepszy niż poszukiwanie Dantiryi Sambaila?

Uśmiechnął się promiennie, przerywając długą chwilę milczenia.

- Wiesz, Septachu Melaynie, zdaje się, że znów będę cię potrzebował w charakterze regenta. Bo ja też wezmę udział w tej wyprawie.

Niemal od razu zyskał pewność, że podjął prawidłową decyzję. Kraina, rozciągająca się na wschód od Zamkowej Góry, była wręcz nieprawdopodobnie piękna. Prestimion nie był jedynym członkiem wyprawy, dla którego stanowiła całkowitą nowość. Spośród nich wszystkich był tu już kiedyś chyba tylko ten mały Vroon, Galielber Dorn, pełniący funkcję przewodnika. Nie było całkiem jasne, czy kiedyś już wtedy wędrował, ale zachowywał się jakby znał teren, wymieniając nazwy punktów orientacyjnych pewnie, z lekkim znudzeniem kogoś, kto widział je wielokrotnie. Prestimion wiedział, że na tym właśnie polega specjalny dar Vroonów: mają praktycznie niezawodny zmysł kierunku, doskonale orientują się we wzajemnym położeniu różnych miejsc. Zupełnie jakby przychodzili na świat wyposażeni w szczegółowe mapy każdego zakątka wszechświata, obecne w ich głowach, za wielkimi złotymi oczami. Prawdę mówiąc Galielber Dorn mógł być tak tu obcy jak każdy z nich.

Za ich plecami niebo wypełniał potężny masyw Zamkowej Góry. Przed sobą mieli mglistą dolinę Vrambikat, dalej rozciągało się nieznane. W zasięgu wzroku już mieli rzeczy dziwne i tajemnicze, ponieważ teren nadal opadał gwałtownie, pozwalając widzieć na całe mile na północ, południe i wschód.

- Ta plama czerwieni, Galielberze Dornie... - spytał Abrigant, wskazując na południowy wschód, gdzie na horyzoncie widać było

przedziwnie jaskrawy punkt - ...co to takiego? Miejsce bogate w rudę żelaza, prawda? Żelazo jest takie czerwone...

Prestimion zachichotał.

- On wszędzie szuka metalu - powiedział cicho do Gialaurysa. - Ma obsesję.

- To tylko piasek - wyjaśnił Vroon. - Krwawoczerwone wydmy Minnegara na granicy szkarłatnego morza Barbikire. Zawdzięczają swój kolor skorupkom miliardów żyjących w nim stworzonek.

- Szkarłatne morze. - Prestimion potrząsnął głową. - Krwawoczerwone wydmy.

Mogli je dokładniej obejrzeć trzy dni później: równoległe rzędy wydm w kształcie sierpa o szczytach ostrych jak szable, o barwie tak intensywnej, że drzące nad nimi niebo wydawało się czerwone. Dalej, aż poza zasięg wzroku, rozciągało się długie, wąskie jezioro sprawiające wrażenie wypełnionego niczym więcej niż krwią. Widok był piękny, oszałamiający, ale też w jakiś sposób groźny. Abrigant, opętany myślą o metalach, nie pragnął niczego bardziej niż zboczyć z drogi i zbadać jego brzegi, ale Vroon twierdził stanowczo, że o obecności tam żelaza nie może być mowy, a Prestimion tonem nie znoszącym sprzeciwu nakazał bratu, by wybił sobie z głowy ten pomysł. W tej chwili mieli co innego do roboty.

W mieście Vrambikat przepytali troje jego mieszkańców, którzy mieli widzieć Dantiryę Sambaila. Byli to prości ludzie, dwie kobiety i mężczyzna, wszyscy tak onieśmieleni wezwaniem przed oblicze ludzi bez wątplenia wysokiej rangi, że niemal nie sposób było wydobyć z

nich choćby kilku zrozumiałych słów. Gdyby ktoś im powiedział, że stoją naprzeciw Koronała, brata Koronała i Wielkiego Admirała królestwa, zapewne padliby im do stóp, zemdleni, a to gorsze nawet od jąkania się i zacinania.

Galielber Dorn po raz kolejny udowodnił swą użyteczność.

- Jeśli mogę... - powiedział robiąc krok w stronę próbującej coś wyjaśniać trójki i wyciągając swe długie, cienkie macki.

Jak wszyscy Vroonowie był mały, sięgał kolan niższej z kobiet, a jednak oni wszyscy cofnęli się na jego widok. Zatrzymały ich trzy ciche dźwięczne kliknięcia, wydobywające się z zakrzywionego złotego dzioba; stanęli i tylko przestępowali z nogi na nogę. Galielber Dorn podchodził do nich po kolei, wyciągał dwie splecione w skomplikowany wzór macki i ujmował nimi przegub każdego z nich, jednocześnie patrząc mu wprost w oczy. Za każdym razem trwało to kilka chwil.

Kiedy skończył, świadkowie byli tak spokojni, jakby otrzymali jakiś działający na nerwy eliksir. A kiedy, zachęceni przez Prestimiona, zaczęli mówić, powiedzieli wszystko jasno i otwarcie.

Rzeczywiście, spotkali dwóch szorstkich, bardzo nieprzyjemnych mężczyzn, doskonale odpowiadających opisom Dantiryi Sambaila i jego sługi, Mandraliski. Jeden z opisywanych był wysoki, miał długie ręce i nogi, i poruszał się z wdziękiem smukłego sportowca. Twarz miał ponurą, zaciętą, z ostrymi jak nóż kośćcami policzkowymi i oczami niczym gładzone kamyki. Drugi, niższy i grubszy, przewiązywał twarz chustą, jakby bronił się w ten sposób przed

wiatrem i słońcem, ale widzieli jego oczy, znacznie niezwyklesze niż u towarzysza, cudowne, fiołkowe, łagodne i ciepłe, a nie ciemne, wrogie i zimne.

- A więc nie ma żadnych wątpliwości, prawda? - spytał retorycznie Gialaurys. - Nikt na świecie nie ma takich oczu, jak prokurator.

Uciekinierzy wjechali do Vrambikat na dwóch tłustych wierzchowcach wyglądających jak po długiej jeździe, niemal doszczętnie wyczerpanych. Oznajmili, że muszą je sprzedać i kupić nowe, a potem ruszają dalej.

- Roześmiałem się - mówił mężczyzna - i powiedziałem, że żaden właściciel stajni nie zapłaci pięćdziesięciu wag za dwa półmartwe stworzenia. Ten wysoki uderzył mnie wtedy tam mocno, że upadłem i chyba by mnie zabił, gdyby ten drugi nie kazał mu przestać. Wtedy Astakapra - wskazał na starszą z kobiet - wytłumaczyła im, gdzie znajdują najbliższą stajnię. Odeszli i dobrze. Niech nie wracają.

- Gdzie jest ta stajnia? - spytał Prestimion. - Łatwo do niej dotrzeć?

- Nic łatwiejszego, panie - zapewnił go mężczyzna. - Ta szeroka ulica to Droga Eremoila. Dwie przecznice dalej, na rogu Amytilir, skręćcie w prawo. Drugi budynek od narożnika po lewej, to stajnia. Zobaczycie przed nią bele siana. Nie można go nie zauważyć.

- Zapłać im coś - powiedział Prestimion do Abriganta.

Odjechali.

Stajenni aż za dobrze pamiętali akurat tych dwóch gości. Nietrudno było zidentyfikować wierzchowce, na których przyjechali Mandralisca i Dantirya Sambail jako skradzione, bo na zadach nosiły

znak znanego hodowcy z podnóża Góry, z Megenthorp, a hodowca niedawno rozesłał wiadomość, że włamało się do niego dwóch obcych i ukradło dwie cenne klacze. Te klacze stały teraz przed nimi, wynędzniałe ze zmęczenia. A ci dwaj - powiedzieli im stajenni - natychmiast wyciągnęli broń i grożąc nią zabrali dwa wypoczęte wierzchowce, zostawiając w zamian te z Megenthorp.

- A więc mają teraz i miecze - zauważył Abrigant. - Ciekawe, czy dostali je od współników, którzy umożliwili im ucieczkę, czy zdobyli gdzieś po drodze.

- Najpewniej jednak zdobyli po drodze - odparł Prestimion. - Podobnie jak środek transportu. - Zwrócił się do stajennych. - Wiecie może, dokąd się kierowali wyjeżdżając z miasta?

- A tak, panie, oczywiście! - usłyszał w odpowiedzi. - Pytali, którądy biegnie najlepsza droga na wschód. Więc powiedzieliśmy im, bo kto by nie powiedział, czując ostrze miecza na gardle.

A więc jednak wschód. Ale jak długo mieli zamiar jechać na wschód? Aż do samego Wielkiego Morza? Od wybrzeża dzieliły ich nieprzeliczone tysiące mil. Z całą pewnością obaj uciekinierzy nie byli tak szaleni, by zamierzali powrócić na Zimroel tą drogą.

Dokąd naprawdę jadą? - głowił się Prestimion.

- W drogę - powiedział głośno. - Marnujemy czas.

- My mamy latacze, oni wierzchowce - przypomniał mu Gialaurys.
- Prędzej czy później ich dopędzimy.

- Zdobędą latacze w ten sam sposób, w jaki zdobyli wierzchowce.

*

Tereny za Vrambikat okazały się niemal niezamieszkane, były tu tylko rzadko rozrzucone małe miasteczka, od czasu do czasu trafiało się także na obozy imperialnych wojsk, odbywających manewry. Na grzbietach flankujących drogę wzgórz stały samotne wieże strażnicze. Nikt nie spotkał przejeżdżających niedawno dwóch mężczyzn na wierzchowcach i nic dziwnego, nietrudno było przemknąć się tu pod osłoną nocy. Przez dwie kolejne noce Prestimion i Gialaurys śnili ten sam sen, w którym wyczuli, że uciekinierzy przemieszczają się wytrwale na drodze leżącej bezpośrednio przed nimi.

- W sny trzeba wierzyć - powiedział Gialaurys. Prestimion nie miał zamiaru z nim dyskutować.

Przed ich oczami przewijały się niezwykle cuda. Długie szkarłatne jezioro zmieniło się w cienki pasek, widoczny daleko po ich prawej ręce, a potem znikło, lecz niemal natychmiast zastąpiły je bladozielone góry, a po drugiej stronie, na północy, wędrowcy widzieli łańcuch niewielkich, idealnie kolistych jeziorek, czarnych jak najczarniejszy onyks i jak on błyszczących, rozciągających się w trzech rzędach jak okiem sięgnąć. Zupełnie tak, jakby to ręka wielkiego artysty rozłożyła je w krajobrazie uważnie i bardzo troskliwie.

Cudowne widoki w niegościnniej krainie.

- Nazywają je „Tysiąc oczu” - oznajmił Galielber Dorn. - Ziemia przy nich jest całkowicie jałowa. Przed nami nie ma żadnych osiedli. Nie ma nawet dzikich zwierząt, bo żadna żywa istota nie jest w stanie znieść tej czarnej wody. Pali skórę niczym ogień, a wypicie jej

oznacza śmierć.

Cztery dni później dotarli nad krawędź wijącej się, nieprawdopodobnie głębokiej rozpadliny, ciągnącej się na południowy wschód aż po horyzont, tam gdzie ziemia zbiegała się z niebem. W stojącym wysoko słońcu jej groźne, pionowe ściany lśniły złotym blaskiem.

- Rów Żmii - wyjaśnił Vroon. - Ma trzy tysiące mil długości, może więcej. Głębi nie da się zmierzyć. Jej dnem płynie rzeka o zielonej wodzie, ale chyba nikomu nie udało się jeszcze zejść po tych ścianach ma sam dół.

Przejeżdżali przez las drzew o długich, powyginanych kanciasto, czerwonych igłach grających na wietrze jak harfy. Widzieli miejsce, gdzie strumienie gorącej wody spadały z urwiska wysokiego na tysiąc stóp, i miejsce cynobrowych wzgórz i purpurowych parowów, przez które biegły nici pajęczyny mocne jak liny, i miejsce, gdzie szkarłatna, czysta energia wulkanu niezmordowanie biła w niebo z trójkątnego otworu w ziemi.

Wszystko to było na swój sposób fascynujące, zgoda, ale na tej wspaniałej ziemi nie spotykali nikogo. Rządziła nią przede wszystkim przerażająca cisza. Dantirya Sambail mógł być wszędzie... bądź nigdzie. Czy kontynuowanie tak beznadziejnego pościgu miało w ogóle jakiś sens? Prestimion zaczął powoli rozważać możliwość powrotu. Było z jego strony nieodpowiedzialnością podążać dalej wyłącznie z ciekawości. Na Zamku czekały go ważne sprawy, a te poszukiwania... nie zanosilo się na to, by mieli odnieść sukces.

I nagle udało im się dowiedzieć czegoś o uciekinierach.

- Dwaj mężczyźni na wierzchowcach? - spytał flegmatyczny wieśniak o płaskiej twarzy, mieszkający w osadzie ulokowanej na skrzyżowaniu dwóch dróg, którymi nie podróżował nikt. Odnalazł go Maundigand-Klimd. Nie sprawiał wrażenia zdziwionego tym, że nagle pojawił się przed nim Su-Suheris, ale też wydawało się, że nic nie jest w stanie go zdziwić. - Byli tu. Jeden wysoki, chudy, a drugi starszy, grubszy. Minęło dziesięć, dwanaście, może czternaście dni. - Wyciągnął rękę. - Jechali na wschód.

Wschód, wschód, zawsze wschód.

Droga wydawała się ciągnąć w nieskończoność.

Jechali dalej. Przynajmniej widoki były niezwykle piękne, powietrze nieskazitelnie czyste, pogoda łagodna, wiatry umiarkowane. Ziemia sprawiała wrażenie żyznej. Zachwycił każdy kolejny, złotozielony wschód słońca. Tylko że nie istniały tu miasta, wyłącznie rozrzucone rzadko maleńkie osady, odległe od siebie nawzajem o dziesiątki mil. Ich mieszkańcy otwierali usta ze zdumienia na widok wysoko urodzonych podróżnych i procesji ich błyszczących, ozdobionych emblematem rozbłysku gwiazd lataczy.

Przecież to nie do pomyślenia - powtarzał sobie Prestimion - by po tysiącach lat kolonizacji planety istniało na niej tyle wolnego miejsca i to nie na jakimś odludziu, lecz w odległości zaledwie kilku tygodni drogi od Zamkowej Góry. Wiedział, że ogromne połacie środkowego Zimroelu pozostają niezagospodarowane, ale widzieć te ogromne ziemie, pozostające niemal w cieniu Góry... nie tego się spodziewał,

nie oczekiwał niczego aż tak dziwnego. I zawstydzającego. Człowiek uczył się tu prawdziwego znaczenia słowa „przeźreń”; od tysięcy lat kolonizowany Majipoor nadal oferował aż nadto przeźreń na ekspansję.

Te ziemie z pewnością dałoby się zyskownie zagospodarować. Kolejny pomysł do zrealizowania w przyszłości - pomyślał. Jakby nie miał tylu planów na przyszłość.

Droga, którą jechali, szeroka, dobrze utrzymana, prosta, odchyłała się nieco na południe, choć nadal wiodła w kierunku wschodnim. Odległości dzielące wioski jeszcze się powiększyły, same wioski zaś składały się z krytych trzciną chatek, otoczonych niechlujnymi warzywnikami. Zielone łąki i lasy ustąpiły ciemnym plamom dzikiego pustkowia na północy i linii skalistych, błękitnych wzgórz na południu, zaś przed nimi otwierała się kraina zielonych traw, strumieni i małych jezior, cicha, spokojna, kusząca.

Były także oznaki świadczące o tym, że nie jest ona aż tak bukoliczna, jak mogłoby się wydawać. Nad ich głowami często przelatywały stada ciemnoskrzydłych drapieżnych ptaków, khestrabonów zapewne, lub nawet większych od nich i groźniejszych surastrenów, z długimi żółtymi szyjami wyciągniętymi na pełną długość i głodnymi ślepiami obserwującymi uważnie wszystko, co działo się poniżej. Od czasu do czasu widzieli, jak daleko, prawie na horyzoncie, nurkowały po dwa i trzy, zapewne po to, by porwać z ziemi jakieś bezradne stworzenie. Nie brakowało tu też przerażających owadów, żuków dwukrotnie większych od jaja thuvny, z sześcioma

długimi na cał rogamii na głowie, czarnymi kadłubami i sprawiającymi niesamowite, groźne wrażenie czerwonymi plamami na skrzydłach. Cała ich armia, na pół mili długa, pojawiła się pewnego ranka na poboczu drogi. Maszerowały w rzędach po pięć, klekocząc przeraźliwie wielkimi dziobami.

Gialaurys zapragnął poznać ich nazwę.

- To calderoule - powiedział Vroon. - W dialekcie wschodniego Alhanroelu oznacza to „plujące jadem”, bo podrażnione wyrzucają żrący kwas nawet na dziesięć stóp. Biada temu, którego trafią w usta lub nozdrza.

- Zdaje się, że to piękne miejsce nie jest tak urocze, jak mogłoby się zdawać - zauważył Abridant, a Prestimion przekazał kierowcom podążających za nimi lataczy rozkaz, by nikt z nich nie wysiadał, póki nie zostawią calderouli daleko za sobą.

Jeśli chodzi o powszechne tu rośliny, to w niczym nie przypominały one tych, do których Prestimion i jego towarzysze byli przyzwyczajeni. Confalume jako Koronał bardzo interesował się botaniką, podobnie jak wieloma innymi rzeczami i Prestimion często spacerował z nim po szklarniach, których kilka kazał wybudować na Zamku, podziwiając piękne i dziwne rośliny, sprowadzone ze wszystkich zakątków świata. Mijał czas i coś z tej pasji przeszło także na niego. Na jego prośbę Galielber Dorn nazywał wiele roślin, które wpadały im w oczy, niektóre nazywał księżycowym pnączem, inne carrionfury. Niskie, pękate chwasty nazywały się mikkusfleur, a białe pnie porośnięte owocami jak kule zielonego nefrytu to drzewa

kammoni. Być może Vroon wymyślał te egzotyczne nazwy, być może istniały one rzeczywiście, przyszedł jednak czas, kiedy zabrakło mu słów i na kolejne pytania ciekawskich, których coś szczególnie zainteresowało, odpowiadał wyłącznie wzruszeniem ramion.

Nadal jednak znał nazwy mijanych fenomenów natury, choćby zaskakującej Fontanny Win, gdzie, jak twierdził, stworzenia zbyt małe, by dostrzec je gołym okiem prowadzą naturalną fermentację w podziemnym zbiorniku, a gejzer wyrzuca ich produkt w powietrze pięć razy dziennie.

- Nie chciałbyś go pić, panie - przestrzegł Gialaurysa, który wyraził zainteresowanie tym zjawiskiem.

Były też Tańczące Wzgórza... Ściana Płomienia... Wielki Sierp... Sieć Klejnotów...

Jechali mila za milą. Mijały dni, mijały tygodnie. Podążali niezmiennie na wschód. Góra za ich plecami malała i nikła, znikły też wioski, które do tej pory pojawiały się przy drodze, choć coraz rzadziej, nie widzieli już niczego oprócz rozległych stepów porośniętych gęstą trawą o różnych odcieniach: kobaltowym, bordowym, indygo, kremowego pierwiosnka, szafranu, chartreuse.

- Jesteśmy już blisko Wielkiego Oceanu - powiedział w pewnym momencie Abrigant. - Przyjrzyjcie się, jak wygląda ta ziemia. I rośnie tu tylko trawa, jak na wilgotnym piasku. Morze musi już być blisko.

- Bardzo w to wątpię - burknął Gialaurys. Ekspedycja poszukiwawcza dawno przestała mu się podobać, uważał ją w najlepszym razie za lekkomyślną. Spojrzał pytająco na Vroona. -

Moim zdaniem od morza dzieli nas jeszcze rok drogi. Co do dnia. A ty jak sądzisz, mały?

- Och, morze, morze. - Galielber Dorn wydał przez dziób terkoczący odgłos, będący vroomskim odpowiednikiem uśmiechu. Pomachał mackami mniej więcej na wschód. - Morze jest daleko, bardzo daleko.

Trawiaste stopy skończyły się wkrótce, zastąpiła je kraina bladofioletowych granitowych wzgórz, w niczym nie przypominających typowego nadmorskiego krajobrazu, który po pewnym czasie ustąpił miejsca gęstemu lasowi drzew o grubych liściach, dających jaskrawe okrągłe owoce nieznanego im rodzaju, oblepiających każde wolne miejsce na gałęzi, wyglądających jak złote lampy wśród zielonej nocy.

Mimo manifestowanego głośnym burczeniem niezadowolenia Gialaurysa, nie był jeszcze gotów zrezygnować z pościgu za prokuratorem. Wszyscy zaczęli szukać Dantiryi Sambaila w snach. Był to często stosowany i czasami skuteczny sposób zdobywania informacji, gdy zawodziły wszystkie inne sposoby.

I rzeczywiście, nie musieli długo czekać na rezultaty. Mnóstwo rezultatów. Jak się szybko okazało, za wiele rezultatów. Abrigant, oddawszy się snom, poprzedzonym prośbą zaniesioną do Pani Wyspy, otrzymał jasną wizję prokuratora i jego zausznika, którzy zatrzymali się w wiosce niskich, okrągłych chat, krytych niebieską dachówką, stojących nad bystrym strumieniem. Obudził się przekonany, że od tego miejsca dzieli ich niespełna sześćdziesiąt mil i że powinni jechać

na zachód. Ale... Gialaurys także śnił o uciekinierach i ich obóz zobaczył na słodkiej łące, którą pozostawili za sobą, w tym miejscu, gdzie widzieli stada drapieżnych ptaków o żółtych szyjach. Przemawiający do niego głos powiedział wyraźnie, że przed wielu tygodniami wyprzedzili prokuratora nocą, nawet sobie tego nie uświadamiając i oddalili się od niego o wiele tysięcy mil na wschód, jeden z kapitanów Prestimiona, pochodzący z północnozachodniego Alhanroelu, Yeben Kattikawn, równie jak Gialaurys pewien był, że prokurator z Mandralisą podróżują skradzionym ścigaczem i właśnie docierają do brzegów jeziora Embolain o jedwabiste gładkich wodach, w tej części wschodniego Alhanroelu, o której wiedzieli wszyscy, choć nikt nie potrafił powiedzieć dokładnie, gdzie się znajduje. Sam Prestimion natomiast, zmagając się z problemem całą noc, przewracając się z boku na bok, obudził się przekonany, że Dantirya Sambail objechał ich przez Tańczące Wzgórza, które widział we śnie w najdrobniejszych detalach. Widział też ich latacz, przesuwający się szybko po niestabilnym grzbiecie wzgórz mniej więcej na północ. Mieli zamiar zatoczyć wielki łuk i objechać Zamkową Górę w drodze na przeciwległe wybrzeże.

Taki zbiór sprzecznych relacji nie był oczywiście żadną pomocą. W południe, kiedy zatrzymali się na odpoczynek w zagajniku wysokich paproci o szarych liściach i pniach porośniętych szkarłatnym futrem, Prestimion odciągnął na bok Maundiganda-Klimda i poprosił go o wyjaśnienie fenomenu różnorodnych snów. Su-Suheris, nie biorący udziału w ogólnym śnieniu, ponieważ jego

rasa nie szuka objawienia w ten sposób, odparł spokojnie, że podejrzewa czarnoksiężstwo.

- Sądzę, że to fałszywe tropy, zaszczerpione wam w głowach przez przeciwnika - powiedział. - Uciekinier może rzucić zaklęcia rozproszenia sprawiające, że tropiący go schodzą z właściwej ścieżki. Wasze sny zawierają wszystkie konieczne elementy i świadczą o tym, że prokurator rzucił właśnie takie zaklęcie, albo rozkazał komuś je rzucić.

- A ty? Jak sądzisz, gdzie jest w tej chwili?

Czarnoksiężnik natychmiast wszedł w trans, jego głowy złączyły się w porozumieniu i tak stał przed Koronalem na chwiejnych nogach, nie odzywając się słowem. Najwyraźniej przebywał teraz w innym świecie. Z południa wiał delikatny, słodki wietrzyk, zaledwie muskający liście paproci. Świat zamarł, cichy i nieruchomy, na chwilę wydającą się trwać nieskończoność. Nagle cztery oczy maga otworzyły się, patrząc jeszcze bardziej posepnie niż zazwyczaj.

- Jest wszędzie i nigdzie jednocześnie.

- A to znaczy...? - spytał z anielską cierpliwością Prestimion, nie mogąc doczekać się sensownego wyjaśnienia.

- Że daliśmy mu się oszukać. Jak dzieci. Jest jak podejrzewałem, sam prokurator lub mag na jego usługach zasiał zamieszanie nad wschodnimi prowincjami i ci, nieliczni, ludzie, których spotykaliśmy, tylko wyobrażali sobie, że widzieli uciekinierów. Informacje, które do tej pory otrzymywaliśmy, są bezwartościowe. Obawiam się, że obrazy ze snów Abriganta i Kattikawna też.

- Czy twój trans pozwala stwierdzić, gdzie jest?

- Obawiam się, że tylko to, gdzie go nie ma - odparł Su-Suheris. - Spodziewam się jednak, że twój sen będzie bliższy prawdy niż sen Gialaurysa: Dantirya Sambail zapewne wcale nie dotarł tak daleko. Zapewne udawał tylko ucieczkę na wschód, pozwolił nam myśleć, że zmierza ku brzegom Wielkiego Morza, a w rzeczywistości uciekał w zupełnie innym kierunku.

Prestimion kopnął gniewnie gąbczastą złotą ziemię.

- Od początku podejrzewałem, że to właśnie zrobi. Skieruje nas na bezludny, nieznany wschód, a potem zawróci gdzieś, ominie Górę i poszuka zachodniego portu, gdzie znajdzie transport na Zimroel.

- Wygląda na to, że tak właśnie postąpił, panie.

- Ale i tak znajdziemy go, gdziekolwiek jest. Mamy stu czarnoksiężników na jego jednego. Więc jesteś pewien, że nie ma go przed nami?

- Nie jestem pewien niczego, panie, ale nie wydaje mi się to prawdopodobne. I nie widzę sensu w dalszej jeździe na wschód. Intuicja, której ufam, mówi mi, że jest za nami i że z każdym dniem się od niego oddalamy.

- Oczywiście, póki jedziemy w złym kierunku. Jak widać, do tej pory ścigaliśmy senną marę.

Znikło ostatnie usprawiedliwienie kontynuowania podróży, pozostała tylko chęć podróży nieznaną krainą. A to nie wystarczało. Prestimion klasnął w dłonie.

- Gialaurysie! Abrigancie!

Podbiegli do niego obaj, a on wyjaśnił im, czego dowiedział się od Maundiganda-Klimda.

- I świetnie. - Gialaurys uśmiechnął się z satysfakcją. - Zaraz poinformuję wszystkich, że wracamy na Górę.

Abrigant dzielnie bronił swej koncepcji wioski krytych błękitną dachówką chat, odległej o zaledwie sześćdziesiąt mil, ale Prestimion doskonale wiedział, że głupotą byłoby ściganie kolejnego wytworu wyobraźni. Nie bez smutku zrezygnował z przygody i pozwolił Gialaurysowi zarządzić odwrót.

*

Tego wieczoru zatrzymali się na nocleg w lesie. Z wilgotnej ziemi wstawała fioletowa mgła, zmieniając kolor szarych, napływających o zachodzie chmur na fioletowy, zaś nachylające się słońce przeświecało liście, nadając im magiczną barwę przezroczystej czerwieni. Prestimion długo stał patrząc na zachód, w owo dziwne światło, aż wreszcie słońce znikło za daleką Zamkową Górą i ze wschodu nadbiegła na niego ciemność, zrodzona z dalekiej krainy na wybrzeżu Wielkiego Morza, którego ogromu, był o tym przekonany, nie będzie mu dane ujrzeć.

A jednak ujrzął go zaledwie kilka godzin później, kiedy, gdy tylko zamknął powieki, objawił mu się sen jak żywy, z najdrobniejszymi szczegółami. We śnie tym nie zrezygnowali z pościgu, jechali na wschód, coraz dalej i dalej, i dalej, aż za ostatnią oznakę cywilizacji, osadę Kekkinkork, gdzie wydobywano błękitny morski szpat, użyty w dawnych czasach przez Lorda Pinitora do przyozdobienia murów

Bombifale. Tuż za Kekkinkork leżało Wielkie Morze, ukryte za grzbietami klifów, ciągnących się wzdłuż wybrzeża, na północ i południe daleko, jak okiem sięgnął, wspaniałą, pozornie nieskończoną barierą lśniącego, czarnego kamienia, przesywaną błyszczącymi żyłami białego kwarcu. Było w niej tylko jedno otwarcie, wąska drzazga przejścia, przez które przedzierał się blask poranka i w tym śnie Koronał pobiegł ku niej, zszedł na dół, spotkał oczekującą go falę przyboju, wszedł do różowej, łagodnie falującej wody, stał w oceanie, pokrywającym blisko połowę gigantycznej planety...

Śnił, że stoi na skraju świata.

Gdzieś tam, daleko, było też zachodnie wybrzeże Zimroelu. Nieprawdopodobnie daleko, ukryte za linią horyzontu. Patrzył przed siebie starając się, bezskutecznie, uświadomić sobie ogrom przestrzeni, dzielącej go od drugiego brzegu. Ludzki umysł nie był w stanie jej ogarnąć. Ogarniał tylko wodę, jasnoróżową na piasku, dalej bladozieloną, jeszcze dalej turkusową i wreszcie nasyconą błękitem. Potem była już tylko szarość o odcieniu lazuru, niepostrzeżenie przechodząca w niebo.

Nie był w stanie uwierzyć, że jest gdzieś kres bezkresnego oceanu, choć racjonalna część umysłu podpowiadała mu, że musi być. Daleko, tak daleko, że do dziś nie zbudowano statku mogącego pokonać tę drogę. Przed nim naprawdę był kontynent, Zimroel, a dalej Morze Wewnętrzne, które wydawało mu się takie wielkie, kiedy, dawno temu, płynął z Alaisor do Piliplok, choć w porównaniu z tym oceanem miało rozmiar zaledwie sadzawki, a gdyby podróżować dalej na

wschód stanęłoby się wreszcie na brzegu Alhanroelu o tysiącu miast, Alhanroelu z jego Zamkiem, z jego Labiryntem, a on stał właśnie na brzegu Alhanroelu, na jego przeciwległym brzegu, patrzył w kierunku Zimroelu i nie pojmował dzielącej go od niego odległości...

- Prestimionie - rozległ się cichy głos.

Był to głos Thismet.

Obrócił się i zobaczył, jak wychodzi na piasek przez wąskie przejście w czarnych skałach klifu, jak biegnie ku niemu, uśmiecha się, wyciąga ręce. Ubrana była tak jak wtedy, w jego namiocie, stojącym w cichej Dolinie Gloyn, tuż przed ostatnią bitwą wojny domowej. Przybyła wówczas przyznać się do błędu, jaki popełniła zachęcając brata do sięgnięcia po koronę, ofiarować mu siebie, stać się jego narzeczoną, towarzyszką życia: śnieżnobiała suknia, a pod nią nic, tylko jej smukłe, piękne ciało, wokół którego słońce rysowało złote halo.

- Możemy popłynąć na Zimroel, Prestimionie - powiedziała. - Chciałbyś? Tak? To chodź.

Zrzuciła suknię; w jasnym blasku porannego słońca jej ciemne ciało płonęło w swej cudownej nagości niczym gładzony brąz. Patrzył na jej zgrabną, smukłą sylwetkę, przeniesiony w krainę zachwyty, zdumionymi oczami przesunął w dół, na wąskie ramiona, drobne twarde piersi, płaski brzuch i wspaniałe biodra, przechodzące w długie nogi.

Wyciągnął ku niej drżące dłonie... Ujęła je, splotła palce z jego palcami, ale nie przytuliła się do niego, lecz raczej przyciągnęła go do

siebie z siłą, której nie mógł, ale i nie chciał się przeciwstawić. Poprowadziła go głębiej, w morze. Woda otoczyła i obmyła ciało Prestimiona, ciepła, kojąca, łono matki z pewnością nie było bardziej komfortowe. Popłynęli na południe, pracując mocno, lecz pewnie. Thismet prowadziła, czarne włosy lśniły w promieniach poranka; płynęli godzinę za godziną, płynęli na kontynent zamykający ocean od przeciwnej strony, a ona tylko odwracała się co chwila, obdarzała go promiennym uśmiechem i zachęcającym gestem małej dłoni.

Prestimion nie czuł zmęczenia. Wiedział, że może tak pływać całe dni, tygodnie, miesiące.

Ale kiedy znów poszukał wzrokiem Thismet nie zobaczył jej, uświadomił też sobie nagle, że wiele czasu minęło od chwili, gdy widział ją po raz ostatni, że nie pamięta, kiedy to było.

- Thismet! - zawołał. - Thismet, gdzie jesteś!

Nie doczekał się odpowiedzi, słyszał tylko łagodny szum fal i wiedział, że został sam w mocy wielkiego oceanu.

*

Rankiem Prestimion nie odezwał się do nikogo ani słowem, umył tylko twarz w przejrzystej wodzie płynącego obok ich obozu strumienia, zjadł kawałek pozostawionego z kolacji, zimnego mięsa, a niedługo potem zlikwidowali obóz i rozpoczęli długi powrót na Zamek. I nikt nie mówił nic o snach, których doświadczył tej nocy oraz o porażce poszukiwań.

Nie wybiło jeszcze południe, a już do gabinetu Koronała zdążyło wpaść przynajmniej dziesięciu zabójców z obnażonymi mieczami. Septach Melayn wyeliminował ich wszystkich z właściwą sobie skutecznością. Zazwyczaj przybywali dwójkami i trójkami, choć w ostatniej grupie, tej sprzed pół godziny, było ich aż czterech.

Otrzymali niezapomnianą lekcję fechtunku.

Teraz Septach Melayn siedział z ponurą miną za biurkiem Prestimiona, pochylając się nad najnowszym, grubym plikiem urzędowych dokumentów czekających na jego podpis i czuł przemożną chęć pozbycia się jeszcze kilku napastników. Nie chodziło tylko o utrzymanie formy, choć i to miało znaczenie, ale przede wszystkim o pozostanie przy zdrowych zmysłach. Dawno temu Septach Melayn przysiągł, że będzie służył Prestimionowi we wszystkim, czego ten może od niego zażądać. Nie spodziewał się jednak, że skazuje się na wielotygodniowe uwięzienie w gabinecie Prestimiona na Zamku i wykonywanie jego najbardziej męczących obowiązków, podczas gdy prawdziwy Koronał podróżował po tajemniczych, wschodnich rubieżach nie tylko polując na Dantiryę Sambaila, ale przeżywając przy okazji wspaniałe przygody i podziwiając cuda świata.

Następnym razem, gdy Prestimionowi zachce się wyruszyć na wycieczkę, niech ktoś inny zostanie regentem - pomyślał Septach

Melayn. Choćby Gialaurys, albo Navigorn, albo Diuk Miaule z Hither Miaule, albo ktokolwiek - Akbalik, Maundigand-Klimd czy choćby ten nowy chłopak, Dekkeret.

Ktokolwiek. Byleby nie ja, myślał. Mam tego więcej niż dość. Jestem człowiekiem czynu, nie dla mnie biurka i papiery. Byłeś dla mnie niesprawiedliwy, Prestimionie.

Spojrzał na dokument z wierzchu stosu.

Rozporządzenie nr 1278, Rok 1 Pont. Confalume Kor. Lord Prestimion. Mając na uwadze, że rada miasta Morpin Niskie udowodniła ponad wszelką wątpliwość istnienie konieczności przeprowadzenia renowacji kanalizacji miejskiej przebiegającej pomiędzy Drogą Havilbove w centrum Morpin Niskiego do granie dzielnicy Siminave w mieście Frangior, a rada miasta Frangior uznaje wyżej wspomnianą renowację za niesprzeczną z jej interesami, postanawia się niniejszym, że...

Tak. Postanawiamy. Cokolwiek postanawiamy, postanówmy to niniejszym raz na zawsze. Nawet jeśli chodziło o wylewanie ścieków na główny plac Sipermit, Septacha Melayna to nie obchodziło. Czemu miałyby go obchodzić? Czemu, właściwie, miałyby obchodzić samego Koronala? Ze znużenia i zmęczenia zaczynał widzieć podwójnie. Nawet nie czytając reszty, niedbale podpisał dokument i odłożył go na bok.

Następny: Rozporządzenie nr 1279, Rok 1 Pont. Confalume'a...

Nie mógł już tego znieść. Wytrzymawał najwyżej pół godziny i musiał robić przerwę, bo wszystko się w nim buntowało.

- Cóż to? - huknął, unosząc wzrok. - Kolejni mordercy? Ha! Czy na świecie nie ma już szacunku dla urzędu?

Tym razem było ich pięciu, wszyscy smukli, o ostrych nosach i ciemnej skórze południowców. Septach Melayn zerwał się zza biurka. Już trzymał rapier, który cały czas miał pod ręką, już wprawiał go w ruch.

- Spójrzcie tylko na siebie! - wykrzyknął z pogardą. - Spójrzcie na swoje brudne buciory! Na te obdarte skórzane kurtki! Całe w tłustych plamach! Nie umiecie się nawet porządnie ubrać na wizytę w Zamku!

Zamachowcy ustawili się półkolem na całą szerokość pokoju. Zaczę od tego pod oknem - pomyślał Septach Melayn - i dalej, po kolei...

- Ha! - krzyknął. - Tak! - Raz, raz, raz: z satysfakcją przebił gardło zabójcy z blizną, który stał pod oknem, zawirował zgrabnie i wbił sztych w brzuch tego z czerwoną bandaną, który był na tyle uprzejmy, że wpadł na trzeciego, wyjątkowego brzydala, zmuszając go do zwrócenia się plecami do Septacha Melayna na dość długo, by cios z boku dosięgnął serca.

- Ach! Tak! Raz! - Raz, dwa, trzy. To było jak taniec, jak dziecinna zabawa. Pozostali dwaj zabójcy próbowali zaatakować jednocześnie, ale Septach Melayn był dla nich za szybki. Wykonał wypad w prawo, wbił pierwszemu ostrze na wysokości pasa, po czym zginając lewe kolano uniknął ataku drugiego napastnika, wyrwał rapier z ciała pierwszego, wydał bojowy okrzyk, obrócił się i...

Przerwało mu pukanie do drzwi i dobiegający z korytarza głos:

- Mój panie! Septachu Melaynie! Panie, czy wszystko jest w porządku?

Niech to. To ten starzec, Nilgir Sumanand, sekretarz i majordomus Prestimiona.

- Oczywiście, że wszystko w porządku - powiedział Septach Melayn. - A cóż myślałeś?

Szybko wrócił za biurko i schował rapier. Poprawił niesforny lok, który opadł mu na twarz. Sięgnął po rozporządzenie nr 1279 i udawał, że uważnie je studiuje.

Nilgir Sumanand zajrzał przez uchylone drzwi.

- Wydawało mi się, że z kimś rozmawiasz, panie, chociaż wiedziałem, że nikogo tu nie ma - rzekł. - Słyszałem też krzyki, albo tak mi się zdawało. I takie dziwne dźwięki, jakby ktoś chodził po pokoju. I szamotaninę. Ale widzę, że jesteś sam. Na miłość Bogini, Septachu Melaynie! Musiałem paść ofiarą swojej wyobraźni.

Nie ty, pomyślał ponuro Septach Melayn, ja. Wyraźnie widział zakrwawione ciała martwych napastników, choć wiedział, że majordomus nie może ich zobaczyć.

- Słyszałeś - powiedział - jak regent uprawia ćwiczenia. Nie przywykłem do siedzącego trybu życia. Wstaję więc co godzinę i ćwiczę, rozumiesz? Żeby nie zardzewieć. Szybka finta, cięcie, małe wprawki nadgarstka, ramienia i oka. Czego sobie życzysz, Nilgirze Sumanandzie?

- Już południe, czas na spotkanie.

- A jakież to spotkanie?

Nilgir Sumanand wyglądał na zaskoczonego.

- Ależ, panie, chodzi o transmutację metali. Trzy dni temu postanowiłeś, że spotkasz się ze specjalistą dzisiaj w południe.

- Ach. Zaiste, postanowiłem. Pamiętam.

Niech to. Niech to, niech to, niech to...

Chodziło o alchemika, który twierdził, że potrafi wytworzyć metal z węgla. Znów piekielne zawracanie głowy, pomyślał, krzywiąc się Septach Melayn. To był pomysł Abriganta, nie Prestimiona. Nie wystarczy pracować za Koronala, trzeba też zajmować się interesami jego brata. Abrigant pojechał z Prestimionem na wschód, a ponieważ nikt nie wiedział, kiedy wrócą, pod ich nieobecność wszystkie dziwne sprawy spadły na barki Septacha Melayna. A ten ostatni brzmiał jak mrzonka - kto słyszał o przemienianiu w cenny metal bezużytecznego węgla? Jednak regent obiecał, że poświęci alchemikowi odrobinę swego cennego czasu.

- Niech wejdzie, Nilgirze Sumanandzie.

Majordomus odsunął się, pozwalając wejść gościowi.

- Chwała wielkiemu panu, Septachowi Melaynowi - powiedział gość uniżenie i wykonał głęboki, choć niezdarny ukłon.

Septach Melayn poczuł niesmak. Przed nim stał Hjort! Tego się nie spodziewał: Hjorta o wielkim brzuchu i szarej skórze, pokrytej naroślami przypominającymi kształtem i rozmiarem rzeczne kamyki, krótkich nóżkach, z błyszczącymi, wyłupiastymi, jakby rybimi oczyma. Septach Melayn nie przepadał za Hjortami. Wiedział, że to źle, że byli obywatelami jak wszyscy inni, w sumie porządnymi i ich

paskudny wygląd nie był ich winą. Gdzieś w kosmosie musiała istnieć cała planeta pełna Hjortów i jej mieszkańcy na pewno mieliby Septacha Melayna za coś ohydneho. Mimo to, czuł się w ich towarzystwie źle. Irytowali go. Ten akurat Hjort, ubrany ze szczególnym przepychem w obcisłe, czerwone spodnie, ciemnozielony dublet ze szkarłatną lamówką i rodzaj peleryny z fioletowego pluszu, sprawiał wrażenie, że z dumą podkreśla własną brzydotę. Nie wyglądało na to, by przebywanie w prywatnym gabinecie Lorda Koronała czy w obecności Wysokiego Doradcy Septacha Melayna robiło na nim szczególne wrażenie.

Jako osoba prywatna wysokiego stanu, Septach Melayn mógł dowolnymi uczuciami darzyć przybyszy z innych światów. Ale jako regent Koronała Majipooru wiedział, że musi okazywać szacunek wszystkim obywatelom, czy to Hjortom, Skandarom, Vroonom czy Liimenom, Su-Suherisom, Ghayrogom i innym. Powitał Hjorta - którego imię brzmiało Taihjorklin - i poprosił go, by wyjaśnił szczegóły swych badań, jako że nieobecny Abrigant nie pozostawił mu zbyt wielu informacji.

Hjort klasnął w pulchne dłonie, przywołując dwóch asystentów - należących do jego rasy - toczących sporych rozmiarów wózek, zastawiony przyrządami, tablicami, pergaminami i innymi szpargałami. Wyglądało, że był przygotowany na długą prezentację.

- Musisz zrozumieć, panie, że wszystkie rzeczy nieustannie łączą się i rozdzielają, a jeśli zdoła się zgłębić rytm tych podziałów, można także odtworzyć połączenia. Albowiem niebo daje, a ziemia

otrzymuje, gwiazdy dają, a kwiaty otrzymują, ocean daje, a ciało otrzymuje. Mieszanie się i łączenie są częścią wielkiego łańcucha istnienia, harmonii gwiazd i...

- Tak - przerwał Septach Melayn - książe Abrigant wyjaśnił mi już te i inne filozoficzne zagadnienia. Bądź tak dobry i pokaż mi, jak udaje ci się zamienić węgiel w metal.

Szorstkość Septacha Melayna tylko trochę zbiła Hjorta z tropu.

- Mój panie, osiągnęliśmy nasz cel, używając wielu naukowych metod, takich jak kalcynacja, sublimacja, rozpuszczanie, spalanie i łączenie eliksirów. Jestem gotów opowiedzieć szczegółowo o każdej z tych metod, jeśli sobie tego życzysz, mój panie.

Nie słyszał zachęty, ale mówił dalej, prezentując po kolei zawartość wózka.

- Musisz zrozumieć, panie, że wszystkie substancje składają się z metalu i niemetalu w różnych proporcjach. Naszym zadaniem jest zwiększyć zawartość tego pierwszego, zmniejszając zawartość drugiego. Jako katalizatorów używamy zarówno płynów korodujących i płynów palących. Naszymi głównymi odczynnikami są zielony wiotriol, siarka, siarczek arsenu i różne aktywne sole, zwłaszcza sal hepatica i salmiak, choć istnieje wiele innych. Pierwszym krokiem, mój panie, jest kalcynacja, czyli pozbowienie materii substancji lotnych. Po niej następuje rozpuszczanie, czyli działanie destylatów naszych substancji aktywnych na substancje suche, po którym indukujemy rozdzielenie i następnie połączenie, polegające na...

- Pokaż mi metal wyprodukowany w tym procesie, jeśli łaska - powiedział Septach Melayn wcale grzecznie.

- Ach. - Podobna do balonu membrana na gardle Taihjorklina nadeła się niepokojąco. - Oczywiście. Metal. Oto on, mój panie.

Hjort odwrócił się, podniósł z wózka delikatny kawałek jasnego drutu, cienkiego jak włos i nie dłuższego od palca i pokazał go Septachowi Melaynowi teatralnym gestem.

Regent obejrzał go chłodno.

- Spodziewałem się przynajmniej sztaby.

- Sztaby pojawią się w swoim czasie, mój panie.

- Ale obecnie to wszystko, czym dysponujesz?

- To, co tutaj mam, to niemałe osiągnięcie, wasza miłość. Ale proces jest dopiero rozpoczęty. Poznaliśmy jego ogólne zasady, jesteśmy gotowi kontynuować. Potrzebujemy wiele sprzętu, by móc rozpocząć produkcję na dużą skalę. Konieczne są choćby piece, destylatory, sublimatoria, spalarki, tygle, zlewki, ekstraktory refluksacyjne...

- I wszystko to, jak rozumiem będzie kosztowało dużo pieniędzy?

- Konieczne będzie znaczne dofinansowanie, to fakt. Ale nie ma wątpliwości, że odniesiemy sukces. W końcu będziemy wytwarzać potrzebne ilości metalu z podstawowych substancji tak, jak rośliny wytwarzają substancje odżywcze z powietrza, wody i gleby. Albowiem wszystko jest jednym i jedno jest wszystkim, i jeśli nie ma się jednego, wtedy wszystko jest niczym, ale z odpowiednią wiedzą największe staje się najmniejszym i najmarniejsze urasta do wielkości,

i osiągnięcie wszystkiego staje w zasięgu ręki. Posiadamy substancję, która umożliwia wszystko. Substancja ta, zapewniam cię, mój panie, jest niczym innym jak suchą wodą, której przez tyle czasu szukało tak wielu, a którą ja sam wreszcie...

- Sucha woda?

- Ona właśnie. Wielokrotna destylacja zwyczajnej wody, sześćset, siedemset destylacji usuwa wilgotność, o ile do substratu w odpowiednich momentach procesu dodawane są szczególne, niezmiernie suche substancje. Pozwól, że zaprezentuję, mój panie.

Taihjorklin sięgnął za siebie i podniósł z wózka zlewkę.

- Proszę, wasza miłość, oto sucha woda. Ta świetlista, biała substancja, podobna do soli.

- Masz na myśli ten łuskowaty osad na ściance zlewki?

- Nie inaczej. To czysty żywioł, esencja suchości zamknięta w materii. Z podobnych składników tworzy się eliksir transmutacji, przezroczysty, lśniący czerwony, który...

- Tak. Dziękuję ci - powiedział Septach Melayn.

- Mój panie?

- Przekażę szczegóły dzisiejszego spotkania Koronalowi, kiedy tylko powróci. Jedno jest wszystkim, powiem mu. Wszystko jest jednym. Jesteś mistrzem kalcynacji i spalania, a tajemnica suchej wody jest dla ciebie dziecinną igraszką. Z odpowiednim dofinansowaniem jesteś w stanie z piasków Majipooru wydobyć nieskończony zapas cennych metali. Czy dobrze zrozumiałem, mości Taihjorklinie? Doskonale. Sporządzę więc raport, a Koronal podejmie

odpowiednią decyzję.

- Mój panie... Dopiero zacząłem wyjaśniać...

- Dziękuję, mości Taihjorklinie. Skontaktujemy się z tobą.

Wezwał Nilgira Sumananda. Hjorta i jego asystentów wyprowadzono z pokoju.

Phi, pomyślał Septach Melayn, kiedy wyszli. Jedno jest wszystkim! Wszystko jest jednym!

Olbrzymia liczba czarodziejów, egzorcystów, geomantów, haruspików, taumaturgów, zaklinaczy i wszelkiego rodzaju handlarzy przesądami, którzy rozprzestrzenili się po świecie od czasów jego dzieciństwa, wydawała się Septachowi Melaynowi wystarczająco nieciekawa. Ale okazało się, że jeden transmutator metali mógł wymyślić więcej bzdur niż wszyscy oni razem wzięci.

Ale to był problem Prestimiona - kiedy tylko, o ile w ogóle, raczy wrócić z wyprawy na wschód. On i Abrigant mogli sobie zatrudniać tysiące transmutatorów tygodniowo, jeśli tylko mieli taki kaprys. To nie jest problem Septacha Melayna.

Jego problem polegał na tym, że regencja powoli doprowadzała go do szaleństwa. Może zabicie jeszcze kilku morderców pomoże mu się uspokoić? Sięgnął po rapier. Spojrzał spode łba na nową grupę napastników, która wdarła się do gabinetu.

- Cóż to, sześciu naraz? Wasza bezczelność nie zna granic, psy! Pozwólcie jednak, że dam wam krótką lekcję fechtunku. Patrzcie! To nazywa się kalcynacją! Oto spalanie i sublimacja! Ha! Mój rapier pokryty jest suchą wodą! Jego bezlitosne ostrze przemienia jedno we

wszystko i wszystko w jedno. Raz! Transmutuję cię! Raz! Raz! Raz!

*

Plan na popołudnie był napięty. Na początek spotkanie z Volgazem Sarem, oficjalnym delegatem Pontifexa w Zamku. Był to pogodny mężczyzna w średnim wieku, o jasnej skórze i zdrowym wyglądzie, sprawiający wrażenie zachwyconego, że wyrwał się z ponurych głębi Labiryntu, gdzie całe dotychczasowe życie spędził w służbie Pontifexowi. Pochodził z Sippulgar, słonecznego miasta złotych budynków, położonego na dalekim wybrzeżu Aruachozji i, jak wielu południowców, miał lekki, przyjemny sposób bycia, który podobał się Septachowi Melaynowi. Dzisiaj jednak Vologaz Sar wydawał się zaniepokojony przedłużającą się nieobecnością Lorda Prestimiona na Zamku. Wyraził niezrozumienie faktu, że nowy Koronał spędza tak wiele czasu w podróży, a tak mało w stolicy.

- Jak rozumiem, tym razem Lord Prestimion podążył na wschód - powiedział. - To raczej niespotykane. Koronał może chcieć pokazać się swoim poddanym, ale komuż może pokazać się na wschodzie?

Pili łagodne, niebieskie wino z południa, które rzadko eksportowano do innych prowincji. Niezwykle miło ze strony Volgaza Sara, że zdecydował się przynieść tak wspaniały podarek, pomyślał Septach Melayn. Delegat Pontifexa był w każdy calu człowiekiem z klasą i gustem. Widać to było choćby w jego stroju. Vologaz Sar odziany był znakomicie, w długą, niezwykle białą, bawełnianą szatę, wyszywaną w abstrakcyjne wzory w stylu okolic Stoienzar, narzuconą na tunikę z ciemnofioletowego jedwabiu, oraz pończochy w

jaśniejszym odcieniu fioletu. Z ramion zwisała mu czarna, aksamitna opończa. Wiszący na jego piersi złoty znak Labiryntu, oznaka przynależności do Pontyfikatu, ozdobiony był trzema maleńkimi szmaragdami niezwykle ciemnej barwy. Septach Melayn uznał ten strój za wielce gustowny. Podobne przywiązanie do detali zawsze budziło jego podziw.

Napełnił kielichy i rzekł, ostrożnie dobierając słowa:

- Podróż na wschód nie jest częścią oficjalnej procesji. Koronala wezwały sprawy wielkiej wagi.

Delegat Pontifexa ponuro skinął głową.

- Ach, rozumiem.

Jakże mógłby rozumieć? Oczywiście, Vologaz Sar był zbyt dobrze wychowany, by nie zmienić tematu. Po krótkiej pauzie powiedział:

- A gdy wróci, cóż wtedy? Czy czekają go inne ważne sprawy, inna podróż?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Czy Pontifex jest poważnie zaniepokojony częstą nieobecnością Lorda Prestimiona?

- Poważnie zaniepokojony? - powtórzył spokojnie Vologaz Sar. - Ależ nie, „poważne zaniepokojenie” to niezbyt szczęśliwy termin.

- A więc...?

Na chwilę zapadła cisza. Septach Melayn siedział nieruchomo i z uśmiechem czekał, aż delegat jego wysokości przejdzie do rzeczy.

Po chwili przemówił, tonem łagodnym, ale zauważalnie poważniejszym:

- Czy kwestia wizyty Lorda Prestimiona w Labiryncie celem

złożenia hołdu jego imperialnej wysokości została już omówiona?

- Tak, wizyta znajduje się w naszych planach.

- Wolno mi spytać, czy znana jest przybliżona data?

- Póki co, nie - odparł Septach Melayn.

- Ach, rozumiem. - Vologaz Sar w zamyśleniu pociągnął łyk wina.

- Jest wieloletnią tradycją, że nowo mianowany Koronał odwiedza Pontifexa stosunkowo szybko, celem otrzymania formalnego błogosławieństwa i przedstawienia planów legislacyjnych, jeśli takowe posiada. Może fakt ten został przeoczony, w końcu tak dawno nie mieliśmy zmian pośród Potęg Świata. - Jego ton stał się jeszcze poważniejszy, ale zmiana ta była niemal niezauważalna, wciąż mówił lekko i serdecznie. - Pontifex jest, bądź co bądź, zwierzchnim monarchą i nominalnym ojcem Koronała. Jak dowiedziałem się od Diuka Oljebbina, Confalume wspominał ostatnio, że miał raczej sporadyczny kontakt z Lordem Prestimionem.

Septach Melayn powoli zaczął rozumieć.

- Czy można rzec, że jego wysokość jest niezadowolony?

- To byłyby zbyt mocne słowa. Jednak jest niewątpliwie zdumiony. Darzy Lorda Prestimiona afektem, jak rozumiesz. Nie muszę chyba wspominać, że gdy sam był Koronałem, myślał o nim wręcz jak o własnym synu. Teraz zaś jest całkowicie pominięty - abstrahując od kwestii konstytucyjnych, to sprawa zwykłej uprzejmości, nieprawdaż?

Bardzo miło powiedziane. Septach Melayn czuł jednak, że wkraczają w rejony poważnej dyplomacji. Znowu nalał wina.

- Zapewniam, że nieuprzejmość nigdy nie była naszym celem. U

progu swojego panowania Koronal musiał uporać się z pewnymi nader trudnymi sprawami. Uznał, że należy zrobić to natychmiast, a dopiero potem pozwolić sobie na przyjemność odwiedzenia swego ojca, Pontifexa.

- Sprawy te są tak trudne, że postanowił nie przedstawiać ich Pontifexowi? Jak oczywiście wiesz, powinni rządzić wspólnie. - To było, ponad wszelką wątpliwość, upomnienie, choć wyrażone nader uprzejmie.

- Nie jest w mojej mocy cokolwiek tutaj wyjaśnić - powiedział Septach Melayn, ostrożnie odpowiadając uprzejmością na uprzejmość, jednak czuł, że rozgrywa się tu walka na najwyższym poziomie. - To sprawa między Lordem Prestimionem a Pontifexem. Jego wysokość, mam nadzieję, ma się dobrze?

- Dość dobrze, owszem. Jak na kogoś w jego wieku ma ogromnie dużo energii. Myślę, że Lord Prestimion może spodziewać się długich lat rządów jako Koronal, nim zasiądzie w Labiryncie.

- Koronal będzie uradowany tą informacją. Darzy jego wysokość najszczerzą miłością.

Zmiana pozycji Volgaza Sara zasugerowała, że poruszać będzie najważniejsze kwestie, choć słodki ton jego głosu nie zmienił się ani o jotę.

- W najgłębszym zaufaniu wyznam ci, Septachu Melaynie, że ostatnimi czasy Pontifex był w dość ponurym nastroju. Nie wiem, jaka jest przyczyna, on sam nie umie tego wyjaśnić. Przemierza sektor imperialny Labiryntu, wyglądając na zagubionego, jakby nigdy

wcześniej tam nie był. Źle sypia. Ponoć ożywia się wielce na wieść, że ma gości, jednak na ich widok okazuje wyraźne rozczarowanie, jak gdyby wciąż czekał na kogoś, kto nigdy nie przybędzie. Nie próbuję powiedzieć, że na pewno chodzi o Prestimiona. To tylko domysły. Ciężko sądzić, że Pontifex spodziewa się Koronala bez uprzedniej zapowiedzi. Może po prostu przygnębiła go przeprowadzka z Zamku do Labiryntu. Po czterdziestu latach bycia Koronalem, życia w jasnym, wspaniałym Zamku w otoczeniu szlachty i dworu, nagle przenosiny do ciemnych głębi Labiryntu... Niejeden Koronal zniósł to ciężko. A Confalume, zawsze taki energiczny, towarzyski. .. Ogromnie zmienił się przez tych parę miesięcy.

- Wizyta Lorda Prestimiona mogłaby go więc rozweselić?

- Ponad wszelką wątpliwość - rzekł Vologaz Sar.

Septach Melayn nalał resztę niebieskiego wina i wraz z gościem wznieśli uprzejmy toast.

Wizyta dobiegała końca. Można było uznać ją za udaną, jednak uprzejmość Volgaza Sara nie pozostawiła miejsca na domysły. Prestimion unikał Confalume'a. Od wstąpienia na tron rządził, jak gdyby był monarchą absolutnym, a Confalume zdawał sobie z tego sprawę i był niezadowolony. A teraz rozkazał - tak, tylko tego słowa można użyć, rozkazał - by Prestimion niezwłocznie przybył do Labiryntu i ugiął kolano przed zwierzchnim monarchą, jak tego wymagał obyczaj.

Prestimion nie będzie tym zachwycony. Septach Melayn wiedział, że Confalume był jedyną osobą na świecie, której Koronal wolał

unikać.

Septach Melayn doskonale rozumiał - i zrozumie to też Prestimion - co działo się w głowie Pontifexa. Fakt, że Prestimion z premedytacją unikał wypełniania ceremonialnych obowiązków w Labiryncie był sprawą drugorzędną. Gośćmi, na których Confalume wciąż nieświadomie czekał i których nieobecność powodowała jego cierpienie, byli Thismet i Korsibar, dzieci z jego krwi, potomkowie, o których istnieniu nie miał już pojęcia. Ich nieobecność bolała Pontifexa tak, jak boli amputowana kończyna.

Szczególne to było cierpienie i na pewno ścisnęłoby się serce Prestimiona, gdyby się o nim dowiedział. Obecny Koronał nie spowodował śmierci Korsibara i Thismet w wojnie domowej, był to los, który sami sobie zgotowali, ale ponad wszelką wątpliwość to Prestimion wykradł Confalume'owi wspomnienia o zmarłych dzieciach. Była to kradzież, która samemu Prestimionowi musi wydawać się potworna i właśnie to poczucie winy sprawiło, że unikał smutnego, starego człowieka, jakim stał się teraz Confalume.

Nic nie można na to poradzić, pomyślał Septach Melayn. Wszystkie czyny mają konsekwencje, których nie można unikać w nieskończoność. Prestimion musi żyć ze świadomością tego, co spowodował. Nie mógł wiecznie unikać Labiryntu. Confalume był Pontifexem, a Prestimion Koronalem i najwyższy czas, by wypełnić rytuały związane z ich relacjami.

- Przekażę wszystko, co zostało tu powiedziane Lordowi Prestimionowi zaraz po jego powrocie - powiedział Septach Melayn,

odprowadzając delegata Pontyfikatu do drzwi.

- Jego wysokość będzie wdzięczny.

- Ja zaś wdzięczny będę jego delegatowi - odrzekł Septach Melayn

- jeśli podzieli się ze mną jedną informacją.

Vologaz Sar wyglądał na zbitego z tropu, jeśli nie lekko zaniepokojonego.

- Jaką informacją?

Septach Melayn uśmiechnął się. Na sprawach wielkiej wagi można skupiać się tylko przez jakiś czas. Postanowił, że jak najszybciej zatrze napięcie związane z tym spotkaniem.

- Jak brzmi nazwisko kupca - powiedział - który sprzedał materiał na tak wspaniałą szatę.

*

W planie na popołudnie miał jeszcze dwa spotkania, później był wolny.

Najpierw miał przybyć Akbalik, którego Prestimion, tuż przed wyjazdem mianował specjalnym wysłannikiem do odległego Zimroelu, pragnąc mieć w Ni-moya lojalnego człowieka, który wypatrywałby niepokojących zachowań zwolenników Dantiryi Sambaila. Akbalik był gotów wyruszyć w podróż. Miał stawić się w gabinecie Koronala, by Septach Melayn, jako regent, mógł podpisać jego dokumenty.

Ku zaskoczeniu Septacha, Akbalik przyprowadził ze sobą nowego rycerza kandydata Dekkereta, dużego, krzepkiego chłopaka, którego Prestimion odkrył podczas swojej podróży do Normork. Widać było,

że to pierwsza wizyta Dekkereta w apartamentach władcy, gdyż rozglądał się po wspaniałym pokoju z nieskrywanym podziwem, oglądał palisandrowe biurko, wielkie okno z widokiem na niebo i inkrustacje z rzadkiego drewna, tworzące na podłodze symbol rozbłysku gwiazd.

Septach Melayn rzucił Akbalikowi pytające spojrzenie. Nikt go nie poinformował, że przybędzie też Dekkeret. Wskazując na swojego towarzysza, Akbalik powiedział:

- Pomyślałem, że zabiorę go ze sobą na Zimroel. Jak sądzisz, czy Koronał miałby coś przeciwko temu?

Septach Melayn odparł złośliwie:

- Ach, więc tak szybko się zaprzyjaźniliście?

Akbalik nie wyglądał na rozbawionego.

- Nic z tych rzeczy, Septachu Melaynie, i dobrze o tym wiesz.

- O co więc chodzi? Czyżby ten chłopak już potrzebował wakacji? Dopiero rozpoczął szkolenie.

- I to właśnie byłaby część jego szkolenia - odparł Akbalik. - Zapytał mnie, czy może mi towarzyszyć i sądzę, że mogłoby mu to dobrze zrobić. Jak wiesz, młody kandydat powinien poznać świat poza Górą Zamkową. Doświadczyć podróży przez ocean, poczuć, jak ogromny jest nasz Majipoor. Zobaczyć miejsce tak spektakularne, jak Ni-moya. I popatrzeć, jak machina rządowa radzi sobie z tak olbrzymimi odległościami.

Odwracając się do Dekkereta, Septach Melayn powiedział:

- Olbrzymie odległości, tak. Czy zdajesz sobie sprawę, chłopcze,

że nie będzie cię przez dziewięć miesięcy, może nawet przez rok? Uważasz, że twoje szkolenie może tyle czekać?

- Lord Prestimion powiedział w Normork, że moje szkolenie powinno być przyspieszone. Taka podróż na pewno uczyni je szybszym, panie.

- Tak, zapewne tak. - Septach Melayn wzruszył ramionami. Czy Prestimionowi będzie przeszkadzało, jeśli chłopak zniknie na rok na Zimroelu? A skąd niby miał to wiedzieć? Tysięczny raz przeklął Prestimiona za zrzucenie na niego odpowiedzialności. Cóż, Prestimion sam uczynił go regentem, niech więc tak będzie, zrobi, co uważa za słuszne. Czemu zatrzymywać chłopaka tutaj? Jeśli pojedzie, będzie zawracał głowę Akbalikowi, nie jemu. Poza tym Akbalik miał rację: młody człowiek powinien dowiedzieć się czegoś o prawdziwym świecie.

Dekkeret patrzył na niego podejrzliwie. Septach Melayn uznał, że w jego pytającym, pełnym woli działania spojrzeniu było coś uroczo niewinnego. Pamiętał czasy, kiedy sam był chętny do działania. To było dawno temu, zanim postanowił skryć się za maską wytwornego lekkoducha, która teraz przestała być maską, a stała się istotą jego osoby. Patrząc na tego chłopaka dostrzegał powagę i siłę, które zobaczył w nim Prestimion.

Niech będzie, pomyślał. Niech jedzie na Zimroel.

- Doskonale. Twoje dokumenty są już gotowe, Akbaliku. Dopiszę tu tylko imię rycerza kandydata Dekkereta, i złożę parafę.

Już zazdrościł temu chłopakowi. Wyrwać się z Zamku, wyruszyć

w dalekie rejony królestwa, uciec choć na chwilę od politykowania i napełnić płuca świeżym powietrzem odległej krainy!

Zerknął na Dekkereta i powiedział:

- Jeśli łaska, pozwól, że udzielę ci drobnej rady. Jeśli nie będziesz zbyt zajęty w Ni-moya, powinieś wybrać się z Akbalikiem na północ, na bagna Khyntoru, i zapolować na stitmoje. Słyszałeś o stitmojach, prawda, chłopcze?

- Widziałem ich futra.

- Noszenie etoli z futra stitmoja to nie całkiem to samo, co spojrzenie temu zwierzęciu prosto w oczy. O ile mi wiadomo, stitmoj jest najbardziej niebezpiecznym stworzeniem świata. Piękna bestia: gęste futro, płonące ślepia. Sam na nie kiedyś polowałem, kiedy wybraliśmy się z Prestimionem na Zimroel. Wynajmuje się zawodowych myśliwych w Ni-moya i wyrusza daleko na północ, na bagna. To zimne, pokryte śniegiem miejsce, niepodobne do niczego, co kiedykolwiek widziałeś, pełne mglistych lasów i dzikich jezior pod niebem jak żelazny talerz. Tropi się tam watahę stitmojów, a to wcale nie jest łatwe, znaleźć białe zwierzęta na białym śniegu, i podchodzi się do nich bliźutko, z puginałem w jednej ręce i maczetą w drugiej...

Oczy chłopca aż błyszczały z podekscytowania, choć Akbalik sprawiał wrażenie mniej zachwyconego.

- Obawiałeś się, że jadąc ze mną Dekkeret zaniedba szkolenie. A teraz nagle chcesz, by biegał po Khyntorze i uganiał się w śniegu za stitmojami. Och, przyjacielu, nigdy nie umiałeś na długo zachować powagi!

Septach Melayn poczerwieniał. Zrozumiał, że stracił panowanie nad sobą.

- To również będzie częścią jego szkolenia - rzucił urażonym tonem i przybił swoją pieczęć pod dokumentami Akbalika. - Życzę wam obu udanej podróży. I, Akbaliku, wypuść go na tydzień do Khyntoru - dodał, kiedy wychodzili. - Cóż złego mogłoby się stać?

*

Książę Serithorn z Samivole był ostatnią osobą, z którą Septach musiał się tego dnia spotkać, a później mógł udać się do sali treningowej we wschodnim skrzydle na codzienny, popołudniowy trening szermierczy z jednym z oficerów gwardii. Codziennie ćwiczył inną bronią - rapierem, dwuręcznym mieczem, szablą z koszem, krótkim mieczem z Narabalu, palcatem, ketherońską piką - i z nowym przeciwnikiem, ponieważ tak szybko uczył się ruchów innych szermierzy, że więcej niż dwa, trzy sparingi z tą samą osobą nudziły go. Tego dnia jego przeciwnikiem miał być nowy, młody gwardzista z Tumbrax, imieniem Mardileek, ponoć dobry w szabli, zarekomendowany przez samego diuka Sparlisesa. Najpierw jednak trzeba było zmierzyć się z Serithornem.

Książę umówił się na audiencję u Septacha Melayna zaledwie dziś rano. Normalnie niemożliwym było załatwić widzenie z regentem w tak krótkim czasie, jednak dla Serithorna, największego spośród arystokracji Zamku, robiono wyjątek od tej reguły, podobnie jak od wszystkich innych. Poza tym, Septach Melayn, jak wszyscy, uważał Serithorna za osobę przyjemną i ciekawą. Nieistotne było, że po

długich deliberacjach poparł w wojnie domowej stronę Korsibara. Ciężko było długo chować urazę wobec Serithorna. A wojna nie była już nawet kwestią zamierzchłej historii, gdyż w ogóle do historii nie należała.

Zazwyczaj Serithorn spóźniał się na spotkania. Dziś jednak, z jakiegoś powodu, przybył punktualnie. Ciekawe czemu, zastanawiał się Septach Melayn. Serithorn ubrany był prosto i bez ostentacji, w rdzawą pelerynę narzuconą na ciemnofioletową tunikę i proste skórzane buty obrębione futrem. Najbogatszy obywatel Majipooru nie potrzebował obnosić się ze swym bogactwem. Może ktoś inny wybrałby krzykliwy kapelusz z szerokim rondem, z ozdobami z metalu i piór tiruvyna, ale księżę Serithorn nosił dziwną, sztywną, żółtą czapkę, wysoką i kwadratową, którą założyć mógłby liimeński handlarz kielbaskami. Zdjął ją właśnie i rzucił na biurko Koronala takim gestem, jakby znajdował się we własnym salonie.

- Jak rozumiem, przed chwilą był tu mój bratanek. Wspaniały chłopak z tego Akbalika. Duma rodziny. Słyszałem, że Prestimion wysłała go na Zimroel. Zastanawiam się, po co?

- Przypuszczam, że pragnie dowiedzieć się, jak miejscowa ludność zareagowała na wieść o nowym Koronalu. Zgodzisz się chyba, że to dobry pomysł, by Prestimion miał dostęp do najnowszych informacji o tamtejszych nastrojach.

- Tak, zapewne tak jest - i, wskazując gruby plik dokumentów na biurku, Serithorn dodał: - Ciężko pracujesz jak na takiego lekkoducha, prawda? Przedzieranie się przez te wszystkie papiery! Jestem pod

wrażeniem twojej nowo nabytej pracowitości, Septachu Melaynie.

- Niezasłużony komplement, książę Serithornie. Te dokumenty wciąż wymagają mojej uwagi.

- Ale im ją poświęcisz, jestem pewien! To godne podziwu, Septachu Melaynie! Ja sam, jak doskonale wiesz, jestem jak ty człowiekiem lekkiego ducha, a jednak widzę cię bohatersko zmagającego się z obowiązkami regenta dzień po dniu, podczas gdy ja nie umiem poświęcić się poważnym sprawom dłużej niż trzy minuty. Moje gratulacje są najszczerze.

Septach Melayn potrząsnął głową.

- Sądzę, że mnie przeceniasz. Siebie zaś nie doceniasz. Są na świecie ludzie głupi, ukrywający swoją głupotę pod płaszczkiem powagi czy chełpliwości. Ty jednak jesteś człowiekiem głębokim, udającym lekkoducha. I masz ogromny wpływ na królestwo. Przypadkiem wiem, że to ty zasugerowałeś Lordowi Confalume'owi wybór Prestimiona na swego następcę.

- Ja? Mylisz się, przyjacielu. Confalume odkrył zalety Prestimiona bez mojej pomocy, ja tylko udzieliłem swego poparcia, gdy zapytał mnie o zdanie. - Serithorn uniósł brew. Na usta wpełznął mu lekki uśmiech. - Człowiek głęboki, mówisz? Schlebia mi ta opinia, schlebia ogromnie. Szkoda, że to nieprawda. Może ty, przyjacielu, skrywasz głębię, bardzo to możliwe. Ja jednak jestem lekkoduchem do szpiku kości. Zawsze taki byłem, zawsze będę.

Duże, jasne oczy Serithorna przewiercały Septacha Melayna na wskroś, zaprzeczając wszystkiemu, co właśnie powiedział. W tym

człowieku kryją się nieprzebrane pokłady chytryści, pomyślał Septach Melayn.

Nie podjął jednak wyzwania. Z przymilnym śmieszkiem odparł:

- Wygląda na to, że obaj przeceniamy się wzajemnie. Mówisz, że jesteś lekkoduchem do szpiku kości? Doskonale: przyjmuję twoją opinię o samym sobie. Co się zaś tyczy mnie, proponuję przyjąć, że jestem tylko beztroskim kpiarzem, leniwym i wesoło usposobionym, nadmiernie kochającym drogie jedwabie, perły i dobre wino, którego jedynymi zaletami są pewna sprawność w fechtunku i głęboka lojalność wobec przyjaciół. Czy co do tego też możemy być zgodni? Możemy się tak umówić, Serithornie?

- Tak jest. Jesteśmy z tej samej gliny, Septachu Melaynie. Dwóch pustych kpiarzy. Masz więc moje najgłębsze współczucie, że Prestimion zmusił cię do zmagania z tymi biurokratycznymi bzdurami. Masz zbyt radosnego i beztroskiego ducha do tej roboty.

- To prawda. Na czas kolejnej podróży Koronala, ja pojedę z nim, a ty możesz być regentem.

- Ja? Ależ powołuję się na naszą umowę! Nie jestem ani trochę zdatniejszy do siedzenia za biurkiem od ciebie. Nie, niech to stanowisko obejmie stateczniejszy obywatel. Gdybym chciał wykonywać ciężką pracę Koronala, dużo wcześniej zapewniłbym sobie idące z nią w parze chwałę i zaszczyty. Jednak ani przez chwilę nie pragnąłem korony, Septachu, a powodem tego jest właśnie ta góra papierów na twoim biurku.

Septach Melayn wiedział, że Serithorn mówił teraz całkowicie

poważnie. Na pewno nie był tak niefrasobliwy, jak udawał, ale zawsze zadowalała go możliwość robienia, co mu się żywnie podobało i znajdowania blisko tronu, ale nigdy na nim. W jego żyłach płynęła krew wielu królów, nikt nie miał od niego lepszego pochodzenia, choć samo to nie mogło uczynić Koronalem. Co innego inteligencja i spryt, a tego Serithorn miał pod dostatkiem. Był w każdym calu królewski, poza jedną cechą: głębokim, z serca płynącym pragnieniem, by nie dźwigać brzemienia władzy.

Prestimion, który słyszał tę historię od swojej matki, opowiadał, że dziesiątki lat temu Lord Prankipin wprost zaproponował Serithornowi sukcesję, gdy sam obejmował urząd Pontifexa, lecz ksiązę miał odrzec: „Nie, oddaj tę robotę księciu Confalume’owi”. Ta historia mogła być prawdą. Nie było innego powodu, dla którego Serithorn nie zasiadł na tronie. A teraz, tyle lat później, Confalume jest Pontifexem po długich i wspaniałych rządach, a Serithorn nigdy nie był nikim więcej, jak tylko osobą prywatną, mile widzianą w kręgach władzy, lecz władzy całkowicie pozbawioną; wesołym, serdecznym człowiekiem, którego gładka twarz i łagodny styl bycia sprawiały, że wyglądał na dwadzieścia, trzydzieści lat młodszego, niż był w istocie.

- No cóż - powiedział po chwili Septach Melayn. - Skoro to już sobie wyjaśniliśmy, zdradzisz mi może, czy twoja wizyta ma jakiś szczególny powód? Czy jest czysto towarzyska?

- Twoje towarzystwo jest nader przyjemne, Septachu. Przyszedłem jednak w interesach. - Serithorn zmarszczył brew, a jego głos stał się poważniejszy. - Czy byłbyś tak uprzejmy i wyjaśnił mi, w

największym choćby skrócie, co dzieje się ostatnio pomiędzy Prestimionem i prokuratorem Ni-moya?

Septach Melayn poczuł, jak napięły się jego mięśnie. Tak bezpośrednio zadane pytanie w niczym nie przypominało typowego dla Serithorna, beztroskiego podejścia. Należało działać ostrożnie.

- Sądzę - powiedział - że najlepiej będzie, jeśli porozmawiasz o tym z Prestimionem osobiście.

- To właśnie bym zrobił, gdyby nie to, że go tu zabrakło. Postanowił wyruszyć w niekończącą się podróż po wschodnich rubieżach, nieprawdaż? A ty zajmujesz teraz jego miejsce. Septachu Melaynie, nie chcę sprawiać problemów, wręcz przeciwnie, chciałbym pomóc. Brakuje mi jednak podstawowych informacji, potrzebnych do właściwej oceny tego kryzysu - o ile „kryzys” jest w ogóle właściwym określeniem obecnej sytuacji. Chodzą wszakże słuchy, że podczas tygodnia koronacyjnego Dantiryja Sambail z jakichś przyczyn był uwięziony w tunelach Sangamora.

- Mógłbym temu oficjalnie zaprzeczyć.

- Mógłbyś, ale nie kłopotz się. Słyszałem tę historię od Navigorna, który mówił, że Prestimion powierzył mu dozór nad prokuratorem. Sam był tym faktem zaskoczony, podobnie jak my wszyscy. Czy możemy więc zgodzić się, że faktem jest, iż Prestimion przetrzymywał Dantiryję Sambaila w podziemiu podczas koronacji, a także po niej? Zapewne mając ku temu dobry i słuszny powód, o który chwilowo nie pytam?

- Można tak przyjąć, Serithornie.

- Dobrze. Zauważ, że mówiłem w czasie przeszłym. Prokurator jest teraz na wolności, prawda?

- Naprawdę chciałbym, żebyś skierował te wszystkie pytania do Prestimiona - powiedział Septach Melayn niepewnie.

- Nie wątpię, że chciałbyś. Proszę cię, przestań odpowiadać ciosem na cios, to nie pojedynek. Faktem jest, że Dantirya Sambail uciekł, a Prestimion wraz z Gialaurysem, Abrigantem i sporym oddziałem wojska błądzi gdzieś pomiędzy Zamkiem i Wielkim Morzem, licząc, że znów go pochwyli. Wiem o wszystkim, Septachu Melaynie. Nie ma sensu zaprzeczać. Teraz zapomnij, proszę, że pytałem o szczegóły niezgody pomiędzy Prestimionem i prokuratorem. Powiedz tylko, że ta niezgoda ma miejsce. Że w gruncie rzeczy ci dwaj są zajadłymi wrogami. Mam rację?

- Tak - powiedział Septach Melayn, kiwając głową i wzdychając - masz rację.

- Dziękuję. - Serithorn wyciągnął ze zwojów płaszcza kartkę papieru. - Jeśli Prestimion jeszcze o tym nie wie, sędzę, że powinienś go poinformować, że szuka w niewłaściwym miejscu.

- A szuka? - spytał Septach Melayn, na chwilę szeroko otwierając oczy ze zdumienia.

Serithorn uśmiechnął się.

- Jak wiesz, mam w swoim posiadaniu dość rozległe włości. Nieustannie otrzymuję sprawozdania od zarządców moich ziem w różnych częściach świata. To akurat przyszło od niejakiego Haigina Harthy, z miasta Bailemoona w prowincji Balimoleronda. Opisuje

wyjatkowo dziwne zdarzenie. Ponoć grupa obcych - Haigin Hartha nie pisze, jak liczna - została przyłapana na kłusowaniu na gambilaki na moich ziemiach pod Bailemoona. Kiedy mój łowczy ich upomniał, jeden z kłusowników oświadczył, że mięso potrzebne było Dantiryi Sambailowi, prokuratorowi Ni-moya, który odbywa wielki objazd tych ziem. Na to inny kłusownik... Czy cię nudzę, Septachu Melaynie?

- Bynajmniej.

- Sprawiałeś wrażenie nieobecnego.

- Myślałem.

- Ach. Wracając: inny kłusownik uderzył wtedy tego pierwszego w twarz, oświadczył mojemu łowczemu, że historia o prokuratorze była całkowicie zmyślona i że najlepiej będzie, jeżeli łowczy natychmiast wymaże ją z pamięci. Twierdził, że polowali wyłącznie na własny użytek. Zaproponował mojemu człowiekowi pięćdziesiąt koron, a ponieważ wszystko wskazywało na to, że alternatywą jest natychmiastowa utrata życia, łowczy pieniądze przyjął, a kłusownicy odjechali ze zwierzyną. Nieco później, Haigin Hartha - jak zapewne pamiętasz, mój zarządca w Bailemoonie - usłyszał od znajomego, że owego ranka na przedmieściach widziano kogoś bardzo podobnego do Dantiryi Sambaila, podróżującego z grupą ludzi. Tenże znajomy mojego zarządcy zastanawiał się, czy spodziewana jest oficjalna wizyta prokuratora w naszej posiadłości. Jak rozumiesz, Haigin Hartha mocno zaniepokoił się tą perspektywą. A w chwilę później pojawił się łowczy i opowiedział mu historię o kłusownikach i

łapówce. Co sądzisz o tym wszystkim, Septachu Melaynie?

- Wydaje mi się to dość jasne. Zastanawia mnie jednak ten kłusownik, który uderzył swojego towarzysza. Był może wysoki i szczupły, z kanciastą twarzą i paskudnymi oczami mordercy?

- Mówisz o przybocznym prokuratora? Wyjątkowo nieciekawym typem.

- Tak, Mandralisca. Zapewne podróżuje z Dantiryą Sambaiem. Czy ta historia ma ciąg dalszy?

- Nie. Haigin Hartha kończy sprawozdanie zapewnieniem, że prokurator nie zapowiadał żadnej wizyty i pyta, czy powinien się jej spodziewać. Oczywiście nie powinien. Czemu właściwie prokurator Ni-moya miałby odbywać wielki objazd po prowincji Balimoleronda, czy jakiegokolwiek części Alhanroelu?

- Wielki objazd to niewątpliwie błędna nazwa. Sądzę, że po prostu przejeżdża przez Balimolerondę w drodze na Zimroel.

- Z więzienia w Zamku? - łagodnie spytał Serithorn. - Jak rozumiem, jest zbiegłym więźniem?

- Wolałbym, gdybyś wstrzymał się z użyciem słów „więzienie” i „zbieg”, póki nie porozmawiasz z Prestimionem. Ale przyznam, że tak, Koronal faktycznie stara się ustalić miejsce pobytu Dantiryi Sambaila. A jako że Bailemoona znajduje się, o ile mi wiadomo, na południe od Góry Zamkowej, Prestimion nic nie znajdzie na wschodzie. W jego imieniu dziękuję ci za tę nader użyteczną informację.

- Naprawdę chciałbym pomóc.

- I pomogłeś. Dopilnuję, żeby Koronal dowiedział się o wszystkim

jak najszybciej. - Septach Melayn wstał, przeciągnął się i powiedział:

- Mam nadzieję, że wybaczysz mi, jeśli wyglądam na zmęczonego. Miałem ciężki dzień. Czy jest coś jeszcze, co chciałbyś omówić?

- Nie sędzę.

- W takim razie udam się na salę treningową, żeby odreagować całodzienny stres, wyżywając się na niewinnym gwardziście z Tumbrax.

- Doskonały pomysł. Sam zmierzam w tym kierunku, mogę ci towarzyszyć?

Wyszli razem. Serithorn, uroczy jak zawsze, dzielił się z Septachem Melaynem najświeższymi ploteczkami, gdy przemierzali labirynt Wewnętrznego Zamku, mijając budowle tak starożytne, jak balkony Vildivara, wieżę Lorda Arioka i warownię Stiamota, aż doszli do Dziewięćdziesięciu Dziewięciu Schodów, prowadzących do zewnętrznych rejonów eklektycznych zabudowań Zamku.

Dotarli w pobliże porażająco brzydkiej budowli z czarnego kamienia, którą Prankipin postawił we wczesnych dniach swojego panowania, by służyła za siedzibę Ministerstwa Skarbu. Tam Septach Melayn dostrzegł, że z przeciwnego kierunku zbliżała się intrygująco niedobrana para: wysoka, uderzająco atrakcyjna, ciemnowłosa kobieta w towarzystwie niższego, tęgiego mężczyzny, ubranego w lśniącą od cekinów i groteskowo wyszukanych brokatów szatę, wyglądającą jak błyszcząca parodia strojów dworskich. Jego widok też był uderzający, ale z zupełnie innych powodów, był bowiem wyjątkowo brzydki, a wzrok najmocniej przyciągała precyzyjnie ufryzowana góra siwych

włosów nad szerokim czołem.

Septach Melayn rozpoznał ich natychmiast. Był to finansista Simbilon Khayf, niewątpliwie idący mataczyć w Skarbcu, i jego córka, Varaile. Septach widział ich ostatni raz parę miesięcy wcześniej, w wielkiej posiadłości Simbilona Khayfa w Stee, kiedy przebrany w surowy strój kupiecki, ze złotymi włosami schowanymi pod brązową peruką i sztuczną brodą, odgrywał rolę wiejskiego idioty, by pomóc Prestimionowi w rozwiązaniu zagadki szaleńca, który podając się za Koronała terroryzował ruch rzeczny w mieście. Dzisiaj ubrany był dużo lepiej, jak przystało na Wysokiego Doradcę Królestwa. Jednak po długim, męczącym dniu ostatnią rzeczą, na którą miał ochotę, była konfrontacja z prostackim, wulgarnym wręcz Simbilonem Khayfem.

- Czy moglibyśmy tu skrócić? - spytał cicho Serithorna.

Za późno. Od Simbilona Khayfa i jego córki dzieliło ich może pięćdziesiąt stóp, gdy bankier ich wypatrzył i już wywrzaskiwał powitania.

- Książę Serithornie! Na wszystkie świętości, książę Serithornie, jak wspaniale cię znowu widzieć! I och! Patrz, Varaile, to Septach Melayn, Wysoki Doradca we własnej osobie! Panowie! Cóż za radość! - Simbilon Khayf podbiegł do nich tak spiesznie, że prawie potknął się o swój brokatowy płaszcz. - Musicie poznać moją córkę, panowie! Jest na Zamku pierwszy raz i obiecałem jej, że zobaczy wielkie rzeczy, ale nie spodziewałem się, że tak szybko natkniemy się na dwóch tak wspaniałych i znaczących panów jak Serithorn z

Samivole i Wysoki Doradca Septach Melayn!

Wypchnął Varaile przed siebie. Jej wzrok unosił się wyżej i wyżej, aż napotkał twarz Septacha Melayna. Dziewczyna westchnęła, zaskoczona. Przemówiła cichutko:

- Zdaje mi się, że już się widzieliśmy.

Zapanowała niezręczna cisza.

- To niemożliwe, moja pani. Musiała zajść jakaś pomyłka.

Nie odrywała od niego wzroku. Po chwili uśmiechnęła się.

- Nie sędzę - powiedziała. - Nie. Znam cię, panie.

- Staliśmy - powiedział Septach Melayn - tuż obok skarbcza Lorda Prankipina, ona, ja, Serithorn i ten jej wdzięczący się tatulek. Oczywiście upierałem się, że nie było możliwości, abyśmy spotkali się już wcześniej. Nic innego nie mogłem zrobić.

- A jak na to zareagowała? - spytał Prestimion.

Znajdowali się w prywatnych apartamentach w wieży Lorda Thrayma. Był to pierwszy dzień Prestimiona po powrocie ze wschodu. Długa i bezowocna podróż bardzo go wyczerpała, a ledwo zdążył się wykąpać i przebrać, już przybiegł do niego Septach Melayn, by opowiedzieć o wszystkim, co wydarzyło się pod jego nieobecność. A było o czym opowiadać! Najpierw abrigantowy Hjort czarnoksiężnik, który twierdził, że potrafi zamieniać śmieci w metal, później rzekome pojawienie się Dantiryi Sambaila opodal Bailemoony, Confalume, który skarży się, że Koronal go zaniedbuje, a do tego jeszcze historie o społecznych niepokojach i nowych przypadkach szaleństwa w kilku miastach.

Prestimion chciał natychmiast poznać szczegóły tych wszystkich zdarzeń. Jednak Septach Melayn wydawał się pochłonięty epizodem z córką Simbilona Khayfa.

- Wiedziała, że kłamię - mówił. - Tego nie dało się ukryć. Patrzyła mi w oczy, porównywała mój wzrost ze swoim, jasne było, że zastanawia się: „Gdzie widziałam takie oczy, gdzie widziałam

mężczyznę tak szczupłego i wysokiego?". Jeśli wyobraziła sobie perukę i sztuczną brodę, to ma już gotową odpowiedź. Przez moment myślałem, że będzie upierała się przy swoim i nalegała, że już się spotkaliśmy. Ale jej ojciec, który może i jest nieokrzesany, ale na pewno nie głupi, zrozumiał, co się zaraz wydarzy i nie chciał, żeby córka zarzuciła Wysokiemu Radcy kłamstwo, więc zaczął ją zagadywać. Zrozumiała aluzję.

- Ale podejrzewa prawdę i to może narobić kłopotów.

- O, nie tylko podejrzewa - rzucił lekko Septach Melayn. Uśmiechnął się i wykonał teatralny gest obiema dłońmi. Prestimion znał ten ruch aż za dobrze. Oznaczał on, że Septach Melayn zrobił coś po swojemu i prosi o wybaczenie, choć wcale nie żałuje. - Wezwałem ją następnego dnia i opowiedziałem jej wprost całą historię naszej przebieranki.

Prestimionowi opadła szczęka.

- Mówisz poważnie?

- Musiałem. Kobiety takiej jak ona nie można okłamywać, Prestimionie. A już na pewno nie wierzyłyby moim zaprzeczeniom.

- Spodziewam się, że powiedziałeś jej też, kim byli twoi dwaj towarzysze?

- Tak.

- Och, doskonale, Septachu Melaynie! Znakomicie! I ciekawe, co powiedziała, kiedy dowiedziała się, że gościła w salonie Koronała Majipooru, Wysokiego Doradcę i Wielkiego Admirala?

- Westchnęła z zaskoczenia. Mocno poczerwieniała. Sprawiała

wrażenie bardzo podekscytowanej. Wydaje mi się, że również lekko rozbawionej i może zadowolonej.

- Rozbawionej, tak? Zadowolonej?! - Prestimion wstał i zaczął chodzić po pokoju. Zatrzymał się przy oknie, wychodzącym na lekki most z lśniącego, różowego agatu, przeznaczony do wyłącznego użytku Koronała i prowadzący nad Dworem Pinitora z królewskich gabinetów do sal ceremonialnych w Zamku Wewnętrznym. - Chciałbym czuć się tak samo. Wyznam ci coś. Septachu Melaynie: nie widzę nic przyjemnego w fakcie, że Simbilon Khayf wie, że myszkowałem po Stee w jakimś operetkowym przebraniu i udawałem tępego sprzedawcę maszyn liczących. Zastanawiam się, jak wykorzysta tę informację.

- Nijak, Prestimionie. Nie ma o tym pojęcia i nigdy się nie dowie.

- Nie?

- Nie. Jego córka obiecała, że dochowa tajemnicę.

- I oczywiście dotrzyma słowa?

- Tak myślę. Dobrze zapłaciłem za jej milczenie. Ona i Simbilon Khayf zostaną zaproszeni na najbliższe formalne przyjęcie na dworze i oficjalnie ci przedstawieni. Przy tej okazji on zostanie odznaczony Orderem Lorda Havalbove'a lub innym, podobnym zaszczytem bez znaczenia.

Z gardła Prestimiona wyrwał się jakby skrzek, wyrażający niedowierzanie.

- Czy ty mówisz poważnie? Naprawdę chcesz, żebym pozwolił jakiemuś szkaradnemu klaunowi postawić stopę w królewskich

komnatach? Pozwolić mu stanąć przed tronem Confalume'a?

- Prestimionie, ja zawsze mówię poważnie... na swój sposób. Zamkniemy jej usta. Koronał i jego przyjaciele wybrali się na mały wypad do Stee i nikt nie musi o tym wiedzieć. Ona dotrzyma swojej części umowy, jeśli ty dotrzymasz swojej. Będziesz siedział na tronie, oni zbliżą się z wielką czcią, zrobią znak gwiazd, uśmiechniesz się, łaskawie przyjmiesz ich hołd i będzie po wszystkim. Simbilon Khayf do końca życia będzie zachwycony, że przyjęto go na dworze.

- Ale jak mogę...

- Posłuchaj mnie, Prestimionie. Uważam tę umowę za sprytną z trzech powodów. Po pierwsze, skoro chcesz ukryć naszą wycieczkę do Stee, to ją w ten sposób ukryjesz. Po drugie, Simbilon Khayf pożycza pieniądze połowie książąt z Zamku i prędzej czy później któryś z nich, pragnąc lepszych warunków lub przedłużenia spłaty, będzie próbował załatwić mu zaproszenie na dwór. I choć masz Simbilona Khayfa za pogardy godnego gbura, przystaniesz na to, bo prośba wyjdzie od kogoś tak wpływowego i użytecznego jak Fisiolo, Belditan czy mój kuzyn Dembitave. A tak, dasz Simbilonowi Khayfowi wstęp na dwór, który i tak by kiedyś otrzymał, ale na korzystnych dla ciebie warunkach.

Prestimion rzucił Septachowi Melaynowi ponure spojrzenie, ale musiał niechętnie przyznać, że argumenty przyjaciela nie były pozbawione logiki, choć cała sprawa wydawała mu się okropna.

- A trzeci powód? Mówiłeś, że są trzy.

- Przecież chcesz znowu zobaczyć Varaile, nieprawdaż? Oto masz

szansę. Jeśli będzie mieszkać w Stee, to równie dobrze mogłaby znajdować się miliony mil stąd. Może już nigdy w życiu nie odwiedzi Stee. Ale jeśli zamieszka w Zamku jako jedna z dam dworu, co możesz jej zaproponować w rozmowie po przyjęciu w sali tronowej...

- Zaczekaj no - powiedział Prestimion. - Troszkę się zagalopowałeś, przyjacielu. Skąd pomysł, że chcę ją znów zobaczyć?

- A nie chcesz? W Stee bardzo ci się spodobała.

- Skąd ten pomysł?

Septach Melayn roześmiał się.

- Nie jestem ślepy, Prestimionie. Ani głuchy. Nie mogłeś oderwać od niej wzroku. Przez pół pokoju było widać, jak na jej widok rozszerzają ci się źrenice.

- To impertynencja, Septachu. Przyznaję, jest atrakcyjną kobietą. Każdy to dostrzeże, nawet ty. Ale żebyś od razu sugerował, że... że ja...

Prestimion zaczął się jękać.

- Och, Prestimionie! - powiedział Septach Melayn, uśmiechając się do niego ciepło. - Prestimionie, Prestimionie! - W jego oczach był spryt, było zrozumienie, i nie przemawiał jak poddany do monarchy, ani nawet jak Wysoki Doradca do Koronala, lecz używał łagodnego tonu, właściwego rozmowom przyjaciół, którzy niejedną noc wspólnie przegadali.

Prestimion doznał wyrzutów sumienia. Nie mógł ich w żaden sposób odpędzić. Fakt pozostawał faktem, tamtego wieczora w Stee

wpatrywał się w Varaile z głęboką fascynacją. Jej piękno wywołało w nim dreszcz aprobaty. Może nawet pożądania.

Śnił o niej. Nie raz.

- Wkraczamy w rejony - powiedział po dłuższej przerwie - gdzie nie jestem pewien znaczenia własnych uczuć. Błagam cię, Septachu Melaynie, odłóż na razie ten temat. Powinniśmy omówić historię Serithorna o Dantiryi Sambailu.

- Navigorn jest w posiadaniu najnowszych informacji na ten temat. Właśnie do nas idzie. Pozwolisz Simbilonowi Khayfowi i jego córce na audiencję? Dałem słowo.

- Tak, Septachu Melaynie! Niech ci będzie. Gdzie się podziewa ten Navigorn!?

*

- Najprawdopodobniej znajduje się w tej okolicy - powiedział Navigorn. Przyniósł ze sobą mapę, półkulę z cienkiej, białej porcelany, na której na niebiesko, żółto, różowo, fioletowo, ciemnozielono i brązowo wymalowano szczegóły topografii. Ten rodzaj mapy wyposażony był w podświetlane elementy i tę właśnie funkcję włączył Navigorn.

W dolnej części kontynentu alhanroelskiego pojawiły się ognistoczerwone punkty, połączone jasnozielonymi liniami.

- To Bailemoona, na południe i nieco na wschód od Labiryntu - powiedział, wskazując najjaśniejszą czerwoną kropkę. - Nie ulega wątpliwości, że tam go widziano. Nie tylko ktoś podobny do Dantiryi Sambaila znalazł się w pobliżu ziem Serithorna mniej więcej w czasie,

kiedy przyłapano kłusowników, ale i jeden z jego ludzi wyznał, że kradł mięso dla Dantiryi Sambaila.

- Na wschodzie też widziano go wielokrotnie - wspomniał Abrigant. - Był wszędzie. Wszystko to okazało się pułapką, zastawioną przez magów prokuratora, by nas zmylić. Czemu uważasz, że tym razem to nie jest magia?

Navigorn skrzywił się. Prestimion spojrzał prosząco na Maundiganda-Klimda, który powiedział:

- Nie ma wątpliwości, że prokurator przez jakiś czas przebywał na wschodzie. Wierzę, że wieśniacy z okolic Vrambikat widzieli go naprawdę. Jednak większość doniesień, które pchały nas naprzód, była złudzeniem spowodowanym przez zaklęcia i sny, a nie zeznaniami naocznych świadków. Kiedy my goniliśmy za nimi, prokurator wycofał się do centralnego Alhanroelu, a nam pozostało chwywanie stworzonych przez niego mar. Sądzę, że raport z Bailemoony jest autentyczny.

Abrigant nie wyglądał na przekonanego.

- Mówisz nam, że jedno sprawozdanie było złudzeniem, a to jest prawdą. Nie masz jednak żadnego dowodu.

Wcześniej przemawiała lewa głowa Su-Suherisa. Teraz prawa powiedziała spokojnie:

- Jestem obdarzony darem podwójnego widzenia. Raport z Bailemoony brzmi dla mnie prawdziwie, więc postanowiłem dać mu wiarę. Nie musisz się ze mną zgadzać.

Abrigant burczał pod nosem, wymyślał jakąś odpowiedź, ale

Navigorn, głosem ostrym i wręcz zaczepnym, powiedział:

- Czy mogę kontynuować? - Przeciągnął ręką nad podświetlonymi punktami na mapie. - Jest więcej informacji, mniej lub bardziej wiarygodnych, że widziano go tu, tu i tu. Jak widzicie, porusza się na południe. Nic nie zyska wracając na wschodnie rubieże. Tutaj zaś mamy wyraźną trasę, prowadzącą go na południowe wybrzeże.

- Co to za miasta? - zapytał Abrigant, wskazując na czerwone kropki, wyglądające jak świetliste koraliki nanizane na zielone linie ciągnące na południe.

- Tutaj jest Ketheron - odparł Navigorn - dalej Arvyanda. To Kajith Kabulon, gdzie nigdy nie przestaje padać deszcz. Kiedy przebędzie dżungłę, dostanie się na południowe wybrzeże, a tam ma setkę portów, w których łatwo wsiądzie na statek do Zimroelu.

- Które porty są główne?

- Na południe od tropikalnej puszczy - odpowiedział Navigorn - mamy Sippulgar, o tutaj. Dalej na zachód wzdłuż wybrzeża może dotrzeć do Maximin, Karasat, Gunduby, Slail i Porto Gambieris. - Przemawiał suchym, rozkazującym tonem. Porządnie przygotował się do tego spotkania, może chcąc zadośćuczynić za fakt, że pozwolił Dantiryi Sambailowi uciec. - Poza Sippulgarem, żaden z nich nie ma bezpośredniego połączenia z Zimroelem, ale w każdym z nich oraz w miastach sąsiednich, wzdłuż północnego wybrzeża półwyspu Stoienczar, można wsiąść na łódź, która zaniósłaby go do Stoienc, Treymone albo nawet do Alaisor. Tam mógłby załatwić podróż przez morze do Piliploku, a stamtąd rzeką do Ni-moya.

- Nie tak prosto - powiedział Gialaurys. - Jak pamiętasz, objąłem porty od Stoien po Alaisor ścisłym nadzorem. Nie ma mowy, by ktoś tak charakterystyczny jak on, przemknął niezauważony koło najgłupszego nawet celnika. Możemy rozciągnąć blokadę na wschód aż do Sippulgaru. Nawet dalej, jeśli zechcesz, Prestimionie.

Prestimion, uważnie studiujący mapę, odpowiedział nie od razu.

- Tak - odparł po długiej chwili. - Sądzę również, że moglibyśmy ustanowić wojskowe patrole wzdłuż linii zaczynającej się na północ od Bailemoony i ciągnącej się na zachód aż do miasta Stoien.

- Czyli wzdłuż płotu na klorbigany - powiedział Septach Melayn i zaczął się śmiać. - Jakież to odpowiednie do sytuacji! W końcu tym właśnie jest, czyż nie? Paskudny jak klorbigan i pięć razy groźniejszy!

Prestimion i Abrigant również się roześmiali. Gialaurys, zdezorientowany, powiedział:

- Proszę, powiedzcie, o czym wy mówicie?

- Klorbigany - powiedział Prestimion, wciąż chichocząc - to grube, leniwe, niezdarne, kopiące nory zwierzęta z południowocentralnego Alhanroelu, z różowymi nosami i wielkimi, włochatymi łapami. Żywią się korą i korzeniami drzew i tam, skąd pierwotnie pochodzą, jedzą tylko niektóre, nikomu niepotrzebne gatunki. Ale jakieś tysiąc lat temu zaczęły migrować na północ, w rejony, gdzie rolnicy sadzą stajję i glein, i odkryły, że bulwy stajji smakują im nie mniej, niż nam. Nagle więc w centralnym Alhanroelu pojawiło się pół miliona klorbiganów, wykopujących stajję. Farmerzy nie nadążali z zabijaniem tych potworów. Ktokolwiek był wtedy Koronalem, wpadł

w końcu na pomysł zbudowania specjalnego płotu przez środek kontynentu. Jest wysoki tylko na kilka stóp, więc każde zwierzę trochę mniej ospałe niż klorbigan przejdzie nad nim z łatwością, ale za to jest wkopany na sześć czy siedem stóp w ziemię i wygląda na to, że skutecznie powstrzymuje je od przekopywania się dołem.

- Lord Kybris. On go zbudował - powiedział Septach Melayn.

- Tak, Kybris - powtórzył Prestimion. - Cóż, teraz my zbudujemy własny płot na klorbigany. Nieprzerwana linia patroli, która złapie Dantiryę Sambaila, jeśli postanowi zawrócić na pół... - przerwał w pół słowa - Navigornie? Navigornie, co ci jest?

Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę. Wysoki, czarnobrody Navigorn odwrócił się od mapy i kucnął z pochyloną głową i rękoma na brzuchu, jakby szarpał nim potworny spazm bólu. Po chwili uniósł głowę i Prestimion zobaczył, że jego rysy zlały się w upiorny grymas. Przerażony Prestimion przyzwał gestem stojących najbliżej Gialaurysa i Septacha Melayna, by mu pomogli. Ale Maundigand-Klimd był szybszy. Su-Suheris podniósł rękę i pochylił obie głowy do siebie. Coś niewidzialnego przepłynęło w powietrzu między nim i Navigornem i po chwili cała dziwaczna sytuacja się skończyła. Navigorn stał prosto jakby nigdy nic, mrugając oczami jak ktoś, kto zapadł niechcący w drzemkę. Twarz miał spokojną.

- Mówiłeś coś, Prestimionie?

- Działo się z tobą coś bardzo dziwnego i pytałem, co ci jest. Wyglądało, jakbyś miał jakiś atak.

- Atak? - Navigorn był zszokowany. - Nie pamiętam nic takiego. -

Po chwili jakby coś zrozumiał. - Ach! Czyli to znowu się stało, a ja nic nie wiedziałem!

- Miewasz takie ataki częściej? - spytał Septach Melayn.

- Zdarzyło się więcej niż raz. - Navigorn wyglądał teraz na zakłopotanego. Wstydził się przyznawać do słabości, to było jasne. Mimo to kontynuował: - Nachodzą mnie potworne bóle głowy, które nagle pojawiają się i znikają, a czuję się wtedy, jakby miała mi pęknąć czaszka. Mam też paskudne sny. Bardzo często. Nigdy wcześniej nie miewałem takich snów.

- Opowiesz je nam? - zapytał łagodnie Prestimion.

Delikatną sprawą było prosić kogoś, szczególnie arystokratę i wojownika, by opowiedział swoje sny takiej grupie. Mimo to Navigorn streścił mu je bez wahania.

- Za każdym razem stoję na polu bitwy, na wielkim, błotnistym polu. Ze wszystkich stron umierają ludzie, a pod nogami płyną strumienie krwi. Któż z nas stoczył kiedyś bitwę, mój panie? Któż z nas może ją stoczyć? Przecież to taki spokojny świat. A jednak stoję tam, w zbroi i z bronią, siejąc spustoszenie moim mieczem. Zabijam każdym ciosem. Zabijam obcych, zabijam też przyjaciół, mój panie.

- Zabijasz może mnie? Albo Septacha Melayna?

- Nie, ciebie nie. Nie znam tych ludzi, ale padają pod moimi ciosami. Nie rozpoznaję ich twarzy kiedy się budzę i wspominam mój sen. Ale we śnie wiem, że zabijam drogich przyjaciół i nie daje mi to spokoju. Nie daje mi to spokoju. - Navigorn wzdrygnął się, choć w pokoju było ciepło. - Mówię ci, mój panie, wciąż i wciąż śnię ten sen,

czasem przez trzy noce z rzędu, tak że teraz boję się w ogóle zamykać oczy.

- Jak długo to trwa? - spytał Prestimion.

Navigorn odparł, wzruszając ramionami:

- Dni? Tygodnie? Ciężko mi powiedzieć. Czy mógłbym na parę minut wyjść?

Prestimion skinął głową. Navigorn wyszedł z pokoju, zarumieniony i mokry od potu. Prestimion szepnął do Septacha Melayna:

- Słyszałeś? Bitwa, w której zabija przyjaciół. To kolejna rzecz, za którą ponoszę winę.

- Mój panie, to wina Korsibara, nie twoja - powiedział Septach Melayn.

Ale Prestimion tylko potrząsnął głową. Opadły go ponure myśli. Bitwa, w której zginęło tylu ludzi, faktycznie była winą Korsibara. Ale straszne sny Navigorna, jego spazmy bólu, jego zagubienie na długo potem, to wszystko stanowiło część nowego szaleństwa, a kto był za nie odpowiedzialny, jeżeli nie sam Prestimion? To szaleństwo sprowadzili na świat czarownicy na jego żądanie, choć nie wiedział, że takie będą konsekwencje.

Gdy czekali na powrót Navigorna, Abrigant gwałtownie przerwał rozważania Prestimiona.

- Bracie, czy pojedziesz szukać prokuratora na południu?

To pytanie zaskoczyło Prestimiona, gdyż sam właśnie zaczął o tym myśleć. Cóż, on i Abrigant byli jednej krwi, a czasami także jednego

umysłu. Wyszczrzył zęby i oparł:

- Sądzę, że mógłbym. Trzeba by to oczywiście przedyskutować przy pełnym składzie Rady. Jego wysokość Pontifex chce, żebym przybył do Labiryntu, i ma słuszność. Skoro więc pojedę tak daleko na południe, prawdopodobnie wyruszę dalej w stronę Stoien z nadzieją, że znajdę...

- Skoro mowa o pełnej Radzie - powiedział Septach Melayn - póki Navigorn nie wrócił, pozwól, Prestimionie, że cię o coś zapytam. Założmy, że któryś z członków Rady - Serithorn, dajmy na to, albo mój kuzyn Dembitave - zażąda wyjaśnień, dlaczego Dantirya Sambail jest zbiegiem, którego ścigasz po całym Alhanroelu. Co mu wtedy powiesz?

- Powiem po prostu, że popełnił czyny niezgodne z prawem i skierowane przeciw osobie Koronala.

- I niczego nie będziesz wyjaśniał?

- Przypominam ci, Septachu Melaynie, że on jest Koronalem - powiedział Gialaurys ostro. - Może robić, co mu się podoba.

- Bynajmniej, drogi przyjacielu - zaprotestował Septach Melayn. - Jest królem, tak, ale nie władcą absolutnym, despota. Podlega zarządzeniom Pontifexa jak my wszyscy i do pewnego stopnia odpowiada przed Radą. Ogłoszenie, że potentat jak Dantirya Sambail jest przestępcą, bez wyjaśnienia tego Radzie - tego nie może zrobić nawet Koronal.

- Wiesz, czemu musi to zrobić - powiedział Gialaurys.

- Tak. Dlatego, że pewien poważny fakt został ukryty przed

wszystkimi na świecie, poza piątką tu obecnych i nieobecnych Teotasem - tu Septach Melayn skinął głową Maundigandowi-Klimdowi i Abrigantowi, którzy prawdę o wydarzeniu pod Granią Thegomar poznali później. - Ale im dłużej próbujemy skrywać nasz sekret, tym głębiej brniemy w matactwa, wykręty i zwykłe kłamstwa.

- W porządku, Septachu Melaynie - powiedział Prestimion. - Nie mam gotowych odpowiedzi na twoje pytania, wiem tylko, że jeśli Rada będzie zbyt naciskać w kwestii tajemniczej zbrodni Dantiryi Sambaila, ucieknę w matactwa i wykręty. Być może nawet skłamię. Ale nie podoba mi się to bardziej, niż tobie. Navigorn wraca, skończmy ten temat.

Kiedy Navigorn stanął w drzwiach, Abrigant powiedział:

- Jeszcze jedno, bracie. Jeśli wyruszysz na południe do Aruachozji, chciałbym, jeśli tylko pozwolisz, towarzyszyć ci przez część drogi.

- Tylko część?

- Jest pewne miejsce, nazywa się Skakkenoir, rozmawialiśmy o nim niedawno. Można pozyskiwać użyteczne metale z łodyg i liści roślin tam rosnących. Znajduje się na południu, gdzieś na wschód od Aruachozji, może nawet na wschód od Vrist. Kiedy będziesz polował na Dantiryę Sambaila na południu, ja poszukałbym Skakkenoir.

Rozbawiony Prestimion rzekł:

- Widzę, że nic nie sprawi, że porzucisz swoje poszukiwania. Ale wiedz, że metalonośne rośliny Skakkenoir są mrzonką, Abrigancie.

- Skąd wiesz, bracie? Pozwól mi pojechać i się przekonać.

Prestimion znów się uśmiechnął. Abrigant był nieprzejednany.

- Porozmawiamy o tym później, w porządku, Abrigancie? Teraz nie pora na to. Navigornie, czujesz się już lepiej? Proszę, napij się wina. Ukoj swoją duszę. Wracając do tematu: Pontifex Confalume przypomniał mi, że już dawno powinienem był odwiedzić go w jego nowym domu, i w związku z tym...

*

Tego wieczoru, gdy jedli kolację we dwóch w apartamentach Koronala, Septach Melayn zapytał Prestimiona:

- Widzę, jak zmagasz się z naszym wielkim sekretem i wiem, ile cię to kosztuje. Jak zamierzasz się z tym uporać, Prestimionie?

Siedzieli naprzeciwko siebie w prywatnej jadalni Prestimiona, podwyższonym, siedmiokątym pokoju, oddzielonym od otoczenia siedmioma stopniami z bali czarnego dębu i ozdobionym wiekowymi tapiseriami przedstawiającymi sceny polowań, wykonanymi z kolorowego jedwabiu przeplatane złotymi i srebrnymi nićmi.

- Gdybym znał odpowiedź - odparł Prestimion - powiedziałbym ci dziś po południu.

Septach Melayn przez moment wpatrywał się w prawie nietkniętego pieczonego kaspoka, spoczywającego na jego talerzu. Był to rzadki przysmak, ryba z północnych rzek, o mięsie słodkim jak leśne owoce. Wziął łyk wina, po czym zaraz wypił więcej.

- Mówiłeś mi, że chciałeś wyleczyć świat z bólu wymazując wspomnienia o wojnie. Chciałeś dać każdemu szansę, by zaczął od nowa. Bardzo to piękne. Ale to szaleństwo, które wydaje się nasz świat ogarniać...

- Nie spodziewałem się tego. Nigdy nie zdecydowałbym się na czar zapomnienia, gdybym mógł przewidzieć, co się wydarzy. Wiesz o tym, Septachu Melaynie.

- Oczywiście, że wiem. Myślisz, że cię obwiniam?

- Tak to wygląda.

- Bynajmniej. Jest dokładnie odwrotnie. To już się stało, a ty próbujesz przyjąć za to odpowiedzialność i widzę, jak to na ciebie działa. Powiem więc jeszcze raz: co się stało, to się nie odstanie. Przestań marnować siły na poczucie winy i zajmij się wyzwaniami, które przed nami stoją. Inaczej zrobisz sobie krzywdę. Kiedy Navigorn dostał tego ataku...

- Posłuchaj mnie - powiedział Prestimion. - Jestem odpowiedzialny za to szaleństwo. I odpowiadam za wszystko, co stało się od czasu mojej koronacji i co wydarzy się za moich rządów. Jestem Koronalem, a to oznacza, przede wszystkim, dźwiganie ciężaru odpowiedzialności za losy świata. Jestem gotów.

Septach Melayn próbował coś powiedzieć, ale Prestimion nie dopuścił go do głosu.

- Nie. Wysłuchaj mnie. Czy myślisz, że spodziewałem się, że noszenie korony to tylko Wielkie Procesje, wspaniałe bankiety i siedzenie w pełnych przepychu pokojach Zamku, wśród zabytkowych draperii i rzeźb? Kiedy pod Granią Thegomar zdecydowałem o wymazaniu ze świata wspomnień o wojnie, była to decyzja pospieszna i teraz rozumiem, że mogłem popełnić błąd. Tym niemniej była to moja decyzja, którą podjąłem nie bez powodu i która wciąż nie

wydaje mi się całkiem błędna. Czy brzmię jak ktoś dręczony wyrzutami sumienia?

- Sam użyłeś dzisiaj podobnego określenia. Pamiętasz? „To kolejna rzecz, za którą ponoszę winę”.

- Chwilowy kaprys, nic więcej.

- Chyba nie tak chwilowy. I nie tylko kaprys, Prestimionie. Nie muszę być magiem, by czytać w twoim umyśle. Każda nowa informacja o szaleństwie przeszywa cię bólem.

- A nawet jeśli, czy warto psuć dobrą kolację przypominaniem mi o tym? Ból z czasem mija. Tego kaspoka przywieźli dzisiaj kurierzy z brzegów Sintalmondu, byśmy mogli się nim delectować, a ty pozwalasz mu się zmarnować, męcząc mnie tym gadaniem. Jedz, Septachu Melaynie. Pij. Zapewniam cię, jestem gotów żyć pomimo możliwego dyskomfortu spowodowanego konsekwencjami mojej decyzji pod Granią Thegomar.

- W porządku. Pozwól mi więc przejść do rzeczy. Skoro musisz żyć w bólu, czemu decydujesz się znosić go samotnie?

Prestimion patrzył na niego, nie rozumiejąc.

- O czym ty mówisz? Jak to samotnie? Mam ciebie. Mam Gialaurysa. Mam mądrość i pociechę płynącą z obu głów Maundiganda-Klimda. Mam dwóch braci. Mam...

- Thismet nie zmartwychwstanie, Prestimionie.

Odważne słowa Septacha Melayna były dla Prestimiona jak policzek.

- Co? - zapytał po chwili. - Czy i ciebie dopadło szaleństwo, że

mówisz takie kretynizmy? Tak, Thismet jest martwa i martwa pozostanie. Ale...

- Zamierzasz spędzić resztę życia w żałobie po niej?

- Nikt poza tobą, Septachu Melaynie, nie odważyłby się tak do mnie mówić.

- Znasz mnie dobrze. - Nie było ucieczki przed świdrującym spojrzeniem błękitnych oczu Septacha Melayna. - Żyjesz w straszliwej samotności, Prestimionie. Był taki czas, na krótko przed Granią Thegomar, kiedy byłeś pełen życia, radosny, jakbyś nagle odzyskał brakujący fragment samego siebie. Tym fragmentem była Thismet. Wszyscy widzieliśmy, że zatriumfujemy w tej bitwie, bo byłeś naszym wodzem i otaczała cię jakby aura niezwyciężoności. I tak się stało, jednak w chwili zwycięstwa Thismet została zabita i nic już nie było dla ciebie takie samo.

- Nie mówisz mi nic, czego sam bym nie...

Koronal czy nie, Septach Melayn wszedł mu w słowo.

- Pozwól mi skończyć, Prestimionie. Thismet umarła i był to dla ciebie koniec świata. Krążyłeś po polu bitwy jakbyś to ty przegrał wojnę. Wezwałeś do wymazania pamięci, jakbyś próbował ukryć mroczne okoliczności objęcia przez ciebie władzy, lecz kto by ci się podówczas sprzeciwił? W dzień twojej koronacji znalazłem cię rozpaczającego w Sali Hendighaila i powiedziałeś mi wtedy rzeczy, w które nie uwierzyłby nikt, gdybym nawet próbował to powtarzać. Mówiłeś, że bycie królem nic dla ciebie nie znaczy, poza latami pracy bez cienia radości i oczekiwaniem w Labiryncie na śmierć. Przypisuję

tę rozpacz stracie Thismet.

- A jeśli nawet, to co?

- Musisz wypędzić Thismet ze swojego umysłu, Prestimionie! Na Boginię, człowieku, nie rozumiesz, że pora się od niej uwolnić? Może i będziesz ją zawsze kochał, ale miłość do ducha to ulotna pociecha. Potrzebujesz żywej małżonki, która będzie z tobą dzielić chwałę rządzenia, kiedy wszystko układa się pomyślnie i służyć ci wsparciem w mroku złych czasów.

Błada skóra Septacha Melayna była zarumieniona z podniecenia własnymi słowami. Prestimion wpatrywał się w niego, zszokowany. To była bezczelność. Septach Melayn był wyjątkowo uprzywilejowanym przyjacielem, tylko on mógł tak się odzywać. Ale to, co mówił teraz, zakrawało na nadużycie wszelkich przywilejów. Powstrzymując się z niemałym wysiłkiem, Prestimion zapytał:

- I przypuszczam, że masz upatrzoną kandydatkę na to stanowisko?

- Tak się składa. To Varaile ze Stee.

- Varaile?

- Kochasz ją, Prestimionie! Proszę, nie zaprzeczaj. To jasne jak słońce.

- Spotkałem ją tylko raz, zaledwie przez godzinę, kiedy występowałem pod innym imieniem i miałem doklezione wąsy.

- Potrzeba było nie więcej niż pięciu sekund, żeby między wami zaiskrzyło. Wbiła się w twoje serce jak topór i skrzesała iskry, które rozświetliły cały pokój.

- Uważasz, że mam serce z metalu, skoro topór krzesze o nie iskry?

A może jestem z kamienia?

- Nie ma wątpliwości: ona jest dla ciebie, ty dla niej.

Zaprzeczenia na nic by się nie przydały, Prestimion był jednak oburzony, że ktokolwiek, nawet Septach Melayn, tak wdziera się w jego prywatność. Wziął ze stołu karafkę z winem i długo się jej przyglądał, zanim napełnił kielichy. W końcu powiedział:

- To, co proponujesz, jest niemożliwe. Varaile pochodzi z ludu, Septachu Melaynie, a jej ojciec jest nieokrzesany i gburowaty.

- Nie poślubiasz jej ojca. Co się tyczy jej samej, Koronalowie nie raz poślubiali kobiety z ludu. Jeśli chcesz, poszukam przykładów w annałach. Zresztą wszyscy arystokraci pochodzą z ludu, wystarczy odpowiednio daleko sięgnąć. Bez urazy, Prestimionie, ale czy twoja książęca rodzina z Muldemar nie pochodzi od farmerów i winiarzy?

- To było wieki temu, na długo przed rządami Stiamota, Septachu Melaynie. Kiedy rozpoczęła się budowa tego Zamku, już byliśmy szlachtą.

- Więc zmusisz się i podniesiesz Simbilona Khayfa do godności diuka lub para. Nie będzie, jak sędzę, pierwszym odstręczającym lichwiarzem, którego spotka ten zaszczyt. W ten zaś sposób będziesz mógł uczynić jego córkę królową.

Prestimion z trudem powstrzymał się, by nie wyrzucić Septacha Melayna z pokoju. Szukał w sobie spokoju, znalazł go w końcu i powiedział:

- Zaskakujesz mnie, przyjacielu. Przyznaję, że w chwili obecnej rozpaczanie po Thismet byłoby głupie, a Koronal powinien mieć

małżonkę. Ale czy naprawdę chcesz, bym poślubił kobietę, którą widziałem tak krótko? Zapomnijmy o kwestii urodzenia, ale chcę ci przypomnieć, że jesteśmy sobie zupełnie obcy.

- To można łatwo naprawić. Ona jest już na Zamku. W przyszłym tygodniu stanie przed tobą na audiencji. Jak już mówiłem, jeśli poprosisz ją, by dołączyła do dam dworu, nie będzie mogła odmówić. A wtedy będziecie mieli wiele okazji, by...

Gniew, którym przed chwilą Prestimion mógł wybuchnąć, zamienił się w śmiech.

- Ach, wszystko już rozumiem! Bardzo sprytnie wymyśliłeś, żeby zaproponować im audiencję.

- To było konieczne, by zapewnić sobie jej milczenie, w przeciwnym razie Simbilon Khayf wiedziałby, kim byli trzej kupcy, którzy odwiedzili go w Stee.

- Tak twierdzisz. Zastanawiam się, czy nie dało się tego załatwić prościej. W każdym razie, Septachu Melaynie, skończmy z tym. Chcę, żebyś wiedział, że chwilowo daleki jestem od myślenia o małżeństwie. Czy to jasne?

- Proszę cię tylko, byś wykorzystał tę szansę, aby lepiej ją poznać. Czy to tak wiele?

- Widzę, że naprawdę ci zależy.

- Owszem.

- W takim razie, zrobię to dla ciebie, Septachu Melaynie. Ale nie podsycaj w niej fałszywej nadziei. Może ci nie wiem jak zależeć, ale nie zamierzam się teraz żenić. Jeśli tak pragniesz, by na Zamku odbył

się ślub, możesz sam ją brać.

- Jeśli ty jej nie poślubisz - rzucił beztrosko Septach Melayn - to tak właśnie zrobię.

Było zwyczajem Lorda Confalume'a, a przed nim Lorda Prankipina, by w drugi dzień gwiazdy każdego miesiąca udzielać oficjalnych audiencji. Tego dnia prominenci królestwa przybywali przed oblicze Koronała, który zaszczycał ich chwilą lub dwiema swej uwagi. Prestimion, choć uważał ten zwyczaj za niedorzeczny, a wręcz niesmaczny, rozumiał, jak użyteczny był on w tworzeniu więzów, które ułatwiały rządy. Chwila spędzona przed obliczeniem Koronała pozostawała w pamięci obywatela na całe życie, sprawiając, że czuł się w jakiś sposób związany z wielkością i potęgą władcy. Wzbogacało go to, przepełniało wdzięcznością i czyniło na zawsze lojalnym.

Było to zaledwie trzecie oficjalne przyjęcie, na które Prestimion znalazł czas od chwili wstąpienia na tron. Jako ważna część politycznego przedstawienia, wydarzenie to wymagało dokładnego przygotowania i wielu prób. Między innymi Prestimion zmuszony był poprzedniego wieczora spędzić godzinę czy dwie z szambelanem Zeldorem Luuwidem na zapamiętywaniu jakiejś pochlebnej informacji o każdym z zaproszonych. Później, w sam dzień audiencji, przynajmniej godzina potrzebna była na przywdzianie odpowiedniego stroju. Musiał wyglądać aż do przesady królewsko. Oznaczało to nie tylko strój w tradycyjnych odcieniach zieleni i złota, kolorów, które jak świat szeroki symbolizowały urząd i potęgę Koronała. Konieczne

też były wyszukane dodatki: futrzane opończe, jedwabne chusty, sztywne, szerokie epolety, różne diademy i klejnoty, falbany i falbanki, i lamówki. Wszystko to zakładano na niego i zdejmowano, aż wreszcie osiągnięto właściwy poziom wspaniałości.

Tego dnia podstawę jego stroju stanowił luźny dublet z wysokim stanem uszyty ze złotego aksamitu, rozcięty z przodu i z tyłu tak, by ukazywać założoną pod spód zieloną, jedwabną koszulę. Szerokie rękawy dubletu były podobnie rozcinane aż do łokcia, opinały jego przedramiona i kończyły się w nadgarstkach wykładanymi mankietami z czarnej koronki, częściowo ukrytymi pod zgrabnymi rękawiczkami z karmazynowej skóry. Wykonane z tej samej skóry buty także były wywinięte i ukazywały zielone, jedwabne pończochy.

Problemem okazały się buty, których grube podeszwy dodawały Prestimionowi dwa cale wzrostu. Koronał już dawno pogodził się z faktem, że był niższy od wielu mężczyzn i wcale mu to nie przeszkadzało. Właściwie nie zwracał na to uwagi. Poczul się dotknięty, że dodaje mu się wzrostu specjalnymi butami i poprosił o normalną parę. Po piętnastu minutach okazało się jednak, że w jego garderobie nie było niepodwyższonych butów, pasujących kolorem do reszty stroju, co oznaczało, że musiałyby ubierać się od nowa w dublet w innym odcieniu złota. Wywołało to w nim wybuch gniewu, gdyż na przebranie się było za późno, musiał więc założyć buty na grubej podeszwie, choć sprawiały, że czuł się dziwacznie, patrząc na świat ze znacznie podwyższonej perspektywy.

Na skroni miał wielką koronę rozbłysku gwiazd Lorda

Confalume'a, groteskowo skomplikowane połączenie szmaragdów, rubinów, fioletowych dinibów i wycyzelowanych metali, która z siłą grzmotu ogłaszała światu, że ten, kto ją nosi, jest prawowitym władcą królestwa. Na jego piersi spoczywał złoty medalion, który otrzymał od Confalume'a w dzień koronacji, zdobiony pośrodku odciskiem sygnetu Lorda Stiamota. Mówiło się, że to współczesna reprodukcja medalionu, który nosili dawni Koronalowie. Była to nieprawda. Sam Prestimion, wraz z Septachem Melaynem i zapomnianym księciem Korsibarem, wymyślił historię o medalionie i wspólnie zaprojektowali przekonująco wyglądającą „reprodukcję” rzekomo dawno zagubionego oryginału, którą wręczyli Confalume'owi na obchodach jego czterdziestej rocznicy panowania. Teraz przeszedł on na Prestimiona i można się było spodziewać, że będzie przekazywany z Koronala na Koronala przez stulecia. Za kilkaset lat za niepodważalny fakt uzna się, że na wpół legendarny Lord Stiamot nosił dokładnie ten sam ponad wszelką wątpliwość medalion eon wcześniej. Tak oto, myślał Prestimion, rodzą się wielkie tradycje.

Lord Confalume wyposażył salę tronową w trójnogi, kadzielnice i maszyny astrologiczne swoich nadwornych magów. Nie uczynił tak dlatego, że przyrzędy te odgrywały jakąkolwiek rolę w dworskim ceremoniale, lecz po prostu z tej przyczyny, że na starość lubił się nimi otaczać. Prestimion był jednak mniej zabobonny niż Confalume. Na chłodno rozumując, zdawał sobie sprawę z wartości i zastosowań magii we współczesnym świecie, ale nigdy nie potrafił zaakceptować faktu, że lud tak fascynował się zwykłym zabobonem i szarlatanerią.

Z tego powodu rozkazał usunąć wszystkie przyrządy Confalume'a z sali tronowej. Pozwalał magowi lub dwóm na obecność przy audiencjach, ale tylko po to, by zaspokoić potrzebę ludu. Jeśli lud chciał wierzyć, że Prestimion rządzi nie tylko z łaski Pani, ale też z pomocą demonów, duchów czy jakichkolwiek ponadnaturalnych sił, które akurat poważano w Majipoorze, nie zamierzał temu zaprzeczać.

Maundigand-Klimd był tego dnia dyżurnym magiem - Su-Suheris zawsze był przydatny, bo wzbudzał podziw - i, na specjalną prośbę Septacha Melayna, obecnych było również dwóch geomantów z Tidias, ubranych w wysokie hełmy z mosiądzu i lśniące metalicznie szaty. Swego czasu Lord Confalume sprowadził ich do Zamku wraz z wielką grupą innych przedstawicieli tej profesji i jakimś sposobem wciąż tu pozostawali i opłacano ich z publicznej kasy, choć nie pełnili żadnej funkcji w administracji nowego Koronala. Podobno tych dwóch poskarżyło się na swoją beczynność Septachowi Melaynowi, który sam pochodził z Tidias. Skutkiem tego stali teraz po obu bokach Maundiganda-Klimda jak ubrane w mosiężne hełmy imponujące symbole ponadnaturalnych sił, które na Majipoorze współistniały z widzialnym światem. Nie pozwolono im jednak wypowiadać inkantacji, malować niewidzialnych linii mocy na podłodze ani spalać kolorowych proszków o magicznych właściwościach. Byli zaledwie dekoracją, jak kiście kamieni księżycowych, turmalinów, ametystów i szafirów, które Lord Confalume, mimo astronomicznych kosztów, nakazał umieścić na ogromnym złożonych przyporach sufitu, kiedy budowano tę salę.

- Wasza wysokość - powiedział majordomus Nilgir Sumanand - pora na audiencję.

Faktycznie. Prestimion, czując się fatalnie w butach o grubej podeszwie, opuścił gotowalnię i ruszył korytarzami starożytnego Zamku o niezliczonych pomieszczeniach, który odziedziczył po swoich poprzednikach. Wiedział, że kiedyś, gdy przyjdzie jego czas, sam pozostawi swój ślad na Zamku Koronala. W końcu do tradycji należało, by każdy władca coś dodał lub zmienił.

Na przykład ciąg niewielkich pomieszczeń pomiędzy gotowalnią a salą tronową Lorda Confalume'a sprawiał wrażenie, że źle wykorzystano przeznaczoną nań przestrzeń. Prestimion planował usunąć je wszystkie i wybudować obok tronowej wielką salę sądową, imponującą rozmiarami i splendorem, z kryształowymi kandelabrami i oknami z matowego szkła. Surowa, lecz majestatyczna kaplica, umieszczona opodal, by Koronal mógł oddawać się osobistej refleksji, również była warta przemyślenia. Obecna kaplica była małym, nieciekawym pokojem pozbawionym zalet architektonicznych, zbudowanym jakby na odczepnego. A poza rdzeniem Zamku, może obok wieży strażniczej, którą wybudował Lord Arioc dawno temu, Prestimion chciał wznieść muzeum historii Majipooru, archiwum, które zawierałoby pamiątki długiej przeszłości świata i gdzie przyszli Koronaliowie mogliby poznawać osiągnięcia swoich poprzedników i kontemplować swoje własne plany. Ale to wszystko należało do przyszłości. Jego panowanie dopiero się rozpoczęło.

Bez uśmiechu, nie spoglądając na boki, idąc sztywno, żeby nie

potknąć się w swoich kłopotliwych butach, z powagą pochylając głowę, gdy jego poddani witali go znakami gwiazd, Prestimion wkroczył do sali tronowej i wszedł po licznych schodach na mahoniowy piedestał, na którym ustawiony był tron.

Powaga. To był klucz. Lepiej niż ktokolwiek inny wiedział, jak pustą farsą był w rzeczywistości ten spektakl. Jego nadrzędnym i być może jedynym celem było zadziwić łatwowiernych. A jednak, mimo swojej inteligencji, wyrafinowania i odrobiny lekceważenia, której miał nadzieję nigdy nie stracić, Prestimion sam był bardziej niż trochę zadziwiony. Wiedział, że Koronal musi wierzyć w farsę, którą odgrywa, inaczej nigdy nie uwierzą w nią ludzie.

Był przekonany, że ta wiara w wielkość i potęgę Lorda Koronala, zakorzeniona w tej właśnie pompie, tym pokazie szat, tronów i koron, miała wiele wspólnego ze spokojem i dobrobytem, którymi ten ogromny świat cieszył się przez trzynaście tysięcy lat, odkąd przybyli tu pierwsi ludzie. Koronal uosabiał nadzieje, lęki i pragnienia całego świata. Wszystko to zostało teraz powierzone Prestimionowi z Muldemar, który aż za dobrze wiedział, że jest tylko zwykłym śmiertelnikiem, ale musiał zachowywać się, jakby był czymś znacznie większym. Jeśli dla publicznego dobra musiał zakładać wyszukane, zielone i złote szaty i z poważną miną siedzieć na olbrzymim, lśniącym bloku czarnego opalu przecinanego żyłkami krwiście czerwonego rubinu, niech i tak będzie. Odegra swoją rolę tak, jak powinien.

Po jego lewej stronie stał szambelan Zeldor Luudwid, tuż obok

stolika, na którym ułożone były odznaczenia przeznaczone do przyznania tego dnia. Nieco dalej stał Maundigand-Klimd, mający po bokach dwóch geomantów z Tidias. Z prawej strony tronu stali pomniejsi szambelani, dwóch Skandarów wielkich nawet według standardów swojej rasy, trzymających symbolizujące ich pozycję laski. W cieniu tuż za nimi Prestimion dostrzegł Septacha Melayna, który uważnie mu się przyglądał. Było rzeczą dość niezwykłą, że Wysoki Doradca przybył na audiencję, lecz Prestimion dobrze wiedział, czemu zjawił się akurat dziś.

Powodem był Simbilon Khayf, znajdujący się wśród tłumu obywateli, którzy mieli tego dnia stanąć przed Koronalem. Widać go było doskonale - z niczym nie dało się pomylić sztywnej wieży ze srebrnych włosów - a u boku ojca stała Varaile, wysoka, dostojna i piękna. Septach Melayn zaś - niech go! - też tu był, aby nadzorować spotkanie bankiera z Koronalem.

- Jego Wysokość Koronał Prestimion pragnie powitać was w Zamku - tubalnie obwieścił Zeldor Luudwid - i chce, byście wiedzieli, że z wielką uwagą zapoznał się z waszymi osiągnięciami i uważa każdego z was za ozdobę królestwa.

Było to zwyczajowe powitanie. Prestimion prawie nie słuchał, przybrał jednak pozę pozornej uwagi. Siedział idealnie prosto i spokojnie patrzył na oczekujący tłum. Uważał jednak, by jego wzrok nie zatrzymał się na nikim. Spoglądał wysoko ponad ich głowami tak, że jego wzrok spoczywał na przeciwległej ścianie, na błyszczącym arrasie przedstawiającym Lorda Stiamota przyjmującego hołd

pokonanych Metamorfów.

Nie po raz pierwszy Prestimion zastanawiał się, ile tysięcy rojali wydać musiał Confalume, kiedy jeszcze był Koronalem, na stworzenie fantastycznej sali tronowej, która nosiła teraz jego imię. Zanotował w pamięci, by sprawdzić to któregoś dnia w archiwach. Mogła to być suma większa od tej, którą wydał Stiamot na zbudowanie pierwotnego Zamku. Całe lata trwała budowa tej wysoko sklepionej sali, z belkowaniem sufitu wysadzonym klejnotami i pokrytym młotkowanymi arkuszami bladoczerwonego złota, z zapierającymi dech arrasami i podłogą z drogocennego drewna gurna. Sam tron musiał kosztować fortunę - wydaną nie tylko na ten kolosalny blok czarnego opalu, z którego go wykonano, lecz także na stojące obok grube podpory ze srebra i oparty na nich baldachim ze złota wykładanego macicą perłową i na górujący nad wszystkim symbol rozbłysku gwiazd, wykonany z białej platyny i kul z fioletowego onyksu.

Oczywiście Confalume miał pieniądze na takie wydatki. Majipoor nigdy nie zaznał takiego dobrobytu i powodzenia, jak za jego rządów.

Zawdzięczał to głównie szczęściu. Od wielu dekad nie było susz, powodzi, wielkich burz i innych naturalnych katastrof. Poza tym poprzedni Koronał, kontynuując dzieło poprzednika, Lorda Prankipina, mocno obciął podatki i osiągnął z tego natychmiastowe korzyści, a także z wielkim zaangażowaniem i wysiłkiem wyszukał i zniósł stare i głupie zakazy handlowe, które ograniczały swobodny przepływ dóbr między prowincjami. Na wiele sposobów eliminował

niepotrzebne ograniczenia prawne. Miał w tym jakże cenne poparcie Dantiryi Sambaila, który, jako prokurator Ni-moya, doszedł przez lata do pozycji, w której praktycznie rządził mniejszym kontynentem Majipooru jak niezależny monarcha. Wiele tych dawnych ograniczeń miało chronić interesy Zimroelu przed starszym i lepiej rozwiniętym Alhanroelem, ale Dantiryja Sambail rozumiał, że były to prawa nieadekwatne do ówczesnej sytuacji i robiły więcej szkody niż pożytku, nie protestował więc przeciwko usunięciu ich z kodeksów. Skutkiem tego nastąpił ogromny, światowy wzrost produkcji i ogólnego dobrobytu.

Z punktu widzenia Prestimiona było to zarazem dobre i złe. Otrzymał tron wspaniale rozwijającego się królestwa i chociaż obecnie trzeba było poradzić sobie z konsekwencjami wojny domowej i faktem, że Dantiryja Sambail zmienił się ze współsprawcy ogólnego dobra w przeszkodę w rozwoju, Prestimion wierzył, że obydwie te problemy da się łatwo rozwiązać. Oby tak było. Jego imię zostanie na wieki przeklęte, jeśli w nadchodzących latach nie uda mu się utrzymać poziomu życia, który osiągnięto za panowania Lorda Confalume.

*

Jeden po drugim, ozdoby królestwa, z których osiągnięciami Koronał zapoznał się z tak wielką uwagą, wzywano przed tron, gdzie miały otrzymać wyrazy uznania za swe dokonania.

Nie było pośród nich szlachciców. Arystokrację nagradzano w inny sposób. Grupa zgromadzona przed Koronalem składała się z ludzi

prostszych: przedstawiciele władz miast i prowincji, biznesmenów, rolników, którzy w znaczący sposób wpłynęli na rozwój upraw, artystów, pisarzy, aktorów, sportowców, nawet jednego czy dwóch naukowców.

Zazwyczaj Prestimion był w stanie przywołać z pamięci powód, dla którego dana osoba znalazła się na tej ceremonii, albo zgadywał go na podstawie prezentacji, którą każdorazowo wygłaszał Zeldor Luudwid. Jeśli nie mógł przypomnieć sobie niczego konkretnego, zawsze mógł wygłosić ogólną uwagę i to wystarczało. Tak więc, kiedy wystąpiła burmistrz Khyntoru w Zimroelu, która miała zostać nagrodzona za jakieś wybitne osiągnięcie, Prestimion w żaden sposób nie mógł przywołać w pamięci czynów tej dobrej kobiety, ale bez trudu wygłosił pean na cześć sławnych mostów w Khyntorze, perełek sztuki inżynierskiej, cudownie rozciągniętych nad zdumiewająco szeroką rzeką Zimr, o których słyszało każde dziecko Majipooru. Kiedy przyszła kolej psychomalarza Sefarada, który stworzył sławną serię obrazów przedstawiających baseny pływowe w Varfanir, Prestimion zdał sobie sprawę, że myli mu się on z innym psychomalarzem, znanym z portretów baletnic i że nie potrafi sobie przypomnieć, który z nich zajmuje się basenami, a który jest koneserem tańca. Zaczął więc mówić o psychomalarstwie jako takim, o swojej fascynacji tą gałęzią sztuki, polegającą na przelewaniu wizji artysty na psychoczulý materiał i wyraził nadzieję, że sam będzie kiedyś miał okazję się tego nauczyć, o ile pozwolą mu na to monarsze obowiązki. I tak dalej, jedna za drugą sypały się sprytne przemowy,

wdzięczne, zgrabne, królewskie. Po każdej z nich Zeldor Luudwid wręczał odpowiednie insygnia nagrody, czy to jaskrawą szarfę, czy połyskliwy medalion, czy coś innego i delikatnie odsyłał nagrodzonego na miejsce, a ten odchodził przyjemnie oszołomiony spotkaniem z wielkością.

Simbilon Khayf był jednym z ostatnich przedstawionych. W jego wypadku Prestimion nie miał najmniejszych problemów z pamięcią. Najpierw mówił, jak ważną rolę grają prywatne banki w stymulowaniu gospodarczego rozwoju Majipooru, a potem płynnie przeszedł do wybitnego życiorysu samego Simbilona Khayfa, który z biednych szeregów robotników ze Stee wzniósł się do swojej obecnej pozycji pana świata finansów. Simbilon Khayf nie odrywał oczu od Koronała przez cały czas trwania jego przemowy i Prestimion kolejny raz zastanawiał się, czy ten nieprzyjemny, choć sprytny człowiek jest w stanie skojarzyć zasiadającego na tronie króla z wąsatym kupcem, który przyszedł do jego posiadłości w Stee prosić o pożyczkę.

Nawet jeśli tak, to w niczym się nie zdradził. Przez cały czas, który spędził przed tronem, jego twarz pozostawała zastygła w wyrazie pokory i podziwu, a kiedy odbierał z rąk Zeldora Luudwida złoty wieniec orderu Lorda Havilbove i dukat podziękowania, głos miał zduszony z podniecenia, a ręce mu drżały. Wyglądał, jakby ledwo był w stanie znieść olbrzymią wagę zaszczytu, którego właśnie dostąpił.

Po ceremonii Koronał urządzał kolejną audiencję w przyległym pomieszczeniu, przeznaczoną dla tych, którzy otrzymali ważniejsze odznaczenia. Tu i teraz - Prestimion dobrze o tym wiedział - nastąpi

ukoronowanie planu Septacha Melayna, ci bowiem, którzy otrzymali order Lorda Havilbove, mieli prawo uczestniczyć w drugiej audiencji. Prestimion miał więc ponownie spotkać się z Simbilonem Khayfem i jego córką i to w okolicznościach, w których uniknięcie dłuższej rozmowy było bardzo trudne. Właściwie niemożliwe.

A na tym właśnie zależało Septachowi Melaynowi.

*

Prestimion poruszał się po zatłoczonym pokoju zręcznie i płynnie, zamieniając parę słów z każdym z gości. Nienaturalnie grube podeszwy butów sprawiały mu tylko nieznaczny problem, choć dziwnie się czuł ze swoim nowym wzrostem. Po pewnym czasie zobaczył przed sobą wieżę z włosów Simbilona Khayfa. Co dziwne, nigdzie w pobliżu ojca nie było widać Varaile, lecz po chwili Prestimion dostrzegł ją po drugiej stronie pokoju, pogrążoną w rozmowie z Septachem Melaynem.

Bankier wciąż sprawiał wrażenie przytłoczonego wydarzeniami. Ledwo był w stanie składać zdania, kiedy wypluwał z siebie podziękowania dla Koronala, które po chwili zmieniły się w bezsensowną, pozbawioną ładu i składu paplaninę o własnych osiągnięciach, chaotyczną, za to z towarzyszeniem ciężkiego oddechu i zaczerwienionej twarzy. Symptomatyczne połączenie wysokiego mniemania o sobie i wielkiego braku pewności siebie. Zachowanie bankiera utwierdziło Prestimiona w przekonaniu, że szansa, iż Simbilon Khayf skojarzył brodatego gościa w Stee ze stojącym przed nim Koronalem była nikła. Varaile ze swojej strony dotrzymała

umowy i zachowała prawdę dla siebie.

Gadanina Simbilona Khayfa zdawała się nie mieć końca. W końcu Prestimion zdołał się od niego uwolnić i zaczął przemieszczać się przez tłum, choć dotarcie do Varaile zajęło mu kolejnych dziesięć minut.

Ich spojrzenia spotkały się i przez chwilę było dokładnie tak, jak kiedyś, w domu jej ojca w Stee: Prestimion poczuł niepokojące mrowienie niczym łagodny elektryczny szok, dreszcz podniecenia, niepewności, zagubienia. Był pewien, że ona poczuła to samo. Widział, jak rozszerzają się jej nozdrza, jak drżą jej kąciki ust, jak gwałtownie rzuca oczami na boki, jak po jej doskonałej twarzy rozlewa się rumieniec.

To nie złudzenie, pomyślał. To coś bardzo prawdziwego.

Szybko jednak przeminęło. W mgnieniu oka znów była spokojna, skupiona i panowała nad sobą całkowicie - jak ideał dobrze wychowanej, młodej kobiety, która nie ma wątpliwości, jak zachować się w obecności swego króla. Khayf był niezręczny i nerwowy, ona opanowana i doskonale poprawna: powitała Koronała z czcią, czyniąc znak gwiazd i prostymi, lecz ciepłymi słowami, swym głębokim, melodyjnym głosem, który tak dobrze pamiętał ze Stee, podziękowała za zaszczyt, który spotkał jej ojca. W podobnej sytuacji nie trzeba było robić nic więcej. Prestimion mógł z łatwością odpowiedzieć na jej podziękowania paroma słowami i oddalić się do następnego gościa.

Widział jednak Septacha Melayna, stojącego z boku z założonymi ramionami, przyglądającego się uważnie, ze sprytnym uśmiechem i

wiedział, że w tej sytuacji jego przyjaciel ma w ręku wszystkie atuty. Mistrz pojedynków zepchnął go do obrony. Najlepszy przyjaciel nie zamierzał pozwolić mu na łatwą, tchórzliwą ucieczkę.

Varaile czekała. Prestimion szukał w głowie słów, które zasypią przepaść między Koronalem i poddaną, dopuszczą normalną rozmowę między mężczyzną a kobietą. Nic nie znajdował. Zastanawiał się, czy taka rozmowa w ogóle jest możliwa. Nie miał pojęcia, co powiedzieć. Od dziecka uczono go, jak zachować się w każdej sytuacji wymagającej dyplomacji, ale nie przygotowano go na coś takiego. Stał oniemiały i niezdolny wydać z siebie głosu.

W końcu uratowała go Varaile. Pozwoliła, by przez lodowatą ciszę i chłodną, formalną pozę przebiło coś innego, coś cieplejszego i mniej sztywnego. W jej oczach pojawił się cień rozbawienia, na jej ustach niezauważalny prawie, leciutki uśmiezek, milczące potwierdzenie, że widzi komizm ich obecnej sytuacji. Tylko tyle było trzeba. Natychmiast znów pojawiło się między nimi połączenie, gwałtowne, niepokojące, silne.

Prestimion poczuł wielką ulgę i zachwyt.

Ciężko mu było zachować powagę i aurę królewskośći, gdy czuł to wszystko. Pozwolił sobie na lekkie rozluźnienie swojej oficjalnej pozy, subtelną zmianę poważnej miny, a ona to dostrzegła. Przemówiła cicho, codziennym, nieoficjalnym tonem i patrząc mu głęboko w oczy, czego jeszcze przed chwilą nie odważała się zrobić:

- Jesteś wyższy teraz, niż byłeś w Stee. Wtedy twoje oczy były na równi z moimi.

Był to olbrzymi skok ponad tym wszystkim, co ich rozdzielało. Natychmiast odsunęła się, wciągając powietrze i zakrywając usta dłońmi, jakby dopiero zdała sobie sprawę z własnej bezpośredniości. Znowu byli monarchą i poddanym.

Czy tego chciał? Nie. Absolutnie nie. Przyszła więc pora, by to Prestimion przełamał bariery albo wszystko przepadnie.

- To te idiotyczne buty - powiedział z uśmiechem. - Miały sprawić, że będę wyglądał dostojniej. Więcej mnie w nich nie zobaczysz, zapewniam cię.

W jej oczach znów zabłysły bezczelne iskierki.

- Butów nie zobaczę. Ale czy kiedykolwiek jeszcze zobaczę ciebie?

Septach Melayn, oparty o ścianę o tuzin stóp za nią, kiwał głową i aż promieniał z zachwyty.

- A chciałabyś? - spytał Prestimion.

- Och... mój panie... tak, mój panie...

- Jeśli chcesz, jest dla ciebie miejsce na dworze - powiedział Prestimion. - Septach Melayn to załatwi. Ja będę musiał się wkrótce udać do Labiryntu, ale może moglibyśmy razem zjeść kolację, gdy wrócę na Zamek. Chciałbym cię dużo lepiej poznać.

- Bardzo by mnie to ucieszyło, mój panie - jej ton był mieszaniną uprzejmości i zapału. Lekkie drżenie zdradzało jej zmieszanie. Mimo jej opanowania, nie miała pojęcia, jak radzić sobie z tym, co teraz się działo. On też nie. Prestimion zastanawiał się, co dokładnie Septach Melayn powiedział jej o jego intencjach. Myślał, jakie właściwie ma

intencje.

Rozmowa zbyt długo się przeciągnęła. Teraz przyglądał im się nie tylko Septach Melayn.

- Mój panie? - powiedziała, kiedy oficjalnie się z nią pożegnał i zaczął odchodzić.

- Tak, Varaile?

- Mój panie, czy wtedy, w naszym domu w Stee, to naprawdę byłeś ty?

- Wątpisz w to?

- A po co, jeśli mogę spytać, tam byłeś?

- Żeby cię poznać - powiedział i czuł, że teraz już nie ma odwrotu.

Labirynt Majipooru był, najłagodniej mówiąc, miejscem pozbawionym radości, wielkim, podziemnym miastem, schodzącym kolejnymi poziomami coraz dalej w głąb planety. Na najniższym poziomie, w miejscu najbardziej oddalonym od słonecznego światła, ukryte były kwatery Pontifexa.

Prestimion przeżył tu jedną z najgorszych chwil swego życia.

To właśnie w wielkiej sali Labiryntu, zwanej Tronową, kiedy ogłoszono śmierć Pontifexa Prankipina, Korsibar przeprowadził niespodziewane przejęcie władzy, która miała należeć do Presitmiona. Zrobił to na oczach najważniejszych osób w królestwie.

Właśnie w pokojach Labiryntu, które przeznaczone były do użytku Koronała, Prestimion stanął przed Confalumem, teraz Pontifexem, ojcem Korsibara, i zażądał obiecanego tronu. Zszokowany i załamany Confalume odparł, że nic nie można było zrobić, że uzurpacja była rzeczą nieodwoalną i Korsibar był teraz Koronalem, a Prestimion może teraz tylko żyć bez nadziei, że kiedykolwiek zdobędzie tron. Confalume zapłakał, kiedy Prestimion naciskał, by podjęto jakieś działania przeciwko temu skandalicznemu postępkowi - Confalume płakał! Ale Pontifexa paraliżował strach. Bał się krwawej wojny domowej, która na pewno byłaby skutkiem rzucenia Korsibarowi wyzwania, obawiał się jej bardziej, niż pragnął sprzeciwić się niesamowitemu i bezprawnemu postępkowi syna. Stało się,

powiedział Confalume. Teraz Korsibar ma władzę.

To, co się stało, było teraz zmienione, Korsibar został wymazany z pamięci, jakby nigdy go nie było, a Prestimion stał się Lordem Prestimionem i powracał w chwale do miejsca, które opuścił we wstydzie i upokorzeniu. Nikt, poza Gialauryse i Septachem Melaynem, nie wiedział o ponurych wydarzeniach, które miały miejsce w podziemnej metropolii po śmierci Pontifexa Prankipina. Ale dla Prestimiona Labirynt był pełen bolesnych wspomnień. Gdyby mógł uniknąć tej podróży, zrobiłby to. Nie chciał oglądać Labiryntu przed dniem, kiedy Confalume umrze i on sam będzie musiał przyjąć tytuł Pontifexa - oby dzień ten nastąpił jak najpóźniej!

Nie dało się jednak wiecznie unikać Labiryntu. Nowy Koronał musiał wkrótce po objęciu rządów stanąć przed Pontifexem, od którego otrzymał tron.

Dlatego tu był.

Confalume czekał na niego.

*

- Mam nadzieję, że miałaś przyjemną podróż?

- Przez całą drogę pogoda nam dopisywała, wasza wysokość - powiedział Prestimion. - Dobra bryza pchała nas na południe w dół Glayge.

Było już po wstępnych formalnościach, uściskach i ucztach i teraz mogli spokojnie porozmawiać sam na sam, Pontifex i Koronał, cesarz i król, nominalny ojciec i adoptowany syn.

Aby się tu dostać, Prestimion udał się drogą wodną, zwyczajowo

wybieraną przez pana Zamku odwiedzającego Labirynt. Podróżowali na królewskim okręcie w dół bystrej, szerokiej rzeki Glayge, która brała swój początek u podnóża Góry i płynęła na południe poprzez jedne z najżyźniejszych prowincji Alhanroelu aż do stolicy imperium. Wzdłuż jej brzegów zebrała się ludność, by wiwatować na cześć przepływającego Koronala. Byli w Storp i Mitripond, w Nirnivanie i Wodospadach Stangrad, w Makroposopos i Pendwane, w niezliczonych miastach przy brzegach jeziora Roghoiz i w miastach nad Niższą Glayge za jeziorem: w Palaghat i Terabessie i Grewin i we wszystkich innych. Kilka lat wcześniej Prestimion przebył tę trasę w drugą stronę, gdy wracał z Labiryntu na Zamek po uzurpacji. Była to bardzo ponura podróż, w każdym porcie w twarz śmiało mu się wymalowane na flagach oblicze nowego Lorda Korsibara. Ale to było wtedy, a teraz w każdym mijanym mieście słyszał tylko okrzyki „Prestimion! Prestimion! Chwała Lordowi Prestimionowi!”.

Do Labiryntu prowadziło siedem wejść, a Koronaliowie używali Bramy Wód. Rzeka Glayge opływała w tym miejscu wysoki, brązowy kopic, który był jedyną częścią Labiryntu widoczną nad ziemią. Prestimion wiedział, że tutaj musi zostawić za sobą słodką bryzę i łagodne, zielonozłote światło słońca i wkroczyć w tajemniczą, wieczną noc podziemnego miasta, w złowrogie sploty prowadzących wciąż w dół, gęsto zaludnionych poziomów, do hermetycznego, jakby pozbawionego powietrza królestwa pod ziemią, które było domem Pontifexa.

Zamaskowani urzędnicy Pontyfikatu czekali przy wejściu, by go

powitać, a przewodził im pompatyczny, białowłosy kuzyn Prestimiona, Oljebbin ze Stoienzar, świeżo podniesiony do godności Wysokiego Rzecznika Pontifexa. Szybka winda, przeznaczona do wyłącznego użytku Potęg Królestwa, zabrała Prestimiona w dół. Mijał okrągłe poziomy, na których żyły miliony mieszkańców Labiryntu; zarówno tych, którzy służyli Pontyfikatowi, jak i trudniących się skromnymi zajęciami typowymi dla każdego miasta. Zjeżdżał niżej, na poziomy, gdzie znajdowały się sławne cuda architektury Labiryntu, jak Sadzawka Snów, tajemnicza Sala Wichrów, niesamowity Dziedziniec Piramid, Miejsce Masek, niewyjaśniona pusta przestrzeń zwana Areną i wiele innych. Z zapierającą dech w piersiach prędkością dotarł do sektora imperialnego i do Pontifexa, który natychmiast odprawił z pokoju całą swoją świtę, nawet Oljebbina. Prestimion miał rozmawiać z Confalumem bez świadków.

Confalume, który przed nim stał, nie był Confalumem, którego Prestimion się spodziewał.

Obawiał się, że spotka się ze słabym, zniszczonym wrakiem człowieka, smutną i nędzną pozostałością wielkiego Confalume'a z dawnych czasów. Początek jego załamania widać było już przy ich ostatnim spotkaniu. Confalume, z którym odbył bezowocną, przygnębiającą rozmowę w ponurym czasie po szokującym przejęciu władzy przez Korsibara, ten człowiek, który płakał, trząsł się i rozpaczliwie błagał, by zostawić go w spokoju był zaledwie cieniem dawnego Confalume'a, którego rządy były nieprzerwanym pasmem sukcesów.

Chociaż wymazanie wspomnień o uzurpacji i wojnie domowej oszczędziło Confalume'owi cierpienia wywołanego postępkami jego syna, nie było powodu, by sądzić, że kiedykolwiek wyleczy się z ran, jakie zadano jego duszy. Nawet podczas koronacji Prestimiona, kiedy cała historia z Korsibarem już została zapomniana, Confalume był niemal pustą skorupą. Zachował siłę fizyczną, ale jego umysł był zmacony, nawiedzały go duchy, których nie mógł rozpoznać. Z tego, co mówił Septach Melayn po rozmowie z delegatem Volgazem Sarem, Pontifex wciąż był głęboko niespokojny, zagubiony i w depresji, nękany bezsennością i otoczony rozpaczą niczym trującą chmurą.

Prestimion podejrzewał, że nic nie pozostało ze starego Confalume'a i spotka słabego, trzęsącego się, stojącego nad grobem starca. Strasznie było myśleć, że być może przed Confalumem pozostało niewiele życia, bo Prestimion dopiero co rozpoczął swoje rządy. Nie był wcale przygotowany na przedwczesne wyrwanie z Zamku i zamknięcie w ciemnej jamie, jaką był Labirynt, choć wiedział, że grozi to każdemu Koronalowi, wstępującemu na tron po kimś, kto rządził tak długo, jak Confalume.

W Sali Tronowej o ścianach z czarnego kamienia, wznoszących się wysoko do ostrołukowego sklepienia, tej samej, w której Korsibar przeprowadził swój zamach i w której Pontifex z Koronalem mieli siedzieć obok siebie na podwyższeniu, Prestimion stanął oko w oko z odrodzonym i odnowionym Confalumem. Wyglądał dokładnie tak krzepko i mocno jak Prestimion pamiętał z dawnych dni. Stał zwawy i

wyprostowany w szkarłatnoczarnych szatach Pontifexa, w jednej klapie lśniła mu miniaturowa replika ozdobnej pontyfikalnej tiary, w drugiej mała, złota rohilla, amulet astrologiczny, który tak lubił nosić. Nic w jego osobie nie zdawało się zwiastować rychłej śmierci. Kiedy padli sobie w objęcia, nie dało się nie być pod wrażeniem siły tego starca.

Confalume był na powrót sobą, wyraźnie odmłodził. Zawsze był człowiekiem dużej fizycznej siły, niewysokim, ale potężnie zbudowanym, o uważnych, szarych oczach i grzywie kasztanowych włosów, które zachowały kolor mimo upływu lat. Przy każdym zebraniu na Zamku dawny Lord Confalume automatycznie stawał się centrum uwagi, nie tylko dlatego, że był Koronalem, ale ponieważ emanował osobliwym magnetyzmem, wewnętrzną siłą przyciągania, która sprawiała, że trzeba się było do niego odwracać. Widać teraz było wyraźnie, że z tamtego Confalume'a niemało jeszcze zostało. Ta jego wrodzona siła pozwoliła mu przetrwać kryzys. Dobrze, pomyślał Prestimion. Czuł, jak zalewa go fala ogromnej ulgi. Zarazem jednak zrozumiał, że nie będzie miał do czynienia z załamany, zmęczonym starszkiem, któremu mógł powiedzieć wszystko, co uznałby za użyteczne, lecz z człowiekiem, który przeżył ponad czterdzieści lat na tronie Koronala i kto lepiej niż ktokolwiek na świecie znał się na trzymaniu władzy.

*

- Dobrze wyglądasz, wasza wysokość. Wyjątkowo dobrze.
- Ty zaś wyglądasz na zaskoczonego, Prestimionie.

- Słyszałem plotki o twym złym nastroju, o niepokoju, kłopotach ze snem...

- Pff! Plotki, nic więcej. Bajki. Miałem może ciężkie chwile na początku. Kiedy przybyło się z Zamku, by żyć tutaj, konieczny jest czas, by się przystosować. Nie będę udawał, że to łatwe. Ale wszystko mija i zaczynasz czuć się tu jak w domu.

- Tak więc się czujesz?

- Tak. I powinno cię to pocieszać. Nie było jeszcze Koronała, którego nie mierzyłaby świadomość faktu, że kiedyś będzie musiał usunąć się do Labiryntu. I nic dziwnego. Codziennie budzić się na Zamku, widzieć wokół nieskończone przestrzenie, móc zejść z Góry kiedy się chce i pojechać, gdzie dusza zapagnie, do Alaisor czy Embolain czy Ketheronu jeśli wola, albo nawet do Pidruid albo Narabalu... Wszystko to ze świadomością, że pewnego dnia stary cesarz obudzi się martwy i kiedy to się stanie, przyjdą po ciebie i wpakują na statek w dół Glayge, pokażą palcami miejsce dziewięć mil pod ziemią i powiedzą: „Oto twój nowy dom, Lordzie taki a taki” - Pontifex uśmiechnął się. - No, ale uwierz mi, tu nie jest aż tak strasznie. Jest inaczej. Można wypocząć.

- Wypocząć? - to słowo w żaden sposób nie pasowało do miejsca pozbawionego słońca i radości.

- Och, tak. Jest coś w tym odosobnieniu, spokojnym, cichym. Nikt nawet nie może odezwać się wprost do ciebie, poza twoim rzecznikiem i Koronałem. Żadnych przeklętych petentów, wiszących u twojego rękawa, żadnych tłumów ambitnych paniczyków,

biegających za tobą w nadziei na zaszczyty, żadnych niewygodnych wypraw przez tysiące mil tylko dlatego, że Rada postanowiła, że musisz pokazać się w jakiejś odległej prowincji. Nie, Prestimionie, po prostu siedzisz sobie tutaj, w przytulnym podziemnym pałacu, znoszą ci dokumenty do przeczytania, a ty tylko rzucasz na nie okiem i mówisz tak lub nie lub może, a wtedy zabierają je i nie musisz już o nich myśleć. Jesteś młody i pełen życia, nie możesz więc zrozumieć zalet zamknięcia w Labiryncie. Przyznaję, trzydzieści lat temu też tak myślałem. Przekonasz się. Pobądź Koronalem przez czterdzieści z okładem lat, jak ja, a przysięgam ci, będziesz gotów zejść do Labiryntu i przyjmiesz to bez żalu.

Czterdzieści lat bycia Koronalem? Prestimion wiedział, że to niemożliwe. Confalume miał już ponad siedemdziesiąt lat. Nowy Koronał mógł w najlepszym wypadku liczyć na jakąś dekadę rządów, później sam zostanie Pontifexem. Jednak Confalume sprawiał wrażenie, jakby mówił szczerze i to było pocieszające.

- Nie wątpię, że wszystko, co mówisz mi o życiu w Labiryncie jest samą prawdą - powiedział Prestimion z uśmiechem. - Wolałbym mimo to poczekać czterdzieści lat, zanim się przekonam.

Confalume wyglądał na zadowolonego. Prestimion zrozumiał, że powrót Pontifexa do dawnej siły nie był pozorem ani iluzją. Confalume wyglądał na odmłodniałego, aż kipiał energią, wyraźnie miał zamiar długo pozostać w swoim nowym domu.

Własnoręcznie nalał im wina do kielichów. Choć raz nigdzie w pobliżu nie krążyli przesadnie uniżeni słudzy. Potem odwrócił się do

Prestimiona i powiedział:

- A ty? Nie przytłaczają cię nowe obowiązki?

- Na razie daję sobie radę, wasza wysokość, chociaż byłem bardzo zajęty.

- Nie wątpię, że tak było. Dostawałem od ciebie tak mało wiadomości. Nie dajesz mi cienia informacji o wydarzeniach w królestwie, a to niedobrze.

Powiedział to lekko, ale pod gładkością słów kryły się nagie ostrza. Odpowiedź Prestimiona była tym razem ostrożna.

- Zdaję sobie sprawę, panie, że zaniedbałem informowanie cię. Musiałem naraz zająć się wieloma problemami i chciałem móc przedstawić ci wyniki moich starań.

- Problemy? Na przykład? - zapytał Pontifex.

- Na przykład Dantirya Sambail.

- Tak, przeklęty prokurator. Ale on chyba tylko szczeka, a nie gryzie, prawda? Co też wymyślił?

- Planuje, jak się wydaje, stworzyć sobie odrębne królestwo w Zimroelu.

Ręka Confalume'a, jakby obdarzona własnym życiem, skoczyła do rohilli na piersi i potarła ją przeciwnie do ruchu wskazówek zegara. Pontifex zagapił się na Prestimiona z niedowierzaniem.

- Mówisz poważnie? On to planuje? Gdzie teraz jest? Czemu ja nic o tym nie wiem?

Prestimion poruszył się na krześle, zakłopotany. Wkraczali na niebezpieczny teren.

- Zwlekałem, panie, aż będę mógł osobiście wypytać prokuratora o jego intencje. Przez jakiś czas przebywał na Zamku - to akurat była prawda - po czym wyjechał, ponoć na wschód.

- Czemu miałby tam jechać?

- Kto wie, dlaczego Dantirya Sambail robi to czy tamto? W każdym razie, zebrałem ludzi i wyruszyłem za nim.

- Tak - powiedział kwaśno Pontifex - wiem o tym. Mogłeś mnie poinformować.

- Wybacz, panie, widzę, że zaniedbałem wiele spraw. Założyłem jednak, że twoi urzędnicy poinformują cię, że opuściłem Zamek.

- I tak uczynili... Wygląda na to, że Dantirya Sambail umknął ci na wschodzie.

- Znajduje się teraz w południowym Alhanroelu i, jak sędzę, zamierza popłynąć statkiem do domu. Kiedy stąd wyjadę, udam się do Aruachozji i spróbuję go odnaleźć. - Prestimion zawahał się. - Wielki Admirał zablokował porty.

Zdumienie biło z oczu Confalume'a.

- Próbujesz mi więc powiedzieć, że uważasz najpotężniejszego poza tobą i mną człowieka na świecie za zagrożenie dla bezpieczeństwa królestwa? Dobrze cię zrozumiałem? I że udało mu się zniweczyć twoje próby aresztowania go. I jest zbiegiem biegającym po Alhanroelu w poszukiwaniu drogi przez morze. Co my tu mamy, Prestimionie, zarzewie wojny domowej? Dlaczego? Czemu prokurator miałby tak nagle chcieć stworzyć niezawisłe królestwo? Przez lata był zadowolony z obecnego podziału władzy. Czy chodzi o

to, że uważa władzę za słabą i czuje, że może działać? Na Boginię, nie uda mu się to! Jesteś jego krewniakiem, Prestimionie. Jak on śmie podnosić rękę na własną rodzinę?

Już raz podniósł, pomyślał Prestimion, i wywołał walki toczone olbrzymim kosztem. Świat nigdy nie będzie już taki sam przez niego. Nie mógł jednak o tym mówić, a tymczasem twarz Confalume'a niebezpiecznie poczerwieniała z wściekłości.

Prestimion spokojnie powiedział:

- Te plotki mogą być przesadzone, panie. Muszę znaleźć prokuratora i osobiście odkryć, czy uważa swoją obecną pozycję za nie dość wysoką. Jeśli tak jest, zapewniam cię, że przekonam go, że się myli, Nie dopuszczę do wojny domowej.

Pontifex zdawał się być usatysfakcjonowany tą odpowiedzią. Na moment zajął się swoim winem, po czym zaczął szybko wypytywać Prestimiona o inne kwestie dotyczące rządów, sprawnie poruszając się między tematami. Rozmawiali o odbudowie tamy na rzece Iyann, problemie słabych zbiorów w Stymphinorze i dolinie Jhelum, o zastanawiających doniesieniach o wybuchach szaleństwa w wielu miastach. Jasne było, że Confalume nie jest słabym, niedoinformowanym pustelnikiem, schowanym w ciemnych zakamarkach Labiryntu i przeczekującym ostatnie lata życia. Wyraźnie zamierzał być aktywnym i prężnym Pontifexem, silnym cesarzem, któremu Koronał podlegałby jako zaledwie król. Nawet pomimo braku szczegółowych sprawozdań od Prestimiona, udało mu się być na bieżąco z większością wydarzeń na świecie. Może nawet

wiedział więcej, niż teraz mówił. Powszechnie było wiadomo, że Confalume'a u szczytu jego możliwości niebezpiecznie było nie doceniać, a Prestimion czuł, że nie wolno tego robić nawet teraz.

*

Ich spotkanie okazało się długie, nie krótkie i zdawkowe, jak liczył Prestimion. Odpowiadał na pytania bardzo szczegółowo, ale z najwyższą uwagą dobierał słowa. Ciężko było tłumaczyć Confalume'owi swoje plany rozwiązania problemów bez zdradzenia, skąd pojawiły się one w ich harmonijnym i radosnym świetle.

Choćby zniszczenie tamy Mavestoi. Dokonał tego rodzony syn Confalume'a, Korsibar, za podszeptem Dantiryi Sambaila i była to jedna z największych tragedii wojny domowej. Ale jak wytłumaczyć to Confalume'owi, który nie pamiętał nawet Korsibara, o wojnie nie wspominając? W dolinie Jhelum i w Stymphinorze panował głód, ponieważ stoczono tam wielkie bitwy, zaopatrywano tysiące żołnierzy, którzy zjedli co było w spichrzach i stratowali pola. Nikt nie pamiętał o bitwach, ale ich konsekwencje pozostały. A szaleństwo? Istniała wszakże duża szansa, że spowodowane było ono magią, przyzwaną przez Heszmona Gorse'a na rozkaz samego Prestimiona! Żeby spróbować to wyjaśnić, trzeba by mówić o wojnie, o jej krwawym zakończeniu, wreszcie o decyzji Prestimiona wymazania wszystkiego z pamięci miliardów ludzi, która teraz nawet jemu zdawała się pochojna.

Poczuł w sobie głębokie pragnienie, by tu i teraz wyznać Confalume'owi prawdę, by podzielić się z nim tym strasznym

brzemieniem, żeby zdać się na jego łaskę i mądrość. Ale była to pokusa, której nie odważył się ulec.

Musiał jakoś odpowiadać na pytania Pontifexa, nie chciał wydać się niekompetentnym w oczach człowieka, który wybrał go na swojego następcę. O wielu rzeczach nie mógł jednak wspomnieć. Aż za często zdawało mu się, że na pytania Confalume'a może odpowiedzieć tylko albo bezczelnym kłamstwem, czego najszczerzej chciał uniknąć, albo zdradzając mu tajemnicę.

W jakiś sposób, posługując się półprawdami i niedomówieniami, udało się Prestimionowi wybrnąć z labiryntu pytań, stawianych przez Pontifexa, nie mówiąc o rzeczach, o których mówić nie mógł i nie uciekając się do naprawdę haniebnych oszustw. Wyglądało na to, że Confalume przyjmował wszystko, co mu mówiono, za dobrą monetę.

Na to w każdym razie liczył Prestimion. Poczul ogromną ulgę, kiedy spotkanie zaczęło dobiegać końca i mógł zostawić starszego władcę nie powodując więcej niezręczności.

- Następnym razem nie każesz tyle na siebie czekać, prawda? - spytał Confalume, wstając, opierając dłonie na ramionach Prestimiona i patrząc mu prosto w oczy. - Wiesz, jak cieszę się, kiedy cię widzę, mój synu.

Prestimion uśmiechnął się słysząc te słowa i ciepły ton Pontifexa, ale zarazem poczuł ból. Confalume mówił dalej:

- Tak, powiedziałem „mój synu”. Zawsze chciałem mieć syna, ale Bogini mi go nie dała. Teraz go mam, przynajmniej w jakimś sensie. Bowiem w obliczu prawa Koronal jest adoptowanym synem

Pontifexa, oczywiście. Jesteś przeto moim synem, Prestimionie. Jesteś moim synem!

Była to niezręczna, wręcz bolesna chwila. Bogini zesłała Confalume'owi syna, ale był to Korsibar, który nigdy nie istniał.

Najgorsze miało jeszcze nastąpić.

Wtedy właśnie, kiedy Prestimion powoli przemieszczał się w stronę drzwi, Confalume rzekł:

- Powinieneś się ożenić, Prestimionie. Koronał potrzebuje pomocy w swoich trudach. Może ja nie żyłem najlepiej z moją Roxivail, ale skąd mogłem wiedzieć, jaka jest próżna i płytką? Ty poradzisz sobie lepiej. Na pewno gdzieś jest kobieta, która będzie dla ciebie godną małżonką.

Jeszcze raz przed oczami Prestimiona pojawił się obraz Thismet wywołując ból, który towarzyszył każdej myśli o niej.

Tak, Thismet. Confalume nigdy nie dowiedział się o spóźnionym uczuciu, które połączyło Thismet i Prestimiona na polach bitew w zachodnim Alhanroelu.

Jakie to miało teraz znaczenie? Prestimion mógłby poślubić córkę Confalume'a pomimo nominalnej adopcji. Ale Confalume nie miał córki. Jej imię zostało wymazane z kart historii. Krótki i prędko zakończony związek z Thismet był kolejną sprawą, o której Prestimion nie mógł mówić. Teraz była Varaile, choć wciąż byli sobie obcy. Prestimion nie wiedział, czy kiedykolwiek spełni obietnicę, daną jej przy pierwszym spotkaniu. Poza tym w dziwny sposób nie chciał w ogóle wspominać Confalume'owi o Varaile z innego

powodu. Zrozumiał, że czuł jakąś perwersyjną i zupełnie idiotyczną wierność pamięci jego zamordowanej córki, o której istnieniu Confalume nie miał nawet pojęcia.

Uśmiechnął się tylko i powiedział:

- Jest na pewno i obym ją kiedyś odnalazł, a kiedy to się stanie, możesz być pewien, poślubię ją szybko. Ale nie rozmawiajmy już o tym, dobrze, ojcze? - po czym zsalutował i spiesznie wyszedł.

Dekkeret oczywiście uczył się o Ni-moya jeszcze w szkole, ale lekcja geografii nie była w stanie nikogo przygotować na spotkanie z rzeczywistością największego miasta Zimroelu.

Któżby uwierzył, że na mniejszym kontynencie może znajdować się tak wspaniałe miasto? Z wiedzy Dekkereta wynikało, że Zimroel jest przede wszystkim rozwijającą się dopiero krainą lasów, dżungli i olbrzymich rzek, że większość jego centrum porasta nieprzenikniona puszcza, do której Stiamot wygnał Metamorfów i która pozostawała ich głównym skupiskiem. Były w Zimroelu jakieś miasta - Narabal, Pidruid, Piliplok i inne - ale Dekkeret sądził, że będą to błotniste dziury na końcu świata zamieszkałe przez tłumy nieokrzesanych kmiotków. O Ni-moya, stolicy kontynentu, słyszało się wprawdzie, że ma imponującą populację, jakieś piętnaście czy dwadzieścia milionów, ale wiele miejsc Alhanroelu osiągnęło tę liczbę mieszkańców setki lat temu. Czemu podniecać się rozmiarami Ni-moya, skoro Alaisor i Stee i pół tuzina innych miast starego kontynentu było równie wielkie, jeśli nie większe? Poza tym sam rozmiar nie świadczył jeszcze o wspaniałości. Można było upchnąć dwadzieścia milionów ludzi w jednym miejscu, albo i pięćdziesiąt, jeśli kto chciał, ale uzyskać tylko olbrzymią, zapuszczoną miejską dżunglę, hałaśliwą, chaotyczną i niemal nie do zniesienia dla kogokolwiek cywilizowanego przez dłużej niż pół dnia. Tego właśnie

spodziewał się Dekkeret po celu swojej podróży.

On i Akbalik wypłynęli z Alaisor, portu, z którego zazwyczaj wyruszali podróżujący z centrum Alhanroelu na zachodni kontynent. Po nieciekawej, choć pozornie niekończącej się podróży, wylądowali w Piliploku na wschodnim wybrzeżu Zimroelu.

Miasto to okazało się być w każdym calu takie, jak wyobrażał sobie Dekkeret. Słyszał, że Piliplok jest brzydki i taki był faktycznie, zaprojektowany ciężko i surowo. Ludzie często mówili, że rodzinne miasto Dekkereta, Normork, było ciemne i ponure i tylko ktoś tam urodzony mógł je pokochać. Dekkeret, który lubił wygląd Normork, nigdy wcześniej nie rozumiał tych słów krytyki. Aż do teraz. Kto mógłby pokochać Piliplok, poza ludźmi tam urodzonymi, dla których ciężki i surowy wygląd miasta stanowił wyznacznik piękna?

Na pewno jednak Piliplok nie był błotnistą dziurą na końcu świata. No, może na końcu świata, ale nie dziurą i nie błotnistą. Całe miasto było brukowane do ostatniego skrawka, stanowiło ohydłą metropolię z kamienia i betonu, i trudno tu było dostrzec choć jedno drzewo czy krzaczek. Zaprojektowano je z matematyczną, wręcz obsesyjną precyzją: jedenaście idealnie prostych szprych rozchodziło się od wspaniałego, naturalnego portu nad Morzem Wewnętrznym, a wygięte ulice przecinały te szprychy niepokojąco równiutkimi rzędami. Każda dzielnica, czy to handlowa blisko morza, czy położona dalej przemysłowa, czy liczne strefy mieszkalne i wypoczynkowe, wszystkie były utrzymane w jednakowym stylu architektonicznym, jakby nakazywało to prawo, a same budynki,

niezgrabne i ciężkie, nie przypadły Dekkeretowi do gustu. W porównaniu z Piliplok Normork było przestronnym rajem.

Ich pobyt tu miał być, na szczęście, krótki. Piliplok było nie tylko głównym portem dla statków kursujących pomiędzy Alhanroelem i Zimroelem i dla floty łowców morskich smoków, którzy przemierzali wody Morza Wewnętrznego w pogoni za gigantycznymi, morskimi ssakami, cenionymi za mięso, lecz także miejscem, gdzie Zimr, największa ze wszystkich rzek Majipooru, wpadała do morza po siedmiu tysiącach mil podróży przez Zimroel. Położenie przy ujściu tej wielkiej rzeki czyniło z niego bramę w głąb kontynentu.

Akbalik wykupił im podróż jedną z wielkich łodzi rzecznych, które przemierzały Zimr pomiędzy Piliplokiem a źródłami Zimru w Rozpadlinie Dulorn w północno-zachodnim Zimroelu. Łódź była ogromna, dużo większa niż statek, którym podróżowali przez Morze Wewnętrzne. Statki oceaniczne, proste i solidne, projektuje się tak, by wytrzymały tysiące mil na otwartym morzu, podczas gdy łódź rzeczna jest niezdarna, skomplikowana i przypomina raczej pływającą wioskę.

W istocie była to szeroka, niska, właściwie prostokątna platforma. Pod jej pokładem znajdowały się ładownie, sterownie i jadalnie, na pokładzie kwadratowy dziedziniec, otoczony namiotami, sklepikami i namiotami do gier, a na rufie mieściła się skomplikowana, wielopiętrowa budowla, w której mieszkali pasażerowie. Łódź udekorowana była ozdobnie i fantazyjnie, nad mostkiem szkarłatny, zębaty łuk, na dziobie groteskowe, zielone galiony z pomalowanymi na żółto rogami, a zewsząd masa ekscentrycznych, ozdobnych

drewnianych elementów, wymyślna płatanina przypór, ślimaków i rozpórek.

Dekkeret w zadziwieniu przyglądał się swoim współpasażerom. Większość z nich stanowili oczywiście ludzie, ale byli tu też liczni Hjortowie, Skandarzy i Vroonowie, kilku Su-Suherisów w prześwitujących szatach i paru łuskowatych Ghayrogów, którzy wyglądali jak gady, choć byli ssakami. Dekkeret zastanawiał się, czy zobaczy też Metamorfów i nawet spytał o to Akbalika, ten jednak odparł, że nie, że Zmiennokształtni rzadko opuszczali swój rezerwat w głębi lądu, choć mieli do tego prawo i od dawna już nie znajdowali się pod obserwacją. Dodał też, że jeśli Metamorfowie w ogóle przebywali na pokładzie, zapewne przybrali jakąś inną formę, by uniknąć nieprzyjaznych reakcji, które zazwyczaj wywoływali.

Zimr w Piliploku był ciemny od szlamu, który podczas swej długiej podróży na wschód wymywał z koryta, tam zaś, gdzie uchodził do morza, miał około siedemdziesięciu mil szerokości, nie przypominał więc rzeki, a raczej gigantyczne jezioro, zalewające dużą część wybrzeża. Sam Piliplok zajmował rozległy cypel na południowym brzegu rzeki. Gdy wyruszali, Dekkeret ledwo widział zarys niezamieszkanego, północnego brzegu, choć odcinał się on od rzeki potężnym klifem z białej kredy, wysokim na milę i na wiele mil długim, świetlistym w blasku słońca. Kiedy wypłynęli z Piliploku w górę rzeki, Zimr zwęzał się nieco i zaczynał bardziej przypominać zwykłą rzekę, choć nigdy nie stawał się prawdziwie wąski.

Dla Dekkereta była to podróż do innego świata. Spędzał całe dni

na pokładzie, wpatrując się w okrągłe, płowe wzgórza i ruchliwe miasteczka z obu stron rzeki, których nazw nigdy wcześniej nie słyszał: Port Saikforge, Stenswamp, Campilthorn, Vem. Gęstość zaludnienia wzdłuż brzegów rzeki go zadziwiała. Łódź rzadko płynęła nieprzerwanie przez dłużej niż dwie, trzy godziny, wciąż zatrzymywała się w kolejnych portach, by wysadzać pasażerów i przyjmować nowych, wyładowywać i ładować towar. Przez jakiś czas Dekkeret zapisywał nazwy tych portów w swoim notesie - Dambemuir, Orgeliuse, Impemond, Haunfort Większe, Salvamot, Dolina Obliorn - aż zdał sobie sprawę, że jeśli dalej będzie to robił, to przed dotarciem do Ni-moya skończy mu się miejsce na notatki. Zadowalał się więc staniem przy burcie i patrzeniem, chłonięciem wciąż zmieniających się widoków. Po pewnym czasie wszystkie zlały się w jedno, obcy krajobraz zaczął wyglądać znajomo i Dekkeret przestał czuć przytłaczającą obcość. Ale kiedy śnił, często były to sny, w których leciał przez niekończącą się kosmiczną noc, z łatwością poruszając się między gwiazdami.

*

Podczas podróży miały miejsce dwa niepokojące zdarzenia, obydwa w ciągu zaledwie kilku dni od opuszczenia Piliploku. Jedno było komiczne, drugie tragiczne.

Pierwsze związane było z rudowłosym mężczyzną o kilka zaledwie lat starszym od Dekkereta, który większość czasu spędzał wałęsając się po pokładzie, mamrocząc do siebie, chichocząc bez powodu i wskazując palcem pustą przestrzeń, jakby miała ona jakieś tajemnicze

znaczenie. Dekkeret miał go za nieszkodliwego wariata i przypomniał sobie innego szaleńca, nie tak nieszkodliwego, który zabił jego ukochaną kuzynkę Sithelle podczas wariackiej próby zamordowania Koronala. Postanowił trzymać się z dala od rudzielca. Aż do chwili, kiedy trzeciego dnia Dekkeret stał przy relingu prawej burty i patrzył na mijane miasteczka, i nagle usłyszał dochodzący z lewej obłąkańczy śmiech - czy może wariackie wrzaski, nie był tego pewien. Odwrócił się i ujrzał, że rudowłosa mężczyzna wymachując rękoma przebiega przez dolny, główny pokład, wbiega po schodach na górny, przez chwilę zatrzymuje się na krawędzi balkonu widokowego i, krztusząc się serią groteskowych chichotów i rechotów, rzuca się do rzeki. W wodzie zaczął miotać się jak w maniakałnym szale.

Natychmiast rozległ się krzyk: „człowiek za burtą!” Łódź zatrzymała się, a dwóch członków załogi wypłynęło szalupą i bez trudu wyciągnęło bezradnego szaleńca z wody. Wnieśli go na łódź, ociekającego wodą i z pianą na ustach i zabrali go pod pokład. Wtedy to Dekkeret widział go po raz ostatni, aż do momentu, kiedy dzień później przybili do nabrzeża w miasteczku zwanym Kraibledene, gdzie rudowłosego wysadzono na brzeg i, jak się zdawało, oddano miejscowym władzom.

Dzień później wydarzyła się rzecz jeszcze dziwniejsza. Wczesnym popołudniem, w pogodny, ciepły dzień, gdy łódź płynęła przez niezamieszkałe tereny, wychudzony, surowo wyglądający mężczyzna w sztywnych, ozdobnych szatach zszedł z pokładu pasażerskiego, niosąc dużą i wyraźnie ciężką walizę. Ustawił ją na wolnej przestrzeni

głównego pokładu, otworzył i zaczął wydobywać dziwnie wyglądające instrumenty i przyrządy, które następnie układał z wielką dbałością w półkoło przed sobą.

Dekkeret szturchnął Akbalika.

- Spójrz na te dziwy! To ekwipunek czarodzieja, prawda?

- Na oko tak. Ciekawe, czy zamierza rzucić jakiś czar na naszych oczach.

Dekkeret nie znał się na magii i za nią nie przepadał. Przejawy rzeczy nadnaturalnych i nieracjonalnych sprawiały, że czuł się niepewnie.

- Jak myślisz, powinniśmy się tym przejmować?

- Zależy, jaki to miałyby być czar - Akbalik wzruszył ramionami. - Ale może planuje tylko urządzać wyprzedaż dla magów amatorów. Cały ten sprzęt nie może służyć do rzucenia jednego czaru - to powiedziawszy, zaczął pokazywać Dekkeretowi poszczególne przyrządy. Trójkątne, kamienne naczynie zwało się veralistią, służyło za tygiel, w którym spalano proszki, pozwalające widzieć przyszłość. Skomplikowane urządzenie z metalowych zwojów i słupków to astrolabium, które pokazywało pozycję planet i gwiazd, umożliwiając stawianie horoskopów. Przedmiot z plecionych ptasich piór i zwierzęcego futra, którego nazwy Akbalik nie pamiętał, ułatwiał rozmowy z duchami zmarłych. Obok niego stał zestaw kryształowych soczewek i złotego drutu, zwany podromis, a służący magom do przywracania mężczyznom wigoru.

- Sprawiasz wrażenie eksperta - powiedział Dekkeret. - Rozumiem,

że miałeś styczność z tymi wszystkimi przedmiotami?

- Bynajmniej. Nieczęsto konwersuję z duchami zmarłych i nie miałem nigdy potrzeby korzystać z podromisu. Ale w dzisiejszych czasach słyszysz o tym, gdziekolwiek się obrócisz. Spójrz, ma tego więcej! Ciekaw jestem, do czego to służy... I to coś z kólkami i tłokami!

Waliza została wreszcie opróżniona. Wokół mężczyzny zgromadziła się spora grupka gapiów. Dekkeret sądził, że po łodzi rozeszła się wiadomość, że zaraz nastąpi jakiś pokaz magii. To zawsze przyciągało tłumy.

Wychudzony mag - nie było wątpliwości, że był magiem - nie zwracał uwagi na publikę. Siedział ze skrzyżowanymi nogami naprzeciw półkola dziwacznych aparatów i sprawiał wrażenie, że przebywa na innym poziomie świadomości. Oczy miał półprzymknięte i rytmicznie kiwał głową na boki.

Nagle wstał gwałtownie. Podniósł nogę i z dziką siłą nadepnął na delikatny przyrząd, który Akbalik nazwał podromisem. Zmiażdżył go, po czym zajął się deptaniem astrolabium, potem urządzenia z kólkami i tłokami, potem stojącej tuż obok małej, delikatnej maszyny z połączonych metalowych trójkątów. Gapie aż westchnęli z zadziwienia i szoku. Dekkeret zastanawiał się, czy niszczenie takich przedmiotów było bluźnierstwem i czy takie zachowanie mogło spowodować zemstę duchów. O ile duchy istnieją, dodał w myślach.

Mag systematycznie zniszczył prawie wszystkie swoje czarodziejskie przyrządy. Potem złapał te, których nie mógł rozbić, i

wyrzucił je za burtę. W końcu spokojnie, z determinacją podszedł do relingu, przeskoczył go jednym, płynnym ruchem i spadł do rzeki.

Tym razem nie było mowy o ratunku. Mężczyzna zatonął natychmiast, jakby miał kieszenie wypełnione kamieniami. Kolejny raz zatrzymano łódź i spuszczone szalupę, ale tym razem nie odnaleziono ani śladu po pasażerze i po chwili jej obsada wróciła z ponurymi minami, by zdać sprawę ze swej porażki.

- Szaleństwo jest wszędzie - powiedział Akbalik, drżąc. - Świat staje się bardzo dziwny, chłopcze.

Po tych wydarzeniach, członkowie załogi przez cały czas patrolowali pokład dwójkami, by zapobiec podobnym incydentom. Nic się jednak nie wydarzyło.

Tamte dwa zdarzenia pozostawiły Dekkereta w ponurym, refleksyjnym nastroju. Przez wiele miesięcy usiłował stłumić wspomnienie strasznej, niezrozumiałej śmierci Sithelle, ale teraz nie mógł go dłużej wypierać, zalewało jego umysł pełnią swojej okropności. Ten szalonooki wariat... te wściekłe, niezrozumiałe okrzyki szału... Sithelle stawiająca krok naprzód... lśniące ostrze... nagła, przerażająca struga krwi...

A teraz chichoczący, podobny do klauna człowiek wyskakuje za burtę na środku rzeki, potem mag, który najwyraźniej przekroczył kres swojej wytrzymałości. Czy to nagłe, nieodparte szaleństwo, kompletna i niepohamowana utrata rozumu, mogły przytrafić się każdemu, w każdej chwili? Czy mogły przytrafić się nawet jemu? Dekkeret z niepokojem przepatrywał swój umysł w poszukiwaniu

ziaren szaleństwa. Nie było ich tam, a przynajmniej nie potrafił ich znaleźć. Wróciła mu zwykła pogoda ducha i znów zajął się obserwacją mijanych miasteczek bez lęku, że nagle ogarnie go przemożna chęć rzucenia się za burzę.

*

Był zupełnie nieprzygotowany na wspaniałości Ni-moya, które pojawiły się nagle przed nim.

Od kilku dni rzeka stawała się coraz szersza. Dekkeret wiedział, że na południe od miasta do Zimru wpada druga wielka rzeka, Steiche, wypływająca z kraju Metamorfów i że w miejscu, gdzie rzeki się łączyły, powstanie ciek dużo szerszy od każdej z nich. Nie spodziewał się jednak, że wody rozleją się aż tak szeroko. Ujście Zimru w Piliploku wyglądało przy tym jak górski strumyk. Płynąc tu miało się wrażenie, że znowu jest się na oceanie. Dekkeret wiedział, że Ni-moya znajduje się gdzieś na północy, a na drugim brzegu wybudowano inne, wielkie miasta, ale jego umysł z trudem pojmował ogrom roztaczającego się przed nim widoku: cały horyzont wypełniała masa wody, nakrapiana kolorowymi porpcami miejscowych promów, pływających we wszystkich kierunkach.

Miał wrażenie, że przygląda się temu wszystkiemu godzinami. Wreszcie, gdy tak stał zapatrzony, Akbalik ujął go za łokieć i obrócił w bok.

- Spójrz - powiedział. - Patrzysz w złą stronę. Ni-moya jest tam. A w każdym razie, jego część.

Dekkeret był zdumiony. To był magiczny widok. Na

niekończącym się tle gęsto zalesionych wzgórz stało olbrzymie miasto. Na pierwszy plan wysuwały się błyszczące, białe wieże, każda wyższa od poprzedniej, rząd za rządem ogromnych budowli schodzących aż do brzegu rzeki.

Czy to było miasto? Wydawało się być odrębnym światem. Rozciągało się w nieskończoność, jak okiem sięgnąć w górę biegu rzeki i na pewno dalej, dużo dalej, może na setki mil. Dekkeret aż wstrzymał oddech. Tyle tego! I takie piękne! Miał ochotę upaść na kolana. Akbalik zaczął opowiadać jak przewodnik o najślawniejszych budowlach Ni-moya: Galerii Gossamer, hali targowej długiej na milę i zawieszanej wysoko nad ziemią na niemal niewidzianych linach, Muzeum Światów, gdzie wystawiono skarby z całego wszechświata, nawet, jak mówiono, ze Starej Ziemi, Bulwarze Kryształowym, na którym wirujące reflektory świeciły jak tysiąc słońc i o Parku Baśniowych Stworzeń, pełnym cudów z dalekich i prawie nieznanymi rejonów.

Litania zdawała się nie mieć końca.

- Tam, na wzgórzu znajduje się Opera - powiedział Akbalik, wskazując wieloboczny budynek, świecący tak jasno, że od samego patrzenia Dekkereta bolały oczy. - Tam gra orkiestra tysiąca instrumentów, nawet nie potrafisz sobie wyobrazić jej brzmienia. Wyrastająca z niej szklana kopuła z dziesięcioma wieżami to biblioteka miejska, w której znajduje się każda książka, jaką kiedykolwiek opublikowano. A tam, ten rząd niskich budynków tuż nad wodą, które mógłbyś wziąć za pałace książąt, to biura celne. A

dalej, nad nimi i na lewo...

- A co to? - przerwał Dekkeret, wskazując na budynek wielkich rozmiarów i niezwyklej urody, daleko w górę rzeki, który wznosił się ponad wszystko z ogromnym majestatem, przyciągając spojrzenia wszystkich oczu nawet w tym wspaniałym skupisku cudów architektury.

- Tam? - upewnił się Akbalik. - To pałac prokuratora Dantiryi Sambaila.

Był to budynek o białych ścianach, niezwykle okazały i wdzięczny. Nie był tak duży, jak zamek Lorda Prestimiona, ale wystarczająco duży na potrzeby każdego księcia i tak elegancki, że górował nad nabrzeżem doskonałością w czystej formie.

Pałac prokuratora zdawał się dryfować w powietrzu, płynąć nad miastem, chociaż w rzeczywistości, jak zauważył Dekkeret, umieszczony był na gładkim, białym podniesieniu olbrzymiej wysokości, jakby mniejszej wersji Góry Zamkowej. W odróżnieniu od Zamku, nie rozrastał się we wszystkie strony, lecz składał się ze stosunkowo gęsto rozmieszczonych pawilonów i portyków z kolumnadami, w genialny sposób wykorzystujących podwieszenia i wsporniki tak, że zdawały się przeczyć prawom grawitacji. Najwyższe piętro składało się z przezroczystych baniek z najczystszej kwarcu, pod nimi zaś znajdował się rząd komnat o wielu balkonach, a niżej szerokie galerie, do których prowadziły schody, wygięte na zewnątrz jak kolana i powracające do środka w sposób pozornie sprzeczny z geometrią. Mrużąc oczy w świetle białych wież Ni-moya, Dekkeret z

trudem dostrzegał inne skrzydła, po obu stronach budynku na niższych poziomach. U jego podstawy znajdował się jeden, ośmioboczny blok polerowanego agatu, co najmniej tak wielki, jak normalny dom, wystający z podstawy niczym medalion.

- Jak komukolwiek, nawet prokuratorowi, można pozwolić żyć w czymś tak wielkim?

Akbalik roześmiał się.

- Dantirya Sambail sam sobie stanowi prawo. Jak wiesz, miał zaledwie dwanaście lat, gdy odziedziczył prokuraturę Ni-moya. To zawsze było ważne lenno, najważniejsze w Zimroelu, nawet zanim on je objął. Wszyscy spodziewali się, że ustanowi się regencja, ale nie, pozbył się kuzyna regenta w dwie minuty i sam przejął władzę. Później, dzięki trzem małżeństwom, pół tuzinowi nieformalnych sojuszy i wielu spadkom po wpływowych krewnych złożył coś, co jest praktycznie prywatnym imperium. W wieku trzydziestu lat rządził bezpośrednio jedną trzecią Zimroelu i miał pośredni wpływ na pozostałą część, poza rezerwatem Metamorfów. Gdyby istniał jakiś sposób, by i jego przejąć, na pewno by to zrobił. Rządzi więc Zimroelem jak król. A król potrzebuje porządnego pałacu. Dantirya Sambail spędził ostatnie czterdzieści lat na zmienianiu tego, który odziedziczył, w ten, który masz teraz przed sobą.

- A co z Pontifexem i Koronalem? Czy oni nie mają co do tego zastrzeżeń?

- Stary Prankipin, zanim sprzymierzył się z czarnoksiężnikami, przejmował się tylko handlem. Chciał stałej ekspansji gospodarczej od

jednego regionu do drugiego i żeby wszyscy się bogacili, aby pieniądź krążył. Sądzę, że we wzrastaniu potęgi Dantiryi Sambaila widział pomocny czynnik. Zimroel był kiedyś mocno podzielony, znajduje się daleko od siedzib rządu, które są aż za morzem i lokalni władcy robili właściwie co im się podobało. Kiedy interesy diuka Narabalu zderzały się z interesami księcia Pidruid, nie zawsze miało to dobry wpływ na miejscową gospodarkę. Mieć u władzy kogoś takiego, jak Dantiryja Sambail, który mógł wydawać rozkazy miejscowym chłopcom i pilnować całego interesu, idealnie wpisało się w plany Prankipina. Co do Confalume'a, cieszył się ze zjednoczenia Zimroelu pod rządami Dantiryi Sambaila nawet bardziej, niż Pontifex. Żaden z nich, jak rozumiesz, nie lubił prokuratora, bo i któż mógłby go polubić, ale uznali go za pożytecznego. Nawet niezastąpionego. Dlatego właśnie tolerowali jego pragnienie władzy, a nawet go podpuszczali. A on był dość mądry, by nie nadebrać żadnemu z nich na odcisk. Często bywał w Labiryncie i na Zamku, składał hołdy, lojalny poddany jego wysokości i jego Lordowskiej mości, i tak dalej.

- A Prestimion? Czy on także godzi się na ten układ?

- Ach, Prestimion - przez oblicze Akbalika przemknęła chmura. - Nie, teraz sprawy mają się inaczej. Pomiędzy Lordem Prestimionem i prokuratorem są jakieś niesnaski. Właściwie całkiem poważne.

- Jakiego rodzaju?

Akbalik odwrócił wzrok.

- Nie takiego, żebym mógł to teraz z tobą omawiać, chłopcze. Poważne i już. Niezwykle poważne. Może będziemy mogli zagłębić

się w ich szczegóły kiedy indziej. Spójrz, wygląda na to, że przybijamy do portu.

*

Dzielnica, w której zeszli na ląd, nazywała się Strelain i według Akbalika była centrum Ni-moya. Czekał na nich rządowy ścigacz, który przewiózł ich po pnących się w górę ulicach miasta i wysadził pod budynkiem, który przez kilka najbliższych miesięcy miał być ich domem.

Małe mieszkanie Dekkereta znajdowało się na piętnastym piętrze. Nigdy nie myślał, że dom może mieć aż tyle pięter. Stał przy szerokim oknie, patrzył na dachy budynków pod nim, na płynącą w oddali rzekę i na ciemną linię południowego brzegu Zimru po drugiej stronie, tak daleką, że prawie niewidoczną i miał niemiłe uczucie, że w każdej chwili budynek może się przechylić z racji swojej niesamowitej wysokości i spaść ze wzgórza, sypiąc na wszystkie strony cegłami, z których był wzniesiony. Odszedł od okna, drżąc. Ale wysoki gmach wciąż stał mocno.

Następnego dnia rozpoczął pracę w Biurze Odwołań. Był to jeden z wydziałów Ministerstwa Skarbu, umieszczony na tyłach rozrośniętego, tysiącletniego budynku rządowego, zbudowanego z niebieskiego granitu i zwanego Budynkiem Cascanara, położonego w południowośrodkowym Streilanie.

Była to praca bez znaczenia. Dekkeret nie miał co do tego wątpliwości. Jego zadanie polegało na rozmowach z ludźmi, których ważne dokumenty - w każdym razie ważne w ich oczach - zostały

przekręcone przez biurokrację i na rozwiązywaniu spowodowanych tym problemów. Od pierwszego dnia zmuszony był starać się rozgryźć tajemnice błędnie wpisanych dat urodzin, niewłaściwego wyznaczenia granic posiadłości, niejasnych, wzajemnie sobie zaprzeczających stwierdzeń umieszczonych w poleceniach prawnych przez niedbałych stenografów i mnóstwa podobnych rzeczy. Nie istniał żaden powód, dla którego musiano go wysłać w miejsce oddalone o tysiące mil, by zajmował się sprawami tak uciążliwymi i nieznaczącymi, z którymi poradziłby sobie każdy z już zatrudnionych tu zawodowych urzędników.

Mimo to rozumiał, jaki to miało sens. Wszyscy rządzący, od Pontifexa i Koronała zaczynając, byli zawodowymi urzędnikami. A każdy książę z Góry Zamkowej, jeśli tylko miał ambicję pełnienia w przyszłości ważnej funkcji, musiał przez jakiś czas wykonywać podobną pracę. Nawet Prestimion, urodzony książę Muldemar, który mógł spędzić beztrąsko całe życie w swoich winnicach, musiał przez to przejść, by nabyć doświadczenia, które wyniosło go na tron.

Dekkeret, syn handlarza, nigdy nie miał wielkich ambicji. Korona gwiazd wykraczała poza granice jego wyobraźni, bycie rycerzem na Zamku było najwyższą aspiracją, na jaką sobie pozwalał. Teraz nim właśnie został, dzięki przypadkowi, który sprawił, że stał blisko Koronała w chwili próby zamachu. A w każdym razie był rycerzem kandydatem. Właśnie dlatego siedział za biurkiem w Biurze Odwołań w Ni-moya, dzień w dzień przedzierając się przez głupią pracę i licząc, że w końcu zacznie robić poważniejsze rzeczy, bliższe szczytu

władzy. Ale najpierw trzeba było zrobić to.

Akbalik, którego w godzinach pracy nie widywał wcale, a wieczorami tylko czasem, przeszedł już do poważniejszych spraw, choć Dekkeret nie był pewien, na czym one polegały. Jasne było, że Akbalik był kimś, na kim można się było wzorować. Był blisko wewnętrznego kręgu Koronala, to było pewne, choć może sam jeszcze do niego nie należał. Miał dobre stosunki z Wysokim Doradcą Septachem Melaynem, szorstki i przechodzący zawsze do rzeczy. Admirał Gialaurys darzył go szacunkiem, wydawał się mieć łatwy dostęp do Lorda Prestimiona. Bez wątplenia jego przeznaczeniem był szybki awans do najwyższych szczebli rządu.

Oczywiście, Akbalik był bratankiem bogatego i potężnego księcia Serithorna, co na pewno mu pomagało. Ale choć wysokie urodzenie mogło ułatwić dostęp do wysokiej pozycji w zamkowej hierarchii, Dekkeret wiedział, że ostatecznie to zasługi, inteligencja, charakter i wytrwałość wynosiły na szczyt. Głupcy i próżniacy nie zostawali Koronalami, choć dzięki szczęściu i rodzinnym koneksjom zajmowali mniej świetne stanowiska mimo wyraźnych wad. Hrabia Meglis z Normork był tego dobrym przykładem.

Wielkie bogactwo i wysokie urodzenie też nie wystarczały, by zająć tron, w przeciwnym wypadku Serithorn, potomek połowy wielkich Koronarów z dawnych czasów, już by na nim siedział. Ale książę Serithorn nie był człowiekiem odpowiednim na to stanowisko. Brakło mu potrzebnej powagi. Septach Melayn, Wysoki Doradca, też nie zostanie Koronalem z tego samego powodu.

Lord Prestimion udowodnił, że nadaje się na to stanowisko. Tak samo Lord Confalume przed nim. I podobnie Akbalik, spokojny, zrównoważony, bystry, ciężko pracujący, niezawodny, może być doskonałym materiałem na Koronala. Dekkeret niezmiernie go podziwiał. Było za wcześnie na spekulacje, kto może zostać następcą Koronala po tym, jak Prestimion stanie się Pontifexem, ale Dekkeret uważał, że byłoby wspaniale, gdyby wybór padł na Akbalika. I byłoby to również dobre dla Dekkereta z Normork, bo Akbalik patrzył na niego przychylnie i widział w nim dobrze zapowiadającego się młodzieńca. Dekkeret pozwolił sobie na szaleńczą wizję siebie jako Wysokiego Doradcy przy Koronalu Lordzie Akbaliku. Później zaś powrócił do poprawiania literówek w imionach na umowach powierniczych, rozwiązywania sporów o ziemię ciągnących się od czasów Lorda Keppimona i autoryzowania zwrotów podatków, pobranych trzykrotnie przez nadgorliwych urzędników.

Tak minęły dwa miesiące. Dekkeret stawał się coraz bardziej niespokojny, ale twardo brnął dalej i nie pozwalał sobie na ani jedno słowo skargi. W wolnym czasie włóczył się po mieście, wciąż na nowo zachwycając się jego cudami. Zapoznał się z paroma osobami z biura, poznał kilka miłych, młodych kobiet, raz czy dwa razy w tygodniu spotykał się w miejscowej tawernie z Akbalikiem i razem próbowali doskonałych win Zimroelu. Dekkeret nie miał pojęcia, jakie zadanie wykonywał Akbalik w Ni-moya i nie pytał o to. Był wdzięczny za towarzystwo starszego mężczyzny i uważał, by nie poruszać kwestii, które w oczywisty sposób go nie dotyczyły.

Pewnej nocy Akbalik powiedział:

- Pamiętasz, jak byliśmy w gabinecie Koronala i Septach Melayn mówił, żebyśmy wyprawili się na polowanie na stitmoje?

- Oczywiście.

- Umierasz z nudów nad swoją pracą, prawda, Dekkerecie?

Dekkeret zarumienił się.

- Cóż...

- Nie próbuj być delikatny. Powinieneś umierać z nudów. Ale nie wysłano cię tutaj na tortury. Jestem prawie gotowy, by zrobić sobie przerwę w pracy. Co powiesz na dziesięciodniową wycieczkę na północ? Zobaczymy, jak o tej porze roku biegają stitmoje?

- Czy mógłbym dostać zwolnienie z pracy? - zapytał Dekkeret.

Akbalik wyszczerzył zęby w wesołym uśmiechu.

- Sądzę, że zdołam ci to załatwić.

Im dalej na północ od Ni-moya jechali, tym szybciej zmieniał się krajobraz. Większość Majipooru miała klimat subtropikalny lub tropikalny, z wyjątkiem pasm górskich tak wysokich, jak Gonghar w centralnym Zimroelu czy szczyt góry Zyngor na dalekiej północy Alhanroelu. Sama Góra Zamkowa, dzięki zaprojektowanym przez starożytnych maszynom pogodowym, które nieustannie odpędzały zimną noc stratosfery, cieszyła się wieczną wiosną.

Jednak na północno-wschodnim Zimroelu, wysuniętym daleko w stronę bieguna, z tego właśnie powodu panowały znacznie niższe temperatury. Na wysokim, otoczonym górami płaskowyzu, zwanym bagnami Khyntor, śnieg w zimie nie był niczym niezwykłym. Jeszcze dalej, za ścianą gór nazywanych Dziewięcioma Siostrami, znajdowała się niezbadana, polarna kraina wiecznego mrozu, gdzie nikt się nie zapuszczał. W tym ponurym i praktycznie niedostępnym regionie żyła według legendy rasa dzikich, odzianych w futra barbarzyńców, pozostająca od tysiącleci w całkowitej izolacji i tak nieświadoma wygod, ciepła i dobrobytu, w których żyła reszta Majipooru, jak Majipoor nieświadom był jej istnienia.

Akbalik i Dekkeret nie mieli zamiaru zbliżyć się do na wpół mitycznej krainy wiecznej zimy i nietopniejącego lodu. Ale nawet niedaleko od Ni-moya jej surowy wpływ na pobliskie terytoria był wyraźnie widoczny. Bujne, zielone lasy subtropikalne ustępowały

miejsca roślinności typowej dla klimatu umiarkowanego. Dominowały ciekawe drzewa liściaste o jasnożółtych pniach, rosnące w dużej odległości od siebie wśród kamienistych łąk pokrytych nieładną, bladą trawą. Kiedy wkroczyli w podnóża bagien Khyntoru, otoczenie zrobiło się jeszcze bardziej ponure. Drzewa i trawa były tu rzadsze. Krajobraz zdominował wznoszący teren, tarcze z szarego granitu pocięte płynącymi na północ wartkimi strumieniami. Daleko przed nimi widać było zarys pierwszej z Dziewięciu Sióstr, Threilikor, Szlochającej Siostry, której ciemna ściana lśniła od rzeczek i potoków.

Akbalik wynajął na przewodników drużynę pięciu myśliwych, ludzi z bagien, smukłych górali z północy o skórze jakby wytrawionej, ubranych w proste, niedbale zszyte stroje z czarnej skóry haigusa. Trzech z nich wyglądało na mężczyzn, dwóch na kobiety, choć niełatwo było to stwierdzić, tak ściśle owijali się grubymi szatami. Mówili bardzo niewiele. Kiedy rozmawiali między sobą, używali chrapliwego dialektu z gór, który był dla Dekkereta właściwie niezrozumiały. Zwracając się do dwóch paniczów z Zamku używali wspólnego języka, ale mówili z mocnym akcentem, nadając słowom rytm ich własnej mowy. Dekkeret często nie znał też idiomów, właściwych dla Ni-moya, których używali nader często. Większość rozmów prowadził więc Akbalik.

Ludzie w gór zdawali się traktować swoich wychowanych w mieście zleceniodawców z rozbawieniem graniczącym z pogardą. Jasne było, że nie czuli żadnego szacunku do Dekkereta, który nigdy

wcześniej nie przebywał na tak dzikich ziemiach i pomimo swojej siły był wyraźnie niepewny siebie. Nie miał wątpliwości, że patrzyli na niego jak na niezdarnego, bezużytecznego chłopca. Nie sprawiali też wrażenia, jakby szczególnie poważali Akbalika, który zazwyczaj wszędzie zdobywał sobie uznanie dzięki roztaczanej aurze kompetencji i talentu. Kiedy zadawał góralom pytania, odpowiadali szorstko, monosylabami, a czasem wręcz odwracali głowy z sardonycznym uśmieszkiem, jakby ledwo ukrywali pogardę dla mieszczucha, który pyta o rzeczy oczywiste, znane przez każde dziecko.

- Stitmoje to leśne stworzenia - powiedział Akbalik Dekkeretowi. - Nie czują się dobrze na otwartej przestrzeni. Ich terytoria znajdują się w mroku, w cieniu góry. Myśliwi wypłoszą nam watahę z głębokiego boru i zmuszą ją do panicznej ucieczki. Wybieramy te, które chcemy dopaść i tropimy je w lesie, aż nie będą miały gdzie uciec. - Akbalik rzucił okiem na dziwnie krótkie nogi Dekkereta, pokryte węzłami mięśni. - Jesteś dobrym biegaczem, prawda?

- Żaden ze mnie sprinter, ale dam radę.

- Stitmoje też nie są szczególnie szybkie. Nie muszą. Ale dysponują niezwykłą wytrzymałością i lepiej od nas przedzierają się przez gęste poszycie. Mogą łatwo wpaść w krzaki i zniknąć ci z oczu. Kłopot z nimi jest taki, że czasem zataczają koło i atakują od tyłu. Żywią się głównie jagodami, orzechami i korą, ale nie pogardzą mięsem, szczególnie w zimie. I mają czym zabijać.

Akbalik sięgnął do swojego bagażu i zaczął wyciągać z niego broń,

wykładając ją przed Dekkeretem.

- To weźmiemy ze sobą. Zakrzywiona maczeta służy do wyrąbywania sobie drogi przez poszycie. Pugińalem zabijasz stitmoja.

- Tym? - spytał Dekkeret. Wziął broń do ręki i wpatrywał się w nią. Brzeszczot był bardzo ostry, miał jednak najwyżej pięć cali. - Nie jest trochę krótki?

- Chciałbyś zabić stitmoja miotaczem energii?

Dekkeret poczuł, jak na twarz wypływa mu rumieniec. Przypomnił sobie, jak Septach Melayn opowiadał o polowaniu na stitmoje z pugińalem i maczetą. Wtedy Dekkeret się nad tym nie zastanawiał.

- Oczywiście, że nie. Ale mając to, będę musiał chyba dosięść stitmoja, by go zabić.

- Właśnie. Na tym polega ten sport. To polowanie na bliski zasięg, wielkie ryzyko za wysoką nagrodę. Poza tym, jak najmniej niszczy się drogocenne futro. Jeśli dojdzie do sytuacji, kiedy będziesz musiał wybierać pomiędzy życiem swoim a stitmoja, użyj maczety, ale jest to uznawane za niesportowe. Wyobraź sobie chociażby Septacha Melayna, który rąbie stitmoja maczetą!

- Septach Melayn jest najszybszym człowiekiem, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi. Mógłby zabić stitmoja wykałaczką z kości słoniowej. Ale ja nie jestem nim.

Akbalik nie wyglądał na przejętego. Dekkeret był duży i silny, był zdeterminowany i będzie umiał o sobie zadbać w lasach stitmojów.

Sam Dekkeret nie był tego taki pewien. Nigdy nie prosił się o tę

przygodę. To był pomysł Septacha Melayna. Wcześniej, na Zamku, zapalił się, by wprowadzić go w życie, ale wtedy nie miał pojęcia, jak będzie wyglądało polowanie na stitmoje w ich naturalnym środowisku. I choć w ciągu swoich pierwszych miesięcy na Zamku nasłuchiwał się wspaniałych historii od innych rycerzy kandydatów i bardzo zazdrościł im przygód, rozumiał teraz, że czym innym było polowanie na zaury, onathile i bilantoony na ogrodzonych terenach łowieckich, a czymś zupełnie innym wędrówka po zimnych lasach północy w poszukiwaniu dzikich stitmojów, które chciało się zabić malutkim sztylecikiem.

Ale Dekkeret nie był tchórzliwy. Czekala go próba wydająca się bardzo trudną, owszem, ale polowanie nie musiało okazać się tak ryzykowne, jakim wydawało mu się teraz, gdy wyobraźnia nakazywała oczekiwać najgorszego. Podniósł więc puginał i maczetę, zważył je w dłoniach i wykonał kilka szybkich cięć dla wprawy. Wesóło oświadczył Akbalikowi, że po namyśle puginał zdaje się być idealny do tego zadania i że jest gotów zapolować na stitmoje, o ile tylko one były gotowe na niego.

*

Podążali za pięcioma mieszkańcami bagien w dół kamienistego zbocza prowadzącego na ciemną polanę, gdzie żyły stitmoje. Okazało się, że Akbalik ma w zanadru jeszcze jedną niespodziankę. Wyciągnął z torby dwie metalowe tuby o spłaszczonych nosach i jedną wsunął za pas, drugą zaś podał Dekkeretowi.

- Miotacze energii? Ale mówiłeś...

- Rozkaz Lorda Prestimiona. Chcemy zachowywać się jak prawdziwi sportowcy, ale mam obowiązek przywieźć cię z powrotem żywego. Puginał jest twoją główną bronią, w razie kłopotów możesz użyć maczety, ale w przypadku prawdziwych problemów masz rozwalić przekłętą zwierzaka miotaczem. To niezbyt eleganckie rozwiązanie, ale nadaje się na ostatnią deskę ratunku. Rozsierdzony stitmoj może wypruć człowiekowi flaki trzema machnięciami łapą.

Wsuwając miotacz w jeden z uchwytów przy pasie Dekkeret czuł raczej wstyd, niż ulgę. Marzył, by istniał jakiś sposób ukrycia go przed ludźmi z bagien, choć nie miało to już wielkiego znaczenia. Nie ukrywali oni, że widzą w Dekkerecie i Akbaliku dwóch płytkich, samolubnych gogusiów, tak głupich, że nie umieli znaleźć sobie lepszego zajęcia od wycieczki po lasach, połączonej z polowaniem na niebezpieczne stworzenia, a wszystko to tylko dla rozrywki. Nawet gdyby nagle wyciągnęli miotacze energii i zaczęli strzelać do zbyt rozbuchanych stitmojów, nie pogorszyłoby to ich obrazu w oczach przewodników z bagien. Mimo to, Dekkeret miał nadzieję, że nie będzie musiał skorzystać z miotacza nawet w ostateczności. Puginał i, jeśli trzeba będzie, maczeta, musiały wystarczyć.

W nocy padał śnieg. Choć nie było już przymrozku, ziemia wokół była biała. Od czasu do czasu spadało kilka samotnych płatków. Jeden z nich wylądował na policzku Dekkereta, powodując leciutkie pieczenie. Dziwne to było uczucie. Śnieg w ogóle był dla niego czymś zupełnie nowym i głęboko fascynował.

Drzewa na polanie miały żółte pnie, podobnie jak te, które widzieli

na południu, ale zamiast liści porastały je czarnobrzazowe igły. Nie były też powykręcane pod dziwnymi kątami, lecz stały prosto, a ich korony spotykały się wysoko nad głowami ludzi. Pod nimi panowała głęboka ciemność. Z jednej strony przepływał strumień nakrapiany dużymi głazami, z drugiej, bliżej góry, ziemia ostro opadała w dolinę.

Pięciu myśliwych prowadziło, Dekkeret i Akbalik szli tuż za nimi po śladach, które zostawiali w śniegu. Powoli przyspieszali, aż w końcu biegli po lesie truchtem, łagodnymi łukami omijając głazy przy brzegu strumienia. Rzadko który myśliwy oglądał się za siebie, a kiedy w końcu jeden z nich to zrobił - kobieta, ta o płaskiej twarzy, szerokich ustach i z przerwami między zębami - to tylko po to, by obdarzyć Dekkereta kpiącym uśmiechem. Zdawała się mówić, że za pięć minut chłopak będzie tak przerażony, że straci resztkę rozumu, jeśli w ogóle go jeszcze posiada. Choć może źle ją oceniał. Może próbowała podtrzymać go na duchu. Ale uśmiechała się nieładnie.

- Stitmoje - powiedział nagle Akbalik. - Trzy, jak sądzę.

Wskazał na lewo, w kierunku niewielkiego zagajnika, w którym drzewa o żółtych pniach rosły szczególnie blisko siebie, a śnieg leżał na ziemi grubą warstwą. Z początku Dekkeret nie zauważył niczego wyjątkowego. Po chwili jednak dostrzegł tam białą plamę trochę różną od bieli śniegu, jakby bardziej miękką, jaśniejszą, łagodnie lśniąca, a nie migoczącą ostro. To były poruszające się, duże, włochate zwierzęta. Wiatr przyniósł dźwięk stłumionego warczenia.

Myśliwi zatrzymali się na krawędzi zagajnika. Po cichu wymienili między sobą kilka niezrozumiałych słów, po czym ruszyli w stronę

drzew, rozsypując się w szeroki łuk.

Dekkeret szybko zrozumiał, co się dzieje. Trzy stitmoje wyczuły ich zapach. Poruszały się powoli wśród drzew jakby obmyślając strategię. Dekkeret widział je teraz wyraźnie. Były to zwierzaki o nabitych cielskach, trzymające się nisko przy ziemi, o długich, wystających pyskach i płaskich, trójkątnych łbach, z których uważnie patrzyły złote, otoczone czerwienią ślepia. Wielkością dorównywały bardzo dużym psom, ale były cięższe i mocniej zbudowane. Wyglądały na pozbawione wdzięku, ale potężne. Miały masywne zadnie łapy, w przednich też kryła się olbrzymia siła, a wszystkie cztery kończyły się długimi, zagiętymi, czarnymi i lśniącymi pazurami. Dekkeret nie wierzył, że miał zabić te stwory byle sztyletem. Choć podobno tak robiono, wydawało mu się to niemożliwe. Nie zapomniał słów Septacha Melayna:

- Piękna bestia: gęste futro, płonące ślepia... O ile mi wiadomo, stitmoj jest najbardziej niebezpiecznym zwierzęciem świata.

Szczerbata góralka przywołała go gestem.

- Pierwszy jest twój - powiedział Akbalik.

- Co?

Dekkeret spodziewał się, że to starszy, bardziej doświadczony towarzysz zapoluje pierwszy. Nie dało się jednak nie zrozumieć gestów kobiety, która wyraźnie go wzywała.

- Tak postanowili. Zazwyczaj najlepiej umieją dopasować myśliwego i ofiarę. Lepiej idź. Będę tuż za tobą.

Dekkeret skinął głową. Ruszył naprzód, pełen obaw i niepewny.

Ale wraz z pierwszym krokiem w stronę zagajnika wydarzyło się coś niezwykłego. Opadła z niego cała niepewność. Ogarnął go dziwny spokój. Strach i wątpliwości całkowicie go opuściły. Poczł się całkowicie gotowy, w pełni przygotowany do zabijania, absolutnie skupiony na celu.

Chwilę później rozpoczęło się polowanie.

Myśliwi ustawili się w długą, wygiętą linię, rozciągającą się wzdłuż pozycji trzech stitmojów i dalej w obie strony. Kobieta, która zdawała się prowadzić Dekkereta, znajdowała się pośrodku tej linii. Posuwała się naprzód, a on tuż za nią. Dwaj myśliwi na końcach linii także ruszyli do środka pod ostrym kątem, ściągając całą linię w stronę zwierząt. Zaczęli potwornie hałasować brązowymi rogami myśliwskimi, które wyciągnęli z toreb, a dwaj pozostali klaskali w dłonie i krzyczeli.

Dekkeret zrozumiał, że chodziło o rozdzielenie zwierząt, odpędzenie na bok dwóch z nich, a także stworzenie czystego dojścia do jednego. Najwyraźniej hałas spełniał swoje zadanie. Stitmoje, zaskoczone i zdenerwowane przeraźliwymi dźwiękami, stanęły dęba i zaczęły ze złością orać pazurami pnie drzew, a ich pomruki z niskiego mrużenia stały się wściekłymi rykami, które rozchodziły się szerokim echem.

Myśliwi podchodzili coraz bliżej. Stitmoje, bez widocznego lęku, ale z irytacją i jakby obrzydzeniem wynikającymi z tak niegrzecznego potraktowania, odwróciły się powoli i rozeszły. Każdy zapewne kierował się do swojej nory. Pięciu myśliwych zignorowało

największe zwierzęta i pozwoliło im odejść między drzewa. Całą uwagę skupili na trzecim stitmoju, być może samicy, wyraźnie mniejszym, ale wciąż imponującym rozmiarem. Zbliżali się do niego unosząc nogi wysoko niczym na paradzie i hałasując, ile sił w płucach.

Zwierzę przez moment wyglądało na zdezorientowane całym zamieszaniem. Po chwili zaś, mrugając i pomrukując, odwróciło się i spokojnym, choć coraz szybszym chodem ruszyło w stronę gęstych krzaków, oddalonych o paręset jardów.

Szczerbata kobieta odsunęła się. Dekkeret zrozumiał, że nadeszła jego chwila.

Ruszył naprzód, w jednej dłoni dzierząc maczetę, w drugiej puginał.

Na obrzeżach zagajnika drzewa były od siebie oddalone, ale wkrótce stały się bardziej zbite. Pomiedzy nimi rosły małe drzewka i krzewy, a z niższych gałęzi wisały kolczaste pnącza. Nie minęło wiele czasu aż Dekkeret musiał przedzierać się przez gęstwinę, wściekle rąbiąc maczetą. Parł do przodu w szale, nie zważając na przeszkody, ale pomimo wysiłków zostawał w tyle. Wciąż widział przed sobą uchodzącego stitmoja, który jednak, choć wydawał się powolny, potrafił oczyszczać sobie przejście potężnymi przednimi łapami i pozostawiał za sobą splątany ślad usłany poszarpanym poszyciem i pnączami, które tylko utrudniały Dekkeretowi poruszanie. Dystans między myśliwym i zwierzyną powoli się powiększał.

Nagle stitmoj zniknął. Dekkeret został całkiem sam.

Gdzie mógł się podziać? Ukrył się w norze? Wpełznął pod splątane poszycie? A może, pomyślał Dekkeret, po prostu wszedł za jakieś grube drzewo i właśnie w tej chwili zawracał, skradając się od krzaka do krzaka, próbując zająć dogodną pozycję do śmiertelnego kontrataku, o którym opowiadał Akbalik.

Dekkeret poszukał wzrokiem góralki. Nigdzie jej nie było. Musiał zostawić ją w tyle podczas swojej chaotycznej pogoni przez las.

Zacisnął dłonie na rękojeściach broni i obrócił się w miejscu, uważnie wpatrując się w ciemność i nasłuchując odgłosu wyrywanego poszycia i łamanych drzewek. Nic. Z ziemi zaczęła unosić się gęsta mgła, spowijająca wszystko bielą. Czy powinien wezwać tamtą kobietę? Nie. Jej zniknięcie było zapewne celowe, może do zwyczaju należało zostawienie myśliwego sam na sam ze zwierzyną w ostatnich chwilach pogoni.

Po chwili ostrożnie ruszył w lewo, gdzie mgła wydawała się nieco rzadsza. Zamierzał wrócić łukiem do miejsca, z którego wyruszył, po drodze szukając kryjówki stitmoja.

Las był cichy i nieruchomy, jakby Dekkeret był w nim całkiem sam.

Kiedy przechodził obok zagajnika młodych drzewek, które wyrastały tak blisko, że ich proste pnie tworzyły zwartą palisadę, wszystko gwałtownie się zmieniło. W oddali zobaczył niewielką polanę. Stała tam kobieta i rozglądała się na wszystkie strony w poszukiwaniu stitmoja, albo może jego samego. Dekkeret zawołał ją i

w tej samej chwili, z drugiej strony, spomiędzy drzew wyskoczył stitmoj.

Szczerbata kobieta, która już odwracała się do Dekkereta, wykonała szybki obrót w stronę rozzłoszczonego zwierzęcia. Stitmoj stanął na zadnich nogach i posłał ją na ziemię jednym ciosem przedniej łapy. Upadła jak szmaciana lalka. Stitmoj, nie zatrzymując się, przemknął obok zaskoczonego Dekkereta i wpadł pomiędzy najbliższe drzewa.

Dekkeret nie od razu odzyskał władzę w nogach, ale w końcu pobiegł za stitmojem. Gonił go jak wcześniej, wiedział, że to jego ostatnia szansa, że jeśli drugi raz pozwoli bestii uciec, już nigdy jej nie zobaczy.

W udach i łydkach czuł bolesne napięcie, jakby mięśnie skręcały mu się w węzły. Skręcił ostro, stanął na śliskim, pokrytym śniegiem kamieniu i poślizgnął się. Wykręcona kostka rozbłysła bólem, promieniującym w całej lewej nodze. Mimo to biegł dalej. Stitmoj przestał go unikać, truchtał tylko przed nim przez las na tyle rzadki, że obaj poruszali się po nim dość wygodnie. Dawało to przewagę Dekkeretowi, który może nie był najszybszy, ale na otwartym terenie miał szansę poruszać się nieco szybciej niż stitmoj.

Nie był jednak w stanie dopędzić swojej ofiary. Miał jeszcze sporo sił, lecz nie potrafił zmusić zbuntowanych mięśni nóg, by niosły go szybciej. Zaczynał pojmować, że stitmoj znów mu ucieknie.

Jednak nie. Bestia dotarła do gęstej ściany krzaków i pnączy i zatrzymała się przed nią, jakby postanowiła, że woli odwrócić się i

walczyć, niż wyrywać sobie dalszą drogę. Czy zamierzała policzyć się z irytującym przeciwnikiem? A może tylko zmęczyła się biegiem? Dekkeret miał nigdy nie poznać odpowiedzi na te pytania. Nie miał ani chwili czasu do namysłu. Niemal zanim w ogóle zorientował się w sytuacji, siłą rozpędu znalazł się tuż przed zwierzęciem, które stało oparte o splątane poszycie. Słyszał jego gniewne warczenie. Masywna łapa już na niego spadała. Dekkeret uchylił się instynktownie i dźgnął puginałem w górę i przed siebie. Stitmoj ryknął z bólu. Dekkeret zrobił krok w tył, znowu dźgnął i znowu trafił w cel. Lśniącą, karmazynowa krew chlusnęła na miękkie, białe futro na piersi stitmoja.

Dekkeret odsunął się, dysząc. Czy będzie musiał uderzyć trzeci raz? Czy trzeba będzie użyć maczety?

Nie. Stitmoj przez chwilę jeszcze stał ze zdumionym wyrazem pyska, chwiejąc się na boki, a jego otoczone czerwienią oczy powoli zachodziły mgłą. Potem upadł. Dekkeret stał nad nim, ledwo wierząc w to, co miało przed chwilą miejsce. Zwierzę już się nie ruszało.

Odwrócił się, podniósł dłonie do ust i krzyknął:

- Hop, hop! Akbaliku, gdzie jesteś? Dopadłem go, Akbaliku! Dopadłem go!

Z daleka, z mgły, doszła do niego stłumiona odpowiedź, której nie zrozumiał. Spróbował znowu.

- Akbalik?

Tym razem nikt nie odpowiedział. Myśliwi też milczeli. Gdzie oni byli? Jeśli zostawi tu stitmoja, czy padlinożercy rozszarpią go nim

wróci? A skoro o tym mowa, czy znajdzie znów to miejsce w tajemniczym, mglistym lesie?

Mijały minuty. Śnieg padał coraz gęściej; Dekkeret zrozumiał, że nie może dłużej pozostać tam, gdzie był. Zaczął powoli iść w kierunku, z którego zdawało mu się, że przybiegł. Po drodze szukał własnych śladów. Po pewnym czasie zobaczył znów ciasno rosnące drzewa, a dalej coś, co miało pozostać w jego pamięci do końca życia.

Akbalik i czterech myśliwych z bagien stało na środku polany za zagajnikiem. W ręku Akbalika zwisała zakrwawiona maczeta, krew była też na śniegu. Stojący z tyłu myśliwi obrzucili nadchodzącego Dekkereta spojrzeniami ciężkimi jak ołów. Szczerbata kobieta leżała bez ruchu na plecach, a jej brzuch był jedną, potworną, poszarpaną raną. Pięć czy sześć stóp dalej leżało martwe cielsko jakiegoś krępego zwierzęcia o grubym pysku, przecięte prawie na pół maczetą Akbalika. Zwierzę miało krew na zębach.

- Akbalik? - powiedział zszokowany Dekkeret. - Co tu się stało? Czy ona...

- Nie żyje. A jak sądzisz?

- Czy to zwierzę ją zabiło? Co to w ogóle jest?

- Mówią, że to tumilat. Padlinożerca, ścierwojad. Żyją tu w norach. Czasem zabijają umierające albo nieprzytomne zwierzęta. Ale nie rozumiem, dlaczego padlinożerca zaatakował kogoś, kto nie był...

- Och - powiedział cichutko Dekkeret, zasłaniając usta dłonią. - Och.

- O co chodzi, Dekkercie? Co próbujesz powiedzieć?

- To nie tumilat - wybełkotał Dekkeret. - Stitmoj. Wskoczył znikąd, biegł wprost na nią, uderzył ją łapą i wywrócił. I biegł dalej. A ja za nim. Dogoniłem go i zabiłem, Akbaliku. Zabiłem go. Ale nie pomyślałem o tej kobiecie. Leżała tu, może ranna, nieprzytomna... och, Akbaliku! Ani przez chwilę o niej nie myślałem. A wtedy, kiedy leżała tu, całkiem sama, przyszedł ten padlinożerca i... och...

Dekkeret patrzył na otaczającą go biel, przerażony tym, co zrobił.

- Och, Akbaliku - powiedział znów, cały zdrętwiały. - Och!

Gdy Prestimion i jego towarzysze opuścili Labirynt południowym wyjściem, ujrzeli szerokie połacie żyznego Alhanroelu rozciągające się przed nimi jak nieskończony ocean. Ziemia tu była płaska, a horyzont stanowił tylko niewyraźną linię, odległą, jak się zdawało, o miliony mil. Każdy dzień podróży przynosił nowe krajobrazy, nowe rośliny, nowe miasta. Gdzieś przed nimi zaś Dantirya Sambail oddalał się coraz bardziej w niekończącą się dal.

Królewska świta zatrzymała się najpierw w Bailemoonie, pięknym mieście położonym na żyznej równinie na południowy wschód od Labiryntu i w którym człowiek prokuratora, Mandralisca, spotkał się z łowczym księcia Serithorna. Młody diuk miasta, Kaitinimon, syn Kanteverela, spotkał się z nimi pod jasnobordowymi murami miasta i powitał ich po królewsku.

Miał okrągłą twarz i bezpretensjonalne usposobienie swojego ojca i, podobnie jak Kanteverel, wolał proste, luźne tuniki od migoczących, formalnych szat. Kanteverel jednak zazwyczaj był radosny i jowialny, a w jego synu czuć było ledwo skrywane napięcie, nieudolnie ukrywaną surowość ducha, cechy, które czyniły go tak różnym od ojca. Minęło wiele czasu odkąd Koronał ostatnio odwiedził Bailemoonę i Kaitinimon był zachwycony wizytą Prestimiona. Na jego cześć wyprawił odpowiednio uroczystą galę, którą uświetnili muzycy, żonglerzy i zaklinacze. Nie zabrakło też wielkiej obfitości

potraw charakterystycznych dla sławnej miejscowej kuchni, do każdej z nich zaś dobrano regionalne wino. Nie obyło się też bez obejrzenia legendarnych złotych pszczół z Bailemoony.

Niemal każde miasto w królestwie mogło poszczycić się czymś wyjątkowym. Złote pszczoły wyróżniały Bailemoonę. Dawno temu, w czasach, gdy tę część Alhanroelu zamieszkiwały tylko nieliczne grupy Zmiennokształtnych, pszczoły były częstym widokiem w tej okolicy. Rozwój cywilizacji ludzi zmniejszał jednak stopniowo ich populację, aż niemal wyginęły. Pozostały tylko te, które diukowie Bailemoony trzymali w otoczonym najwyższą czią ulu w swoim pałacu.

- Tylko trzy razy do roku pozwalamy zwykłym obywatelom odwiedzać ul - powiedział diuk Kaitinimon do Prestimiona, gdy szli przez pałacowe ogrody. - W Dzień Zimy, Dzień Lata i w urodziny diuka. Prawo wstępu jest losowane, wpuszcza się tylko tuzin gości co godzinę przez dziesięć godzin. W drugim obiegu bilety osiągają bardzo wysokie ceny. Poza tymi dniami, do ula nie wchodzi nikt prócz pszczelarzy i członków rodziny diuka. Ale oczywiście, kiedy Bailemoonę odwiedza Koronal...

Ul był niezwykle pięknym budynkiem, zbudowanym z misternej, lśniącej, metalowej siatki, podtrzymywanej stemplami z błyszczącego, białego drewna, które krzyżowały się w sposób mylący wzrok. Cały budynek wyglądał tak delikatnie, jakby do jego zburzenia wystarczył mógł powiew wiatru. Wewnątrz Prestimion dostrzegał miriady rozbłysków, migoczących tak szybko, że od samego patrzenia kręciło się w głowie.

- Widzicie przed sobą - powiedział diuk - promienie słońca, odbijające się od ciał poruszających się pszczoł. Wejdz, panie, jeśli łaska.

Długi korytarz prowadził do małych komnat z drzwiami po obu stronach, przez które Prestimion i jego towarzysze weszli do samego ula. Była to wielka kopuła, cztery lub pięć razy większa od sali tronowej Confalume'a, wykonana tak zmyślnie, że metalowa siatka była od wewnątrz ledwo widoczna, jak cieniutka, półprzezroczysta warstewka na tle nieba.

Ciche brzęczenie otoczyło gości jak gruba zasłona. Wszędzie nad nimi uwijały się pszczoły. Setki pszczoł. Tysiące.

Ruchliwe, nie pozostające w miejscu ani na chwilę, przemierzały górne poziomy swego domu w oszałamiającym, podniebnym tańcu. Prestimion był zdumiony ich liczbą, prędkością, z którą się poruszały, jasnością światła, które odbijało się od ich połyskliwych odwłoków i skrzydeł. Przez długą chwilę stał przy wejściu i z zachwytem patrzył w górę, obserwując błyskawiczne ruchy pszczoł i śledząc piękne kształty, które tworzyły.

Powoli zaczął skupiać się na pojedynczych pszczołach i odkrył, że były one bardzo duże jak na owady. Ale to Septach Melayn pierwszy zadał pytanie, odwracając się do diuka i mówiąc:

- Czy to naprawdę pszczoły, wasza łaskawość? Bo kiedy tak śledzę ich lot, zdają mi się być nie mniejsze od ptaków.

- Oczy cię nie mylą - odparł diuk. - Zresztą te oczy nie mylą się nigdy. Ale to naprawdę pszczoły. Pozwólcie, panie, że coś wam

pokażę.

Wyszedł na środek pomieszczenia i stanął tam z ramionami wyciągniętymi na boki i dłońmi skierowanymi w górę. Po chwili pół tuzina pszczół zleciało się i usiadło na nim, jak domowe zwierzątka łaszące się do pana. Kolejny tuzin przyleciał za nimi i zaczął krążyć wokół jego głowy.

Diuk trwał w bezruchu. Tylko oczami dał znak swoim gościom.

- Podejdźcie. Spójrzcie na nie. Powoli... powolutku... nie wystraszcicie ich...

Prestimion zbliżył się ostrożnie, za nim Septach Melayn, a dalej wielki Gialaurys stąpał najostrożniej ze wszystkich, jakby szedł po skorupkach jajek.

Maundigand-Klimd, który nie wyglądał na zainteresowanego pszczołami, pozostał przy wejściu. Podobnie Abrigant, z twarzą wykrzywioną gniewnym grymasem, trzymał się ściany ula. Od przybycia do Bailemoony nie ukrywał zniecierpliwienia, chciał wyruszyć na południe i na wschód do Skakkenoir, gdzie miał znaleźć metalonośne rośliny. Poszukiwanie Dantiryi Sambaila było dla niego wyłącznie irytującą zawadą, przeszkodą w osiągnięciu celu, zaś godzina spędzona wśród pszczół, nawet najpiękniejszych, zdawała mu się nieznośną stratą czasu.

Gdy Prestimion znalazł się tak blisko diuka Kaitinimona, że wyraźnie widział błyszczące stworzonka chodzące po jego dłoniach, aż zagwizdał cicho ze zdumienia. Złote pszczoły z Bailemoony były długie na kilka cali i miały krągłe ciała, faktycznie bardzo podobne

do ptasich.

Zastanawiał się, czym naprawdę były - ptakami czy owadami?

Kiedy podszedł bliżej, zdecydował, że to jednak owady. Wyraźnie widział trzy pary pokrytych meszkiem odnóży. Ciała pszczoł były podzielone na głowę, tułów i odwłok. Pokrywał je gładki, odbijający światło pancerzyk, który wyglądał jak czyste złoto i który odpowiadał za niezwykle efekty świetlne wywoływane przez ich ruch.

- Jeszcze bliżej - powiedział diuk. - Podejdźcie tak blisko, aż będziecie widzieć ich oczy.

Prestimion usłuchał. I aż westchnął. Te oczy! Te przedziwne oczy! Nigdy takich nie widział.

To nie były zimne, wielościenne oczy owadów. Nie były to też guzikowate oczy ptaków. Oczy tych pszczoł były nieproporcjonalnie duże i w dziwny sposób podobne do oczu ssaków. Były ciepłe, miękkie, jakby płynne, jak oczy jakiegoś leśnego stworzonka. Biła od nich żywa inteligencja, która odróżniała te zwierzęta od żyjących w lasach droli czy mintunów. Patrząc w te mądre oczy było wręcz strasznie.

- Stańcie tak, jak ja - powiedział diuk. - Nie ruszajcie się, a przylecą i do was.

Septach Melayn ani Gialaurys nie chcieli próbować, ale Prestimion rozłożył ramiona dłońmi do góry. Minęło parę chwil. Nagle para pszczoł podleciała i zaczęła krążyć wokół jego głowy, a po minucie jedna z nich usiadła Prestimionowi na lewej ręce.

Kiedy po nim chodziła, czuł dziwne łaskotanie. Powolutku

odwrócił głowę w lewo, by lepiej się jej przyjrzeć i spojrzał prosto w jej duże, poważne oczy. Pszczoła patrzyła na niego uważnie.

Bez żadnych wątpliwości, w tych oczach była inteligencja.

Krył się za nimi malutki, ale bystry i przenikliwy umysł. Ale po co? Jakie myśli mogły krążyć po mózgu tych istot, ostatnich przedstawicieli swego gatunku, bez końca zataczających lśniące pętle po wielkim ulu, który był ich jedynym schronieniem przed światem?

- Nasi przodkowie trzymali je w małych klatkach jako domowe zwierzątka - powiedział po chwili Kaitinimon. - Latały w kółko przez miesiąc czy dwa, po czym chorowały i umierały. Nie mogły znieść klatki. Nikt zaś, kto miał pszczoły choćby przez parę dni, nie mógł oprzeć się ich pięknu. Kiedy tylko jedne umierały, czuł przemożną potrzebę zastąpienia ich nowymi, choć i one nie miały długo pożyć. Kiedyś w tej prowincji żyły ich miliony. Kiedy leciały wielkimi rojami, całe niebo stawało się złote. Teraz jestem jedynym człowiekiem w Bailemoonie, który ma przywilej trzymania pszczół. Jak widzicie, ta klatka jest dość duża. Nie przeżyłyby w czymś mniejszym. Panie, jeśli delikatnie obrócisz dłonie, o tak, pszczoły odlecą. Chyba że pragniesz przedłużyć to doświadczenie.

- Jeszcze parę minut - powiedział Prestimion. Na jego lewej ręce wylądowały jeszcze dwie pszczoły, potem za nimi sfrunęła trzecia. Prestimion stał jak zahipnotyzowany, nie mogąc oderwać od nich wzroku, całkowicie zagubiony w podziwie dla małych, inteligentnych stworzeń, spokojnie wędrujących mu po rękach. Siedziało na nim już pięć. Sześć. Siedem. Widać wydawał im się niegroźny. Zastanawiał

się, czy w jakiś sposób zajrzały do jego umysłu.

Nagle odkrył, że intensywnie pragnie, by Varaile była z nim i mogła to zobaczyć.

Ta myśl go przestraszyła. Czyżby Varaile już zajęła w jego umyśle miejsce Thismet? Czyżby tęsknił za kobietą, której prawie nie znał i chciał mieć ją u swego boku w podróży? Tak właśnie było. Zaskoczyło go, że tak boleśnie odczuł jej nieobecność. Ale Thismet odeszła na zawsze, a Varaile czekała na Górze Zamkowej. Jego potęga i pozycja wymagały, by spędzić życie, przemierzając świat i nagle, z mocą, która go zdumiała, zapragnął dzielić je z Varaile. Chciał pokazać jej wszystko, co jemu samemu dane będzie oglądać, złote pszczoły Bailemoony, znikające jezioro w Simbilfant, nocny targ w Bombifale, piętrzące się kolory Fontanny Gulikap, ogrody Tolingaru... wszystko. Wszystko.

- Spodobały się waszej wysokości nasze pszczoły?

Zaskoczony Prestimion spojrzał pospiesznie na diuka.

- Och, tak - odpowiedział prędko. - Tak! Są niezwykle! Niesamowite!

- Mógłbym wysłać parę sztuk na Zamek - powiedział Kaitinimon. - Ale tylko by pomarły, jak wszystkie pozostałe.

*

Tej nocy, kiedy zajadali się miejscowymi specjałami w pałacu diuka, Prestimion wciąż myślał o złotych pszczołach i tęsknocie za Varaile, którą tak niespodziewanie w nim obudziły. Nie opuszczało go wspomnienie ich tajemniczych oczu ani błysków światła na rojach

latających pod kopułą wielkiego ula. Te mądre oczy... to przepełnione inteligencją spojrzenie... ten piękny, złoty odbłask...

Ten wspaniały świat, myślał, miejsce pełne cudów, którego niespodzianek nie dałoby się poznać i w ciągu dziesięciu żywotów...

Ale sławne złote pszczoły nie były głównym celem wizyty Koronała w Bailemoonie i w końcu Gialaurys poruszył najważniejszy temat.

- Otrzymaliśmy raport - powiedział do diuka - mówiący, że prokurator Dantirya Sambail i kilku jego ludzi niedawno przebywali w tej okolicy. Koronał ma powód, by chcieć z nim porozmawiać. Chcieliśmy wiedzieć, czy pozostajesz z nim w kontakcie.

Diuk nie wydawał się zaskoczony. Najprawdopodobniej, jak wielu innych, słyszał już, że Lord Prestimion poszukiwał prokuratora Nimoya i że odbywało się zakrojone na skalę kontynentu polowanie.

Oczywiście, taka wiadomość była sensacją. Diuk Kaitinimon był jednak zbyt rozsądny, żeby wypytywać Prestimiona o motywę. Nie zadawał więc żadnych pytań i udzielił najprostszej odpowiedzi. Owszem, słyszał o obecności prokuratora w okolicy, lecz nie gościł go. Nie rozumiał, czemu prokurator przebywał w pobliżu, a nie zdecydował się go odwiedzić. Był też pewien, że obecnie Dantirya Sambail nie znajdował się w obrębie prowincji Balimoleronda. Nie wiedział nic ponad to. Kiedy zaś Septach Melayn zapytał go, czy uważa, że zbiegły prokurator uda się raczej na południe, czy na zachód od Bailemoony, diuk Kaitinimon wzruszył tylko ramionami.

- Wyraźnie stara się wrócić do domu. Sadzę, że kieruje się do

morza. Dotrze do niego niezależnie od tego, w którą stronę się uda. Kimże ja jestem, by rozumieć zamysły Dantiryi Sambaila?

Prestimion postanowił opuścić Bailemoonę drogą na południe. Na Majipoorze pojęcie „krótkiej podróży” nie istniało, ale mniej czasu zajęłoby prokuratorowi dotarcie do morza szlakiem południowym niż zachodnim, i chociaż porty były zablokowane, Prestimion aż za dobrze wiedział, że dla kogoś tak podstępnego jak Dantiryja Sambail utorowanie sobie drogi łapówkami będzie dziecinnie proste. W końcu wykupił się w ten sposób z tuneli Sangamora. Jaki problem mogło dla niego stanowić znalezienie w południowym porcie leniwego i sprzedażnego celnika, który odwróciłby wzrok, podczas gdy on i Mandralisca wsiadali na pokład frachtowca płynącego do Zimroelu?

Na południe więc. Przez Ketheron i jego Siarkową Pustynię.

Był to zarówno logiczny, jak i kuszący wybór. Siarkowa Pustynia nie była ani pustynią, ani nie wydobywano tam siarki, ale uchodziła za jedno z najniezwyklejszych miejsc na świecie. Prestimion wdzięczny był Dantiryi Sambailowi za danie mu pretekstu, by je odwiedzić.

Kolejne miejsce, które odwiedzi bez Varaile. Nie mógł przestać o niej myśleć.

*

Dwa dni po opuszczeniu Bailemoony dostrzegli pierwsze łachy żółtego piasku. Z początku były to tylko pojedyncze paski, zmieszane ze zwykłą, ciemną ziemią tak, że nie dało się w pełni docenić ich koloru. Stopniowo piasek zaczynał dominować, aż wzgórza i doliny

wyglądały, jakby były nim poplamione. Wreszcie podróżnicy dotarli do Siarkowej Rzeki i otoczyła ich żółć tak intensywna, że zdawała się być jedynym kolorem we wszechświecie.

Łatwo było zrozumieć, dlaczego pionierzy trafiwszy tu uznali, że odnaleźli bogate złoża siarki. Żadna inna substancja nie miała takiego jasnego, ciepłego odcienia. A jednak - „siarka” Siarkowej Pustyni była tylko pylistym, żółtym piaskiem, wapiennym, zabarwionym ziarenkami kwarcu i maleńkimi kawałeczkami skaleni i amfiboli. Powstał ponoć w niewyobrażalnie zamierzchłych czasach, kiedy centrum Majipooru było najsuchszą z pustyń, a na zachód od Labiryntu wznosiły się wielkie, żółte góry. Przez tysiące lat wiatry starły je w proch i niosły go tysiące mil, składając go wreszcie na Wzgórzach Gaibilan za Ketheronem, skąd wypływa Siarkowa Rzeka. Właśnie ona dokończyła dzieła, wymywając masy piasku ze wzgórz i rozprowadzając go po całej szerokiej dolinie, w której teraz stali wędrowcy, dolinie od niepamiętnych czasów zwanej Siarkową Pustynią.

W większości miejsc żółty piasek stanowił tylko wierzchnią warstwę gruntu, nie grubszą niż dwadzieścia, trzydzieści stóp. Miejscami jednak jej grubość osiągała ponad pół mili i tam, przez wieki, piach przyjął postać miękkiej, porowatej skały, tworzącej wysokie, pionowe klify. Właśnie w strefach tych spadzistych, żółtych klifów budowano miasta i miasteczka Ketheronu.

Niektórzy uważali, że Ketheron ma urok krainy z baśni, inni zaś, że to groteskowa i dziwaczna okolica rodem z koszmaru. Erozja

powycinała w górnych warstwach klifów ostre wąwozy, a wietrzenie pozostawiło na odkrytych przestrzeniach pokrzywione, spiczaste iglice dziwacznych kształtów. Lud Ketheronu drążył je i wykuwał w nich małe, wąskie okienka i tak tworzył domy jak ze snu. Tak powstawały całe miasteczka pełne wysokich, wąskich domów, przypominających spiczaste kapelusze wiedźm.

Niecodzienność Ketheronu przyciągała do niego psychomalarzy. Zjeżdżali się tu od wieków, rozwijali psychoczule płótno i pozwalali, by ich doznania wzrokowe przesączały się na nie poprzez wzmocnione transem umysły. Niepokojące, nastrojowe psychoobrazy, przedstawiające kręcone, żółte wieże Ketheronu były powszechne w domach nowobogackich, którzy nie nauczyli się jeszcze gardzić banałem. Nawet na Zamku Prestimion widział pięć czy sześć ketheronów wiszących w różnych miejscach i przyzwyczał się przez nie do wyglądu tego miejsca tak bardzo, że obawiał się, iż rzeczywistość nie zrobi na nim wrażenia.

Szybko jednak odkrył, że psychoobrazy w żaden sposób nie przygotowały go na prawdziwy Ketheron. Żółty krajobraz, błotnista, żółta rzeka, powolnie płynąca przez jego środek i wznoszące się ze szczytów klifów pokrzywione, zniekształcone domy miasta Ketheron, pasujące bardziej do ogrów niż ludzi - to wszystko wyglądało tajemniczo, jak fragment obcego świata, wklejony w Majipoor pomiędzy Bailemooną i wybrzeżem Aruachozji.

Oczywiście, pomyślał Prestimion, każde miejsce, którego nie znasz, wydaje ci się tajemnicze. A ile wiedzy mamy tak naprawdę o

miejscach, które zdaje nam się, że znamy?

Ten widok był jednak naprawdę dziwny. Miasto Ketheron, rozciągające się na kilka mil wzdłuż północnego brzegu rzeki, było stolicą dystryktu Ketheron. Jak na miasto Majipooru było małe, miało najwyżej pół miliona mieszkańców. Prestimion z zachwytem patrzył na domy o dziwnych kształtach i obce twarze ludzi, którzy wyszli oglądać przejeżdżającego Koronała. Tak, Ketheron był do granic niezwykły. Nawet ludzie mieli żółtawe twarze, albo tak mu się wydawało, a noszone przez nich luźne, wydymające się na wietrze peleryny nadawały im wygląd gnomów, idealnie komponujący się z dziwnym otoczeniem.

Prestimion zrozumiał, że nawet gdyby Ketheron był dla niego tak znajomy jak Muldemar, Halanx czy Tidias, nie mógłby z przekonaniem powiedzieć, że go zna. Każde miasto było samo w sobie światem, światem w miniaturze, zamykającym w swoich murach tysiące lat historii i więcej tajemnic, niż można poznać w ciągu jednego życia. A Ketheron był tylko jednym z mnóstwa miast w wielkim świecie, który powierzono jego opiece, był tylko miejscem, przez które przejedzie pewnego dnia i nie zobaczy go nigdy więcej i którego duch będzie dla niego taką samą zagadką jutro, jaką był wczoraj.

Kwitło tu rolnictwo - żółta ziemia była nadzwyczaj żyzna - a mieszkańcy sprawiali wrażenie prostych, nieprzyzwyczajonych nie tylko do widoku Koronała, ale szlachty w ogóle. Burmistrz miasta Ketheron niemal drżał, gdy wychodził ich powitać z ratusza,

wrzecionowatej, pokrzywionej, trzypiętrowej wieży na samej krawędzi klifu. Chronił go imponujący zestaw atrybutów człowieka przesądnego: jego fioletowożółty płaszcz obwieszony był tyloma talizmanami i amuletami, że aż dziw, iż biedak stał o własnych siłach pod ich ciężarem. Dla duchowego wsparcia zabrał ze sobą dwóch magów, niskiego grubaska o tłustej cerze i wysoką, chudą, podobną do stracha na wróble kobietę, niosących święte przyrządy miejscowego kultu, których nawet Maundigand-Klimd nigdy wcześniej nie widział. Su-Suheris sprawiał wrażenie rozbawionego rytuałami, z pomocą których ta para wypędzała przyczajone złe duchy z podobnego do jaskini, ciemnego pokoju, w którym odbywać się miało spotkanie. A może rytuały te wykonywano dla spokoju samego burmistrza?

Gialaurys zadawał pytania, podczas gdy Prestimion i reszta stali z boku. Burmistrz był wyraźnie zbyt przejęty samą obecnością Koronala, by móc prowadzić z nim rozmowę, a próżna beztroska Septacha Melayna miała raczej niewielkie szanse go uspokoić. Za to Gialaurys, choć wielki i budzący lęk swoim wyglądem, miał talent do rozmawiania z prostymi ludźmi, gdyż sam się z nich wywodził.

Pytał, czy burmistrz lub ktokolwiek z miasta widział lub słyszał w okolicy coś o Dantiryi Sambailu. Nie, nie widzieli i nie słyszeli. Burmistrz sprawiał wrażenie, jakby nie miał pojęcia, kim Dantiryja Sambail był, ale nie był w stanie pojąć, czemu prokurator Ni-moya miałby tędy podróżować. Sama myśl, że ktoś tak potężny i straszny mógłby mieć jakikolwiek powód, by przebywać w tym malowniczym,

lecz mało ważnym regionie, wydawała się temu biednemu człowiekowi całkowicie niepojęta.

- Myślę, że wybraliśmy złą trasę - mruknął Prestimion do Septacha Melayna. - Gdyby zmierzał prosto ku wybrzeżu Aruachozji, musiałby tędy przejeżdżać, prawda? Powinniśmy byli z Bailemoony pojechać na zachód, nie na południe.

- Chyba że burmistrza zaczarowano, by zapomniał - powiedział Septach Melayn. - Prokurator zna się na tej grze.

Taki wybieg okazał się jednak zbędny. Kiedy Gialaurys wyciągnął portret Mandraliski, który wozili ze sobą, burmistrz natychmiast rozpoznał jego twarz.

- O, tak, tak - powiedział. - On tu był. Podróżował starym, zardzewiałym ścigaczem i zatrzymał się, żeby kupić zapasy. Jakies trzy tygodnie temu, pięć, sześć, jakoś wtedy. Jak można zapomnieć taką twarz?

- Podróżował sam? - spytał Gialaurys.

Burmistrz nie miał pojęcia. Nikt nie zaglądał do ścigacza, zaparkowanego na brzegu rzeki. Mężczyzna o twarzy jak topór kupił czego potrzebował, wrócił do pojazdu i pojechał dalej. Burmistrz nie wiedział nawet, w którą stronę się udał.

Tutaj wreszcie pomocni okazali się magowie.

- Widzieliśmy, że obcy nie przyniesie miastu pomyślności - powiedziała chuda kobieta. - Szliśmy więc śladem jego pojazdu jakieś pół mili i co sto jardów stawialiśmy świecę ze smoczego wosku, by już nigdy nie wrócił.

- A w którą stronę zmierzał?

- Na południe - odpowiedział natychmiast człowieczek z tłustą twarzą. - W stronę Arvyandy.

- Ulżyło im, kiedy się nas pozbyli - powiedział Prestimion, chichocząc. Królewska karawana przejeżdżała właśnie przez podniszczoną, niepokojąco trzeszczącą, drewnianą konstrukcję zwaną Mostem Spurifona, która miała z pięć tysięcy lat. Daleko pod nimi ledwo widać było zamuloną Siarkową Rzekę, która płynęła powolnym tempem sennego węża i wyglądała jak płowa linia na tle jaśniejszej doliny. - Musieliśmy ich nieźle przerazić! Mam nadzieję, że nie wymyślili pierwszej lepszej historyjki tylko po to, byśmy wynieśli się z ich miasta.

- Do okłamania Koronala potrzebna jest odwaga - powiedział Abrigant. - Czy w tym mieście była choć odrobina odwagi?

- Mówili prawdę - powiedział Maundigand-Klimd. - Wyczuwam na naszym szlaku ślad inkantacyjnych świec. Wypalone, ale ogarki pozostały. Jedziemy we właściwym kierunku.

- Ketherończycy to nieszkodliwi, nieśmiali ludzie, którzy zaplątali się w sprawy dużo dla nich za poważne, a my okropnie ich przestraszyliśmy - powiedział Prestimion. - Powinniśmy coś dla nich zrobić. - Spojrzał na Septacha Melayna. - Zapamiętaj. Zbudujemy im chociaż nowy most. Ten nadaje się najwyżej do muzeum.

- Budowanie mostów należy do obowiązków Pontifexa - oświadczył zrzędlawie Septach Melayn. - To właśnie oznacza jego tytuł: budowniczy mostów. To starożytne słowo, ma miliony lat.

- Nic nie ma milionów lat - zaprotestował Abrigant.

- W takim razie tysiące.

- Spokój, wy dwaj - przywołał ich do porządku Prestimion. - Należy poinformować odpowiedni wydział: nowy most dla Ketheronu i już, bez dyskusji. - Zastanawiał się, jaki sens ma bycie Koronalem, skoro nawet najbliższym współpracownikom musiał powtarzać rozkaz dwukrotnie, by go posłuchano?

Na południe od rzeki żółta barwa okolicy zaczęła powoli ustępować. Tu było odwrotnie niż na północy, pasy zwyczajnej ziemi stawały się coraz częstsze, aż w końcu wszystko wróciło do normy. Przyjęli to z pewną ulgą. Dziwny, jasny kolor po pewnym czasie samą swoją intensywnością otępiał i ogłupiał umysł, a monotonia siarkowego krajobrazu stawała się trudna do zniesienia.

Tej nocy rozbili obóz u stóp niezbyt wysokiego łańcucha górskiego, leżącego wprost przed nimi. Gdy Prestimion spał, otrzymał przesłanie od Pani Wyspy.

Koronałowie nieczęsto otrzymywali przesłania i nie wynikało to tylko z faktu, że na mocy tradycji Pani była ich matką. Przesłania miały być wskazówkami dla duszy, a w normalnych warunkach żadna z Potęg Królestwa nie próbowała doradzać pozostałym. Czasami jednak, gdy Koronał musiał podjąć ważną decyzję w kryzysowej sytuacji, Pani wspomagała go swoją mądrością. Tej nocy Prestimion zasnął, kiedy tylko zamknął oczy. Czuł, że przechodzi w trans, który zapowiadał przesłanie. Słyszał cichą muzykę posiadłości Pani i poszybował lekko do niskiego pawilonu z białego marmuru,

zastawionego donicami kwitnących krzewów, pachnących alabandyn i tanigali. Przed nim stała księżna Therissa, Pani Wyspy, jego matka, matka całego świata. Uśmiechała się i wyciągała do niego ręce.

Wyglądała jak zawsze młodo, była bowiem jedną z tych kobiet, na których wiek nie odciska swego piętna. Jej gęste, ciemne włosy nie straciły nic ze swego połysku od kiedy przejęła swoje nowe obowiązki. Srebrny diadem Pani lekko spoczywał na jej skroniach. Na piersi miała jak zawsze Rubin Muldemar, wspaniały klejnot w kolorze głębokiej czerwieni z fioletowym połyskiem, osadzony na złotej obręczy, od tysięcy lat będący w posiadaniu ich rodziny.

U jej boku stała Thismet.

Tak przynajmniej z początku zdawało się Prestimionowi. Niewysoka, delikatnie zbudowana kobieta o figlarnym spojrzeniu nie mogła być nikim innym, tylko nią. Kiedy dusza Prestimiona wzdrygnęła się z niepokojem - czemuż Thismet miałaby stać u boku Pani w przesłaniu, skoro zdawało mu się, że wreszcie pogodził się z jej tragiczną śmiercią i był gotów żyć dalej? - wszystko delikatnie się zmieniło, jak to bywa w snach. Teraz wyraźnie widział, że kobieta stojąca koło jego matki to nie Thismet, lecz Varaile. Jakie to dziwne, że pomyliłem ją z Thismet, pomyślał. Obie były na swój sposób piękne i fascynujące, ale wysoka, silna, kobieca Varaile nie była wcale podobna do malutkiej, delikatnej kobietki, którą Prestimion dawno temu kochał i utracił.

Zdał sobie sprawę, że jego matka coś mówi. Między nimi była jednak jakaś bariera, która nie pozwalała mu zrozumieć jej słów.

Oddychał ciężko, jakby powietrze w pawilonie było zbyt gęste, a może zapach kwiatów zbyt intensywny? A ona wciąż mówiła, uśmiechała się, wskazywała to na niego, to na Varaile, to na siebie. Wysilił się, by ją usłyszeć. W końcu zrozumiał.

- Znasz tę kobietę, Prestimionie? - pytała Pani. - Nazywa się Varaile i mieszka w Stee.

- Tak, matko, znam ją. Znam.

- Ma postawę godną królowej.

- I królową zostanie - powiedział Prestimion. - Moją królową.

Zamieszka w Zamku, u mego boku.

- Czy naprawdę tak myślisz, Prestimionie? Powiedz, że tak.

- O tak, matko. Tak myślę.

Kiedy obudził się o poranku, sen wciąż płonął w jego umyśle, jak to zwykle z przesłaniem bywa. Septach Melayn, który podszedł do niego jako pierwszy, spojrzał na niego dziwnie i roześmiał się.

- Przyjacielu, wyglądasz, jakbyś znajdował się dziś w innym świecie.

- Może tak właśnie jest - odpowiedział Prestimion.

*

Musiał jednak powrócić do tego świata. Wiele dni drogi wciąż dzieliło ich od południowego wybrzeża i jeśli pragnęli doścignąć Dantiryę Sambaila, nie mogli sobie pozwolić na stratę czasu.

Zostawili za sobą ostatnią łachę żółtego piasku i pustynny, suchy Ketheron. Teraz powietrze było łagodne i wilgotne, ciepłe i gładkie jak aksamit. Wzgórza pokrywała gęsta roślinność z woskowym

połyskiem, niebo często zasnuwały deszczowe chmury, choć opady były zawsze krótkie. Zbliżali się do regionów tropikalnych.

Moment przejścia znaczyły trzy wyjątkowe punkty orientacyjne. Najpierw, w miejscu, gdzie droga wiła się w górę i z płaskich terenów wyniosła ich pomiędzy kamieniste wzgórza, ujrzeni po lewej coś, co z początku wyglądało jak samotny szczyt, lecz okazało się być całym łańcuchem górskim, długą, szarą ścianą, wyrastającą nagle z otaczającego terenu. Z wielkiej podstawy wyrastały mniejsze, zaokrąglone szczyty, identyczne, skupione na wydłużonym wierzchołku w chaotycznej masie.

- Oto Góra Trzynastu Wątpliwości - powiedział Maundigand-Klimd, który na czas podróży miał w swojej pieczy mapy. - Jej szczyty wyglądają dokładnie tak samo, jedna przełęcz przechodzi w drugą, więc każdy, kto próbuje ją przebyć, musi się zgubić.

- A co będzie z nami? - zapytał Prestimion, zastanawiając się, czy może prokurator nie błądzi właśnie pomiędzy identycznymi kamiennymi garbami.

Su-Suheris potrząsnął obiema głowami; denerwujący zwyczaj.

- Panie, my ominiemy te góry, nie będziemy ich przekraczać. Ale fakt, że mamy je na wschodzie, oznacza, że jesteśmy na właściwym szlaku. Teraz musimy wypatrywać Klifu Oczu, który powinniśmy niedługo zobaczyć.

- Klif Oczu? - powiedział Septach Melayn. - Co to może być, na miłość Bogini?

- Poczekajcie, a zobaczycie sami - odparł Maundigand-Klimd.

Kiedy w końcu go ujrzeli - bystrooki Septach Melayn jako pierwszy - nie było wątpliwości, co widzą. Klif okazał się sporą górą z białawego kamienia, stojącą samotnie, wznoszącą się po ich prawej stronie. Całe jej zbocze pokryte było masą dużych, głęboko osadzonych głazów z jakiegoś ciemnego minerału, rozrzuconych jak rodzyнки w cieście. Wyglądało to jak tysiąc poważnych, czarnych oczu patrzących na podróżnych z białego zbocza góry. Na ten widok Gialaurys wykonał serię świętych znaków i nawet Prestimion poczuł dreszcz podziwu i po części strachu.

- Jak to powstało? - spytał. Ale nikt nie znał odpowiedzi, sam się zresztą jej nie spodziewał. Któż mógł wiedzieć, jaka potęga ukształtowała świat albo z jakiej przyczyny? Nie zadawało się pytań o naturę czy motywy Bogini. Świat to świat, jest pełen cudów i tajemnic.

Klif Oczu wpatrywał się w nich godzinami, gdy przejeżdżali wzdłuż jego dziwnego boku.

- Wkrótce - powiedział Maundigand-Klimd, schylony nad mapą - zobaczymy Filary Dvorna, które wyznaczają granicę między centralnym Alhanroelem i południem.

Dotarli do nich tuż przed zmrokiem. Dwie wielkie, błękitnoszare skały, wysokie na dziesięciu mężczyzn, celowały w niebo ostrymi czubkami. Droga przebiegała między nimi prosto jak strzeł, a one tworzyły coś na kształt ceremonialnej bramy do położonych dalej ziem. Skały miały od zewnątrz powierzchnię nierówną i pokrytą skomplikowanymi wzorami, ale od strony drogi były gładkie i płaskie.

Wyglądały przez to jak połówki jednego, wielkiego tworu.

- Jest w tym magia - wymamrotał Gialaurys i zaczął znowu wykonywać święte gesty.

- O tak - powiedział Septach Melayn z rozbawieniem w głosie. - To miejsce jest przeklęte. Co dwadzieścia tysięcy lat te skały zderzają się i biada tym, którzy akurat wtedy próbują między nimi przejechać.

- Więc ty też znasz tę legendę? - zapytał Maundigand-Klimd.

Septach Melayn odwrócił się w jego stronę.

- Jaką legendę? Żartowałem sobie tylko z Gialaurysem.

- W takim razie wymyśliłeś ponownie coś, co już było - powiedział Su-Suheris. - Naprawdę istnieje stara legenda Zmiennokształtnych, która opowiada o zderzających się skałach. Poruszały się niegdyś i poruszą się znowu. Co gorsza, kiedy to nastąpi ponownie - zmiążdżą wielkiego króla ludzi.

- Doprawdy? - powiedział Prestimion, z uśmiechem przesuając wzrok od jednej do drugiej skały. - W takim razie sądzę, że nic mi nie grozi, bo choć niewątpliwie jestem królem, to nikt nie nazwie mnie wielkim - po czym, mrugając do Septacha Melayna, dodał: - Choć może powinniśmy poszukać innej drogi, tak dla bezpieczeństwa?

- Pontifex Dvorn, mój panie, nakazał po obu stronach drogi zainstalować magiczne płyty z brązu, pokryte runami, które miały chronić przed tym wydarzeniem. - powiedział Maundigand-Klimd. - Miało to miejsce trzynaście tysięcy lat temu i płyty dawno już zniknęły. Widzisz te kwadratowe nisze, tam, wysoko? Tam się ponoć znajdowały. Mimo to sądzę, że mamy wielkie szanse na bezpieczny

przejazd.

Filary Dvorna faktycznie pozostały w bezruchu, kiedy je mijali. Po drugiej stronie krajobraz wyraźnie się zmieniał, roślinność była gęstsza, powietrze cieplejsze i bardziej wilgotne, wzgórza zaś były łagodnymi, zaokrąglonymi garbami.

Na mapach Maundiganda-Klimda nie zaznaczono żadnych osiedli w promieniu pięćdziesięciu mil od Filarów. Nie jechali jednak dłużej niż dziesięć minut, gdy trafili na ślad drogi odchodzącej od głównego traktu w stronę niskich wzgórz na zachodzie. Septach Melayn, kierując w tamtym kierunku swój niezawodny wzrok, oświadczył, że widzi kamienne mury, porośnięte gęsto pnączami. Prestimion, wiedziony ciekawością, wysłał na zwiad Abriganta i kilku ludzi. Wrócili po kwadransie, by oświadczyć, że leżało tam zrujnowane miasto, niezamieszkane, jeśli nie liczyć rodziny Ghayrogów rolników, którzy żyli wśród ruin. Zgodnie z tym, co mówili Ghayrogowie, były to pozostałości po wielkim mieście z czasów Lorda Stiamota, którego mieszkańcy zostali wymordowani przez Zmiennokształtnych w czasie Wojen Metamorfów.

- To niemożliwe - oświadczył Maundigand-Klimd, potrząsając obiema głowami. - Lord Stiamot żył siedemdziesiąt wieków temu. W tym klimacie dżungla już dawno pochłonęłaby takie opuszczone miasto.

- Przyjrzyjmy mu się - powiedział Prestimion i pojechali zachodnią odnogą traktu, która po paruset jardach zamieniła się w wydeptany szlak, prowadzący łagodnie pod górę. Wkrótce ujrzeli mur

zrujnowanego miasta. Była to masywna konstrukcja z kamienia, w większej części wysoka na przynajmniej piętnaście stóp, ale zarośnięta krzewami i pnączami. Na lewo od wejścia do miasta stało olbrzymie, pnące drzewo o bladoszarej korze, którego mnóstwo gałęzi wrastało i wtapiało się w kamienny mur w taki sposób, że ciężko było powiedzieć, gdzie kończy się drzewo, a zaczynają ruiny.

Na powitanie wyszła para silnych, młodych Ghayrogów. Byli nadzy, ale nie dało się rozpoznać ich płci, gdyż organy płciowe Ghayrogów ukazywały się tylko w chwili seksualnego podniecenia. Podobnie piersi samic były widoczne wyłącznie w okresie karmienia młodych. Choć biologicznie należeli do ssaków, ciężko było myśleć o Ghayrogach inaczej niż o gadach. Ich ciała pokrywały błyszczące łuski, mieli mocne, walcowate ramiona i nogi, zimne, zielone i nigdy nie mrugające oczy, za to wciąż wysuwali i chowali pomiędzy twardymi wargami rozwidlone, szkarłatne języki. Na ich głowach zamiast włosów wiły się podobne do węży, czarne sploty.

Powitali gości z nieco obojętną uprzejmością i poprosili ich, by poczekali na przyjście ich dziadka. Senior rodu pojawił się wkrótce, kulejąc i faktycznie był wiekowym Ghayrogiem.

- Jestem Bekrimiin - powiedział i wykonał powolny, lecz wylewny gest powitania. Prestimion się nie przedstawił. - Jesteśmy bardzo biedni, ale ugościmy was najlepiej, jak potrafimy.

To powiedziawszy, przywołał gestem swoje wnuki, które przyniosły półmiski, będące niczym innym jak wielkimi, podobnymi z kształtu do serca liśćmi jakiegoś pobliskiego drzewa. Na nie wyłożyli

sfermentowane puree z jakiegoś warzywa, pachnące ostro przyprawami. Prestimion zjadł trochę, ostentacyjnie okazując zadowolenie. W jego ślady poszło kilku innych ludzi, choć ani Gialaurys, ani wybredny Septach Melayn nawet nie udawali, że jedzą. Do posiłku podano słodki, musujący alkohol.

Później Ghayrog zaprowadził ich do serca ruin. Widoczny był tylko niewyraźny zarys miasta, fundamenty budynków, tu i ówdzie spalona wieża, parę jeszcze nie wywróconych, wspartych na pobliskich drzewach ścian czegoś, co mogło być magazynem, świątynią lub pałacem. Większość budynków pochłonęły już pnące drzewa, których spłaszczone gałęzie zrastały się, całkowicie zakrywając wszystko, o co się kiedyś opierały. Miasto, jak powiedział starzec, zwało się Diarwis, choć nazwa ta nie mówiła nic Prestimionowi i jego towarzyszom.

- Zbudowano je w czasach Lorda Stiamota, prawda? - zapytał Prestimion.

Ghayrog zaśmiał się chrapliwie.

- Nie, nic z tych rzeczy. Tak wam powiedziały te głupie dzieci? Nic nie wiedzą. Cała wiedza o historii, którą próbuję im przekazać, wypada im z głów zanim skończę mówić. Nie, to miasto jest dużo młodsze. Opuszczono je zaledwie dziewięćset lat temu.

- I nie było żadnego najazdu Metamorfów?

- To też wam powiedziały? Nie, to tylko mit. Wtedy nie było już Metamorfów w Alhanroelu. Miasto zniszczyło się samo.

I stary Ghayrog opowiedział im historię o okrutnym i pysznym

diuku, o buncie sług, którzy pracowali na jego roli, o zabiciu trzech członków rodziny diuka, o jego okrutnej zemście, o kolejnym powstaniu i jeszcze brutalniejszych represjach, które zakończyły się zabójstwem diuka i opuszczeniem miasta zarówno przez sługi, jak i panów, bo podówczas pozostało przy życiu za mało ludzi, by mogli tu dalej żyć.

Prestimion słuchał w ponurej ciszy, zdumiony tym fragmentem nieznannej historii.

Jak każdy książę z Zamku, któremu przeznaczona była ważna rola w rządzie, odbył intensywne studia nad annałami historii Majipooru. Była to historia niezwykle pokojowa, w której od czasu wojen Stiamota z Metamorfami aż do walki Prestimiona z Korsibarem nie miał miejsca żaden poważny rozlew krwi. Nigdy nie znalazł opowieści o zbuntowanych sługach i zamordowanych diukach. Historia ta kłóciła się z jego wizją mieszkańców Majipooru jako ludzi łagodnych, którzy już dawno nauczyli się rozwiązywać swoje konflikty pokojowymi metodami. Wolałby już usłyszeć, że to Zmiennokształtni dokonali tych zniszczeń, bo przynajmniej brutalny konflikt pomiędzy ludźmi a Metamorfami miał długą historię, choć kończyła się ona na tysiąc lat przez zniszczeniem miasta.

Bekrimiin poinformował gości, że mogą zostać u niego na noc lub jak długo zechcą, lecz Prestimion miał już dość tego miejsca, które położyło się cieniem na jego nastroju. Powiedział Gialaurysowi:

- Podziękuj mu i daj trochę pieniędzy, i powiedz, że właśnie gościł Koronała, a potem ruszamy. - Do Abriganta zaś rzekł: - Kiedy

wrócimy na Zamek, znajdź mi wszystkie dokumenty dotyczące historii tego miejsca. Chciałbym ją lepiej poznać.

- Równie dobrze w archiwach niczego nie znajdziesz - powiedział Septach Melayn. - Ukrywanie niewygodnych faktów nie musi być naszym autorskim wynalazkiem, mój panie.

- Być może - odpowiedział Prestimion ponuro i wyszedł przez bramę miasta. Przez jakiś czas wpatrywał się w wielkie drzewo, które trzymało mur w swoim pozerającym uścisku. Przez resztę popołudnia niewiele się odzywał.

*

Jechali teraz przez rejon zwany Arvyandą. Nazwę tę zazwyczaj słyszało się w sformułowaniu „ Arvyanda, kraina złotych wzgórz”, które Prestimionowi kojarzyło się z płowymi wzgórzami, spalonymi słońcem podczas długiego, suchego lata. Zastanawiał się, jak wzgórza mogą być złote w wiecznie kwitnącym, zielonym, tropikalnym regionie częstych deszczy. A może znajdowały się tu kopalnie żółtego metalu?

Szybko okazało się, że źle to sobie wyobrażał. Na wzgórzach Arvyandy rosło tak wiele drzew o grubym pniu i liściach w łódkowatym kształcie, że niemal nie było widać innej roślinności. W jasnym, tropikalnym słońcu te niezliczone, sztywne, rozpostarte liście o metalicznej teksturze błyszcząły złoto, jakby cała okolica była pozłacana.

W mieście Arvyanda wypytywali ludzi o Dantiryę Sambaila, lecz nie otrzymali żadnych istotnych informacji. Nikt nie twierdził, że

widział samego prokuratora, choć w kilku miejscach mówiono o nieprzyjemnych obcych, którzy parę tygodni wcześniej przemierzali spiesznie obrzeża miasta. Czy tubylcy specjalnie nie opowiadali o szczegółach, czy byli po prostu ograniczeni? Ciężko było to stwierdzić, ale w każdym razie niewiele można było się od nich dowiedzieć.

- Jedziemy dalej? - Septach Melayn zapytał Prestimiona.

- Tak, wprost na wybrzeże.

Po drugiej stronie Arvyandy znajdowały się osławione kopalnie topazu w Zebergedzie. Znajdowano tu przezroczystą formę tego cennego minerału, przejrzystą jak najlepsze szkło i po oszlifowaniu znacznie przewyższającą je połyskliwością. Światło słońca było w kamienistym Zebergedzie tak jasne, że jego blask czynił żyły topazu niewidzialne za dnia. Z tego powodu zbieracze wychodzili pod wieczór, kiedy topaz błyszczał w ostatnich promieniach słońca i na błyszczących kamieniach kładli miski jako znaczniki. Wracali następnego dnia, by odciąć tak oznaczone kawałki skały, po czym oddawali je rzemieślnikom do oszlifowania.

Prestimion obserwował to z zainteresowaniem, ale zbieracze z Zebergedu, choć pokazywali mu wspaniałe płyty najczystszej topazu, nie mieli dla niego informacji o Dantiryi Sambailu.

Za Zebergedem niebo zachmurzyło się i wyglądało jak podbite grubą, opalizującą gazą. Wkraczali w deszczowy region Kajith Kabulon, gdzie klinowaty łańcuch górski nieustannie chwycił napływające znad południowych mórz mgły i przemieniał je w deszcz.

Wkrótce dotarli do strefy opadów i od tej chwili minęło wiele dni, nim znów ujrzeli słońce. Deszcz bębnił nieustannie, poza nielicznymi godzinami przerw.

Dżungla Kajith Kabulon była... zielona, zielona, zielona. Od ziemi aż do nieba wyrastała niezwykła obfitość drzew i krzewów. Ich pnie pokryte były pasami czerwonych i żółtych grzybów, stanowiących jedyny kolorowy akcent w zielonym oceanie, a ich korony związane były nieprzeniknioną płataniną lian i porośli, tworzących niemal szczelny baldachim, przez który nieustannie sączył się kapiący na ziemię deszcz. Gąbczasta gleba pokryta była gęstym dywanem puszystego, zielonego mchu, przerywanym tu i ówdzie wąskimi strumyczkami i licznymi jeziorkami, które odbijały i zakrzywiały przytłumione, zielonkawe światło w tak skomplikowany sposób, że czasami trudno było stwierdzić, czy padało ono z góry, czy wydobywało się z ziemi.

Obfitość zwierząt zapierała dech w piersiach. Żarłoczne, długonogie robaki, chmary pcheł, brzęczące, białe osy o skrzydłach w czarne pasy. Niebieskie pająki, zwieszające się na długich niciach z wysokich drzew. Muchy o ogromnych, czerwonych oczach. Szkarłatne, żółto nakrapiane jaszczurki. Płaskogłowe, ryczące ropuchy. Tajemnicze stworzenia, które kryły się w szczelinach skał i nie pokazywały nic poza włochatymi pazurami, które wystawiały jak czujki. Od czasu do czasu widywali futrzaste zwierzaki, które nigdy nie zbliżały się do podróżujących, jak parszcząc i węższąc w dżungli odwracały płaty mchu rozwidlonymi trąbami w poszukiwaniu czegoś,

co pod nim żyło. W zielonej ciemności rzeczy przybierały dziwne, fantasmagoryczne kształty. Smukłe kameleony wyglądały jak szare gałązki, gałązki jak kameleony, węże udawały pnącza, a niektóre pnącza do złudzenia przypominały węże. Leżące nad strumieniami, próchniejące kłody brało się za przyczajone, drapieżne gurnibongi, za to raz, gdy Gialaurys ukląkł rano przy wodzie, by ochlapać sobie twarz, ujrzał, że to, co wziął za leżącą zaledwie parę stóp od niego w strumieniu kłodę uniosło się pochrzając na czterech masywnych łapach i powoli odeszło, klapiąc długim, zębatym pyskiem z urazy, że mu przeszkadzono.

Książę Thaszthasz, smukły mężczyzna o oliwkowej skórze i w nieokreślonym wieku, który rządził Kajith Kabulon odkąd Prestimion pamiętał, przyjął niezapowiedzianą wizytę Koronala w swoich ziemiach z takim samym spokojem, z jakim zdawał się znosić wszystko inne. Wyprawił dla Prestimiona obfitą ucztę w swoim plecionym pałacu w sercu dżungli. Była to otwarta, przewiewna budowla zbudowana w stylu naśladowującym konstrukcje Metamorfów z Iliryvoyne, położonego daleko na drugim kontynencie.

- Co roku buduję nową - wyjaśnił Thaszthasz. - To zmniejsza koszty utrzymania rezydencji.

Jedli słodkie owoce i wędzone mięsa, których smaki były całkowicie obce przybyszom z Góry Zamkowej, ale przynajmniej wino pochodziło z północy i było jak długo oczekiwana namiastka rodzinnych stron. Były występy muzyków, byli żonglerzy, a trzy wijące się jak węże, prawie nagie dziewczyny odtańczyły

skomplikowany, prowokujący taniec. Prestimion i księżę dyskutowali o urokach koronacji, o kwitnącym zdrowiu Pontifexa, którego Prestimion niedawno widział, o cudach otaczającej ich dżungli, którą Thaszthasz, całkiem niezaskakująco, uważał za najpiękniejsze miejsce całego Majipooru.

Stopniowo, wraz z upływem nocy, rozmowa zeszła na poważniejsze tory. Prestimion próbował poruszyć temat Dantiryi Sambaila, ale zanim zdążył wyjaśnić powód swojej wizyty na południu, księżę Thaszthasz zgrabnie wtrącił, że miał poważny problem, polegający na coraz częstszych przypadkach niewyjaśnionego szaleństwa, trapiącego mieszkańców jego prowincji.

- Zasadniczo jesteśmy bardzo zrównoważonymi ludźmi, mój panie. Niezmienna łagodność i ciepło tutejszego klimatu, piękno i spokój otoczenia, niezmienna muzyka deszczu... nie wyobraża sobie Wasza Miłość, jak zbawienny wpływ ma to wszystko na duszę.

- To prawda. Zaiste, nie wyobrażam sobie.

- Ale teraz - w ciągu ostatnich sześciu, może ośmiu miesięcy - nagle wszystko się zmieniło. Najbardziej zrównoważeni obywatele nagle wstają i całkowicie nieprzygotowani wyruszają do lasu. Rozumie Wasza Miłość, schodzą z przetartych szlaków, co nie jest bezpieczne, bo las jest duży - zapewne nazwalibyście go dżunglą - i potrafi być niełaskawy dla tych, którzy go zlekceważą. Do tej pory mieliśmy jedenaście setek takich zniknięć. Powróciła tylko garstka z tych, którzy wyruszyli. Czemu ruszają? Czego szukają? Nie potrafią nam na to odpowiedzieć.

- Jakie to dziwne - powiedział Prestimion, czując się niezręcznie.

- Poza tym mieliśmy wiele niezwykłych przypadków irracjonalnych zachowań, niektóre z użyciem przemocy. Były nawet ofiary... - Thaszthasz potrząsnął głową. Na jego gładkiej, spokojnej twarzy pojawił się grymas bólu. - Nie rozumiem tego, mój panie. Nie miały tu miejsca żadne zmiany, które mogłyby spowodować taki wstrząs. Wyznam, że wydaje mi się to niepokojące. Powiedzcie, Wasza Miłość, czy mieliście podobne doniesienia z innych okolic?

- Tak, mieliśmy - powiedział Prestimion, który nie myślał o tej sprawie od czasu, kiedy opuścił Labirynt. Nieprzyjemnie było znów się z nią mierzyć. - Zgadzam się, że sytuacja jest niepokojąca. Prowadzimy badania.

- Ach. Niewątpliwie wkrótce będziecie mieli ważne wnioski, którymi się z nami podzielicie. Jak myślisz, mój panie, czy za tym może stać jakaś magia? To moja teoria i wydaje mi się całkiem słuszna. Co innego mogłoby naraz odebrać rozum tak wielu osobom, jeśli nie jakieś wielkie zaklęcie, które ciemna siła rzuciła na te ziemie?

- Wiele uwagi poświęcamy tej kwestii - powiedział Prestimion tonem na tyle ostrym, by Thaszthasz, doświadczony w sprawach związanych z rządem, zrozumiał, że Koronał pragnie zakończyć dyskusję. - Pozwól mi, książę, zapytać o coś innego, a co jest właściwym powodem, dla którego zapuściłem się do twojego pięknego lasu...

- Podszedł do sprawy nader spokojnie - powiedział Septach Melayn z pewnym żalem, gdy przejeżdżali przez południowy skraj deszczowej krainy. - Och, tak, oczywiście, sławny prokurator! - powiedział, wysokim głosem naśladowując nijaki, niezmienny styl mówienia księcia Thaszthasza. - Jaka to niezwykła postać! Przeżywamy zdumiewający czas niespodziewanych wizyt w naszej krainie! Czy nie słyszał ani słowa o blokadzie wybrzeża? Ani o linii patroli, którą wyznaczyliśmy pomiędzy Bailemooną i Stoien?

- Słyszał - powiedział opryskliwie Abrigant. - Oczywiście, że słyszał! Po prostu nie chciał wejść w konflikt z Dantiryą Sambaiem. Kto by chciał? Ale jego obowiązkiem było zatrzymać prokuratora do czasu...

- Nie - powiedział Prestimion. - Byliśmy niedokładni przy rozsyłaniu wiadomości. Nakazaliśmy urzędnikom portowym, by zatrzymali go, jeśli go zauważą, ale nigdy nie wysłaliśmy tej informacji do ludzi takich, jak Thaszthasz, którzy mają władzę nad ziemiami, przez które Dantiryą Sambail najpewniej podróżował w stronę morza. Byliśmy niedokładni i mamy tego skutki. Ponieważ nie ogłosiliśmy, że Dantiryą Sambail jest zbiegiem wyjętym spod prawa, umożliwiliśmy mu nie tylko prześlizgnięcie się do wybrzeża, ale i korzystanie po drodze z gościnności książąt.

Abrigant nie ustępował.

- Thaszthasz powinien był wiedzieć, że go poszukujemy. Należy go ukarać za jego zaniedbanie...

- Na czym polegające? - zainteresował się Gialaurys. - Na tym, że zaprosił władcę całego zachodniego kontynentu na posiłek w swoim pałacu? Jeśli nie informujemy, że Dantiryja Sambail jest przestępcą, który musi zostać postawiony przed sądem, czemu ktokolwiek miałby go podejrzewać? - Gialaurys powoli potrząsnął wielką głową. - A nawet gdyby o tym wiedział, czemu miałby się wtrącać? Dantiryja Sambail może sprawić każdemu duże kłopoty, a Thaszthasz ewidentnie nie należy do ludzi, którzy kłopoty dobrze znoszą. Może nawet nie ma pojęcia o całej sprawie. Żyje w tej dżungli, słucha, jak pada jego cudny deszcz i nie obchodzi go nic innego.

- Wciąż jest nadzieja - powiedział Maundigand-Klimd - że ktoś okazał się na tyle odważny, by pochwycić Dantiryję Sambaila w którymś z portów.

Ponieważ nikt nie kwapił się do podtrzymania rozmowy, temat porzucono.

Wjeżdżali teraz na terytorium Aruachozji, położonej wzdłuż południowego wybrzeża Alhanroelu. Morze było oddalone o zaledwie kilkaset mil i każdy powiew wiatru niósł jego słonawy zapach i duszne ciepło. Ta ziemia była wilgotna, parująca. Jej rozległe połacie pokrywały pełne owadów bagna i splątane gąszcze palm manganosa o liściach jak piły, czyniąc je praktycznie niezdatnymi do zamieszkania. Zachodnia część regionu jednak cechowała się stosunkowo umiarkowanym klimatem, ciągnęła się do Sippulgaru, głównego portu

morskiego na zachodnim wybrzeżu, leżącego na granicy pomiędzy Aruachozją i prowincją Stoien.

Sippulgar zawsze nazywano złotym. Prestimion pomyślał, że cała ta podróż była zaiste złota: złote pszczoły z Bailemoony, żółte piaski Ketheronu, złote wzgórza Arvyandy, a teraz złoty Sippulgar. Była też bardzo malownicza, ale do tej pory nie przyniosła nic, poza złotem głupców. Dantiryja Sambail beztrudno poruszał się coraz dalej, nie napotykając żadnych trudności i w tej chwili być może już prześliznął się przez blokadę portów i wracał do swojego prywatnego królestwa, Zimroelu, gdzie będzie właściwie nietykalny.

Prestimion zastanawiał się, czy ta ciągła pogoń miała jakikolwiek sens. Może powinni się zatrzymać i spiesznie wrócić na Zamek? Czekają na niego królewskie obowiązki. Bunt Sambaila nie był jego jedynym problemem, w kraju niewątpliwie panował prawdziwy kryzys, a Koronal i jego najbliżsi doradcy podróżowali po odległych ziemiach, angażując się w bezowocne poszukiwania, które można by lepiej prowadzić innymi środkami.

I była jeszcze Varaile, wielkie pytanie w jego życiu, pozostające wciąż bez odpowiedzi...

Na chwilę Prestimion postanowił zaprzestać pogoni za prokuratorem, ale kiedy tylko o tym pomyślał, natychmiast odepchnął od siebie ten pomysł. Podążał za Dantiryją Sambaiłem tak długo, przez pustynię i przez dżunglę, przez złote ziemie i postanowił, że będzie podążać dalej, przynajmniej póki nie dotrze na wybrzeże, gdzie może uda mu się zdobyć konkretne informacje o ruchach prokuratora. Złoty

Sippulgar będzie ostatnim punktem jego podróży. A więc jazda, do Sippulgaru, a potem do domu, do Zamku, do tronu i zadań Koronala; do domu, do Varaile.

*

Sippulgar nazywano „złotym”, ponieważ fasady wszystkich jego dwu - i trzypiętrowych budynków zbudowano ze złotawego piaskowca, który wydobywano z pobliskich wzgórz na północy. Podobnie jak metaliczne liście drzew w Arvyandzie, błyszczące w jasnym świetle tropikalnego słońca i zamieniające całą okolicę w krainę lśniącego złota, ciepły, łagodny w kolorze kamień Sippulgaru, odbijający światło drobinkami miki, w świetle dnia nadawał wszystkiemu olśniewający, złoty blask.

Było to w każdym calu miasto dalekiego południa, tonące w powietrzu wilgotnym i ciężkim. Roślinność wzdłuż ulic i wokół domów, cudownie bujna, mieniła się oszałamiająco kolorowymi kwiatami we wszystkich odcieniach czerwieni, błękitu, żółci, fioletu, pomarańczy, a nawet ciemnego brązu i pulsującej, migotliwej czerni, tak intensywnej, że zdawała się być raczej kwintesencją koloru, niż jego brakiem. Ludzie tutaj również byli ciemnoskórzy, o twarzach i ciałach wyraźnie naznaczonych przez gorące słońce. Sippulgar leżało w wyjątkowej urody wygiętej zatoce nad niebieskozielonym brzegiem Morza Wewnętrznego. Port wypełniały statki z całego świata. Ten fragment południowego Alhanroelu zwany był Wybrzeżem Przypraw, gdyż wszystko, co tylko tu rosło, cechowała niezwykła woń: z niskich, nadbrzeżnych roślin produkowano khazzil i balsam zwany

himmam, a w lasach w głębi lądu rosły drzewa cynamonowe, mirra, drzewa thanibong i szkarłatne fthiisy. Wszystkie te rośliny wydzielały tyle aromatycznych olejków i żywic, że samo powietrze wokół Sippulgaru sprawiało wrażenie perfumowanego.

Przybycie Prestimiona do Sippulgaru nie było niespodzianką. Od początku wyprawy na południe wiedział, że niezależnie od tego, jaką trasą podąży z Labiryntu, dotrze na wybrzeże właśnie tutaj, chyba że po drodze otrzyma informację, zmuszającą do kontynuowania pościgu za Dantiryą Sambailem w innym kierunku. Z tego powodu najwyższy dostojnik miasta, noszący tytuł Prefekta Królewskiego, przygotował mu majestatyczny apartament w rządowym pałacu, okazałym budynku z miejscowego piaskowca, z którego rozciągał się widok na zatokę.

- Mój panie, jesteśmy gotowi spełnić każde twoje pragnienie, zarówno materialne, jak i duchowe - powiedział natychmiast Prefekt.

Nazywał się Kameni Poteva i był wysokim człowiekiem o sokolej twarzy, który ozdobił swoją białą, urzędową szatę parą jadeitowych amuletów zwanych rohillami i szarfą wyszywaną w święte symbole. Prestimion wiedział, że Sippulgar był miastem ludzi przesądnych. Czczono tu boga, który uosabiał Czas i miał postać skrzydlatego węża z groźną, zębatą paszczą i płonącymi oczyma niewielkiego zwierzęcia, zwanego jakkabole. W drodze do miasta Prestimion widział jego podobizny na kilku placach. Obecne tu były także inne egzotyczne kulty, ponieważ Sippulgar pełnił rolę nowego domu dla kolonii przybyszy z gwiazd, przedstawicieli ras, których cała

populacja na Majipoorze nie przekraczała paru setek. Jedna z ulic była, jak słyszał, zabudowana rzędem świątyń poświęconych bogom tych obcych przybyszów. Prestimion zanotował w myślach, że chciałby zobaczyć ją przed odjazdem.

Kiedy tego wieczoru szykował się do oficjalnej kolacji, którą na jego część wydawał Prefekt, przyszedł do niego Septach Melayn.

- Mam wiadomość od Akbalika z Ni-moya - powiedział, podając mu otwartą kopertę. - Bardzo dziwna wiadomość. Młody Dekkeret zapisał się w poczet biurokratów Pontyfikatu i wyruszył na Suvrael.

Zszokowany Prestimion gapił się na papier w ręku Septacha Melayna, nie biorąc go do ręki.

- Co powiedziałaś? Chyba nie rozumiem.

- Pamiętasz pewnie, wysłałeś Akbalika na Zimroel, żeby pilnował, czy Dantirya Sambail nie próbuje sprawiać nam kłopotów na rodzinnym kontynencie. I pamiętasz, że w ostatniej chwili zasugerowałem, żeby Dekkeret pojechał z nim i nabrał trochę dyplomatycznego doświadczenia?

- Tak, tak, pamiętam. Ale o co chodzi z tą pracą dla Pontyfikatu? I dlaczego ze wszystkich możliwych miejsc wybrał Suvrael?

- Wygląda na to, że odbywa pokutę.

- Pokutę?

Septach Melayn skinął głową i szybko rzucił okiem na list od Akbalika.

- Z tego, co tu widzę, polowali na stitmoje na Bagnach Khyntoru - muszę przyznać, że to również był mój pomysł - i wydarzył się jakiś

wypadek. Podczas polowania zginęła miejscowa przewodniczka, jak rozumiem z winy Dekkereta. Przynajmniej on uważa, że to przez niego. W każdym razie, Dekkeret poczuł się z tym tak źle, że postanowił udać się w najbardziej nieprzyjemne miejsce na całym znanym mu świecie i dokonać czegoś wielkiego i trudnego w skrajnie niesprzyjających warunkach fizycznych, żeby odpokutować w ten sposób za krzywdę, którą - jak sądzi - spowodował, polując na północy. Z tego powodu kupił bilet na Suvrael. Oczywiście Akbalik próbował go od tego odwieść. Ale tak się złożyło, że przedstawiciele Pontyfikatu w Ni-moya szukali młodych ludzi, którzy podjęliby się jakiejś absurdalnej misji na Suvraelu, polegającej zdaje się na sprawdzeniu, czemu kontynent nie wywiązuje się z dostaw zakontraktowanych ilości wołowiny. Kiedy więc jeden ze znajomych Dekkereta, pracujący dla Pontyfikatu, dowiedział się, że chłopak i tak jedzie na Suvrael, załatwił mu tymczasowe zatrudnienie. I Dekkeret wyjechał. Pewnie już dotarł do Tolaghai. Bogini raczy wiedzieć, kiedy wróci.

- Suvrael - powiedział Prestimion, potrząsając głową. Czuł, jak wzbiera w nim furia. - Mówi, że to akt pokuty. Idiota! Na wszystkie demony Triggoinu, co z nim jest nie tak?! Jego miejsce jest na Zamku, a nie na tej przeklętej, pustynnej, jałowej ziemi! Jeśli czuł potrzebę pokuty, to czy Wyspa Snu nie jest zwyczajowym do tego miejscem? I byłaby to dużo krótsza podróż.

- Sądzę, że Wyspa wydała mu się za spokojna. A może nawet nie pomyślał, żeby tam pojechać.

- Więc Akbalik powinien mu to być zasugerować. Suvrael! Jak mógł to zrobić? Miałem wobec niego plany! Akbalik za to odpowie!

- Mój panie, Dekkeret jest bardzo uparty. Wiesz o tym. Jeśli postanowił, że pojedzie do Suvraelu, nie zmusiłbyś go do zmiany zdania.

- Może i tak - Prestimion próbował opanować gniew i niezbyt mu to wychodziło. - Być może. - Skrzywił się gniewnie, odwrócił, zapatrzył w okno. - W porządku. Policzę się z młodym Dekkeretem, kiedy wróci z tej swojej pokutnej misji. Już ja mu dam powód, żeby pokutować! Raportowanie Pontifexowi o wołowinie z Suvraelu! Od lat panuje tam susza, pastwiska się wypaliły, wyrznęli całe bydło, bo nie mieli go czym karmić, dlatego zmniejszył się eksport wołowiny! Po co Pontifex chce tam kogoś wysyłać, żeby tylko stwierdzić wiadome sprawy? Słyszałem, że susza już się skończyła. Dajmy im dwa, trzy lata na odtworzenie stad i będą wysyłać tyle samo wołowiny, ile...

- Ważna tutaj nie jest informacja, którą Pontyfikat uznał za słuszne zdobyć. Ważne jest, że Dekkeret ma przesadne poczucie honoru i poczuł, że musi dokonać ekspiacji za coś, co uznał za potworny grzech, poprzez długie, osobiste cierpienie. Wiesz, młody człowiek może mieć gorsze wady. Jesteś dla niego zbyt surowy.

- Tak? Może i masz rację - powiedział niechętnie Prestimion po chwili zastanowienia. - A co z Akbalikiem? Co jeszcze ma nam do przekazania i gdzie jest teraz?

- W tej chwili wraca z Ni-moya przez Alaisor i pisze, że dołączy do

nas, gdziekolwiek zechcesz. Co się tyczy prokuratora, w Ni-moya słuch o nim zaginął i z tego, co Akbalik odkrył, nie ma go jeszcze nigdzie w Zimroelu.

- Pewnie więc jest gdzieś na morzu, w drodze. Dobrze, niech i tak będzie. Zajmiemy się nim w swoim czasie. Coś jeszcze?

- Nie, mój panie.

Septach Melayn podał wiadomość Prestimionowi, który bez patrzenia rzucił ją na stół. Gdy odwracał się do Septacha Melayna, spojrział w kierunku morza, jakby widział przez nie odległy Suvrael.

Suvrael! Dekkeret popłynął na Suvrael!

Co za głupota, myślał Prestimion. Miał o tym chłopcu takie dobre zdanie, szczególnie zaraz po próbie zamachu w Normork, kiedy wydawał się taki wierny, taki szybki, taki zdolny. A teraz to! Cóż, może należało to zapisać na karb młodzieńczego romantyzmu. Prestimionowi zrobiło się prawie żal tego młodego człowieka, znajdującego się gdzieś na spieczonym słońcem południowym kontynencie, który, sądząc z raportów, był smutnym, suchym miejscem, pełnym wydm, żądłących owadów i palących wiatrów.

Prestimion przypomniał sobie własną wędrówkę po Pustyni Valmambra na północy, zaraz po wielkiej porażce przy Tamie Mavestoi, w najczarniejszej godzinie wojny z Korsibarem. Jakże wówczas cierpiał! W końcu popadł w delirium spowodowane wycieńczeniem i głodem, i dwa czy trzy dni później znaleziono by jego zwłoki. Tamta podróż była najtrudniejszym wydarzeniem w jego życiu.

A przecież mówiono, że każdy fragment Suvraelu jest dziesięć razy gorszy od Valmambry. Jeśli tak, Dekkeret na pewno znajdzie tam upragnione męki dla oczyszczenia duszy. Co jednak będzie, jeśli wydostanie się z Suvraelu i podróż na Zamek zajmie mu następne pięć lat? Co wtedy stanie się z tym obiecującym młodzieńcem? A skoro o tym mowa, co będzie, jeśli tam zginie? Prestimion, jak wszyscy, słyszał historie o niedoświadczonych podróżnikach, którzy zeszli z jakiejś pustynnej ścieżki i, zagubieni bez wody do picia w palącym jak piec upale Suvraelu, zmarli w ciągu zaledwie paru godzin.

Cóż, Dekkeret zapewne potrafi o siebie zadbać. A Septach Melayn miał rację, taki wyczyn można było wybaczyć, szczególnie młodzikowi. Przygoda w Suvraelu, o ile ją przeżyje, może dać mu wiele dobrego. Stałby się twardszy, nabrałby głębszego spojrzenia na sprawy życia i śmierci, na odpowiedzialność i obowiązek. Prestimion mógł tylko żywić nadzieję, że chłopak tam na południu szybko wybaczy sobie błąd z polowania i wróci na Zamek w rozsądnym czasie, gotów podjąć czekające na niego obowiązki.

*

Głównym problemem, którym chciał się zająć Prestimion w złotym Sippulgarze, był Dantirya Sambail. Prefekt Kameni Poteva niezwłocznie podzielił się z nim wszelkimi informacjami na temat miejsca pobytu prokuratora. Niestety, nie wiedział nic nowego.

- Na wasze polecenie, mój panie, zablokowałem każdy port na wybrzeżu. Odkąd otrzymałem od was informacje dotyczące tej trudnej sytuacji, z Sippulgaru nie wypłynął do Zimroelu żaden statek, póki

urzędnicy portowi nie sprawdzili dokładnie jego listy pasażerów. Dantiryi Sambaila nikt nie widział. Sprawdzaliśmy też statki wypływające do innych portów Alhanroelu, które prowadzą handel z Zimroelem. Skutek był taki sam.

- Które to porty? - spytał Prestimion. Prefekt rozwinął przed nim mapę południowego Alhanroelu.

- Wszystkie są położone na zachód stąd. Inne kierunki możemy wykluczyć. Jak widzicie, mój panie, Sippulgar położony jest przy granicy prowincji, oddzielającej nas od Stoien, a tutaj znajduje się wschodnia Aruachozja. Dalej na wschód położone są prowincje Vrist, Sethem, Kinorn i Lorgan. Jedynym portem o jakimkolwiek znaczeniu na całym ich wybrzeżu jest Glystrintai we Wist, a wszystkie statki, które stamtąd wypływają, najpierw przyplływają tutaj. Jeśli więc prokurator był tak głupi, że po dotarciu na wybrzeże ruszył na wschód, to i tak wróciłby tutaj, gdzie zostałby przez nas aresztowany.

- A na zachód?

- Na zachodzie, mój panie, leży prowincja Stoien i półwysep Stoienzar. Wzdłuż południowego wybrzeża Stoien jest tylko kilka rzadko rozrzuconych portów, ponieważ upały, owady i nieprzebyte dżungle palm piłowych zniechęcały do osiedlania. Na przestrzeni blisko trzech tysięcy mil mamy tylko miasta Maximin, Karasat, Gunduba, Slail i Porto Gambieris, z których żadne nie jest zbyt ważne. Gdyby prokurator z Kajith Kabulon dotarł do jednego z nich i próbował wykupić przejazd dalej na zachód, na pewno byśmy o tym wiedzieli, jednak nikt podobny do Dantiryi Sambaila nie był w

żadnym z nich widziany.

- A jeśli nie dotarł lądem aż do południowego wybrzeża? - zapytał Septach Melayn. - Jeśli gdzieś skręcił na zachód i ruszył w stronę jednego z portów na północnym półwyspie? Czy to w ogóle możliwe?

- Owszem, możliwe, choć trudne. - Prefekt przesunął czubkiem długiego, kościstego palca po linii na mapie. - Tutaj leży Kajith Kabulon. Jedyna dobra droga, prowadząca przez las deszczowy idzie na wschód i nią właśnie podróżowaliście. Istnieją też lokalne drogi, słabo utrzymane i niełatwe w użyciu, które mogą wydać się kuszące dla kogoś, kto próbuje uciec przed sprawiedliwością. Choćby ta, która wychodzi z Kajith Kabulon w jego północnozachodnim rogu i przecina północną Aruachozję, po czym zmierza na zachód w stronę półwyspu. Jeśli wszystko poszłoby po jego myśli, prokurator mógłby dotrzeć do jednego z tuzina portów leżących na półwyspie po stronie zatoki. Tam zaś wszystko byłoby dla niego łatwiejsze.

- Rozumiem - powiedział Prestimion, czując ucisk w dołku. Półwysep Stoienzar, domena diuka Oljebbina, wystawał na zachód z południowej części Alhanroelu jak gigantyczny kciuk, wysunięty głęboko w ocean. Na południe od półwyspu znajdowała się większość Morza Wewnętrznego i droga do Suvraelu. Po północnej stronie półwyspu leżała spokojna, tropikalna Zatoka Stoien. Region Zatoki Stoienzar był jednym z najgęściej zaludnionych na Majipoorze. Co sto mil leżały tam duże miasta, a prawie całą przestrzeń pomiędzy nimi zajmowały kurorty, centra rolnicze i wioski rybackie. Jeśli Dantirya Sambail dotarł gdziekolwiek nad brzeg zatoki, nie miałby problemów

ze znalezieniem żeglarza spod ciemnej gwiazdy, który przewiózłby go do Stoien, największego miasta w okolicy, z którego statki nieprzerwanie kursowały pomiędzy Zimroelem i Alhanroelem.

Oczywiście wysłali do Stoien i do wszystkich międzykontynentalnych portów w tej okolicy odpowiedni zakaz. Ale jak bardzo można na nim polegać? Spokojne miasta tropików były znanymi siedliskami skorumpowanych urzędników. Podczas swych długoletnich studiów na Zamku, Prestimion poznał historie takich przypadków. Gubernator Gan Othiang, który bogacił się w porcie Khuif na półwyspie za rządów poprzedzających Prankipina, miał w zwyczaju, oprócz zwykłych portowych podatków, nakładać na wszystkich kupców jeszcze jeden, swój własny. Gdy umarł, jego prywatny skarbiec, wypchany kością słoniową, perłami i muszlami, zawierał bogactwo większe, niż skarb prowincji. W położonym dalej na północ Yarnik, burmistrz Plusiper Pailiap, zwykł konfiskować własność zmarłych kupców, których spadkobiercy nie zgłosili się w ciągu trzech tygodni. Diuk Saturis, dziadek Oljebbina, był wielokrotnie oskarżany o przywłaszczanie sobie odsetka ze wszystkich wpływów z cła, chociaż wszelkie rządowe śledztwa były zawsze umarzane z niewyjaśnionych powodów. Prefekt Sippulgaru sprzed tysiąca lat utrzymywał potajemnie własną flotę piracką, która grasowała na pobliskich wodach. I tak dalej. W tutejszym dusznym powietrzu musiało być coś, co powodowało erozję praworządności i pobożności.

Prestimion odsunął mapę. Zwrócił się do Kameni Potevy.

- Ile czasu, sądzisz, zajęłaby Dantiryi Sambailowi podróż lataczem do portu Stoiem z...

Zachowanie Prefekta stało się nagle nader dziwaczne. Kameni Poteva był w najlepszym wypadku człowiekiem zestresowanym, było to widać od pierwszej chwili. Teraz jednak wewnętrzne napięcie, w którym wciąż trwał, musiało wzrosnąć tak, że stało się niemal nie do wytrzymania. Jego szczupła, ostra twarz, która wyglądała, jakby tropikalne słońce wypaliło z niej całe zbędne ciało, wydawała się ściągnięta tak, że skóra nieomal pękała. Na lewym policzku drgał mu mięsień, usta wykrzywiał tik, a oczy wyszły mu na wierzch jak para dużych, białych kul pod ciemnym czołem. Dłonie Kameni Potevy były zaciśnięte w pięści, trzymał je ściśnięte razem, ze złączonymi kostkami, nad dwiema rohillami na swojej piersi.

- Kameni Potevo? - powiedział Prestimion, poważnie zaniepokojony.

Prefekt w odpowiedzi wydał z siebie charczące westchnienie.

- Wybacz mi, mój panie... wybacz mi...

- Co się dzieje?

Kameni Poteva tylko potrząsnął głową, co wyglądało jakby się wzdrygnął. Drżał na całym ciele. Sprawiał wrażenie, że rozpaczliwie próbuje odzyskać kontrolę nad sobą.

- Mów do mnie, człowieku! Chcesz wina?

- Mój panie... och, mój panie... wasza głowa, mój panie...?

- Co z moją głową?

- Och... przykro mi... tak mi przykro...

Prestimion spojrział na Septacha Melayna i Gialaurysa. Czy to było szaleństwo, atakujące pod samym nosem Koronala? Tak. Tak. Bez wątplenia.

W tym potwornie dziwnym momencie Maundigand-Klimd zrobił szybki krok naprzód i położył ręce na ramionach Prefekta. Pochyliwszy obie głowy tak, że znajdowały się zaledwie o cale od czoła Kameni Potevy, Su-Suheris wypowiedział parę cichych słów, których Prestimion nie zrozumiał. To musiało być zaklęcie. Prestimionowi zdało się, że widzi białą mgłę, pojawiającą się między tamtymi dwoma.

Upłynęło kilka sekund, a stan Kameni Potevy pozostawał niezmienny. Potem z ust Prefekta dobyło się niskie syczenie, jakby był balonem, który nadmuchano do granic wytrzymałości, a jego postawa wyraźnie się rozluźniła. Kryzys mijał. Kameni Poteva spojrział na moment dzikimi oczami na Prestimiona, twarz wykrzywił mu grymas wstydu i szoku, po czym znów odwrócił wzrok.

Po chwili przemówił głuchym, ledwo słyszalnym głosem.

- Mój panie, to niewyobrażalnie upokarzające... Pokornie błagam o wybaczenie, mój panie...

- Ale co to było? Co się stało? Mówiłeś coś o mojej głowie.

Nastąpiła długa, pełna bólu przerwa.

- Miałem halucynacje. - Prefekt wyciągnął dłoń po butelkę wina. Septach Melayn szybko napełnił jego kielich. Kameni Poteva pil zachłannie. - To mi się zdarza, teraz dwa, trzy razy w tygodniu. Nie mogę od nich uciec. Modliłem się, by nie zdarzyły się w waszej

obecności, ale stało się inaczej. Wasza głowa, panie... była potworna, spuchnięta, jakby miała eksplodować. Tak mi się zdawało. A Wysoki Doradca... - spojrzał na Septacha Melayna i zadrżał. - Jego ramiona i nogi wyglądały jak odnóża gigantycznego pająka! - zamknął oczy. - Muszę zostać zwolniony ze służby. Już się do niej nie nadaję.

- Nonsens - powiedział Prestimion. - Potrzebujesz odpoczynku, to wszystko. Ze wszystkich raportów wynika, że dobrze wykonujesz swoją pracę. Czy te halucynacje to coś nowego?

- Mam je od półtora miesiąca. Dwóch miesięcy. - Żał było patrzeć na Prefekta. Nie potrafił nawet spojrzeć wprost na Prestimiona, siedział tylko ze zwieszoną głową i zgarbionymi plecami, patrząc na własne buty. - To jak atak. Widzę potworne rzeczy. Wizje jak z koszmaru, okropieństwa, jedno po drugim przez pięć, dziesięć, czasem piętnaście minut. Potem to mija i za każdym razem modlę się, żeby były ostatnimi. Ale zawsze jest następny.

- Spójrz na mnie - powiedział Prestimion.

- Mój panie...

- Nie. Spójrz na mnie. Powiedz mi, Kameni Potevo, czy jesteś jedynym człowiekiem w Sippulgarze, który cierpi taką przypadłość?

- Nie. Nie jedynym - odpowiedział cichutko.

- Tak myślałem. Czy to ostatnio bardzo częste? Dotychczas normalni ludzie załamują się, zachowują dziwnie?

- Niektórzy, tak. Właściwie bardzo wielu.

- Były zgony?

- Zdarzały się. Także zniszczenie mienia. Mój panie, musiałem

poważnie zgrzeszyć, skoro sprowadziłem to na...

- Posłuchaj mnie, Kameni Potevo. Cokolwiek się dzieje, nie jest to twoja wina, rozumiesz mnie? Nie możesz brać tego do siebie i nie możesz poczytywać sobie za hańbę, że w mojej obecności przytrafił ci się atak. Tak jak ty nie jesteś jedynym w Sippulgarze, który miewa halucynacje, tak Sippulgar nie jest jedynym miastem, w którym takie rzeczy się zdarzają. To dzieje się wszędzie, Kameni Potevo. Zdaje się, że cały świat powoli wariuje. Chcę wiedzieć, dlaczego.

Prefekt, znacznie teraz spokojniejszy, zdołał się nawet uśmiechnąć.

- Jeśli chcecie mnie tymi słowami pocieszyć, mój panie, muszę powiedzieć, że ci się to nie udaje.

- Nie oczekiwałem natychmiastowego sukcesu. Ale poczułem, że powinieneś to wiedzieć. To epidemia, wszechogarniające zjawisko. W tej chwili nie jesteśmy pewni, czym spowodowane. Doskonale zdajemy sobie sprawę z problemu i nad nim pracujemy, i zamierzamy go rozwiązać.

Prestimion usłyszał cichy, wymuszony kaszel Septacha Melayna. Spojrzał na niego ostro, wyraźnie dając do zrozumienia, że to niewłaściwa pora na jego żarciki.

Przynajmniej część z tego, co powiedział, była prawdą. Jakaś część. Wiedzieli o problemie. Zamierzali go rozwiązać. A jak, kiedy, w jaki sposób - cóż, pomyślał Prestimion, nie wszystko naraz. Sam Lord Stiamot tego nie potrafił.

*

Wyglądało na to, że dalsza pogoń za prokuratorem nie miała już

sensu. Prestimion wiedział, że mógł gonić wciąż i wciąż, coraz dalej i dalej, ale miał niewielkie szanse znaleźć Dantiryę Sambaila i że nie mógł podróżując po świecie uciec przed demonami, które załęgły się w jego własnej duszy. Przyszła pora wrócić na Zamek.

Następnego dnia Kameni Poteva przyniósł Prestimionowi teczkę ze wszystkimi informacjami o zbiegu, jakie zdołał wydobyć z administratorów prowincji Aruachozja i Stoien. Nie było tam nic wartościowego: niepewne domysły, niepotwierdzone plotki i mnóstwo zdecydowanych zaprzeczeń, jakoby Dantirya Sambail pojawił się gdziekolwiek w pobliżu ziem danego urzędnika.

Nie zanotowano żadnego kontaktu z prokuratorem od czasu przekazanego przez księcia Serithorna doniesienia jego zarządcy, Haigana Harthy, a to miało miejsce wiele miesięcy wcześniej pod Bailemooną i w dodatku był to raport z drugiej ręki. Poza tym mieli bardzo niewiele, tylko spotkanie samego Haigana Harthy z kimś podobnym do Mandraliski mniej więcej w tamtym czasie i drugie pojawienie się Mandraliski parę miesięcy później, daleko na południu, w Ketheronie. Później ślad się urywał.

- Istnieją tylko dwie możliwości - powiedział Septach Melayn. - Może prześlizgnęli się przez Arvyandę i Kajith Kabulon niezauważeni, znaleźli, jak sugerował Prefekt, zachodnią drogę do Stoienzar, wsiedli na statek do Zimroelu i znajdują się w tej chwili na otwartym morzu pomiędzy miastem Stoien a Piliplokiem. Druga możliwość jest taka, że skoro w oczywisty sposób nie zbliżyli się do Sippulgaru i zapewne nie wybrali drogi na wschód od niego, musieli

wleźć w ruchome piaski, utonęli w nich i już nigdy nie pojawią się na tym świecie.

- Bogini nie byłaby dla nas taka łaskawa - westchnął Prestimion.

- Przegapiłeś trzecią możliwość - zauważył Gialaurys, obrzucając Septacha Melayna spojrzeniem pełnym irytacji. - Mogli spokojnie wyjść z dżungli Kajith Kabulon, wkroczyć do Stoienzaru, odkryć blokadę portów i ukryć się w jakiejś wsi na półwyspie, cierpliwie czekając na przybycie armady ratunkowej, którą wezwali z Zimroelu przez kuriera.

- W tym pomysle jest jakiś sens, jak sądzę - powiedział Abrigant.

- To do niego podobne - zdecydował Prestimion. - Stać go na wielką cierpliwość, kiedy dąży do celu. Ale nie możemy przeszukać wszystkich wiosek stąd do Stoien.

- Moglibyśmy sprawić, żeby zrobili to za nas ludzie Pontyfikatu - odrzucił Septach Melayn.

- Moglibyśmy. I tak uczynimy. Dodam, że moje własne przeczucia chylą się ku pierwszej teorii; sądzę, że wydostał się z naszej sieci i jest już w drodze do Zimroelu. W takim przypadku prędzej czy później dowiemy się, że tam przybył. Dantirya Sambail nie będzie długo ukrywał się na własnej ziemi. W każdym razie powinniśmy bez dalszej zwłoki wrócić na Zamek, gdzie sądzę, że czeka nas sporo pracy.

Odezwał się Abrigant.

- Za twoim pozwoleniem, bracie, jeśli mogę poruszyć inny temat, chciałbym znów wrócić do sprawy Skakkenoir. Powiedziałeś, że

kiedy skończymy z Sippulgarem, będę mógł udać się na poszukiwania.

- Skakkenoir? - powiedział Gialaurys.

- To miejsce położone gdzieś we Vrist, albo i dalej na wschód - w głosie Septacha Melayna brzmiała leciutka, lecz wyraźna nuta pogardy - gdzie ziemia pełna jest żelaza i miedzi, które rośliny wyciągają z ziemi atom po atomie, tak że można je odzyskać, spalając ich gałęzie i liście. Jedyne kłopot polega na tym, że nikt go nigdy nie odnalazł, bo miejsce to nie istnieje.

- Istnieje! - zawołał Abrigant z zapalem. - Istnieje! Sam Lord Guadeloom wysłał ekipę, by go szukała!

- I, o ile pamiętam, nie znalazła, a nikomu innemu w ciągu ostatnich kilku tysięcy lat nie chciało się nawet próbować. Równie dobrze mógłbyś spróbować wydobyć rudę żelaza ze swoich snów, Abrigancie.

- Na Boginię, ja...

Prestimion uniósł dłonie.

- Cisza! Zaraz się na siebie rzucicie! - do Abriganta rzekł: - Twoja dusza nie zazna spokoju, póki nie wyruszysz w tę podróż, prawda, bracie?

- Tak właśnie się czuję.

- Dobrze więc, skoro musisz, weź dwa latacze i tuzin ludzi i rusz na poszukiwanie Skakkenoir. Może Prefekt znajdzie ci jakieś przydatne mapy.

- Ty też ze mnie szydzisz, bracie?

- Spokojnie, braciszku. Nie miałem na myśli nic złego. Mówiłem całkiem poważnie. O ile wiemy, informacja o tym miejscu jest zagrzebana w archiwach Sippulgaru. Zapytaj go. A potem ruszaj. Ale jedno ci nakazuję, Abrigancie.

- Tak?

- Jeżeli nie znajdziesz Skakkenoir i jego metalonośnych piasków w ciągu sześciu miesięcy, wracaj na Zamek.

- Nawet jeśli będę o dwa dni od celu?

- A skąd będziesz to wiedział? Sześć miesięcy, Abrigancie. Ani godziny więcej. Przysięgnij mi.

- Jeśli będę miał wiarygodne informacje, że Skakkenoir leży dzień lub dwa przede mną, niewątpliwe informacje, i...

- Dokładnie sześć miesięcy. Przysięgnij.

- Prestimionie...

- Sześć miesięcy.

Prestimion wyciągnął przed siebie prawą dłoń, na której nosił królewski pierścień. Abrigant patrzył na niego przez chwilę ze zdziwieniem. Nawet w tej chwili sprawiał wrażenie zbuntowanego. Potem jakby sobie przypomniał, że on i Prestimion nie byli już tylko braćmi, ale również poddanym i królem, skinął głową, opuścił ją i dotknął ustami pierścienia.

- Sześć miesięcy - powiedział. - Ani godziny więcej, Prestimionie. Kiedy wrócę, przywiozę ci dwa latacze pełne żelaza.

Królewska świta pędziła do domu, wybierając tylko najprostsze i najszybsze trasy, i nie zatrzymując się nigdzie. Przed nią poruszali się kurierzy, którzy otwierali jej drogę na północ. Tym razem nie było konferencji z miejscowymi diukami i burmistrzami, nie było oficjalnych bankietów ani zwiedzania, tylko dzień po dniu ciężkiej podróży przez południowe prowincje Alhanroelu, obok Labiryntu, w górę doliny Glayge na Górę Zamkową. Prestimionowi zdawało się mimo to, że podróż trwała półtorej wieczności. W jego umyśle kłębiły się myśli o tym, co czekało na niego po powrocie na Zamek.

Nareszcie Góra wypełniła niebo przed nim i rozpoczął znajomą wspinaczkę z Miast Zbocza. Szybka, wschodnia droga prowadziła wzwyż, przez Morvole i Normork Dekkereta, przez Bibiroon Sweep, Bariere Tolingar i wspaniałe ogrody założone przez Lorda Havilbove, które same o siebie dbały, przez krąg Wolnych Miast do Wielkiego Ertsud, gdzie zbocze stawało się bardziej strome i Góra była tarczą z szarego granitu, wskazującą chmury wiszące pod szczytem; Minimool, Hoikmar, zimna i wilgotna strefa chmur, wreszcie Miasta Wewnętrzne. Minęli błyszczące, pomarańczowe iglice Bombifale, wjechali w krainę wiecznego słońca, świat Miast Wysokich. W tym momencie znajdowali się dwa tuziny mil ponad ziemią, a pod nimi tysiące mil nizin Alhanroelu rozwijały się jak mapa, na której nawet największe miasta były tylko kropkami. Tu i teraz widzieli drogę na

szczyt, wybrukowaną jasnoczerwonymi kamieniami, która z Bombifale zaprowadziła ich do Morpin Wysokiego i wreszcie ujrzeli nad sobą Zamek. Kilkakrotnie okrążyli malejący wierzchołek ogromnej Góry, przebyli dziesięć mil Wielkiej Drogi Calintane'a, rozjaśnionej miriadami kwiatów, które każdego dnia roku kwitły pomiędzy wykrzywionymi i prostymi jak włócznie szczytami.

Na Placu Dizimaule'a czekał na nich wielki tłum. Olbrzymia grupa powitalna zebrała się na zielonych kocich łbach z porcelany, za tło mając Zamek w pełnej okazałości jego trzydziestu tysięcy pokoi. Navigorn, który pod nieobecność Prestimiona był regentem, objął go jako pierwszy. Czekał tam też brat Prestimiona, Teotas, Serithorn, doradcy Belditan i Dembitave i Yegan i reszta przedstawicieli wewnętrznego kręgu rządu oraz wszyscy pozostali przedstawiciele rządów Confalume'a. Ale jednej osoby brakowało.

Gdy szli przez Łuk Dizimaule'a do Alei Vildivara i położonych dalej budynków Wewnętrznego Zamku, Prestimion po cichu zapytał Navigorna:

- A pani Varaile, Navigornie? Co się z nią działo pod moją nieobecność? I dlaczego nie przyszła powitać mnie przy bramie?

- Czuje się całkiem dobrze, mój panie. Jeśli chodzi o jej nieobecność, niech sama wyjaśni ci jej przyczynę. Ja mogę tylko powiedzieć, że była zaproszona, ale postanowiła nie przychodzić.

- Postanowiła nie przychodzić? Co to znaczy, Navigornie?

Ale Navigorn tylko powtórzył, że pani Varaile sama się wytłumaczy.

Ku wielkiemu niezadowoleniu Prestimiona, nie mógł się z nią zobaczyć natychmiast. Należało dokonać rytuału, który zaznaczał powrót Koronała na Zamek po długiej nieobecności, później wypadało przynajmniej zajrzeć do gabinetu, poznać najważniejsze wiadomości państwowe, które nagromadziły się pod nieobecność władcy, a jeszcze później złożyć Radzie raport. Dopiero wtedy mógł zająć się prywatnymi sprawami.

Rytuał powrotu odprawił tak pospiesznie i niedbale, że nawet Serithorn wydawał się lekko zszokowany. Wiadomości państwowych, będących skrótami mnóstwa spiętrzonych raportów z każdego rejonu świata, nie dało się tak łatwo zbyć, ale Prestimion ułatwił sobie zadanie, skupiając się na podsumowaniach, przygotowanych przez urzędników Pontifexa. Były to skróty skrótów, zapewne segregowane według ważności przed wysłaniem na Zamek. Znalazł tam niepokojące wiadomości, historie o szaleństwie zbierającym żniwo we wszystkich prowincjach, o bandach otumanionych świętych, włączających się po kraju i o sporej liczbie szalonych grzeszników, o zamieszkach i innych przejawach społecznego niepokoju, o pożarach, przestępstwach, o koszmarze rozprzestrzeniającego się chaosu. Wyglądało to tak, jak w chwili słabości powiedział Kameni Potevie. Świat powoli pogrążał się w szaleństwie.

Nie było nowych wiadomości o Dantiryi Sambailu. Akbalik wrócił z Ni-moya i czekał teraz na nowe zadanie w zachodnim porcie Alaisor. Dekkeret pozostawał w Suvraelu. Dotychczas nie przyszedł żaden raport od Abriganta, dotyczący Skakkenoir. Z Wyspy Snu

dotarła wiadomość od księżnej Therissy, która prosiła, by znalazł okazję do spotkania się z nią, kiedy tylko pozwoli mu na to obowiązki. Prestimion zgadzał się, że byłoby to wskazane. Nie widział jej od miesięcy. Ale na razie to musiało poczekać.

Następne było spotkanie Rady, które trwało godzinę. Raport Navigorna dotyczył właściwie tych samych spraw, które Prestimion poznał już z dokumentów, które miał na biurku. Kiedy skończył, członkowie Rady wyrazili zaniepokojenie rozprzestrzenianiem się szaleństwa na świecie, a Gialaurys zasugerował, że można wezwać na Zamek wysokich magów z Triggoin, by udzielili porady i poszukali rozwiązania. Pomysł został przyjęty dużą przewagą głosów, pomimo słabych protestów Prestimiona.

- Miałem nadzieję zmniejszyć wpływ przesądów na świat, a nie oddać władzę w ręce czarowników - powiedział. Ale nawet on uznawał użyteczność dobrze wykorzystanej magii, poza tym wiedział aż za dobrze, jak efektywne potrafiły być zaklęcia ludzi takich, jak Gominik Halvor i jego syn, Heszmon Gorse. Po wypowiedzeniu więc swych zastrzeżeń szybko je wycofał i przystał na pomysł Gialaurysa.

Wtedy to, wymawiając się zmęczeniem po podróży, zarządził przełożenie zebrania i udał się do swoich prywatnych komnat.

- Zapytaj panią Varaile - powiedział do majordomusa, Nilgira Sumananda - czy zechce dziś wieczorem zjeść kolację z Koronalem.

*

Była tak piękna, jak ją zapamiętał; nawet piękniejsza. Ale zmieniła się. Było coś dziwnego w jej oczach, w linii szczęki, w mocno

zaciśniętych ustach, których Prestimion nie pamiętał.

Oczywiście, kiedy pierwszy raz zobaczył ją w czasie swej małej maskarady w Stee, była niewiele więcej niż dziewczynką. Teraz zaś wkraczała w drugą dekadę życia, może więc po prostu z jej twarzy znikły resztki cech nastolatki i stała się w pełni dorosła. Ale nie, wydawało się, że w grę wchodzi coś innego.

Może to nerwy, pomyślał Prestimion. Ona pochodziła z ludu, on był Koronalem, ona była kobietą, on mężczyzną, a teraz znajdowali się sami w prywatnych komnatach królewskich. Ledwo się znali, chociaż podczas ich ostatniego spotkania wiele miesięcy temu osiągnęli porozumienie, o którym żadne z nich nie chciało mówić wprost, ale które dawało nadzieję na przyszłość. Od tego czasu oboje mieli dużo czasu na przemyślenie tych paru słów, które wymienili w sali bankietowej po audiencji, w czasie której odznaczono jej ojca.

By pozwolić jej poczuć się pewniej, Prestimion postanowił zacząć rozmowę w sposób, który wydawał mu się lekki i beztroski.

- Powiedziałem ci przy naszym ostatnim spotkaniu, że zjemy razem kolację, kiedy tylko wrócę z podróży do Labiryntu. Zapomniałem chyba dodać, że przed powrotem na Zamek udam się aż do Sippulgaru.

- Mijały tygodnie, zaczęłam się nad tym zastanawiać, mój panie, ale wówczas ksiązę Navigorn poinformował mnie, że udajecie się w dalszą podróż i możecie nie wracać przez wiele miesięcy. Powiedział, że to misja najwyższej wagi państwowej, która zabierze was w odległe rejony kontynentu.

- Czy Navigorn powiedział ci, jaki był cel moich wojaży?

Wyglądała na przestraszoną.

- O, nie! Nie pytałam. Nie jest moją rzeczą dopytywać się o sprawy królestwa. Jestem tylko obywatelką, mój panie.

- Tak. Ale teraz jesteś też damą dworu, a one jakimś cudem dowiadują się o wielu rzeczach, których zwykli obywatele nie widzą nawet w snach.

To miał być żart, choć nie najlepszy, ale nie został tak odebrany. Coś jest nie tak, pomyślał. Po takich spotkaniach można się było spodziewać lekkiego napięcia, sam je czuł. Jednak przy wcześniejszych okazjach Varaile robiła na nim wrażenie absolutnym opanowaniem, niepasującym do młodego wieku. Sprawiała, że sądził, iż nie ma sytuacji, z którą by sobie nie poradziła. Stojąca przed nim teraz poważna kobieta była sztywna i niespokojna, uważała na każdy gest i ważyła każde słowo. Powiedziała:

- Tym niemniej, uznałam za niewłaściwe dowiadywać się o powód waszej podróży. Czy właściwym będzie pytanie, czy zakończyła się sukcesem, mój panie?

- Tak i nie. Spotkanie z Pontifexem poszło dobrze. Później odwiedzałem dziwne i ciekawe miejsca i poznawałem ludzi nimi rządzących. Ale miałem i inny cel, którym było odnalezienie pewnego kłopotliwego szlachcica, którego czyny zagrażają równowadze królestwa. Wiesz o kim mówię, Varaile? Nie. Dobrze, w końcu się dowiesz. W każdym razie, nie udało mi się go znaleźć. Wygląda na to, że wyślizgnął się z mojej sieci.

- Och, mój panie, tak mi przykro!

- Mnie również.

W tej chwili Prestimion po raz pierwszy zauważył, jak prosto i skromnie była odziana. Miała na sobie szatę odpowiednią na spotkanie z Koronalem, to prawda, ale jej ponury, beżowy odcień nie pasował do jej cery, a za jedyną ozdobę służyła cienka, srebrna bransoletka. Związała włosy z tyłu w nietwarzowy sposób.

Długo oczekiwane spotkanie szło nader mało obiecująco. Wino i jedzenie, pomyślał, może one pomogą się odprężyć. Wezwał Nilgira Sumananda.

Majordomus trzymał wszystko gotowe w przedsiionku i była to zaiste królewska uczta. Ale Varaile ledwo dźgała jedzenie widelcem i z rzadka brała łyżek wina.

Wreszcie, gdy rozmowa zamarła trzeci czy czwarty raz, Prestimion powiedział:

- Zdaje mi się, Varaile, że jest jakiś problem. O co chodzi? Sprawiasz wrażenie odległej o sześć milionów mil.

- Naprawdę, mój panie? Niezwykle łaskawe z twojej strony, że zechciałeś zaprosić mnie na kolację... nie chcę sprawiać wrażenia...

- Nazywaj mnie Prestimionem.

- Ależ, panie, jak mogłabym?

- Bez trudu. Tak mam na imię. Jest może długie, ale nietrudno je wymówić. Prestimion. Spróbuj.

Wyglądała, jakby miała się zaraz rozpląkać.

- To niewłaściwe, mój panie. Ty jesteś Koronalem, a ja nikim.

Mówić do ciebie po imieniu...

- Nieważne więc.

Prestimion zaczął się irytować, choć nie umiał powiedzieć, czy z powodu jej ponurego nastroju i dystansu, jaki zachowywała, czy przez własną niezręczność w prowadzeniu rozmowy. Przemówił dość szorstko:

- Minutę temu prosiłem, żebyś powiedziała mi o swoim problemie. Nie odpowiedziałaś. Obawiasz się mnie? A może uważasz, że przebywanie ze mną sam na sam jest niewłaściwe? Na Boginię, Varaile, nie zakochałaś się chyba w nikim, gdy mnie nie było? - Ale po wyrazie jej twarzy widział, że nie o to chodziło. - Powiedz mi. Zmieniłaś się pod moją nieobecność. Co się stało?

Zawahała się przez moment.

- Mój ojciec - powiedziała tak cicho, że ledwo ją usłyszał.

- Twój ojciec? Co z nim?

Varaile odwróciła wzrok i przez głowę Prestimiona przeleciało naraz tysiąc podejrzeń. Czy Simbilon Khayf był poważnie chory? Może zmarł? Zbankrutował z dnia na dzień z powodu katastrofalnej porażki jednej ze swych ohydnych, intryganckich spekulacji? Ostrzegwał Varaile, by postponowała wszelkie romantyczne awanse, które mógłby jej czynić uwodzicielski młody Koronal?

- On stracił rozum, mój panie. Ta plaga... szaleństwo, które rozprzestrzenia się po świecie...

- Nie! On też?!

- To stało się bardzo szybko. Kiedy to się wydarzyło, on przebywał

w Stee, a ja oczywiście na Zamku. Jednego dnia, jak mi opowiadano, był zdrow, pracował nad transakcjami, spotykał się z pośrednikami i faktorami, organizował przejęcie jakiejś firmy, robił to, co zawsze. Następnego dnia wszystko się zmieniło. Pamiętasz jego włosy, wiesz, jaki jest z nich dumny? Tak więc jego główny kancelista, Prokel Ikabarin, co rano jako pierwszy odwiedzał go w gabinecie. Tego dnia, gdy przyszedł, zastał mojego ojca klęczącego przy biurku i ścinającego włosy. „Pomóż mi, Prokelu Ikabarinie”, powiedział i podał mu nożyczki, by ciął tam, gdzie sam nie dosięgał. Zdążył ściąć prawie wszystko.

Słyszając to, Prestimion poczuł rozbawienie. Odwrócił się, by ukryć przed Varaile uśmiezek. Ekstrawagancko głupia grzywa srebrnych włosów Simbilona Khayfa, ścięta na króciutko? Czyż mógłby zwariować w bardziej wspaniały sposób?

Ale to nie był koniec. Było gorzej.

Varaile mówiła dalej.

- Po tym, co zrobił z włosami, oświadczył, że marnował życie w grzechu, że wyrzeka się swojej chciwości i musi natychmiast rozdać całe swoje bogactwo biednym, a poświęcić się medytacji i modlitwie. Następnie nakazał Prokelowi Ikabarinowi wezwać pół tuzina swoich najbliższych doradców i zaczął przepisywać swoją własność wszystkim organizacjom charytatywnym, które przysły mu do głowy. Rozdał co najmniej połowę swojej fortuny w dziesięć minut. Potem założył żebracze szaty i wyszedł w miasto, błagać o jałmużnę.

- Ciężko mi w to uwierzyć, Varaile.

- Nie sądzisz, że mnie jeszcze trudniej, mój panie? Wiem, jakim człowiekiem był mój ojciec. Nigdy nie miałam co do niego żadnych złudzeń, ale nie było moją rzeczą go pouczać, ani nie sądzę, bym mogła odrzucić jego bogactwo, niezależnie od tego, co myślałam o jego sposobie prowadzenia interesów. Ale kiedy przyszli do mnie na Zamek i powiedzieli, że mój ojciec chodzi po ulicach Stee w podartej, brudnej szacie i żebrze o kilka miedzianych wag na następny posiłek... wpierw myślałam, że to jakiś ponury żart. A potem... potem przyszły inne wiadomości i wybrałam się do Stee osobiście, żeby zobaczyć na własne oczy...

- Oddał wszystko? Dom również?

- Nie pamiętał o domu. I dobrze, bo co stałoby się z naszą służbą, gdyby z dnia na dzień wyrzucić ich na ulicę? Czyżby sądził, że też zostaną żebrakami? Nie, nie oddał wszystkiego. Miał na to zbyt zaćmiony umysł. Rozdał tysiące rojali, może miliony, ale sporo zostało. Wciąż jest właścicielem wielu spółek i banków na całym świecie i wielkich posiadłości w siedmiu czy ośmiu prowincjach. Ale teraz jest zupełnie niezdatny do pracy. Musiałam zatrudnić zarządcę, by zajął się jego własnością, bo nie mogłam tego robić osobiście. A on zupełnie oszalał. Och, Prestimionie, znałam wszystkie wady mojego ojca, jego próżność, głód pieniądza, wiedziałam, że z zimną krwią rozprawia się z każdym, kto stanie mu na drodze, ale mimo to... to wciąż mój ojciec, Prestimionie, kocham go. A to, co się z nim stało, jest takie straszne.

Prestimion nie mógł nie zauważyć, że zaczęła mówić mu po

imieniu.

- Gdzie on jest teraz?

- Na Zamku. Poprosiłam księcia Navigorna, by go tu sprowadził, bo gdyby pozostał w Stee, ktoś pewnie skrzywdziłby go na ulicy. Teraz jest w jednym z tylnych skrzydeł, pod strażą. Odwiedzam go codziennie, ale ledwo mnie rozpoznaje. Nie sądzę, żeby wiedział, kim sam jest. Ani kim był kiedyś.

- Zabierz mnie do niego jutro.

- Naprawdę uważasz, że powinieneś widzieć...

- Tak uważam - powiedział Prestimion zdecydowanie. - Jest twoim ojcem. A ty jesteś...

Nie musiał kończyć zdania. Mury, którymi wcześniej ich rozdzieliła, zniknęły. Patrzyła teraz na niego, a w jej oczach było coś zupełnie nowego.

To właśnie ta chwila, by wszystko między nimi do końca wyjaśnić.

- Kiedy zaprosiłem cię tu dzisiaj miałem zamiar wygłosić coś na kształt mowy o tym, że powinniśmy spędzać ze sobą więcej czasu, poznać się i tak dalej. Nie zrobię tego. Miałem dość czasu, kiedy podróżowałem po Ketheronie, Arvyandzie i Sippulgarze, by wystarczająco cię poznać.

Zdawała się być pełna obaw.

- Prestimionie...?

Beładnie wyrzucił z siebie słowa.

- Dość długo żyłem samotnie. Korona potrzebuje małżonki. Kocham cię, Varaile. Wyjdź za mnie. Bądź moją królową. Ostrzegam

cię, niełatwe będzie życie żony Koronała. Ale to ciebie wybieram.

Wyjdź za mnie, Varaile.

- Mój panie...? - powiedziała głosem pełnym zdumienia.
- Chwilę temu nazywałaś mnie Prestimionem.
- Prestimionie. Och, tak! Tak! Tak!

Część Trzecia
Księga Uleczenia

Od ostatniego królewskiego ślubu na Zamku, ślubu łączącego Lorda Confalume'a i lady Roxivail, minęło trzydzieści lat z okładem i nikt z kręgu Koronala nie był dość stary, by znać odpowiedni protokół i właściwe procedury. Z tego powodu wszyscy odpowiedzialni za to wydarzenie urzędnicy urządzili wielkie przekopywanie archiwów, póki nie dowiedział się o tym Prestimion i nie zakończył poszukiwań.

- Jesteśmy w stanie sami wyprawić ślub i wesele i nie potrzebujemy pytać urzędników, jak to się robi, prawda? - powiedział do Navigorna. - Poza tym, czy małżeństwo Confalume'a i Roxivail było aż tak udane, że chcemy się na nim choć trochę wzorować?

- Pani Varaile - odpowiedział dyplomatycznie Navigorn - w niczym nie przypomina lady Roxivail, mój panie.

Nie, pomyślał Prestimion. Absolutnie w niczym.

Prestimion widział próżną i oziębłą żonę Lorda Confalume'a tylko raz w życiu: podczas zabaw koronacyjnych jej syna, Korsibara, kiedy to jego krótkie, bezprawne i dramatyczne rządy dopiero się rozpoczynały. Roxivail była niską, ciemnowłosą, uderzająco atrakcyjną kobietą, która z pomocą czarów zachowała urodę również w średnim wieku, a jej piękno aż spłoszyło Prestimiona. Nic dziwnego, ona i jej córka, Thismet, były do siebie niezwykle podobne, do tego stopnia, że Roxivail wyglądała raczej jak starsza siostra, niż jak matka Thismet.

Jej zaskakujące pojawienie się na koronacji, pierwsza wizyta na Zamku od jakichś dwudziestu lat, ożywiła stare plotki. Confalume, choć był władczy i potężnym Koronalem, nie umiał rządzić własnym życiem. Ich małżeństwo było burzliwe, a skończyło się głośnym wyjazdem Roxivail z Zamku do luksusowego pałacu na wyspie w Zatoce Stoien. Pozostała tam na zawsze, nie licząc wyprawy na Zamek na koronację syna. Podczas jej długiej nieobecności Confalume zmuszony był rządzić bez małżonki i samotnie wychowywać bliźnięta. Bliźnięta, o których istnieniu nie pamiętał teraz nikt, nawet rodzice. Ci, którzy pamiętali o małżeństwie poprzedniego Koronala, wiedzieli tylko, że było nie tylko nieszczęśliwe, ale i bezdzietne. Prestimion spodziewał się po swoim dużo więcej.

Wreszcie on sam, z pomocą Navigorna i nieprzebraną liczbą rad dotyczących smaku i stylu od Septacha Melayna, opracował oficjalny program ślubu i wesela. Postanowił, że mieli na nim być obecni książęta z Góry Zamkowej, ale nie z prowincji, bo to oznaczałoby zaproszenie wraz z innymi wielkimi panami także Dantiryi Sambaila, a nieobecność prokuratora Ni-moya byłoby trudno wyjaśnić.

Oczywiście, należało zaprosić lady Therissę i Pontifexa Confalume'a. Prestimion zakładał jednak, że ich obecne obowiązki i wielkie odległości sprawią, że nie przybędą na Górę Zamkową po raz drugi w ciągu niespełna roku i faktycznie, przysłali przeprosiny i wyrazy żalu. Reprezentować ich mieli oficjalni wysłannicy na Zamku, Panią - Hierarchini Marcatain, a Pontifexa Vologaz Sar. Lady

Therissa ponownie wyraziła nadzieję, że Prestimion odwiedzi ją na Wyspie, kiedy tylko pozwolą mu na to zamkowe obowiązki i że przywiezie ze sobą żonę.

Kilka przyjaciółek Varaile ze Stee miało być jej druhami. Prestimionowi w ceremonii mieli towarzyszyć Septach Melayn, Gialaurys i Teotas. Jego drugi brat, Abrigant, również powinien brać udział w tym wydarzeniu, ale nie wiadomo było, czy powróci na czas ze swoich poszukiwań żelaza w Skakkenoir, a Prestimion nie zamierzał opóźniać ślubu z jego powodu.

Szybko poradził sobie z faktem, że Varaile pochodziła z ludu i że nikt na Zamku nie pamiętał, kiedy Koronał wybrał na żonę kobietę bez urodzenia. Wezwał Navigorna i oświadczył:

- Nadajemy dzisiaj nowy tytuł diuka i właśnie sporządziłem dokumenty. Dopilnuj, by dotrzymano zwyczajowych procedur.

Navigorn rzucił okiem na podany mu przez Prestimiona dokument i jego twarz spurpurowiała z zaskoczenia i konsternacji.

- Mój panie! Przyznać tytuł diuka temu ohydnemu, zakochanemu w pieniądzach, do granic okropnemu...

- Delikatniej, Navigornie. Mówisz o ojcu przyszłej małżonki Koronała.

Zszokowany własnymi słowami, Navigorn wydał dźwięk, jakby się zakrztusił i wymamrotał przeprosiny.

Prestimion roześmiał się.

- Nie znaczy to oczywiście, że cokolwiek z tego, co powiedziałeś, jest nieprawdą. Mimo to nadamy Simbilonowi Khayfowi szlachectwo,

ponieważ w ten sposób nadamy jej też jego córce i ominiemy drobny kłopot protokolarny. To chyba najprostszy sposób, by go rozwiązać, Navigornie. A najlepsze jest to, że on nawet nie dowie się, co się stało. Wiesz, że zupełnie postradał rozum. W jego obecnym stanie moglibyśmy uczynić go Koronalem lub Pontifexem i nie zauważyłby różnicy.

Przypomniawszy w ten sposób o prawdziwym problemie z ojcem panny młodej. Simbilon Khayf nie był w stanie pojawić się publicznie. Był teraz żalosną, bełkoczącą postacią, której obojętne były higiena i stosowne obyczaje, nieustannie mamroczącą o pokucie za grzechy. Nawet w swym najlepszym stanie potrafiłby przynieść Prestimionowi wstyd podczas ceremonii, a w chwili obecnej nie było wątpliwości, że przyniesie.

- Ogłosimy, że jest zbyt chory, by pojawić się publicznie - oświadczyła Varaile i tak się stało.

Ten problem rozwiązano łatwo, ale niemal codziennie wynikały nowe, dotyczące przebiegu uroczystości.

Jedną z nich była kwestia, ilu magów, poza Maundigandem-Klimdem, miało pojawić się na ceremonii, jakie szkoły mieli reprezentować i, jeśli w ogóle, jaką odgrywać rolę. Gdyby to Prestimion mógł decydować, nie zaproszono by żadnego, ale Gialaurys przekonał go, jak nierozsądny to pomysł. W końcu postanowiono, że przy ceremonii obecni będą przedstawiciele wszystkich szkół, ale na wyraźne życzenie Prestimiona mieli stać w rozsądnej odległości od podwyższenia i mogli wypowiadać swoje

inkantacje tylko w ramach ogólnej, wstępnej medytacji.

Trzeba też było wynaleźć jakieś zadanie dla Serithorna, największego z panów królestwa, znaleźć sposób, by Zamku nie zalała kolejna fala prezentów, skoro tak wiele podarków koronacyjnych pozostało wciąż nieodpakowanych i zdecydować, czy urządzać kolejny turniej, by uświetnić zaślubiny Koronała. Prestimion nie spodziewał się, że będzie musiał zmierzyć się z tyloma szczegółami. W jakiś sposób jednak cieszył się nimi, bo przynajmniej na razie oszczędzały mu konieczności zmierzenia się z epidemią szaleństwa, zastanawiania się, jak znaleźć Dantiryę Sambaila, czy rozwiązywania tysięcy rutynowych problemów, z którymi każdego zwykłego tygodnia musiał mierzyć się Koronał. Wszyscy wokół rozumieli, że królewski ślub był w tej chwili najważniejszy.

Wreszcie znalazł się na podwyższeniu w kaplicy Lorda Apsimara, która, jak ktoś ustalił, była tradycyjnym miejscem obchodzenia uroczystości ślubnych. Po jego prawej ręce stała Hierarchini Marcatain w imieniu Pani Wyspy, po lewej reprezentant Pontifexa Confalume'a, a przed nim Varaile, zaś dalej tłum wielkich królestwa, ubranych we wspaniałe stroje i Septach Melayn, od którego aż biła dumą ze skutków swojego swatania. Wypowiedziano tradycyjne słowa, wymieniono obrączki, a w uszach Prestimiona rozbrzmiał dobrze znany, stary hymn weselny, pochodzący z czasów Lorda Stangarda.

Stało się. Varaile była jego żoną.

Czy też, w prawdziwszym znaczeniu tego słowa, miała się nią stać

za kilka godzin, gdy zakończą się uczty i nareszcie zostaną sami.

Obok komnat Prestimiona znajdował się luksusowy apartament, który należał do lady Roxivail za czasów jej małżeństwa z Lordem Confalumem. Zgodnie z jego życzeniem, nikt z niego nie korzystał od kiedy Roxivail opuściła Zamek. Szambelani założyli, że te pokoje zajmie teraz Varaile i że para królewska będzie z nich korzystać po ślubie i dołożyli wielkich starań, by odnowić i przemeblować je po dwóch dekadach zaniedbania.

Prestimion uważał jednak apartament Roxivail za pechowe miejsce na pierwszą wspólną noc. Zamiast tego wybrał apartamenty w Wieży Munneraka, położonym we wschodnim skrzydle Zamku budynku z białej cegły, w którym kiedyś mieszkał z innymi szlachcicami. Komnatom tym brakowało splendoru, ale Prestimion wcale go nie potrzebował na tę noc i sądził, że Varaile również. Na swój sposób był to dość ładny apartament, z dużymi pokojami, przez których łukowe, witrażowe okna rozciągał się wspaniały widok na otchłań zwaną Spadkiem Morpin. Była tam też duża wanna, zbudowana z wielkich bloków czarnego marmuru z Khyntoru połączonych tak zmyślnie, że nie dało się odkryć, gdzie kończył się jeden, a zaczynał drugi. Do tych właśnie apartamentów Prestimion przyprowadził swoją świeżo poślubioną żonę i tu, w małym pokoju, który służył mu kiedyś za gabinet i bibliotekę, czekał, podczas gdy ona zmywała z siebie zmęczenie po długim dniu ceremonii zaślubin.

Zdawało się, że nim go wezwała, minęło dziesięć lat. Ale w końcu zawołała.

Czekała na niego w pokoju, gdzie umieszczono małżeńskie łoże, wspaniałe i o rozmiarach godnych imperium, wyrzeźbione z najciemniejszego hebanu Rialmaru, z baldachimem z najpiękniejszej koronki z Makroposopos. Idąc korytarzem, Prestimion poczuł nagłe uderzenie paraliżującego strachu na myśl, że duch Thismet mógłby stanąć między nim i jego żoną w tym najważniejszym momencie - ale wtedy otworzył drzwi sypialni i ujrzał Varaile stojącą przy łóżku w miękkim, złotym blasku świec wyższych niż ona sama i w tym momencie Thismet była już tylko imieniem, cennym, lecz odległym wspomnieniem, zaledwie duchem ducha.

Po kąpieli Varaile założyła prześwitującą suknię z białego jedwabiu, spiętą na lewym ramieniu spinką z plecionego złota. Prestimion zachwyił się powściągliwością, która nakazała jej okryć się przed jego wejściem do sypialni. Ale widział też przez materiał zarys jej jędrnego ciała i zrozumiał, że powodowała nią nie tylko skromność. Z zachwytu wstrzymał oddech i podszedł do niej.

Przez najkrótszą z chwil w jej oczach był cień niepokoju, wręcz strachu. Zniknął tak szybko, jak się pojawił.

- Małżonka Koronała - powiedziała Varaile, jakby zdumiona. - Czy to możliwe? - i zanim zdążył przemówić, odpowiedziała sobie. - Tak. To możliwe. Chodź do mnie, Prestimionie.

Dotknęła wiązania na ramieniu.

Suknia spadła jak pajęczyna.

Trzydniowy miesiąc miodowy w mieście uciech w Morpin Wysokim, oddalonym o godzinę jazdy lataczem, był wszystkim, na co mógł sobie pozwolić. Już i tak, od kiedy objął tron, zbyt długo przebywał z dala od ośrodka władzy.

W młodości Prestimion często przybywał do tego radosnego, migoczącego, przypominającego ogromny plac zabaw miasta, by brać udział w szalonych przejażdżkach, dać się wyrzucać w tunelach energii i tańczyć na zbijających z nóg, niełatwych do opanowania lustrzanych zjeżdżalniach. Teraz nie mógł sobie już pozwolić na takie rozrywki. Koronał nie mógł wystawiać swojego ciała nawet na tak niewielkie ryzyko, jakie wiązało się z tymi zabawami, a i lud nie byłby zachwycony, widząc go baraszkującego jak mały chłopiec. Nie dało się zaprzeczyć, że stał się więźniem swojej własnej królewskiej wysokości.

Morpin Wysokie zapewniało jednak rozkosze i dla tych, których pozycja w królestwie nie pozwalała na poruszanie się wśród ludu. Prestimion i Varaile zatrzymali się w Apartamentach Góry Zamkowej, mieszczących się w białym budynku o ostrym jak nóż kształcie, zarezerwowanym na potrzeby arystokracji. Zajęli tam wielopokojowy Apartament Koronała, który był nie tyle apartamentem, co raczej miniaturowym pałacem położonym na szczycie wysokiego hotelu, tak jak Zamek stał na szczycie Góry.

Najwyższy poziom ich apartamentu stanowiła przezroczysta bańka z najczystszej kwarcu, służąca za komnatę sypialną. Mieli stamtąd widok na całe, lśniące w słońcu miasto, aż do gigantycznej fontanny, którą na jego obrzeżach zbudował Lord Confalume i która nieustannie wyrzucała na zdumiewającą wysokość grube pióropusze wody, wciąż zmieniające kolory. Piętro niżej znajdowała się garderoba, wyrastająca niczym połyskliwa narośl w kształcie rogu, wykonana z białego metalu i podparta z drugiej strony budynku tak, że rozciągał się stamtąd widok na piękne przedmieścia Morpin Niskiego i na oszałamiającą, ciemną pustkę Spadku Morpin, miejsca, gdzie ściana Góry opadała tysiące stóp pionowo w dół. Zaraz pod garderobą znajdował się pokój wydrążony w jednej gigantycznej kuli jadeitu, w którym słychać było muzykę pochodzącą z niewiadomego źródła, a nazywano go harmonicznym schronieniem. Dalej długie, wysoko sklepione przejście opadało stromo do prywatnej jadalni, niewielkiego, elegancko umeblowanego pomieszczenia, gdzie Koronal z małżonką spożywali posiłki. Opadające kaskadą balkoniki były trzecim punktem widokowym, z którego można było, stojąc w czystym powietrzu Góry, podziwiać ciemną, skomplikowaną bryłę Zamku wysoko w górze.

Drugie przejście, prowadzące w innym kierunku, kończyło się skomplikowaną galerią radości, wspartą na filarach ze złotego marmuru. Tutaj mieszkańcy apartamentu mogli pływać w basenie wyłożonym płytkami z granatu lub zawiesić się w strumieniu ciepłego powietrza i pozwolić, by nieopisywalne doświadczenia zalały ich

zmysły. Tutaj też trzymano wzorzyste dywany przeznaczone do medytacji w skupieniu, pojemniki ruchliwych, świetlistych stworzeń wykorzystywanych w autohipnozie, duży wybór urządzeń stymulujących i wiele innych, mających zapewnić rozrywkę królewskiej parze.

Z tego miejsca budynek zakręcał łukowato i znów wypuszczał dwa skrzydła w górę, lecz na różnych poziomach. Jedno z nich wypełnione było psychoobrazami, które zebrali różni Koronałowie w ciągu dwóch ubiegłych wieków, a drugie stanowiło galerię pełną antyków, bibelotów, małych rzeźb i ozdobnych waz. W środku, pomiędzy tymi dwoma skrzydłami, znajdowała się duża jadalnia, pojedynczy, solidny, ośmiokątny blok polerowanego agatu, wysunięty daleko nad przepaść, w którym Koronał i jego małżonka mogli podejmować gości.

Koronał i małżonka nie chcieli jednak przyjmować żadnych gości, a całą uwagę poświęcali sobie nawzajem. Będą jeszcze mieli czas na pijatyki z Septachem Melaynem, na słuchanie Serithorna opowiadającego o dworskich plotkach z dawnych czasów, na goszczenie wielkich książąt i diuków. Ten czas chcieli mieć wyłącznie dla siebie. Wciąż mogli się o sobie wiele nauczyć i mieli na to najlepszą okazję. Prestimion i Varaile spędzali dni na spacerach, oglądaniu eksponatów, którymi wypełniony był apartament, podziwianiu zapierających dech w piersiach widoków na miasto i pluskaniu się w basenie, a większość czasu poświęcali na wymianę myśli, wspomnień, pomysłów i czułości. Posiłki przynosiła im

milcząca służba, kiedy tylko przypominali sobie, by ją wezwać.

Trzeciego dnia z największym żalem musieli wyjść ze swojej kryjówki. Przed budynkiem czekał na nich królewski latacz, mający zabrać ich na Zamek, a tysiące ludzi wszystkich stanów i pozycji, zarówno tych, którzy przybyli do Morpin Wysokiego na wakacje, jak i tych, którzy mieli spełniać ich zachcianki, krzyczało:

- Persimmon! Varaile! Persimmon! Varaile! Niech żyją Persimmon i Varaile!

*

Potem trzeba było wrócić do pracy. Prestimion musiał zająć się milionem spraw, składających się na rządy, a Varaile czekało ciężkie zadanie prowadzenia królewskiego domu.

By to dla nich trudny okres. We wcześniejszych latach Prestimion, jako prawa ręka Lorda Confalume'a, miał wiele okazji, by dowiedzieć się, jak wiele obowiązków dźwiga na barkach Koronał, ale w jakiś sposób nigdy sobie tego w pełni nie uświadomił. Confalume, człowiek silny i zdrowy, sprawiał, że wszystko wyglądało prosto. Dla niego niekończące się, rutynowe obowiązki były tylko przerwą w prawdziwej pracy, którą było wyrażanie wielkości królestwa i jego monarchy poprzez wspaniały program rozbudowy. Nakazał budować fontanny, place, pomniki, pałace, drogi, parki i porty. Zaprojektowany z przepychem Tron Confalume'a i zachwycająca sala, w której stał, miały symbolizować rządy Confalume'a przez następne stulecia. Nawet po czterdziestu latach bycia Koronalem, gdy wycofał się z aktywnego rządu do własnego świata magów i zaklęć, wciąż

wykazywał ten sam świetny gust i witalność. Tylko jego najbliżsi wiedzieli, jak zmęczony był naprawdę pod koniec rządów i jaką ulgę odczuł, gdy zmarł stary Pontifex Prankipin i on sam mógł przenieść się do Labiryntu i żyć tam w spokoju.

Prestimionowi też nie brakło witalności, ale był innym człowiekiem niż Confalume. Z Confalume'a energia płynęła nieprzerwanym, spokojnym strumieniem, jak ze słońca. Prestimion, człowiek o temperamentcie zmiennym i kapryśnym, ukrywający nieustanne napięcie ducha, działał pod wpływem impulsu; ciężko pracował, po czym przez pewien czas zbierał siły. W ten sposób poradził sobie z powstaniem przeciwko Korsibarowi: najpierw miał miejsce okres oczekiwania, kalkulacji i planowania, a później nagłe kontruderzenie, które zmiotło uzurpatora.

Koronal nie mógł rządzić w ten sposób. Zajmował miejsce na samym szczycie świata, w najbardziej dosłownym znaczeniu tego słowa, i codziennie po zboczach Góry Zamkowej docierały do niego potrzeby, nadzieje, lęki i problemy piętnastu miliardów mieszkańców Majipooru. I chociaż możliwie najwięcej pracy zlecało się innym, to władca ponosił ostateczną odpowiedzialność za każdą podjętą decyzję. Źródłem każdej z nich był władca. On był wcieleniem świata, on uosabiał Majipoor.

Czy Korsibar zdawał sobie z tego sprawę, gdy tak niemądrze postanowił uczynić się Koronalem? Czy może myślał, że bycie królem to niekończące się turnieje i uczty, i nic poza tym? Może i tak? Był bardzo płytkim człowiekiem.

Prestimion nie potrafiłby stać z boku, patrzeć, jak mija czas, a Korsibar rządzi po swojemu, bez przeszkód. Powodowało nim w równym stopniu poczucie obowiązku wobec świata, jak i pragnienie władzy, bycia Koronalem.

Z tego powodu, choć mógł współpracować z Korsibarem pokojowo i zdobyć sobie miejsce w Radzie za cenę jednego znaku gwiazd i przysięgi wierności, nie potrafił tego zrobić i dlatego Korsibar wtrącił go do Tuneli Sangamora za zdradę, wypowiadając mu tym wojnę. Teraz Korsibara nie pamiętał nikt, to Prestimion był Lordem Koronalem Majipooru. Dlatego siedział tu i przebijał się codziennie przez stosy petycji, decyzji, memorandumów i akt Rady, tak grube, że mogłyby zdławić gabroona. Wystarczało to, by niemal z nostalgią wspominał czasy wojny domowej, kiedy żył czystym działaniem, z dala od papierkowej roboty.

Choć nie wszystko, co trafiało na jego biurko, było całkiem rutynowe.

Po pierwsze, epidemia szaleństwa. Po ulicach tysięcy miast chodziły jej bełkoczące ofiary, patrzące na świat niewidzącymi oczami. Większość z nich nie szkodziła nikomu, ale nie wszystkie. Szpitale były pełne wrzeszczących wariatów. Zdarzały się wypadki, kolizje, pożary, nawet morderstwa. Czym było to spowodowane? Prestimion obawiał się, że wie, ale nie mógł o tym z nikim porozmawiać. Ani też nie widział rozwiązania. Sprawozdania o chaosie płynęły nieprzerwaną strugą i ciążyły na jego sercu, ale nic nie mógł poradzić.

Nie mógł też zaradzić odległemu zagrożeniu, które stwarzał jego daleki kuzyn, Dantirya Sambail, straszny przeciwnik, diaboliczny wróg, złowrogi i nieprzewidywalny, wciąż nieuchwytny. Gdzie był? Co planował? Przez te wszystkie miesiące nikt go nie widział ani o nim nie słyszał.

Łatwo i wygodnie było myśleć, że zginął i razem z demonicznym zausznikiem Mandraliską leżeli martwi i gnili w jakimś przydrożnym rowie w południowym Alhanroelu. Ale było to aż nazbyt proste i Prestimionowi nie chciało się wierzyć, że los tak wielkodusznie usunął Dantiryę Sambaila z jego listy kłopotów bez żadnego wysiłku z jego strony. Mimo to, sieć szpiegów na obydwu kontynentach nie zdobywała żadnych informacji.

Prokurator powinien był już wrócić do swego pałacu w Ni-moya, ale ten wciąż pozostawał pusty. Nie pojawił się też nigdzie w południowym ani zachodnim Alhanroelu. To wszystko było nader niepokojące. Prestimion wiedział, że Dantirya Sambail zjawi się ponownie, gdy najmniej będzie tego oczekiwał i kiedy to uczyni, sprawi jak najwięcej problemów. Mógł jednak tylko czekać, wykonywać codzienne obowiązki i czekać. I czekać.

*

Maundigand-Klimd przyszedł do niego i powiedział:

- Spójrz na to, mój panie.

Su-suheryjski mag miał ze sobą płócienny worek, tak wypchany, jakby przyniósł w nim trzy funty dojrzałych calimbotów prosto z targowiska.

Był poranek Dnia Trzeciego, w którym Prestimion miał zwyczaj udawać się do sali ćwiczeń na sparingi szermiercze z Septachem Melaynem. To zawsze była nieuczciwa walka, bo Septach Melayn miał nad nim osiem czy dziesięć cali przewagi zasięgu ramion, nie wspominając o tym, że był niekwestionowanym mistrzem walki każdym rodzajem ręcznej broni. Teraz jednak najważniejsza dla nich była praca nad utrzymaniem kondycji, ponieważ obaj byli przez większość czasu uwiązani do biurka i dlatego każdego trzeciego dnia tygodnia mierzyli się na palcaty, zaś piątego dnia spotykali się na torze łuczniczym, gdzie przewagę miał Prestimion.

- Co tu masz i czy muszę to oglądać akurat w tej chwili? - zapytał Prestimion niecierpliwie. - Mam spotkanie z Wysokim Doradcą.

- Zajmę ci tylko parę minut, mój panie.

Maundigand-Klimd odwrócił worek do góry dnem i na biurko Prestimiona wypadły trzy tuziny małych, uciętych główek.

Gdy minął pierwszy szok, Prestimion zrozumiał, że były ceramiczne, ale wykonano je realistycznie i z dbałością o szczegóły. Miały szeroko otwarte usta, wytrzeszczone oczy, rozdęte nozdrza, a na szyjach przekonująco ohydne ślady cięcia. Dobrze przedstawiały ludzi, którzy umarli w potwornych męczarniach.

- Bardzo ładne - powiedział Prestimion zdławionym głosem. - Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Czy to najnowszy trend w biżuterii pośród dam dworu, Maundigandzie-Klimdzie?

- Kupiłem je zeszłej nocy na magicznym targowisku w Bombifale. To, mój panie, amulety, mające chronić przed szaleństwem.

- Magiczne targowisko, o ile pamiętam, jest otwarte tylko w Dni Morza i to nie wszystkie. Wczoraj był drugi dzień.

- Teraz targowisko w Bombifale jest otwarte każdej nocy, Wasza Miłość - powiedział cicho Su-Suheris. - A te przedmioty sprzedają na wielu straganach. Po pięć koron za sztukę. Są masowo produkowane ze sztańc, ale wykonane znakomicie.

- Właśnie widzę. - Prestimion trącił jedną z nich czubkiem palca. Były przerażające, niepokojąco realistyczne mimo małego rozmiaru. Zobaczył twarze zarówno kobiet, jak i mężczyzn, kilku Ghayrogów, paru Hjortów, nawet jedną głowę Su-Suherisa, która sprawiła, że aż zadrżał z obrzydzenia. Z tyłu miały przyczepione niewielkie, metalowe zaczepy. - Magia przeciwko magii, tak? Nosi się je, by przeciwdziałać czarom, które powodują plagę szaleństwa?

- Właśnie tak. W branży nazywamy to magią maskującą. Ta mała rzeźba wysyła wiadomość, że ten, kto ją nosi, już jest dotknięty szaleństwem - krzyczy, ma dzikie oczy, okaleczoną duszę, jednym słowem, jest obłąkany - i nie ma potrzeby, by to, co przynosi szaleństwo, go dotknęło.

- Czy to działa?

- Wątpię, mój panie. Ale ludzie w nie wierzą. Prawie każdy, kogo widziałem na targu, miał jedną z nich. Istnieją też inne przedmioty o tym samym zastosowaniu, jest ich przynajmniej siedem czy osiem rodzajów i sprzedający zapewniają, że dają pełne bezpieczeństwo. Większość z nich jest tak ordynarna i prymitywna, że przez nie wstydę się być magiem. Czegoś takiego mógłby używać tylko

dzikus. Ale strach jest powszechny. Czy pamiętasz, panie, gdy Frankipin umierał i w każdej chmurze i każdym przelatującym ptaku dopatrywano się złego omenu, a na całym świecie pojawiały się dziwaczne kultury?

- Tak, pamiętam. Widziałem raz Patrzących, jak tańczyli w swojej Procesji Tajemnic w Sisivondal.

- Znowu tańczą. Maski, idole i wcale nieświęte święte przedmioty wychodzą z ukrycia. Amulety, które tu widzisz, są tylko małym wycinkiem całości. Mój panie, zawodowo zajmuję się czarodziejstwem i nie wątpię w istnienie niewidzialnych mocy, tak, jak zdarza się tobie. Ale dla mnie te przedmioty są czymś ohydny. Są symptomem szaleństwa, równie niepokojącego jak to, które mają leczyć.

Prestimion ponuro pokiwał głową. Znowu zaczął dźgać palcem główki, odwracając dwie lub trzy, które upadły twarzą w dół i w zdumieniu odkrył, że patrzy w swoją własną twarz.

- Zastanawiałem się, kiedy ją zauważysz, mój panie.

- Zadziwiające. Absolutnie zadziwiające. - Prestimion podniósł ją i uważnie obejrzał. Zadrżał. Była to bardzo udana podobizna, malutki, wrzeszczący Lord Prestimion, niewiele większy od czubka kciuka. - Podejrzewam, że gdzieś tam jest i Septach Melayn, i Gialaurys, i lady Varaile, mam rację? A ten Su-Suheris ma być tobą, Maundigandzie-Klimdzie? Czy oni myślą, że nasze twarze będą z większą mocą odpędzać szaleństwo niż twarze zwykłych ludzi?

- To rozsądne przypuszczenie, mój panie.

- Ach. Może i tak. - Znalazł podobiznę Septacha Melayna. Przedstawiono go doskonale, oddano nawet, mimo że krzyczał obłąkańczo, jego beztroski uśmiech i odważne, błyszczące, błękitne oczy. Nie znalazł jednak żadnej Varaile i bardzo go to ucieszyło. Odepchnął od siebie stos amuletów. - Jak ja nie znoszę tej głupiej naiwności, Maundigandzie-Klimdzie! Tej żalosnej wiary w wartość magii, w talizmany i obrazy, zaklęcia i proszki, egzorcyzmy, abrakadabry, przyzywanie biesów i demonów, rohille, ammatepile, veralistie i całą resztę! Co za marnowanie czasu, pieniędzy i nadziei! Widziałem, jak te głupoty całkiem pożerają Lorda Confalume'a, którego umysł był tak zaciemniony podszeptami magów, że gdy spotkał go prawdziwy kryzys, nie umiał sobie z nim poradzić... - przerwał, bo nawet z Maudigandem-Klimdem nie chciał rozmawiać o rewolcie Korsibara. - Obaj wiemy dobrze, że magiczne akcesoria potrafią pomóc, ale większość z tego, co uchodzi za magię, to przejaw zwykłej głupoty. Miałem nadzieję, że ten przyływ przesądów cofnie się trochę za moich rządów. A zamiast tego... zalewa nas nowa fala nonsensu, właśnie wtedy, gdy... - znów przerwał. - Przepraszam, Maundigandzie-Klimdzie. Ty w to wierzysz. Obraziłem cię.

- Nie poczułem się obrażony, mój panie. Nie wierzę w to bardziej, niż ty sam. Nie kieruję się wiarą, lecz empirycznymi doświadczeniami. Są rzeczy, które są same przez się prawdziwe, a inne są nieprawdą. Ja uprawiam prawdziwą magię, która jest rodzajem nauki. Mam tamtych ludzi w takiej samej pogardzie, jak ty, dlatego właśnie przyniosłem dziś te przedmioty.

- Z nadzieją, że wydam edykt, który je zdelegalizuje? Nie mogę tego zrobić, Maundigandzie-Klimdzie. Niemądrze jest walczyć dekretami z irracjonalnymi wierzeniami ludzi.

- Rozumiem to, panie. Chciałem tylko zwrócić twoją uwagę na to, że plaga szaleństwa przynosi ze sobą też inny rodzaj utraty rozumu, który może zaszkodzić twojemu panowaniu.

- Gdybym wiedział, co należy zrobić, zrobiłbym to.

- Nie wątpię.

- Ale...? Chcesz mi coś zasugerować?

- Nie w tej chwili, mój panie.

Prestimion wyczuł zmianę tonu w głosie Maundiganda-Klimda, jakby pomijał milczeniem coś ważnego. Patrzył na dwie głowy, w czworo matowych, zielonych oczu. Su-Suheris był nieocenionym doradcą, a w pewnym stopniu również cennym przyjacielem. Były jednak chwile, kiedy Prestimion nie potrafił go rozgryźć, nie rozumiał go i to był właśnie taki moment. Jeśli był tu jakiś ukryty podtekst, nie był pewien jaki.

Nagle pojawiła się pewna możliwość. Bardzo nieprzyjemna, ale nie wolno było nie brać jej pod uwagę.

Powiedział:

- Już dyskutowaliśmy pomysł Septacha Melayna, że szaleństwo zostało spowodowane światowym wymazaniem pamięci, które sam poleciłem w dzień zwycięstwa nad Korsibarem pod Granią Thegomar. Chyba wiesz, jak niechętnie przyjąłbym tę teorię.

- Tak, mój panie. Wiem.

- Po sposobie, w jaki to mówisz, wnoszę, że się ze mną nie zgadzasz. Co ukrywasz, Maundigandzie-Klimdzie? Czy masz wiedzę, że to właśnie to spowodowało szaleństwo?

- To nie jest pewna wiedza, mój panie.

- Ale uważasz to za możliwe, tak?

Przez cały ten czas rozmawiała z nim lewa głowa Maundiganda-Klimda, bardziej gadatliwa. Teraz jednak przemówiła druga.

- Tak, mój panie. Zaiste, bardzo możliwe.

Prestimion na chwilę zamknął oczy i mocno wciągnął powietrze. To bezceremonialnie wypowiedziane zdanie nie było żadną niespodzianką. W ciągu ostatnich tygodni coraz bardziej skłaniał się w myślach ku wnioskowi, że on sam ponosi odpowiedzialność za ciemność, która opadła na świat. Mimo to zabolowało go, że inteligentny i zdolny Maundigand-Klimd popierał ten pomysł.

- Jeśli szaleństwo świata zostało wywołane przez magię - powiedział powoli - to może być tylko przez magię wyleczone, nieprawdaż?

- Może być i tak, mój panie.

- Czy próbujesz mi zatem powiedzieć, że jedynym sposobem, by to wszystko naprawić, jest wezwać Heszmona Gorse'a i jego ojca z Triggoin wraz z całą resztą magów, którzy brali wtedy udział w rzucaniu czaru i nakazać im rzucić czar odwrotny, który przywróciłby wszystkim pamięć o wojnie domowej?

Maundigand-Klimd zawahał się, a Prestimion nieczęsto widział, by to czynił.

- Nie jestem pewien, panie, czy to by pomogło.

- I dobrze. Bo zastosowanie tej kuracji wykluczam z góry. Nie jestem zachwycony prawdopodobnymi konsekwencjami podjętej po wojnie decyzji, ale bez wątpienia nie zrobię nic, by ją zmienić. Między innymi nie zamierzam poinformować wszystkich obywateli, że ich nowy Koronał rozpoczął rządy od oszukania całej planety i zaszczepienia jej fałszywego przekonania, że wstąpił na tron zwykłym trybem, w pokoju. Poza tym widzę wielkie ryzyko wiążące się z gwałtownym przywróceniem wiedzy o prawdziwym przebiegu wydarzeń. Przez ostatnich kilka lat ludzie żyli w świecie o fałszywej historii, którą ja i moi magowie umieściliśmy w ich głowach pod koniec wojny. Na dobre i złe, zaakceptowali tę prawdę. Jeśli im ją teraz odbiorę, może to spowodować problemy jeszcze gorsze od tych, z którymi się obecnie borykamy. Co na to powiesz, Maundigandzie-Klimdzie?

- Całkowicie się zgadzam.

- Tak więc problem pozostaje. Na świecie szaleje plaga, skutkiem tego pojawia się dużo złej magii oraz szarlataneria i oszustwo, którymi obaj pogardzamy. - Prestimion spojrział gniewnie na amulety, które Maundigand-Klimd wysypał na jego biurko i zaczął zbierać je do worka. - Ponieważ plagę tę spowodowała magia, trzeba sobie z nią poradzić z pomocą antymagii. Dobrej, prawdziwej magii, jak ją nazywasz. Doskonale. Proszę cię, przyjacielu, poszukaj jakiegoś rozwiązania i poinformuj mnie o nim.

- Och. Lordzie Prestimionie, gdyby to było takie proste! Ale

zobaczę, co da się zrobić.

Su-Suheris wyszedł. Prestimion pogrzebał w worku i znalazł głowy Prestimiona i Septacha Melayna, które wrzucił do kieszeni tuniki.

Septach Melayn czekał na niego w sali ćwiczeń, nerwowo chodząc tam i z powrotem, tnąc palcatem powietrze. Smukły kawałek drewna nocokwiatu wydawał z siebie groźne buczenie z każdym ruchem jego gibkiego nadgarstka.

- Spóźniłeś się. - Wyjął ze stojaka drugi palcat i podał go Prestimionowi. - Miałeś dziś rano wiele ważnych dekretów do podpisania?

- Odwiedził mnie Maundigand-Klimd - wyjaśnił Prestimion, odkładając palcat i wyjmując z kieszeni główki. - Przyniósł mi to. Przyznasz, że są urocze.

- O, jak najbardziej! Twoja i moja podobizna, o ile się nie mylę. Do czego służą?

- To amulety, służą do zaklęć. Mają ponoć odpędzać szaleństwo. Maundigand-Klimd twierdzi, że nocne targowisko jest od niedawna pełne takich przedmiotów. Sprzedają się jak kiełbaski na środku Valmambry. Kupił ich cały wór. Przedstawiają nie tylko twoją czy moją twarz, ale różne, nawet Ghayrogów, Hjortów i Su-Suherisów. Każdy znajdzie coś dla siebie. Wracają też stare kulty, a wszyscy magowie zacierają ręce.

- To szkoda - powiedział Septach Melayn. Wziął podobiznę swoją i Prestimiona, położył je na dłoni. - Trochę to makabryczne, ale jak świetnie wykonane! Zobacz, uśmiecham się i krzyczę zarazem! I

chyba troszkę mrugam. Chciałbym poznać artystę, który je zaprojektował. Jak myślisz, może zgodziłby się wykonać pełnowymiarowy portret?

- Wariat z ciebie.

- Może masz rację. Mogę zatrzymać sobie ten drobiazg?

- Jeśli cię to bawi.

- Jeszcze jak! A teraz, mój panie, proszę, podnieś ostrze. Pozycja, Prestimionie! Pozycja!

Z początkiem następnego tygodnia, kiedy Prestimion jadł śniadanie, przyniesiono mu informację, że jego brat, Abrigant, powrócił w nocy na Zamek ze swojej podróży na południe i prosi o natychmiastową audiencję.

Presitmion wstał o świcie. Wciąż było bardzo wczesnie. Varaile jeszcze spała. Abrigant pewnie wcale się nie położył. Skąd ten pośpiech?

- Powiedźcie mu, że spotkam się z nim w sali tronowej Stiamota za trzydzieści minut - polecił.

Ledwo zdążył usiąść, a już Abrigant wpadł do sali. Wyglądał, jakby nawet nie przebrał się po podróży. Oblicze miał opalone i ogorzałe od drogi, a brązowa peleryna, którą nosił do wyświechtanych, zielonych rajtuzów była połatana i brudna. Nad lewą kością policzkową miał spory siniec, niezbyt świeży, ale wciąż siny.

- No, bracie, witaj z powrotem w... - zaczął Prestimion, ale nie zdołał kontynuować powitania.

- Ożeniłeś się, co? - wypalił Abrigant. Jego mina wyrażała gniew i wyzwanie. - Z tego, co słyszałem, wzięłeś królową. Kim ona jest, Prestimionie? Czemu nie poczekałeś, żebym mógł uczestniczyć w ceremonii?

- Jak na młodszego brata mówiącego do króla, jesteś bardzo bezpośredni, Abrigancie.

- Był czas, kiedy robiłem przed tobą ceremonialne znaki gwiazd i kłaniałem się, a ty powiedziałaś, że to zbyt oficjalne jak na braci. A teraz...

- Teraz przesadzasz w drugą stronę. Nie widzieliśmy się od wielu miesięcy, a tu proszę, rzucasz się na mnie jak dziki bidlak, bez uśmiechu ani przyjacielskiego uścisku, i żądasz, bym tłumaczył się z moich działań jakbyś to ty był Koronalem, a ja zwykłym...

Abrigant znowu mu przerwał.

- Sługa, który mnie przyjął po przyjeździe, powiedział, że masz teraz małżonkę i ma ona na imię Varaile. Czy to prawda? Kim jest Varaile, bracie?

- Córką Simbilona Khayfa.

Abrigant nie zdziwiłby się bardziej nawet gdyby Prestimion uderzył go w twarz. Aż drgnął.

- Córka Simbilona Khayfa? Córka Simbilona Khayfa? Prestimionie, czy ten nadęty, arogancki głupiec jest teraz członkiem naszej rodziny? Bracie, bracie, coś ty zrobił?

- Zakochałem się, oto, co zrobiłem. Ty natomiast zachowujesz się jak kłótniwy gbur. Uspokój się, Abrigancie i zacznijmy tę rozmowę od początku. Lord Koronał wita księcia Muldemar na Zamku po długiej wyprawie i prosi go, by usiadł. Siądź tutaj, Abrigancie. Tak. Dobrze. Nie lubię, kiedy ktoś tak nade mną wisi, wiesz. - Abrigant wyglądał na całkowicie zaskoczonego, ale Prestimion nie umiał powiedzieć, czy to na skutek upomnienia, czy faktu, że przyznał się wprost do poślubienia córki Simbilona Khayfa. - Wyglądasz, jakbyś miał za

sobą ciężką podróż. Mam nadzieję, że była owocna.

- O, tak. Nawet bardzo. - Abrigant mówił przez zaciśnięte zęby.

- Więc opowiedz mi o niej.

Ale nie tak łatwo było zbić Abriganta z tropu.

- Ten ślub, bracie...

Prestimion zebrał tyle cierpliwości, ile jej w ogóle miał.

- Jest wspaniałą kobietą. Nosi się jak królowa. Nie będziesz wątpił w słuszność mojego wyboru, kiedy ją ujrzysz. Co się tyczy jej ojca, zapewniam cię, że nie kocham go bardziej niż ty, ale nie ma powodów do rozpacz. Dopadło go szaleństwo, które krąży po świecie, jest bezpiecznie odizolowany i nikogo nie obrazi swoim wulgarnym stylem bycia. A co się tyczy opóźnienia przeze mnie ślubu do twojego powrotu, nie muszę ci się tłumaczyć. Weź pod uwagę, proszę, jaką miałem pewność, że dotrzymasz słowa i porzucisz wyprawę do Skakkenoir po sześciu miesiącach. Mogło cię nie być dwa lata, trzy, mogłeś nigdy nie wrócić.

- Dałem słowo. Dotrzymałem go co do joty. Dokładnie w sześć miesięcy od naszego rozstania rozpocząłem podróż powrotną.

- No, przynajmniej za to ci dziękuję. Mówisz, że wyprawa się udała?

- O tak, Prestimionie. Bardzo. Muszę ci powiedzieć, że byłoby lepiej, gdybyś nie narzucił mi sześciomiesięcznego limitu, ale nawet mimo tego mam sporo do opowiedzenia. Naprawdę oszalał? Idiota i jeszcze wariat? Jak doskonale to do niego pasuje! Mam nadzieję, że trzymasz go na łańcuchu pośród tych ohydnych bestii, które Gialaurys

przywiózł ci z Kharax.

- Mówiłeś, że masz wiele do opowiedzenia - przypomniał mu Prestimion. - Może byłbyś łaskaw zacząć, bracie.

*

Abrigant, wciąż wyraźnie wstrząśnięty informacją o ślubie Prestimiona, ale i starający się o tym nie myśleć, opowiedział, że rozpoczął podróż udając się na wschód od Sippulgaru wzdłuż aruachozyjskiego wybrzeża Morza Wewnętrznego. Było to paskudne, duszne miejsce. Powietrze było tak wilgotne i gęste, że ledwo dawało się oddychać, osy i mrówki wielkości myszy i nawet dżdżownice miały skrzydła i szczęki, dlatego kiedy dotarli do prowincji Vrist, skręcili w głąb lądu. Po raz ostatni widzieli morze w ponurym vristiańskim porcie Glystrintai. Później znaleźli się w dużo mniej wilgotnej okolicy, w większości niezamieszkałej. Był to gorący płaskowyż, prymitywnie wyglądający, pokryty zmarszczkami poszarpanych wzgórz i zastygłej lawy, pełen różowych jezior, w których mieszkały gigantyczne węże i niespokojnych rzek, zamieszkanych przez potworne, ospałe ryby w kolorze błota, większe od ludzi, które wyglądały, jakby pochodziły z dużo wcześniejszej epoki.

W tej spalonej słońcem, prehistorycznej krainie, gdzie horyzont zawsze był daleki, dzień po dniu panowała okropna cisza, przerywana tylko rzadkimi krzykami szybujących wysoko, paskudnie wyglądających, drapieżnych ptaków, większych nawet od khestrabonów i surastren żerujących na wschodzie. Podróżnicy czuli

się, jakby byli pierwszymi ludźmi, którzy badają nieznaną, dziewiczą planetę.

Ale wtedy zobaczyli dym ogniska na horyzoncie. Następnego dnia dotarli do krainy czarnych jak smoła wzgórz pokrytych żyłami lśniącego, białego kwarcu. Żyły tam tysiące Liimenów, wydobywających złoto na końcu świata.

- Prawdziwe złoto tym razem? - zapytał Prestimion. - Po złotych pszczołach, złotych wzgórzach i ścianach ze złotego kamienia wreszcie miejsce, gdzie można znaleźć prawdziwe złoto?

- Tak, metal - powiedział Abrigant. - To były kopalnie prowincji Sethem, gdzie Liimeni pracują jak niewolnicy pod morderczym słońcem. Proszę, sam zobacz. - Sięgnął do jutowego plecaczka, który przyniósł ze sobą do sali tronowej i wyciągnął trzy cienkie, kwadratowe płytki ze złota, na których wybito symbole geometryczne. - Dali mi je, ale nawet nie wiem, ile są warte. Górników to chyba nie obchodziło. Wykonują po prostu swoją pracę, jakby byli maszynami.

- Kopalnie Sethem - powtórzył Prestimion. - Złoto musi się skądś brać. Nigdy o tym nie myślałem.

Wyobraził sobie długie rzędy Liimenów pracujących w jałowym, kamienistym terenie; dziwnych, na nic się nie skarżących, gruboskórnych stworów o szerokich, płaskich głowach w kształcie młotów i trzech ognistych oczach, świecących jak węgle w kraterach głęboko osadzonych oczodołów. Kto ich zebrał i zaprowadził w tamto miejsce? O czym myśleli podczas długich dni swojego niesamowitego znoju?

Skarb ukryty był pod kwarcem; to w jego żyłach, zatopionych w skale, można było znaleźć drobiny złotego pyłu. Liimeni, opowiadał Abrigant, wydobywali je, rozpalając ogniska na czarnych skałach, po czym wylewając zimną wodę i ocet na rozgrzany kamień, by móc z tak powstałych pęknięć wydobywać złoto. Niektórzy pracowali na powierzchni wzgórz, inni głęboko w tunelach, tak niskich, że nie mogli w nich stanąć prosto, pełzali więc po ziemi, przyświecając sobie lampami przyczepionymi do czoła. Wreszcie udawało im się zebrać wielkie stosy złotonośnej skały. Wtedy wkraczali inni, którzy kruszyli ją wielkimi młotami, a małe kawałki następnie inni robotnicy mielili w żarnach napędzanych siłą ich mięśni, aż skała miała konsystencję mąki.

Ostatnie stadium polegało na wysypywaniu tak przygotowanego kwarcu na sita i polewaniu wodą, wypłukującą śmieci, pozostawiającą wyłącznie drobiny czystego metalu. Wytapiało się je w piecu, z dodatkiem soli, cyny i otrębów hoikki, przez wiele dni, z czego otrzymywano lśniące bryłki, przekuwane następnie w wąskie cienkie płytki, takie jak te, które otrzymał Abrigant.

- To straszna praca w strasznym miejscu - powiedział. - Ale pracują przez cały dzień, przekopując się przez wielką masę kamienia, by znaleźć odrobinę złota. Tyle pracy tylko po to, by zdobyć złoto! Gdyby tylko było tego więcej, może znaleźlibyśmy sposób, by zmienić je w pożyteczne żelazo albo miedź. Ale mamy tylko to i możemy co najwyżej robić z niego ozdoby.

- A po Sethem - spytał Prestimion - dokąd się udaliście?

- Dalej na wschód - odparł Abridant. - W głąb prowincji Kinorn, która może i nie jest prawdziwą pustynią, ale i tak poraża niegościnnością, ponieważ prastare ruchy ziemi poskładały ją tak, że przejazd przez nią przypomina podróż po gigantycznym sicie. Jechaliśmy przez kolejne wzgórza i zawsze ukazywało nam się nowe, jeszcze bardziej strome. Rzuciło nas w lataczach jak na morzu. Ten siniec, Prestimionie... uderzyłem się w głowę, kiedy nasz pojazd się przewrócił i już myślałem, że to koniec. Są tam wsie, Bogini raczy wiedzieć, czemu. Mieszka tam lud trudniący się rolnictwem i sprawiający wrażenie, że niewiele wie o reszcie świata. Mówi trudnym do zrozumienia dialektem. Zimroel był dla nich mitem, nie słyszeli nigdy o jego demonicznym prokuratorze, twierdzili, że słyszeli o Pięćdziesięciu Miastach Góry Zamkowej, o Alaisor, Stoien, Sintalmondzie i Sisivondal, ale chyba znali tylko ich nazwy. Spytałem o Skakkenoir, uśmiechali się i mówili „tak, tak, Skakkenoir” i pokazywali na wschód. Wypowiadali tę nazwę w sposób tak barbarzyński, że w życiu ci go nie powtórzę, ale mówili, że ziemia tam jest jasnoczerwona. W kolorze żelaza, Prestimionie.

- Oczywiście, dokładnie wtedy skończył się okres sześciu miesięcy - rzucił lekko Prestimion - i zawróciłeś, nie zobaczywszy nic więcej?

- Zgadłeś, bracie! Tak właśnie było. Właściwie mieliśmy parę dni zapasu, więc pojechaliśmy odrobinę dalej. I spójrz, Prestimionie! - Znowu sięgnął do plecaczka i wyjął trzy fiołki czerwonego piasku oraz czwartą, zawierającą suche, pokruszone liście jakiejś rośliny. - Niech przebadają ten piasek, sądzę, że jest bogaty w żelazo, jest go

tam co najmniej jedna część na dziesięć tysięcy. I te liście! Czy to mogą być metalonośne rośliny Skakkenoir? Tak sędzę, Prestimionie. Znaleźliśmy tylko mały pas czerwonej ziemi, szeroki na najwyżej dwadzieścia stóp, ale sędzę, że to przedsmak krainy Skakkenoir. Na czerwonej ziemi rosło pół tuzina roślinek. Prawdziwe bogactwo leży dalej na wschód, jestem o tym przekonany. Ale oczywiście przysięgłem, że zawrócę w dniu, w którym rozpocznie się siódmy miesiąc i tak uczyniłem. Byłem bardzo blisko. Wierzę w to. Ale przysięgłem, że zawrócę.

- W porządku, Abrigancie. Wyraziłeś się jasno.

Prestimion otworzył fiolkę z liśćmi i wyjął jeden z nich. Zwykły liść, nie było w nim nic metalicznego, łatwiej byłoby otrzymać złoto z lśniących krzewów ze wzgórz Arvyandy, które odbijały promienie słońca, niż żelazo z tego małego, pomarszczonego, brązowego kawałeczka rośliny. Mimo to, należało przeprowadzić badania.

- No i proszę - powiedział Abrigant. - Kopalnie Skakkenoir są twoje. To taka brzydka kraina, Prestimionie, tak odrzucająca upałem i pofałdowanym krajobrazem... Rozumiem, czemu inni poszukiwacze tak łatwo się poddawali. Ale może nie zależało im na znalezieniu krainy żelaza tak bardzo, jak mnie. Wielkie bogactwo czasów Prestimiona, bracie, jest w tych czterech fiolkach.

- Oby tak było. Jeszcze dziś polecę, by je zbadano. Ale nawet, jeśli zawierają żelazo, co wtedy? Nie zajdziemy daleko z odrobiną czerwonego piachu i paroma listkami. Skakkenoir pozostaje nieodkryte.

- Było zaraz za wzgórzem, Prestimionie! Przysięgam!

- Ach, tak, ale czy na pewno?

Abrigant spojrział na niego gniewnie.

- Pojadę znów i się przekonam. Wezmę duże latacze i więcej ludzi. I tym razem nie będzie sześciomiesięcznych terminów. To straszna kraina, ale pojadę, jeśli tylko zezwolisz na nową ekspedycję. I przywiozę tyle żelaza, ile tylko zapragniesz.

- Najpierw analiza chemiczna tych próbek, bracie. Potem porozmawiamy o nowej ekspedycji.

Abrigant już chciał ostro odpowiedzieć, gdy rozległo się pukanie do drzwi, ciche „puk, puk”, po którym Prestimion poznał, że to Varaile. Podniósł rękę, zanim jego brat zdążył przemówić i wstał, by jej otworzyć.

Powitała go ciepłym uściskiem i dopiero, gdy się rozdzielili, zauważyła, że w pokoju jest ktoś jeszcze.

- Wybacz, Prestimionie. Nie wiedziałam, że jesteś...

- To mój brat, Abrigant, który dopiero powrócił z trudnej wyprawy na dalekie południe w poszukiwaniu krainy żelaza. Okazuje się, że bardzo zaskoczył go fakt, że ożeniłem się pod jego nieobecność. Abrigancie, oto moja małżonka, Varaile.

- Bracie - powiedziała bez wahania - jakże się cieszę, że bezpiecznie wróciłeś! - Natychmiast też podeszła do niego i obdarzyła go uściskiem prawie tak ciepłym jak Prestimiona.

Abrigant sprawiał z początku wrażenie zaskoczonego ciepłem jej powitania i odpowiedział na uścisk sztywno i niezręcznie. Po chwili

jednak wziął ją w ramiona bez rezerwy, a kiedy z nich wypuścił, jego oczy świeciły nowym blaskiem, a jasną twarz miał zarumienioną z zakłopotania i przyjemności. Widać było wyraźnie, że Varaile ujęła go w jednej chwili i że był pod wrażeniem piękna, manier i charyzmy żony swego brata.

- Właśnie opowiadałem Lordowi Prestimionowi, jak ogromnie żałowałem, że nie było mnie na waszym ślubie. Spośród wszystkich braci jestem mu najbliższy wiekiem i byłoby wspaniale stać przy nim, kiedy wypowiadał przysięgę.

- On również żałował, że nie mogłeś być obecny - odpowiedziała Varaile - ale mogło się zdarzyć, że nie wracałbyś bardzo długo, nikt nie wiedział, jak długo dokładnie. Oboje uznaliśmy, że najlepiej będzie nie czekać.

- Rozumiem. - Abrigant ukłonił się lekko. Zachowywał się do przesady uprzejmie. Gniewny człowiek sprzed paru chwil zniknął bezpowrotnie. Spoglądając w kierunku Prestimiona, powiedział: - Chyba skończyliśmy na razie, bracie. Jeśli pozwolisz, udam się do swoich komnat i zostawię cię z twoją panią.

Jego oczy lśniły i Prestimion czytał z nich tak, jakby potrafił czytać w samych jego myślach. Dobrze się sprawiłeś, bracie. Ta kobieta jest prawdziwą królową!

- Nie, nie - zaprotestowała Varaile. - Tylko tędy przechodziłam. Nie chcę przerywać waszego spotkania. Na pewno macie sobie jeszcze wiele do powiedzenia - posłała Prestimionowi całusa i ruszyła w stronę drzwi. - Czy zjemy obiad przy Dworze Pinitora, jak zawsze,

mój panie?

- Tak sędzę. Może Abridant się do nas przyłączy.

- Bardzo bym chciała - powiedziała miło, pożegnała się z obydwojma i wyszła.

*

- Jakaż ona wspaniała - powiedział Abridant, wciąż promieniejąc. - Teraz wszystko rozumiem. Czy cały czas mówi do ciebie „mój panie”?

- Tylko w towarzystwie nieznanjch jej osób - wyjaśnił Prestimion.

- Odrobina ceremoniału, to wszystko. Jest doskonale wychowana. Ale kiedy jesteśmy sami, rozmawiamy dużo cieplej.

- Taką mam nadzieję, bracie. - Abridant w zadziwieniu potrzęsnał głową. - Córka Simbilona Khayfa! Kto by uwierzył? Że też ten zaniedbany człowiek jest ojcem takiej kobiety...

Na równinach Alhanroelu, z których Góra Zamkowa wznosiła się do nieba, było teraz lato, chociaż na samym Zamku nie czuło się zmian pór roku. Tam panowała wieczna, łagodna wiosna.

A także zwodniczy spokój. Przynajmniej przez chwilę nie trzeba było walczyć z żadnym kryzysem. Prestimion przyzwyczajał się do roli Koronała, spotykał z delegacjami z dalekich krain, od czasu do czasu odwiedzał pobliskie miasta Góry, przewodniczył spotkaniom Rady, konferował z przedstawicielami Pontifeksa i Pani o sprawach państwa, które wymagały jego współpracy. Plaga szaleństwa pochłaniał wciąż nowe ofiary, ale nie tak często jak wcześniej i większość ludności sprawiała wrażenie, jakby przyjęła ją jako kolejny aspekt życia, niczym zbyt obfite deszcze, które zalewały pola w okresie zbiorów, śnieć lusavendrową, burze piaskowe, które czasem szalały w południowo-wschodnim Zimroelu i wszystkie inne trudy, które sprawiały, że życie na Majipoorze nie było idealnym rajem.

Dantiryja Sambail jakby kompletnie zniknął z powierzchni ziemi. Myśl, że postradał życie podczas podróży po Alhanroelu wydawała się Prestimionowi zbyt piękna, by być prawdziwą, ale powoli zaczynał sądzić, że to właśnie się stało. Sama myśl o świecie bez Dantiryi Sambaila sprawiała, że ogarniał go cudowny spokój i odprężenie. W chwilach największego stresu czy zmęczenia w czasie swoich codziennych obowiązków lubił myśleć, że na zawsze pozbył

się Dantiryi Sambaila, tylko po to, by poczuć ukojenie, jakie te słowa przynosiły jego duszy.

Varaile także dobrze dostosowała się do zmian, jakie wniosła w jej życie pozycja żony Prestimiona. Małżonka Koronala miała własne zajęcia, które wypełniały cały dzień. Jedno zaś narzuciła sobie sama: co rano, zanim ruszała do codziennej pracy, składała wizytę Simbilonowi Khayfowi w jego wygodnym więzieniu: domku gościnnym w północnej części Zamku, opodal Sali Hendighaila.

Człowiek, który niegdyś był najbogatszym obywatelem Stee i którego wielka posiadłość w tym mieście była obiektem zazdrości i podziwu, mieszkał teraz w zaledwie pięciu pokojach z dala od centrum życia na Zamku. Nie sprawiał jednak wrażenia, jakby się tym martwił ani w ogóle to zauważał. Najlepsze dni Simbilona Khayfa minęły. Nie dawał nawet znaku, że pamięta, jak wielką miał władzę ani jak wściekła ambicja go do niej doprowadziła, z miliona małych przejawów próżności, które mówiły całemu światu, że z Simbilonem Khayfem trzeba się liczyć, nie zostało nic.

Teraz każdego dnia na nowo rodził się dla świata. Wczorajsze doświadczenia, jakiegokolwiek by były, znikwały z jego umysłu jak ślady, pozostawione przez ptaki na brzegu Morza Wewnętrznego w czasie odpływu. Jego poranna opiekunka budziła go, kąpała i ubierała w prostą, białą szatę, dawała mu śniadanie i zabierała na krótki spacer po Gzysie Lorda Methiraspa, szerokim, brukowanym tarasie za jego domem. Zazwyczaj Varaile przychodziła akurat, kiedy stamtąd wracał.

Tego dnia, jak i każdego, Simbilon Khayf był odprężony i szczęśliwy. Jak zawsze powitał ją uprzejmym, choć lekko roztargnionym pocałunkiem w policzek i przelotnym uściskiem dłoni. Choć ze swojego poprzedniego życia pamiętał niewiele, to przynajmniej wiedział zazwyczaj, że miał córkę i że miała na imię Varaile.

- Dobrze dziś wyglądasz, ojcze. Wypałeś się?

- Och, jak najbardziej. A ty, Varaile?

- Miło byłoby pospać chwilę dłużej, ale, to zrozumiałe, nie mogłam. Położyliśmy się wczoraj bardzo późno. Odbył się kolejny bankiet, przybył diuk Chorg z Bibiroonu, który jest wielkim znawcą win. A ponieważ rodzina Prestimiona słynie z winiarni, to naturalnie trzeba było sprowadzić z Muldemar całą skrzynkę rzadkich roczników specjalnie na ten bankiet i diuk, wyobraź sobie, chciał spróbować choć trochę z każdej butelki.

- Prestimion? - spytał Simbilon Khayf, uśmiechając się słabo.

- Mój mąż. Lord Prestimion, Koronał. Wiesz, że jestem żoną Koronała, prawda, ojcze?

Simbilon Khayf zamrugał.

- Poślubiłaś starego Confalume'a? Dlaczego to zrobiłaś? Czy nie dziwnie być żoną człowieka starszego od twojego ojca?

- Ależ wcale nie! - powiedziała Varaile, śmiejąc się pomimo powagi sytuacji. - Ojcze, Confalume nie jest już Koronalem. Teraz jest Pontifexem. Mamy nowego Koronała.

- Tak, oczywiście, Lord Korsibar. Jaki ja jestem niemądry! Jak

mogłem zapomnieć, że to Korsibar został Koronalem po Confalumie?

Wpatrywała się w niego zaskoczona i smutna. Jego biedny umysł błądził przedziwnymi ścieżkami.

- Korsibar? Nie, ojcze. Skąd wzięłeś to imię? Nie ma żadnego Lorda Korsibara. Nigdy nie słyszałam o nikim, kto nosiłby to imię.

- Ale byłem pewien, że...

- Nie, ojcze.

- Kto więc...

- Prestimion, ojcze. Prestimion. On jest obecnym Koronalem, sukcesorem Lorda Confalume'a. A ja jestem jego żoną.

- Ach. Lord Prestimion. To bardzo ciekawe. Nowy Koronał ma na imię Prestimion, nie Korsibar. O czym ja myślałem? Mówisz, że jesteś jego żoną?

- Tak.

- To ile macie dzieci, ty i ten Lord Prestimion?

Lekko się rumieniąc, odpowiedziała:

- Nie jesteśmy jeszcze tak długo małżeństwem, ojcze. Na razie nie mamy dzieci.

- Będziecie mieli. Wszyscy mają dzieci. Sam miałem jedno, jak sądzę.

- Tak. Miałeś. Właśnie z nim rozmawiasz.

- Och. Tak. Córkę, która wyszła za Koronała. Jak on ma na imię, ten Koronał, którego jesteś żoną?

- Prestimion, ojcze.

- Prestimion. Tak. Znałem kiedyś jednego Prestimiona. Niewysoki,

blondyn, świetny łucznik. Sprytny chłopak. Ciekawe, co się z nim stało.

- Został Koronalem, ojciec - cierpliwie odpowiedziała Varaile. - Wyszłam za niego.

- Wyszłaś za Koronala? Naprawdę to powiedziałaś? Wyszłaś za Koronala? Jakże to niezwykle! I jaka to nobilitacja dla rodziny, moja droga. Nikt z naszej rodziny jeszcze nie poślubił Koronala, mam rację?

- Jestem pewna, że jestem pierwsza - odparła Varaile. Podczas każdej wizyty, mniej więcej w tym momencie, oczy napęły się jej łzami i musiała się na moment odwrócić, ponieważ Simbilon Khayf był oszołomiony i zaniepokojony za każdym razem, gdy widział, że płacze. To była ta chwila. Przesunęła palcami po twarzy i odwróciła się do niego, dzielnie uśmiechnięta.

W ciągu ostatnich tygodni zrozumiała, że nigdy nie kochała swojego ojca, kiedy był jeszcze zdrowy, właściwie nawet niezbyt go lubiła. Akceptowała ich wspólne życie nie kwestionując żadnego jego aspektu: ani jego głodu pieniędzy i chwały, ani żenujących ambicji towarzyskich, ani arogancji, ani wielu głupstw w stroju i mowie, ani jego bogactwa. Kaprys Bogini sprawił, że była jego córką, kolejny, wczesna śmierć jej matki, uczynił ją panią domu Simbilona Khayfa, kiedy wciąż była ledwie dziewczynką. Varaile przyjęła to wszystko naturalnie i zwyczajnie wykonywała obowiązki, które jej przypadły, dławiając wszystkie buntownicze myśli, które mogły jej przyjść do głowy. Życie córki Simbilona Khayfa często wystawiało ją na próbę,

ale to było jej życie i nie widziała dla niego żadnej alternatywy.

A teraz ten straszny człowieczek, który przypadkiem był jej ojcem, stał się wrakiem, pustym naczyniem. On też padł ofiarą kaprysu Bogini. Mogła łatwo się od niego odwrócić i zapomnieć, że w ogóle istniał, a on w ogóle by tego nie zauważył. Ale nie, tego nie wolno jej było zrobić. Przez całe życie zajmowała się Simbilonem Khayfem, nie dlatego, że chciała, ale musiała. Teraz tamto legło w gruzach, a jej życie zmieniło się ogromnie na lepsze z powodu kolejnego żarciku Bogini, ale ona wciąż się nim opiekowała, nie dlatego, że musiała, ale ponieważ chciała.

Siedział przy niej i uśmiechał się, nie rozumiejąc, kiedy opowiadała mu o wczorajszych wydarzeniach na Zamku: o porannym spotkaniu z Kazmai Noorem, zamkowym architektem, by omówić plany muzeum, które chciał zbudować Prestimion, o obiedzie z diuszesa Chorg i księżniczką Hektiroon, o popołudniowej wizycie w szpitalu dziecięcym w Halanx i o otwarciu placu zabaw w pobliskim Morpin Niskim. Simbilon Khayf słuchał z uśmiechem, od czasu do czasu powtarzając tylko:

- O, to bardzo ładnie. Naprawdę bardzo ładnie.

Później wyciągnęła dokumenty i powiedziała:

- Wczoraj zajęłam się też paroma osobistymi sprawami. Wiesz, ojcze, że przepisuję wszystkie przedsiębiorstwa naszej rodziny na pracowników, bo ktoś musi się nimi zająć, a nie możemy tego teraz robić ani ty, ani ja, zresztą żona Koronala nie powinna parać się handlem. Wczoraj przenieśliśmy prawa do kolejnych siedmiu.

- O, to bardzo ładnie.

- Mam tu ich nazwy, jeśli cię to interesuje, choć nie sądzę. Na Zamku był Migdał Velorn... wiesz, kim on jest, ojczy? Podpisałam wszystkie dokumenty, które mi przyniósł. Dotyczyły Młynów Velathynu, kompanii spedycyjnej w Alaisor, dwóch banków i... W każdym razie było ich siedem. Zostało nam już tylko jednaście spółek i mam nadzieję, że pozbędę się ich w ciągu paru tygodni.

- No tak. To dobrze, że zajmujesz się takimi sprawami.

Jego wieczny uśmiech działał na nerwy. Te wizyty nigdy nie były łatwe. Czy powinna mu dzisiaj powiedzieć coś jeszcze? Chyba nie. Jaka zresztą różnica? Wstała, by odejść.

- Muszę już iść, ojczy. Prestimion cię pozdrawia.

- Prestimion?

- Mój mąż.

- O, Varaile, a więc masz teraz męża? Jak to ładnie. Macie dzieci?

*

W piękny, złoty poranek pod koniec lata Prestimion udał się do swojej rodzinnej posiadłości w Muldemar, by uczestniczyć w dorocznym święcie młodego wina. Co roku o tej porze, zgodnie ze starą tradycją, młode wino ze zbiorów poprzedniej jesieni wydobywano z piwniczek, by po raz pierwszy go spróbować, a w mieście Muldemar odbywało się całodzienne święto, zakończone wielkim bankietem w Domu Muldemar, siedzibie księcia Muldemar.

Prestimion, gdy jeszcze był księciem, prowadził to wydarzenie z tuzin razy. Później, przez dwa lata z rzędu, wojna domowa sprawiła,

że nie mógł być obecny. Teraz zaś był Koronalem, a w Muldemar zastąpił go Abridant. Mimo to w zeszłym roku też nie było bankietu, ponieważ w zwyczajowej porze święta Abridant przebywał na wschodzie, polując na Dantiryę Sambaila. Miało to więc być pierwsze święto Abridanta jako księcia Muldemar, a obecność Prestimiona byłaby dla niego wielkim zaszczytem. Koronał zazwyczaj nie pojawiał się na tych uroczystościach, ale żaden członek rodziny Prestimiona nie był wcześniej Koronalem. Uznał, że powinien tam pojechać. Poza tym oznaczało to zaledwie trzy czy cztery dni nieobecności na Zamku.

Varaile za to czuła się nie najlepiej i została. Nawet krótka podróż do Muldemar to dla niej trochę za dużo, powiedziała, a już szczególnie nie miała siły brać udziału w wystawnej kolacji, podczas której obfite potrawy i mocne wino będą podawane długo w noc. Poprosiła Prestimiona, by zamiast niej zabrał ze sobą Septacha Melayna. Prestimion niezbyt chciał jechać bez niej, ale jeszcze mniej chciał rozczarować Abridanta, który poczułby się głęboko zraniony jego nieobecnością. Stało się więc tak, że kiedy majordomus Nilgir Sumanand przyszedł do rezydencji Koronała z wiadomością, że młody rycerz kandydat Dekkeret wrócił na Zamek po długiej nieobecności i pragnie spotkania z Koronalem w sprawie wielkiej wagi, przyniósł tę wieść Varaile, a nie Prestimionowi.

- Dekkeret? - zapytała. - Nie sądzę, bym znała to imię.
- Nie, pani. Wyjechał zanim tu zamieszkałaś.
- Czy to nie dziwne, że rycerz kandydat prosi o audiencję u

Koronała? Jak ważna jest ta sprawa niezwyklej wagi? Czy sądzisz, że dość ważna, by wysłać go do Prestimiona do Muldemar?

- Nie mam pojęcia. Powiedział, że to dość pilne, ale że musi ją przekazać Koronałowi osobiście, albo Wysokiemu Doradcy, a jeśli nie ma żadnego z nich, wtedy księciu Akbalikowi. Koronał przebywa dziś w Muldemar, jak wiesz, jest z nim Wysoki Doradca, a księżę Akbalik dotąd nie powrócił ze swojej podróży. Sądzę, że przebywa w Stoienzar. Nie chcę przerywać wolnego czasu Koronała bez twojego, pani, pozwolenia.

- Nie. Masz rację, Nilgirze Sumanandzie. - I, ku własnemu zaskoczeniu, bo przez cały ranek czuła mdłości, dodała: - Przyślij go do mnie. Sama się dowiem, czy to coś, czym warto niepokoić Koronała.

*

Było w twarzy i szczerym spojrzeniu Dekkereta coś wielkodusznego i otwartego, co sprawiło, że Varaile natychmiast, instynktownie go polubiła. Był ewidentnie inteligentny, ale nie było w nim cwaniactwa i chytryści. Był dużym, mocno zbudowanym młodym człowiekiem, mógł mieć może ze dwadzieścia lat, a może rok czy dwa więcej. Miał szerokie, potężne ramiona i wyglądał jak ktoś pełen ogromnej siły fizycznej, którą uważnie kontroluje. Jego twarz i ręce były tak opalone, że wyglądały jak wyprawiona skóra, jakby spędził niedawno dużo czasu w gorącym, nieprzyjaznym klimacie.

Powiedziała mu, że Koronał będzie nieobecny jeszcze przez parę dni. Wyraźnie dała do zrozumienia, że nie przerwie wizyty swego

męża w Muldemar, o ile nie będzie miała naprawdę dobrego powodu. Zapytała, co dokładnie rycerz kandydat Dekkeret chce powiedzieć Koronalowi.

Dekkeret z początku się wahał. Może zbił go z tropu fakt, że spotkał się z małżonką Lorda Prestimiona, a nie z nim samym, a może to, że owa małżonka była prawie w jego wieku. A może po prostu nie chciał zdradzić swoich informacji komuś, kogo nie znał, w dodatku kobiecie, która nawet nie była członkiem Rady. W każdym razie nie starał się nawet ukryć swojej niepewności co do dalszego zachowania.

Potem jednak zdecydował chyba, że bezpieczniej będzie wszystko opowiedzieć. Trudno mu było zacząć, ale w końcu przeszedł do długiego, chaotycznego wstępu. Powiedział, że księżę Akbalik zabrał go jakiś czas temu z misją dyplomatyczną do Zimroelu. Nie powierzono mu żadnego ważnego zadania, ale miał nabrać doświadczenia, gdyż do świty Koronala dołączył dopiero niedawno. Po pewnym czasie spędzonym w Ni-moya załatwił sobie, z powodów, których nie wyjaśnił jasno, tymczasowe przeniesienie w służbę Pontifexa i udał się na Suvrael, by zbadać problem związany z eksportem bydła.

- Suvrael? - powiedziała Varaile. - Żeby ze wszystkich miejsc być wysłanym właśnie tam, to straszne!

- Odkryło się to na moją własną prośbę, pani. Wiem, to nieprzyjemna kraina. Ale odczuwałem potrzebę, by udać się na chwilę w jakieś nieprzyjemne miejsce. Trudno mi będzie to wytłumaczyć.

Dla Varaile brzmiało to tak, jakby specjalnie chciał doświadczyć

ogromnych niewygód, może dla oczyszczenia, jako rodzaj aktu pokuty. Ciężko jej było to zrozumieć. Postanowiła jednak nie pytać.

Dekkeret wyjaśnił, że na Suvraelu miał za zadanie odwiedzić miejsce zwane Ghyzyn Kor, stolicę krainy, gdzie hodowano bydło i tam dowiedzieć się o powody spadku produkcji wołowiny. Ghyzyn Kor leżało w sercu otoczonej górami, żyznej strefy pastwisk, położonej sześć czy siedem tysięcy mil w głębi skwarne kontynentu i całkowicie otoczonej najstraszniejszymi z pustyń. Kiedy dotarł do portu Tolaghai na północnozachodnim wybrzeżu Suvraelu, odkrył, że dotarcie na miejsce nie będzie proste.

Powiedziano mu, że w głąb lądu prowadzą trzy główne drogi. Na jednej z nich szalały akurat straszne burze piaskowe, przez co była nieprzejezdna. Drugą zamknęto dla podróżnych z powodu napadów zmiennokształtnych bandytów. Trzecia, rozpalona droga przez pustynię, wiodąca przez góry w miejscu zwanym Przełęczą Khulag, była ostatnio rzadko używana i w złym stanie. Nikt już tamtędy nie jeździł, jak mówiono, ponieważ droga była nawiedzona.

- Nawiedzona?

- Tak, pani. Powiedziano mi, że przez duchy, które wchodziły w umysł, gdy człowiek spał i kradły jego sny, zastępując je przerażającymi koszmarami. Słyszałem, że niektórzy wędrowcy pomarli na pustyni od własnych złych snów. A za dnia duchy śpiewały gdzieś daleko, myląc drogę, sprowadzając z właściwej ścieżki dziwacznymi odgłosami, aż człowiek gubił się gdzieś w piaskowym pustkowiu i nigdy nie wracał.

- Duchy, które kradną sny - powtórzyła Varaile, zdumiona. Sceptycyzm nie pozwalał jej dawać wiary tej historii. - Na pewno nie należysz do ludzi, którzy dają się przestraszyć takimi bzdurami.

- Nie należę, pani. Ale wyruszyć samemu w tę paskudną pustynię to co innego, z duchami czy bez. Zacząłem już wierzyć, że moja misja zakończy się całkowitym niepowodzeniem, Ale wtedy spotkałam człowieka, który twierdził, że często przeprowadzał się przez Przełęcz Khulag w głąb łądu i nigdy nie miał problemów z duchami. Nie powiedział, że duchów tam nie ma, ale że dysponuje sposobem, by oprzeć się ich mocy. Wynająłem go na przewodnika.

Dekkeret powiedział, że nazywał się on Venghenar Barjazid i był przebiegłym człowiekiem o złej reputacji, zapewne przemytnikiem, który zażądał za swoje usługi niebotycznej sumy. Plan polegał na odwróceniu zwykłego układu snu i czuwania, na podróżowaniu w nocy, a rozbijaniu obozu na palące godziny dnia. Towarzyszył im syn Barjazida, nastoletni chłopak imieniem Dinitak, oraz zajmująca się bagażami Skandarka i Vroon, który znał wszystkie pustynne drogi. Podróżowali rozklekotanym, starym lataczem.

Podczas podróży z Tolaghai na wzgórze, prowadzące do Przełęczy Khulag, nic się nie działo. Dekkeret uznał krajobraz za porażająco brzydki, wypełniony wyschniętymi, kamienistymi korytami rzek, nakrapianą, piaszczystą ziemią i poskręcanyimi, kolczastymi roślinami, a stał się jeszcze bardziej nieprzyjazny, gdy przekroczyli przełęcz i znaleźli się na Pustyni Skradzionych Snów. Nigdy nie przypuszczał, że na świecie istnieje miejsce równie straszne, równie

surowe, ponure i niegościnnie. Mimo to, jak mówił, po prostu przyjął to okrutne, jałowe pustkowie do wiadomości i nie czuł się przerażony. Może nawet, jak przypuszczała Varaile, w jakiś perwersyjny sposób spodobało mu się tam, skoro pojechał do Suvraelu w poszukiwaniu trudów i cierpienia.

Potem zaczęły się nocne koszmary. Właściwie dzienne. Śnił, że leciał w łagodne objęcia Pani Wyspy, stojącej wewnątrz kuli z czystego, jasnego światła. Była to radosna, przepelniona spokojem wizja, ale stopniowo znalazł się samotnie na nagim, szarym zboczu góry i patrzył w martwy, pusty krater. Obudził się drżący od strachu i szoku.

- Śniłeś dobrze? - zapytał go wtedy Barjazid. - Mój syn mówi, że jęczałeś we śnie, przetaczałeś się z boku na bok i łapałeś za kolana. Czy poczułeś dotyk złodziei snów, kandydacie Dekkeret?

Kiedy Dekkeret potwierdził, mały człowieczek zaczął wypytywać go o szczegóły. Rozzłościło to chłopaka i zapytał, czemu ma pozwolić Barjazidowi grzebać w swoim umyśle, ale ten uparł się i w końcu Dekkeret opowiedział, co śnił. Tak, powiedział Barjazid, to było dotknięcie złodziei snów: wdarcie się w umysł, niepokojące nałożenie się obrazów, odebranie sił.

- Zapytałem go - powiedział Dekkeret do Varaile - czy sam kiedyś poczuł to dotknięcie. Powiedział, że nigdy. Podobno był odporny. Jego syna, Dinitaka, zaatakowali tylko raz czy dwa. Nie chciałem wtedy myśleć o stworach, które to robią. Zapytałem tylko, czy sny stają się gorsze, im głębiej wchodzi się w pustynię. Odpowiedział na

to, bardzo spokojnie, że tak mu mówiono.

Kiedy wyruszyli o zmierzchu, Dekkeretowi wydało się, że słyszy śmiech w oddali, podzwanianie dzwonków i bicie w koszarne bębny.

Następnego dnia miał kolejny sen, który rozpoczął się w pięknym zielonym ogrodzie pełnym fontann i oczek wodnych, ale szybko zmienił w koszmar, w którym leżał nagi i bez żadnej osłony pod słońcem pustyni, aż czuł, jak jego skóra zwęgla się i pęka z trzaskiem. Tym razem, gdy się obudził, odkrył, że we śnie odszedł od obozowiska i że leżał w pełnym świetle dnia pośrodku kolonii gryzących mrówek. Nie potrafił znaleźć drogi do latacza i myślał, że umrze, ale w końcu przyszedł po niego Vroon z manierką wody i zaprowadził w bezpieczne miejsce. Podczas tej przygody dosyć wycierpiał, nawet więcej, niż chciał, ale najgorsze, jak powiedział Varaile, nie było ani gorąco, ani pragnienie, ani mrówki, ale cierpienie wynikające z bycia pozbawionym ukojenia, jakie niosą normalne sny i przerażenie, kiedy radosna i kojąca wizja zmieniała się w coś makabrycznego i strasznego.

- A więc opowieści podróżników są jednak prawdziwe? - zapytała Varaile. - Na tej nawiedzonej pustyni naprawdę żyją zabójcze duchy, które kradną sny.

- W pewnym sensie, pani. Zaraz to wyjaśnię.

Prawie wyjechali z pustyni i poruszali się korytem wyschniętej rzeki po terytorium, którym często wstrząsały trzęsienia ziemi. Teren stopniowo unosił się w stronę dwóch wysokich szczytów na

południowym zachodzie, pomiędzy którymi leżała Przełęcz Munnerak, prowadząca do chłodniejszych, zielonych pastwisk. Za parę dni mieli być w Ghyzyn Kor.

Najgorszy sen wciąż był jeszcze przed nim. Nie opisał go Varaile dokładnie, powiedział tylko, że stanął w nim twarzą w twarz ze swoim jedynym złym uczynkiem, grzechem, który wysłał go w pokutną podróż do Suvraelu. Kiedy spał, został zmuszony do odtworzenia tego grzechu krok po kroku, aż do końcowej sceny o strasznej intensywności, która sprawiła, że nawet teraz drżał i bladł. W tym momencie poczuł nagły, przeszywający ból, jakby igła ostrego, białego światła wbijała mu się w głęb czaszki.

- Słyszałem gdzieś daleko uderzenia w wielki gong - mówił Dekkeret - i bliski śmiech jakiegoś demona. Kiedy otworzyłem oczy, byłem niemal oszalały ze strachu i rozpacz. I wtedy ujrzałem Barjazida, na wpół schowanego za lataczem. Zdejmował właśnie jakiś mechanizm, który wcześniej miał na głowie, i próbował schować go do torby.

Varaile lekko drgnęła.

- To on wywoływał sny?

- Och, pani, jesteś mądra, bardzo mądra! Tak, to był on. Miał maszynę, która pozwalała mu wchodzić w umysły i zmieniać myśli. Maszynę dużo potężniejszą, niż ta, której używa Pani Wyspy, bo ona może tylko przemawiać do umysłów, a urządzenie Barjazida wydaje im rozkazy. Przyznał się do tego, niezbyt chętnie i bez radości, kiedy zażądałem, by powiedział mi prawdę. To był, jak powiedział, jego

własny wynalazek, pracował nad nim od wielu lat.

- I prowadził eksperymenty, wykorzystując umysły podróżnych, których zabierał na pustynię?

- Właśnie tak, pani.

- Dobrze uczyniłeś, Dekkercie, że przyszedłeś z tym do Koronała. To urządzenie jest niebezpieczne. Trzeba go powstrzymać.

- To już zrobione - powiedział Dekkeret. Na jego twarzy był szeroki uśmiech, wyrażający zadowolenie z siebie. - Udało mi się wziąć Barjazida i jego syna do niewoli i odebrałem im tę maszynę. I oni, i ona są ze mną na Zamku. Lord Prestimion będzie chyba zadowolony. O, pani, mam nadzieję, że będzie, nie ma dla mnie nic ważniejszego, niż dawać mu powody do zadowolenia!

- Ma na imię Dekkeret - powiedziała Varaile. - Rycerz kandydat, bardzo młody i jeszcze nieoszlifowany, ale sędzę, że przeznaczony do wielkich rzeczy.

Prestimion roześmiał się. Siedzieli z Gialaurysem w sali tronowej Stiamota. Wrócili na Zamek ledwo godzinę wcześniej i Varaile powitała go tą historią, jakby była to najważniejsza rzecz na świecie.

- O, dobrze znam Dekkereta! Uratował mi życie dawno temu w Normork, kiedy rzucił się na mnie z tłumu jakiś wariat z nożem.

- Tak było? Nie wspomniał o tym.

- Bardzo bym się zdziwił, gdyby zachował się inaczej.

- Historia, którą mi opowiedział, jest w najwyższym stopniu zdumiewająca, Prestimionie.

Wysłuchał jej, ledwo uważając.

- Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem - powiedział, gdy skończyła.

- Był z Akbalikiem na misji w Zimroelu, a potem z jakiegoś powodu samotnie pojechał do Suvraelu. Teraz, jak mówisz, wrócił i co przywiózł ze sobą?

- Maszynę, która przejmuje kontrolę na ludzkimi umysłami. Wynalezioną przez obdartego przemytnika, zwanego Barjazid, który proponuje podróżnym przeprowadzenie przez pustynię, ale zamiast tego...

- Barjazid? - Prestimion zerknął na Gialaurysa, marszcząc brwi. -

Wydaje mi się, że już słyszałem to nazwisko. Nawet na pewno. Nie pamiętam tylko, gdzie.

- Podejrzany człowieczek z Suvraelu, z rozbieganymi oczkami i skórą wyglądającą jak wytrawiona - powiedział Gialaurys. - Przez parę lat był na usługach diuka Svora. Bardzo śliski typek z tego Barjazida, podobny do Svora. Nie znosiłeś go.

- A, już pamiętam. Zaraz po kłopotach pod Granią Thegomar, kiedy złapaliśmy vroońskiego czarnoksiężnika, Thalnapa Zelifora, który robił urządzenia do czytania w myślach i bez wahania sprzedawał je zarówno nam, jak i naszym przeciwnikom...

Gialaurys przytaknął.

- Dokładnie wtedy. Ten cały Barjazid stał tuż obok, kazałeś mu spakować Vroona i wszystkie jego rzeczy i odeskortować go na wieczne wygnanie do Suvraelu. Tam na pewno pozbył się czarnoksiężnika przy pierwszej okazji i przywłaszczył sobie maszynę do kontroli umysłu - zwrócił się do Varaile. - Gdzie teraz jest ten Barjazid, pani?

- W Tunelach Sangamora. Obaj, on i jego syn.

Prestimion wybuchnął szczerym śmiechem.

- To mi się podoba! Koło pięknie się zamknęło! Właśnie w tunelach poznałem Thalnapa Zelifora, byliśmy więźniami, przykutymi obok siebie. - W tym momencie Varaile spojrzała na niego zdumiona. Prestimion zrozumiał, że zupełnie pogubiła się w rozmowie pełnej nawiązań do wojny domowej. - Opowiem ci tę historię przy innej okazji - obiecał. - Co się zaś tyczy tej jego zabawki, spojrzę na nią

przy okazji. Maszyna, która kontroluje umysły? No cóż, prędzej czy później pewnie znajdę dla niej jakieś zastosowanie.

- Sądzę, że lepiej będzie prędzej, niż później.

- Proszę cię, Varaile. Nie bagatelizuję jej wagi. Teraz jednak trzeba zająć się masą innych rzeczy. - Uśmiechnął się, by złagodzić swoje słowa, ale nie ukrywał zniecierpliwienia. - Wezmę się za to jak najszybciej.

- A książę Dekkeret? - spytała Varaile. - Powinien chyba zostać nagrodzony za te informacje.

- Książę Dekkeret? O, nie, jeszcze nie. Wciąż jest człowiekiem z ludu, chłopcem z Normork, który wspina się po drabinie tutejszej hierarchii. Ale masz rację, powinniśmy nagrodzić jego dobrą służbę. Co powiesz, Gialaurysie? Podnieść go o dwa poziomy? Tak. Jeśli jest teraz na drugim poziomie, a tak mi się zdaje, przenieś go na czwarty. O ile wyzdrowiał już z tego ataku wyrzutów sumienia, który wysłał go do Suvraelu.

- Gdyby tam nie pojechał, Prestimionie, nigdy nie przejęlibyśmy maszyny do kontrolowania umysłów - zauważyła Varaile.

- To prawda. Ale ten przedmiot może okazać się bezużyteczny. A ta cała wyprawa do Suvraelu trochę mi przeszkadza. Dekkeret miał pracować dla nas w Ni-moya, nie wybierać się na prywatne przygody, nawet, jeśli okazały się wartościowe. Nie chcę, żeby znów zrobił coś takiego. A teraz - powiedział, kiedy Gialaurys pożegnał się i wyszedł - porozmawiajmy o czymś innym, dobrze, Varaile?

- O czym?

- O nowej podróży.

Po jej twarzy przemknął cień niezadowolenia.

- Znowu gdzieś wyruszasz, Prestimionie?

- Nie ja. My. Tym razem będziesz mi towarzyszyć.

Jej twarz pojaśniała.

- O, to dużo lepiej! A dokąd pojedziemy? Może do Bombifale? Chciałabym je zobaczyć. Albo do Amblemorn? Mówią, że to bardzo dziwne i nietypowe miejsce, z wąskimi, krętymi drogami i prastarymi, brukowanymi ulicami. Zawsze chciałam zobaczyć Amblemorn, Prestimionie.

- Wybieramy się dalej - powiedział jej. - Dużo dalej, bo aż na Wyspę Snu. Nie widziałem mojej matki od koronacji, a ona nigdy nie poznała mojej żony. Już dawno powinniśmy byli pojechać z wizytą. Ona pragnie cię poznać. I mówi, że musi ze mną omówić ważne sprawy. Popłyniemy łodzią w dół Iyann do Alaisor, a stamtąd na Wyspę. O tej porze roku to najlepsza trasa.

Varaile skinęła głową.

- A kiedy wyruszamy?

- Za tydzień? Dziesięć dni? Może być?

- Oczywiście - potem uśmiechnęła się, może trochę smutno. - Koronał nigdy nie zostaje długo na Zamku, prawda, Prestimionie?

- Później będzie mnóstwo czasu na siedzenie w domu - odparł. - Kiedy będę Pontifexem, a moim domem dno Labiryntu.

*

W mieście Stoiem, leżącym na krańcu Półwyspu Stoienzar w

dalekim, północnozachodnim Alhanroelu, Akbalik siedział nad grubą stertą konosamentów, protokołów ładunkowych, list pasażerów i innych morskich dokumentów, kartkując je mozolnie i szukając jakiegokolwiek wskazówki co do miejsca pobytu Dantiryi Sambaila. Codziennie przez ostatnie trzy miesiące nie robił nic innego. Kopia każdego świstka, który miał cokolwiek wspólnego z okrętami, pływającymi pomiędzy Alhanroelem i Zimroelem trafiała do centrum wywiadu, które Akbalik założył w Stoien z polecenia Septacha Melayna. Teraz wiedział już więcej o cenie stu miar korzenia gumba czy koszcie ubezpieczenia transportu jagód thuyol od robaków kleg niż kiedykolwiek myślał, że się dowie. Mimo to nie był ani odrobinę bliżej odnalezienia Dantiryi Sambaila niż w dniu, kiedy tu przybył.

Raporty, które co tydzień wysyłał na Zamek, były coraz bardziej lakoniczne i czuć w nich było rozdrażnienie. Akbalik przebywał na prowincji od wielu miesięcy i spędzał nieprzerwane pasmo dni pośród męczących nieznanym, najpierw w Ni-moya, teraz tutaj. Słyszał ze spokoju, ale nawet on miał granice wytrzymałości. Zaczynał okropnie tęsknić za życiem na Zamku. Niczego tu nie osiągał, nadeszła pora, najwyższa pora, jak sądził, by przenieść go z powrotem do stolicy. W paru ostatnich raportach poprosił o to wprost.

Nie otrzymywał jednak żadnej odpowiedzi. Septach Melayn był pewnie zbyt zajęty szlifowaniem swych umiejętności szermierczych, by czytać jego listy. Akbalik napisał raz do Gialaurysa, ale równie dobrze mógłby słać petycje do posągu Lorda Stiamota. Co zaś tyczyło się Koronała, Akbalik dowiedział się, że odbywał on pielgrzymkę na

Wyspę Snu, by przedstawić swoją niedawno poślubioną żonę matce i w tej chwili znajdował się gdzieś na rzece Iyann, w połowie drogi pomiędzy Górą a Alaisor. Zdawało się, że nie było żadnej szansy na załatwienie rozkazu powrotu. Akbalik nie miał wyboru, musiał siedzieć tu dzień w dzień i bez końca przedzierać się przez góry dokumentów spedycyjnych.

Przynajmniej miasto Stoiem było dość wesołym miejscem na banicję, jeśli nie miało się wyboru i było tylko wygnańcem na prowincji. Panował tam doskonały klimat, przez cały rok było ciepło jak w lecie, powietrze było słodkie, niebo bezchmurne, od rana do południa wiała przyjemna, nadmorska bryza, wieczory były łagodne, a co noc, dokładnie o północy, spadał cudownie orzeźwiający deszcz. Samo miasto było wąskim pasem, ciągnącym się przez ponad sto mil wzdłuż łagodnego łuku olbrzymiego portu tak, że jego dziewięć milionów mieszkańców żyło wygodnie, nie tłocząc się. To miejsce cieszyło oko. Jako że cały półwysep Stoienzar był płaski i nigdzie nie wznosił się na więcej niż dwadzieścia stóp nad poziom morza, mieszkańcy portu Stoiem zapewnili sobie urozmaicenie topograficzne postanawiając, że każdy budynek wzniesiony będzie na ceglanym postumencie z fasadą z białego kamienia i że owe platformy będą znacznie różnić się wysokością. Niektóre nie miały więcej niż dziesięć, piętnaście stóp, zdarzały się też daleko w głąb lądu takie, które były właściwie potężnymi, sztucznymi wzgórzami, wysokimi na setki stóp.

Niektóre szczególnie ważne budynki górowały nad ulicami, stojąc

w izolacji, na własnych fundamentach. Zdarzały się też całe kwartały o powierzchni ponad mili kwadratowej, stojące na jednym, gigantycznym podwyższeniu. Oko ludzkie musiało się tu wciąż poruszać, gdyż z każdej strony napotykało na przyjemne różnice wysokości. Efekt użycia tak wielkiej liczby cegły został zaś złagodzony obfitością krzewów, pnączy i roślin, wyrastających z tropikalnym rozmachem z podstawy każdej platformy, wzdłuż pochylni, prowadzących na wyższe poziomy i wspinających się po wysokich ścianach. Bogactwo roślinności mieniło się mnóstwem kolorów, nie tylko wieloma odcieniami zielonych liści, ale też wspaniałym indygo, topazem, szkarłatem, cynobrem i fioletem niezliczonych kwiatów.

Tak, to było ładne miejsce. Z gabinetu Akbalika, położonego wysoko w portowym urzędzie celnym, rozciągał się zachwycający widok na Zatokę Stoien, która w tym miejscu była bladoniebieska i gładka jak szkło. Widział na setki mil w dal, ku północy, aż do miejsca, gdzie horyzont przecinał krzywiznę olbrzymiej planety i zamieniał wszystko w cienką, szarą linię. Mimo to Akbalik pragnął wrócić do domu. Zaczął układać w głowie nową wiadomość do Septacha Melayna:

„Drogi przyjacielu i czcigodny Wysoki Doradco! Od czasu, gdy z Twego polecenia przybyłem do miasta Stoien minęły cztery miesiące i przez cały ten czas pracowicie i z należytą dokładnością wykonywałem zadanie...”.

- Książę Akbaliku? Proszę wybaczyć, książę...

Był to Odrian Kestivaunt, Vroon, który był jego sekretarzem. Niewielki stwór stał przy drzwiach, jak zawsze nie mogąc ustać w miejscu, a jego macki zwijały się i rozwijały w sposób, który Akbalik nauczył się znosić. Niósł kolejny plik papierów.

- Więcej lektury, Kestivaunt? - spytał Akbalik z kwaśną miną.

- Przejrzałem je, książkę Akbaliku. I znalazłem w nich coś interesującego. Pochodzą w frachtowców, które w ciągu ostatnich dwóch tygodni wypłynęły z różnych portów na Zimroel. Jeśli mi wolno, książkę...

Kestivaunt przyniósł papiery na biurko i zaczął je rozkładać, jakby były kartami do pasjansa. Były to protokoły ładunkowe, jak zauważył Akbalik, długie listy towarów przeplatane komentarzami jakiegoś kapitana na temat stanu, w jakim znajdowały się w momencie załadunku na pokład, jakości ich opakowania i tym podobnych rzeczy.

Akbalik zaglądał przez ramię Vroona, kiedy ten rozkładał kolejne kartki. Tyle kwintali miodowego lotosu, tyle a tyle worków gumy mandratowej, tyle funtów orokhalku, taka liczba toporów ciesielskich, szydeł, trzonków do siekier, kulbak, młotów...

- Czy to naprawdę konieczne, Kestivaunt?

- Suplikuję, mój książę, jeszcze chwilka. Już. A teraz, zwracam waszą uwagę na siódmą linijkę pierwszej deklaracji. Widzicie, co tam wpisano?

- „Anyvug ystyn ripliwich raditix” - przeczytał zdumiony Akbalik.

- Tak, widzę. Ale nie rozumiem. Co to, czy to po vroońsku?

- Bardziej przypomina skandarski, rzekłbym, ale nie jest zbyt

podobne. Sądzę, że nie jest to żaden z języków używanych na Majipoorze. Teraz dalej, panie, jeśli łaska, dziesiąta linia drugiej deklaracji.

- „Emijikuk gybpj jassin ys”. Co to za bełkot?!

- Może zaszyfrowana wiadomość? Spójrzcie tu, panie, trzynasta linijka następnego dokumentu: „Kesixm richtip jumlee ayviy”. I szesnasta następnego: „Mursez ebunit yumus ghok”. I dziewiętnasta linijka kolejnego. - Vroon w podnieceniu przekładał papiery, podsuwając je pod nos Akbalika. - Ten bełkot przeplata się z normalnymi wpisami w trzylinijkowych interwałach. Sądzę, że brakuje nam pierwszych dwóch linijek wiadomości, czyli pierwszego i czwartego wiersza dokumentów, których tu nie mamy. Jest tego więcej, zebrałem już czterdzieści linijek. Cóż może to być, jeśli nie szyfr?

- Zaiste. To brzmi zbyt dziwnie, żeby mogło być językiem. Ale są szyfry i szyfry - powiedział Akbalik. - To może być tylko sposób jakiegoś kupca na ukrycie sekretów przed konkurencją. - Spojrzał na jedną z kartek. „Zinucot takttamt ynifogi nhogtua”. A jeśli to znaczyło „w przyszłym tygodniu wyrusza dziesięć tysięcy żołnierzy”? Poczul nagły dreszcz podniecenia. - Z drugiej strony, może to być sposób porozumienia Dantiryi Sambaila i jego sojuszników.

- Owszem - przytaknął Vroon - to może być właśnie to. A szyfr może łatwo złamać ktoś, kto jest ekspertem w tej dziedzinie.

- Mówisz może o sobie? - Akbalik wiedział, że Vroonowie mieli rozliczne zdolności wróżbiarskie.

Macki Vroona zaczęły więc się w geście zaprzeczenia.

- Nie ja, panie. To ponad moje możliwości. Ale mój znajomy, Givilan-Klostrin...

- To imię Su-Suherisa, prawda?

- Tak jest. To mąż cieszący się doskonałą opinią, dla którego ten tekst nie stanowiłby żadnej trudności.

- Mieszka w Stoien?

- W Treymone, panie, mieście domów na drzewach. To tylko kilka dni drogi wzdłuż wybrzeża stąd...

- Wiem, gdzie jest Treymone, dziękuję. - Akbalik zamyślił się na chwilę. Przez miesiące pracy z Odrianem Kestivauntem nauczył się mu ufać, ale angażowanie w tak delikatną sprawę obcego Su-Suherisa było zupełnie inną kwestią. Najpierw trzeba będzie przeprowadzić małe śledztwo. Dwugłowi sprawiali wrażenie, jakby wszyscy znali się wzajemnie. Postanowił zapytać Maundiganda-Klimda o zdanie, zanim zatrudni Givilana-Klostrina.

„Geenux taquidu eckibin oeciss. Emajiqk juqivu xhtkip ss”.

Akbalik przycisnął palce do bolących skroni. Zastanawiał się, czy ten bełkot skrywał tajne plany Dantiryi Sambaila. A może był to tylko tajny język jakiegoś podejrzanego, skandarskiego marynarza?

Zudlikuk. Zygmir. Kasiski. Fustus.

Na Zamek wysłano pytanie do maga, Maundiganda-Klimda. W odpowiednim czasie przyszła jego odpowiedź. Twierdził, że dobrze zna Givilana-Klostrina i że księżę mógł mu całkowicie zaufać. „Ręczę za niego jak za własnego brata”, pisał Maundigand-Klimd.

Akbalik uznał, że to wystarczająca rekomendacja. Wezwał Odriana Kestivaunta.

- Przekaż twojemu znajomemu Su-Suherisowi - powiedział - żeby jak najszybciej przybył do miasta Stoien.

*

Mimo wszystko widok Givilana-Klostrina sprawił, że Akbalik zważył w słuszność słów Maundiganda-Klimda.

Sam Maundigand-Klimd, którego Akbalik darzył najwyższym szacunkiem, nosił się z godnością i odznaczał dostojnością, podkreślonym jeszcze klasztorną wręcz skromnością ubioru. Na Zamku, gusta dotyczące stroju wahały się od krzykliwie barwnych po szokująco oryginalne, ale Maundigand-Klimd cenił sobie przede wszystkim surowe szaty z czarnej wełny lub ciemnozielonego lnu, ozdobione tylko czerwoną szarfą, służącą za akcent kolorystyczny.

Givilan-Klostrin zaś przybył do gabinetu Akbalika odziany w groteskowy strój z wyszywanego złotem brokatu pozszywanego z kwadratami z jedwabiu w kilkunastu gryzących się kolorach, zaś na dwóch wydłużonych głowach nosił wysokie kapelusze o pięciu czubkach, którymi prawie zamiatał sufit. Na każdym kapeluszu wymalowano pół tuzina wielkich, okrągłych oczu o krzaczastych brwiach, po trzy z przodu i z tyłu. Na ramionach wróża były sztywne epolety, wysokie na osiem czy dziesięć cali i także pomalowane w oczy. Zwieszały się z nich cienkie, szkarłatne proporczyki.

Zamierzony efekt miał zapewne wzbudzać podziw, jednak Akbalik uznał go za absurdalny i komiczny. Taki strój mógł nosić fakir albo

zebrzący dziad, za kilka koron przepowiadający przyszłość na targowisku. W dodatku Su-Suheris miał straszego zezę, lewe oko jego prawej głowy patrzyło w stronę prawego oka lewej głowy w sposób, który sprawiał, że w Akbaliku skręcały się wnętrzności.

Ręczę za niego jakby był moim bratem, pisał Maundigand-Klimd. Akbalik wzdrygnął się. Nie chciałby mieć brata podobnego do Givilana-Klostrina, ale z drugiej strony nie był Su-Suherisem.

- Jestem domem Thungmy - oświadczył Givilan-Klostrin uroczystym tonem i czekał.

Vroon już to wytłumaczył. Thungma był niewidzialnym duchem czy demonem, z którym kontaktował się Givilan-Klostrin w wieszczym transie, był więc jego „domem”, gdy go wzywał.

Su-Suheris, stojący na szeroko rozstawionych nogach i ze skrzyżowanymi ramionami, zdawał się wypełniać sobą cały pokój. Patrzył na Akbalika lodowato.

- Najpierw zapłata - szepnął Odrian Kestivaunt. - To ogromnie ważne.

- Tak, rozumiem. Powiedz mi, Ghilanie-Klostrinie, ile będzie kosztować twoja porada? - zapytał Akbalik, który od prób nawiązania kontaktu wzrokowego z magiem miał prawie mdłości.

- Dwadzieścia rojali - powiedziała natychmiast lewa głowa. Jej głos był głęboki i dudniący.

Była to niedorzeczna suma. Większość ludzi zarabiała mniej w ciągu roku. Godzinna wizyta u tłumacza snów kosztowała parę koron, czyli stukrotnie mniej. Akbalik już zaczął protestować, ale drzenie

macek Vroona i jego szeptane „panie, panie!” sprawiły, że zamilkł. Wynagrodzenie maga, jak kilkakrotnie mówił mu Odrian Kestivaunt, było istotną częścią całego procesu i targowanie się mogło zniszczyć przedsięwzięcie.

Cóż, te dwadzieścia rojali i tak nie należało do niego. Akbalik wyjął z sakiewki i położył na stole cztery lśniące monety pięciorojalowe, jedne z nowych, przedstawiających Confalume’a w szatach Pontifexa i przystojny profil Prestimiona z drugiej strony. Givilan-Klostrin pochwycił je zręcznie i przycisnął na chwilę do zewnętrznych kości policzkowych, jakby upewniając się, że są prawdziwe.

- Gdzie są dokumenty? - zapytał mag.

Kestivaunt przygotował długi na stronę zapis zaszyfrowanych linijek, które znalazł w protokołach towarowych. Akbalik podał go Su-Suherisowi. Ten potrząsnął naraz obiema głowami - co wywołało u Akbalika zawroty głowy - i zażądał oryginałów. Księżę spojrzał na Kestivaunta, który wybiegł z pokoju, w podnieceniu machając na wszystkie strony mackami, by po chwili wrócić w papierami. Givilan-Klostrin wziął je od niego. Akbalik ledwo powstrzymał się od śmiechu na widok wysokiego na siedem stóp Su-Suherisa, który z całą powagą pochylał się nad mającym ledwo osiemnaście cali Vroonem.

Givilan-Klostrin otworzył skrzynkę, którą ze sobą przyniósł i zaczął ustawiać swoje przyrządy do zaklinania na ławie. Akbalika to zaskoczyło, bo widział, jak Maundigand-Klimd wróżył bez użycia jakichkolwiek przedmiotów i często wyrażał wręcz pogardę dla takich

urządzeń. Może to tylko część przedstawienia, uzasadnienie astronomicznej ceny. Patrzył, jak Givilan-Klostrin wyjął i zapalił pięć stożkowatych kadzideł, które natychmiast wypełniły pokój chmurami dusząco słodkiego dymu. Następnie mag wyciągnął niewielką, metalową kopułę i dotknął wybrzuszenia na jej czubku, sprawiając, że zaczęła wydawać z siebie rytmiczne bicie, podobne do dźwięku dzwonu. Drugie takie urządzenie, postawione obok pierwszego, wydawało głęboki, niski dźwięk, podobny do dalekiego zaśpiewu, trzecie zaś dziwaczny, wibrujący ton, jakby ktoś dmuchał w stożkowate muszle.

Givilan-Klostrin podał czwartą kopułę Akbalikowi, a piątą Vroonowi.

- Dotknięcie ich włączników - powiedział poważnie - we właściwym momencie. Będziecie wiedzieć, gdy nadejdzie.

Akbalik zaczął czuć się niezręcznie. Mdlący zapach kadzidła, hipnotyczna muzyka dzwonów i muszli, śpiew - nagle zaczęło go to przerastać.

Nie było odwrotu. Proces - bardzo kosztowny proces - już trwał.

Givilan-Klostrin trzymał stos protokołów towarowych Kestivaunta w palcach wyciągniętych jedna nad drugą dłoni. Czworo oczu miał zamknięte. Z obu jego gardeł wydobywał się dziwny, niepokojący odgłos, jakby bulgot, którego powtarzający się rytm i upiorne harmonie w jakiś sposób zgrywały się z odległym śpiewem. Wyglądał niemal jakby spał. Potem, powoli, zaczął chwiać się, a nogi mu drżały. Wychylił się daleko w tył, pochylając głowy tak, że skierował je na

podłogę za nim, potem wyprostował się, pochylił znowu, i jeszcze raz, i jeszcze...

Wtem Odrian Kestivaunt, nie otrzymawszy żadnej wyraźnej wskazówki, dotknął metalowego czubka małej, metalowej kopułki, którą trzymał w dłoniach. Dobiegł z niej donośny dźwięk trąbek, który rozniósł się po pokoju z siłą zdolną chyba wyginać ściany. Akbalik poczuł, że jakaś wewnętrzna siła nakazuje mu nacisnąć przycisk na jego własnej kopułce, która, gdy to uczynił, wydała z siebie niesamowite, ogłuszające odgłosy zderzanych talerzy. Zgiełk wokół nich był porażający. Akbalik czuł się, jakby nagle przeniósł się w sam środek złożonej z tysiąca instrumentów orkiestry opery w Ni-moya.

Po twarzach Givilana-Klostrina spływały strugi potu. Akbalik nigdy wcześniej nie widział, żeby Su-Suheris się pocił, myślał wręcz, że nie są do tego zdolni. Oddech maga zamienił się w wysilone dyszenie. Z nosa i ust płynęła mu krew. Mocno przyciskał dokumenty do piersi.

Kiedy dźwięki, dochodzące z pięciu kopulek zaczęły przybierać na sile, Givilan-Klostrin jął zataczać się jak pijany po pokoju, z każdym krokiem odrzucając głowy do tyłu i unosząc kolana prawie do piersi. Powarkiwał jak dzika bestia. Wpadał na stół i krzesła, i chyba nie zdawał sobie z tego sprawy. Kiedy jedno krzesło wyraźnie go zdenerwowało, bo wpadł na nie trzy razy z rzędu, uniósł stopę i kopnął je z tak zdumiewającą siłą, że połamał je w drzazgi. Był to niezwykle wyczyn. Akbalik pomyślał, że ma przed sobą kogoś naprawdę opętanego.

Pokój całkowicie wypełniały dźwięki trąbek, dzwonów, gongów. Givilan-Klostrin zatrzymał się przy oknie i stał tam, wychylony w przód, oddychając ciężko i trzęsąc się konwulsyjnie. Kiwał się na boki, unosił jedną stopę, delikatnie stawiał ją na ziemi, unosił drugą. Jego głowy odskakiwały od siebie, po czym zbliżały się do siebie gwałtownie, prawie się zderzając, i znów się oddalały. Miał wydęte policzki, wywiesił oba języki, wydawał dziwne dźwięki, jak miech. Na chwilę otworzył oczy, które kręciły się w oczodołach.

Trwało to i trwało, minuta, dwie, trzy, pięć. Rytm muzyki narastał i tworzył niesamowite napięcie, grożące w każdej chwili wybuchem. Czy ten straszny atak kiedyś się skończy?

Nagle zapadła głucha cisza. Pięć metalowych kopulek jednocześnie przestało wydawać dźwięki. Givilan-Klostrin wyglądał na pogrążonego w głębokim transie.

Przestał się trząść, kołysać i podnosić stopy. Stał w miejscu jak posąg, całkowicie nieruchomo. Jego prawa głowa zwisała bezwładnie, jakby złamała się podtrzymująca ją szyja, za to lewa patrzyła wprost na Akbalika. Przez ponad minutę trwało to zawieszenie. Potem z prawej głowy zaczął dochodzić niski, jękliwy, nieartykułowany dźwięk, niczym dudniące zawrodo, które wznosiło się i opadało w obrębie pięciu czy sześciu oktaw, powoli przechodząc w serie pozbawionych akcentowania, sylabicznych fraz, równie niezrozumiałych dla Akbalika, jak zaszyfrowane linijki deklaracji towarowych.

Po chwili wyprostowana, lewa głowa także przemówiła. Powoli

zaczęła tłumaczyć wieszczbę, którą mówiła głowa prawa. Wypowiadała słowa wyraźnie, dokładnie i zrozumiale.

- Człowiek, którego szukacie - powiedziała lewa głowa Givilana-Klostrina - znajduje się w tej prowincji. To wiadomości, które wysyła ze swojego tajnego obozu w południowej części prowincji Stoien towarzyszom w innych krainach. Spędził wiele miesięcy na budowaniu armii w odległym miejscu, wkrótce zgromadzi tu swoje siły. Pragnie obalić króla świata.

Wypowiedziawszy ostatnie słowa, Su-Suheris upadł wyczerpany na podłogę, lądując ze straszliwym hukiem u stóp Akbalika. Przez dłuższą chwilę leżał twarzą do ziemi, drżąc. Potem podniósł po kolei obie głowy i patrzył na Akbalika oszołomionym, niepewnym spojrzeniem, jakby nie wiedział, gdzie się znajduje i kim jest stojący przed nim człowiek.

- Czy to koniec? - zapytał Akbalik.

Su-Suheris słabo skinął głową.

- Dobrze. - Akbalik wykonał ręką ostry gest, jakby coś ucinał. - Zapomnisz wszystko, o czym tu dziś mówiono.

Na obu twarzach Givilana-Klostrina malowało się zdumienie. Słabym głosem powiedział:

- Czy cokolwiek zostało powiedziane? Przez kogo? Nic nie pamiętam, mój panie. Nic. Dom Thungmy jest pusty.

- To prawda - wymruczał Vroon. - Nie zachowują żadnych wspomnień swoich transów. Jak mówiłem, są tylko przekaźnikami tego, co postanowi odkryć demon.

- Mam nadzieję, że naprawdę tak jest - powiedział Akbalik. - Zabierz go stąd jak najprędzej.

Sam czuł się wstrząśnięty i słaby, jakby to on, a nie Su-Suheris przeżył spazmy i konwulsje tego dziwnego ataku. Głowa bolała go od uporczywego dźwięku gongów i trąbek. W mózgu zaś rozbrzmiewały mu nieustannie powolne, dokładne, zdumiewające słowa wieszczki: człowiek, którego szukacie, jest tutaj. Spędził wiele miesięcy, zbierając armię w odległym miejscu. Jego pragnieniem jest obalić króla świata.

*

Zwyczajowa droga z Góry Zamkowej do portu Alaisor na zachodnim wybrzeżu Alhanroelu prowadziła rzeką: w dół zbiegała Góra lataczem przez Khresm i Rennosk do Gimkandale, skąd brała początek rzeka Uivendak, później łodzią przez Miasta Zbiega Stipool i Furbile i do podnóży Góry przez Estotilaup i Vilimong aż na centralną równinę kontynentu. Uivendak, która po tysiącu mil zmieniała nazwę na Clairn, a kolejne tysiąc mil dalej stawała się Haksim, pod koniec łączyła się z potężną Iyann, która wypływała z wilgotnej, zielonej krainy na północny zachód od pustyni Valmambra i spotykała Haksim w miejscu zwanym, nie wiedzieć czemu, Trzy Rzeki, choć łączyły się tutaj tylko dwie. Od tego punktu aż do wybrzeża połączone rzeki zwano Iyann.

Ostatni fragment Iyann był niegdyś znany z powolności i podróżujący na zachód musieli cierpliwie znosić niespieszną końcówkę podróży, ale od czasu przerwania tamy Mavestoi, leżącej w

górze rzeki od miejsca, gdzie wpadała do niej Haksim, wody Iyann płynęły dużo szybciej niż w poprzednich stuleciach. Łódź, która wiozła Prestimiona i Varaile poruszała się z prędkością, która nawet by mu się podobała, gdyby nie przypominała o tragicznym przerwaniu tamy.

Od wybrzeża dzieliło ich już tylko parę dni drogi. Szybko przemieszczali się przez ciepłe, zielone, żyzne tereny rolnicze, których mieszkańcy stali przy brzegach, machając, wiwatując i wykrzykując imię Prestimiona, a czasami również Varaile, gdy obok przepływał statek Koronała. Prestimion i Varaile stali obok siebie przy burcie, odpowiadając na powitania machaniem.

Varaile wydawał się być zdumiona siłą i głębią uczucia, które aż biło od tych ludzi.

- Posłuchaj, Prestimionie. Posłuchaj! Można aż poczuć ich miłość do ciebie!

- Raczej do urzędu Koronała. Niewiele ma to wspólnego ze mną. Nie mieli czasu, by dowiedzieć się o mnie nic ponad fakt, że Lord Confalume wybrał mnie swoim następcą, więc muszę być w porządku.

- Sądzę, że chodzi o coś więcej. Jest nowy Koronał po tylu latach rządów Confalume'a. Wszyscy go kochali i podziwiali, to prawda, ale rządził tak długo, że wszyscy zaczęli traktować go jak coś oczywistego, niczym słońce czy księżyc. Teraz na Zamku siedzi nowy człowiek i widzą w nim głos młodości, nadzieję na przyszłość, kogoś świeżego i pełnego sił, który będzie budował na osiągnięciach

Lorda Confalume'a i poprowadzi Majipoor w nową, wspaniałą epokę.

- Oby mieli rację - powiedział Prestimion.

Przez chwilę patrzyli na zachód, gdzie złotozielona kula słońca powoli chowała się za horyzontem. Ziemia tutaj była płaska, a rzeka bardzo szeroka. Na brzegu widziało się teraz mniej ludzi.

Wtedy Varaile powiedziała:

- Powiedz mi, Prestimionie. Czy prawo pozwala, aby syn Koronala został jego sukcesorem?

To pytanie go wystraszyło.

- Co? O czym ty mówisz, Varaile? - powiedział ostro, odwracając się do niej i mierząc ją spojrzeniem tak wściekłym, że odsunęła się od niego, lekko wystraszona.

- Nic, nic! Tylko się zastanawiałam...

- Nie zastanawiaj się więc. To się nie stanie. Nie stało się w przeszłości, nie wydarzy się w przyszłości. Na Majipoorze mamy monarchię z nadania, nie dziedziczenia. Mogę ci jako dowód pokazać zapisy historyczne sięgające wielu lat wstecz.

- Nie ma takiej potrzeby. Wierzę ci - wciąż była zaniepokojona gwałtownością jego reakcji. - Ale dlaczego tak się rozzłościłeś, Prestimionie? Zadałam ci zwykłe pytanie.

- Muszę przyznać, że bardzo dziwaczne.

- Tak? Nie dorastałam na Zamku, jak wiesz. Nie znam się na prawie konstytucyjnym. Wiem tylko, że nowy Koronal zazwyczaj nie jest synem poprzedniego. A potem zaczęłam się zastanawiać, co by było, gdyby...

Prestimion zrozumiał, że jej pytanie było całkowicie niewinne. Nie miała skąd dowiedzieć się o Korsibarze i jego tragicznej w skutkach rewolcie. Próbował się uspokoić. Po prostu go zaskoczyła, to wszystko, zdawało mu się, że próbuje dotknąć rzeczy delikatnych, jeśli nie zakazanych, ale w rzeczywistości nie miała na myśli nic złego.

- Cóż - powiedziała - jeśli on nie może zostać Koronalem, ani księciem Muldemar, ponieważ Abrigant będzie miał kiedyś własne dzieci i to one odziedziczą ten tytuł, to pewnie zostanie księciem czegoś innego.

- On? - zdziwił się Prestimion niezbyt mądrze.

- O, tak - powiedziała Varaile, głaszcząc się po brzuchu. - To niewątpliwie on, Prestimionie. Wiem to już od paru tygodni. Mimo to poprosiłam Maundiganda-Klimda o wróżbę i potwierdził.

Prestimion zagapił się na nią. Nagle wszystko nabrało sensu.

- Varaile?

- Wyglądasz na bardzo zdziwionego, Prestimionie! Jakby to stało się po raz pierwszy w historii świata.

- Dla mnie dzieje się pierwszy raz. Ale nie o to chodzi, Varaile. Powiedziałaś Maundigandowi-Klimdowi kilka tygodni temu, a mi nie? Pewnie jeszcze Septachowi Melaynowi. I Gialaurysowi, i Nilgirowi Sumanandowi, i twoim służkom, i Skandarowi, który zamiata dziedziniec przed...

- Przestań, Prestimionie! Chcesz mi powiedzieć, że się nie domyśliłeś?

Potrząsnął głową.

- W ogóle nie przyszło mi to do głowy.

- Sądzę więc, że powinieneś bardziej uważać.

- A ty nie powinnaś tyle zwlekać z przekazaniem mi takich wiadomości.

- Czekałam aż do tej chwili, ponieważ doradził mi to Maundigand-Klimd. Postawił mi horoskop i powiedział, że lepiej dla dziecka będzie, jeśli nie powiem ci o nim, póki nie będziemy na zachód od dziewiętnastego południka. A teraz jesteśmy, prawda, Prestimionie? Mówił, że to tam, gdzie ziemia staje się płaska, a rzeka bardzo szeroka.

- Nie jestem kapitanem tego statku, Varaile. Nie śledzę szerokości geograficznej.

- Wydaje mi się, że chodzi raczej o długość.

- Szerokość... długość... co to za różnica? - zastanawiał się, czy faktycznie minęli dziewiętnasty południk. Pewnie tak. Ale co tam, jaka to różnica, osiemnasty południk, dziewiętnasty czy dwusetny? Powinna mu była dawno powiedzieć. Wyglądało jednak na to, że jego przeznaczeniem było na każdym kroku dawać się oplatać jakimiś czarami. W głowie pulsował mu gniew. - Czarnoksiężnicy! Magowie! To oni rządzą światem, nie ja! To skandal, Varaile, kompletny skandal, że taka wiadomość krąży po Zamku od tygodni, a ukrywa się ją przede mną tylko dlatego... dlatego, że jakiś mag powiedział ci... - aż jąkał się z oburzenia. Patrzyła na niego szeroko otwartymi ze zdumienia oczami. Uśmiechnęła się, po czym zachichotała.

Wtedy roześmiał się też Prestimion. Wiedział, że zachowuje się bardzo głupio.

- Och, Varaile... Varaile... Tak bardzo cię kocham, Varaile! - objął ją i przycisnął do siebie. Po długiej chwili wypuścił ją, uśmiechnął się i pocałował ją w czubek nosa. - I nie, Varaile, on nie może zostać Koronalem po mnie i nawet o tym więcej nie myśl. Zrozumiano?

- Tylko się zastanawiałam, to wszystko - powiedziała.

W innych okolicznościach Prestimion powinien spędzić przynajmniej tydzień w Alaisor. Jako Koronał byłby niewątpliwie gościem honorowym na bankiecie, wydanym przez burmistrza Hilgimura w sławnej Sali Topazowej i odbyłby zwyczajową wizytę w świątyni Pani na Wzgórzach Alaisor. A gdyby wciąż był księciem Muldemar, spotkałby się z wielkimi handlarzami wina, z którymi jego rodzina była powiązana od wielu pokoleń, i tak dalej.

Ale to były szczególne okoliczności. Musiał szybko dostać się na Wyspę. Z tego powodu, chociaż spotykał się z burmistrzem, miało to trwać ledwie godzinę, może dwie. Zrezygnował z odwiedzenia świątyni na wzgórzu, ponieważ wkrótce miał spotkać Panią osobiście. A co się tyczyło handlarzy winem, nie mieli już dla niego znaczenia, ponieważ był Koronalem i nie zajmował się rodzinnymi interesami. Mógł sobie pozwolić tylko na jedną noc w Alaisor, potem ruszał w dalszą drogę.

Burmistrz przygotował dla Prestimiona i Varaile okazały, czteropiętrowy apartament, w którym mogły mieszkać tylko Potęgi Królestwa, położony na szczycie trzydziestopiętrowej wieży Alaisorskiej Kompanii Handlowej. Z okien widać było całe miasto. Maundigand-Klimd i pozostali członkowie świty zostali rozmieszczeni w mniejszych, ale także luksusowych kwaterach w pobliżu.

Było to miasto o istic imperialnym splendorze, największe na zachodnim wybrzeżu. Równolegle do brzegu biegła tutaj ściana wysokich klifów z czarnego granitu. Iyann, płynąc do morza, wycięła w nich dawno temu szeroki kanion, a u ich stóp Alaisor rozwijał się jak ogromny wachlarz, sięgając daleko wzdłuż brzegów na północ i południe. Zatoka, utworzona ujściem Iyann tworzyła wspaniały port. Z centrum miasta do jego południowych i północnych krańców biegły szerokie bulwary, zbiegające się nad wodą. W punkcie ich spotkania stało sześć gigantycznych obelisków z czarnego kamienia, znaczących miejsce, w którym Stiamot, zwycięzca Metamorfów, został siedem tysięcy lat temu pochowany. Prestimion pokazał ten pomnik Varaile z zachodniego okna ich mieszkania, skąd rozciągał się widok na port.

Historia mówiła, że Stiamot, kiedy został Pontifexem, w bardzo podeszłym wieku postanowił odbyć pielgrzymkę na Zimroel, do Danipiur, przywódczyni Metamorfów, i błagać ją o przebaczenie za podbój. Jednak jego podróż zakończyła się w Alaisor, gdzie zachorował i nie mógł podróżować dalej. Kiedy umierał, patrząc w morze, poprosił, by pochować jego ciało tutaj, zamiast zabierać je o tysiące mil na wschód, do Labiryntu.

- A świątynia Pani? - zapytała Varaile. - Gdzie ona jest?

Znajdowali się na najwyższym piętrze budynku. Prestimion zaprowadził Varaile do ogromnego, łukowego okna wychodzącego na wschód i na ciemną, pionową ścianę klifu. O tej porze dnia zachodzące słońce nadawało im brązowozielony połysk.

- Tam - powiedział. - Zaraz pod krawędzią. Widzisz?

- Tak. Przypomina białe oko patrzące na nas z czoła wzgórza. Byłeś tam kiedyś, Prestimionie?

- Tak, raz. Byłem w Zimroelu tuzin lat temu i po drodze spędziłem kilka dni w Alaisor, i poszliśmy tam z Septachem Melaynem. To wspaniały budynek, delikatny łuk z białego marmuru, jednopiętrowy, który zdaje się zwisać z klifu. Przed sobą widzisz całe miasto, rozłożone jak mapa, a dalej morze, niemal do Wyspy.

- To brzmi wspaniale. Nie moglibyśmy udać się tam jutro, choć na chwilkę?

Prestimion uśmiechnął się.

- Koronal nie może nigdzie pójść na chwilkę. To drugie najświętsze miejsce w całym Majipoorze. Gdybym w ogóle tam poszedł, musiałbym zostać przynajmniej na całą noc i spotkać się z Hierarchinią i jej akolitykami. Odprawiano by ceremonie i tak dalej... no, wiesz, jak to jest, Varaile. Wszystko, co robię, ma duże znaczenie symboliczne. A statek na Wyspę nie może czekać, wieją sprzyjające wiatry i musimy wypływać jutro. Kiedy wiatr się odwróci, możemy być zmuszeni czekać nawet wiele miesięcy, a tego nie mogę zaryzykować. Możesz odwiedzić świątynię, gdy będziemy w Alaisor następnym razem.

- A kiedy to się stanie? Prestimionie, świat jest taki wielki! Czy mamy dość czasu, by gdziekolwiek być dwa razy?

- Za cztery lub pięć lat, kiedy sprawy królestwa się uspokoją, powinienem odbyć wielką procesję, a wtedy pojedziemy wszędzie, Varaile. Nawet do Zimroelu, do Piliplok, Ni-moya, Dulorn, Pidruid,

Tilomon, Narabalu. Wtedy znowu będziemy przejeżdżać przez Alaisor i zostaniemy trochę dłużej. Obiecuję ci to. Wszystko, czego nie zobaczymy podczas tej podróży, nadrobimy w następnej.

- Mówisz „my”. Czy żona Koronala uczestniczy z nim w wielkim objeździe? Kiedy Lord Confalume przybył do Stee podczas ostatniej procesji, nie było z nim jego małżonki.

- Inny Koronal. Inna żona. Ty będziesz u mojego boku, gdziekolwiek pojedę.

- Czy to obietnica?

- Nawet przysięga. Przysięgam na wąsik Lorda Stiamota, tu, w cieniu jego grobu.

Pochyliła się i delikatnie go pocałowała.

- Tak więc postanowione.

*

Nigdy nie był na Wyspie Snu. Właściwie, kiedy jeszcze był księciem na Zamku, nie przyszło mu do głowy, żeby kiedykolwiek tam pojechać. Nie jeździło się na Wyspę tak po prostu, chyba że chciało się przeżyć rytualne oczyszczenie. Nawet Koronalowie przybywali tam tylko w czasie wielkiej procesji, a na to było jeszcze za wcześnie.

Teraz jednak Wyspa pojawiła się przed nim na horyzoncie jak cudowna, biała ściana, a widok ten wywołał dziwne podniecenie.

- Zaskoczy was jej ogrom - powtarzali w kółko ci, którzy kiedykolwiek na niej byli. Z powodu tych ostrzeżeń Prestimion spodziewał się, że wcale nie będzie zaskoczony. Zawsze myślał, że

wyspa to połać lądu całkowicie otoczona wodą i że wyspy są zazwyczaj niewielkie. Wszyscy mówili, że Wyspa Snu jest duża, ale on wciąż sądził, że jej granice będą zawsze widoczne, jak zagięta linia przechodząca w ocean. W rzeczywistości jednak Wyspa okazała się być olbrzymią, tak dużą, że w każdym innym świecie nazwano by ją kontynentem. Widziana z morza z pewnością była wielka jak kontynent. Tylko w porównaniu z Alhanroelem, Zimroelem i Suvraelem, oficjalnymi kontynentami Majipooru, można było określać Wyspę tak niepozornym mianem.

Jedna z pięknych historii, które o niej opowiadano, mówiła, że w starożytnych czasach - miliony lat temu, jeszcze zanim na Majipoorze pojawili się chociażby Zmiennokształtni - Wyspa leżała głęboko pod powierzchnią morza, ale straszna konwulsja wnętrza ziemi wyrzuciła ją w górę w ciągu jednej doby. Dlatego to miejsce było tak uświęcone: to Bogini wyniosła je z wód.

Nie sposób było wątpić w podmorski rodowód Wyspy. Świadczył o nim fakt, że cała była pojedynczym, gigantycznym blokiem białej kredy, szerokim na kilkaset mil i wysokim na ponad pół mili, składającym się z kolistych warstw umieszczonych jedna na drugiej, a kreda jest substancją, która powstaje ze skorupki małych morskich żyjątek.

Te gigantyczne, kredowe szanice lśniły teraz w blasku słońca porażającą bielą, wypełniając morze przed nimi jak nieprzekraczalna bariera. Varaile i Prestimion podziwiali je bez ruchu.

- Wydaje mi się, że widzę stąd dwa z trzech poziomów, może cień

trzeciego - powiedział Prestimion. - Ten największy, podstawa wyspy, jest zwana Pierwszym Tarasem. Na jego krawędzi rośnie las, setki stóp nad poziomem morza. Widzisz? Tam zaczyna się Drugi Taras, o średnicy sporo mniejszej niż Pierwszy. Jeśli spojrzysz w górę wzdłuż białej ściany, zobaczysz długą linię zieleni. Zdaje mi się, że to granica między Drugim i Pierwszym Tarasem. Trzeci Taras biegnie w głąbi lądu, setki mil od brzegu. Stąd go nie widać, z wyjątkiem może zarysu jego wierzchołka. To Świątynia Wewnętrzna, miejsce pobytu Pani.

- Oszalamiające. Wiedziałam, że Wyspa jest z białego kamienia, ale nie myślałam, że będzie tak błyszczący! Czy udamy się na sam szczyt?

- Najpewniej tak. Pani rzadko schodzi, by spotkać się ze swoim synem. Jest w zwyczaju, że jej hierarchinie witają Koronała w porcie i zabierają go najpierw do miejsca noclegu, które jest tam dla niego przygotowane. Widzisz, on reprezentuje świat działania, hałas i męską gwałtowność i musi przejść pewne rytuały, nim wejdzie do kontemplacyjnej krainy swojej matki. Potem prowadzą go w górę, przez różne tarasy na trzech progach. W końcu dotrzemy do samej świątyni, położonej na szczycie, gdzie przyjmie nas moja matka.

Olbrzymie ściany wyspy wznosiły się z morza tak stromo, że istniały tylko dwa porty, oba trudno dostępne: Taleis po stronie Zimroelu i Numinor z tej, w kierunku Alhanroelu. Do nich, w określonych porach roku, przybywali pielgrzymi z kontynentów, czasem chcąc na rok czy dwa wycofać się ze zwykłego życia i oddać medytacjom i rytualnemu oczyszczeniu; inni pragnący dołączyć do

służby Pani i spędzić w niej resztę życia.

Chyży statek, który wiozł Prestimiona i Varaile z Alaisor był za duży, by wejść do portu Numinor. Zarzucił kotwicę daleko na morzu, a jej pasażerowie przesiedli się na oczekujący ich prom, którego pilot znał sekrety wąskiego kanału, pełnego silnych prądów i zdradzieckich raf, przez który docierało się do brzegu.

Trzy wysokie, starsze kobiety, noszące się z wielką godnością i powagą, odziane w identyczne złote szaty obrębione czerwienią, czekały na pomoście na przybicie promu. Były to hierarchinie Wyspy, przyboczne, które lady Therissa wysłała na powitanie gości.

- Polecono nam, by wpierym zabrać was - powiedziała najstarsza z nich - do domu, zwanego Siedem Ścian.

Prestimion się tego spodziewał. Siedem Ścian był tradycyjnym domem gościnnym dla nowo wybranych Koronałów. Okazał się być niskim, mocnym budynkiem z ciemnego kamienia, stojącym na szczycie klifu w porcie Numinor, nad samym morzem.

- Dlaczego nazywa się Siedem Ścian? - zapytała Varaile. - Na moje oko jest całkiem kwadratowy.

- Nikt tego nie wie - odparł Prestimion. - To miejsce jest tak stare, jak sam Zamek i prawda o jego przeszłości ginie wśród legend. Mówi się, że lady Thiin, matka Lorda Stiamota, zbudowała go, kiedy jej syn przybył na Wyspę, by podziękować za zwycięstwo w Wojnach Metamorfów. Ponoć w jego fundamentach leży pogrzebanych siedmiu wojowników, których lady Thiin zabiła własnoręcznie, kiedy broniła Wyspy przed Zmiennokształtnymi najeźdźcami. Ale fundamenty tego

budynku były często odnawiane i nikt nigdy nie znalazł tam szkieletów Metamorfów. Istnieje też teoria, że Lord Stiamot kazał zbudować na dziedzińcu siedmioboczną kaplicę, ale po niej też nie został żaden ślad. Słyszałem również, że nazwa tego miejsca to po prostu nasza wersja pradawnego słowa Zmiennokształtnych, oznaczającego „miejsce, gdzie skrobie się ryby”, ponieważ w dawnych czasach była tutaj wioska rybacka Metamorfów.

- Ta wersja najbardziej mi się podoba - powiedziała Varaile.

- Mnie również.

Musiał odbyć pewne rytuały oczyszczające, zanim mógł udać się wyżej i w głąb Wyspy, spędził więc kilka godzin, wykonując je pod okiem jednej z hierarchiń. Tej nocy on i Varaile spali w pięknej komnacie z widokiem na morze, otoczeni ciemnymi tkaninami w tak stare wzory, że Prestimion zastanawiał się, czy zostały osobiście wybrane przez Lorda Stiamota. Wyobrażał sobie, że duchy wszystkich królów z minionych lat, którzy spali w tym pokoju, stłoczą się wokół niego w nocy i będą opowiadać anegdoty z czasów ich panowania i dawać rady na temat jego własnych problemów, ale w rzeczywistości niemal natychmiast zapadł w najgłębszy ze snów i śnił spokojnie. Wyspa była miejscem łagodności i harmonii, żaden niepokój nie znajdował na niej miejsca.

O poranku rozpoczęli podróż w górę, do Pani. Varaile i Prestimion wyruszyli sami, bez tych, którzy rozpoczęli z nimi podróż z Zamku. Pozwolenia na wkroczenie na Trzeci Próg i do Wewnętrznej Świątyni z zasady nie udzielano tym, którzy nie przeszli przez pełen rytuał

inicjacyjny.

Hierarchini zaprowadziła ich do nadmorskiego terminala, skąd wyruszały małe latacze, na których mieli jechać w górę. Kiedy Prestimion patrzył w górę na białą ścianę Pierwszego Progu, unoszącą się praktycznie pionowo, nie miał pojęcia, jak można ją pokonać, ale pojazd ruszył w górę cicho i łatwo, bez trudu wspinając się coraz wyżej i osiadł na lądowisku na szczycie klifu jak gigantyczna gihorna ze złożonymi skrzydłami. Patrząc za siebie, widzieli port Numinor, wyglądający z góry jak zabawka, a dwa ramiona jego wysuniętego w morze, wygiętego falochronu jak delikatne patyczki.

- Jesteśmy na Tarasie Oszacowania, na który przybywają wszyscy nowicjusze. Tutaj są poddawani ocenie i decyduje się o ich przeznaczeniu - wyjaśniła jedna z hierarchiń. - Dalej, niedaleko w głąb lądu, jest Taras Rozpoczęcia, gdzie wstępne szkolenie przechodzą ci, którym pozwolono przejść dalej. Po pewnym czasie, czasem po dniach, tygodniach, czasem latach, przenoszą się na Taras Zwierciadeł, gdzie muszą skonfrontować się z samymi sobą i przygotować się na to, co leży dalej.

Na Prestimiona i Varaile czekał już nowy latacz, by wieźć ich dalej. Szybko zostawili za sobą różowy bruk Tarasu Oszacowania i podróżowali przez pozornie nieskończone pola uprawne Tarasu Rozpoczęcia, którego wejście znaczyły piramidy z ciemnoniebieskiego kamienia, wysokie na dziesięć stóp. Widzieli tu nowicjuszy zajętych podrzędnymi pracami na roli i innych, zebranych na świętych naukach w otwartych amfiteatrach. Nie mieli czasu

zatrzymać się i przyjrzeć się temu dokładniej, bo odległości tu były wielkie, a wielka, biała bryła Drugiego Progu górowała przed nimi, ale wciąż bardzo daleko.

Popołudnie chyliło się ku końcowi, gdy dotarli do podnóża klifu. Zatrzymali się na nocleg na trzecim tarasie progów, Tarasie Zwierciadeł, który leżał dokładnie pod wiszącą nad nimi ścianą. Na tym tarasie wszędzie powkopywano w ziemię płyty z polerowanego, czarnego kamienia, przez co gdziekolwiek się patrzyło, widziało się własne odbicie, zmienione i wzmocnione przez tajemnicze światło. Wczesnie rano ruszyli w dalszą drogę w górę i po raz drugi odbyli zapierającą dech w piersiach podróż małym lataczem na krawędź następnego Progu.

Stąd wciąż widzieli morze, ale było ono bardzo daleko, a Numinor znajdował się poza zasięgiem wzroku, schowany za krawędzią Wyspy. Ledwo widać było różową krawędź zewnętrznego tarasu Pierwszego Progu. Taras Zwierciadeł, znajdujący się dokładnie pod nimi, zdawał się świecić zielonkawym płomieniem w miejscach, gdzie na kamienne płyty padało światło słońca.

- Zewnętrzny taras, na którym teraz jesteśmy - powiedziała im hierarchini - to Taras Poświęcenia. Stąd przejdziemy na Taras Kwiatów, Taras Modlitwy, Taras Wyrzeczenia i Taras Wstąpienia.

Prestimion poczuł podziw, kiedy spoglądał na złożoność i bogactwo, z jakimi zbudowana była kraina Pani. Nigdy nie podejrzewał, że do wykonywania tutejszych czynności prowadzi tak skomplikowana droga.

Nie miał jednak czasu na zwlekanie i naukę. Wciąż musiał dotrzeć do najświętszego ze wszystkich sanktuariów, położonego nad Trzecim Progiem domu Pani.

Znaleźli się tam po kolejnym, pionowym podejździe. Prestimiona natychmiast uderzyła wyjątkowość powietrza w tym miejscu, setki stóp nad poziomem morza. Było chłodne i niezwykle czyste, tak że każdy szczegół Wyspy widać było jak przez szkło powiększające. Był tak oczarowany dziwami - światłem, niebem, drzewami - że nie słuchał hierarchini, wymieniającej nazwy tarasów, przez które jechali, póki nie powiedziała:

- To Taras Adoracji, brama do Wewnętrznej Świątyni.

Miejsce to było pełne niskich, pomalowanych na biało kamiennych budynków, stojących pośród niezwykle pięknych i tchnących spokojem ogrodów. Poinformowano ich, że Pani już czeka, ale najpierw musieli odświeżyć się po podróży. Akolici zaprowadzili ich do samotnego domku w ogrodzie pełnym wiekowych, rosochatych drzew i altanek porośniętych serpentynami pnączy, obsypanych mnóstwem niebieskich kwiatów o wielu płatkach. Nie mogli oprzeć się urokowi murowanej wanny, wyłożonej zmyślnie przeplatanyimi paskami w kolorze zieleni i turkus. Wykąpali się wspólnie, a Prestimion z uśmiechem przesunął dłonią po zaokrąglonym brzuchu Varaile. Później ubrali się w miękkie, białe szaty, które im pozostawiono, a służący przynieśli posiłek, złożony z pieczonej ryby i przepysznych, niebieskich jagód oraz schłodzonego, szarego wina, którego Prestimion nie rozpoznał. Dopiero potem jedna z hierarchiń,

które towarzyszyły im w podróży, powiedziała, że są wzywani przez Panią. Przypominało to sen. Cały proces był tak poważny i majestatyczny, że Prestimion z trudem uświadamiał sobie, że przybył z wizytą do własnej matki.

Teraz była więcej niż tylko jego matką. Była matką świata, matką boginią.

Do Wewnętrznej Świątyni, gdzie na nich czekała, dotarli po delikatnym łuku z białego kamienia, który prowadził nad stawem pełnym wielkookich, złotych ryb na zielone pole, gdzie wszystkie źdźbła trawy zdawały się mieć dokładnie tę samą długość. Po jego drugiej stronie stał niski, okrągły budynek o płaskim dachu, całkowicie pozbawiony ozdób, zbudowany z tego samego przejrzystego, białego kamienia, co mostek. Miał osiem wąskich skrzydeł, równomiernie rozmieszczonych, przypominających ramiona gwiazdy.

Hierarchini wskazała tę rotundę.

- Wejdźcie, proszę.

*

Prosty pokój pośrodku rotundy był ośmiokątną komnatą z białego marmuru, bez żadnych mebli. W jego centrum znajdował się basen, również ośmiokątny. Stała przy nim lady Therissa, wyciągając do nich ręce w powitalnym geście.

- Prestimion. Varaile.

Jak zawsze zdawała się cudownie młoda, ciemnowłosa, pełna wdzięku i o gładkiej skórze. Niektórzy twierdzili, że zawdzięcza to

magii, ale Prestimion wiedział, że się mylą. Nie znaczyło to, że lady Therissa pogardzała usługami czarowników, gdyż od dawna zatrudniała paru magów w Domu Muldemar. Ale mieli oni przewidywać przyszłość zbiorów winorośli, a nie rzucać czary, mające chronić ją przed upływem czasu. Nawet teraz miała na nadgarstku magiczny amulet, złotą bransoletę z runami wypisanymi okruchami szmaragdów, ale to też, jak wiedział Prestimion, służyło czemuś innemu niż próżności. Był głęboko przekonany, że to własnej, wewnętrznej energii, a nie magii, jego matka zawdzięczała to, że zachowała urodę mimo upływu lat.

Fakt, że została Panią Wyspy, nadał jej nowego blasku, nieznanego wcześniej królewskiej aury, która wzmacniała i pogłębiała jej wielkie piękno. Srebrny diadem na czole, insygnium władzy Pani Wyspy, otaczał ją wspaniałą, świetlistą aurą.

Słyszał historie o tym, jak srebrny diadem nieuchronnie odmieniał tych, którzy go nosili i to musiało stać się z lady Therissą. Była to rola, na której odegranie czekała całe życie. Dawno temu mogła być tylko żoną księcia Muldemar, kiedy tytuł ten przeszedł na Prestimiona, była znana jako matka księcia Muldemar, ale teraz wreszcie stała się kimś wybitnym, posiadaczką tytułu Pani Wyspy, jedną z trzech Potęg Królestwa. Prestimion pomyślał, że była to pozycja, do której po cichu przygotowywała się przez cały czas, kiedy on pozostawał prawdopodobnym spadkobiercą tronu Confalume'a i która teraz nałożyła na nią obowiązki, do wykonywania których się urodziła. Przez lata o tym nie wiedziała, ale takie było jej

przeznaczenie.

Najpierw objęła Varaile, ciepło, długo trzymała ją w ramionach, parokrotnie nazywając ją córką i z czułością gładząc jej policzek. Nigdy nie miała córki, a Prestimion ożenił się jako pierwszy z jej synów.

Ciąża Varaile nie była dla niej zaskoczeniem, powiedziała o niej od razu, mówiąc o dziecku jako o „nim”, jakby nie było co do tego żadnych wątpliwości. Prestimion czekał z boku przez dłuższą chwilę, kiedy dwie kobiety rozmawiały.

W końcu odwróciła się do niego i też objęła, choć dużo krócej. W jej dotyku czuł mrowiącą potęgę jej urzędu, siłę, która wyróżniała ją spośród wszystkich istot tego świata. Kiedy odsunęła się od niego, Prestimion zauważył, że jej zachowanie było inne niż chwilę temu wobec Varaile. Ciepły uśmiech zniknął, spojrzenie pociemniało. Przechodziła do sedna wizyty.

- Prestimionie, co stało się ze światem? Czy wiesz, co widzę, kiedy wysyłam w niego mój umysł?

Był pewien, że do tego to zmierzało.

- Masz na myśli szaleństwo?

- Tak, szaleństwo. Znajduję je wszędzie. Gdziekolwiek spojrzę, widzę ogłupienie i ból. Jest oczywiście zadaniem Pani i jej akolitów, by przeszukiwać świat, wyciągać rękę do tych, którzy cierpią i dawać im pocieszenie w snach i robimy co w naszej mocy, ale to, co się dzieje, przerasta nasze możliwości. Pracujemy dzień i noc, lecząc tych, którzy nas potrzebują, ale są ich miliony. Miliony, Prestimionie.

I ta liczba codziennie rośnie.

- Wiem. Widziałem wiele miast w trakcie moich podróży. Chaos, ból... Zaatakowały nawet ojca Varaile. I...

- Ale czy to widziałeś, Prestimionie? Nie tak, jak ja. Chodź ze mną.

Odwróciła się i wyszła z pokoju, nakazując gestem, by szedł za nią. Prestimion zawahał się i ze zmarszczoną brwią spojrzał na Varaile, niepewny, czy jej także dotyczyło to zaproszenie, ale skinął, by szła za nim. Lady Therissa zawsze mogła wyprosić Varaile, jeśli ta miałaby nie oglądać tego, co chciała mu pokazać.

Była już dość daleko, minęła najpierw jedno, potem drugie skrzydło, wystające ze świątyni jak szprycha. Prestimion zajrzał do środka i ujrzał akolitów, albo może hierarchinie, siedzących przy długich stołach z głowami schylnymi jak przy medytacji. Wszyscy mieli na głowach srebrne diademy podobne do tego, który nosiła Pani. Tajemnice Wyspy, pomyślał. Wysyłają swoje umysły na poszukiwanie potrzebujących, by sprowadzić na nich lecznicze sny. Czy ich dusze przemierzały świat za zasługą magii, czy nauki? Pomiędzy tymi dwiema metodami istniała różnica, choć sposoby, jakich do wykonywania swoich obowiązków używała Pani i jej ludzie, wydawały mu się równie magiczne jak zaklęcia i inkantacje magów.

Weszła do małego pokoju, oświetlonego naturalnym światłem, wpadającym przez delikatne, rzeźbione otwory w marmurowym suficie. Wyglądał na jej prywatny gabinet. Znajdowało się w nim biurko, wykonane z wypolerowanej płyty kolorowego kamienia, niska kanapa i kilka stolików. Pod ścianą stały trzy alabastrowe wazony pełne pięknych, ciętych kwiatów w odcieniach szkarłatu, fioletu, żółci

i kobaltowego błękitu.

Nie przeszkadzało jej chyba, że Varaile szła za nimi, ale całą uwagę miała zwróconą na Prestimiona. Z płytkiego, elegancko inkrustowanego pudełka wyjęła cienki, srebrny diadem, podobny do jej własnego i podała mu go.

- Załóż to, Prestimionie.

Bez wahania usłuchał. Prawie go nie czuł, tak delikatnie był wykonany.

- A teraz... - powiedziała, stawiając na stole przed nim dwie niewielkie butelki wina. - To nie wino z naszej winnicy, ale być może rozpoznasz ten smak. Wypij wszystko naraz.

Teraz okazał wahanie zdziwionym spojrzeniem. Ona jednak otworzyła swoją butelkę i wypła duszkiem, więc po chwili zrobił to samo. To było ciemne wino, ciężkie i ostre, zostawiające słodkawy posmak przypraw. Kiedyś pił coś podobnego, ale gdzie? Wtedy Prestimion zrozumiał. To było wino, którego tłumacze snów używali przy swoich poradach, by pomóc otworzyć się umysłom swoich klientów. Zawierało ono narkotyk, który przełamywał bariery pomiędzy umysłami. Ostatnio tłumaczył swoje sny lata temu, bo wolał rozszyfrowywać je samemu, niż pytać o ich znaczenie kogoś obcego, ale wiedział, że to było to wino.

- Wiesz, co to?

- Wino snów. Położymy się?

- To nie jest tłumaczenie, Prestimionie. Nie zaśniesz, ale zobaczysz rzeczy, których nigdy wcześniej nie widziałeś. Obawiam się, że mogą

być straszne. Daj mi ręce - wyciągnął je do niej. - Normalnie potrzebne są miesiące ćwiczeń w technice nim pozwoli się komuś to zrobić - powiedziała. - Moc wizji jest zbyt wielka, może w jednej chwili spalić nieprzygotowany mózg. Ale ty nie będziesz podróżował sam. Będziesz tylko towarzyszył w mojej podróży po świecie, takiej, jaką odbywam codziennie. Moimi oczami zobaczysz to, co ja widzę, a ja będę cię bronić przed nadmiarem wrażeń.

Delikatnie ujęła jego ręce. Splotła swoje palce z jego i gwałtownie zacieśniła chwyt z zaskakującą siłą.

Czuł się, jakby uderzono go w czoło młotem.

Nie mógł skupić wzroku. Wszystko się rozmyło. Rzucił się w tył, jakby miał upaść, ale ona podtrzymała go bez wysiłku. Pokój wokół niego kręcił się i wirował, wszystko było w ruchu: Varaile, jego matka, biurko, wazon z kwiatami, wszystko latało wokół jego głowy, w której kręciło się tak, jakby w pół godziny wypił pięć butelek wina.

Potem znów przyszedł spokój, piękna chwila równowagi i stabilizacji, podczas której czuł, że jak widmo unosi się z podłogi, łatwo przenika przez otwory w suficie i unosi się coraz wyżej i wyżej w niebo jak niewiązany balon. Przypominało mu to narkotyczną wizję, której doświadczył kiedyś w czarnoksiężkim mieście Triggoin, kiedy to z użyciem magicznych ziół i przez wypowiedzenie potężnych Imion uniósł się ponad królestwo chmur i spoglądał na Majipoor z kosmosu.

Teraz jednak było inaczej.

Wtedy widział świat z wysoka i z chłodnym obiektywizmem boga.

Widział całą planetę jak piłkę, powoli obracającą się w przestrzeni, model świata z trzema kontynentami odznaczającymi się jak ciemne kliny nie większe od paznokcia. Ostrożnie wziął tę piłkę do ręki i delikatnie, z ciekawością dotykał jej palcem, badał ją z fascynacją i miłością, ale przez cały czas był poza nim, oddalony od życia jego mieszkańców.

Teraz był zarazem ponad światem i wmieszany w wewnętrzną rzeczywistość tego, co działo się pod nim. Spoglądał w dół z ogromnej wysokości, a jednak pozostawał złączony z bulgoczącą, niespokojną energią miliardów ludzi.

Czuł, że leci z nieskończoną prędkością gdzieś wysoko w powietrzu, a w ciemności pod nim mnóstwo miast, miasteczek i wiosek Majipooru świeciło jak znaki. Każde łatwo było rozpoznać: tu wielka Góra, Pięćdziesiąt Miast i Sześć Rzek, Zamek przyczepiony do czubka olbrzymiej skały i rozciągnięty na boki, a tam, odwzorowane z tą samą, idealną dokładnością, leżały Sisivondal, Sefarad, Sippulgar, Sintalmond, Kajith Kabulom Pendiwane, Stoiem i Alaisor, cała reszta Alhanroelu i równie wyraźne miasta Zimroelu: Ni-moya, Piliplok, Narabal, Dulom, Khyntor i wiele innych, a teraz widział pod sobą Wyspę, a na południu Suvrael z miastami, których nie widział nawet w snach, Tolaghai i Natu Gorvinu i Kheskh. Rozpoznawał je od razu, intuicyjnie, jakby były podpisane.

Zarazem miał wrażenie, że podróżuje tuż nad dachami tych miast, tak blisko, że mógł dotknąć dusz ich mieszkańców tak samo, jak dotykał małej, obracającej się piłki wtedy w Triggoim.

Z dołu uderzały w niego potężne psychiczne emanacje, jak ciepło z komina, a to, co czuł, było przerażające. Nie było żadnej ochronnej bariery, która oddzielałaby go od życia miliardów ludzi, mieszkających w tych miastach. Wszystko zalało go potężną falą. Słyszał krzyki bólu, smutku i całkowitej rozpacz, czuł cierpienie dusz odizolowanych od bliźnich tak, jakby były zamknięte w blokach lodu, czuł pulsowanie umysłów, które poruszały się w pięćdziesięciu kierunkach naraz, przez co nie mogły ruszać się wcale. Poczł ból tych, którzy rozpaczliwie próbowali zrozumieć swoje myśli i im się to nie udawało. Czł koszarne przerażenie tych, którzy zagłądali do swych umysłów w poszukiwaniu przeszłości i znajdowali tylko puste kaniony.

Wciąż na nowo doświadczał paniki, którą powoduje wewnętrzna anarchia. Czł desperackie drgawki zranionego ducha. Czł koszar ślepoty serca i wstyd jego głuchoty. Czł smutek nieodwołalnej straty.

Czł wszechobecny chaos.

Chaos.

Chaos.

Chaos.

Szaleństwo.

Tak, szaleństwo, całą jego niepowstrzymaną rzekę, rozlewającą się po świecie jak uwolniony przybój ohydny ścieku. Wielkie zniszczenie, wszechogarniający, niepowstrzymany kataklizm, toczącego się po świecie molocho katastrofalnego pandemonium, zniszczenia dużo większe, niż kiedykolwiek mógł je sobie wyobrazić.

- Matko - jęknął. - Matko!

*

- Wypij to - powiedziała Varaile podając mu puchar. - To woda. Tylko woda.

Otworzył oczy. Siedział na kanapie w gabinecie matki, oparty o poduszkę. Biała szata, którą miał na sobie, przesiąknięta była potem. Drżał. Upił wody i wzdrygnął się. Varaile delikatnie dotknęła jego czoła, jej palce na jego rozpalonej brwi były zimne jak lód. Po drugiej stronie pokoju zobaczył swoją matkę, stojącą za biurkiem i przyglądającą mu się spokojnie z założonymi ramionami. Powiedziała:

- Nie przejmuj się, Prestimionie. Za parę chwil ci przejdzie.

- Zemdlałem, prawda?

- Straciłeś przytomność, ale nie upadłeś.

- Proszę. Zabierz to - poprosił, sięgając do diademu, który jednak zniknął już z jego czoła. Zadrżał. - Matko, co to był za koszmar!

- Tak. Koszmar. Widzę to codziennie, od wielu miesięcy. To samo widzą moi ludzie. To właśnie stało się z naszym światem, Prestimionie.

- Z całym światem?

Uśmiechnęła się.

- Nie, jeszcze nie całym. Spora część jest wciąż zdrowa. To, co czułeś, to ból najbardziej podatnych na chorobę, pierwszych ofiar, tych, którzy nie mieli jak obronić się przed atakiem, który przyszedł nocą. To ich krzyki wznoszą się w powietrze i szukają mnie, kiedy co

noc nad nimi przelatuję. Jak sądzisz, jakie sny mogę sprowadzić, by uleczyć taki ból?

Milczał. Nie umiał na to odpowiedzieć. Zdawało mu się, że nigdy w życiu nie czuł takiej rozpacz, nawet wtedy, kiedy Korsibar przejął koronę, która według wszelkich przewidywań miała przypaść jemu.

Zniszczyłem świat, pomyślał.

Spoglądając na Varaile, powiedział:

- Czy masz jakiegokolwiek wyobrażenie, czego doświadczyłem, kiedy miałem to na głowie?

- Musiało być strasznie. Twój wyraz twarzy... taki zszokowany, okropny...

- Twój ojciec miał szczęście - powiedział. - Nie rozumie, co się z nim stało. Taką przynajmniej mam nadzieję.

- Zaglądałeś w umysły ludzi?

- Nie w pojedyncze. Przynajmniej nie sądzę, żeby tak było. Chyba nie da się zaglądać do poszczególnych umysłów. Ale odczułem ogólne wrażenie, odbierałem fale uczuć, sumę tego, co znajduje się naraz w setkach umysłów.

- W tysiącach - wtrąciła Pani.

Ze swojej pozycji po drugiej stronie pokoju obserwowała go bardzo uważnie. Jej spojrzenie było ciepłe, współczujące i matczyne, ale zarazem przenikliwe, wwiercające się w głąb duszy.

Po chwili cicho przemówiła.

- Prestimionie, opowiedz mi o wydarzeniach, które sprowadziły to na nasz świat.

Ona wie, pomyślał.

Nie było co do tego wątpliwości. Nie zna szczegółów, ale istotę sprawy. Wie, że jestem za to odpowiedzialny, że u źródła tych wydarzeń leży coś, co zrobiłem.

Czekała teraz, by dowiedzieć się reszty. Wiedział, że nie może dłużej tego przed nią ukrywać. Chciała, by wyznał jej wszystko, a on był gotów - nawet chętny - wszystko jej powiedzieć.

Ale co z Varaile? Spojrzał na nią niepewnie. Czy powinien poprosić ją, by wyszła? Czy potrafi powiedzieć to, co powiedzieć musi, w jej obecności i tym samym wmieszać ją w swoją straszliwą zbrodnię? Varaile, to ja jestem odpowiedzialny za to, co stało się z twoim ojcem, to właśnie musiałby powiedzieć. Czy się ośmieli?

Tak, pomyślał.

Tak. Jest moją żoną. Może i jestem królem świata, ale nie będę miał przed nią tajemnic.

Powoli, ostrożnie, Prestimion zaczął mówić.

- To wszystko moje dzieło, matko. Chyba już o tym wiesz, ale przyznam się i tak. To ja, ja sam jestem przyczyną tej katastrofy. Nigdy nie chciałem, by tak się stało, ale stało się mimo wszystko i ponoszę za to odpowiedzialność.

Usłyszał, jak Varaile ostro wciąga powietrze, zdumiona i wystraszona. Jego matka nic nie mówiła, patrzyła tylko uważnie i spokojnie, jak wcześniej. Czekała na resztę opowieści.

- Wyjaśnię to do początku - powiedział.

Pani skinęła głową, wciąż milcząc.

Prestimion zamknął na chwile oczy i próbował się uspokoić. Zacząć od początku, słusznie. Ale gdzie jest początek?

Najpierw wymazanie pamięci, potem jego przyczyny, pomyślał. Tak.

Odetchnął głęboko i skoczył w opowieść głową naprzód.

- Ostatnie wydarzenia na świecie nie potoczyły się tak, jak wam się wydaje. Miało miejsce wielkie oszustwo. Wydarzyły się wielkie rzeczy, bez precedensu w historii tego świata, lecz nikt o nich nie wie. Zginęły tysiące ludzi, ale powód ich śmierci został ukryty. Wymazano prawdę i żyliśmy w kłamstwie, a prawdziwą historię zna tylko kilka osób: Septach Melayn, Gialaurys, Abrigant i paru innych. Nikt więcej. Wyznam wam ją teraz, ale mam nadzieję, że zrozumiecie, że nie może jej poznać nikt więcej.

Przerwał. Spojrzał najpierw na swoją matkę, potem na Varaile. Wciąż nic nie mówiły. Miały nieprzeniknione, odległe wyrazy twarzy. Czekały na to, co miał powiedzieć.

- Ty, matko, miałaś czterech synów. Jeden z nich nie żyje, Taradath, który był bardzo mądry, był poetą, uwielbiał bawić się słowami. Myślisz, że zginął, gdy pływał w rzece na północy. To nieprawda. Owszem, utonął, ale podczas strasznej bitwy u brzegu rzeki Iyann, kiedy przerwano tamę Mavestoi. Czy to cię zaskakuje? Taka jest prawda, tak zginął Taradath. Ty jednak do tej pory wierzyłaś w kłamstwo, za które ja i tylko ja jestem odpowiedzialny.

Jedyną reakcją Pani było lekkie drgnienie kącika ust. Zdumiewała go jej samokontrola. Varaile wyglądała na całkowicie zagubioną.

- Dalej. Lord Confalume miał dwoje dzieci. Bliźnięta, syna i córkę. Widzę, że to was zaskoczyło. Tak, nikt teraz nie wie o dzieciach Confalume'a i za to również jestem odpowiedzialny, Córka miała na imię Thismet, była drobną, delikatną, bardzo piękną, bardzo skomplikowaną kobietą, niezwykle ambitną. Odziedziczyła to chyba po swojej matce, Roxivail. Syn zaś, silny, przystojny, wysoki, ciemnowłosy, doskonały myśliwy i sportowiec, nosił się jak prawdziwy pan. Muszę przyznać, że za mądry nie był, raczej prosty, ale na swój sposób dobroduszny. Miał na imię Korsibar.

Kiedy wypowiedział to imię, Varaile wydała krótki okrzyk zdumienia. Jej reakcja zaskoczyła Prestimiona, ale postanowił nie przerywać opowieści zadawaniem pytań. Lady Therissa była bardzo odległa, zagubiona w myślach.

- Pontifex Prankipin zachorował - mówił dalej Prestimion. - Lord Confalume, spodziewając się rychłej zmiany władców, wybrał mnie swoim następcą. Oczywiście nie mówił tego publicznie, póki Prankipin żył. Wszyscy książęta i panowie królestwa zebrali się w końcu w Labiryncie w oczekiwaniu na śmierć Pontifexa. W tym czasie źli ludzie przyszli do księcia Korsibara i zaczęli mu szeptać: „Jesteś synem Koronala i wspaniałym, godnym mężczyzną. Czemu, gdy twój ojciec będzie Pontifexem, Koronalem miałby zostać ten mały Prestimion? Przejmij tron, Korsibarze! Przejmij go! Przejmij!” Wśród tych, którzy najmocniej go namawiali było dwóch łajdackich braci, Farholt i Farquanor, o których teraz też nikt już nie pamięta, i dobrze. Kolejnym spiskowcem był mag, Su-Suheris, zimny i zły. No i

lady Thismet, która miała na niego największy wpływ. Naciskali, a Korsibar był zbyt słaby i prosty, by się im oprzeć. Nigdy nie wyobrażał sobie siebie jako Koronala. Teraz jednak sprawili, że myślał, że tron mu się należy. Stary Pontifex zmarł, a my zebraliśmy się w sali tronowej na ceremonii przekazania władzy. Mag Korsibara rzucił czar, który zmaćcił nasze umysły, a kiedy wróciły nam zmysły, zobaczyliśmy Korsibara siedzącego u boku swego ojca na podwójnym tronie z koroną gwiazd na głowie, a Confalume, na którego rzucono zaklęcie zgody, nie zrobił nic, by powstrzymać tę uzurpację.

- Ciężko w to uwierzyć - westchnęła lady Therissa.

- Uwierz mi, matko. Błagam, uwierz. Tak właśnie było.

Mówiąc coraz szybciej, Prestimion opowiedział im o wojnie domowej. O objęciu władzy przez Korsibara i swoim sprzeciwie. O naiwnej prośbie młodego Koronala, by Prestimion zajął miejsce w Radzie, którą odrzucił z takim gniewem i pogardą, że Korsibar kazał go aresztować i trzymać w łańcuchach w tunelach Sangamora. O tym, jak z nich wyszedł w wyniku kompromisu wypracowanego przez zdradzieckiego Dantiryę Sambaila, który chciał dla własnego zysku poszczuć na siebie ich obu. Opowiadał, jak zebrał armię, by walczyć z nieprawomyślnym dojściem Korsibara do władzy, jak stoczył pierwszą bitwę pod miastem Arkilon i poniósł porażkę z rąk generała Navigorna. Jak wycofał się do centralnego Alhanroelu i pobił Navigorna nad rzeką Jhelum. Opowiadał o innych bitwach, o zwycięstwach i porażkach, o długiej drodze na północny zachód przez Alhanroel z armią Korsibara deptającą mu po piętach. O wielkiej

porażce w dolinie Iyann, kiedy Dantirya Sambail, sprzymierzony z Korsibarem, namówił go do wysadzenia tamy Mavestoi i zalania wojsk Prestimiona.

- To wtedy zginął Taradath, matko, a z nim wielu innych, wiernych towarzyszy, a cała dolina znalazła się pod wodą. Mnie też porwał prąd, ale udało mi się dopłynąć w bezpieczne miejsce i ruszyłem na północ, na pustynię Valmambra. Byłem sam i niemal umarłem. Znaleźli mnie tam Septach Melayn, Gialaurys i diuk Svor, którego może pamiętacie. W czterech udaliśmy się do Triggoin, gdzie przez parę miesięcy ukrywaliśmy się wśród czarowników i trochę się od nich nauczyłem. - Prestimion uśmiechnął się krzywo. - Moim nauczycielem był Gominik Halvor. To był początek mojego sojuszu z nim i jego synem, Heszmonem Gorsem.

Prestimion znów przerwał, jego matka była bardzo blada. Cała historia ogromnie nią wstrząsnęła i teraz starała się objąć ją umysłem. Varaile nawet nie próbowała. Większość tych imion i miejsc była jej nieznana, historia niezrozumiała, wyglądała na całkowicie zagubioną.

Zbliżał się do kulminacyjnego momentu opowieści. Mówił o tym, jak prawie załamał się w Triggoin, ale postanowił podjąć się wizjonerskiej misji, w której jego przeznaczeniem było obalić Korsibara i uleczyć świat. Opisał swój powrót z Triggoin, zbieranie nowej armii w Gloyn w centralnozachodnim Alhanroelu, marsz na wschód do Góry Zamkowej, zakończony wielką, ostateczną bitwą z Korsibarem pod Granią Thegomar.

Nie powiedział jednak, że Thismet postanowiła zmienić strony, że

stała przed nim w obozie w Gloyn i oddała mu się za królewską nałożnicę. Obiecał sobie, że nie będzie miał tajemnic przed Varaile, ale kiedy w swojej opowieści zaczął zbliżać się do epizodu z Thismet, nie potrafił zmusić się, by jej powiedzieć. Co by to dało? To było coś, co się stało, a później zostało wymazane i nie miało żadnego wpływu na obecny stan świata. To była tylko osobista historia, teraz całkowicie zapomniana. Niech tam pozostanie, pomyślał Prestimion. Teraz ważniejsze było uczciwe przedstawienie wydarzeń pod Granią Thegomar.

- Stali na wysokiej pozycji - powiedział Prestimion. - My byliśmy w dole, w bagnistej okolicy zwanej Beldak. Z początku przegrywaliśmy, ale kiedy zaczęliśmy się cofać, piechota Korsibara głupio zesłała ze wzgórza, by nas ścigać. Gdy złamali szyk, wezwaliśmy posiłki ze skrzydła i zwiąaliśmy ich walką na dwa fronty. Zdobyliśmy przewagę i wtedy właśnie wystawiłem magów, którzy byli moją tajną bronią.

- Magów, Prestimionie? - powiedziała lady Therissa. - Ty?

- Na szali były losy świata, matko. Byłem gotów użyć każdej dostępnej broni, by zakończyć panowanie Korsibara. Wystąpił Gominik Halvor i jego syn, a z nimi z tuzin wysokich magów z Triggoin i rzucili czar, który zamienił jasny dzień w bezksiężycową noc. W ciemnościach zniszczyliśmy armię uzurpatora. Korsibara zabił jego własny mag, Su-Suheris Sanibak-Thastimoon. On też zabił lady Thismet, a potem zginął z ręki Septacha Melayna. Dantiryja Sambail, który tego dnia walczył przeciwko nam, znalazł mnie w zamieszaniu i

wyzwał do walki o władzę, ale pokonałem go i uwięziłem. Wtedy poddał się Navigorn i tak skończyła się wojna. Tego dnia zginął dobry earl Kamba, który nauczył mnie strzelać z luku, zginął Kanteverel z Bailemoony, mój drogi, mały, przebiegły diuk Svor i wielu innych wielkich panów, a ja wreszcie zostałem Koronalem.

Spojrzał na swoją matkę. Jego opowiadanie w końcu wywarło na nią wpływ. Milczała w szoku.

Po chwili, odzyskując rezon, zapytała:

- Czy to naprawdę się wydarzyło, Prestimionie? Brzmi to raczej jak fantastyczna historia ze starożytnego, epickiego poematu. Choćby „Księgi Zmian”.

- To naprawdę się stało. Wszystko.

- Skoro tak, czemu nic o tym nie wiemy?

- Ponieważ wykradłem tę wiedzę z waszych umysłów. - I Prestimion opowiedział zakończenie historii, jak stał pośród trupów pod Granie Thegomar i nie czuł radości ze zwycięstwa, a tylko rozpacz z powodu podziału świata, jego nienaprawialnego rozdarcia pomiędzy dwiema niemożliwymi do pogodzenia frakcjami. Jakże bowiem ci, którzy walczyli za Korsibara i widzieli, jak umierają za niego ich towarzysze, mogli teraz zaakceptować władzę Prestimiona? Jak mógł wybaczyć tym, którzy stanęli przeciwko niemu, czasem zdradliwie, jak księżę Serithorn i diuk Oljebbin, admirał Gonivaul czy Dantirya Sambail, którzy najpierw obiecali mu wsparcie? Co z krewnymi tych, którzy zginęli w tych krwawych bitwach? Czy nie będą do końca życia żywić urazy do zwycięzców?

- Wojna - powiedział Prestimion - pozostawiła na świecie bliznę. Gorzej, ranę, która miała się nigdy nie zagoić. Ale nagle ujrzałem sposób na naprawę nienaprawialnego, na uleczenie nieuleczalnego.

Stąd wezwanie po raz ostatni Gominika Halvora i jego magów i rozkaz, by rzucili niezwykle potężny czar, który wymaże wojnę z historii świata. Korsibar i jego siostra zostaną zapomniani, a tych, którzy umarli w skutek jego przejęcia władzy będzie pamiętało się, że zginęli inaczej niż na polu walki, nikt nie będzie wiedział, że miała miejsce jakakolwiek wojna, nawet magowie, którzy wymażą wszystkim pamięć. Wszystkim, poza Prestimionem, Gialaurysem i Septachem Melaynem. W pamięci wszystkich Lord Prestimion miał założyć koronę rozbłysku gwiazd zaraz po zakończeniu rządów Prankipina, bez wmieszania się żadnego Lorda Korsibara.

- Wiecie już wszystko. - Prestimion znów drżał, a jego skronie rozpalone były jak w gorączce. - Myślałem, że leczę świat, ale go zniszczyłem. Otworzyłem bramy szaleństwu, które go teraz pożera, a którego pełne wymiary pojąłem dopiero dzisiaj. Pierwszy raz od dłuższego czasu odezwała się Varaile.

- Ty? Ale... jak, Prestimionie? Jak?

- Wiesz jak to jest, Varaile, kiedy promienie gorącego słońca ogrzewają powietrze, aż się unosi i pozostawia za sobą pustkę? Natychmiast zaczynają wiać niespokojne, chłodne wiatry, by ją wypełnić. A ja stworzyłem taką pustkę w umysłach miliardów ludzi. Wyciąłem z ich wspomnień wielki plaster rzeczywistości i nie dałem nic w zamian. Prędzej czy później musiały zawiać niespokojne, zimne

wiatry. Nie dla wszystkich, ale dla wielu. I to się jeszcze nie skończyło.

- Mój ojciec... - powiedziała cicho.

- Tak, twój ojciec. I zbyt wielu innych. Ponoszę winę za to wszystko. Chciałem tylko leczyć, a... a...

Zająknął się i nie mógł mówić dalej. Po chwili przemówiła Pani.

- Chodź do mnie, Prestimionie. - Wyciągnęła do niego rękę.

Podszedł do niej i ukląkł, oparł policzek o jej udo i zamknął oczy, gdy ona obejmowała go i głaskała po czole tak, jak wiele lat temu, gdy był małym chłopcem i umarło mu ulubione zwierzątko, źle poszło na strzelnicy lub ojciec przemówił do niego za ostro. Wtedy zawsze potrafiła go ukoić i koiła go również teraz, zabierając jego udrękę nie tylko jak matka, ale także z mocą powierzoną jej jako Pani Wyspy, mocą rozgrzszania i wybaczenia.

- Matko, nie miałem wyboru, musiałem tak postąpić - powiedział zduszonym, nieswoim głosem. - Wojna pozostawiła zbyt wiele urazów, które na zawsze splamiłyby moje rządy.

- Wiem. Wiem.

- Ale... spójrz, co zrobiłem, matko...

- Ćśśś... ćśśś... - objęła go mocniej. Pogłaskała po brwi. Czuł siłę jej miłości, potęgę jej duszy. Uspokajał się. Po chwili delikatnie, gestem, nakazała mu wstać. Uśmiechała się.

Varaile powiedziała:

- Mówiłeś, że początki tych wydarzeń mają pozostać tajemnicą. Nadal tak uważasz? Nie wiem, czy nie powinniśmy powiedzieć światu

prawdy, Prestimionie.

- Nie. Nigdy. To tylko pogorszyłyby sprawy. - Prestimion był teraz spokojniejszy, oczyszczony dzięki swojemu wyznaniu, przestał się trząść i gorączkować, w głowie mu się rozjaśniło, choć nie opuszczały go skutki wizji, której doświadczył, mając na głowie diadem Pani. Wątpił, żeby kiedykolwiek miał się od niej uwolnić. Lecz to, co sugerowała Varaile, zdawało mu się niemożliwe.

- Nie dlatego, że postawiłoby mnie to w złym świetle - powiedział - choć na pewno by tak było. Ale to byłoby dodawaniem chaosu do chaosu. Zabrać ludziom resztkę przekonania, gdzie może leżeć prawda... Nie mogę, Varaile! Rozumiesz to, prawda? Rozumiesz, matko?

- Jesteś pewien? - spytała Varaile. - Może gdybyś w końcu powiedział prawdę, odegnałoby to koszmary i złudzenia i znowu postawiło wszystkich na pewnym gruncie. Albo mógłbyś znowu wezwać magów i kazać im rzucić drugi czar...

Potrząsnął głową i spojrzał błagalnie w stronę Pani.

- Prestimion ma rację, Varaile - powiedziała. - Nie da się tego cofnąć, ani przez publiczne wystąpienia Koronala, ani magią. Już widzieliśmy, jakie niezamierzone konsekwencje może mieć akt czystej dobrej woli. Nie możemy ryzykować, że to się powtórzy.

- Mimo wszystko, matko, musimy sobie teraz poradzić z konsekwencjami - powiedział Prestimion. - Tylko jak? Jak?

Przez jakiś czas pozostawali na Wyspie, gdyż Prestimion nie zaplanował natychmiastowego powrotu. Wiatry wciąż wiały na zachód od Alhanroelu, więc gdyby mieli teraz wypływać, podróż powrotna byłaby długa i trudna.

Poza tym czuł się zmęczony i wyczerpany stopniowym zrozumieniem katastrofy, którą spowodował i możliwością, że nie da się naprawić zniszczeń. Obawiał się, że fakt ten splami jego imię na zawsze.

Wiele lat temu zaczął uświadamiać sobie, że być może zostanie Koronalem i że jeśli tak się stanie, będzie dobrze wykonywać tę pracę, a potem zaczął pragnąć jej całym sercem. I - mimo problemów, jakie spowodował Korsibar - w końcu zdobył koronę rozbłysku gwiazd, tak jak uczynili to przed nim Stiamot, Damlang, Pinitor, Vildivar, Guadeloom i wszyscy, których imiona były wypisane na wielkiej tablicy przed Domem Zapisów w Labiryncie. Zasiedli na tronie i rządzą, z większymi i mniejszymi sukcesami, a każdy z nich zostawił ślad na historii świata i widoczny dowód swojego momentu potęgi, dodając coś namacalnego do Zamku: sala tronowa Stiamota, Dziedziniec Vildivara, wieża strażnicza Arioca, cokolwiek. Potem na jakiś czas zostawali Pontifexami, a w końcu starzeli się i umierali. Ale czy którykolwiek z nich spowodował taką katastrofę, jak Prestimion? On będzie miał wyjątkowe miejsce w historii. Pragnął, by rządy Lorda

Prestimiona zapisały się w annałach jako złoty wiek, a mimo to stracił tron zanim jeszcze na nim zasiadł i stoczył wojnę, która kosztowała życie niezliczone i niewyobrażalne rzesze dobrych ludzi, a także kilku bezużytecznych. Potem zaś, kiedy korona wreszcie należała do niego, w chwili ogłupienia zrobił coś, co miało uleczyć świat z jego ran, a zamiast tego nieskończenie pogorszyło sprawę. Och, Stiamocie!, myślał. Och, Pinitorze! Jakim mizernym następcą waszej wielkości jestem!

W tych ponurych chwilach Prestimion czerpał pociechę z bliskości Pani. Dlatego powiedział jej, że postanowił pozostać na Wyspie trochę dłużej i przygotowano dla niego i dla Varaile apartament w Wewnętrznej Świątyni.

Dziesięć dni minęło niepostrzeżenie. Potem na Trzeci Próg dotarła wiadomość, że do Numinoru przybył statek z pielgrzymami ze Stoien. W porze wiatrów z zachodu nie było w tym nic dziwnego. Chwilę później jednak przyszła kolejna wiadomość z portu. Na statku przywieziono ze Stoien ważną wiadomość do Koronała i właśnie w tej chwili kurier spieszył z nią do Wewnętrznej Świątyni.

- To od Akbalika - powiedział Prestimion, łamiąc grubą, woskową pieczęć. - Przez cały rok przebywał w Stoien i zbierał tam informacje, usiłując zdobyć jakieś pewne wieści co do miejsca pobytu Dantiryi Sambaila. Czemu miałby tu do mnie pisać, o ile nie... och, Varaile! Na miłość Bogini, Varaile!

- O co chodzi, Prestimionie? Mów!

Dźgnął papier palcem.

- Akbalik pisze, że prokurator żyje. Wciąż jest w Alhanroelu. Przez cały ten czas ukrywał się gdzieś przy południowej granicy prowincji Stoien, pomiędzy palmami piłowymi, krabami bagiennymi i zwierozoroślinami. Stworzył tam sobie, jak widzę, bazę, z której rozpęta nową wojnę domową!

Varaile natychmiast zasypała go pytaniami. Prestimion uniósł rękę, by ją uciszyć.

- Pozwól, że skończę czytać. Mhm... przechwycono zaszyfrowane wiadomości... Mag Su-Suheris wprowadził się w trans, w którym je przetłumaczył... W załączniku pełen tekst... - przerzucał kartki, które wysłał mu Akbalik.

Oczywiście nie był w stanie zrozumieć czegokolwiek z samych zaszyfrowanych informacji, które wplatano w niewinne deklaracje towarowe. „Emijjuk gybpj jassnin ys? Kesixm nthip jumlee ayvyi”? Prestimion pomyślał, że by to zrozumieć potrzebny był Su-Suheris z trzema głowami. Ale Akbalik najwyraźniej wybrał odpowiedniego wykonawcę do tego zadania, gdyż kiedy mag oświadczył, że tajny obóz Dantiryi Sambaila znajduje się na południowym wybrzeżu Stoien, Akbalik wysłał ludzi, by przeczesał ten region i faktycznie znaleźli obóz prokuratora tam, gdzie powinni.

- Ale dlaczego tak długo nikt go nie widział, jak myślisz? - zapytała Varaile.

- Nie wiesz, jak wygląda południowe wybrzeże Stoien? No tak, skąd miałybyś wiedzieć. Nikt przy zdrowych zmysłach się tam nie zapuszcza. Nikt o tym miejscu nawet nie myśli. Dlatego właśnie,

zdaje mi się, postanowił się tam ukryć. Mówią, że tam jest jak w saunie. W ciągu godziny od upału topią się kości. Rośnie tam mangoza, drzewo z ostrymi liśćmi, nazywają ją palmą piłową, która tworzy zagajniki tak gęste, że nie da się w nie wejść. Poza tym gdziekolwiek się obrócisz, znajdujesz olbrzymie owady i wielkie kraby, które potrafią nieuwważnemu człowiekowi odciąć stopę jednym uderzeniem szczypiec. Czy można wymyślić lepsze miejsce na dom dla Dantiryi Sambaila?

- Musisz go bardzo nienawidzić - powiedziała Varaile.

To zaskoczyło Prestimiona. Nienawidzić? Nigdy nie myślał o sobie jako o człowieku zdolnym do nienawiści. To słowo znał tylko ze słyszenia.

Zastanawiał się, czy jest na świecie ktokolwiek, kogo by nienawidził? Może Korsibar? Nie, na pewno nie jego. Jego można było potraktować ulgowo. Zaskakujące przejęcie władzy przez Korsibara owszem, rozgniewało Prestimiona, ale mimo to nigdy nie widział w nim nikogo innego, jak tylko dużego, głupiego, dobrodusznego tumana, który dał się wciągnąć przez grupę złych, egoistycznych towarzyszy w sytuację przerastającą jego możliwości.

Może Farquanor i Farholt, podli poplecznicy Korsibara, bez których świat był dużo lepszym miejscem? Czy ich nienawidził?

Właściwie nie. Farquanor był paskudnym małym intrygantem, a Farholt wielkim, zarozumiałym osiłkiem. Prestimion bardzo ich nie lubił. Ale nie czuł do nich nienawiści. Wątpił nawet, czy nienawidzi Sanibaka-Thastimona, którego mroczne zaklęcia sprowadziły na

świat tyle zła i który pozbawił Thismet życia. Ale w ręku Thismet, gdy umierała, był miecz. Czy Sanibak-Thastimoon zabiłby ją, gdyby go nie zaatakowała?

To nie było już ważne. Nie nienawidzi się ludzi za to, że są głupi jak Korsibar, przebiegli jak Farquanor czy gwałtowni i tępi jak Farholt. A Sanibak-Thastimoon wierzył, że służy interesom swojego pana, Korsibara - czy można było go za to nienawidzić? Najlepiej było w ogóle nie odczuwać nienawiści, tylko nie zgadzać się z niektórymi, pilnować, by nie zrobili krzywdy tobie i twoim bliskim i zajmować się swoimi sprawami.

Ale co z Dantiryą Sambailem, prawdziwym powodem tylu nieszczęść świata? Czy jego nienawidził?

- Tak - powiedział Prestimion. - Nienawidzę go. Jest zły do szpiku kości. Widać to na pierwszy rzut oka, w tych jego nieprawdopodobnie pięknych, kłamliwych oczach, lśniących miękko w tłustej, brzydkiej twarzy. Ten człowiek nie powinien był się urodzić. W chwili idiotycznej bezmyślności darowałem mu życie pod Granią Thegomar, a w kolejnej pozwoliłem, by wrócono mu pamięć o wojnie, którą przeciwko mnie prowadził. Teraz najchętniej cofnąłbym obie te decyzje, gdybym tylko mógł.

Chodził w kółko, coraz bardziej zły. Sama myśl o prokuratorze sprawiała, że dostawał szału.

Zdrady Dantiryi Sambaila raz za razem wzmacniały frakcję Korsibara, a bez niego uzurpator mógłby ponieść porażkę przez własną niekompetencję. W każdym ważnym momencie wojny

domowej zjawiał się Dantirya Sambail, a za nim szło kolejne szatańskie oszustwo i zdrada. Prokurator wysłał swoich własnych, znienawidzonych braci, wiecznie pijanego Gaviada i wielkiego, paskudnego Gaviundara, by dowodzili armiami po stronie Prestimiona, w sekrecie polecając im, by w krytycznym momencie zmienili stronę. To Dantirya Sambail przekonał Korsibara, by przerwał tamę Mavestoi. To on...

- Ten człowiek jest potworem - powiedział Prestimion. - Zrozumiałbym może, gdyby zbuntował się z chciwości albo prymitywnej żądzy władzy. Ale on już rządził całym kontynentem i był bogaty ponad ludzkie pojęcie. Nie powoduje nim nic, poza bezpodstawną nienawiścią, Varaile. Bez powodu kipi jadem, który zatruwa wszystko, co robi. I zmusza nas, by na nienawiść odpowiadać nienawiścią. Nie minęły dwa lata odkąd zakończyliśmy wojnę domową i wciąż cierpimy z powodu jej skutków, a on szykuje kolejną! Cóż poza nienawiścią mogę czuć do takiego człowieka? Zniszczę go, przysięgam, Varaile, jeśli tylko dostanę kolejną szansę.

Trząśł się z gniewu. Varaile naląła mu wina, słodkiego, złotego wina z Dulorn i przycisnęła palce do jego skroni, aż się uspokoił.

- Pojedziesz do tego Stoiem, by z nim walczyć? - zapytała.

Prestimion skinął głową.

- Akbalik wysłał kopie tego raportu Septachowi Melaynowi na Zamek. Nie wątpię, że on i Gialaurys zbierają już armię, by pomaszerować do południowych krain. A w każdym razie jeszcze dzisiaj wydam im taki rozkaz.

W jego głowie już układała się strategia.

- Jedna armia będzie szła z północnego zachodu, od miasta Stoien po przekątną półwyspu, a druga od południa, przez Ketheron, Arvyandę i Kajith Kabulon na wybrzeże Aruachozji, trasą, którą podróżowaliśmy w zeszłym roku, a potem na zachód z Sippulgaru do prowincji Stoien... tak. Tak, otoczmy go. A wtedy...

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Otworzyć? - zapytała Varaile.

- Kto to może być? Tak, otwórz. Tymczasem - ciągnął Prestimion - poześlę jak najszybciej do Stoien i tam spotkam się z Akbalikiem, i przyłączę się do wojsk, które wyruszą... tak?

Varaile otworzyła drzwi. Przed nim stał akolita, trzymając wiadomość.

- Co to?

Może nowe wiadomości od Akbalika? Prestimion złamał pieczęć i szybko przejrzał pismo.

- Coś ważnego? - zapytała Varaile.

- Nie jestem pewien. Jest tutaj twój młody przyjaciel, Dekkeret. Odbył niezwykle spieszny podróż z Zamku do Alaisor i przybył stamtąd na jednym z ekspresowych statków pocztowych. Poprosił o specjalne pozwolenie na wejście tutaj i Pani mu go udzieliła. W tej chwili wspina się na Drugi Próg. Spodziewają się go tu jeszcze dzisiaj.

- Oczekiwałeś go?

- Bynajmniej. Nie mam pojęcia, po co przyjechał, Varaile. Píše,

że musi spotkać się ze mną natychmiast, ale nie tłumaczy dlaczego. Czuję, że wiadomości, które przywozi mi z największą prędkością przez pół świata nie mogą być dobre?

*

Twarz Dekkereta, jeszcze niedawno szczerą i chłopięcą, zmężniała. Zachowywał się bardziej powściągliwie, w sposób niezwykle zrównoważony. Od czasu gdy Prestimion spotkał go po raz pierwszy w Normork, Dekkeret bez końca podróżował po świecie i teraz, gdy wszedł do pokoju Prestimiona i wykonał salut wierności, mimo że wyglądał nie najlepiej z powodu zmęczenia wariackim tempem swojej ostatniej podróży, emanował siłą i rozmysłem.

- Przywożę pozdrowienia od Wysokiego Doradcy Septacha Melayna i Wielkiego Admirała Gialaurysa, mój panie - powiedział na początek. - Prosilili mnie, bym cię poinformował, że otrzymali wiadomości od Akbalika z miasta Stoien dotyczące Dantiryi Sambaila i że rozpoczęli przygotowania do akcji wojskowej, zarazem oczekując na twoje dokładne instrukcje.

- Dobrze. Nie spodziewałem się niczego innego.

- Jesteś więc, panie, świadom miejsca pobytu prokuratora?

- Otrzymałem wiadomość od Akbalika dopiero dziś rano. Szykuję rozkazy, które wyślę na Zamek.

- Wydarzyło się coś jeszcze, panie. Barjazidowie uciekli i są teraz w drodze do Stoienzaru w celu zaproponowania swoich usług Dantiryi Sambailowi. Mają ze sobą maszynę do kontroli umysłów.

- Co? Przecież byli uwięzieni w tunelach! Czy to miejsce jest aż

tak dziurawe, że żeby z niego wyjść, wystarczy splunąć? Może je opuścić każdy poza mną - dodał Prestimion po cichu, wspominając gorzkie dni uwięzienia.

- Jakiś czas temu zostali wypuszczeni z tuneli, sir. Żyli jako wolni ludzie w północnym skrzydle Zamku.

- Jak to możliwe?

- Cóż, sir, podobno stało się to tak...

Prestimion słuchał opowieści z rosnącym niedowierzaniem i niepokojem.

*

Mały człowieczek o rozbieganych oczach, Venghenar Barjazid, przed wojną domową żył na Zamku jako członek świty diuka Svora. Uwięziony w tunelach, jakimś cudem skontaktował się z innym byłym poddanym zmarłego diuka, który sfałszował papiery nakazujące uwolnienie Barjazida oraz jego syna i przeniesienie ich do skromnego mieszkania w jednym z sektorów mieszkalnych Zamku.

Nikommu nie przyszło do głowy kwestionować zasadność tego przeniesienia. Barjazidowie wyszli na wolność bez żadnych trudności. Przez ponad miesiąc mieszkali po cichu w nowych kwaterach, nie zwracając na siebie uwagi. Do czasu, kiedy pewnego ranka odkryto, że nie tylko zorganizowali sobie ucieczkę - włącznie ze zdobyciem dobrego ścigacza, który mógł ich zabrać dokądkolwiek pragnęli - ale również zabrali ze sobą cały zestaw przyrządów do kontroli umysłów i ich modeli, które starszy Barjazid zdobył od vroomskiego czarownika, Thalnapa Zelifora, kiedy eskortował go do Suvraelu.

Prestimion przesunął ręką po twarzy, mrucząc przekleństwa.

- I pojechali przyłączyć się do Dantiryi Sambaila, dobrze rozumiem? Skąd ktokolwiek może to wiedzieć? Zostawili wiadomość w pokoju, czy jak?

- Nie, sir. Oczywiście, że nie. - Dekkeret zdławił leciutki uśmiezek. - Ale po ich zniknięciu przeprowadzono śledztwo i odkryto ich wspólnika, i księżę Navigorn dokładnie go przesłuchał. Bardzo dokładnie. Księżę Navigorn bardzo przeżył cały ten incydent.

- Spodziewam się - powiedział Prestimion sucho.

- Podczas przesłuchania okazało się, że wspólnik, który nazywał się Morteil Dikaan, sir...

- Nazywał?

- Niestety nie przeżył przesłuchania - odpowiedział Dekkeret.

- Ach.

- Ów wspólnik, panie, zabrał maszynę do kontroli umysłów z magazynu, w którym ją trzymaliśmy. Przyniósł ją Barjazidowi do tuneli Sangamora. A on wykorzystał ją, by wszyscy, którzy oglądali jego papiery, uznawali je za autentyczne. W ten sam sposób rozkazał, by oddano mu do dyspozycji jeden z zamkowych lataczy kiedy był gotów podjąć podróż na południe.

- To jego urządzenie - zapytał Prestimion tonem pogrzebowej powagi - ma moc, której nie można się oprzeć? Sprawia, że ten, kto je nosi, może zmusić każdego do wykonywania wszystkich jego rozkazów?

- Niezupełnie, mój panie. Ale jest bardzo potężne. Poczulem jego

moc na własnej skórze w Suvraelu, w miejscu zwanym Pustynią Skradzionych Snów. Nadano jej tę nazwę, ponieważ czał się tam Barjazid, wchodził w umysły podróżników i zmieniał ich zdolność percepcji tak, że nie odróżniali już prawdy i fałszu, iluzji od rzeczywistości. Tłumaczyłem to już lady Varaile, mój panie. Opowiedziałem jej o moich doświadczeniach z działaniem tej maszyny, kiedy podróżowałem z Barjazidem i wyjaśniłem potencjalne zagrożenia z niej wynikające.

Varaile powiedziała:

- Tak, mówił mi, Prestimionie. Może pamiętasz, usiłowałam opowiedzieć ci tę historię, kiedy wróciłeś ze święta w Muldemar, ale byłeś zajęty, co zrozumiałe, planami podróży na Wyspę...

Prestimion skrzywił się. To była prawda. Nawet nie pofatygował się osobiście wypytać Dekkereta o to, co przydarzyło mu się w Suvraelu. Bardzo szybko odsunął od siebie całą sprawę, zapamiętując jedynie, by kiedyś wrócić do tematu i już się nad nim nie zastanawiał.

Maszyna, która kontroluje umysły! A Barjazid już jechał, by przekazać ją Dantiryi Sambailowi.

Był to kolejny poważny błąd jego rządów, powoli wchodziło mu to w krew. Koronał, pomyślał, nigdy nie może pozwolić sobie nawet na sen, bo boi się, że gdy tylko zamknie oczy, świat spotka jakaś tragedia. W jaki sposób, zastanawiał się Prestimion, Confalume był w stanie utrzymać porządek przez ponad czterdzieści lat? Oczywiście Confalume nie musiał radzić sobie z wojną domową i jej konsekwencjami, a Dantiryja Sambail, niech demony pożrą jego duszę,

postanowił poczekać do końca jego rządów, zanim zaczął sprawiać kłopoty.

Spojrzał na Dekkereta. Chłopak wpatrywał się w niego z szacunkiem, niemal podziwem. Dekkeret, zdawało się, nie miał pojęcia, że w mózgu Koronała aż wrze od niepokoju i samooskarżeń.

- Opisz mi szczegółowo - polecił Prestimion - co maszyna Barjazida może zrobić z ludzkim umysłem.

Dekkeret spojrzał niepewnie na Varaile, która energicznie skinęła głową.

Po chwili wahania, przemówił do Prestimiona.

- Na początku to był tylko koszmar. Śniłem, że zostałem wezwany do Pani i było to wspaniałe, ale kiedy do niej biegłem, zniknęła, a ja zostałem, wpatrzony w krater wygasłego wulkanu. Człowiek nie może poczuć prawdziwej siły snu kogoś innego, prawda, panie? Trzeba to przeżyć samemu. Mogę powiedzieć ci, że był to koszmar, bardzo straszny, i zrozumiesz go, gdy przypomnisz sobie jakieś swoje sny. Ale nie da się zrozumieć, jak straszny naprawdę był czyjś sen. Mimo to, zapewniam cię, panie, było to najgorsze doświadczenie, jakie można sobie wyobrazić. Czułem się splugawiony... pusty... zgwałcony. Barjazid wiedział, co się stało. Próbował później wypytywać mnie o szczegóły tego snu. Chodzi o to, że prowadził eksperymenty na ludzkich umysłach. Testował swoje przyrządy, sir.

- I to wszystko? Zesłał ci nieprzyjemny sen?

- Gdyby tylko to, panie. Sen był zaledwie początkiem. Kiedy znowu zasnąłem, miałem kolejny. W Tolaghai poznałem pewną

kobietę, pozostającą w służbie pontyfikalnej. Przyszła do mnie we śnie, byliśmy oboje nadzy, prowadziła mnie przez śliczny ogród. Powinienem chyba powiedzieć, że w Tolaghai przez krótki czas byliśmy kochankami. Szedłem więc za nią chętnie, ale nagle wszystko się zmieniło, a ogród stał się przerażającą pustynią pełną jakby duchów i myślałem, że umrę tam od upału i przez mrówki, które zaczęły mnie gryźć. Obudziłem się i odkryłem, że Barjazid sprawił, że chodziłem we śnie i zgubiłem się na pustyni w najgorszej porze dnia, nagi, z dala od obozu, bez wody, poparzony słońcem i spuchnięty od upału. Vroon, który z nami podróżował, znalazł mnie i uratował, w przeciwnym razie umarłbym. Nie jestem lunatykiem, sir. To była sprawka Barjazida. Poleciał mi wstać i iść we śnie, więc wstałem i poszedłem.

Prestimion, ze zmarszczoną brwią i gryząc dolną wargę, nakazał mu gestem, by mówił dalej. Wiedział, że historia ma dalszy ciąg. Był tego pewien.

Tak.

- Wtedy, panie, przyszedł trzeci sen. Na bagnach Khyntoru, kiedy polowałem na stitmoje z księciem Akbalikiem, popełniłem potworny grzech. Byli z nami przewodnicy, ludzie z bagien i moja przewodniczka została powalona przez stitmoja, na którego polowałem, ale ja byłem tak zaaferowany polowaniem, że zostawiłem ją tam, gdzie upadła i ruszyłem w pogoń za zwierzęciem. Kiedy wróciłem dużo później, odkryłem, że zabiła ją i częściowo zjadła jakaś padlinożerna bestia.

- Więc to było to - powiedział Prestimion.

- Co, panie?

- To, co zrobiłeś. Powód, dla którego wyruszyłeś do Suvraelu. Akbalik napisał, że zrobiłeś w Khyntorze coś, czego ogromnie się wstydzisz i pojechałeś do Suvraelu, by odpokutować.

Twarz Dekkereta oblała się czerwienią płomienia.

- Wolałbym o tym nie mówić. Ale kazałeś mi powiedzieć, co maszyna Barjazida zrobiła z moim umysłem. Otóż z jej pomocą wszedł w niego, mój panie, i znalazł tam polowanie na stitmoje, i zmusił mnie, żebym znów to przeżywał. Tyle że tym razem było to dziesięć razy bardziej bolesne niż prawdziwe zdarzenie, bo wiedziałem dokładnie, co się wydarzy i nie mogłem temu nijak zapobiec. W kulminacyjnym momencie Barjazid był ze mną w tym zaśnieżonym lesie i wypytywał o porzucenie mojej przewodniczki, by biec za stitmojem. Chciał znać każdy szczegół tego wydarzenia, jak czułem się, przedkładając przyjemność polowania nad ludzkie życie, czy było mi wstyd, jak zamierzałem sobie poradzić z poczuciem winy. We śnie powiedziałem mu: „Czy jesteś moim sędzią?” A on odparł: „Oczywiście. Widzisz moją twarz?”. I zdarł swoje własne oblicze tak, jak można zdjąć maskę, a pod nim miał inną twarz, kpiącą, śmiejącą się, i to była moja własna twarz, mój panie. Moja własna.

Zgarbił się i odwrócił wzrok. Sprawiał wrażenie, jakby samo wspomnienie go przerażało.

- Nie wchodziłeś w te szczegóły, kiedy pierwszy raz opowiadałeś mi tę historię - wtrąciła Varaile. - Polowanie, przewodniczka,

zdejmowanie maski.

- Nie, pani. Uznałem, że to temat zbyt straszny na zwykłą rozmowę. Ale teraz było życzeniem Koronała, bym... żebym opowiedział...

- Tak - przerwał mu Prestimion. - Co było dalej?

- Obudziłem się. Czuję wielki ból. Zobaczyłem Barjazida z maszyną w rękach. Chwyciłem go i zmusiłem do wyjaśnień, powiedziałem, że go aresztuję i zabieram na Zamek, żebyś się o wszystkim dowiedział.

- Ale ja byłem zbyt zajęty innymi sprawami, by cię wysłuchać - westchnął Prestimion. - A teraz Barjazid jest o krok od przekazania swojej maszyny Dantiryi Sambailowi.

- Wyjaśniłem wszystko Septachowi Melaynowi, sir. Wydał rozkaz natychmiastowego przechwycenia Barjazida i jego syna, o ile to możliwe.

- O ile to możliwe, właśnie. Ale on ma maszynę, która pozwala mu bawić się rzeczywistością. Przejdzie między patrolami tak, jak wyszedł z tuneli i z samego Zamku.

Prestimion wstał.

- Chodźcie za mną, oboje. Trzeba chyba omówić sprawy z moją matką.

*

Lady Therissa, siedząc za biurkiem w swoim małym, prywatnym gabinecie, słuchała w poważnej ciszy Prestimiona, który streszczał jej opowieść Dekkereta. Nawet kiedy skończył, długo milczała.

- To prawdziwe zagrożenie, Prestimionie - powiedziała w końcu.

- Owszem, zdaję sobie z tego sprawę.

- Czy już przyłączył się do prokuratora?

- Tego nie wiem, ale podejrzewam, że nie. Nawet mając do pomocy tę swoją diabelską zabawkę, podróż przez Kajith Kabulon i odnalezienie Dantiryi Sambaila na wybrzeżu Stoien nie będzie proste.

Varaile powiedziała:

- Sądzę, że masz rację. Zapewne jeszcze tam nie dotarł. Gdyby już był z Dantiryą Sambailem, zapewne użyliby maszyny do kontrolowania umysłów, by pogłębiać szaleństwo. Nie wydaje ci się, że doszłyby nas słuchy o całych miastach, które nagle wariują?

- Jestem tego pewien - przytaknął Dekkeret, który stał z boku, wyraźnie speszony, że znalazł się w największym sanktuarium Pani Wyspy. Kiedy przemówił, zdawał się być zaskoczony własną śmiałością, że nieproszony otworzył usta w obecności dwóch z trzech Potęg Królestwa i poruszył się, jakby chciał zniknąć z pola widzenia. Lady Therissa jednak uśmiechnęła się i nakazała mu gestem, by kontynuował. - Niewiele wiem o prokuratorze, choć nie słyszałem o nim nigdy nic, co byłoby dobre, ale znam Barjazida aż za dobrze. Jest skłonny użyć swojej maszyny w każdy sposób, jaki zasugerować mu może Dantiryja Sambail.

Pani powiedziała:

- Czy jednak może ona być aż tak potężna, jak mówisz? Mamy tu na Wyspie, jak wiesz, urządzenia, które sięgają głęboko w umysł. Żadne jednak nie może zmusić człowieka, by wstał we śnie i szedł w

głęb śmiertelności pustyni. Ani zmienić jeden rodzaj snu w inny.

- To, którego pozwoliłaś mi użyć, matko, ten srebrny diadem, kiedy piliśmy wino snów, czy to najpotężniejsze urządzenie, które tu macie?

- Nie. Są potężniejsze. Takie, które nie tylko dotykają umysłów, ale mogą też zaszczyć w nich przesłania. Nie odważyłam się pozwolić ci doświadczyć ich potęgi, nie bez długich miesięcy treningu potrzebnego, by z nich korzystać. Ale nawet one nie są tak potężne, jak te, z których korzysta Barjazid.

- Korzystałeś z urządzeń Wyspy? - zapytał Dekkeret. - Opowiedz mi, jak to było, mój panie!

- Jak było... - powiedział Prestimion, zamyślony. Przypomniał sobie tę dziwną podróż, czuł, jak wraca do niego sugestywne wspomnienie. - Jak było. Dekkercie, wracamy tu do tego samego problemu, który poruszyłeś, mówiąc, że nikt nie może poczuć siły cudzego snu. Jedyne sposob, by to zrozumieć, to założenie tego diademu.

- Panie, opowiedz mi mimo to, proszę.

Prestimion spojrział daleko w przestrzeń, jakby przenikał wzrokiem ściany Wewnętrznej Świątyni i ponad trzema progami widział morze, błyszczące złoto w świetle południa. Przemówił bardzo cicho.

- To było jak bycie bogiem, Dekkercie. Dało mi moc mentalnego komunikowania się z milionami ludzi. Mogłem naraz być wszędzie na Majipoorze w taki sposób, w jaki wszędzie jest atmosfera, albo pogoda, albo grawitacja.

Zmrużył oczy w szparki. Pokój, matka, żona, Dekkeret, wszystko zniknęło z jego świadomości. Zdawało mu się, że słyszy odgłos silnego wiatru. Przez zapierający dech w piersiach moment wyobraził sobie, że znów ma diadem na czole i że szybuje w górę i na zewnątrz, wznosi się wyżej niż Góra, rozciąga się nad ogromem świata swoim własnym, niepojętym ogromem i dotyka umysłów wszędzie, tysięcy, setek tysięcy, milionów, miliardów umysłów, zdrowych i biednych, chorych, sięga do nich, rozdaje słowa i pieszczoty, rozdaje pociechę błogosławionej Pani, leczącą moc Wyspy.

Wszyscy zgromadzeni w pokoju patrzyli teraz na niego. Zrozumiał, że odpłynął w jakiś daleki, dziwny stan świadomości, choć wciąż stał przed nimi. Dopiero po chwili poczuł, że w pełni powrócił.

Wtedy powiedział do Dekkereta:

- Kiedy miałem na głowie srebrny diadem, nauczyłem się, że kiedy Pani wykonuje swoje obowiązki, przestaje być zwykłym człowiekiem. Staje się siłą przyrody, prawdziwą Potęgą, taką, jaką Koronał czy nawet Pontifex, zwykli monarchowie z wyboru, nigdy nie będą. Nie powiedziałem ci tego, matko, ale w dniu, kiedy założyłem diadem widziałem bardzo wyraźnie i nigdy nie zapomnę, jak ważna jest twoja rola w świecie. I rozumiem, jak musiałaś zmienić swoje życie, by stać się Panią Wyspy.

- Ale - upierał się Dekkeret - kiedy tak podróżowałaś po świecie, używając mocy diademu, czy pomyślałaś, że mógłbyś umieszczać sny w umysłach ludzi? Albo że masz nad nimi taką władzę, że usłuchają twoich rozkazów?

- Nie, nie wydaje mi się. - Prestimion odwrócił się do matki. -
Matko? - potrząsnęła głową.

- Jest tak, jak mówiłam. Tak, możemy zsyłać sny. Nie rozkazy.
Nawet nie za pomocą naszych najpotężniejszych urządzeń.

Dekkeret ponuro skinął głową.

- Tak więc to, co ma Barjazid i co chce oddać Dantiryi Sambailowi, jest najbardziej zabójczą z broni. Jeśli nie powstrzymamy tych dwóch, zniszczą pokój na świecie. Dlatego właśnie przyniosłem tę wiadomość osobiście, a nie wysłałem jej zwykłymi kanałami. Bo nikt, kto nie poczuł siły maszyny Barjazida nie może zrozumieć, jaką on posiadał. A ja jestem jedynym, który jej doświadczył i przeżył, by móc o tym opowiedzieć.

Ze swojego biura, położonego wysoko nad portem Stoien, Akbalik obserwował przybycie królewskiej floty. Trzy smukłe statki pod banderami Koronala i Pani Wyspy.

- Powiniennem zejść i czekać na kei na ich przybycie - powiedział. - Pójdę tam. Muszę.

- Wasza noga, panie... - zaprotestował Odrian Kestivaunt.

- Niech diabli wezmą moją nogę! To żadna wymówka! Przybywa Koronał, a z nim Pani. Moje miejsce jest na kei.

- Pozwól mi więc chociaż zmienić opatrunek, sir - powiedział łagodnie mały Vroon. - Na to jest jeszcze czas.

To była sensowna prośba. Akbalik usiadł na stołku przy oknie i powierzył zranioną nogę opiece Vroona. Jego macki poruszały się tak szybko, że Akbalik z trudem tylko śledził ich ruchy. Kestivaunt zdjął wczorajsze bandaże, ukazując nieładną, czerwoną ranę. Wyglądała gorzej, była obrzmiała, spuchnięta i mimo podawania leków rozprzestrzeniała się coraz bardziej. Kestivaunt przemył ją chłodnym i lekko szczypiącym, bladobłękitnym płynem, ostrożnie dotknął ciała wokół rany czubkiem macki, bardzo delikatnie rozsunął jej krawędzie i zajrzał do środka.

Akbalik syknął.

- To boli, przyjacielu.

- Proszę o wybaczenie, książę, ale muszę sprawdzić...

- Czy nie zaległy się tam małe kraby błotne?

- Mówilem już, panie, jest duża szansa, że ten, który was ugryzł, był dorosły i...

- Au! Na miłość Bogini, Kestivaunt! Załóż mi po prostu nowy opatrunek i skończ z tym grzebaniem! Torturujesz mnie.

Vroon przeprosił ponownie i zgarbił się nad pracą. Akbalik nie widział już, co robił, ale przynajmniej bolało mniej, niż przed chwilą. Może wysyłał tymi mackami jakąś mentalną emanację albo vrooński czar leczący? Może. Do tego szczypta suszonych ziół i więcej chłodzącego, niebieskiego płynu. Potem czysty bandaż. Było lepiej. Przynajmniej na chwilę. Krótki odpoczynek od upiornego pulsowania, palącego bólu i mdlącego uczucia, że smukłe wici zakażenia i rozkładu przemieszczają się ukrytymi ścieżkami w jego nodze i pełzną w górę, do krocza, brzucha i wreszcie serca.

- Gotowe - powiedział Kestivaunt.

Akbalik wstał. Niepewnie przeniósł ciężar ciała na zranioną nogę, lekko się skrzywił, złapał oddech. Czuł ból, promieniujący na całą lewą stronę ciała aż do szyi i dalej, do policzka i zębów. Po raz milionowy widział wielkiego, fioletowego kraba bagiennego, ohydny, masywną, brzuchatą, wyłupiastooką bestię wielkości połowy latacza, wznoszącą się groźnie z piaszczystego błota przed nim. Widział siebie samego, zręcznie odsuwającego się od potwora, dumnego ze swojej błyskawicznej reakcji, odsuwającego się od zagrożenia tak szybko, że zupełnie nie zauważył drugiego, dużo mniejszego kraba, niewiele większego od dłoni, sprytnie wysuwającego ze schronienia pod

krzewem śmierzdiokwiatu swoje ostre jak brzytwa szczypcy w kierunku jego nogi.

- Laska - warknął. - Gdzie jest moja przeklęta laska? Są już prawie w porcie!

Vroon wskazał laskę, opartą o ścianę przy drzwiach, w zwykłym miejscu. Akbalik pokuśtykał tam, wziął ją i wyszedł. Kiedy dotarł na parter, zatrzymał się, rozejrzał w jasnym świetle dnia, odetchnął głęboko i spróbował się pozbierać. Nie chciał wyglądać jak kaleka. Koronał na niego liczył. Polegał na nim.

Od drzwi budynku urzędu celnego, w którym mieściło się biuro Akbalika, na keję było może pięćdziesiąt stóp po szerokim, brukowanym placu. Akbalik poruszał się powoli, uważnie, mocno ściskając główkę laski. Miał wrażenie, że musi przebyć pięćdziesiąt mil.

W połowie drogi zdał sobie sprawę z tłustego zapachu dymu, wiszącego w powietrzu. Spojrzał na północ i ujrzał skrecony, czarny pas dymu, unoszący się w bezchmurne niebo, a dalej niewielki, czerwony język, liżący mały, kamienny budynek na wysokim na sześćdziesiąt stóp podwyższeniu. Teraz słyszał też syreny. Tak więc wariaci znowu się za to wzięli, pomyślał. To był pierwszy pożar od czterech dni. I akurat dzisiaj, kiedy statek Koronała przyплыł, właśnie w tej chwili!

Sznur Hjortów celników stał przy wejściu na nabrzeże, blokując przejście. Akbalik nie zawracał sobie głowy wyciąganiem dokumentów, po prostu spojrział na nich groźnie i przegonił z drogi

gwałtownym ruchem ręki. Przeszedł obok, nie zaszczycając ich spojrzeniem i pokuśtykał do królewskiej kei 44, przybranej na tę okazję w zielenie i złoto.

Tak, trzy statki, duży „Lord Hostirin” i dwa okręty eskorty. Gwardia honorowa Koronała zeszła właśnie po trapie i ustawiała się wzdłuż kei. Niewielki tłumek ludzi burmistrza Bannikapa stał tuż obok nich, tworząc komitet powitalny.

- Prestimion! - krzyczeli. - Prestimion! Lord Prestimion! Niech żyje Lord Prestimion!

To, co zawsze. Ależ on musiał być tym zmęczony!

I oto on, przy burcie, z Varaile i lady Therissą u boku, do połowy schowaną za synem. Za nimi, w cieniu, Akbalik ujrzał potężną postać dwugłowego maga Prestimiona, Maundiganda-Klimda. Jaka ironia losu, pomyślał Akbalik, że Prestimion, który kiedyś w ogóle nie wierzył w magię, teraz nigdzie nie rusza się bez Su-Suherisa.

W grupie był też, co zaskoczyło Akbalika, młody Dekkeret, idący przy boku lady Varaile. To była niespodzianka. Co robił Dekkeret na statku z Wyspy? Czy nie powinien wciąż być w Suvraelu i szukać na pustyni wybaczenia Bogini za to, że pozwolił umrzeć tamtej przewodniczce, albo, co było bardziej prawdopodobne, wrócić już na Zamek?

Ruszył naprzód, krzywiąc się raz po raz, bowiem każdy pospieszny krok tylko zwiększał jego cierpienie. Przepchnął się na środek i zajął miejsce przed gwardią honorową. To było miasto Bannikapa, to prawda, ale to na prośbę Akbalika przybył sam Lord Prestimion i

Akbalikowi zależało na jak najszybszym zakończeniu oficjalnych bzdur. Nie zostało mu wiele cierpliwości, szczególnie, kiedy jego nogę wciąż nękał ognisty ból.

- Panie! - zawołał. - Panie!

Koronał dostrzegł go i pomachał. Akbalik wykonał znak rozbłysku gwiazd, a potem, kiedy w zasięgu wzroku pojawiła się Pani, ją też uszanował zgodnie z rytuałem. Zaczęli schodzić na keję. Burmistrz Bannikap wystąpił naprzód, jego usta już poruszały się, wygłaszając wstęp do powitalnej mowy, ale Akbalik odpędził go ostrym spojrzeniem i pierwszy podszedł do Koronała.

Prestimion wyciągał ręce, chcąc go uścisnąć. Akbalik, nie wiedząc, co zrobić z laską, wsunął ją pod pachę i niezdarnie przycisnął do boku, obejmując Koronała.

- Co się stało? - zapytał Prestimion.

Akbalik starał się być beztroski.

- Drobnny uraz nogi, mój panie. Irytujący, ale nic poważnego. Mamy do omówienia dużo poważniejsze sprawy.

- Tak, oczywiście. Niech tylko skończy się ten głupi ceremoniał. - Ruchem głowy wskazał Bannikapa i mrugnął.

Akbalik odwrócił się od niego i złożył hołd Pani i lady Varaile. Dekkeret uśmiechnął się do niego nieśmiało i niepewnie. Wciąż trzymał się z tyłu.

Zdawało się Akbalikowi, że lady Varaile jest przy nadziei. Wskazywał na to jej ubiór, poza tym miała ten promieniejący, matczyzny wygląd. Myśl o tym, że Prestimion zostanie ojcem tak

szybko po objęciu władzy była ciekawa. I na dodatek w tych trudnych czasach. Ale mógł się tego spodziewać. To był nowy Prestimion, bardziej odpowiedzialny, pragnący w życiu stabilizacji, pełnej dojrzałości.

Lady Therissa wyglądała wspaniale: spokojna, pełna wdzięku, opanowana. Była taka, jak Akbalik ją zapamiętał przed tą nieszczęsną podróżą w głąb Stoienzar. Czuł się lepiej, kiedy stał obok niej.

- Czy ja czuję dym? - zapytał Prestimion.

- Niedaleko stąd pali się budynek. To się ostatnio często zdarza. - Akbalik ściszył głos. - Wariaci wnoszą na dachy bele słomy i podpalają je. Nagle stało się to popularną rozrywką. Burmistrz potrafi lepiej ci to wyjaśnić.

Burmistrz, tęgi człowiek o czerwonej twarzy, jakoś tam spokrewniony z diukiem Oljebbinem i tak samo jak on zarozumiały, właśnie zaznaczał swoją pozycję, podchodząc i zawisając nad niewysokim Prestimionem w sposób, który nie mógł mu się podobać. Ale protokół to protokół i ta chwila należała do Bannikapa. Akbalik mu ustąpił. Powiedział Prestimionowi, zapatrzonemu w zamyśleniu na czarną smugę dymu na niebie, że spotka się z nim później w jego apartamencie w Kryształowym Pałacu, po czym odszedł, kulejąc.

*

Kryształowy Pałac zawdzięczał swoją nazwę ścianie złożonej z samych okien, długiej na dwieście stóp. Był to stosunkowo nowy budynek, wzniesiony przez diuka Oljebbina za rządów Lorda Prankipina i stojący w dostojnej, samotnej lokalizacji na szczycie

olbrzymiego podestu z białej cegły. Z luksusowego, trzypiętrowego apartamentu Lorda Prestimiona widać było całe miasto, przez co niestety akurat tego dnia można było aż za łatwo obserwować słupy dymu, wznoszące się z dziewięciu czy dziesięciu pożarów wzniesionych w okolicy.

- Czy te pożary zdarzają się codziennie? - zapytał Prestimion.

Akbalik i Koronal siedzieli nad półmiskiem pełnym kostek suszonego, wędzonego mięsa smoka morskiego. Lady Varaile, zmęczona po pospiesznej i chwilami trudnej podróży, udała się do sypialni. Lady Therissa przebywała w apartamencie cztery poziomy niżej i również odpoczywała. Akbalik nie miał pojęcia, gdzie podzieli się Dekkeret i Su-Suheris.

- Mniej więcej. Choć to dziwne, że jest ich tyle naraz.

- Szaleństwo?

- Tak, szaleństwo. Mamy porę suchą, paliwa nie brakuje. Te ładne pnącza, kwitnące całe lato, są teraz tylko wiechciami słomy. Tak jak ci opowiadałem, ci wariaci zbierają ją, zanoszą na dachy i tam podpalają. Nie wiem czemu. Myślę, że mamy dziś więcej pożarów niż zwykle, bo usłyszeli o przyjeździe Koronala i to ich nakreśliło.

- Bannikap próbował mi wmówić, że zasadniczo zniszczenia są minimalne.

- Bo zazwyczaj tak jest. Ale nie zawsze. W ciągu ostatnich dwóch tygodni postarano się wyburzyć naprawdę zniszczone budynki, żebyś nie musiał ich oglądać podczas pobytu tutaj. Za każdym razem, kiedy zobaczysz mały park, mniej więcej rozmiarów działki pod budynek,

pełen świeżo posadzonych, kwitnących krzewów, patrzysz na miejsce, gdzie miał miejsce poważny pożar. Czy mogę jeszcze napić się wina, panie?

- Tak, oczywiście. - Prestimion przysunął mu butelkę. - Powiedz mi, co zrobiłeś sobie w nogę?

- Powinniśmy rozmawiać o Dantiryi Sambailu, panie.

- I porozmawiamy. Co z nogą?

- Zraniłem się w nią, kiedy polowałem na Dantiryę Sambaila. Prokurator bardzo swobodnie przemieszcza się w obrębie tego piekła, w którym założył obóz, co parę dni zwija go i przynosi, gdziekolwiek mu się podoba. Ostatnio zrobił się naprawdę dobry z zacieraniu za sobą śladów. Nigdy nie mamy pewności, gdzie dokładnie danego dnia się znajduje. Sądzę, że korzysta z pomocy maga, który rzuca wokół niego chmurę niewiedzy. W zeszłym miesiącu szukało go kilkuset ludzi w ramach misji zwiadowczej, by upewnić się, że nie wyśliznie nam się z rąk. Widziałem miejsce, w którym przebywał, ale dzień czy dwa wcześniej je opuścił.

- Czyli na pewno zdaje sobie sprawę z faktu, że na niego polujemy?

- W tej chwili musi to już wiedzieć. Jakże inaczej? I jeśli zgubimy go tam na dłużej niż parę dni, ponowne jego odszukanie będzie powrotem do klasycznej historii z igłą w stogu siana. Niezwykle sprytnie pozostaje poza naszym zasięgiem. W każdym razie, co się tyczy nogi...

- Tak, noga.

- Zwiadowcy donieśli, że według nich obóz prokuratora znajduje się w głębi łądu, dwieście mil od miasta Karasat, leżącego na wschodnim wybrzeżu, pomiędzy Maximin i Gundubą, o ile te nazwy cokolwiek ci mówią. Wypłynąłem więc ze Stoien, by się rozejrzeć. Wiesz, panie, większość ludzi mówi, że Suvrael jest najbardziej nieprzyjemnym miejscem na świecie, a Valmambra zajmuje odległe drugie miejsce. Ale nie, zwycięzcę mamy zaraz obok, w południowym Alhanroelu. Nigdy nie byłem w Suvraelu ani Valmambrze, ale zapewniam cię, sir, nie mogą konkurować z południowym Stoienzarem w kategorii czystej złośliwości. Pełno tam stworów, które musiały chyba przenieść się z Suvraelu w poszukiwaniu jeszcze paskudniejszego miejsca do życia. Wiem, bo jedno z nich spotkałem.

- Masz na myśli, że coś cię ugryzło?

- Tak, krab bagienny. Nie jeden z tych dużych, a powinienes zobaczyć, jak wielkie potrafią być te potwory, panie - powiedział Akbalik, szeroko rozkładając ramiona - tylko malutki, jeszcze dziecko. Zaczaił się i dziabnął mnie szczypcami, pyk i po wszystkim. Najstraszniejszy ból, jaki kiedykolwiek czułem. Mówi się, że mają na szczypcach jakiś kwasowy jad. Noga spuchła mi tak, że była pięć razy większa, niż normalnie. Teraz już nie jest tak źle.

Prestimion, marszcząc brwi, pochylił się, by lepiej się przyjrzeć.

- Jak ją leczysz?

- Mam vroońskiego sekretarza, zwie się Kestivaunt i jest bardzo zdolny. On się nią zajmuje. Nakłada lekarstwa, dodaje do tego trochę vroońskiego hokuspokus. Jeśli czary nie pomogą, wyleczy mnie maść

- wzdłuż boku Akbalika przebiegi nowy spazm potwornego bólu. Zacisnął zęby i odwrócił głowę, nie chcąc pokazać Prestimionowi, jak bardzo cierpi. Najlepszym pomysłem wydała mu się zmiana tematu. - Mój panie, powiedz mi, proszę, co Dekkeret robił z tobą na Wyspie. Zakładałem, że załatwił swoje sprawy w Suvraelu, tę swoją ekspiację czy odkupienie po wydarzeniach na bagnach Khyntoru i już dawno temu wrócił na Zamek.

- Wrócił - powiedział Prestimion - pod koniec lata. Przywiózł ze sobą kogoś, z kim miał małe starcie w Suvraelu. Pamiętasz niejakiego Venghenara Barjazida, Akbaliku?

- Niewysoki człowieczek o łajdackim wyglądzie, który załatwiał różne rzeczy dla diuka Svora?

- Ten sam. Kiedy wysłałem kłopotliwego Vroona, Thalnapa Zelifora do Suvraelu, poleciłem Barjazidowi pojechać z nim i upewnić się, że dotrze na miejsce. Był to jeden z mnóstwa błędów, jakie popełniłem od czasu, kiedy ubzdurałem sobie, że jestem dość dobry, by być Koronalem.

Akbalik słuchał z rosnącym zaniepokojeniem, podczas gdy Prestimion opowiadał mu, jak to Barjazid pozbył się Vroona i przywłaszczył sobie jego urządzenia do kontroli umysłów do własnych celów, jak eksperymentował z tymi przyrządami na Pustyni Skradzionych Snów w Suvraelu, o jego spotkaniu z Dekkeretem, który Barjazida uwięził i przywiózł wraz z maszynami na Zamek.

- Natychmiast poprosił o audiencję - powiedział Prestimion. - Nie było mnie wówczas na Zamku, więc spotkał się z Varaile i ostrożnie

opowiedział jej o potędze tych wynalazków i o związanych z nimi niebezpieczeństwach. Kiedy wróciłem, próbowała mi to przekazać, ale przyznaję, że nie poświęciłem jej wiele uwagi. To kolejna czarna karta mojej historii, Akbaliku. Cóż, teraz Barjazid wymknął się z Zamku i udał się do Stoienzar, by wspomóc swoimi maszynami sprawę Dantiryi Sambaila. Z tą właśnie wiadomością przybył do mnie na Wyspę Dekkeret i to dlatego ja sam tak spieszenie przybyłem do Stoien. Jeśli Barjazid i Dantiryja Sambail połączą siły...

- Jestem pewien, że to już się stało, panie.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Mówiłem, że prokurator doskonale sobie radzi z unikaniem zwiadowców. Sądziłem, że to jakiś mag roztacza wokół niego chmurę niewiedzy. Ale co, jeśli to wcale nie żaden mag? Jeśli te urządzenia są tak potężne, jak mówi Dekkeret... - kolejny raz Akbalik poczuł, jak noga mu płonie i ukrył przed Prestimionem skurcz bólu. - Mieliśmy szczęście, że chłopak pojechał do Suvraelu, co? A ja tak próbowałem go zniechęcić. Jaki masz plan, mój panie?

- Już ci chyba mówiłem, że Septach Melayn i Gialaurys prowadzą do Stoien wojska z Góry Zamkowej. Ruszą za Dantiryją Sambailem z zachodniego krańca półwyspu. Ja zamierzam zebrać drugą armię w Stoien i wejść do Stoienzar z drugiej strony. Moja matka będzie kierować naszymi ruchami, uważa bowiem, że wie, jak wykorzystać magię Wyspy, by odnaleźć prokuratora. Tymczasem, aby nie uciekł z okolicy, kiedy będziemy się do niego zbliżać, zablokujemy porty na całym półwyspie, na północy i południu.

- Panie, czy mogę zapytać, kto będzie prowadził armię wyruszającą ze Stoien?

Prestimion zdawał się być zaskoczony.

- Jak to kto? Ja.

- Błagam, sir, nie.

- Nie?

- Nie powinienes jechać do dżungli Stoienzar. Nie masz pojęcia, jak paskudne jest to miejsce. Nie mówię tylko o upale i wilgotności, ani o wielkich jak pół ramienia owadach, które całe dni bzyczą wokół głowy. Chodzi mi o niebezpieczeństwa, mój panie, straszne zagrożenia, które czyhają na każdym kroku. Zastanawiałeś się, czemu nie ma tam osad? To jedno wielkie, kleiste bagno, gdzie przy każdym kroku zapadasz się po kostki. Kryją się w nim jadowite stwory, bagienne kraby, których pojedyncze ugryzienie oznacza śmierć, chyba że ma się szczęście i trafi, jak ja, na wyjątkowo małego. Same drzewa są twoimi wrogami. Rośnie tam takie, którego strąki eksplodują, gdy dojrzeją, rozrzucając na wszystkie strony odłamki, wbijające się głęboko w ciało, niczym sztylety. Albo inne, palma manganosa, którego liście są ostre jak...

- Wiem o tym, Akbaliku. Mimo to, zadanie prowadzenia wojsk spada na mnie, i co z tego? Myślisz, że boję się niewygód?

- W czasie marszu przez te bagna zginie wielu ludzi. Widziałem, jak to się odbywa. Sam prawie umarłem. Uważam, że nie masz prawa ryzykować ich życiem, mój panie.

W oczach Prestimiona błysnął gniew.

- Nie mam prawa? Nie mam prawa? Zapominasz się, Akbaliku. Nawet bratanek księcia Serithorna nie powinien pouczać Koronala co może, a czego nie może robić.

Upomnienie Prestimiona uderzyło Akbalika z niemal fizyczną siłą. Poczerwieniał, wymamrotał przeprosimy i wykonał pospieszny gest rozbłysku gwiazd. Aby się uspokoić, wziął duży łyk wina. Potrzebne było inne podejście. Po chwili przemówił cicho.

- Czy twoja matka naprawdę potrafi wykorzystać swą sztukę, by pomóc ci w tej wojnie, mój panie?

- Tak uważa. Może nawet będzie w stanie przeciwdziałać władzy nad umysłami, którą ma Barjazid.

- I, wybacz mi znowu, Lordzie Prestimionie, zamierzasz zabierać ją ze sobą do dżungli Stoienzar? Pani Wyspy ma jechać z tobą przez zabójcze bagna? Naprawdę zamierzasz narażać ją na takie niebezpieczeństwo?

Od razu zauważył, że zdobył punkt. Prestimion wyglądał na zdumionego. Widać było, że nie spodziewał się ataku z tej strony.

- Potrzebuję, by była przy mnie w miarę rozwoju spraw. Będzie miała lepszy wgląd w działania prokuratora.

Akbalik powiedział.

- Moc Pani działa na każdą odległość, nieprawdaż? Nie ma potrzeby, by była tak blisko ciebie. Może bezpiecznie pozostać w Stoien na czas trwania kampanii w dżungli. Możecie razem opracować strategię, a twoje rozkazy będą szybko przekazywane na front - widząc, że Prestimion szykuje się do odpowiedzi, dodał

szybko: - Mój panie, błagam, posłuchaj mnie. Może siedem tysięcy lat temu Lord Stiamot prowadził armię, ale obecnie takie ryzyko podejmowane przez Koronała jest nie do zaakceptowania. Zostań w Stoiem i przy pomocy Pani nadzoruj przebieg konfliktu. Pozwól mi poprowadzić wojska przeciwko prokuratorowi. Ty jesteś niezastąpiony. Ja nie. Mam już jakieś doświadczenie w radzeniu sobie z warunkami, które panują w Stoienzar. Pozwól mi wyruszyć.

- Ty? Nie. Nigdy, Akbaliku.

- Ale mój panie...

- Myślisz, że dałem się nabrać z tą twoją nogą? Widzę, jak cierpisz. Ledwo chodzisz, nie mówiąc o wyruszeniu z misją w dżunglę. Jak możesz mnie zapewnić, że twoje zakażenie nie pogorszy się, zanim zaczniesz ustępować? Nie, Akbaliku. Może masz rację, że nie powinienem tam jechać, ale ty na pewno też nie.

W głosie Koronała była stalowa nuta, która uświadomiła Akbalikowi, że nie warto dalej dyskutować. Siedział w milczeniu, masując pulsującą bólem nogę tuż powyżej rany.

Prestimion mówił dalej:

- Postaram się dowodzić tą operacją stąd, jak radzisz i zobaczymy, jak to się uda. Ale co do ciebie, zwalnię cię na razie z czynnej służby. Lady Varaile będzie za parę dni wracała na Zamek - wiesz, Akbaliku, że jest w ciąży? - i przydzielam ci zadanie eskortowania jej na Górę.

- Gratuluję, panie. Ale, z całym szacunkiem, niech zabierze ją Dekkeret. Powinienem pozostać tutaj, w Stoiem, i pomagać ci w

kampanii. Moja znajomość natury tej dżungli...

- Tak, może się przydać. Ale co będzie, jeśli stracisz nogę? Pozostanie w Stoien to idiotyczny pomysł. To zapadła dziura na prowincji. Na Zamku są najlepsi lekarze świata i wkrótce cię wyleczą. A co do Dekkereta, jest mi potrzebny tutaj. Jest jedynym, który wie cokolwiek o maszynie Barjazida.

- Błagam cię, mój panie...

- Błagam cię, Akbaliku: nie strzęp języka. Podjąłem decyzję. Dziękuję ci za wszystko, co zdołałeś w Stoien. A teraz zabieraj się na Zamek razem z lady Varaile i niech ktoś porządnie zajmie się twoją nogą.

Prestimion wstał. Akbalik podniósł się również, z wysiłkiem, którego nie udało mu się ukryć. Jego ranna noga nie chciała go trzymać. Koronał chwycił go za ramiona i podtrzymał, gdy rozpaczliwie starał się złapać równowagę.

Z zewnątrz dobiegł nagły dźwięk syren. Na ulicach krzyczeli ludzie. Akbalik spojrział przez okno. Z południowej dzielnicy miasta unosił się nowy słup czarnego dymu.

- Robi się coraz gorzej - mruknął Prestimion. Odwrócił się, by odejść. - Pewnego dnia, Akbaliku, będziemy wspominać te dni i chichotać. Ale chciałbym i teraz mieć więcej powodów do śmiechu.

*

Dopiero późnym popołudniem następnego dnia Akbalik miał okazję porozmawiać z Dekkeretem. Po raz ostatni widział go w małej, górskiej oberży w Khyntorze, wczesnej wiosny dwa lata temu, kiedy

siedzieli razem pijąc grzane złote wino. To wtedy Dekkeret obwieścił, że zamierza jechać do Suvraelu.

- Zbyt surowo się oceniasz - powiedział wtedy Akbalik. - Nie ma grzechu tak straszego, by pokutą zań uczynić akurat wyprawę na Suvrael. - Namawiał Dekkereta, by raczej odbył pielgrzymkę na Wyspę, jeśli naprawdę odczuwa potrzebę oczyszczenia duszy. - Niechaj błogosławiona Pani oczyści twojego ducha. Głupotą było przerywać karierę na Zamku na czas długiej nieobecności, której wymagała podróż do Suvraelu.

Ale Dekkeret pomimo to popłynął na Suvrael. Był też na Wyspie, choć bardzo krótko. I jak się okazało, te wyprawy nijak nie zaszkodziły jego kwitnącej karierze.

- Pamiętasz - powiedział Dekkeret - jak umówiliśmy się w oberży w Khyntorze? Że za dwa lata spotkamy się znów na Górze, kiedy ja wrócę z Suvraelu. Mieliśmy razem bawić się w Morpin Wysokim, tak się umówiliśmy. Dwa lata minęły, Akbaliku, a my wciąż tam nie pojechaliśmy.

- Przeszkodziły nam inne wydarzenia. Ja, kiedy mieliśmy się spotkać, byłem w Stoien. A ty...

- A ja popłynąłem na Wyspę Snu, ale nie jako pielgrzym. - Dekkeret roześmiał się. - Wyobrażasz sobie, Akbaliku, jak dziwaczne jest teraz moje życie? Ja, który miałem nadzieję zostać tylko rycerzem na Zamku i może objąć na starość jakieś skromne stanowisko ministerialne, dotrzymuję towarzystwa Koronalowi i jego żonie, i samej Pani, i jestem wciągnięty w najbardziej skomplikowane i

delikatne sprawy państwowe.

- Tak. Szybko pniesz się w górę. Kiedyś będziesz Koronalem, zapamiętaj moje słowa, Dekkercie.

- Ja? Akbaliku, nie bądź głupi! Kiedy to wszystko się skończy, znów będę tylko rycerzem kandydatem. To ty mógłbyś zostać Koronalem. Wiesz, że wszyscy tak mówią. Confalume może jeszcze pożyć dziesięć czy dwanaście lat, potem Prestimion zostanie Pontifexem, a następnym Koronalem możesz być...

- Przestań gadać bzdury, Dekkercie. Ani słowa więcej.

- Wybacz, jeśli cię uraziłem. Przypadkiem jednak uważam, że byłbyś odpowiednią osobą...

- Dostyc! Ani przez chwilę nie chciałem zostać Koronalem, nie chcę zostać Koronalem teraz i nie zamierzam być nim w przyszłości. To się nie wydarzy. Choćby dlatego, że jestem rówieśnikiem Prestimiona. Jego następcą będzie pochodził z twojego pokolenia, nie z mojego. Po wtóre... - Akbalik potrząsnął głową. - Dlaczego marnujemy czas na takie idiotyzmy? Następny Koronał? Lepiej róbmy co w naszej mocy, by jak najlepiej służyć obecnemu. Za kilka dni będę eskortował lady Varaile w drodze powrotnej na Zamek. Ty zostaniesz i będziesz doradzał Lordowi Prestimionowi w kwestii radzenia sobie z Barjazidem i jego zabawką. Wiesz o tym? Chcę, żebyś mi coś obiecał, Dekkercie.

- Mów. Obiecuję wszystko.

- Jeśli Koronałowi przyjdzie do głowy jechać w dżunglę na poszukiwanie Dantiryi Sambaila pomimo wszystkiego, co mu o tym

powiedziałem, staniesz przed nim i powiesz, że to szaleństwo, że absolutnie nie może tego zrobić i przez wzgląd na jego żonę i matkę jego nienarodzonego dziecka i przez wzgląd na cały świat, musi pozostać poza zasięgiem istot, które żyją w tej strasznej cieplarni. Zrobisz to, Dekkercie? Nieważne, jak bardzo go rozgniewasz, nieważne, jak zagrozi to twojej karierze, powiedz mu to. Powtarzaj mu to wciąż.

- Oczywiście. Obiecuję.

- Dziękuję.

Przez chwilę obaj milczeli. Ich rozmowa była na wskroś niezręczna, a teraz utkwiała w martwym punkcie.

Potem przemówił Dekkeret.

- Mogę zadać ci osobiste pytanie, Akbaliku?

- Spróbuj.

- Z niepokojem patrzę, jak kulejesz. Z tą nogą musiało stać się coś naprawdę niedobrego. Bardzo cię boli, prawda?

- Mówisz zupełnie jak Prestimion. Moja noga, moja noga, moja noga. Słuchaj, Dekkercie, mojej nodze nic nie będzie. Nie odpadnie ani nic podobnego. Kiedy taplałem się w błocie Stoienzaru, wredny mały krab paskudnie mnie dziabnął, wdało się zakażenie i tak, boli, dlatego od paru dni chodzę o lasce. Ale zdrowieję. Jeszcze kilka dni i wszystko będzie w porządku. Już? Skończyliśmy z tematem mojej nogi? Porozmawiajmy zamiast tego o czymś wesołym. Choćby o twoich wakacjach w Suvraelu...

*

Był wczesny ranek, a już gorzki zapach dymu zatruwał słodkie, świeże powietrze. Pierwszy pożar dziś, pomyślał Prestimion. Tego dnia Varaile miała wyruszyć na Zamek. Przed Kryształowym Pałacem stała już karawana siedmiu lataczy: jeden królewsko duży dla Akbalika i Varaile, cztery mniejsze dla ochrony i dwa bagażowe. Im szybciej Varaile będzie bezpiecznie w Zamku, wysoko ponad zamieszaniami, które zdawało się ogarniać niżej położone krainy, tym lepiej. Prestimion miał nadzieję, że uda mu się wrócić, nim urodzi się nowy książę. Chcieli go nazwać Taradath, by uczcić pamięć wujka, którego chłopiec nigdy nie pozna.

- Chciałabym, byś mógł nam towarzyszyć, Prestimionie - powiedziała Varaile, gdy wyszli z Pałacu i szli w kierunku lataczy.

- Chciałbym wam towarzyszyć. Najpierw pozwól mi zająć się prokuratorem, potem przyjadę.

- Zamierzasz jechać za nim w dżunglę?

- Akbalik mówi, że nie powinienem. A kimże jestem, by nie usłuchać polecenia Akbalika? Nie, Varaile, nie pojedę tam osobiście. Chcę, by moja matka była przy mnie, gdy będziemy zwyciężać Dantiryę Sambaila, a Stoienzar to nie miejsce dla niej. Ustąpiłem więc. Wyznam ci jednak, że mierzi mnie pozostawanie tutaj, w wygodnym ukryciu w Stoien, podczas gdy Septach Melayn i Navigorn będą przedzierać się z mozołem przez las palm piłowych, szukając...

Przerwała mu wybuchem śmiechu.

- Och, Prestimionie, nie bądź taki dziecinny! Może Koronalowie, o których czytałeś w Księdze Zmian ruszali w puszcze i staczali walki z

potworami, które tam żyły, ale tak już się nie robi. Czy Lord Confalume miałby się po dżungli, kiedy musiałby toczyć wojnę? Albo Lord Prankipin? - przyjrzała mu się uważnie. - Nie pojedziesz, prawda?

- Właśnie wyjaśniłem ci, dlaczego nie mogę tego zrobić.

- To, że nie możesz nie oznacza, że nie zrobisz. Możesz uznać, że tak naprawdę wcale nie potrzebujesz przy boku lady Therissy, by prowadzić wojnę. W takim wypadku, czy zostawisz ją w Stoien i pojedziesz w dżungłę, kiedy nie będzie tu Akbalika i mnie?

Zaczynało go to denerwować. Nie pragnął wkraczać w tę koszmarną dżungłę bardziej, niż ktokolwiek inny. I rozumiał, że życia Koronala nie należało narażać. To nie była wojna domowa, podczas której był tylko obywatelem, pragnącym obalić uzurpatora, teraz był namaszczone, uświęconym królem. Ale żeby prowadzić wojnę zdalnie z odległości dwóch tysięcy mil, podczas gdy jego przyjaciele narażali życie pośród krabów bagiennych i palm piłowych?

- Jeśli z jakiegoś powodu stanie się koniecznym i absolutnie nieuniknionym, bym tam pojechał, pojedę - powiedział wreszcie. - W innym wypadku nie. - Delikatnie dotknął przodu sukni Varaile. - Wierz mi, pragnę wrócić na Zamek w jednym kawałku zanim urodzi się Taradath. Nie podejmę żadnego ryzyka, poza tym, które podjąć będę zmuszony - potem wziął ją za rękę, pocałował palce i poprowadził ją do latacza. - Powinnaś już jechać. Ale gdzie Akbalik? Powinien już tu być.

- To chyba on, Prestimionie, prawda? Tam dalej.

Wskazała na drugą stronę placu. Tak, człowiek o lasce. Szedł bardzo powoli, co i rusz zatrzymywał się, by odciążyć lewą nogę. Prestimion patrzył na niego, pełen złych przeczuć. Niepokoiła go ta zakażona noga Akbalika. Vroońska magia miała ograniczoną moc, a Akbalik powinien znaleźć się w rękach najlepszych chirurgów Zamku. Był dla niego ważny. Prestimion zastanawiał się, jak poważna tak naprawdę była jego rana.

- Dotarcie tutaj zajmie mu sto lat - powiedział Prestimion. - Wejść może do latacza i usiąść, Varaile. Nie powinnaś chyba tyle stać.

Uśmiechnęła się i wsiadła do pojazdu.

Wtedy wróciła myśl, która w ciągu ostatnich tygodni często zjawiała się w głowie Prestimiona. Chciał o to zapytać już wielokrotnie, ale nigdy nie miał okazji. Zajrzał do latacza.

- Zanim odjedziesz, Varaile, mam jedno pytanie. Pamiętasz jak byliśmy w Wewnętrznej Świątyni i opowiadałem matce i tobie historię wymazania pamięci? Powiedziałem wtedy, że syn Lorda Confalume'a, który przejął władzę, nazywał się Korsibar. Zdawałaś się być ogromnie zaskoczona. Dlaczego?

- Słyszałam wcześniej to imię. Od mojego ojca, podczas jednego z jego majaków. Wydawało mu się, że Confalume jest wciąż Koronalem, a kiedy powiedziałam, że nie, że jest nowy Koronał, on powiedział „Ach tak, Lord Korsibar”. Nie, ojczy, powiedziałam wtedy, nowym Koronalem jest Lord Prestimion, nie ma żadnego Korsibara. Myślałam, że przemawia przez niego szaleństwo. Ale później, kiedy powiedziałeś, że uzurpator, którego wymazano z

pamięci świata, nazywał się Korsibar...

- Tak, rozumiem - powiedział Prestimion. Poczul nagły dreszcz. - Znał to imię. Pamiętał Korsibara. Zastanawiam się, czy to możliwe, że wymazanie pamięci zaczyna blaknąć i wyziera spod niego prawda?

Akurat tego teraz potrzebuję, pomyślał. Ale może tylko ci, którzy byli najbardziej szaleni, doświadczali takich retrospekcji, a ich słów raczej nikt nie potraktuje poważnie. „Mój ojciec podczas swoich majaków”, powiedziała Varaile. Mimo to, było to coś, o czym powinien pamiętać. Trzeba porozmawiać o tym z jednym z magów, pomyślał, może z Maundigandem-Klimdem albo Heszmonem Gorsem.

To była kwestia na inną okazję. Wreszcie przyszedł Akbalik.

Uśmiechnął się szeroko i nieprzekonująco.

- Jesteśmy gotowi? - zawołał z wyraźnie wymuszoną wesołością.

- Gotowi i czekamy. Jak noga? - zapytał Prestimion, choć widział, że była bardziej spuchnięta niż wieczorem. Ale może to tylko złudzenie.

- Noga? Noga ma się dobrze, mój panie. Czasem troszkę ukłuje. Jeszcze kilka dni...

- Tak - powiedział Prestimion - lekkie ukłucia. Zdaje mi się, że widziałem, jak kłuło cię parokrotnie, gdy przechodziłeś przez plac. Kiedy wrócisz na Zamek, nie zwlekaj z pójściem do lekarza, dobrze? - odwrócił wzrok, by nie widzieć, z jakim trudem Akbalik wsiada do latacza. - Bezpiecznej podróży! - zawołał. Varaile i Akbalik pomachali mu. Wirniki pojazdu zaczęły szumieć. Budziły się

pozostałe pojazdy karawany. Prestimion stał na placu i patrzył na wschód przez dłuższą chwilę po tym, jak siedem pojazdów znikło z zasięgu wzroku.

- Powiedz mi szczerze - poprosił Septach Melayn - czy kiedykolwiek myślałeś, że jeszcze zobaczysz ten kawałek świata?

- Czemu nie? - odpowiedział Gialaurys. Znowu wjeżdżali do dżungli Kajith Kabulon po odbyciu podróży na południe przez Bailemoone, Ketheron i Arvyandę dokładnie tą samą trasą, którą jechali dwa lata wcześniej. Wtedy jednak byli towarzyszami Prestimiona podczas niewielkiej wyprawy badawczej, a teraz przybywali na czele wielkiej armii. - Służymy Koronalowi. Prestimion każe nam jechać tu, jedziemy tu. Chce, żebyśmy pojechali tam, jedziemy tam. Jeśli wiąże się to z dziesięcioma podróżami do Ketheronu w ciągu roku, albo piętnastoma do Valmambry, co nas to obchodzi?

Septach Melayn roześmiał się.

- Ciężka odpowiedź na lekkie pytanie, przyjacielu. Miałem na myśli tylko to, że świat jest tak wielki, że nikt nie spodziewa się, że odwiedzi dwa razy to samo miejsce. Nie licząc, rzecz jasna, podróży pomiędzy miastami Góry. A tu proszę: oto brodzimy przez te same bagna Kajith Kabulon po raz drugi w ciągu trzech lat.

- Powtórzę moją odpowiedź - powiedział zrzędliwie Gialaurys. - Jesteśmy tutaj, ponieważ jest życzeniem Koronala Lorda Prestimiona, byśmy znaleźli się w Stoienzar, a najkrótsza droga z Góry Zamkowej do Stoienzar prowadzi przez Kajith Kabulon. Nie udaje mi się odkryć

celowości twego pytania. Ale nie byłby to pierwszy raz, kiedy otwarłeś usta tylko po to, by hałasować, prawda, Septachu Melaynie?

- Czy sądzicie - spytał Navigorn, głównie po to, by przerwać narastające napięcie - że ktokolwiek żył dość długo, by zobaczyć cały świat? I nie mam na myśli tylko dotarcia na koniec Zimroelu, bo to robią Koronalowie podczas Wielkich Procesji. Myślę o pojechaniu wszędzie, do każdej prowincji, każdego miasta, od wschodniego brzegu Alhanroelu po zachodni Zimroelu, od ziem wokół Bieguna Północnego do południowych krańców Suvraelu.

- To trwałoby chyba z pięćset lat - zauważył Septach Melayn. - A to, jak sądzę, więcej, niż ktokolwiek z nas mógłby żyć. Ale pomyślmy... Prestimion jest Koronalem dopiero od niedawna, ale Gialaurys i ja byliśmy już we wschodnim Alhanroelu i na południu aż do Sippulgaru, a teraz mamy ogromną przyjemność zobaczyć piękny Stoienzar...

- Jesteś dzisiaj wyjątkowo irytujący, Septachu Melaynie - poskarżył się Gialaurys. - Chyba pojedę innym lataczem.

Nie ruszył się jednak, by zatrzymać pojazd i wysiąść, jechali więc dalej. Baldachim z drzew robił się coraz gęstszy. Na dole świat był zielony, z wyjątkiem kontrastowych barw grzybów, rosnących czasem na pniach drzew. Był to głównie szkarłat, choć czasami zdarzał się żółty, jaśniejszy nawet od siarkowej żółci Ketheronu. Choć było dopiero wczesne popołudnie, słońce chowało się za ciasno spletanymi pnączami, które łączyły czubki wysokich, smukłych drzew rosnących po bokach drogi. Stukanie kropli niekończącego się deszczu działało

wszystkim na nerwy. Był to lekki deszcz, niezmienny, ale padający godzinami bez przerwy.

Za nimi ciągnęła się długa linia lataczy. Każdy przyozdobiony był symbolem Pontifexa, ponieważ oficjalnie nie była to armia, a tylko siły pokojowe wykonujące akcję policyjną i nominalnie pozostające pod rozkazami Pontyfikatu. Na Majipoorze nie było armii, były tylko siły pontyfikalne zajmujące się utrzymaniem porządku. Koronał nie miał swoich sił zbrojnych, poza tymi, które służyły jako gwardia zamkowa. Armia, którą wystawił Korsibar przeciwko Prestimionowi podczas wojny domowej była rozszerzoną i zapewne niekonstytucyjną wersją gwardii Koronała, a armia, którą zebrał Prestimion do wygranej walki z uzurpatorem była ochotniczą milicją.

Specjalista od prawa konstytucyjnego, jeden z tych, którzy siedzą z nosami zakopanymi w Synodach, Bilansach i Dekretach, prawdopodobnie miałby zastrzeżenia i względem tej brygady. Septach Melayn zażądał tych wojsk od Volgaza Sara, przedstawiciela Pontifexa na Zamku, pokazując mu dekret podpisany przez niego samego jako Wysokiego Doradcę i Gialaurysa jako Wielkiego Admirała, działających w imieniu nieobecnego Prestimiona i, dla porządku, również przez Navigorna i księcia Serithorna.

- Oczywiście będę zmuszony wysłać to do Labiryntu do podpisu - powiedział Vologaz Sar.

- Tak, proszę to uczynić. My jednak musimy niezwłocznie wyruszyć do Stoienzar i będziemy zbierać wojska w pontyfikalnych urzędach po drodze. Gdybyś złożył tutaj swój podpis, autoryzując nas

do prowadzenia poboru tymczasowego, tylko do czasu uzyskania formalnej zgody Pontifexa...

To mówiąc, Septach Melayn wyjął drugą, identyczną kopię dokumentu.

- To skrajnie niepraworządne, Septachu Melaynie!

- Tak. Sądzę, że tak właśnie jest. Zdaje się, że musisz podpisać tutaj, tuż nad pieczęcią Pontyfikatu, którą umieściliśmy tu wcześniej celem zaoszczędzenia ci zachodu.

W zamian za współpracę, Septach Melayn zwolnił go z obowiązku dostarczenia pontyfikalnych oficerów, którzy wzięliby udział w akcji przeciwko Dantiryi Sambailowi. Powiedział, że prościej będzie, jeśli obowiązki dowódcze pozostaną skupione w rękach zaufanych ludzi Koronała. Ogrom tej prośby przerósł całkowicie Volgaza Sara.

- Cokolwiek zechcesz... - wymamrotał, rezygnując z oporu i podpisał papiery.

*

To był czwarty dzień podróży przez Kajith Kabulon. Zeszli z głównej drogi, która prowadziła do stolicy prowincji i plecionego pałacu księcia Thaszthasza i powoli poruszali się gąbczastą, drugorzędną drogą na zachód. Cała roślinność w tej części lasu deszczowego rozrastała się z istic tropikalną przesadą. Grube sploty kolczastego, fioletowego mchu wisiały na drzewach w takich ilościach, że ciężko było pojąć, jakim cudem ich nie zadusiły. Na każdej skale wykwitwały gniewne plamy karmazynowych porostów, a długie, podobne do lin zwoje nabrzmiałych, niebieskich grzybów

leżały po obu stronach drogi jak śpiące węże. Deszcz był wszechobecny.

- Czy tu kiedykolwiek przestaje padać? - spytał Navigorn. Z całej trójki tylko on nie był dotąd w Kajith Kabulon. - Na Boginię, ta pogoda doprowadza mnie do szału!

Septach Melayn spojrział na niego w zamyśleniu. Dziwne ataki konwulsji, które z przerwami przydarzały się Navigornowi niemal od wybuchu plagi szaleństwa, wciąż czasami występowały, szczególnie gdy był w stresie. Czy nieustanne bębnienie deszczu spowoduje kolejny? Tutaj, w ciasnym wnętrzu latacza, byłoby to wyjątkowo kłopotliwe.

Pewnie mądrzej by postąpili, pomyślał Septach Melayn, gdyby Navigorn został na Zamku, wykonując obowiązki regenta, zamiast brać udział w tej ekspedycji. Ale nalegał. Wciąż miał poczucie, że jego reputacja mocno ucierpiała, gdy prokurator uciekł z tuneli Sangamora. Bardzo podobna ucieczka Venghenara Barjazida i jego syna z tego samego więzienia, choć nikt nie mógł za nią obwinić Navigorna, obudziła w nim poczucie wstydu i winy. Dantirya Sambail nie sprawiałby teraz kłopotów, gdyby Navigorn potrafił zatrzymać go w tunelach. I tak, wyraźnie starając się dostąpić jakiegoś rodzaju odkupienia, uparł się, by jechać z nimi. Biedny, niepoważny Serithorn w końcu zmuszony został do zajmowania się rządem na czas ich nieobecności, wspierany przez brata Prestimiona, Teotasa. Ale trudy klimatu lasu deszczowego odciskały na Navigornie swoje piętno. Septach Melayn nerwowo patrzył przed siebie, licząc, że wkrótce

zobaczy słońce.

Odwrócił się do Gialaurysa.

- Może zaśpiewamy, mój dobry admirale? Skoczna ballada pomoże zabić czas! - to powiedziawszy, z mocą zaczął śpiewać do melodii, która miała dziesięć tysięcy lat.

*Lord Vargaiz odwiedził Zmiennokształtnych raz
Zażyczył sobie ich wina,
Miał tego, spragnionemu, przynieśli sok
Z glaggaberry dzikiego wina.*

Gialaurys, którego głos mógł zawstydzić wielką ropuchę z góry Kunamolgoi, skrzyżował ramiona i spojrzał gniewnie na Septacha Melayna, jakby podejrzewał go o utratę zmysłów. Za to Navigorn uśmiechnął się i przyłączył do śpiewu.

*Sok z glaggaberry, przyjaciele, mówię wam
Należy pić ostrożnie.
Lecz Lord Vargaiz flaszkę opróżnił wnet
Pośrodku leża obcych.*

*A potem z uśmiechem chytrym władca rzekł,
Smakuje mi ten wasz trunek
Pije się dobrze, lecz, zdaje się...*

- Gdybyście na chwilę przestali wyć - przerwał im Gialaurys -

moglibyśmy się zastanowić, którą drogą mamy dalej jechać, bo mam wrażenie, że przed nami szlak się rozwidła. A może nie ma to znaczenia, o ile śpiewamy dość głośno?

Septach Melayn spojrział przez ramię. Mieli ze sobą Vroona przewodnika, Galielbera Dorna, ale małe stworzenie leżało skulone z tyłu pojazdu, trzęsąc się w jakiejś vroońskiej chorobie. Wilgotny klimat Kajith Kabulon wyraźnie mu nie służył.

- Dorn! - zawołał Septach Melayn. - Którędy teraz?

- W lewo - odpowiedział mu umęczony jęk, jednak nie było w nim wahania.

- Ale musimy jechać na zachód. Jadąc w lewo skęcimy w przeciwnym kierunku.

- Skoro znasz odpowiedź, po co zadajesz pytanie? - powiedział Vroon. - Róbcie jak chcecie, z tym, że droga w lewo zaprowadzi nas do Stoienzar.

Jęknął i schował się pod stosem koców.

- W takim razie jedziemy w lewo. - Septach Melayn, wzruszył ramionami. Zmienił kurs latacza. Będzie po prostu doskonale, pomyślał, jeśli cała nasza flota pojedzie niewłaściwą drogą. Ale z vroońskimi przewodnikami się nie dyskutowało. I słusznie, okazało się, że lewa odnoga drogi po kilkuset jardach wykonała pętlę, prowadząc w końcu w przeciwnym kierunku. Septach Melayn zobaczył, że omijała okrągłe, błotniste, zduszone pływającymi roślinami jeziorko, które uniemożliwiałoby dalszą podróż w tamtą stronę.

Wielka masa roślin pływających w jeziorze wyglądała złowrogo, wręcz drapieżnie. Były tam poplątane garby, liście przypominające rogi obfitości, zarodnie w kształcie filizanek, płataniny podobnych do lin łodyg, a wszystko to ciemnoniebieskie na tle jaśniejszej, zielononiebieskiej wody. Powoli poruszały się w niej duże ssaki, żerując. Septach Melayn nie miał pojęcia, czym były. Ich walcowate, różowe ciała pozostawały niemal w całości pod wodą. Widać było tylko ich zaokrąglone grzbiety i podobne do peryskopów oczy na szypułkach, a czasami również wielkie, prychające nozdrza. Za sobą zostawiały szerokie pasy pozbawione wodnych roślin, które chwiały się gniewnie, gdy stwory je pożerały, ale poza tym nie reagowały. Po drugiej stronie jeziora rośliny szybko zarastały wyrwy, wyjedzone przez bestie.

- Czujecie dziwny zapach? - zapytał Navigorn.

Okna latacza były zamknięte. Mimo to, do środka dostawała się woń jeziora. Nie dało jej się z niczym pomylić. Przypominało to wdychanie oparów ze zbiornika w gorzelnii. Jezioro fermentowało. Jednym z produktów ubocznych oddychania tych wodnych roślin musiał być alkohol, a pozbawione ujścia jezioro stało się kadzią wina.

Septach Melayn przemówił łagodnie.

- Może go posmakujemy? Czy też nasza podróż zbytnio się opóźni, jeśli się zatrzymamy, jak uważacie?

- Wszedłbyś pomiędzy te różowe potwory dla łyeczka wina? - spytał Gialaurys. - Tak, myślę, że to byś zrobił. A więc, nuże, padnij na czworaki i pij, ile dusza zapragnie! - szarpnął dźwignię wirnika i

latacz zaczął zwalniać.

- Twoja nieustanna wrogość zaczyna mnie nudzić, admirale Gialaurysie - powiedział spokojnie Septach Melayn.

- Twoje poczucie humoru znudziło mnie już dawno, Wysoki Doradco - odparował Gialaurys.

Navigorn ponownie wprowadził latacz w ruch.

- Panowie, panowie, proszę...

Jechali dalej.

Deszcz ustawał. Wyjeżdżali z Kajith Kabulon. Wreszcie. Znowu mogli oglądać słońce, świecące z tropikalną siłą prosto przed nimi, z kierunku, który musiał być zachodem. Złoty Sippulgar i wybrzeże Aruachozji leżały na południu, a za nimi wody Morza Wewnętrznego. Przed nimi był półwysep Stoienzar i Dantirya Sambail.

*

Skończyły się sprzeczki. Dla nich wszystkich była to kraina nowa, a w dodatku z każdą milą stawała się ona dziwniejsza i bardziej nieprzyjazna. Droga zwężyła się, aż w końcu była niewiele więcej niż niebrukowanym szlakiem. Miejscami była całkiem zarośnięta, musieli zatrzymywać się i wycinać przejazd miotaczami energii. Później wydawało się, że drogi nie ma wcale i latacze musiały przepychać się przez gąszcz, z częstymi przerwami, podczas których wycinali pnącza i drzewa, blokujące ich zupełnie.

Nie padał tu deszcz, ale okolica była bardziej wilgotna nawet niż Kajith Kabulon. Wszędzie wisiała podobna do pary mgła. Nawet z ziemi unosił się mokry opar, a przy najlżejszym dotknięciu promieni

słonecznych wyrzygiwała gejzery pary. Z każdej gałęzi drzew zwisały pasożytnicze rośliny. Same drzewa wyglądały koszmarnie. Jedno sprawiało wrażenie, jakby samodzielnie tworzyło lasy, bo wypuszczało tysiące cienkich, pionowych łodyżek z pojedynczej poziomej łodygi, ciągnącej się po ziemi przed blisko milę jak czarny kabel. Inne rosło do góry korzeniami, wyrastającymi na dziesięć czy piętnaście stóp w górę i ruszającymi się, jakby próbowało złapać przelatujące ptaki. Był też trzeci gatunek, który wyglądał, jakby się roztopiał od dołu, gdyż jego pień wyrastał z dziwacznej, zdrewniałej masy, jakby roślinnego guza, szerokiego na przynajmniej pięćdziesiąt stóp i wyższego od najwyższego człowieka.

Te dziwne, niespotykane okazy flory nie stanowiły zagrożenia dla podróżnych, ale były też inne, czarujące w swoim dziwactwie, jak drzewa, których liczne żółte kwiatki zwisały na końcach długich sznurów jak latarnie i krzaki, których wiszące, niebieskoszare strąki wydawały na wietrze przyjemny odgłos dzwonków. Trochę dalej znaleźli gaj drzew, które zakwitały wszystkie naraz, o świcie. Zobaczył to Septach Melayn, który wstawał wcześniej.

- Popatrzcie! - zawołał, budząc innych, a dosłownie wszędzie wokół nich zaczęły się otwierać karmazynowe kwiaty, tworząc symfonię kolorów, pojedynczy, wspaniały akord. Przez cały dzień jechali pięknym lasem kwitnących drzew, ale o zmierzchu ich płatki zaczęły opadać z takim samym zgraniem w czasie, z jakim się otwierały. Do nocy opadły wszystkie i ziemia pokryła się różowym dywanem.

Im dalej posuwali się na zachód, tym podobne piękne chwile stawały się rzadsze, a to, co napotykali, było coraz bardziej niebezpieczne.

Najpierw pojawiło się kilka manculainów, poważnie i powoli chodzących wśród krzaków. Były to samotnicze, długonose, wielonogie stworzenia, leniwe i bojaźliwe, ze spiczastymi, czerwonymi uszami. Ich ciało pokrywały żółte, ostre jak sztylety kolce, których czarne czubki, ułamujące się pod najlżejszym dotykiem, a zdawało się, że i pod spojrzeniem, wbijały się głęboko w ciało, jakby były obdarzone wolą.

Potem zobaczyli włochate owady o dwóch rzędach złych oczu, pożywiające się ciałem małego mikkinonga, który zranił się w łapę. W parę sekund zostały z niego tylko kości. Później, na polanie, natknęli się na szybujący rój elektrycznych stworów, z których każdy był jasnym, białym błyskiem nie większym od kciuka. Kiedy poczuły, że je zauważono, wydłużyły się w pionowe, długie na dwa jardy kształty i tańczyły w nieuchwytnych grupach oddalonych o sto jardów. Zbliżył się do nich pewien nieuważny oficer, a one opadły go z radosnym buczeniem i otoczyły taką chmurą, że widać było tylko zygzaki światła, a kiedy odleciały, nie pozostało po nim nic poza szerniałym popiołem.

Nie pojawiły się już więcej. Za to upał i wilgoć, tak trudne do zniesienia odkąd podróżni wjechali na półwysep, robiły się z każdą milą straszniejsze. Znajdowali się teraz niedaleko wybrzeża. Wiatr wiał prosto z Suvraelu, tak że pałace powietrze południowego

kontynentu mieszało się z parą, unoszącą się znad rozdzielającego kontynenty morza i zamieniało powietrze dolin Stoienzar w słoną zupę.

Wszelkie robactwo było tu wyjątkowo wielkie. Widzieli mięsiste stwory ze szczeciniastymi nogami i kłapiącymi szczękami, pełzające po piaszczystym błocie, które tutaj uchodziło za ziemię. Pojawiły się też pierwsze kraby bagienne, złowrogie, fioletowe skorupiaki straszliwych rozmiarów, na wpół zagrzebane w bagnistej ziemi. Tutaj też rosły osławione zwierzorośliny Stoienzar, które były umocowane w ziemi i odżywiały się przez fotosyntezę, ale miały też ramiona, które powoli się poruszały i rzędy błyszczących oczu w górnej części swoich walcowatych ciał, a pod nimi otwory gębowe. Występowały we wszystkich rozmiarach i miały niepokojący zwyczaj obracania się i gapienia, gdy obok przejeżdżały latacze. Galielber Dorn powiedział, że potrafiły pochwycić i pożreć każde małe zwierzę, które znalazło się w zasięgu ich ramion.

- Powinniśmy je wszystkie spalić - powiedział Gialaurys.

Ale miotacze energii potrzebne były do innych celów. Wjechali w krainę palm manganosa, nieładnych, pochylonych drzew, które rosły tak blisko siebie, że tworzyły ścianę niemal nie do przebicia. Drzewa te miały pęki długich, zagiętych, podobnych do piór liści, których krawędzie pokryte były bardzo ostrymi, kryształowymi komórkami. Najlżejszy powiew wiatru wystarczał, by liście te zaczynały drzeć i bujać się na boki. Wystarczało ich dotknięcie, by skaleczyć do krwi, a przy mocniejszym powiewie liść potrafił uciąć rękę, nogę czy nawet

głowę.

Podróż stała się naprawdę straszna. Nie było już żadnej drogi, a jedyny sposób przejechania przez las piłowych palm polegał na wyjściu z latacza i wybiciu sobie drogi miotaczami. A każdy taki wystrzał oznaczał, że do walki z Dantiryą Sambailem pozostawało mniej amunicji.

W końcu, pomyślał Septach Melayn, trzeba będzie przedzierać się przez to pieszko i w każdej chwili być gotowym na zasadzkę i walkę wręcz z ludźmi prokuratora. A oni muszą dobrze znać teren, podczas gdy my nie znamy go wcale. Pod każdym względem mieli przewagę.

Zachował jednak te obawy dla siebie. Głośno powiedział tylko:

- Dantiryą Sambail nie mógł sobie wybrać lepszego miejsca na obóz. To dokładnie w jego stylu. Wszystko tu jest tak samo uparte, złe i niebezpieczne, jak on.

W mieście Stoiem do świtu pozostała jeszcze przynajmniej godzina. Prestimion prawie nie spał. Stał teraz przed wielkim, łukowym oknem swej sypialni na szczycie Kryształowego Pałacu i patrzył na wschód, jakby samą siłą spojrzenia mógł sprawić, że słońce wzejdzie wcześniej.

Na wschodzie, skrytym przed nim w ciemnościach, które spowijały całunem zachodni Alhanroel, kształtowano przyszłość Majipooru. Pisano historię panowania Koronala Lorda Prestimiona. Losy jego panowania miały się rozstrzygnąć w ciągu paru najbliższych tygodni. A on, jakimś cudem, był w Stoiem, tysiące mil od centrum wydarzeń i biernie pozwalał innym działać w jego imieniu. Był drugoplanowym aktorem własnego przeznaczenia. Jak mógł dopuścić, by tak się stało?

Dantirya Sambail czaił się jak złośliwy pajak pośrodku sieci, którą upłócił sobie w dzikiej dżungli półwyspu Stoienzar i szykował się do rozpoczęcia dywersji i zamętu, które knuł odkąd uciekł z tuneli Sangamora. A Septach Melayn, Gialaurys i Navigorn przedzierali się w jego kierunku przez dżunglę od zachodu na czele zbrojnych sił, podczas gdy druga grupa żołnierzy przemierzała ten sam półwysep od wschodu, kierując się do tego samego celu. Tę armię powinien prowadzić sam Koronal, w najgorszym przypadku Akbalik lub Abrigant, a zamiast tego dowodził nią jakiś kapitan Pontyfikatu, którego imienia Prestimion nie potrafił zapamiętać na dłużej niż dwa

dni.

Prestimiona do szafu doprowadzało, że dał się uwięzić w Stoien i nie mógł zabrać ani swojej bezcennej osoby, ani swojej matki, w pobliże zagrożenia. Abrigant był teraz w Muldemar i wypełniał książęce obowiązki, które spadły na niego, gdy jego brat został Koronalem. A Akbalik, na którym Prestimion polegał tak bardzo, że zaczynał myśleć o nim jako o swoim następcy, był teraz gdzieś w centralnym Alhanroelu w drodze na Zamek, wycieńczony i być może śmiertelnie chory z powodu rany na nodze, którą odniósł w dżungli.

Było wielu kapitanów, nie tylko Akbalik, którzy mogli towarzyszyć lady Varaile podczas podróży przez Alhanroel. Akbalik podróżował z nią zamiast odgrywać kluczową rolę w ataku na obóz Dantiryi Sambaila, ponieważ jad bagiennego kraba coraz głębiej wsączał się w jego ciało, a jedyni lekarze, którzy mogli go uratować, znajdowali się na Górze Zamkowej, odległej o pół świata.

Jeśli Akbalik umrze...

Prestimion odpędził tę myśl. Miał dość rzeczy na głowie i bez rozpamiętywania takich ewentualności. Inni ukochani przyjaciele w tej chwili ryzykowali życiem w Stoienzar, gdy on siedział tu jak w klatce i szalał z frustracji, bo wiedział, że musi pozostać za linią frontu, gdzie jego święta osoba będzie osłonięta przed niebezpieczeństwami bitwy. A Dantiryja Sambail na pewno wiedział, że zbliżał się decydujący moment i pewnie szykował się, by wyskoczyć ze swej kryjówki z całą swą diabelską wściekłością.

Ponad tym wszystkim wisiała złośliwa plaga szaleństwa, powoli

rozprzestrzeniająca się po świecie, gotowa odebrać wszystkim zdrowy rozum, a za którą odpowiedzialny był sam Prestimion, choć pobudki miał dobre. Jaki świat stworzył tamtego dnia pod Granią Thegomar synowi, którego wkrótce miała mu urodzić Varaile? Co pozostawi po sobie Lord Prestimion światu, poza czasem, który upłynął w całkowitym chaosie? W porównaniu z tym, żalosne postęпки prokuratora Ni-moya były niczym. Łatwo można było przewidzieć, że Dantirya Sambail poniesie porażkę z rąk armii, które podążały w kierunku jego obozu. Ale szaleństwo... szaleństwo... Prestimion prawie tracił zmysły, próbując znaleźć jakieś rozwiązanie.

Usłyszał pukanie do drzwi sypialni.

Odwrócił się od okna. Kto go odwiedza tak wcześnie? Co to mogło być, jeśli nie wiadomość o jakiejś katastrofie?

- Tak? - zawołał chrapliwie. - O co chodzi?

Z korytarza dobiegł głos Nilgira Sumananda.

- Mój panie, wybacz, że ci przeszkadzam, ale przybył książę Dekkeret i mówi, że musi cię niezwłocznie zobaczyć. Twierdzi, że to bardzo pilna sprawa. - Sekretarz wygłosił tę kwestię z lekkim, lecz wyraźnie słyszalnym powątpiewaniem. Inny, pewniejszy głos, powiedział ze zniecierpliwieniem:

- Nie, nie książę Dekkeret, po prostu Dekkeret.

Prestimion zmarszczył brwi. Czuł się wymięty, twarz miał zapuchniętą po niespokojnej nocy.

- Każ mu chwilę poczekać, tylko się ogarnę.

- Jeśli chcesz, mogę mu powiedzieć, żeby wrócił później.

Dekkeret chyba znów coś wyjaśniał Nilgirowi Sumanandowi, cicho, ale z niewątpliwym naciskiem. Prestimion pohamował złość. Jeśli nic nie zrobi, to może trwać cały poranek. Podeszedł do drzwi i je otworzył. Nilgir Sumanand, półprzytomny z niewyspania, zamrugał do niego przeprasząco. Dekkeret stał tuż za starcem, górując nad nim jak ściana.

- Zrozum, panie - powiedział Nilgir Sumanand. - Wyrwał mnie ze snu i upierał się...

- Tak. Rozumiem. To nie kłopot. Możesz odejść, Nilgirze.

Prestimion gestem zaprosił Dekkereta do pokoju.

- Bardzo ubolewam, że godzina jest tak wczesna, mój panie - zaczął Dekkeret. - Ale mając na uwadze powagę sytuacji i wagę tego nowego zdarzenia, uznałem, że niewłaściwe będzie...

- Nieważne, Dekkerecie. Przejdź do sedna. Jeśli usłyszę jeszcze jedno uniżone przeprosiny, wybuchnę. Po prostu powiedz mi, o co chodzi.

- Dziś w nocy przybył do nas ktoś z obozu prokuratora. Sądzę, że bardzo zainteresuje cię to, co przyniósł. Zaiste, to bardzo interesujące!

- Ach, tak? - powiedział Prestimion słabym głosem. Już żałował, że pozwolił, by tak się do niego wdarto. Dantirya Sambail wysłał wiadomość. Zapewne ultimatum. Cokolwiek to było, pewnie mogło jeszcze trochę poczekać.

Dekkereta aż roznosiło ledwo skrywane podniecenie i to dodatkowo pogarszało sprawę. Prestimion poczuł nagle niemal paraliżujące, ogromne zmęczenie. Bezsenna noc, wysiłek ostatnich

tygodni, wątpliwości i oskarżenia, którymi się ostatnio bombardował - wszystko to zbierało teraz swoje żniwo. A w ruchliwej żywotności Dekkereta, w jego niezdarnej jak u żrebaka chęci dogodzenia każdemu było coś, co podkreślało wyczerpanie Prestimiona. Wciąż był stosunkowo młodym człowiekiem, ale teraz czuł się przynajmniej tak stary, jak Confalume. Było tak, jak gdyby Dekkeret wpadł tu pełen energii, wigoru i nadziei i w tych kilka chwil wyssał z Prestimiona całą witalność.

Wiedział, że rzeczą okrutną i głupią byłoby teraz odesłać Dekkereta. A choć wiadomość od prokuratora była pewnie tylko kpiącą tyradą, warto było o niej usłyszeć. Zmęczony Prestimion polecił Dekkeretowi, by mówił dalej.

- Gdy byliśmy w Wewnętrznej Świątyni, mój panie, powiedziałaś mi, że założyłaś srebrny diadem Pani, twojej matki i zajrzałaś w umysły świata tak, jak ona to co dzień robi. Mówiłaś, że to jak bycie bogiem. Opaska pozwala Pani być w jednej chwili wszędzie na Majipoorze, tak mi powiedziałaś. Ale dodałaś, że dobro korzystania z diademu ma swoje ograniczenia. Pani może wejść do umysłu śniącego i wziąć udział w jego śnie, przekazać mu swoje myśli, dać wskazówkę lub nawet pocieszyć. Nie może jednak wpływać na sam sen, ani stworzyć snu i umieścić go w śpiącym umyśle. Nie może wydawać śpiącemu poleceń, które on musi wypełnić. Czy dobrze zrozumiałem, mój panie?

Prestimion skinął głową. Panował nad sobą, ale z wielkim wysiłkiem woli.

- Powiedziałem ci wtedy, sir, że urządzenie, które wykorzystał przeciwko mnie Venghenar Barjazid w Suvraelu jest potężniejsze niż wszystko, czym dysponuje Pani i że jeśli sprzymierzy się on z Dantiryą Sambaiem, wspólnie będą mogli wstrząsać światem, póki się on nie rozpadnie. Niedawno odkryliśmy, że Barjazid dotarł do obozu prokuratora i zaczął używać swojej diabelskiej maszyny do celów Dantiryi Sambaila.

Prestimion po raz drugi skinął głową.

- Mówisz mi mnóstwo rzeczy, o których już wiem, Dekkercie. Do czego to wszystko zmierza? Mówiłeś, że przyszła wiadomość od Dantiryi Sambaila.

- Nie, panie, nigdy tego nie powiedziałem. To, co przybyło, nie jest od Dantiryi Sambaila, lecz z jego obozu i to nie wiadomość, a posłaniec. Czy mogę powiedzieć mu, żeby wszedł? Czeka pod drzwiami.

To się robi coraz bardziej tajemnicze. Prestimion dał mu pozwolenie zdawkowym ruchem ręki.

Dekkeret podszedł do drzwi i zawołał kogoś, stojącego na korytarzu.

Na progu sypialni Koronala stanął chłopiec. Piętnasto-, może szesnastoletni, smukły, opanowany, o twardym, dorosłym spojrzeniu. W jego rysach: w cienkich ustach, w wąskiej szczęce, było coś dziwnie znajomego. Wyglądał jak jakiś uliczny żebrak, był mocno opalony, ubrany w strój nieco tylko lepszy od łachmanów, a policzki i czoło pokrywały mu świeżo zagojone zadrapania, jakby niedawno

przedzierał się przez kolczaste krzaki. W lewej dłoni trzymał wypchany jutowy worek.

- Mój panie - powiedział Dekkeret - oto Dinitak Barjazid, syn Venghenara Barjazida.

Prestimion aż rozkasłał się ze zdumienia.

- Jeśli to jakiś dowcip, Dekkercie...

- Bynajmniej, panie.

Prestimion wpatrywał się w chłopca, który z kolei patrzył na niego z ciekawym wyrazem twarzy, składającym się w równych częściach z szacunku i przekory. I - tak, na Boginię! - bez wątpienia był synem swojego ojca. Prestimion widział przed sobą twarz starszego Barjazida! W napiętych rysach chłopca widać było dziką determinację i ognisty upór Venghenara Barjazida. Ale jego twarz nie miała wszystkich cech ojca. Brak w niej tej diabelskiej przebiegłości, pomyślał Prestimion, nie odbija się na niej obłudna subtelność Venghenara Barjazida, w oczach chłopca nie ma zdrady. Z czasem nabędzie tych wszystkich cech, nie ma co do tego wątpliwości. A może stary Barjazid stworzył ulepszoną wersję samego siebie, może chłopiec potrafi lepiej ukrywać ciemność, którą ma środkiem.

- Doczekam się jakichś wyjaśnień? - spytał po chwili milczenia. - Czy będziemy tu tak stać?

Ale Dekkeret nie pozwolił się poganiać. Był uparty, miał własny rytm i nie pozwolił się z niego wybić.

- Dobrze znam tego chłopca, mój panie. Pierwszy raz spotkałem go, gdy przebywałem na Suvraelu, podczas podróży przez pustynię,

kiedy jego ojciec dla rozrywki zabawiał się moim umysłem. Kiedy odebrałem jego ojcu maszynę do kradzieży snów i oświadczyłem, że zabieram ją i jego na Górę Zamkową, by pokazać Koronalowi i Radzie, to ten chłopiec namawiał starego Barjazida do współpracy. „Powinniśmy pojechać”, mówił, „to nasza wielka szansa”.

- Szansa, by wprowadzić zamęt na Zamku, tak?

- Nie, panie. Wcale nie. Stary jest łajdakiem. Jest zły do szpiku kości. Ale chłopiec, którego tu widzisz, to coś zupełnie innego.

- Doprawdy?

- Niech sam ci powie - zaproponował Dekkeret.

Prestimion poczuł jak opadają mu powieki. Najbardziej na świecie pragnął, by ci dwaj wyszli i pozwolili mu się wyspać. Ale nie, musi dotrzeć do sedna tej tajemnicy. Gestem pozwolił młodemu Barjazidowi mówić.

- Mój panie... - zaczął chłopiec.

Spojrzał na Prestimiona, potem na Dekkereta, potem znów na Prestimiona. To ciekawe, pomyślał Prestimion, jak zmienia się jego twarz, gdy na nas patrzy. Dla Prestimiona przybierała ona wyraz głębokiego szacunku, wręcz służalczy, ale była to reakcja okazjonalna, mechaniczna, charakterystyczna dla wielu poddanych, gdy znaleźli się w obecności Potęgi Majipooru, nic poza tym. Prestimion miał wrażenie, że widzi nawet cień urazy, ukrytą niechęć, by w pełni zaakceptować władzę, jaką ma nad poddanym Koronal.

Kiedy Dinitak Barjazid patrzył na Dekkereta, oczy chłopca rozbłyskiwały ogniem, świadczącym o prawdziwej czci. Zdawał się

być zahipnotyzowany wewnętrzną mocą Dekkereta, jego charyzmą i siłą. Może to dlatego, że są sobie bliźsi wiekiem, pomyślał Prestimion. Widzi we mnie kogoś ze starszego pokolenia. Był to tylko kolejny niepokojący dowód na przemijanie jego młodzieńczej energii, spowodowane zaledwie kilkoma latami u szczytu władzy.

- Mój panie - powiedział młody Barjazid - kiedy wraz z ojcem przybyłem na Zamek, miałem nadzieję, że zaofiarujemy ci maszynę snów, oddamy się na twoje usługi i do czegoś przydamy. Ale zamiast tego przez jakieś nieporozumienie zostaliśmy uwięzieni. Sprawilo to, że mój ojciec bardzo zgorzkniał, choć wiele razy mu powtarzałem, że musiała to być tylko przykra pomyłka.

Tak, pomyślał Prestimion. I nawet wiem, czyja.

- Potem uciekliśmy. Dzięki pomocy dawnego znajomego ojca, ale zamieszani w to byli również ludzie prokuratora Ni-moya. Jak wiecie, ma on swoje wpływy wśród gwardii zamkowej. - Słyszac to, Prestimion i Dekkeret wymienili spojrzenia, ale nic nie powiedzieli. - Dlatego uciekliśmy do prokuratora, który zdawał się być naszym jedynym sprzymierzeńcem - mówił dalej chłopak. - Udaliśmy się do jego obozu na półwyspie Stoienzar. Tam dowiedzieliśmy się, że prokurator planuje wypowiedzieć wojnę tobie, panie i jego wysokości Pontifexowi, i zostać panem świata.

To określenie dobrze brzmi, pomyślał Prestimion. Pan świata. Przemawia do wyobraźni. Nie ma wątpliwości, że chłopak ćwiczył tę mowę przez wiele tygodni.

A jednak nie potrafił się skupić. Zalała go kolejna fala zmęczenia.

Zdał sobie sprawę, że zaczął się rytmicznie kiwać w przód i w tył, by nie zasnąć.

- Mój panie? - powiedział chłopak. - Dobrze się czujecie, panie?

- Jestem tylko trochę zmęczony, to wszystko. - Prestimion zebrał wszystkie siły, oprzytomniał na ile był w stanie. Chłopiec musiał być bardzo bystry, skoro w środku własnej opowieści zauważył, że słabną, pomyślał. Nalał sobie wody. - Ile masz lat, chłopcze?

- Szesnaście skończę w przyszłym miesiącu, sir.

- Szesnaście. To ciekawe. W porządku, mów dalej. Powiedziałeś, że Dantirya Sambail chce być panem świata.

- Kiedy to usłyszałem powiedziałem do ojca, że nie ma tam dla nas przyszłości, tylko narobimy sobie kłopotów. Powiedziałem też: „Nie powinniśmy uczestniczyć w tej rewolcie. Koronał zniszczy Dantiryę Sambaila, a nas razem z nim”. Ale on jest człowiekiem gniewnym i pełnym goryczy. Nie złym człowiekiem, tylko właśnie gniewnym. Jego dusza płonie z nienawiści. Nie wiem, dlaczego. Kiedy powiedziałem, że powinniśmy opuścić obóz Dantiryi Sambaila, uderzył mnie.

- Uderzył?

Prestimion nawet teraz widział wściekłość w oczach chłopca.

- Zaiste, mój panie. Uderzył mnie, jakbym był zwierzęciem, które ugryzło go w stopę. Powiedział, że jestem głupcem i dzieckiem, że nie widzę, po której stronie leży prawdziwa korzyść... nieważne, co mówił, mój panie. Nic miłego. Tej nocy opuściłem obóz prokuratora i przedarłem się przez dżunglę - po raz kolejny chłopiec spojrzał na

Dekkereta tym samym, pełnym uwielbienia wzrokiem. - Usłyszałem, mój panie, że księżę Dekkeret przebywał w mieście Stoien. Postanowiłem więc go odnaleźć i zaciągnąć się na służbę u niego.

- U niego, tak? - powiedział Prestimion. - Nie u mnie, lecz u niego. Jakże musi ci to schlebiać, Dekkercie. Powinienem raczej powiedzieć: księżę Dekkercie. Skoro wszyscy uważają, że nim jesteś, może trzeba ci będzie nadać ten tytuł, kiedy wrócimy na Zamek, nie uważasz?

Na nieruchomej zazwyczaj twarzy Dekkereta pojawił się wyraz zdumienia.

- Mój panie, nigdy nie aspirowałem...

- Nie, nie. Wybacz mi sarkazm, Dekkercie. - Muszę być naprawdę bardzo zmęczony, skoro mówię takie rzeczy, pomyślał. Znowu spojrzął na Dinitaka Barjazida. - Tak więc, dalej. Ruszyłeś przez dżunglę...

- Tak, mój panie. To nie była przyjemna podróż, mój panie. Ale musiałem ją odbyć. Czy mam to teraz pokazać, księżę Dekkercie? - zapytał, patrząc w bok.

- Tak, pokaż.

Chłopiec podniósł jutowy worek, który cały czas leżał u jego stóp. Wyjął z niego skomplikowany, metalowy przedmiot, zrobiony z delikatnie splecionych prętów i kabli z różnych metali, ze złota, srebra, miedzi i może jeszcze dwóch innych, wyłożony kamieniami i kryształami, szafirami, szmaragdami i chyba hematytami, po wewnętrznej stronie mający ramę z kości słoniowej. Był nieco

podobny do korony, a może do jakiegoś magicznego przyrządu, jakby rohilli, choć był dużo większy. Prestimion domyślił się, co to za urządzenie.

- To jest - powiedział chłopiec z dumą, wyciągając rękę z przedmiotem w kierunku Prestimiona, by mógł go dokładniej obejrzeć - jedna z trzech działających maszyn snów. Zabrałem ją z namiotu mojego ojca w dżungli i przyniosłem tutaj. Chcę pokazać wam, jak można jej użyć w walce z rebeliantami.

To spokojne stwierdzenie uderzyło Prestimiona jak grom z jasnego nieba.

- Mogę zobaczyć? - zapytał, gdy nieco się opanował.

- Oczywiście, mój panie.

Podał ją Prestimionowi. Był to piękny, lśniący przedmiot, skomplikowany i elegancko zaprojektowany, niewiele cięższy od piórka, który sprawiał wrażenie, jakby pulsował od zamkniętej wewnątrz potęgi.

Prestimion zdał sobie sprawę, że nie był to pierwszy raz, kiedy widział coś takiego. W czasie wojny domowej, kiedy stali obozem na łąkach Marraitis za zachód od rzeki Jhelum w przededniu wielkiej bitwy, którą mieli tam stoczyć, wszedł do namiotu Vroona Thalnapa Zelifora i zobaczył, jak ten operuje podobnie skonstruowanym przedmiotem. Vroon powiedział wtedy, że to maszyna, która pozwala wzmacniać fale pochodzące z ludzkich umysłów, czytać ich najgłębsze myśli i umieszczać w ich głowach swoje własne. Z czasem ją udoskonalił, a potem wpadła w ręce Venghenara Barjazida, a

teraz... teraz...

Prestimion gwałtownie podniósł instrument do własnego czoła.

- Mój panie, nie! - krzyknął młody Barjazid.

- Nie? Dlaczego?

- Najpierw konieczne jest przeszkolenie. W przyrządzie, który trzymasz, zamknięta jest olbrzymia moc. Jeśli założy się go ot tak, można zrobić sobie krzywdę.

- Ach. Może i tak. - Podał maszynę chłopcu, jakby miała wybuchnąć.

Czy to możliwe, że ten młodzik faktycznie przyniósł mu broń, która mogła dać mu nadzieję na stłumienie powstania? Do Dekkereta powiedział:

- Jak myślisz, co tu mamy? Czy chłopcu można zaufać? A może to jakiś nowy podstęp Dantiryi Sambaila, który nam go tu przysłał?

- Zaufaj mu, panie - powiedział Dekkeret. - Och, błagam cię, Lordzie Prestimionie, zaufaj mu!

Podróżni, wracający ze Stoiem na Górę Zamkową, zaczęli drogę na wschód przejazdem wzdłuż wybrzeża do Treymone, gdzie mogli wsiąść na łódź, żeglującą w górę rzeki Trey i płynąc nią tak daleko, jak się dało. Potem trzeba było zakręcić na północ, aby ominąć ponurą pustynię otaczającą miasto Metamorfów, Velalisier. Trasa prowadziła do szerokiej, żyznej doliny Iyann, którą podróżowało się aż do Trzech Rzek, gdzie Iyann skręcała na północ. Tutaj podróżny odbijał lekko na południe, wkraczał na trawiastą równinę zwaną Doliną Gloyn i przejeżdżał przez zachodnią część centralnego Alhanroelu aż do centrum handlowego w Sisivondal. Tam dochodziła główna droga z Góry. Od Sisivondal jechało się prosto aż do podnóży wielkiego szczytu.

Na drogę do domu Prestimion wyposażył Varaile i Akbalika w najobszerniejszy model latacza. Jechali w jego pełnym poduszek, wygodnym wnętrzu, podczas gdy niezmordowani skandarscy kierowcy prowadzili duże, śmigłe pojazdy tuż nad powierzchnią drogi. Towarzyszyła im uzbrojona eskorta złożona ze Skandarów w sześciu opancerzonych, wojskowych ścigaczach. Trzy z nich jechały z przodu, trzy za nimi. Miały chronić ich przez wszelkimi problemami, jakie mogli napotkać po drodze. Wprawdzie nikt przy zdrowych zmysłach nie podniósłby ręki na małżonkę Koronała, ale zdrowie psychiczne stawało się w tych okolicach towarem deficytowym i

Prestimion nie zamierzał ryzykować. Od czasu do czasu latacze zatrzymywały się na krótki postój, by uzupełnić zapasy w mijanej wiosce lub miasteczku. Varaile widziała dzikie, obłąkane twarze, spoglądające na nich i słyszała ostre, łamiące się krzyki szaleńców. Skandarzy jednak utrzymywali wszystkich tych ludzi w bezpiecznej odległości.

Byli teraz za Gloyn i przejeżdżali przez nieznane im miejscowości o nazwach takich jak Drone, Hunzima czy Gannamunda. Dla Varaile ta część podróży była łatwa. Spodziewała się większych niewygód, zwłaszcza, że z każdym dniem zbliżał się moment przyjscia na świat księcia Taradatha. Ale poza tym, że przybierała na wadze, że rosnący brzuch ciążył jej coraz bardziej i poza pojawiającymi się z rzadka bólami nóg, ciąża nie miała wielkiego wpływu na jej samopoczucie. Varaile nigdy nie zastanawiała się nad macierzyństwem - nie miała nawet kochanka, zanim Prestimion wpadł w jej życie jak tornado i porwał ją ze sobą - ale była wysoka, silna i młoda i widziała teraz, że zniesie bez trudu wszelkie wyzwania bycia matką.

Za to Akbalik... nie było wątpliwości, że podróż na wschód bardzo go męczyła.

Zakażenie robiło się chyba coraz poważniejsze. Nic jej oczywiście nie mówił, nie poskarżył się ani słowem. Ale jego czoło przez większość czasu lśniło od potu, jakby miał nieustanną gorączkę. Czasami widziała, jak z bólu gryzie dolną wargę albo odwracał się od niej i jęczał, a Varaile udawała, że nic nie słyszy. Widziała, że dla Akbalika ważne było zachowanie pozorów jeśli nie dobrego zdrowia,

to przynajmniej zdrowienia. Ale wszyscy widzieli, że tylko udaje.

Jak poważnie był chory w rzeczywistości? Czy jego życie mogło być zagrożone?

Varaile wiedziała, że Prestimion miał do Akbalika duży szacunek. Uważał go za podporę tronu. Nie należało nawet wykluczać tego, że widzi w nim swego prawdopodobnego następcę, gdyby coś stało się staremu Confalume'owi i Koronal musiał przenieść się na inny tron.

- Koronal musi zawsze myśleć o sukcesji - mówił jej nie raz i nie dwa. - W każdej chwili może zostać Pontifexem i nie będzie dobrze dla niego, jeśli nie znajdzie zawczasu kogoś, komu mógłby oddać Zamek.

Jeśli Prestimion już wybrał człowieka, który zajmie jego miejsce w takim przypadku, nic jej o tym nie powiedział. Koronalowie nie lubili, jak się zdawało, rozmów o tych sprawach, nawet z własnymi żonami. Ale Varaile już wiedziała, że Septach Melayn, choć kochany przez Prestimiona bardziej niż ktokolwiek inny, był zbyt kapryśny, by można mu było powierzyć tron, a Gialaurys, drugi wielki przyjaciel Prestimiona, był zbyt łatwowierny i za mało bystry.

Więc kto? Navigorn? Był silny, ale cierpiał z powodu czegoś, co mogło być początkami szaleństwa. Był też Dekkeret, obiecujący, zdolny i pełen zapału. Ale on był o dziesięć lat za młody do podjęcia obowiązków Koronala. Zapewne byłby przerażony, gdyby Prestimion miał jutro zwrócić się do niego i zaproponować mu koronę gwiazd.

Został więc tylko Akbalik. Utracenie go z powodu głupiego ugryzienia kraba byłoby strasliwym ciosem we wszystkie plany

Prestimiona. Zwłaszcza w tych trudnych czasach, kiedy kłopoty wyrastały zewsząd jak grzyby.

Wkrótce będziemy w Sisivondal, pomyślała Varaile. To było duże miasto, jej ojciec miał w nim magazyny, bank i spółkę pakującą mięso. W takim mieście musieli być kompetentni lekarze. Czy uda się namówić Akbalika, by leczył się u któregoś z nich? Trzeba było załatwić to bardzo delikatnie.

- Akbalik był tak wrażliwy, że kiedyś wszyscy chodziliśmy do niego po rady - powiedział jej Prestimion. - Ale ta rana go zmieniła. Stał się obraźliwy i gniewny. Musisz teraz bardzo uważać, żeby go nie obrazić.

Varaile sama miała powody, by nalegać na postój w Sisivondal i na wizytę lekarską. Zastanawiała się, czy urazi go propozycja, by przy okazji pozwolił lekarzom obejrzeć swoją nogę.

Spróbuj. Musiała.

*

Od Sisivondal dzieliło ich nadal wieleset mil. Nie pora jeszcze na poruszanie tego tematu.

Siedzieli koło siebie w ciszy, godzinami patrząc jak za oknami przesuwa się płaski, monotony, suchy krajobraz zachodniej części centralnego Alhanroelu.

- Potrafisz mi powiedzieć, czy stoczono tu jakąś bitwę podczas wojny domowej? - zapytała w końcu Varaile, tylko po to, żeby w ogóle rozmawiać.

Akbalik spojrzał na nią dziwnie.

- Skąd miałbym to wiedzieć, pani?

- Myślałam...

- Że brałam w niej udział? Tak pewnie jest, pani. Ale nie pozostały mi żadne wspomnienia. Wiesz, dlaczego tak jest, prawda?

Na jego brwi i policzkach widać było nowe krople potu. Szare, głęboko osadzone oczy miał prawie zawsze przekrwione i nabrały teraz udręczonego wyrazu. Varaile żałowała, że w ogóle zadała to pytanie.

- Wiem, co zrobili magowie pod Granią Thegomar - powiedziała. - Ale... słuchaj, Akbaliku, jeśli wojna jest dla ciebie bolesnym tematem...

Zdawało się, że ledwo ją słyszy.

- O ile mi wiadomo, w pobliżu nie było żadnych starć - Akbalik patrzył nie na nią, tylko przez okno, na spalony słońcem, brązowy krajobraz, w którym z rzadka rosły grupki szarozielonych drzew, wypuszczających dziwne, spiralne zwoje. - Na północny zachód stąd odbyła się bitwa, przy zbiorniku na Iyann. Także w pobliżu Jhelum, na południu i zdaje się, że Prestimion wspominał o bitwie na równinie Arkilon. I oczywiście pod Granią Thegomar, ale to daleko na południowym wschodzie. O ile mi wiadomo, wojna ominęła ten region. - Akbalik odwrócił się nagle i popatrzył na nią z szeroko otwartymi oczyma. - Wiesz, pani, że walczyłem przeciwko Lordowi Prestimionowi?

Varaile nie byłaby bardziej zdziwiona, gdyby wyznał, że jest Zmiennokształtnym.

- Nie - powiedziała z całym opanowaniem, na jakie było ją stać. - Nie, nie miałam pojęcia! Byłeś po stronie Korsibara? Ale jak to możliwe, Akbaliku? Prestimion ma o tobie takie dobre zdanie, wiesz przecież!

- A ja o nim. Mimo to, sędzę, że podczas rewolucji staliśmy po przeciwnych stronach.

- Tylko sędzisz? Nie jesteś pewien?

Przez twarz przemknął mu spazm bólu, który próbował zmienić w krzywy uśmiech.

- Mówiłem ci, żadne wspomnienie wojny nie pozostało w moim umyśle, ani w czyimkolwiek, poza Prestimionem, Septachem Melaynem i Gialaurysem. Ale wiem, że kiedy to się zaczęło, byłem na Zamku. Nawet pomimo sposobu, w jaki Korsibar doszedł do władzy, niezwyčajnego i niespotykanego, wydaje mi się, że uznałbym go jako prawdziwego Koronala po prostu dlatego, że był namaszczony i koronowany. Więc jeśli poproszono mnie, bym za niego walczył, a jestem pewien, że Korsibar by mnie poprosił, zrobiłbym to. Korsibar był na Zamku, a Prestimion gdzieś na prowincji zbierał armię spośród miejscowej ludności. Większość książąt z Góry musiała pewnie służyć jako oficerowie w armii, którą uważano za prawowitą armię królewską. Wiem, że tak zrobił Navigorn. A ja, bratanek księcia Serithorna, nie mogłem przeciwstawić się mojemu potężnemu wujowi i uciec do Prestimiona.

Varaile zakręciło się w głowie.

- Serithorn też był po stronie Korsibara?

- Pani, pytasz mnie o rzeczy, których już nie pamiętam. Ale tak, zdaje mi się, że tak, przynajmniej przez jakiś czas. To były bardzo trudne czasy. Nierzadko ciężko jest powiedzieć, kto był po czyjej stronie.

Nagle prawie wstał, krzywiąc się.

- Akbaliku, czy wszystko w porządku?

- To nic, pani. To nic. Proces zdrowienia... czasem jest trochę bolesny... - uśmiechnął się nieprzekonująco. - Skończmy temat wojny, dobrze? Czy teraz rozumiesz, dlaczego Prestimion wymazał ją z naszych umysłów? To była najmądrzejsza rzecz, jaką mógł zrobić. Wolę być jego przyjacielem do śmierci niż jego dawnym wrogiem, a teraz nie pamiętam, żebym kiedykolwiek był wrogiem, jeśli w ogóle tak było. Navigorn też nie pamięta. Septach Melayn powiedział mi, że Navigorn był najważniejszym generałem Korsibara, ale teraz wszystko zostało zapomniane. Prestimion ufa mu we wszystkim. Dlatego wojna nigdy nie może być czynnikiem w naszych relacjach. I dlatego...

Znowu zajęczał, tym razem nie zdołał tego ukryć. Dziko przewracał oczami, pot płynął każdym porem jego skóry, pokrywając mu twarz jasnym połyskiem. Zaczął wstawać, obrócił się, opadł na poduszki i trząsł się konwulsyjnie.

- Akbalik! Akbalik!

- Pani... - wymamrotał. - Noga... nie wiem... ona...

Varaile złapała dzbanek z wodą, nalała mu i przycisnęła kubek do jego ust. Wypił i słabym skinieniem głowy poprosił o więcej. Potem

zamknął oczy. Przez moment Varaile myślała, że umarł, ale nie, wciąż oddychał. Jest bardzo chory, pomyślała. Zanurzyła chustkę w wodzie i przetarła jego rozpalone czoło. Potem popędziła do przedniej kabiny i załomotała w drzwi, żeby zwrócić uwagę kierowcy. Skandar o brązowym futrze, zwany Varthan Gutarz, który wokół bicepsów trzech z czterech ramion nosił amulety jakiegoś skandarskiego kultu, siedział pochylony nad deską rozdzielczą latacza, ale szybko podniósł wzrok.

- Pani?

- Kiedy będziemy w Sisivondal?

Skandar spojrział na przyrządy.

- Za jakieś sześć godzin, pani.

- Dowieź nas tam w cztery. A kiedy będziemy na miejscu, jedź prosto do największego szpitala w mieście. Książę Akbalik jest poważnie chory.

*

Sisivondal wyglądało, jakby składało się z samych przedmieść. Centralna równina ciągnęła się w nieskończoność, nie rosły tam żadne drzewa, pustkę wypełniały tylko małe grupki chatek z cynowymi dachami, potem pustka, znowu więcej chatek, może dwa razy więcej, niż poprzednio i znów pustka, i kilka rozrzuconych magazynów i warsztatów. Powoli przedmieścia zmieniły się w miasto, ogromne miasto.

I ogromnie brzydkie. Podczas niedawnych podróży po świecie, Varaile widziała kilka brzydkich miejsc, ale Sisivondal było naprawdę

ponurym ośrodkiem handlowym, pozbawionym jakiegokolwiek piękna. Zbiegało się tu wiele głównych dróg. Wiele towarów, przewożonych z Alaisor na Górę Zamkową lub do miast w północnym Alhanroelu przechodziło przez Sisivondal. Było to surowe, praktyczne miasto, mila za milą wypełnione gigantycznymi magazynami, stojącymi przy szerokich bulwarach. Nawet rośliny Sisivondal były nudne i pożyteczne: niskie palmy camaganda o fioletowych liściach, które z łatwością mogły przetrwać długą porę suchą, trwającą większość roku i masywne lummalummy, które dla niewprawnego oka mogły się wydać szarymi skałami, i twarde, kłujące rosetty i garavedy, którym całe wieki zajmowało wypuszczenie wysokiego, czarnego kolca, z którego wyrastały kwiaty.

Wyglądało na to, że bulwar, którym wjechali od zachodu, zabierze ich prosto do centrum. Varaile zauważyła, że wjeżdżające do miasta drogi były jak szprychy wielkiego koła, połączone kolistymi alejami, które miały coraz mniejszą średnicę w miarę zbliżania się do środka. Budynki użyteczności publicznej muszą stać w centrum. Wśród nich na pewno będzie szpital.

Akbalik umierał. Teraz była tego pewna.

Tylko chwilami odzyskiwał przytomność. Niewiele z tego, co mówił, miało sens. W jednym przeblysku świadomości oświadczył, że pewnie trucizna bagiennego kraba dotarła w końcu do serca, ale poza tym bełkotał rzeczy, których nie rozumiała, pomieszane historie turniejów i pojedynków, wypraw myśliwskich, nawet walk na pięści. Pewnie wspomnienia z młodości. Czasem słyszała imię Prestimiona,

czasem Septacha Melayna, czasem nawet Korsibara. Dziwne, że mówił o Korsibarze. Ale przypomniała sobie, że ojciec w szaleństwie robił to samo.

Nareszcie szpital. Ku swemu zaniepokojeniu Varaile odkryła, że główny lekarz był Ghayrogiem, istotą straszliwie obcą jak na te okoliczności. Miał srogi wyraz twarzy i zachowywał się z wielką rezerwą, nie zrobiło na nim wrażenia, że oto stanęła przed nim żona Koronala i nakazywała mu rzucić wszystko, co robi i zająć się bratankiem księcia Serithorna.

Rozwidlony, gadzi język poruszał się z niepokojącą szybkością. Szarozielone, gadzie oczy nie wyrażały współczucia. Spokojny, opanowany głos mógł równie dobrze wydobywać się z maszyny.

- Pani, przybywasz w bardzo trudnym momencie. Wszystkie sale operacyjne są zajęte. Mieliśmy tu wiele nietypowych problemów, które...

Varaile przerwała mu.

- Na pewno tak jest. Ale słyszałeś o księciu Serithornie z Samivole, prawda, doktorze? Ten człowiek jest jego bratankiem. Jest jednym z najbliższych ludzi Koronala. I wymaga natychmiastowej pomocy.

- Posłaniec Tajemnic jest dziś z nami, pani. Poproszę go, by wstawił się u bóstw miasta w sprawie tego człowieka - z tymi słowami Ghayrog skinął na tajemniczą, złowrogą postać, mężczyznę w dziwnej, drewnianej masce przedstawiającej żółtookiego psa z długimi, spiczastymi uszami.

Varaile poczuła przyływ furii. Bogowie miasta? Na Boginię, o

czym mówił ten stwór?

- Mag? Nie. Chcę lekarza, nie maga. Przyjechaliśmy tutaj po pomoc medyczną.

- Posłaniec Tajemnic...

- Może przekazać swoje posłanie komuś innemu. W tej chwili zajmiesz się księciem Akbalikiem, doktorze, albo przysięgam na każdego boga, w jakiego wierzysz, że Lord Prestimion zamknie ten szpital i przeniesie wszystkich jego pracowników do najdalszego zakątka Suvraelu. Czy wyrażam się jasno? - Pstryknęła palcami na jednego ze swoich skandarskich ochroniarzy. - Mizkinie Hroszu, chcę, żebyś spisał imiona wszystkich pracujących w tym szpitalu lekarzy i wszystkich członków personelu, łącznie z Liimenem, który myje stoły operacyjne. A potem...

Ale krnąbrny Ghayrog miał dość. Wydawał już własne rozkazy i nagle znalazły się nosze dla Akbalika, a wokół zebrali się uczciwie wyglądający, młodzi stażyści, zarówno ludzie, jak i Ghayrogowie. Zabrali Akbalika. Posłaniec Tajemnic szedł przy noszach, jakby zamierzano nie tylko poddać księcia konwencjonalnemu leczeniu, ale i powierzyć opiece fantastycznego kultu, który najwyraźniej panował tu niepodzielnie.

Varaile dostała wygodny pokój, w którym kazano jej czekać. Nie trwało to długo. Wkrótce wrócił lekarz Ghayrog. Jego zachowanie było niezmiennie zimne, ale przemówił z nową łagodnością w głosie.

- Pani, próbowałem ci powiedzieć, że w niczym nie mogło pomóc przerwanie opieki nad innymi, poważnie chorymi pacjentami, by zająć

się księciem Akbalikiem, ponieważ od razu widziałem, że stan księcia był krytyczny, i... i...

- Czy on umarł? - zawołała. - Czy próbujesz mi powiedzieć, że on umarł, doktorze?

Z jego twarzy mogła odczytać odpowiedź, zanim jeszcze zdołał ją wypowiedzieć.

Nawet w najśmielszych snach z dzieciństwa Dekkeret nie wyobrażał sobie, że znajdzie się w miejscu takim, jak to: pałacowym królewskim apartamencie na szczycie wysokiego budynku w mieście Stoien, pół świata drogi od jego rodzinnego Normork na Górze Zamkowej. W towarzystwie stojącego po jego prawej Koronala Lorda Majipooru, Prestimiona z Muldemar, z ponurym, zamyślonym wyrazem twarzy. Bez pośrednio za Koronalem zatrzymał się jego mag, Su-Suheris, Maundigand-Klimd, na którego radzie Koronal polegał w każdej sytuacji. Miejsce po lewej zajmowała dystygowana Pani Wyspy Snu, księżna Therissa, ze srebrnym diademem na skroni. Po drugiej stronie pokoju chłopiec, Dinitak Barjazid z Suvraelu, przyciskał do piersi złowieszczy hełm do kontroli umysłu, który wykradł swojemu podstępnemu ojcu w obozie rebeliantów.

Ci ludzie trzymali w dłoniach los świata. Jakimś cudem podczas tych najważniejszych wydarzeń był między nimi Dekkeret z Normork. Nie, nawet w snach nie przyszłoby mu to do głowy. Pomimo to, był tu. Był.

- Pokaż mi go znowu, chłopcze - powiedziała księżna Therissa do Dinitaka Barjazida.

Przyniósł jej hełm. Ręce mu drżały, gdy jej go podawał. On też, pomyślał Dekkeret, jest zdumiony, że znalazł się w takim miejscu.

Już go dokładnie zbadała, obejrzała metaliczne kable i mocowania

z kości słoniowej. Ona i chłopiec długo dyskutowali o technicznych aspektach tego urządzenia językiem całkowicie niezrozumiałym dla Dekkereta, i dla Koronała również.

To była maszyna piękna na swój własny, złowrogi sposób. Przypominała Dekkeretowi magiczne przyrządy, zniszczone przez szalonego maga na chwilę przed tym, jak sam skoczył za burtę podczas podróży rzeką z Piliploku do Ni-moya, którą Dekkeret odbył z Akbalikiem.

Ten hełm był jednak urządzeniem naukowym, nie magicznym aparatem. Może dlatego wydawał się jeszcze straszniejszy. Dekkeret nie wierzył w czary, choć wiedział, że niektórzy magowie - nie wszyscy - mieli prawdziwą moc. Był jednak przekonany, że większość z tego, co robili była oszustwem i szarlatanerią obliczoną na wprowadzenie w podziw łatwowiernych. Sam Maundigand-Klimd mówił to nie raz. Ale ten hełm nie był błyskotką, dziełem szarlatana. Pani rozmawiała o nim z Dinitakiem Barjazidem nie w kategoriach demonów, które można było przywołać przy użyciu odpowiednich zaklęć, lecz mówili o możliwości wzmacniania i przekazywania fal mózgowych przy użyciu elektryczności. To nie brzmiało jak czarnoksiężstwo. Poza tym wiedział, że hełm Barjazidów działa. Sam doświadczył jego straszliwej mocy.

Pani zdjęła diadem i uniosła hełm nad głowę.

Prestimion powiedział:

- Matko, naprawdę sądzisz, że powinnaś?

Uśmiechnęła się.

- Mam niemałe doświadczenie z podobnymi urządzeniami, Prestimionie. A Dinitak wyjaśnił mi zasady działania tej maszyny.

Założyła ją. Dotknęła przełączników, coś poprawiła.

Dekkeret cierpiał patrząc, jak pozwala, by wniknęła w nią potęga tej maszyny. Pomyślał, że jest najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział, wdzięczną, wspaniałą. Jej królewska gracja, jej spokojne rysy, wspaniałe, lśniące, czarne włosy, elegancka, prosta szata z tym zdumiewającym, fioletowoczerwonym klejnotem lśniącym na piersi... zaprawdę, była królową świata. Co będzie, jeśli ta potworna maszyna Barjazidów uszkodzi jej umysł, gdy ją założy? Co będzie, jeśli krzyknie, zblednie na ich oczach i upadnie?

Nie krzyknęła. Nie upadła. Stała, jak zawsze wyprostowana, w całkowitym bezruchu, zahipnotyzowana tym, czego doświadczała, jakby przeniesiona do innego świata.

Nie okazała po sobie, by hełm ją ranił. Jednak z upływem chwil na jej idealnym, białym czole pojawiła się zmarszczka, jej usta zacisnęły się, a ich kąciki ściągnęły w dół w ponurym wyrazie, którego Dekkeret nigdy wcześniej nie widział, a kiedy po czasie, który zdał się być wiecznością, w końcu zdjęła hełm z głowy i podała go Dinitakowi, jej palce leciuteńko drżały.

- Niebywałe - powiedziała. Jej głos był głębszy niż zazwyczaj, niemal ochryply. Wskazała swój diadem, który leżał na stole przed nią. - W porównaniu z nim on wydaje się tylko zabawką.

*

- Jakie to uczucie, matko? Możesz je opisać? - zapytał Prestimion.

- Żeby je zrozumieć, musiałbyś sam założyć hełm Barjazidów. A na to jeszcze długo nie będziesz gotowy - jej wzrok spoczął na młodym Barjazidzie. - Czułam obecność twojego ojca. Dotknęłam jego umysłu - tylko tyle chciała powiedzieć o kontakcie ze starszym Barjazidem, ale twarz Dinitaka stała się poważna i pociemniała, jakby dokładnie zrozumiał, jak musiała się poczuć. Odwracając się znów do Prestimiona, powiedziała: - Odnalazłam też umysł prokuratora. Ten człowiek jest demonem.

- Naprawdę możesz rozróżnić poszczególne umysły, wasza miłość?
- zapytał Dekkeret.

- Ci dwaj świecili jak latarnie morskie - odpowiedziała Pani. - Ale tak, sądzę, że przy odrobinie wprawy znajdę i inne. Wyczułam dalej na wschodzie emanację Septacha Melayna, myślę, że to był on i być może Gialaurysa, albo Navigorna. Poruszają się w stronę prokuratora przez najstraszniejszą z dżungli.

- A moją żona? I Akbalik?

Lady Therissa potrząsnęła głową.

- Nie próbowałam sięgać tak daleko. - Zwróciła się do Dinitaka. - Znalazłam twojego ojca tak łatwo, ponieważ też miał założony hełm. Kiedy wysłałam mój umysł, by zobaczyć, co zdołam odnaleźć, pierwsze, co poczułam, to umysłowa emanacja pochodząca od niego. Maszyna, którą ma, jest potężniejsza od tej, prawda?

- Tak, pani. To późniejszy model. Nie ośmieliłem się go zabrać, nigdy się z nim nie rozstaje.

- Tak jak się obawialiśmy, używa go, by rozsiewać szaleństwo.

Widziałam, jak łatwo można to zrobić. Czar zapomnienia, który twoi magowie rzucili pod koniec wojny, Prestimionie, tak jak mówiłeś, stworzył ubytki w wielu umysłach, osłabienie struktury, które łatwo można przełamać. Nie potrzeba dużego nacisku, by pękły. Kiedy ten człowiek, przy użyciu swego hełmu, dotyka takich ludzi...

Prestimion wydał z siebie odgłos bardzo bliski krzykowi bólu.

- Matko, to musi się skończyć!

Jego udręka była wyraźnie widoczna. Dekkeret patrzył na niego przerażony.

- To może nie być takie proste - powiedział poważnie Maundigand-Klimd. - Używa hełmu, by bronić siebie i swego pana przed atakami, prawda, lady Therisso?

- Tak. Wyczułeś to, nieprawdaż? Zbudował mentalną tarczę, która utrudniła mi kontakt z nim. Nawet kiedy w końcu ją przebiłam, napotkałam wielką ciemność. Nie potrafię wam powiedzieć gdzie, nawet w obrębie pięciuset mil, położony jest obóz.

- Oczywiście - przytaknął Prestimion. - Istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że Barjazid używa hełmu do ukrycia obozu Dantiryi Sambaila przez napastnikami. Akbalik o tym mówił. Nazywał to „chmurą niewiedzy”. Sądził, że prokurator skorzystał z pomocy maga, który wytworzył tę chmurę jakimś zaklęciem, ale kiedy opowiedziałem mu historię Dekkereta o spotkaniu z Barjazidem i jego hełmem w Suvraelu, zasugerował, że ciągłe zniknięcia Dantiryi Sambaila mogą być sprawką Barjazida.

- Możesz być tego pewien, mój panie - powiedział Dinitak. -

Nietrudno jest wykorzystać hełm do stworzenia, jak to nazywacie, chmury niewiedzy w czyimś umyśle. Sam mógłbym to zrobić. Mógłbym stać tu przed wami, a myślelibyście, że zniknąłem.

Prestimion odwrócił się do chłopca.

- Czy uważasz - spytał - że można użyć tych hełmów do zakłócania sobie nawzajem pracy?

- To powinno być możliwe, mój panie. Nie byłoby to łatwe, gdyż mój ojciec doskonale posługuje się tymi przyrządami i zawsze jest niebezpiecznym przeciwnikiem, ale tak, sędzę, że da się to zrobić.

- W takim razie rozwiązanie naszych problemów jest oczywiste. Użyjemy hełmu, który tutaj mamy, do kontruderzenia. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, usuniemy Barjazida i jego maszynę z równania, skończy się szerzenie szaleństwa, a Septach Melayn i Gialaurys będą mogli odnaleźć i zaatakować Dantiryę Sambaila. Jak myślisz, matko? Czy to coś, co mogłabyś zrobić?

Lady Therissa spojrzała synowi w oczy. Przemówiła spokojnym głosem bez wyrazu i bez choćby odrobiny ciepła.

- Prestimionie, jestem nawykła do używania moich mocy do leczenia. Nie do wojen. Nie do atakowania ludzi, nawet takich, jak Barjazid. Albo Dantirya Sambail.

Jej niespodziewana odpowiedź wyraźnie wstrząsnęła Prestimionem. W jego oczach błysnęło zdumienie, a policzki zarumieniły się. Szybko jednak odzyskał spokój.

- Matko, nie możesz myśleć o tym jako o ataku! Spróbuj chociaż widzieć w tym kontratak. To oni są stroną agresywną. Co powinnaś

robić, jeśli nie chronić niewinnych ludzi przed atakami tamtych?

- Być może. Być może. - Pani nie wyglądała na przekonaną. Spochmurniała, widać było, że bije się z myślami. - Musisz też wziąć pod uwagę, Prestimionie, że ledwo potrafię używać tej maszyny. Zanim w ogóle pomyślimy o wykorzystaniu jej tak, jak proponujesz, muszę lepiej ją opanować, zrozumieć jej subtelności, lepiej wyczuć jej siłę i zasięg. A do tego będę potrzebować czasu. Zakładając, że w ogóle się zgodzę.

Wyraz rozdrażnienia na twarzy Prestimiona pogłębił się.

- Czas? Nie mamy czasu! W tej chwili w tej potwornej dżungli znajdują się dwie nasze armie. Jak długo, myślisz, matko, wytrzymają tam? I to szaleństwo, które z godziny na godzinę rozprzestrzenia się z rąk tego człowieka... nie. Nie. Musimy uderzyć natychmiast. Musisz to zrobić, matko!

Pani nie odpowiedziała. Otoczyła się murem królewskiej wielkości i patrzyła na syna w milczeniu. Milczeniu, które jest odpowiedzią, pomyślał Dekkeret. Temperatura w pokoju gwałtownie spadła. Jakież to niezwykle, być świadkiem kłótni pomiędzy Koronalem a Panią Wyspy!

Wtedy lodowatą ciszę przerwał wysoki, jasny głos Dinitaka Barjazida.

- Jeśli Pani tego nie zrobi, ja mogę. Wiem jak.

- Zaatakowałbyś własnego ojca? - wykrzyknął Dekkeret, zdumiony.

Chłopiec spojrzał na niego z pogardą, jakby Dekkeret powiedział

coś nieprawdopodobnie naiwnego.

- Och, dlaczego nie, książę Dekkercie? Jeśli on postanowił zostać wrogiem całego świata, stał się i moim wrogiem. Po cóż miałbym przynosić tutaj hełm, jeśli nie po to, by zaproponować wykorzystanie go przeciw niemu? - oczy mu błyszczały. Twarz aż płonęła młodzieńczym zapalem. - Jestem tu, by służyć, książę Dekkercie. Jak tylko potrafię.

Dekkeret zdał sobie sprawę, że Prestimion również się w niego wpatruje.

Nagle zrozumiał, że młody Barjazid postawił go w niezręcznej sytuacji. W końcu to on przyprowadził chłopaka do Prestimiona. To on namawiał Koronala, by mu zaufał. Od momentu, kiedy Dekkeret wyszarpnął kradnący sny hełm z rąk starszego Barjazida w Suvraelu, Dinitak mówił ojcu, że mądrze będzie pojechać na Górę Zamkową i pokazać moc urzędnika Lordowi Prestimionowi.

Ale gdyby założyć, że - jak zasugerował Prestimion, gdy Dinitak nagle przyłączył się do niego w Stoien - obecna sytuacja naprawdę jest częścią zdradzieckiego planu Dantiryi Sambaila? Co będzie, jeśli chłopak, mając na głowie hełm połączy siły z oddalonym o tysiące mil, przebywającym w Stoienzar ojcem, który ma na sobie drugie takie urządzenie? Razem mieliby siłę nie do przewyciężenia.

To ryzykowny plan, pomyślał Dekkeret. Stawiamy wszystko na odzianego w łachmany młodzika, w którego żyłach płynie krew człowieka, dla którego fałsz i zdrada są równie naturalne jak oddychanie. Czy wolno nam ryzykować aż tak?

A jednak... mimo to...

- Cóż powiesz, Dekkercie? - zapytał Koronał. - Przyjmiemy propozycję chłopca?

Dekkeret spojrział obok Prestimiona, na zachowującą dystans, tajemniczą postać Maundiganda-Klimda, który przez całą dyskusję pozostawał w cieniu.

Pomóż mi, błagał Su-Suherisa oczami. To dla mnie za wiele. Pomóż mi. Pomóż mi.

Czy Maundigand-Klimd zrozumiał?

Tak. Czwooro zielonych oczu maga patrzyło prosto w jego własne. Lewa głowa skinęła prawie niezauważalnie. Potem zrobiła to też prawa. Potem zaś, nie było najmniejszych wątpliwości, obie głowy skinęły jednocześnie.

Dziękuję ci, Maundigandzie-Klimdzie. Dziękuję z głębi serca.

Pewnym głosem Dekkeret powiedział:

- Kiedy tylko tu przybył, powiedziałem, żeby mu zaufać, mój panie. Wciąż twierdzę, że tak należy zrobić.

- Niech więc tak będzie - zgodził się natychmiast Prestimion. Najwyraźniej sam podjął identyczną decyzję. Spojrział na młodego Barjazida. - Spotkamy się później - powiedział chłopcu - omówić sprawę kontraktaku. - Potem przemówił do księżnej Therissy: - Matko, nie musisz się stawić. Nie będę prosił cię, byś brała w tym udział, skoro jest to dla ciebie tak nieprzyjemne. Choć mam też dla ciebie inne zadanie. - I w końcu zwrócił się jednocześnie do Dekkereta, Dinitaka i Maundiganda-Klimda: - Możecie teraz odejść, wszyscy

trzej. Chciałbym przez chwilę побыć sam z matką.

*

Z szafki pod oknem Prestimion wyjął butelkę wina z Muldemar, rzadkiego rocznika, który przywiózł do Stoiem z Zamku. Hojnie napełnił ich kielichy.

- Proszę o wybaczenie, matko - powiedział, kiedy wypili kilka łyków i odstawili kielichy. - Ubolewam, że postawiłem cię w takiej niezręcznej sytuacji przy innych.

- Nie poczułam się obrażona. Jesteś Lordem Koronalem, Prestimionie. Odpowiadasz za losy tego świata. Ci ludzie zagrażają nam wszystkim i trzeba podjąć przeciwko nim działania. Pragnę zrobić co w mojej mocy, by ci w tym pomóc. Ale poprosiłeś o coś, czego nie mogę ci dać.

- Za to przepraszam, matko. Powinienem był pomyśleć, zanim przemówiłem. Dla ciebie użycie twych mocy do aktu agresji...

- Teraz to rozumiesz. - Pani uśmiechnęła się i wzięła go za rękę. Pocałowała ją lekko, zaledwie muskając ustami. - Trzeba spróbować, ze mną lub bez. Zastanawiam się, czy chłopcu uda się pokonać ojca. Wystarczył mi krótki kontakt z jego umysłem, by zrozumieć, jaki jest groźny. I zły.

- W najgorszym przypadku Dinitak go osłabi, a to też pomoże. Niespodziewany atak, osłabiający czujność... odwrócenie uwagi... dywersja... - Prestimion zadrżał. - Cóż, wkrótce się dowiemy. - Podniósł srebrny diadem Pani, który leżał na stole, tam, gdzie go położyła. Natychmiast poczuł mrowienie mocy, która się w nim kryła.

- Musisz mnie lepiej wytrenować w korzystaniu z tego urządzenia. Będę również chciał nauczyć się korzystać z hełmu Barjazida. Jeśli mam siedzieć tak daleko od linii frontu, jak wszyscy się upierają, chcę móc uczestniczyć w walce tak, jak tylko będzie to możliwe, nawet na odległość.

- W tym mogę pomóc.

- Możesz? Z maszyną Barjazida również?

- Opanowanie jej nie przyjdzie ci łatwo. Ale tak, Prestimionie, udzielę ci wszelkiej pomocy, jakiej tylko mogę. Co oznacza, że sama muszę się wiele nauczyć. Co to za wino? Jest doskonałe.

Roześmiał się.

- Nie poznajesz go? Pochodzi z naszych winnic, matko!

Napiła się znów, tym razem uważniej smakując wino i poprosiła, by znów napełnił jej kielich.

- Z przyjemnością - powiedział. Po chwili dodał: - Matko, proszę, załóż znów swój diadem. Wyślij dla mnie swój umysł daleko. Są rzeczy, których muszę się dowiedzieć. Powiedz mi, jak radzi sobie moja armia w dżunglach Stoienzar i znajdź Varaile w drodze na wschód, i mojego biednego, cierpiącego Akbalika.

- Tak. Oczywiście - założyła wąską, srebrną opaskę i na chwilę zamknęła oczy, a kiedy znów je otworzyła, Prestimion zobaczył, że weszła w trans, teraz swobodnie przenosiła się po świecie. Wyglądała, jakby w ogóle nie zdawała sobie sprawy z jego obecności. Prawie nie odważał się oddychać. Nie było jej długo, a potem z jej oczu zniknęła nieobecność i znów była sobą.

Ale milczała.

- I? - powiedział Prestimion, kiedy nie mógł już dłużej wytrzymać.

- Co widziałaś, matko?

- Najpierw trafiłam na Septacha Melayna. Jaki to wspaniały człowiek, zawsze czarujący, zawsze elegancki i pełen wdzięku! I jest ci ogromnie oddany.

- Jak sobie radzi?

- Był niespokojny i zmartwiony. Porusza się naprzód przez dżunglę, ale nigdzie nie znajduje wroga. Zwiadowcy wciąż przynoszą nowe informacje o obozie prokuratora, ale kiedy armia tam się udaje, nikogo nie znajdują. Jakby nikogo tam nigdy nie było.

- Chmura niewiedzy. Przy pomocy młodego Barjazida będziemy mogli ją przezwyciężyć. A Varaile, a Akbalik?

- Są bardzo daleko stąd, nieprawdaż? Są daleko za połową kontynentu.

- Mam taką nadzieję. Ale pokonanie takiej odległości nie jest dla ciebie problemem, prawda?

- Nie - przyznała i znów wprawiła się w trans. Tym razem, gdy z niego wyszła, miała zaciśnięte szczęki, a oczy niepokojąco ponure. I znowu zwlekała z opowieścią, aż Prestimion prawie oszalał. Pozbieranie się po takiej podróży zajmowało jej trochę czasu.

- Czy coś się stało? - spytał w końcu drżącym głosem. - Varaile? Dziecku?

- Nie. Z twoją żoną i dzieckiem, które nosi, jest wszystko w porządku. Ale twój przyjaciel Akbalik...

- Jego stan się pogorszył?

Pani wahala się przez chwilę.

- Jego cierpienie się skończyło, Prestimionie.

Te ciche słowa uderzyły go z bestialską siłą. Przez moment Prestimion był nimi zamroczony. Potem, powoli odzyskując władzę nad sobą, powiedział cicho:

- Posłałem go na śmierć, gdy pozwoliłem mu iść do dżungli. To nie pierwszy dobry człowiek, którego życie z mojej winy skończyło się za wcześnie. Obawiam się, że nie ostatni... Myślałem, matko, że zostanie Koronalem po mnie. Tak bardzo go szanowałem.

- Wiem, że go kochałeś. Żałuję, że przynoszę takie nowiny.

- Sam o nie prosiłem.

Skinęła głową.

- Wydaje mi się, że problemów jest więcej. Wyczułam ich ślad, kiedy wysłałam mój umysł w podróż. Pozwól, że znów spojrzę.

Po raz trzeci zapadła w trans. Prestimion opróżnił kielich i czekał. Tym razem, gdy powróciła, nie zadawał jej niecierpliwych pytań.

- Tak - odezwała się w końcu. - Tak mi się wydawało. Prestimionie, u wybrzeży Zimroelu zebrała się wielka flota. Właściwie armada. Mnóstwo statków, może i ponad sto, czeka na morzu w pobliżu Piliplok na rozkaz wypłynięcia od Dantiryi Sambaila.

- Więc o to chodzi! Przez cały ten czas po cichu zbierał armię do inwazji, a teraz są gotowi! Ale jakie to dziwne, matko, że zebrały się niezauważone, że nikt o tym nie doniósł...

- Wykryłam je z największym trudem. Poruszają się pod osłoną wiecznej nocy, nawet za dnia.

- Oczywiście! Znowu chmura niewiedzy! Pod którą skrył się przed nami nie tylko prokurator, ale i cała flota! - Prestimion wstał. Ku własnemu zdziwieniu poczuł, że ogarnia go jakiś spokój. Większość nowin była zła, ale przynajmniej usłyszał już wszystko, co najgorsze.

- Niech tak będzie - oznajmił głośno. - Wiemy w każdym razie, z jakim wrogiem się mierzymy. Musimy walczyć, prawda, matko?

*

- Robi się ciemno - powiedział Navigorn. - Może rozbijemy tu obóz?

- Czemu nie? - zgodził się z nim Septach Melayn. - To miejsce jest równie złe jak każde inne.

I gorsze niż niektóre, pomyślał. Szkoda, że nie było z nimi młodego Dekkereta. Jeśli wciąż miał ochotę na pokutę i karę, która pognała go w podróż do Suvraelu, ta dżungla wydałaby mu się idealna do samobiczowania. Na świecie musiało być niewiele regionów mniej gościnnych niż południowy Stoienzar.

W drodze na zachód przez półwysep widzieli nieskończoną procesję ohydy. Drzewa, które kiełkowały, wyrastały i umierały w ciągu jednego dnia - wyrastały z ziemi o świcie, w południe miały wysokość trzydziestu stóp, wypuszczały brzydkie, czarne kwiaty, które rozsiewały gryzący, szkodliwy opar i w ciągu godziny przemieniały się w napuchnięte, dojrzałe, śmiercionośne owoce, a wreszcie umierały od własnej trucizny o zmierzchu. Fioletowe kraby,

wielkie jak domy, z łoskotem wypadały ze swoich kryjówek pod samym nosem wędrowców, klekocząc morderczymi szczypcami, ostrymi jak szable. Czarne ślimaki, które wypluwały czerwony kwas prosto na kostki podróżnych. I wszędzie przekłete, wredne palmy piłowe, ohydne manganozy, radośnie machające swoimi straszliwymi liśćmi na każdego, kto ośmielił się do nich zbliżyć.

A teraz obozowisko Navigorna: szeroka, pylista, szara plaża pokryta ostrym żwirem przy suchej, żwirowej rzece. Doskonale, pomyślał Septach Melayn. Rzeka bez wody, dająca oku tylko jałową łąkę małych, pokruszonych kamyków. Gdzieś pod spodem musi być woda, bo jeśli stało się i patrzyło w koryto dość długo, widać było, że kamyki poruszają się powoli i nieustannie, jakby wzdłuż biegu rzeki włókł je podziemny strumień. Dla zabicia czasu, pomyślał, można by tu stać i łowić drogie kamienie, starać się wypatrzyć szmaragdy czy rubiny czy cokolwiek innego, niesione jak małe rybki wśród tych nieciekawych, powolnie poruszających się śmieci. Podejrzewał jednak, że trzeba by czekać pięćdziesiąt lat, zanim znalazłoby się coś ciekawego. Albo wieczność.

Gialaurys wysiadł z latacza i podszedł do niego.

- Czy zamierzamy rozbić tu obóz?

- A widziałeś jakieś lepsze miejsce?

- Tu nie ma wody.

- Ale nie ma też manganoz i bagiennych krabów - zauważył Navigorn. - Mógłbym odpocząć od nich przez jedną noc. A rano możemy udać się prosto do obozu prokuratora.

Gialaurys zaśmiał się chrapliwie i splunął.

- Nie. Tym razem naprawdę go znajdziemy. Mam przeczucie, że tak właśnie będzie.

- Tak. - Septach Melayn zgodził się z przyjacielem. - Oczywiście, że tak.

Odszedł od nich, usiadł przy brzegu rzeki, na głazie w kształcie siodła. Pokryte łuską, wielonogie stworzenia wielkości jego pięści szukały pożywienia w górnej warstwie żwiru, wkopywały się niżej, żeby wylapać małe zwierzątka, które tam się kryły. Jakieś robaki, pomyślał, albo skorupiaki, albo oddychające powietrzem ryby tej suchej rzeki. Ryby z nogami pasowałyby do rzeki bez wody. Jedna z nich gramoliła się po żwirze i patrzyła na niego pół tuzinem jasnych, paciorkowatych oczu, jakby rozważała podbiegnięcie do jego kostki i skosztowanie jej. W Stoienzar wszystko próbowało gryźć, nawet rośliny. Septach Melayn rzucił w stwora kamieniem, nie próbując trafić, i zwierzak zniknął mu z oczu.

Obfitość nieprzyjaznej flory i fauny sprawiała, że przechodził tu bardzo ciężką próbę. Jego towarzysze musieli naprawdę cierpieć. Niezmiennie wroga przyroda tego półwyspu była tak przesadzona, że niemal zabawna, ale tylko przez jakiś czas można było znajdować rozrywkę w wyzwaniach rzucanych przez ziemię, która w każdej chwili dostarczała nowych niewygód i niebezpieczeństw. Cała ta przygoda zaczynała ich coraz bardziej męczyć. Wszystkim zdawało się już, że całe życie ścigają Dantiryę Sambaila, najpierw na wschodzie, potem w Ketheronie, Arvyandzie i Sippulgarze, a teraz ta

niekończąca się wędrówka przez Stoienzar.

Właściwie jak długo tu już byli? Tygodnie? Miesiące? Jeden dzień zlewał się z drugim. Wydawało się, że wkroczyli w tę potworną okolicę wieki temu.

Już trzy razy zwiadowcy ruszali naprzód i wracali z informacją, że znaleźli obóz prokuratora. Żywe, ruchliwe miejsce, setki ludzi, namiotów, lataczy i wierzchowców, stopy zapasów - ale wszystko zniknęło jak widmo wieczorem, gdy armia przemieszczała się i była gotowa do ataku. Czy zwiadowcy znajdowali tylko iluzję? A może to brak obozu był iluzją?

Nieważne jak było, Septach Melayn wiedział, że musi tu działać jakaś magia. Abrakadabra magów, wpływająca na umysły, jakieś diabelskie zaklęcie. Dantirya Sambail bawił się nimi. A tymczasem niewątpliwie szykował wszystko do z dawna planowanego uderzenia, którym pragnął zemścić się na Prestimionie za to, że na tak wiele sposobów zdławił jego głód władzy.

*

Kolejny łuskowaty stwór z rzeki gapił się na niego z odległości może tuzina stóp. Stał na wpół wyprostowany, mnóstwem nóżek rysując w powietrzu skomplikowane wzory.

- Czy jesteś jednym ze szpiegów prokuratora? - zapytał go Septach Melayn. - Powiedz mu, że Septach Melayn przysłała podarek!

Znów rzucił kamieniem, tym razem dobrze celując. Ale jakimś cudem to małe zwierzę uniknęło pocisku, zręcznie przesuwał się w bok o zaledwie kilka cali. Dalej na niego patrzyło, jakby prowokując

do kolejnej próby.

- Nieźle - pochwalił je. - Niewielu potrafi uniknąć ciosów Septacha Melayna!

Zostawił stworzenie w spokoju. Poczuł nagłą senność, choć był dopiero zmierzch. Przez moment z nią walczył, obawiając się, że rzeczne istoty obleżą go we śnie, ale potem rozpoznał znaki zbliżającego się przesłania od Pani i pozwolił sobie zapaść w sen.

W kilka zaledwie chwil wszedł we właściwy trans tam, na brzegu żwirowej rzeki. Nie był już w Stoienzar, lecz na zielonej i pokrytej liśćmi polanie wspaniałego parku Lorda Havilbove na stokach Góry Zamkowej, a Pani Wyspy Snu była z nim, matka Prestimiona, piękna lady Therissa. Mówiła mu, by niczego się nie bał, ruszał naprzód i odważnie uderzał.

Odpowiedział:

- Strach nie jest problemem, pani. Ale jak mogę uderzyć na coś, czego nie widzę?

- Pomożemy ci zobaczyć - obiecała mu Pani. - Pokażemy ci oblicze wroga. A wtedy, Septachu Melaynie, przyjdzie twój czas. Pora na działanie.

To był koniec. Chwila przeminęła. Pani odeszła. Septach Melayn otworzył oczy, zamrugał, zrozumiał, że śnił.

Przed nim stało pół tuzina łuskowatych stworzeń z rzeki. Wspięły się na żwir i stanęły półkolem, nie dalej niż dziesięć cali od jego butów, w tej swojej dziwnej, na wpół wyprostowanej pozie. Patrzył, jak machają przednimi łapkami, podobnie, jak robił to pierwszy.

Wyglądało to prawie tak, jakby próbowały rzucić na niego jakiś czar. Czy miał przed sobą zebranie małych czarowników? Czy zamierzały zaraz ruszyć naprzód i zanurzyć swoje małe szczęki w jego ciele?

Chyba nie. Po prostu siedziały tam i go obserwowały. Być może były zafascynowane widokiem długonogiego człowieka, drzemiącego na głazie. Nie czuł zagrożenia. Widok tych stworzeń, ustawionych, jakby odbywały prawdziwy mały wiec, był tylko zabawny.

O ile sobie przypominał, byli to pierwsi mieszkańcy Stoienzar, którzy nie sprawiali wrażenia wrogich.

To dobry omen, pomyślał. Może sprawy zmienią się teraz na lepsze.

Może.

- Teraz - powiedział Prestimion. - Jeśli wszyscy jesteście gotowi, zaczynamy!

Cała czwórka zebrała się wokół niego w pokoju, pełniącym rolę punktu dowodzenia, należącym do królewskiego apartamentu Kryształowego Pałacu w Stoiem: Dinitak, Dekkeret, Maundigand-Klimd i Pani Wyspy. Świtało. Szykowali się na tę chwilę nieprzerwanie i w największym skupieniu od dziesięciu dni.

Dinitak miał na głowie hełm snów. Miał być w awangardzie ataku. Pani, korzystając ze swojego srebrnego diademu, śledziła rozwój wszystkich aspektów walki i informowała o nich Prestimiona.

- Tak, mój panie, jestem gotów - powiedział młody Barjazid, beczelnie mrugając do Prestimiona.

Chłopak zamknął oczy. Poprawił coś na brzegu hełmu. Wyrzucił swój umysł w górę i na zewnątrz, w kierunku obozu Dantiryi Sambaila.

Minęła nieskończenie długa chwila. Potem lewy policzek Dinitaka drgnął i ściągnął bok jego twarzy w brzydkim grymasie. Chłopak podniósł lewą rękę i szeroko rozczapierzył palce, które zaczęły trząść się jak liście na wietrze.

- Kieruje energią hełmu przeciwko swojemu ojcu - wymruczała Pani Wyspy. - Szuka go. Nawiązuje kontakt.

Chłopiec drżał. Drżał. Drżał. Drżał.

Dekkeret odwrócił się do Maundiganda-Klimda.

- Czy dobrze robimy? - zapytał cicho. - Wiem, jaki jest ojciec. Jeśli będzie mógł, zabije go.

- Bądź spokojny. Pani go ochroni - zapewnił go Su-Suheris.

- Naprawdę uważasz, że ona...

Prestimion machnął na nich ze złością, nakazując ciszę. Do matki powiedział:

- Czy masz też kontakt z Septachem Melaynem?

Odpowiedziała mu skinieniem głowy.

- Gdzie jest? Jak daleko od Dantiryi Sambaila?

- Bardzo, bardzo blisko. Ale o tym nie wie. Chmura niewiedzy osłania obóz prokuratora.

Dinitak Barjazid wydał z siebie ostry dźwięk, niemal skowyt. Nie wiedział chyba, że to zrobił. Oczy miał wciąż zamknięte, obie dłonie zaciśnięte w pięści, obie strony twarzy drżały mu konwulsyjnie tak, że jego rysy były powykrzywiane i wykręcone w ciągle zmieniający się, chaotyczny wzór.

- Nawiązał kontakt z ojcem - powiedziała księżna Therissa. - Ich umysły się stykają.

- I?

Ale teraz oczy Pani również były zamknięte.

Prestimion czekał. Prowadzenie bitwy na odległość, ilu, dwóch tysięcy mil? doprowadzało go do szaleństwa. Przeklinał własną beczynność. Gdzieś tam był Dantirya Sambail, mający u boku Venghenara Barjazida w jego hełmie. Niedaleko na wschód od obozu

prokuratora byli Septach Melayn, Gialaurys, Navigorn i armia, która szła za nimi przez Stoienzar. Druga armia, regiment sił Pontyfikatu, prowadzony przez oficera zwanego Guyan Daood, zbliżała się z przeciwnej strony. Tymczasem Koronal Majipooru stał beczynnie z boku w swoim luksusowym pokoju z dala od bitwy i był tylko obserwatorem, zależnym od niesprawdzonego i prawie mu nieznanego chłopca z Suvraelu, który miał utorować drogę jego armiom i od swej matki, informującej go o wydarzeniach.

- Ojciec wie, że jest atakowany - powiedziała Pani jak w transie. - Ale nie odkrył jeszcze, przez kogo. Kiedy to zrobi... a... aaa...

Wskazała wyciągniętym palcem na drugą stronę pokoju. Prestimion zobaczył, jak Dinitak cofa się gwałtownie, jakby jego ciało dotknęło gorące ostrze, chwieje się, pochyla, niemal pada. Dekkeret podbiegł do przyjaciela, podtrzymał go, pomógł mu odzyskać równowagę. Odsuwając Dekkereta na bok, jakby był ledwie muchą, chłopak rozstawił stopy, odrzucił w tył głowę, ściągnął ramiona i pozwolił rękom zwisać swobodnie wzdłuż boków. Drżał na całym ciele. Jego dłonie otwierały się i zamykały, raz zwijały w pięści, raz sztywno prostował palce.

Z ust Dinitaka wydobył się nowy dźwięk, dziwniejszy niż poprzednio. Był chrapliwy i niski, zwierzęcy, pulsujący, nie całkiem warkot, nie całkiem skowyt. Prestimion słyszał wcześniej ten dźwięk, ale gdzie? Potem przypomniał sobie: to krokkotas, zamknięta w klatce, mordercza istota z nocnego targu w Bombifale, jedna wielka szczęka, zęby i pazury, wydawała taki sam dźwięk. Potem zrobił to

jeszcze Dantirya Sambail tamtego dnia w tunelach Sangamora, też wydał z siebie warczenie krokkotasa, przerażający odgłos gniewu, nienawiści i pasji.

A teraz robił to Dinitak.

- Ojciec przemawia przez gardło chłopca - wyszeptała Pani. - Krzyczy z gniewu wzbudzonego zdradą.

Prestimion zobaczył, jak Dekkeret blednie ze strachu. Od razu wiedział, co młody chłopak musiał pomyśleć: że Venghenar Barjazid zwycięża, że lepsza znajomość maszyny myśli, jego zła, pozbawiona skrupułów natura, dzika determinacja, by zwyciężyć, muszą okazać się za dużym wyzwaniem dla Dinitaka. Być może zobaczą na własne oczy, jak chłopiec zostanie zniszczony.

Dinitak jednak wielokrotnie powtarzał im, że jest pewien sukcesu, a teraz nie miał wyboru, musiał przeć naprzód. To była droga, którą wybrali, nie mieli żadnej innej.

A Dinitak Barjazid sprawiał wrażenie, jakby znosił ciosy swojego ojca.

Przerażający warkot ustał. Podobnie najsilniejsze drgawki. Dinitak stał twardo, pogrążony w głębokim transie, z rozdętymi nozdrzami, otwartymi, lecz niewidzącymi oczami, wyszczerzonymi zębami i rozdziawionymi ustami. Wyglądał dziwnie, ale też dziwnie spokojnie, jakby przebył strefę straszliwych burz i dotarł do leżącej za nią spokojnej okolicy. Prestimion skwapliwie wychylił się do przodu.

- Powiedz mi, co się dzieje, matko!

- Tak. Tak. - Pani też była bardzo odległa. Słowa przychodziły jej z

trudem. - Oni... zmagają się o władzę. Żaden... nie jest w stanie odepchnąć... drugiego. To... pat. Pat, Prestimionie.

- Gdybym tylko mógł jakoś pomóc...

- Nie. Nie ma potrzeby. Trzyma ojca w szachu. Sprawia, że nie może... nie może...

- Czego nie może, matko?

- Podtrzymać chmury niewiedzy - powiedziała księżna Therissa. Na chwilę wyszła z transu i skupiła wzrok na Prestimionie. - Ojciec nie może kontrolować obu rzeczy naraz, nie może powstrzymywać ataków syna i otaczać obozu prokuratora chmurą niewiedzy. Dlatego chmura się rozwiewa. Septach Melayn ma otwartą drogę.

*

Ta część dżungli nie różniła się od innych, była siedliskiem potworów. Upał. Wilgoć. Piaszczysta, mokra, bagnista gleba. Wszędzie gąszcz palm manganosa. Dziwne rośliny, na niebie dziwne ptaki, dziwne zwierzątka przyglądające się im z poszycia oczami, w których był głód, w powietrzu chmury złowrogich, bzyczących owadów, nad nimi wielkie, bezlitosne oko słońca, zajmujące połowę nieba. Pobliski ocean po lewej stronie i ściana zieleni po prawej. Gęsto zamieszkały, północny brzeg półwyspu znajdował się gdzieś za tymi drzewami, przyjemna kraina tętniących życiem portów, bogatych gospodarstw, okazałych kurortów, willi nad zatoką, lecz nikt tu nie zdawał się wierzyć, że one naprawdę istnieją. Północny brzeg mógł równie dobrze istnieć gdzieś w innym świecie.

Tutaj rośliny i zwierzęta były niestrudzonymi wrogami. Wszędzie

czaiły się koszmarnie, zębate i pazurzaste stwory. Raz za razem trzeba było opuszczać bezpieczne schronienie wewnątrz lataczy, wyjmować miotacze energii i wysadzać uparte plątaniny niebezpiecznych roślin o ostrych liściach, które blokowały przejazd. I po co? Po co? By gonić za niewidzialnym wrogiem, który wymykał im się ze zręcznością bagiennego ognika?

Ale dzisiaj... dzisiaj będzie inaczej. Obiecała im to Pani.

- Czujesz, że jest z tobą? - spytał Gialaurys. Tego dnia on i Septach Melayn jechali w czołowym lataczu. Navigorn był tuż za nimi.

- Tak, czuję ją.

Przesłania sływały na niego przez ostatnie półtora dnia, nieważne czy spał, czy czuwał. Było to coś, czego Septach Melayn nigdy jeszcze nie doświadczył, nawet nie wyobrażał sobie, że to możliwe. Pani była wciąż obecna w zakamarku jego umysłu, mówiła do niego cicho, często nie używając słów, po prostu dotykała go, uspokajała, pocieszała, dawała mu swoją siłę.

Była przy nim teraz.

Wstańcie przed świtem. Wyruszcicie bez wahania. Jesteście bardzo blisko wroga.

- Co mówi? - dopytywał się Gialaurys. - Powiedz mi, Septachu Melaynie! Powiedz! Chcę wiedzieć! - był jak wielki, ochoczy, zbyt przyjazny, oswojony zwierzak, który włożył Septachowi Melaynowi na głowę. - Czy naprawdę jesteśmy blisko? Dlaczego nic nie widać? Nawet dymu z ognisk?

- Spokojnie, Gialaurysie - powiedział Septach Melayn. Z tym

wielkim mężczyzną trzeba było postępować cierpliwie. Miał dobre intencje i serce. - Chmura niewiedzy wciąż zakrywa wszystko przed nami.

- Ale Pani mówi, że się rozwieje...

- Spokojnie, Gialaurysie, spokojnie.

- Jesteś dziś bardzo dziwny, Septachu Melaynie.

- Wyjątkowo zgadzam się z tą opinią. W ogóle nie jestem sobą. Ale daj mi spokój, pozwól wysłuchać wiadomości od Pani bez akompaniamentu twojego basu, dobrze?

- Mówi do ciebie nawet teraz, gdy nie śpisz?

- Proszę - powiedział Septach Melayn tonem ciężkim od irytacji, zmęczenia i gniewu, i tym razem Gialaurys smutno poczłapał do swojej części kabiny. W milczeniu.

Wyruszyli zaraz po wchodzie słońca i teraz, godzinę później, słońce szybko pięło się w górę. Poruszali się przez dżunglę w kierunku północnozachodnim, ale wciąż pozostawali w odległości paru mil od morza. Pani, przemawiająca przez Septacha Melayna ze swojej pozycji u boku Prestimiona, wskazywała im drogę.

Septach Melayn wiedział, że w Stoiem miało miejsce jakieś tajemnicze przedsięwzięcie, podjęte pod wodzą Prestimiona i z pomocą Pani. Nie miał pojęcia, na czym polegało, wiedział tylko, że znaleźli jakiś sposób, by uderzyć w Dantiryę Sambaila na odległość i że wkrótce mieli podnieść całun ciemności, który od wielu tygodni powstrzymywał Septacha Melayna i jego armię od zaatakowania wroga, po którego przybyli do tej upiornej dżungli.

Czy naprawdę tak było? A może to tylko halucynacje, stworzone przez jego mózg, wycieńczony długą podróżą? Skąd miał to wiedzieć?

Co miał robić, jeśli nie usłuchać wskazówek, które pojawiały się w jego głowie i mieć nadzieję, że były prawdziwe? Musiał przebijać się wciąż naprzód, póki ta wyprawa się nie skończy, o ile w ogóle spotka ich to szczęście.

Ależ dziwne to wszystko, pomyślał Septach Melayn, wspominając krótki i niespokojny okres dotychczasowych rządów Prestimiona. „Lord Confalume powiedział, że będę następnym Koronalem”, usłyszał od Prestimiona któregoś dnia, kiedy byli dużo młodszy, młodszy o tysiące lat. Cieszyli się wtedy, on, Gialaurys i mały diuk Svor, i pili długo w noc. Pod koniec przyszedł Akbalik i pomógł im dokończyć wino, przyszedł Navigorn i Mandrykarn, który zginął na wojnie, Abrigant i może jeszcze jeden z braci Koronala i nawet Korsibar - tak, Korsibar był wtedy z nimi, radośnie obejmował Prestimiona, jak wszyscy, bo szalony pomysł sięgnięcia po koronę nie przyszedł mu wtedy jeszcze do głowy. Tamtej nocy przyszłość malowała się w jasnych barwach. Ale potem... Uzurpacja, wojna domowa, wymazanie pamięci i te nowe kłopoty z Dantiryą Sambailem. Jak do tej pory całe rządy Prestimiona były czasem smutku i znoju. Jaki zysk z faktu, że Prestimion jest Koronalem miał ktokolwiek z nich, poza niewygodami, bólem, zmęczeniem, smutkiem po stracie drogich przyjaciół?

A teraz... teraz ta potworna, nieskończona podróż przez Stoienzar w pogoni za duchem, który nie dawał się odnaleźć...

Septach Melayn wzdrygnął się. To, jak i wszystko inne, było częścią planu Bogini. Bogini, która kiedyś wezwie ich z powrotem do Źródła, bo takie było przeznaczenie wszystkich, którzy kiedykolwiek żyli, wielkich i małych. Jakie wtedy znaczenie będzie miał fakt, że musieli znosić te chwile niewygody w dżungli, kiedy woleliby bawić się na Zamku?

Dlatego koniec narzekania. Trzeba iść wciąż naprzód, gdziekolwiek będzie trzeba. Wykonywać swoje zadanie, jakiegokolwiek by ono było.

Patrzył naprzód przez okno latacza.

- Gialaurysie? - powiedział nagle.

- Powiedziałeś, że nie życzysz sobie rozmów.

- To było wcześniej. Spójrz, Gialaurysie! Spójrz tam! - Septach Melayn gwałtownie zatrzymał latacz i pokazywał na północ gwałtownymi gestami ręki z wyciągniętym wskazującym palcem.

Gialaurys spojrział we wskazanym kierunku, przecierając oczy.

- Polana? Namioty? - wybełkotał niewyraźnie, zdumiony.

- I polana, i namioty.

- Czy myślisz, że gdzieś tam jest Dantiryja Sambail?

Septach Melayn skinął głową. Trafili na skraj prawdziwej drogi, szerokiej na dwa latacze, przecinającej szlak, którym podążali na zachód. Rozpoczęła się na północy, pomiędzy gąszczami manganocy i prowadziła chyba do morza. Przez wyrwę, którą tworzyła w ścianie palm piłowych widać było żółtobrazowe namioty sporej wielkości obozowiska w środku dżungli, dokładnie takiego, jak

pospiesznie improwizowane miejsca postoju, których ślady wielokrotnie znajdowali zwiadowcy.

W jego głowie rozbrzmiał słodki głos Pani, mówiącej, że dotarli do końca drogi i powinni szykować się do ataku.

Wysiadł z latacza i podszedł do stojącego za nimi pojazdu Navigorna, który wyglądał z niego ze zdumieniem.

- Widzisz? - zapytał Septach Melayn.

- Co mam widzieć? Gdzie?

- Jak to co? Obóz prokuratora! Otwórz oczy, człowieku! Jest tuż...

Ale kiedy Septach Melayn odwrócił się, by pokazać go Navigornowi, zamrugał z niezrozumienia, zasłonił usta dłonią i zakasłał z zaskoczenia.

Wszystko zniknęło. Albo może nigdy niczego tam nie było. Nie było drogi, przecinającej szlak. Nie było polany, nie było obozowiska, nic poza znajomą, zieloną ścianą palm manganan.

- O czym ty mówisz, Septachu Melaynie? Co widzisz?

- Nic nie widzę, Navigornie. W tym cały kłopot. Widziałem go, Gialaurys też, chwilę temu... a teraz... teraz...

Septach Melayn całą duszą zawołał Panią, błagając o wyjaśnienie. Z początku nie było odpowiedzi. W ogóle jej przy nim nie było.

Potem poczuł ją znowu. Ale kiedy przyszła, jej obecność była odległa i niejasna, jakby jej siła ogromnie zmalała. Z największym trudem wylapywał znaczenie strumienia pozbawionego słów kontaktu, który nawiązali.

Powoli zaczynał rozumieć.

To, co zobaczył przed chwilą, droga w dżungli i leżące dalej obozowisko nie było złudzeniem. Wróg, którego tak długo szukali, naprawdę znajdował się tuż za pobliskimi drzewami. Na jedną, krótką, dręczącą chwilę jego oczy mogły przebić chmurę niewiedzy, która tak długo skrywała przed nimi prokuratora.

Ale to, co zerwało chmurę, traciło siły. Wysięk okazał się zbyt wielki. Chmura znowu opadła.

Oczywiście mogli zaryzykować atak na miejsce, gdzie wiedzieli, że kryje się Dantirya Sambail, ale równie dobrze mogliby pójść do walki z zawiązanymi oczyma. Prokurator i jego ludzie będą dla nich niewidzialni, a oni doskonale widoczni podczas ataku na wroga, którego nie byli w stanie zobaczyć.

*

Prestimion nie miał wątpliwości, że Dinitak się załamuje. Jego twarz była dziwnie blada mimo suvraelskiej opalenizny, oczy miał zamglone, szczupłe policzki zapadły się od niewyobrażalnego wysiłku. Trząsał się. Chwilami przyciskał palce do skroni. Hełm lekko mu się przekrzywił, ale chyba tego nie zauważał.

Walka trwała już od dwóch godzin i mieli właśnie stracić kluczowego gracza.

- Czy on wytrzyma, matko? - zapytał cicho Prestimion.

- Bardzo szybko słabnie. Był w stanie zaburzyć iluzję ojca, ale nie mógł jej rozwiązać. A teraz uchodzą z niego siły.

Pani również zdradzała oznaki zmęczenia. Już na długo przed świtem z pomocą swego diademu nawiązała kontakt z Septachem

Melaynem w odległej dżungli Stoienzaru i wciąż go utrzymywała, z bezpiecznej odległości obserwowowała obóz Dantiryi Sambaila i łączyła się z Dinitakiem Barjazidem, który starał się wykorzystać hełm przeciwko swojemu ojcu. Wysiłek potrzebny do podtrzymania trzech mostów percepcji pozbawił ją sił.

Czy nasz atak na Dantiryę Sambaila załamie się, zanim zadamy pierwszy cios? - zadał sobie pytanie Prestimion.

Spojrzał znowu na Dinitaka. Nie było wątpliwości, że chłopak jest na granicy omdlenia. Twarz lśniła mu od potu, oczy nie skupiały się w jednym punkcie, lecz dziko latały na wszystkie strony tak, że chwilami widać było białka. Zaczął kiwać się w przód i w tył na piętach. Wydawał ciche, buczące dźwięki.

Nie było możliwości, żeby Dinitak dalej aktywnie przeciwstawiał się ojcu. Raczej Venghenar Barjazid spuszczał mu teraz srogie lanie. I w każdej chwili...

Tak. Dinitak obrócił się w bok, na chwilę zamarł, skulony, zadrżał od stóp do głów i zaczął upadać.

Dekkeret, stojący u boku Prestimiona, krzyknął i ruszył do chłopca z tą samą szybkością, którą pokazał kilka lat wcześniej, gdy szaleniec z sierpem wyskoczył z tłumu w Normork. Dinitak, obracając się, upadał. Dekkeret doskoczył do niego, złapał go za ramiona i delikatnie opuścił na podłogę.

Ostatnim, konwulsyjnym ruchem przed upadkiem Dinitak zrzucił hełm i przez jeden straszny moment maszyna leciała przez pokój. Prestimion niemal bez zastanowienia schwycił ją, gdy przelatywała

obok, złapał ją dwoma zakrzywionymi palcami. Przez moment trzymał ją w dłoni i patrzył w zdumieniu.

Potem zrozumiał, co należało zrobić w tej chwili kryzysu.

- Teraz moja kolej - powiedział. Nie czekając na reakcję innych, uniósł hełm wysoko nad głowę, na chwilę spojrział w górę i założył go.

Nie był to pierwszy raz. Upierał się przy swoim tak długo, aż w ciągu dwóch ostatnich tygodni Dinitak Barjazid dał mu trzy lekcje obsługi urządzenia. Dowiedział się bardzo niewiele, zaledwie posmakował możliwości. Nauczył się z grubsza, jak korzystać z jego przełączników i odbył krótkie wycieczki do zewnętrznych warstw umysłów Dinitaka i Dekkereta. Nie miał jednak okazji spróbować użyć tego przedmiotu na większą odległość.

Teraz będzie ją miał.

- Pomóż mi, jeśli możesz - poprosił Dinitaka, leżącego bezwładnie na podłodze, opartego o Dekkereta. - Jak mogę znaleźć Stoienzar?

- Najpierw potencjometr wznoszenia pionowego - powiedział chłopiec. Jego głos, słaby i piskliwy po wysiłku, był ledwo słyszalny.

- W górę. W górę i na zewnątrz. Stamtąd można wybrać drogę.

W górę i na zewnątrz? Łatwo było mówić. Ale co... jak...

Cóż, od czegoś trzeba zacząć. Prestimion dotknął potencjometru wznoszenia pionowego, przekręcił go leciutko i natychmiast wyniosło go w górę. To było jak ujeżdżanie błyskawicy. Albo startującej rakiety. Jego umysł wyleciał do góry z nieskończoną prędkością przez stalowoniebieską opaskę, która była atmosferą, w ciemność poza nią i

leciał w kierunku słońca.

Wielkie i złotozielone, wisiało przed nim w pustce kosmosu, przerażająco blisko, strzelając na wszystkie strony płomieniami. W jego oszałamiającym świetle Prestimion widział Majipoor daleko pod sobą, małą kulę, obracającą się powoli. Poszarpany szczyt Góry Zamkowej wystawał z jego boku i wyglądał jak igielka, ale Prestimion wiedział, że była to gigantyczna igła, przebijająca się przez powietrze, które otulało świat i wyciągnięta daleko w ciemność, panującą poza nim.

Planeta odwróciła się i Góra Zamkowa zniknęła mu z oczu. Lśniący, niebieskozielona przestrzeń pod nim była Wielkim Morzem, którego brzegi widziało tylko niewielu podróżników. Oglądał wybrzeże Zimroelu, Wyspę Snu, Archipelag Rodamaunt, a teraz Prestimion, zawieszony w bezczynie wśród gwiazd, zobaczył znowu Alhanroel, tym razem część od strony Zimroelu. Z miejsca gdzieś nad środkiem Morza Wewnętrznego widział go wyraźnie przed sobą. Długie, ciągnące się na południe wybrzeże i smukły, wystający jak kciuk półwysep.

Jestem za wysoko, powiedział do siebie. Muszę zejść niżej. Straciłem za dużo czasu. Gdy ja szybowałem w przestrzeni, na Majipoorze mijały lata, wieki. Bitwa się skończyła, świat poszedł dalej, już opowiedziano historię mojego panowania.

Straciłem za dużo czasu, muszę zejść niżej.

Poszybował w dół. Z zaskakującą łatwością poruszał się w kierunku wybrzeża Alhanroelu.

Teraz spokojnie. To jest miasto Stoien. Wszyscy w nim teraz jesteśmy, choć ja jestem też tutaj. Teraz muszę poruszać się na wschód wzdłuż południowego wybrzeża. Tak. Półwysep. Dżungla.

Z odległości milionów mil doszedł go głos Dinitaka Barjazida.

- Szukaj ognistego punktu, panie. Tam ich odnajdziesz.

Ognisty punkt? Co to niby miało oznaczać?

Przed nim był tylko chaos. Im bardziej Prestimion zbliżał się do powierzchni półwyspu, tym mniej rozumiał. Udało mu się jednak znaleźć potencjometr poziomy hełmu i przebijał się przez gruby całun oparów i ciemności, który go otaczał, przecinał go jak żywy miecz, a zagubienie powoli zamieniało się w jasność. Wysiłek był niebywały. Mózg mu płonął. Wkraczał teraz w strefę ochronnej tarczy Venghenara Barjazida. Wokół niego niebem wstrząsały wielkie fale wybuchowej siły, musiał walczyć, by nie spaść jak meteoryt do morza, które falowało i pieniało się jak świeże mleko tuż pod nim.

Odzyskał równowagę. Utrzymawał ją teraz idealnie. Wślizgnął się głębiej w ciemną, zalegającą niżej barierę, próbował przebić się na jej drugą stronę.

Zobaczył tam płonące światło.

Ognisty punkt, tak, dokładnie tak, jak powiedział młody Barjazid, płonąca sfera jasności, przeświecająca przez niepojętą chmurę, która wciąż go otaczała.

- Są tam! - zawołał. - Tak! Tak! Widzę ich! Ale jak mam...

Wtem Prestimion poczuł wsparcie, przyjazne ramię, pomagające mu utrzymać równowagę. Wyczuł obecność matki, sięgającej ku

niemu z pomocą diademu, dotyka jego umysłu, używa swej siły i mądrości. Z kolei ona polegała pewnie na instrukcjach, które szeptał jej Dinitak Barjazid.

Teraz droga przed nim była wolna.

Za pomocą jednego z delikatnych potencjometrów na hełmie, skupił umysł na ognistym punkcie, a jego blask słabł i ciemniał i teraz Prestimion bez trudu widział obóz w dżungli, jakby stał na ziemi w samym jego środku. Namioty, stosy broni, ogniska, latacze i wierzchowce.

Czyimi oczyma go oglądał? Odpowiedź przyszła natychmiast. Rozejrzał się w umyśle swojego nosiciela i szybko odnalazł jasny rdzeń wrogości, płonący straszliwie. Zadrzał, kiedy go poczuł, ponieważ natychmiast zrozumiał, że dotyka duszy zastępcy prokuratora, znienawidzonego Mandraliski.

Przebywanie w jego umyśle było podobne do pływania w morzu lawy. Mandralisca nie mógł go zranić, nie mając jednego z hełmów, ale jakikolwiek kontakt z tym człowiekiem był ohydny doświadczeniem, którego nie należało przeciągać.

Prestimion wyrwał się. Mandralisca odszedł, zataczając się, i zniknął.

Chcę Venghenara Barjazida. A potem Dantiryi Sambaila.

- Matko? Pomóż mi znaleźć człowieka w hełmie.

Nie było takiej potrzeby. Venghenar Barjazid sam znalazł i zaatakował intruza w obozie.

Pierwszy ruch obronny przyszedł szybko i niespodziewane.

Prestimion poczuł się, jakby uderzono go w tył głowy i w żołądek. Wciągnął powietrze i zatoczył się, chwiejąc się pod ciosami. Desperacko walczył o oddech, ale Barjazid nie odpuszczał. Miał potężniejszy hełm. I opanował go po mistrzowsku, a Prestimion był nowicjuszem.

Prestimion, ze świadomością podzieloną pomiędzy pokój w Stoien, gdzie przebywał z matką, Dekkeretem, Dinitakiem i Maundigandem-Klimdem, a polaną w dżungli Stoienzaru zaczął w pierwszej chwili wściekłego ataku wątpić, czy jest jakikolwiek sposób, by powstrzymać tę brutalną napaść. Zdawało się rzeczą pewną, że zostanie pokonany.

Ale wtedy pchnął tak, jak pchał Mandraliskę i Barjazid jakby ustąpił pod naciskiem. Prestimion pchnął znów, mocniej i tym razem moc furii Barjazida zmaląła, albo dlatego, że Prestimion skutecznie go odrzucił, albo może tamten wycofał się i zbierał siły do ostatecznego ciosu. Niezależnie od przyczyn, ten moment spokoju dał Prestimionowi chwilę tak potrzebnego wytchnienia.

Wiedział jednak, że to nie potrwa długo. Widział małego człowieczka, jakby naprawdę przed nim stał: wąskie usta, cwane oczka, na szyi stary naszyjnik z kiepsko dopasowanych kości smoka morskiego, a na głowie hełm snów. Barjazid wyglądał na bardzo pewnego swego. Oczy błyszczały mu złą radością. Prestimion nie wątpił, że szykował się do drugiego, decydującego uderzenia.

Przygotował się na nie.

Jesteś wciąż przy mnie, matko? Potrzebuję cię.

Tak. Tak. Wciąż tam była. Prestimion czuł jej niewątpliwą obecność u boku.

Wtem, gwałtownie, zdał sobie sprawę, że do jego wysiłków dołącza druga, potężna siła, nowy bastion w tej walce. Z tego sprzymierzenia płynęła dziwna moc, w niczym niepodobna do delikatnej i pełnej miłości emanacji Pani. Oczyma nowo przybyłego widział wszystko jakby z innym stopniem percepcji. Po chwili Prestimion rozpoznał źródło tej dziwnej zmiany pola widzenia, które stało się jakby podwójne. To musiał być Maundigand-Klimd, który w jakiś sposób wpiął się w łańcuch ataku. Jak inaczej można to było wytłumaczyć, jeśli nie wejściem su-suheryjskiego maga do walki?

Teraz, Prestimionie! Uderzaj!

Tak. Uderzył. Podczas gdy Barjazid zbierał siły do zadania ciosu, który zakończyłby walkę, Prestimion rzucił w niego całą siłę, jaką był w stanie zgromadzić.

Umiejętnością posługiwania się tymi urządzeniami Barjazid ogromnie przewyższał Prestimiona, ale duch, który wyniósł Prestimiona na tron Majipooru był silniejszy od ciemnej duszy, która skwierczała i płonęła w Venghenarze Barjazidzie. Poza tym u jego boku stała Pani i Maundigand-Klimd. Zaatakował Barjazida straszliwym pchnięciem mocy i od razu wiedział, że przełamał nim całą obronę wroga. Barjazid zatoczył się w tył, wybity z równowagi nagłym przyływem siły przeciwnika. Chwiał się i obracał, rozpaczliwie usiłując ustać.

Jeszcze raz! Jeszcze raz, Prestimionie!

Tak, jeszcze raz. I znowu, i znowu, i znowu.

Barjazid załamał się. Upadł. Leżał twarzą w dół w bagnistej ziemi,
cicho pojękując.

Już nic nie broniło drogi do Dantiryi Sambaila.

- Widzicie go teraz? - zawołał Septach Melayn. - Namioty? Latacze? Czy to nie jest sam Dantirya Sambail? Ruszajmy, zanim znowu zniknie!

Nie rozumiał do końca, co się działo ani dlaczego, ponieważ Pani opuściła jego umysł. Jedyne, czego był pewien, to że obóz prokuratora, jeszcze przed chwilą ukryty pod nowym płaszczem niewidzialności, pojawił się przed nimi gwałtownie i był tam, otwarty i bezbronny. Świat kipiał dziwnością, sieć przeznaczenia plątała się raz za razem i Septach Melayn zrozumiał, że przyszła pora, by zakończyć to wszystko. Kolejna okazja może się nie trafić.

Dziwne, że wszystkie bariery opadły tak łatwo. Ale Septach Melayn podejrzewał, że dokonanie tego nie było wcale łatwe i że właśnie rozstrzygnęła się jakaś straszna, niewidzialna bitwa.

- Tam... tak - powiedział Navigorn, zaskoczony. - Widzę obóz. Ale jak...?

- To dzieło Prestimiona. Czuję, że on to zrobił. Jest teraz blisko nas. Chodźmy, bracia! Szybko!

Wypadł biegiem na polanę, już z obnażonym mieczem w dłoni. Gialaurys biegł po jego prawej stronie, Navigorn po lewej, a za nimi wojska, które przyprowadzili z północy wysypywały się z lataczy, by przyłączyć się do walki. To nie była dokładnie zaplanowana bitwa, lecz dziki rajd, karkołomny i zawzięty.

- Znajdźcie prokuratora! - wrzasnął Gialaurys głosem jak uderzenie gromu. - Najpierw prokurator!

- I Mandralisca! - zawołał Septach Melayn. - Ci dwaj nie mogą uciec!

Ale gdzie oni byli? Panowało wielkie zamieszanie. Obóz pełen był ogłupiałych żołnierzy, którzy biegali w gorączkowej wrzawie i nieporządku i nie dało się powiedzieć, kto był gdzie.

Kiedy szli przez obóz, jakiś chudy, wysuszony starzec, który leżał na ziemi, wstał niepewnie i szedł bez celu w ich kierunku. Jego oczy były matowe i prawie puste, twarz zniekształcona, jedna jej część wyginała się w dół, jakby niedawno miał udar. Na głowie miał jakieś mechaniczne urządzenie, może magiczne. Wydawał z siebie niskie, niezrozumiałe odgłosy, niespójny bełkot. Wyciągnął drżące dłonie w stronę Navigorna, który był najbliżej. Navigorn odepchnął go z pogardą, rzucając na ziemię jak stos szmat.

- Ach, czyżbyś go nie znał? - powiedział Gialaurys. - To Barjazid! Przeklęty sprawca całego tego zamętu. A przynajmniej to, co z niego zostało. - Po tych słowach odwrócił się, by przebić starca ostrzem.

Ale Septach Melayn, jak zawsze szybszy, już pozbył się go błyskawicznym pchnięciem.

- Tam chyba jest Mandralisca - powiedział Navigorn, wskazując drugi koniec polany.

I faktycznie, widać tam było najwierniejszego ze sług Dantiryi Sambaila, skradającego się wzdłuż ściany palm mangananza, szukającego drogi ucieczki.

- Jest mój - powiedział Navigorn i pobiegł za nim.

- Tam jest prokurator! - zawołał Septach Melayn. - Zajmę się nim osobiście.

Tak. Dantiryra Sambail stał pięćdziesiąt stóp od nich i uśmiechał się ponad zgiełkiem pola bitwy, którym stał się jego obóz. Nie był przygotowany do walki, ubrany tylko w prostą, lnianą tunikę i miękkie skórzane buty z długimi czubami. Gdzieś jednak zdobył solidną szablę i długi, wąski sztylet. Spojrzał na Septacha Melayna i skinął na niego, wyzywając na pojedynek. Dziwne, fioletowe oczy prokuratora patrzyły niemal z miłością z jego mięsistej, rumianej twarzy.

- Tak - powiedział Septach Melayn. - Zmierzymy się, Dantiryo Sambailu.

Zbliżali się do siebie powoli, ostrożnie mierząc się wzrokiem, jakby poza nimi na polanie nie było nikogo. Prokurator w lewej ręce trzymał szablę, w prawej sztylet. To dziwne, pomyślał Septach Melayn. O ile było mu wiadomo, Dantiryra Sambail był praworęczny, a potężna szabla była zawsze jego ulubioną bronią. Co planował? Czy chciał odbić miecz Septacha Melayna w bok silnym zamachem szabli i przebić jego niechronione serce sztyletem?

Nieważne. To się nie stanie. Septach Melayn był pewny, że nadeszła chwila, w której w końcu uwolni świat od tego potwora.

- Na polu pod Granią Thegomar też zaatakowałeś Prestimiona dwoma ostrzami, prawda, Dantiryo Sambailu? - zapytał go Septach Melayn przyjaźnie, wręcz serdecznie. - I uderzyłeś, jak pamiętam,

toporem, zarazem próbując dosięgnąć go szablą. A mimo to cię pokonał, jak słyszałem. - Podczas gdy mówił, przeciwnicy krążyli wokół siebie po kole, próbując wmanewrować przeciwnika w mniej korzystną pozycję. Septach Melayn był młodszy, wyższy i szybszy, prokurator cięższy i silniejszy. - Tak, pokonał cię i darował ci życie. Ale ja nie jestem Prestimionem, Dantiryo Sambailu. Kiedy cię zwyciężę, będzie to twój koniec. I, powiedziałbym, rychło w czas.

- Za dużo gadasz, człowieczku od kwiatków i loczków. Ty mały lalusi! Ty przerośnięty dzieciaku!

- Jestem lalusiem? No, może i tak. Ale dzieciakiem? Dzieciakiem, Dantiryo Sambailu?

- Tak, jesteś tylko nieznośnym dzieckiem. Dalej, Septachu Melaynie, pokaż nam próbkę twojego słynnego fechtowania.

- Zademonstruję ci ją z całą, płynącą z głębi duszy przyjemnością.

Septach Melayn zrobił krok w przód, umyślnie odsłaniając się, by sprowokować Dantiryę Sambaila do pokazania, co zamierza zrobić ze swym orężem. Ale ten usunął się tylko na bok, potrząsając szablą i sztyletem, jakby sam nie był pewien, którego użyć. Septach Melayn wykonał szybkie pchnięcie, tylko po to, by prokurator mógł zobaczyć błysk słońca na szybko poruszającym się ostrzu. Dantiryo Sambail uśmiechnął się i skinął z aprobatą.

- Dobra robota, dzieciaku, bardzo dobra. Ale nie upuściłeś mi krwi.

- Nie, gdyż postanowiłem ciąć powietrze - powiedział Septach Melayn. - Ale spróbuj tego. Dzieciak, powiadasz?

Przyszła pora, by użyć wszystkich umiejętności do jak

najszybszego zakończenia walki. Septach Melayn nie chciał bawić się z Dantiryą Sambaiem w żadne gierki. Ten człowiek już i tak za wiele razy uniknął śmierci. Prestimion w jakiś sposób otworzył drogę do tej chwili, a on musiał teraz dokończyć dzieła. Przyszła pora szybko zakończyć życie prokuratora, pomyślał, bez skomplikowanego pojedynku, inaczej prokurator będzie miał szansę wymyślić jakąś nową zdradę.

Atakując szybko, Septach Melayn wykonał mylącą fintę w lewo, z chichotem patrząc, jak łatwo Dantiryą Sambail wziął ją za prawdziwe pchnięcie. Kiedy prokurator parował fintę szablą, Septach Melayn machnął lekkim mieczem w drugą stronę i wbił jego czubek w mięśnie ręki, która trzymała sztylet. Pierwsza krew sprawiła, że w niezwykłych oczach Dantiryi Sambaila mignęła furia, a może i strach? Z wściekłym wyciem rzucił się na Septacha Melayna zadając cięcie z góry, które innego przecięłoby na pół. Septach Melayn z łatwością odskoczył, uśmiechnął się do prokuratora miło i zaatakował z jego lewej, zgrabnie wyginając nadgarstek i wbijając ostrze w żebra, pchając je, aż był pewien, że dosięgło serca.

I już, pomyślał Septach Melayn. Stało się. Ta wieża zła już nie jest między nami.

Stali przez chwilę blisko siebie, prokurator wspierał się na nim, oddychał ciężko, potem jego oddech ustał zupełnie. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz, jak wybuch wulkanu wstrząsa ziemią, a z ust chlusnęła jasna krew. Potem wszystko ustało i Dantiryą Sambail wisi na nim martwo. Septach Melayn sięgnął do szabli, wyciągnął ją

z martwej dłoni prokuratora i rzucił w bok. Lekkim pchnięciem posłał martwego Dantiryę Sambaila jej śladem.

- Tak, przerośnięty dzieciak - powiedział. - Mały lalusz. Na pewno miałeś rację. Właśnie nim jestem. Żegnaj, Dantiryo Sambailu. Nie będzie nam cię brakowało.

Nie czuł jednak triumfu, jeszcze nie, tylko cichą satysfakcję i jakby zrzucił z siebie wielki ciężar. Rozejrzał się, by zobaczyć, jak radzili sobie inni.

Gialaurys walczył z trzema lub czterema ludźmi prokuratora naraz. Nie wyglądało na to, by potrzebował pomocy. W środku walki spojrzął na Septacha Melayna stojącego nad ciałem Dantiryi Sambaila i uśmiechnął się do niego radośnie, składając mu w ten sposób gratulacje.

Navigorn miał mniej szczęścia. Wracał właśnie z gąszczu manganoz i wyglądał na zrozpaczonego. Na jednym z policzków miał krwawe zadrapania.

- Przeklęty Mandralisca uciekł! Przeszedł między tymi diabelnymi palmami, jakby w ogóle ich tam nie było i zniknął. Ścigałbym go, gdyby nie te drzewa. Jak widzisz, prawie pocięły mnie na kawałki.

W tej chwili chwały Septach Melayn nie zgadzał się na rozczarowanie, nawet takie. Wesoło klepnął Navigorna po ramieniu.

- Mówi się trudno. Ale proszę, przyjacielu, nie bądź dla siebie taki surowy. Ten człowiek to demon, a na demony nie poluje się łatwo. Ale sam nie zajdzie daleko, prawda? Niech pożrą go kraby, kiedy będzie błąkać się po dżungli! - Septach Melayn wskazał na

rozciągnięte wokół ciała. - Spójrz! Spójrz tylko! Tam leży prokurator!
A tam Barjazid! Nasza praca jest zakończona, Navigornie. Pozostaje
nam tylko troszkę posprzątać!

*

Prestimion, oddalony o dwa tysiące mil, odczuł przerwanie
napięcia jakby zerwał się wielki kabel. Zachwiał się od niego,
zatonął w tył, nagle bardzo śpiący.

Dekkeret natychmiast był u jego boku, podtrzymując go.

- Mój panie...

- Nie potrzebuję pomocy, dziękuję. - Prestimion, uwolnił się z jego
uchwyty, choć wcale nie był pewny, czy rzeczywiście jej nie
potrzebuje. Nie przemówił też przesadnie przekonująco, bo Dekkeret
wciąż trwał u jego boku.

Prestimionowi zdawało się, że wie, co zaszło w obozie prokuratora,
ale nie był pewien do końca. Wycieńczyła go podróż przy użyciu
hełmu, a także bitwa z Venghenarem Barjazidem. Był przemarznięty,
jakby pływał w lodowatej wodzie, kręciło mu się w głowie. Zamknął
oczy, wziął kilka głębokich wdechów i walczył o odzyskanie
równowagi.

Potem spojrział w stronę Pani. Pustym, cienkim głosem starca
zapytał:

- Czy on naprawdę nie żyje?

Poważnie skinęła głową. Była blada i zmęczona. Na pewno była
nie mniej wykończona od niego.

- Odszedł, nie ma co do tego wątpliwości. Zabił go Septach

Melayn, prawda?

Maundigand-Klimd, do którego skierowane było to pytanie, skinął naraz obiema głowami, w pełni potwierdzając.

- Nie będzie więc drugiej wojny domowej - powiedział Prestimion, a przez zmęczenie zaczęły przebijać się pierwsze promyki radości. - Możemy za to podziękować Bogini. Ale pozostaje jeszcze wiele do zrobienia, zanim świat znowu będzie zdrow.

Dekkeret powiedział:

- Mój panie, powinieneś już zdjąć hełm. Samo noszenie go na pewno wysysa z ciebie energię. A po tym, co zrobiłeś...

- Powiedziałem, że nie skończyłem! Odsuń się, Dekkercie! Odejdź!

Jeszcze raz położył dłoń na potencjometrze wznoszenia, zanim ktokolwiek zdołał zaprotestować, i po raz drugi poszybował w niebo.

Zastanawiał się, czy to mądre.

Tak. Póki wciąż miał siły po podróży do Stoienzaru, musiał to zrobić.

W ciszy, niczym olbrzymi ptak, płynął przez noc nad wielkimi miastami Majipooru. Błyszczały pod nim w całym swoim splendorze, Ni-moya i Stee, Pidruid i Dulorn, Khyntor, Tolaghai, Alaisor i Bailemoona.

Czuł ciężar szaleństwa. Ponad wszystkim innym wyczuwał cierpienie mnóstwa uszkodzonych, rozdartych dusz, które skrzywdzono w chwili, kiedy z pamięci świata wydarto historię wojny z Korsibarem. Jego własne serce ścisnęło się, gdy odczuwał

zniszczenie, jakie odniósł świat, wyraźniej niż wtedy, gdy przemierzał go w diademie pani.

To, co się wtedy wydarzyło, można było teraz naprawić.

Hełm Barjazida miał nieporównywalnie większą moc niż diadem Pani. Ona mogła wspierać i pocieszać, on mógł przemieniać. I być może leczyć. Czy to było możliwe? Musiał sprawdzić. Teraz.

Dotknął chorych umysłów swoim własnym. Dotknął dwóch, trzech, tysiąca, dziesięciu tysięcy. Sklejał popękane fragmenty. Wygładzał nierówności.

Tak! Tak!

To był straszliwy wysiłek. Czuł, jak jego własne siły życiowe wypływają jak rzeka, gdy leczył tych, których dotknął. Ale to działało. Był tego pewien. Dalej i dalej wykonywał sekretną Wielką Procesję po świecie, spadał w Sippulgar, Sisivondal, Treymone, w swoim własnym Muldemar i dotykał, naprawiał, leczył.

Zadanie było olbrzymie. Wiedział, że nie skończy go w ciągu jednej podróży. Ale uparł się, że zacznie tu i teraz. Że tego dnia wyciągnie z ponurej krainy, do której sam ich zepchnął, jak najwięcej tych, których skazał na szaleństwo.

Bez planu poruszał się po świecie. Szaleństwo było wszędzie.

Zatrzymał się tu.

Tu.

Tu.

Znowu, znowu, znowu. Prestimion zlatywał, dotykał, naprawiał. Nie miał już pojęcia, czy podróżował z północy na południe, czy ze

wschodu za zachód, czy był w Narabalu czy nad Velathys, czy jakimś miastem na Górze Zamkowej. Leciał dalej i dalej, niepomny na wysiłek duchowy, którego się podejmował.

- Jestem Prestimion, Lord Koronal, król namaszczony z mocy samej Bogini - powtarzał setki, tysiące razy. - Biorę was w objęcia i daję wam najgłębszą miłość, daję wam dar powrotu was samych. Jestem Prestimion... Jestem Prestimion... Jestem Prestimion... Lord Koronal...

*

Ale cóż to? Kontakt się urywał. Samo niebo zdawało się rozpadać na kawałki. Spadał... spadał... leciał w morze. Wirował, leciał w dół, głową naprzód, w ciemność...

- Mój panie, słyszysz mnie?

*

To był głos Dekkereta. Prestimion otworzył oczy, co nie było łatwe, taki był oszołomiony i zdrętwiały i zobaczył, że potężny, szeroki w ramionach Dekkeret klęczy nad nim, rozciągniętym na podłodze. W jego rękach był hełm Barjazidów.

- Co ty z nim robisz? - zapytał ostro Prestimion.

Dekkeret zaczerwienił się i położył go obok siebie, poza zasięgiem Prestimiona.

- Wybacz mi, panie. Musiałem ci go zabrać.

- Zabrałeś... mi... go?

- Gdybyś miał go dłużej na głowie, umarłbyś. Widzieliśmy, że słabiesz. Dinitak kazał mi go zdjąć. Powiedziałem, że nie wolno tak

dotykać Koronala, że to zabronione, że to świętokradztwo, ale jednak musiałem go zdjąć, inaczej Majipoor potrzebowałby nowego władcy. No więc zdjąłem. Nie miałem wyboru, mój panie. Wyślij mnie do tuneli, jeśli takie jest twoje życzenie. Ale nie mogłem stać tu i patrzeć, jak umierasz.

- A gdybym ci rozkazał, żebyś mi go oddał, Dekkercie?

- Nie zrobiłbym tego, mój panie - powiedział spokojnie Dekkeret.

Prestimion skinął głową. Uśmiechnął się słabo, wymuszenie i lekko uniósł.

- Jesteś dobrym człowiekiem, Dekkercie, i bardzo dzielny. Gdyby nie ty, nie osiągnęlibyśmy nic z tego, co się nam dzisiaj udało. Gdyby nie ty i ten chłopiec, Dinitak...

- Nie jesteś dotknięty, mój panie, że zabrałem ci hełm?

- To był bardzo śmiały czyn. Można by zapewne zaryzykować twierdzenie, że nieco zbyt śmiały. Ale nie, Dekkercie, nie jestem dotknięty. Zrobiłeś co należało. Pomóż mi wstać, dobrze?

Dekkeret podniósł go, jakby nic nie ważył i postawił na nogi. Zaczekał chwilę, jakby bał się, że upadnie. Prestimion rozejrzał się po pokoju, spojrzął na matkę, na Dinitaka, na Maundiganda-Klimda. Su-Suheris był jak zawsze nieodgadniony, jego odległa postać nie wyrażała żadnych emocji. Pozostała dwójka była wciąż wycieńczona po bitwie, ale powoli odzyskiwali siły. On również.

Pani powiedziała:

- Co robiłeś, Prestimionie?

- Leczyłem szaleństwo. Tak, matko, leczyłem je. Z pomocą tego

urządzenia wyleczenie jest możliwe, choć to ciężka praca i nie da się jej skończyć w jedną noc. - Spojrzał na hełm, leżący obok stopy Dekkereta i potrząsnął głową. - Jakże ohydną moc ma ta maszyna! Mam ochotę zniszczyć ją i wszystkie podobne, które znajdziemy w obozie Dantiryi Sambaila. Ale to, co raz wynaleziono, może znów być dane światu. Lepiej będzie, jeśli je zatrzymamy i znajdziemy jakiś dobry użytek, który można zrobić z jego potęgi. Zaczniemy od zadania, którego nie dane mi było skończyć: wędrówki pośród biednych szaleńców i sprowadzania ich z powrotem.

Zwracając się do Dekkereta, powiedział:

- Dantiryja Sambail zebrał flotę w pobliżu Piliploku. Jej kapitanowie czekają na rozkaz od swego pana, by płynąć na Alhanroel. Poinformuj ich, Dekkercie, że ten rozkaz nie nadejdzie. Dopilnuj, żeby się spokojnie rozproszyli.

- A jeśli nie będą chcieli?

- Wtedy rozproszymy ich siłą. Ale modlę się, żeby do tego nie doszło. Powiedz im w moim imieniu, że w Zimroelu nie będzie już prokuratorów. Podzielimy potęgę tego, który nosił ten tytuł pomiędzy książąt, lojalnych wobec korony.

Potem przemówił do Pani:

- Matko, dziękuję ci za twoją wielką pomoc i pozwalam teraz wrócić na Wyspę. Dinitaku, pojedziesz ze mną na Zamek, znajdę ci tam jakieś zadanie. A ty, Dekkercie, od teraz już książę Dekkercie i ty, Maundigandzie-Klimdzie, przygotujcie się do powrotu na Górę. Te nieprzyjemne sprawy za długo trzymały nas z dala od domu.

- A to książę Taradath - powiedziała lady Varaile, pokazując Koronalowi mały, zawinięty w futra tobolek. Wyglądała z niego pomarszczona, czerwona twarzyczka. Prestimion roześmiał się.

- To? To jest księciem?

- Będzie - poprawił brata Abrigant, który spieszenie przybył z Muldemar o poranku, gdy dotarła do niego wiadomość, że Prestimion powrócił z zachodu. Zebrali się w wielkim salonie królewskich apartamentów w Wieży Lorda Thrayma, oficjalnej rezydencji Prestimiona. - Będzie wysoki jak nasz brat Taradath i nie mniej sprytny. Będzie tak dobry w strzelaniu z łuku jak jego ojciec, a w szermierce jak Septach Melayn.

- Rozpocznę jego szkolenie, kiedy tylko zacznie chodzić - obiecał Septach Melayn poważnie. - Kiedy skończy dziesięć lat, nikt nie będzie się z nim mógł równać.

- Wszyscy jesteście wielkimi optymistami - powiedział Prestimion, ze zdumieniem patrząc na swego nowo narodzonego syna. Wszystkie dzieci są do siebie takie podobne. Ale tak, to syn Koronala i potomek książąt i zrobimy z niego wyjątkowego człowieka.

Spojrzał na Abriganta.

- Skoro widzisz w nim tak wielkie zdolności, bracie, jakiej umiejętności ty zamierzasz go nauczyć? Czy zabierzesz go do Muldemar i nauczysz tajemnic winiarstwa?

- Zrobić z niego winiarza? O nie, będę go szkolić w metalurgii!

- Metalurgii?

- Będzie zarządzał kopalniami metali w Skakkenoir, na których oprą się fundamenty dobrobytu twoich rządów. Pamiętasz, Prestimionie, jak obiecałeś, że dasz mi drugą szansę, by szukać metali w Skakkenoir, kiedy sprawa Dantiryi Sambaila zostanie zakończona? Od tego czasu grzecznie siedziałem w Muldemar i czekałem, aż nadejdzie mój czas. Chyba właśnie nadszedł, nie uważasz?

- Ach - westchnął Prestimion. - No tak, Skakkenoir. Oczywiście. W takim razie weź pięciuset ludzi albo tysiąc, i ruszaj na poszukiwania Skakkenoir, Abridancie. I przywieź nam stamtąd dziesięć tysięcy funtów żelaza, dobrze?

- Dziesięć tysięcy ton - powiedział Abridant. - I to będzie dopiero początek.

Tak, pomyślał Prestimion.

Dopiero początek.

Jako Koronał rządził od ilu lat? Załedwie trzech? Czy może czterech? Ciężko było określić to dokładnie, z powodu Korsibara i tego, co zrobiono pod Granią Thegomar. Nie wiedział dokładnie, kiedy rozpoczęły się jego rządy. W oficjalnych kronikach będzie to godzina śmierci Prankipina i objęcia Pontyfikatu przez Confalume'a, ale sam Prestimion wiedział, że potem nastąpiły dwa lata walki, wólczygi po prowincjach i wielkich bitew, dzięki którym mógł sięgnąć po koronę. A nawet wtedy, ledwo został oficjalnie koronowany, już musiał radzić sobie z Dantiryą Sambaiem. I całą

resztą problemów...

Cóż, teraz nastąpi początek, raz na zawsze.

Wziął dziecko z rąk Varaile. Trzymał je niepewnie, nie wiedząc, czy robi to jak trzeba i razem z nią odeszli, by stanąć samotnie, zostawiając innych - Septacha Melayna, Gialaurysa, Navigorna, Abriganta i Maundiganda-Klimda, którzy do tej pory byli filarami jego rządów - by zebrali się wokół stołu, na którym postawiono wybór win z Muldemar dla uczczenia powrotu Koronała. Kątem oka Prestimion zobaczył Dekkereta, stojącego nieśmiało z brzegu grupy, Dekkereta, który na pewno będzie ważną postacią za parę lat, i uśmiechnął się, widząc, jak Septach Melayn zaprasza go do stołu i obejmuje. Do Varaile powiedział:

- A twój ojciec? Słyszałem, że cudownie wyzdrowiał.

- To cud, Prestimionie. Ale nie do końca jest znów sobą. Nie powiedział ani słowa o wszystkim, co rozdał, kiedy był chory. Nie poświęcił ani chwili na spotkania z bankierami, którzy dotychczas zajmowali mu tyle czasu. Wydaje się, że w ogóle nie obchodzi go zarabianie pieniędzy. Najważniejszy jest dla niego wnuk. Choć co prawda wczoraj powiedział mi, że skoro wróciłeś, to może zechcesz skorzystać z jego pomocy. Jako doradcy w sprawach gospodarki, powiedzmy.

Przyjęcie Simbilona Khayfa do Rady było pomysłem zdecydowanie dziwnym. No, ale nadeszły przecież nowe czasy, a Khayf, wnioskując z tego, co właśnie usłyszał, stał się nowym człowiekiem. Zobaczymy, pomyślał Prestimion.

- Jego pomoc może się bardzo przydać, jestem tego pewien - powiedział głośno.

- Chce jej udzielić. Ma dla ciebie ogromny szacunek, Prestimionie.

- Musisz go do mnie przyprowadzić za dzień czy dwa, Varaile.

*

Odwrócił się i stał, patrząc w okno, wyglądając na leżący poniżej dziedziniec. Miał stąd dobry widok na większość Wewnętrznego Zamku, serce i główny ośrodek tego wielkiego budynku, z którego władał. Zamek, w którym mieszkał, nazywał się teraz Zamkiem Lorda Prestimiona i tak będzie aż do końca jego rządów. Dostał do ręki świat, by nim rządzić, i chociaż może nie zaczął zbyt pewnie, był przekonany, że skończył się okres popełniania błędów, a zacznie czas cudów i wspaniałości. Po raz pierwszy odkąd powiedziano mu, że Pontifex Frankipin umiera i że najprawdopodobniej zostanie wybrany następcą Lorda Confalume'a, poczuł, że serce ogarnia mu coś bardzo podobnego do spokoju.

Pozwolił, by jego umysł powędrował poza mury, poza Wewnętrzny Zamek i niezliczone mnóstwo pokoi, otaczających serce Zamku, poza Górę, na której szczycie stał i wspaniałe, różnorodne niziny Majipooru. Przez krótką chwilę jego umysł odbył podróż, której żaden człowiek nie byłby w stanie zakończyć przez całe życie, z jednego krańca świata na drugi i wrócił na Zamek, do wieży, która była jego domem.

- Prestimionie? - usłyszał głos Varaile, dobiegający jakby z bardzo daleka.

Odwrócił się, zaskoczony przerwaniem jego zadumy.

- Tak?

- Trzymasz dziecko do góry nogami.

- Ach. Ach tak, faktycznie - uśmiechnął się. - Może lepiej, żebyś je wzięła.

Cóż, może nie wszystkie błędy już popełnił.

Oddał dziecko Varaile, pochylił się i delikatnie pocałował ją w czubek nosa. Wrócił na środek pokoju, zobaczyć, czy Septach Melayn, Gialaurys i reszta zostawili mu choć trochę najlepszych win.

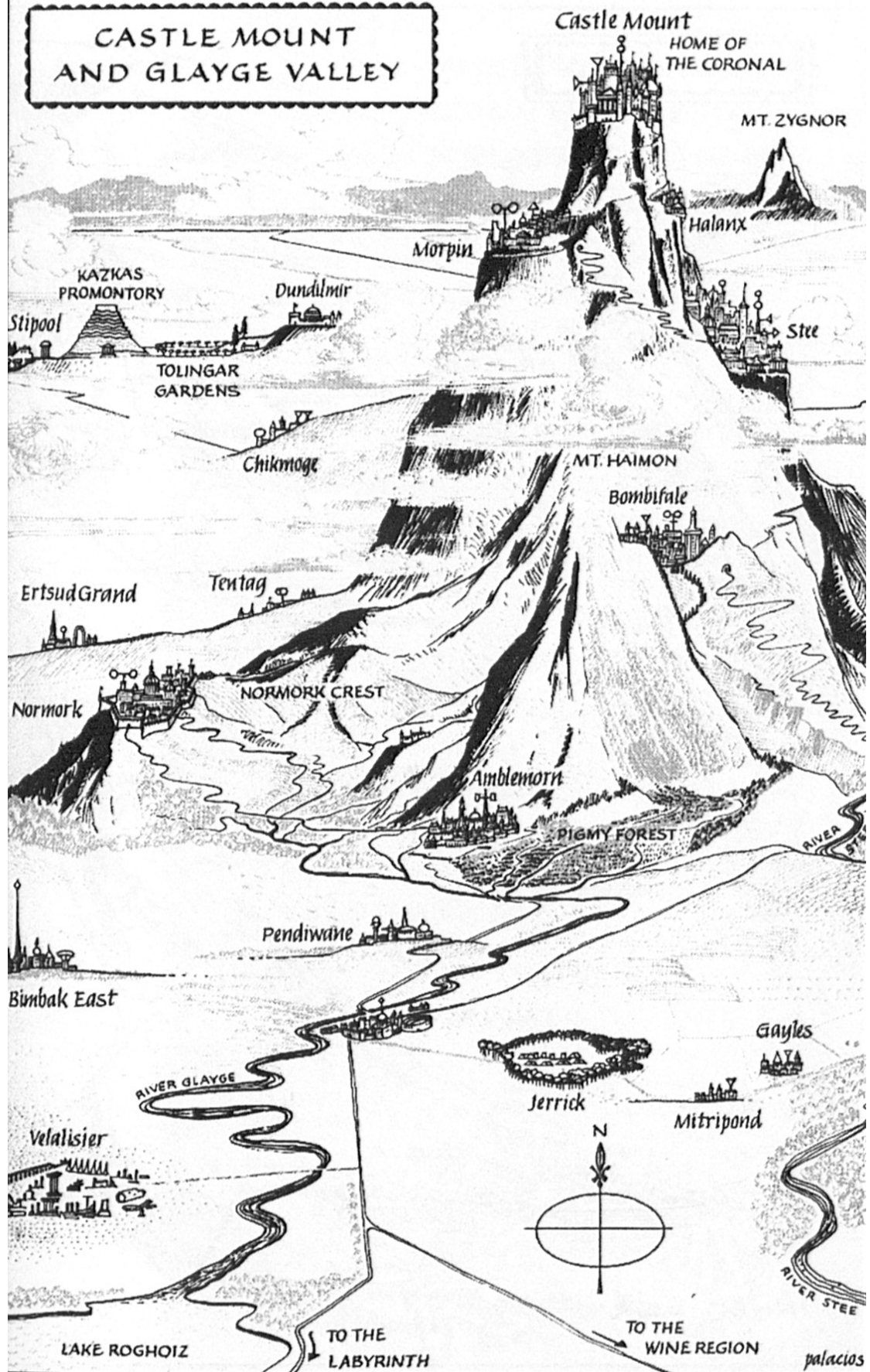
KONIEC

THE GREAT SEA



INNER SEA

CASTLE MOUNT AND GLAYGE VALLEY



MAJIPOOR

